

JOANNE
HARRIS

Błękitnooki chłopiec



Prószyński i S-ka

Błękitnooki chłopiec

Czterdziestodwuletni B.B wciąż mieszka z matką w niewielkiej miejscowości w Yorkshire. Jego życie towarzyskie toczy się głównie w sieci, na stronie Niegzecznychlopcy-rządzą, gdzie może swobodnie rozmawiać z tajemniczą Albertyną oraz innymi wirtualnymi przyjaciółmi, a przede wszystkim snuć mroczne fantazje, których tematem jest zawsze morderstwo – z matką w roli ofiary. Zagłębiając się w bolesne relacje bohatera z najbliższymi, odkrywamy szczegóły tragicznej wojny między braćmi i poznajemy przejmującą historię niewidomej dziewczynki, okrzykniętej przez media cudownym dzieckiem.

„Błękitnooki chłopiec” to thriller o misternie skonstruowanej fabule, wykorzystującej miliony najróżniejszych masek, wielorakich osobowości i sposobów manipulowania ludźmi, jakie oferuje współczesnemu człowiekowi Internet, aby w serii nieoczekiwanych zwrotów akcji dowieść ostatecznie, że tam, gdzie świat fantazji bezceremonialnie wdziera się w prawdziwe życie, skutki są zawsze tragiczne.

Joanne Harris (1964) – angielska pisarka, autorka wielu bestsellerów. Kocha Francję, słodycze i pisanie o jedzeniu. Jej powieść „Czekolada”, odniosła międzynarodowy sukces i została sfilmowana w 2000 roku. W Polsce ukazały się między innymi: „Rubinowe czółenka” (2007), „Runy” (2008), „Nasienie zła” (2009), „Śpij, kochanie, śpij” (2009).

Strona internetowa autorki: www.joanne-harris.co.uk

PATRONAT MEDIALNY



Cena 36 zł

ISBN 978-83-7648-462-4



9 788376 484624

www.proszynski.pl

JOANNE
HARRIS

Błękitnooki chłopiec

Przełożyła
Anna Kłosiewicz

Tytul oryginału BLUEEYEDBOY

Copyright © Frogspawn Limited 2010

All rights reserved

Projekt okładki

Dark Crayon/ Piotr Cieśliński

Redaktor prowadzący

Katarzyna Rudzka

Redakcja

Ewa Witan

Korekta

Anna Sidor

Grażyna Nawrocka

Łamanie

Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-462-4

Warszawa 2010

Wydawca

Prószyński Media Sp, z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

ABEDIK S.A.

ul. Ługańska 1,61-311 Poznań

Dla Kevina, który także ma błękitne oczy

i chciałbym tylko wiedzieć
Jak się panu podoba ten błękitnooki chłopiec
Panie Śmierć*

E.E. CUMMINGS, „BUFFALO BILL”

* Przeł. Stanisław Barańczak (Edward Estlin Cummings, „150 wierszy”, wybrał i przełożył Stanisław Barańczak, Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1983).

CZEŚĆ PIERWSZA

BŁĘKIT

Pewnego razu żyła sobie wdowa, która miała trzech synów: Czarnego, Brązowego i Błękitnego. Najstarszy, Czarny, miał skłonność do zmiennych nastrojów i agresji. Średni, Brązowy, był nieśmiały i nudny. Ale to Błękitny stał się ulubieńcem matki. Błękitny, który był mordercą.

1.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 02:56 w poniedziałek, 28 stycznia

Status: publiczny

Nastrój: nostalgiczny

Słucham: „Ice Cream For Crow” Captaina Beefhearta

Jego zdaniem kolorem morderstwa jest błękit. Błękit lodu, błękit zasłony dymnej, błękit odmrożeń, martwego ciała i worków na zwłoki. To również *jego* kolor, na tyle rozmaitych sposobów, krążący w jego ciele niczym ładunek elektryczny i wrzeszczący, jakby kogoś mordowali.

Błękit wszystko zabarwia. On dostrzega, wyczuwa obecność tego koloru wszędzie, od błękitu ekranu komputerowego po niebieską linię żył na grzbietach jego dłoni, wypukłych i poskręcanych niczym ślady insektów żyjących w piasku plaży koło Blackpool, dokąd jeździli co roku całą czwórką w dniu jego urodzin. Zjadał wtedy lody w rożku, brodził w morzu i wyszukiwał pod kępami wodorostów małe kraby, które wrzucione do wiaderka umierały potem w żarze palącego urodzinnego słońca.

Ma zaledwie cztery lata, więc te jego drobne zabójstwa kryją w sobie dziwną niewinność. Sam czyn jest wolny od złej intencji, stoi za nim jedynie zachłanna ciekawość poznania tego stworzenia, które próbuje uciec, krążąc po dnie niebieskiego plastikowego wiaderka, żeby w końcu wiele godzin później umrzeć z rozrzuconymi szczypcami i jasnym podbrzuszem wystawionym do góry w daremnej akcji kapitulacji. Do tego czasu zawsze zdążył już stracić zainteresowanie obiektem swoich badań i wracał do pałaszowania lodów kawowych (wyrafinowany wybór jak na tak małego chłopca, ale te o smaku waniliowym nigdy nie należały do jego ulubionych), więc kiedy pod koniec dnia przychodziła pora, aby opróżnić wiaderko przed powrotem do domu, czuł lekkie zdziwienie na widok martwego żyjątko, zastanawiając się, jak coś takiego w ogóle mogło istnieć.

Matka znajduje go na piasku, jak z szeroko otwartymi oczami szturcha nieżywego kraba czubkiem palca. Martwią ją nie tyle mordercze skłonności syna, ile raczej fakt, że jej mały chłopiec jest tak podatny na sugestie, że wiele rzeczy wyprowadza go z równowagi w sposób, którego ona nie rozumie.

- Nie baw się tym - mówi mu teraz. - Zostaw to paskudztwo.

- Dlaczego? - pyta synek.

Dobre pytanie. Wiaderko z morskimi stworzeniami stało nieruszone cały dzień. Chłopiec zamyśla się na dłuższą chwilę.

- Nie żyją - dochodzi wreszcie do wniosku. - Złapałem je wszystkie, a teraz one nie żyją.

Matka bierze go w ramiona. Tego właśnie się obawiała. Jakiegoś wybuchu, może potoków łez, sytuacji, która sprawi, że inne matki będą patrzeć na nią z góry, drwiąco.

- To nie twoja wina - zaczyna uspokajać synka. - Po prostu zdarzył się drobny wypadek, nie ma w tym twojej winy.

Wypadek, myśli sobie chłopiec. Nawet on wie, że to kłamstwo. Żaden wypadek, to rzeczywiście była jego wina, więc fakt, że matka temu zaprzecza, wprowadza w jego głowie jeszcze większe zamieszanie niż jej pełen napięcia głos i sposób, w jaki gorączkowo ściska go w objęciach, znacząc jego podkoszulek śladami olejku do opalania. Chłopiec próbuje się wyrwać - nienawidzi brudu - a matka uważnie mierzy go wzrokiem, pełna obaw, czyjej mały synek przypadkiem nie zacznie płakać.

A on się zastanawia, czy nie powinien tak zrobić. Może matka tego właśnie od niego oczekuje. Chłopiec wyczuwa jej niepokój, próby chronienia go przed bólem. Jej lęk ma zapach kokosów, tak jak olejek do opalania, i posmak tropikalnych owoców. I nagle to do niego dociera - nie żyją, nie żyją! - więc naprawdę wybucha płaczem.

Matka kilkoma kopnięciami zasypuje piaskiem resztę jego połowu - ślimaka, krewetkę, maleńką płaszczkę, wszystkie wyciągnięte z wody i chwytające powietrze małymi pyszczkami wygiętymi dramatycznie w półksiężyc. Podśpiewuje przy tym z uśmiechem: „Ojej! Już ich nie ma!”, próbując przemienić to w zabawę. Przyciska go do siebie mocno, żeby nawet cień poczucia winy nie zasnuł spojrzenia jej błękitnokiego chłopca.

Mały jest taki wrażliwy, myśli sobie. Ma tak zaskakująco bujną wyobraźnię. Jego bracia należą do zupełnie innego gatunku, mają kolana całe w strupach, rozczochrane włosy i ciągle urządzają w łózkach zapasy. Oni nie potrzebują jej opieki. Mają siebie nawzajem. Mają swoich kolegów. Lubią lody waniliowe, a kiedy bawią się w kowbojów (dwa palce ułożone na kształt pistoletu), niezmiennie wcielają się w bohaterów pozytywnych, którzy sprawiają, że czarne charaktery muszą ponieść karę.

Ale on zawsze był inny. Ciekawski. Podatny na wpływy. „Za dużo myślisz”, powtarza mu czasem z miną kobiety

zakochanej zbyt mocno, aby dostrzec jakąś skazę w obiekcie swojej miłości. Chłopiec już wie, że matka go uwielbia i chce chronić przed całym światem, osłaniać przed każdym cieniem przemykającym po błękitnym niebie jego życia, przed wszelką krzywdą, nawet taką, którą mógłby zrobić sobie sam.

Bo matczyzna miłość jest bezkrytyczna, wolna od egoizmu i pełna poświęcenia; miłość matki potrafi wybaczyć wszystko: wybuchy złości, łzy, obojętność, niewdzięczność czy okrucieństwo. Miłość matki to czarna dziura, która pochłania każdą krytykę, odpuszcza każdą winę, wybacza bluźnierstwo, kradzież i kłamstwo, przemienia nawet najohydniejszy czyn w coś, co nie jest jego winą.

„Ojej! Już ich nie ma!”

Nawet morderstwo.

Dodaj komentarz

Kapitanmordercakroliczkow: LOL, stary, naprawdę wymiatasz!

ClairDeLune: Błękitnookichłopiec, to było świetne. Myślę, że powinienś napisać coś więcej na temat swoich relacji z matką i tego, jak na ciebie wpłynęły. Nie sądzę, żeby ktokolwiek rodził się zły. Po prostu czasem dokonujemy niewłaściwych wyborów, to wszystko. Z niecierpliwością czekam na ciąg dalszy!

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

błękitnookichłopiec: Rany, dziękuję bardzo...

2.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 17:39 w poniedziałek, 28 stycznia

Status: prywatny

Nastrój: Cnotliwy

Słucham: „Brothers In Arms” Dire Straits

Mój brat nie żył zaledwie od jakiejś minuty, kiedy ta informacja do mnie dotarła. Tyle to właśnie trwa: sześć do siedmiu sekund na nagranie zdarzenia kamerą telefonu komórkowego, czterdzieści pięć na umieszczenie filmiku na YouTube, dziesięć na poinformowanie o tym tweetem wszystkich przyjaciół - 13:06; „Rany! Właśnie widziałem straszny wypadek samochodowy” - a stąd już prosta droga do istnej powodzi wiadomości na moim blogu: SMS-y, e-maile, wszystkie te „o mój Boże!”.

No cóż, możecie sobie darować kondolencje. Nienawidziłszy się z Nigelem od dnia moich narodzin i nic, co mój brat kiedykolwiek zrobił - wliczając w to wyzionięcie ducha - nie skłoniłoby mnie do zmiany zdania. Ostatecznie jednak to był mój brat. Nie myślcie, że tak kompletnie brak mi wyczucia. A mama na pewno mocno to przeżywa, chociaż Nigel nigdy nie

był jej ulubieńcem. W każdym razie z trzech synów pozostał jej już tylko jeden. Wasz szczerze oddany błękitnookichłopiec jest teraz niemal zupełnie sam na tym świecie.

Policja jak zwykle się nie spieszyła. Czterdzieści minut, tyle zajęło im dotarcie do nas. Mama akurat była na dole, zajęta przygotowywaniem lunchu: kotletów z jagnięciny z kartoflami purée plus na deser ciasto. Od miesięcy jadłem niewiele, ale nagle poczułem wilczy głód. Wygląda na to, że potrzeba śmierci któregoś z moich braci, żebym nabrał apetytu.

Ze swojego pokoju śledziłem całą scenę. Radiowóz, dzwonek do drzwi, szmer rozmowy, w końcu krzyk. Stukot uderzającego o ścianę stolika z telefonem w holu, kiedy matka osunęła się na ziemię, podtrzymywana przez dwójkę funkcjonariuszy, chwytając powietrze wyciągniętymi przed siebie rękami. A potem odór przypalającego się tłuszczu, pewnie tych kotletów, które zostawiła na ogniu, kiedy szła otworzyć drzwi.

To był sygnał dla mnie. Pora się wylogować i wypić piwo, którego się nawarzyło. Przez chwilę wahałem się, czy mogę zostawić w uchu jedną ze słuchawek iPod'a. Mama była tak przyzwyczajona do ich widoku, że pewnie nawet by nie zauważyła, ale policjanci to zupełnie inna sprawa, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałem, było wyjście na nieczułego dupka.

- Och, B.B., stało się coś strasznego.

Matka ma ciągoty do dramatyzmu. Wykrzywiona twarz, szeroko rozwarte oczy, usta jeszcze szerzej, niczym maska Meduzy. Wyciągnęła ręce, jakby chciała ściągnąć mnie w dół, wbijając mi palce w plecy i zawodząc do prawego ucha - bezbronnego teraz bez słuchawki iPod'a - a niebieskie od tuszu łzy kapały mi na kołnierzyk koszuli.

- Mamusiu, proszę. - Nienawidzę brudu.

Policjantka (do takich spraw zawsze wysyłają kobietę) zajęła się pocieszaniem matki. Jej partner, starszy mężczyzna, popatrzył na mnie ze znużeniem, po czym powiedział spokojnie:

- Panie Winter, zdarzył się wypadek.

- Nigel? - zapytałem.

- Obawiam się, że tak.

Zacząłem odliczać sekundy, odtwarzając w myślach gitarowy wstęp Knopflera z „Brothers In Arms”. Wiedziałem, że policjant bacznie mnie obserwuje, i nie mogłem sobie pozwolić na żaden błąd. Ale muzyka wszystko ułatwia, ograniczając niewłaściwe emocjonalne reakcje i umożliwiając mi funkcjonowanie, jeśli już nie normalne, to przynajmniej tak, jak tego ode mnie oczekiwano.

- Sam nie wiem, skąd mi się to wzięło - rzuciłem w końcu.

- Miałem jakieś takie dziwne przeczucie.

Funkcjonariusz pokiwał głową, zupełnie jakby wiedział, o czym mówię.

Tymczasem matka nadal zawodziła i lamentowała. Przesadzasz, mamusiu, pomyślałem, w końcu nie byliście sobie z Nigelem specjalnie bliscy. Mój brat przypominał tykającą bombę, to się musiało kiedyś stać. A wypadki samochodowe są ostatnimi czasy tak powszechne, tak tragicznie nieuniknione. Oblodzona nawierzchnia, duży ruch na drodze - zbrodnia niemal doskonała, można by powiedzieć, właściwie poza wszelkim podejrzeniem. Zastanawiałem się, czy powinienem się rozplakać, ostatecznie postanowiłem jednak zregrać to jak najprościej. Usiadłem więc tylko - lekko roztrzęsiony - i oparłem głowę na dłoniach. To bolało. Zawsze miałem skłonność do migren, zwłaszcza w stresujących momentach. Udawaj, że to tylko fikcja, błękitnookichłopcze. Po prostu kolejny filmik na twojej stronie.

Znowu szukałem pociechy w mojej wymyślonej liście przebojów, gdzie właśnie rozlegały się dźwięki perkusji odmierającej łagodny kontrapunkt dla leniwego gitarowego riffu, który wydawał się taki łatwy. Oczywiście wcale nie był łatwy. Nic równie precyzyjnego nie przychodzi bez wysiłku. Ale Knopfler ma długie palce o szerokich opuszkach, wręcz stworzone do gry na tym instrumencie, do tego gryfu, tych strun. Gdyby urodził się z innymi rękami, czy w ogóle sięgnąłby po gitarę? A może mimo wszystko by próbował, wiedząc, że jego gra nigdy nie zbliży się do ideału?

- Czy mój syn był sam w aucie?

- Słucham? - zdziwił się starszy funkcjonariusz.

- Czy jechała z nim... dziewczyna? - zapytała mama z tą specjalną pogardą w głosie, którą rezerwowała wyłącznie dla dziewczyny Nigela.

Policjant potrząsnął głową.

- Nie, proszę pani.

Matka wbiła mi palce w ramię.

- Mój syn nigdy nie postępował nierozważnie - wykrztusiła. - Był doskonałym kierowcą.

No cóż, to tylko dowodzi, jak niewiele wiedziała. Nigel prowadził samochód z takim samym umiarem i delikatnością, jakie cechowały jego związki. Już ja coś o tym wiedziałem. Nadal mam ślady. Ale Nigel nie żyje, więc stanowi teraz wzór wszelakich cnót. Niezbyt sprawiedliwe, prawda, po tym, co dla matki zrobiłem.

- Zaparzę ci herbaty, mamusiu. - Wszystko, byle się stąd wydostać. Ruszyłem do kuchni, ale policjant zastąpił mi drogę.

- Obawiam się, że będzie pan musiał pojechać z nami do komisariatu.

Nagle poczułem suchość w ustach.

- Do komisariatu? - powtórzyłem.

- Formalności, proszę pana.

Przez chwilę widziałem już, jak opuszczam dom w kajdanach. Mama we łzach, sąsiedzi zaszokowani i ja, w pomarańczowym kombinezonie aresztanta (to naprawdę nie jest mój kolor), zamknięty w pomieszczeniu bez okien. W fikcyjnym świecie pewnie rzuciłbym się do ucieczki; powalił tego funkcjonariusza, ukradł radiowóz i przekroczył granicę, zanim policja zdąży rozesłać mój rysopis. Ale w życiu...

- Jakie formalności?

- Ktoś musi zidentyfikować zwłoki, proszę pana.

- Och, to o to chodzi.

- Przykro mi, proszę pana.

Oczywiście mama kazała mi to zrobić. Czekala na zewnątrz, podczas gdy ja nadawałem imię temu, co zostało z Nigela. Próbowalem udawać, że to tylko fikcja, scena z filmu, ale i tak zemdlałem. Wróciłem do domu karetką. Mimo wszystko warto było. Sukinsyn nie żył, wreszcie uwolniłem się od niego na zawsze.

Wszystko to fikcja, rozumiecie. Nigdy nikogo nie zamordowałem. Wiem, że na kursach zawsze powtarzają, żeby pisać o tym, co się zna, jakby rzeczywiście można było to opisać, jakby wiedza stanowiła podstawę, podczas gdy tak naprawdę najważniejsze jest pragnienie. Ale życzyć bratu śmierci to jeszcze nie to samo, co popełnić morderstwo. Nie moja wina, że wszechświat wzoruje się na moim blogu. I tym sposobem życie toczy się dalej - dla większości z nas - niemal bez zmian, właściwie tak samo jak dotąd, a błękitnookichłopiec śpi snem sprawiedliwego, jeśli nie do końca niewinnego.

3.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 18:04 w poniedziałek, 28 stycznia

Status: prywatny

Nastrój: do bani

Słucham: „Nothing Ever Happens” Del Amitri

To było zaledwie dwa dni temu. Od tamtej pory zdążyliśmy już wrócić do normalnego życia. Do naszych wygodnych przyzwyczajzeń, codziennych drobnych rytuałów. Dla mamy jest to odkurzanie kolekcji porcelanowych pieszków. Dla mnie oczywiście Internet, mój blog, moje listy przebojów, moje morderstwa.

Internet. Interesujące słowo. Niczym coś wyłowionego z głębin. Sieć na coś od dawna pogrzebanego albo dopiero mającego trafić pod ziemię, składowisko wszystkich tych rzeczy, które w prawdziwym życiu wolelibyśmy zachować w tajemnicy. A jednak lubimy patrzeć, nieprawdaż? „Jakby w zwierciadle, niejasno”*, obserwujemy toczące się wokół życie, świat

* IKor: 13,12, za Biblią Tysiąclecia (Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wyd. IV, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań - Warszawa 1989, s. 1302).

pełen cieni i odbić, dostępny dzięki jednemu kliknięciu myszką. Jakiś męzczyzna popełnia samobójstwo - na żywo, przed kamerą. Odrażające, ale też dziwnie wciągające. Zastanawiamy się, czy to oszustwo. To może być kant, tak samo jak cała reszta. Ale na ekranie komputera wszystko wygląda o wiele bardziej realnie. W rezultacie nawet rzeczy, na które patrzymy każdego dnia - a może zwłaszcza one - widziane za pośrednictwem obiektywu nabierają znaczenia.

Ta dziewczyna na przykład. Dziewczyna w jaskrawoczerwonym płaszczu, która przechodzi co dzień koło mojego domu, niesiona wiatrem, nieświadoma obserwującego ją oka aparatu. Ma swoje przyzwyczajenia, zupełnie tak jak ja. Ona zna potęgę pragnienia. Wie, że siłą napędową tego świata nie jest miłość czy nawet forsa, tylko obsesja.

Obsesja? Ależ oczywiście. Wszyscy jesteśmy owładnięci jakąś obsesją. Na punkcie telewizji, rozmiaru naszego wacka, pieniędzy, sławy albo życia uczuciowego innych. Ten wirtualny, daleki od doskonałego świat to cuchnąca kupa gnoju, wysypisko odpadków, mieszanina przypadków, to handel samochodami i viagra, muzyka, gry, plotki, kłamstwa i drobne ludzkie tragedie, które giną gdzieś po drodze w oczekiwaniu na kogoś, kogo to obejdzie, choć ten jeden raz, kogoś, kto zechce nawiązać kontakt.

I tu właśnie włącza się blog. Dla każdego coś miłego. Wpis prywatne dla własnej przyjemności, publiczne - no cóż, dla całej reszty. Tutaj mogę napisać, co mi się żywnie podoba, wyznać wszystko bez lęku przed potępieniem, być sobą - albo kimś zupełnie innym - w świecie, gdzie nikt tak do końca nie jest tym, kim się wydaje, i gdzie każdy członek każdego plemienia może robić to, czego w głębi duszy pragnie.

Plemienia? Oczywiście, tu każdy ma swoje plemię, z jego odłamami i podgrupami, z jego binarnymi żyłami i kapilarami

rozgałęziającymi się niemal w nieskończoność ciągłych przemian, coraz dalej od głównego nurtu. Bogacz w swoim zamku, nędzarz u jego bram, zboczeniec ze swoją kamerą internetową - nikt nie musi polować w samotności, niezależnie od tego, jak bardzo oddalił się od stada. Tutaj każdy jest u siebie, każdy znajdzie bratnią duszę i odpowiedź na swoje najskrytsze pragnienia.

Większość ludzi podąża utartym szlakiem. Za każdym razem wybierają lody waniliowe. Przeciętniacy to ci dobrzy, powszechni jak coca-cola, o sumieniach równie nieskazitelnych jak ich idealnie białe zęby. Wysocy, z mocną opalenizną i świetną prezencją, jadają w McDonalddie i wynoszą śmieci, mają znaczek „dozwolone od lat ośmiu” i nigdy nie strzelają przeciwnikowi w plecy.

Za to niegrzeczni chłopcy mają milion najróżniejszych smaków. Niegrzeczni chłopcy kłamią, niegrzeczni chłopcy oszukują, niegrzeczni chłopcy sprawiają, że serce zaczyna bić człowiekowi szybciej - a czasem nieoczekiwanie staje. I właśnie dlatego stworzyłem stronę Niegrzecznychłopcy rządzą, początkowo dla ludzi piszących blogi, poświęconą złoczyńcom fikcyjnego świata, która z czasem zamieniła się w forum, gdzie czarne charaktery mogą do woli słać zło, chlubić się swoimi zbrodniami, obnosić się przed światem ze swoją nikczemnością.

Każdy może do nas dołączyć, wkupując się jednym postem - urywkiem powieści, eseju czy choćby krótkiego opowiadania - choć jeśli macie ochotę coś wyznać, trafiliście we właściwe miejsce. Tu nie ma żadnych imion, żadnych zasad, żadnych kolorów - poza jednym.

Nie, nie czernią, jak moglibyście się spodziewać. Czern jest zbyt ograniczająca. Zakłada brak głębi. Za to błękit jest twórczy, pełen melancholii. Błękit to muzyka duszy. I barwa naszego klanu, obejmująca wszelkie odcienie niegodziwości, wszystkie smaki grzesznego pragnienia.

Na razie to naprawdę niewielki klan, składający się z niecałego tuzina stałych bywalców.

Pierwszy jest Kapitanmordercakraoliczkow, Andy Scott z Nowego Jorku. Blog Kapitana to mieszanina głupekowego humoru, pornograficznych fantazji i wściekłych obelg - pod adresem czarnuchów, pedałów, pierdolonych głupoli, grubasów, chrześcijan, a ostatnio też Francuzów - chociaż wątpię, żeby kiedykolwiek kogoś zabił.

Następnie mamy Porcelanowegomotyla, czyli Chryssie Bate-man z Kalifornii. To z kolei prawdziwa maniaczka ciała - stosuje różne diety od dwunastego roku życia i waży ponad sto trzydzieści kilogramów. Ma słabość do niegrzecznych chłopców. Jak dotąd nie nabrała rozumu. I nigdy już nie nabierze.

Potem jest ClairDeLune, dla przyjaciół Clair Mitchell. Miejscowa, wykląda twórcze wyrażanie siebie w tutejszym college'u (co tłumaczy jej odrobinę podniosły ton i skłonność do nadużywania literackiego psychobelkotu), a poza tym prowadzi w sieci grupę pisarską oraz całkiem sporą stronę poświęconą pewnemu charakterystycznemu aktorowi w średnim wieku - nazwijmy go Anielskim Błękitem - w którym się podkochuje. To dosyć nietypowy wybór, bo facet specjalizuje się w rolach ludzi okaleczonych, podejrzanych typów, seryjnych morderców oraz najróżniejszych czarnych charakterów. Niekoniecznie pierwsza liga, ale poznalibyście tę twarz. Clair często zamieszcza tu jego zdjęcia. Co zabawne, gość jest trochę do mnie podobny.

Następnie mamy Stuarta Dawsona z Leeds, pseudo Toksyczny69, przykutego po wypadku do wózka inwalidzkiego motocyklistę, który wieździe swoje gniewne życie w sieci, gdzie nikt nie musi się nad nim litować, oraz Purepwnage9 z Fife, maniaka „Warcraft” i „Second Life” niezdarzącego sobie sprawy, że jego własne życie szybko, acz nieubłaganie

przecieka mu przez palce, a poza tym jest jeszcze cała rzesza podglądaczy i okazjonalnych gości: Jenny Tricks, Bomba-Numer20, JezusmoimPanem i tak dalej, u których nasze wpisy wywołują najrozmaitsze reakcje, od podziwu do wściekłości, od rozbawienia po obelgi.

No i oczywiście jest Albertyna. Z całą pewnością nie przypomina reszty towarzystwa. W jej wpisach pojawia się intymny ton, co moim zdaniem może się okazać bardzo obiecujące, zapowiedź niebezpieczeństwa, mroczny podtekst, styl przypominający mój własny. Na dodatek Albertyna mieszka tutaj, w naszym miasteczku, zaledwie kilka ulic dalej.

Przypadek?

Nie do końca. Oczywiście, że ją obserwowałem. Zwłaszcza od momentu śmierci mojego brata. Bez złych zamiarów, raczej z ciekawością, a może nawet pewną dozą zazdrości. Wydaje się taka opanowana, taka spokojna. Bezpiecznie ukryta w swoim małym światku, zupełnie jakby nie zdawała sobie sprawy, co się wokół niej dzieje. Jej posty są tak osobiste, szczerze i zaskakująco naiwne, że aż trudno uwierzyć, iż napisał je ktoś z nas, czarnych charakterów. Jej palce tańczyły kiedyś na klawiszach fortepianu jak mali derwisze. Pamiętam to doskonale, podobnie jak jej łagodny głos i imię pachnące różami.

Rilkego zabiła róża. Jakież to Sturm und Drang z jego strony. Ranka po draśnięciu kolcem, w którą wdało się zakażenie, trujący dar kryjący w sobie więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Osobiście nie rozumiem tej fascynacji różami. Sam czuję większą więź z plemieniem orchidei, tych wywrotowców świata roślin, trzymających się życia wszędzie, gdzie to tylko możliwe, delikatnych i zdradliwych. Róże są takie pospolite, ze swoimi płatkami w kolorze przyprawiającego o

mdłości rózu rodem z gumy balonowej, ze swoim podstęp-
nym zapachem, obrzydliwymi liśćmi i małymi zdradzieckimi
kolcami, które ranią serce.

„Rózo, tyś chora”*

Z drugiej strony, czyż nie można tego powiedzieć o nas
wszystkich?

* William Blade „Chora róza”, przeł. Stanisław Barańczak, w „Od Chaucera do
Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci”,
wybór, przekład i opracowanie Stanisław Barańczak, Kraków, „Znak”, 1993, s.
261.

4.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec.

Wpis zamieszczony o: 23:30 w poniedziałek, 23 stycznia

Status: prywatny

Nastrój: zamyślony

Słucham: „Creep” Radiohead

Możecie mi mówić B.B. Wszyscy tak mnie nazywają. Nikt poza policjantami i bankowcami nie używa mojego prawdziwego imienia. Mam czterdzieści dwa lata, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, włosy mysiego koloru i niebieskie oczy. I całe swoje życie mieszkałem tutaj, w Malbry.

Malbry - wymawiane „Maw-bry”. Nawet samo to słowo cuchnie gównem. No, ale ja jestem wyjątkowo wyczulony na słowa, ich brzmienie i rytm. Dlatego właśnie nie mam już akcentu i dawno pozbyłem się jąkania z czasów dzieciństwa. Dominującą tendencją w Malbry są przeciągane samogłoski i niezgrabne głoski krtaniowe, co nadaje wyrazom brudnawy połysk. Słysząc je na osiedlu praktycznie bez przerwy; nastoletnie dziewczyny z ulizanymi włosami ciągle wołają „cze-eeść” w odcieniach syntetycznej truskawki. Chłopcy są mniej elokwentni, kiedy mamrocą na mój widok „czubek” czy

„frajer” głosami na przemian piskliwymi i tubalnymi, które cuchną piwem i potem szkolnej szatni. Zwykle jednak tego nie słyszę. Moje życie toczy się do wtóru niekończącej się ścieżki dźwiękowej, zapewnianej przez wiernego iPod'a, do którego wgrałem ponad dwadzieścia tysięcy kawałków i czterdzieści dwie listy przebojów, po jednej na każdy rok mojego życia, wszystkie z określonym tematem przewodnim.

„Czubek”. Powtarzają to słowo, bo myślą, że taka etykieta sprawia ból. W ich świecie bycie czubkiem to ewidentnie los najgorszy z możliwych. Ja uważam dokładnie odwrotnie. Najgorsze to być podobnym do nich: ożenić się w zbyt młodym wieku, iść na zasilek, pić piwo i palić najtańsze papierosy, płodzić dzieci, które pójdą w ich ślady, bo tacy ludzie są dobrzy jedynie w rozmnażaniu się - nie żyją długo, ale, na Boga, mnożą się jak króliki - więc jeśli fakt, że nie chcę tego wszystkiego, czyni mnie w ich oczach czubkiem...

Tak naprawdę jestem bardzo przeciętny. Oczywiście stanowią mój największy atut, tak słyszałem, chociaż nie każdemu odpowiada ich chłodny odcień. Jeśli chodzi o resztę, nigdy nie zwrócilibyście na mnie uwagi. Niepozorny ze mnie facet. Nie mówię wiele, odzywam się tylko wtedy, gdy to naprawdę konieczne. To najlepszy sposób na przetrwanie w naszym miasteczku i na ochronę swojej prywatności. Malbry stanowi jedno z tych miejsc, gdzie aż się roi od tajemnic, plotek i domysłów, muszę więc zachować szczególną ostrożność, żeby niepotrzebnie się nie odsłonić.

Oczywiście wcale nie jest tu aż tak okropnie. Najstarsza część miasteczka wygląda nawet całkiem sympatycznie ze swoimi pochylonymi domami z piaskowca, kościołem i rzędem sklepików. Problemy są tutaj rzadkością, no, może poza sobotnimi wieczorami, kiedy dorośli idą do pubu, a dzieciaki przesiadują pod kościołem przy tej samej ulicy, wtykając w

żywoplot opakowania po frytkach kupionych w chińskiej knajpce z daniami na wynos.

Na zachód stąd znajduje się to, co mama nazywa zaułkiem milionerów, aleja wielkich kamiennych domów osłoniętych od strony ulicy przez drzewa - wysokie kominy, samochody z napędem na cztery koła i otwierany pilotem wjazd na posesję - a dalej liceum pod wezwaniem świętego Oswalda, otoczone trzyipółmetrowym murem z bramą ozdobioną herbem. Na wschodzie ciągną się ceglane domy szeregowo Czerwonego Miasta, gdzie urodziła się moja matka, po przeciwnej stronie widać Białe Miasto, z żywoplotami z ligustru i mozaikowymi tynkami. Nie jest ono tak eleganckie jak Stare Miasto, ale nauczyłem się unikać niebezpiecznych rejonów. Tutaj właśnie, na skraju dużego osiedla, stoi nasz dom. Skrawek trawnika, klomb, żywoplot odgradzający nas od sąsiadów. To miejsce, w którym przyszedłem na świat, a od tamtej pory niewiele się tu zmieniło.

Zyskałem tu jednak pewne dodatkowe przywileje. Jeżdżę niebieskim peugeotem 307, zarejestrowanym na moją matkę. Mam gabinet pełen książek, stację dokującą do iPod'a, komputer i regał z płytami CD aż po sam sufit. Mam także swoją kolekcję orchidei, w większości zwykłych hybryd, chociaż trafiły mi się też jedna czy dwie rzadkie odmiany *Zygotatum*, których nazwy niosą ze sobą zapach południowo-amerykańskich lasów deszczowych, skąd pochodzą te kwiaty o bajecznych kolorach, krzykliwych odcieniach bujnej zieleni i cierpkiego błękitu nakrapianych motyli skrzydeł, jakich nie zdoła oddać żadna malarska paleta. Mam swoją ciemnię w piwnicy, gdzie wywołuję zdjęcia. Oczywiście nikomu ich nie pokazuję. Ale lubię myśleć, że mam do tego dryg.

W ciągu tygodnia o piątej rano podbijam kartę w miejscowym szpitalu - albo tak przynajmniej robiłem do niedawna - ubrany w garnitur i białą koszulę w błękitne prążki,

z aktówką w ręku. Matka jest z tego powodu naprawdę dumna, dumna z faktu, że jej syn chodzi do pracy w garniturze. Co dokładnie robię w tej pracy, nie ma już znaczenia. Jestem wolny, heteroseksualny, elokwentny, więc gdyby był to serial z gatunku tych lubianych przez ClairDeLune, mój przykładowy tryb życia i nieposzlakowana opinia uczyniłyby ze mnie głównego podejrzanego.

W prawdziwym świecie zauważają mnie wyłącznie dzieciaki. Dla nich facet nadal mieszkający ze swoją matką to albo pedofil, albo pedał. Ale nawet to założenie jest efektem raczej przyzwyczajenia niż rzeczywistych przekonań. Gdyby naprawdę uważały mnie za niebezpiecznego, zachowywałyby się zupełnie inaczej. Nawet kiedy został zamordowany ten chłopak od świętego Oswalda, praktycznie parę kroków od domu, nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby mnie podejrzewać.

Oczywiście byłem ciekawy. Morderstwo zawsze intryguje. Poza tym właśnie zaczynałem uczyć się swojej profesji, nie mogłem więc zlekceważyć żadnej informacji, żadnej wskazówki. Zawsze umiałem docenić miłe, schludne morderstwo. Nie żeby często się takie trafiały. Większość morderców jest aż do bólu przewidywalna, większość morderstw okazuje się niechlujna i banalna. Nie sądzicie, że to niemal zbrodnia, kiedy ów wspaniały akt odebrania komuś życia staje się tak pospolity, tak całkowicie pozbawiony artyzmu?

W świecie fikcji nie ma czegoś takiego jak zbrodnia doskonała. W filmach czarny charakter - niezmiennie genialny i charyzmatyczny - zawsze popełnia tragiczny w skutkach błąd. Zapomina o szczegółach. Jest pełen pychy, traci głowę, pada ofiarą jakiegoś ironicznego niedopatrzenia. Niezależnie od tego, jak ciemna bywa polewa, w filmach zawsze prześwieca spod niej waniliowy środek, ze szczęśliwym zakończeniem dla wszystkich, którzy na to zasłużyli, i więzieniem,

strzałem prosto w serce albo jeszcze lepiej, bardzo pożądanym ze względów dramatycznych, chociaż statystycznie nieprawdopodobnym skokiem czarnego charakteru z wieżowca, co zmniejsza obciążenie państwa i uwalnia pozytywnego bohatera od poczucia winy, że musiał zastrzelić sukinsyna osobiście.

No cóż, tak się składa, że wiem, jak niewiele w tym prawdy, tak samo jak wiem, że większość morderców to nie charyzmatyczni geniusze, tylko osobnicy opóźnieni w rozwoju i raczej nudni, a policjanci są tak zawałeni robotą papierkową, że nawet najoczywistsze sprawy mogą się prześliznąć przez oczka sieci - pchnięcia nożem, strzelaniny, bójki, które przybrały zły obrót, wszystkie te sprawy, gdzie jeśli nawet sprawca opuścił miejsce zbrodni, to zwykle siedzi w najbliższym pubie.

Możecie mnie nazwać romantykiem, jeśli chcecie, ale wierzę w zbrodnię doskonałą. Podobnie jak prawdziwa miłość, jest to jedynie kwestia wyczekania stosownej chwili i cierpliwości, zachowania nadziei, trzymania się zasady carpe diem, chwytania dnia.

Tym właśnie sposobem moje zainteresowania doprowadziły mnie aż tutaj, do mojej samotni na Niegrzecznychłopcyrządzą. Nieszkodliwe zainteresowania, przynajmniej na początku, chociaż szybko zacząłem doceniać również inne możliwości. Na początku chodziło jedynie o ciekawość, sposób na to, bym mógł obserwować innych, samemu nie będąc widzianym, by poznać świat rozciągający się poza ciasnym trójkątem wyznaczonym przez Malbry, Stare Miasto i wrzosowiska Nether Edge, dokąd nigdy nie odważyłem się zapuścić. Internet z jego milionami map był dla mnie równie obcy jak na przykład Jowisz - a jednak pewnego dnia po prostu się tam znalazłem, niemal przez przypadek, rozbitek obserwujący zmieniające się dekoracje z wolno budzącą się świadomością, że tutaj właśnie jest moje miejsce, że tu znajdę ucieczkę od

Malbry, mojego życia i matki.

Matka. Ależ to brzmi. Trudne słowo, pełne tak skomplikowanych skojarzeń, że ledwie je samo w ogóle dostrzegam. Czasem ma odcień maryjnego błękitu, niczym na posągach Matki Boskiej, czasem barwę szarych kotów kurzu pod łóżkiem, gdzie chowałem się jako dziecko, albo zielonego sukna straganów na targowisku. A pachnie poczuciem niepewności i straty, zgnilizną poczerniałych bananów, które zdążyły się już zamienić w papkę, solą, krwią, wspomnieniami.

Moja matka. Gloria Winter. To ona stanowi powód, dla którego nadal tu jestem, uwięziony w Malbry od tylu lat, niczym roślina, która nie może rozkwitnąć w zbyt małej doniczce. Zostałem z mamusią. Tak jak wszystko wokół. Poza sąsiadami nic się tu nie zmienia. Dom z trzema sypialniami, wełnianym dywanem, przyprawiającą o mdłości tapetą w kwiatowy wzór, lustrem w połączanej ramie, zakrywającym ubytek tynku, wyblakłą reprodukcją „Chinki”, ceramicznym wazonem na kominku, piaskami.

Te pieski. Ohydne porcelanowe pieski.

Początkowo chodziło wyłącznie o to, żeby się pokazać, ale z czasem kolekcjonerski zapal mamy wymknął się spod kontroli. Teraz właściwie każdą wolną powierzchnię zajmowały figurki psów: spaniele, owczarki niemieckie, chihuahua, basety, yorki (jej ulubieńcy). Znajdowały się wśród nich pozytywki w kształcie psów i obrazki, a także psy przebrane za ludzi, dyszące z wywieszonymi jęzorami, siedzące posłusznie albo z uniesionymi prosząco łapami i różowymi kokardkami na łebkach.

Jako mały chłopiec stłukłem kiedyś jedną z tych figurek, a mamusia złościła mi za to skórę kablem, chociaż uparcie odmawiałem przyznania się do winy. Do dzisiaj nienawidzę tych piesków. Matka też o tym wie - ale to są jej dzieci, jak

tłumaczy mi z okropną pensjonarską wstydlivością, a poza tym ona nie narzeka przecież na wszystkie te moje paskudztwa na górze.

Chociaż tak naprawdę nie ma pojęcia, co tam robię. Dzięki zamkom w drzwiach mogę się cieszyć całkowitą swobodą w tych kilku pomieszczeniach, do których matka nie ma wstępu. Zaadaptowałem na swoje potrzeby strych i gabinet, łazienkę i ciemną sypialnię. Stworzyłem tu sobie swój mały azyl, z książkami, listami przebojów, przyjaciółmi z sieci, podczas gdy matka spędza całe dnie w salonie, paląc papierosy, rozwiązując krzyżówki, ścierając kurze i oglądając telewizję.

Salon. Zawsze nienawidziłem tego słowa, z jego brzmieniem fałszywej klasy średniej i smrodem cytrusowego potpourri. Teraz nienawidzę go jeszcze bardziej, tego pokoju pełnego wyblakłych perkali matki, porcelanowych pieków i zapachu rozpaczy. Oczywiście, nie mogłem jej zostawić. Wiedziała o tym od samego początku, wiedziała, że jej decyzja o pozostaniu tutaj zatrzyma i mnie, przywiązane do niej niczym więzień, niewolnik. Ale jestem posłusznym synem. Dbam o porządek w ogródku. Pamiętam o jej lekarstwach. Wożę ją na lekcje salsy (matka ma prawo jazdy, ale woli być wożona). A czasem, kiedy jej nie ma, marzę...

Matka stanowi niezwykłą mieszankę konfliktów i sprzeczności. Marlboro zrujnowały jej wdech, a jednak nadal używa perfum l'Heure Bleue Guerlaina. Nienawidzi powieści, za to chętnie oddaje się lekturze słowników i encyklopedii. Kupuje gotowe dania u Marksa i Spencera, ale po owoce i warzywa chodzi na miejscowy targ - zawsze wybiera najtańsze, te pobijane, przywiedle, przejrzałe.

Natomiast dwa razy w tygodniu, bez wyjątków (nawet tuż po śmierci Nigela), wkłada odświętną sukienkę i buty na wysokim obcasie, po czym rusza ze mną w roli kierowcy na

lekcje salsy w miejscowym college'u, po których spotyka się w mieście ze swoimi przyjaciółkami, żeby przy filiżance wymyślonej herbaty lub butelce sauvignon blanc opowiadać im tym swoim mało dystygowanym tonem o mnie i mojej pracy w szpitalu, gdzie jej zdaniem jestem praktycznie niezastąpiony i każdego dnia ratuję ludzkie życie. Potem odbieram ją o ósmej, chociaż do przystanku autobusowego ma pięć minut spacerkiem. „Te łobuzy z blokowisk - powtarza. - Taki wbije ci nóż pod żebra, ledwie na ciebie spojrzy”.

Może i słusznie robi, że jest taka ostrożna. Członkowie naszej rodziny najwyraźniej mają skłonność do ulegania nieszczęśliwym wypadkom. Mimo wszystko szkoda mi łobuza, który próbowałby zdrzeć z moją matką. Już ona potrafi o siebie zadbać. Nawet teraz, w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat, jest wystarczająco ostra, żeby utoczyć napastnikowi krwi. Co więcej, doskonale wie, jak odegrać się na kimś, kto próbowałby nam zagrozić. Może obecnie stosuje nieco subtelniejsze metody niż lanie kablem, ale to nadal niezbyt rozsądne robić sobie wroga z Glorii Winter. Nauczyłem się tego bardzo wcześnie. W tej kwestii, jak w żadnej innej, byłem naprawdę pilnym uczniem. Może nie tak sprytnym jak Emily White, mała jasnowłosa dziewczynka, której historia nadała ton znacznej części mojego życia, ale na tyle przebiegłym, żeby przetrwać tam, gdzie żadnemu z moich braci się to nie udało.

Z drugiej strony czyż to wszystko nie należy już do przeszłości? Emily White od dawna nie żyje; jej żałosny głos umilkł, listy strawił ogień, zamazane fotografie zrobione za pomocą flesza niszczyją gdzieś w sekretnych szufladach albo pośród książek we Dworze. A nawet gdyby jakimś cudem przeżyła, prasa zdążyła już o niej zapomnieć. Jest tyle innych rzeczy, na które można narzekać, tyle nowych skandali do opisania. Zniknięcie jednej małej dziewczynki ponad

dwadzieścia lat temu nie stanowi już dłużej tematu powszechnego zainteresowania i troski. Ludzie zajęli się innymi sprawami, zapomnieli o Emily. Pora, żebym ja zrobił to samo.

Problem w tym, że nigdy nic się nie kończy. Jeśli mama czegokolwiek mnie nauczyła, to właśnie tego, że nic tak naprawdę nigdy nie zostaje zamknięte. Wszystko znajduje przemyślnie drogę do środka, niczym nic w kłębku. Dookoła i dookoła, przecinając się i krzyżując, aż wreszcie niemal zniknie w płątaniu lat. Ale pozostawanie w ukryciu nie wystarczy. Ktoś zawsze cię znajdzie. Ktoś zawsze czeka. Wystarczy na chwilę stracić czujność, a wtedy trach!, wszystko z hukiem rozpada ci się w rękach.

Weźmy na przykład tę dziewczynę w czerwonym zimowym płaszczu. Tę, która wygląda zupełnie jak Czerwony Kapturek, z rumianymi policzkami i cnotliwą miną. Uwierzylibyście, że ta dziewczyna wcale nie jest tym, kim się wydaje? Że pod tym płaszczykiem niewinności bije serce drapieżnika? Czy patrząc na nią, pomyślelibyście, że to ktoś zdolny odebrać bliźniemu życie?

Nie pomyślelibyście, prawda? No cóż, lepiej zastanówcie się jeszcze raz.

Ale mnie nie przydarzy się nic złego. Zbyt starannie wszystko obmyśliłem. A kiedy to wszystko wybuchnie - bo musi wybuchnąć - błękitnookichłopiec będzie się już znajdował daleko, zajęty wsłuchiowaniem się w szum fal rozbijających się o brzeg gdzieś na plaży pod palmą i przypatrywaniem się mewom szybującym nad głową.

Mimo wszystko to nadal kwestia przyszłości, prawda? Teraz mam inne sprawy na głowie. Chyba pora na kolejną porcję beletrystyki. Wolę siebie jako postać fikcyjną. Clair twierdzi, że narracja w trzeciej osobie pozwala na większy dystans, daje mi siłę, by mówić to, co się zechce. Poza tym miło mieć słuchaczy. Uznanie cieszy nawet mordercę. Może dlatego

piszę wszystkie te rzeczy. Z całą pewnością nie chodzi o potrzebę wyznania swoich win. Choć muszę przyznać, że serce zamiera mi w piersi za każdym razem, kiedy ktoś doda nowy komentarz, nawet ktoś taki jak Chryssie czy Kapitan, którzy nie zauważyliby geniusza, nawet gdyby ten ugryzł ich w tyłek.

Czasami mam wrażenie, że jestem jak ten król kotów, kierujący armią myszy - na wpół drapieżny, na wpół uzależniony od ich pełnych uwielbienia głosów. Widzicie, wszystko sprowadza się do uznania, a kiedy loguję się rano na swojej stronie i widzę całą listę czekających na mnie wiadomości, czuję się absurdalnie podniesiony na duchu.

Przegrani, ofiary, pasożyty - a jednak nie umiem się powstrzymać przed ich kolekcjonowaniem, tak jak kolekcjonuję moje orchidee, tak jak kiedyś na plaży zbierałem tamte umykające szybko żyjątka do niebieskiego wiaderka, tak jak sam zostałem schwytany.

Tak, najwyższa pora na kolejne morderstwo. Ogólnodostępny post na moim blogu, żeby zrównoważyć wszystkie te osobiste wynurzenia. Albo jeszcze lepiej, na mordercę. Bo chociaż mówię „on” -

i wy, i ja wiemy, że chodzi tu o mnie.

5.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 03:56 we wtorek, 29 stycznia

Status: publiczny

Nastrój: kiepski

Aktualnie słucham: „The Beast In Me” Nicka Lowe'a

Większość nieszczęśliwych wypadków zdarza się w domu. On wie o tym aż nazbyt dobrze, znaczną część dzieciństwa spędził na unikaniu wszystkich tych rzeczy, które mogą zrobić mu krzywdę. Placu zabaw z jego huśtawkami, karuzelami i ostro zakończonym płotkiem dookoła. Pełnej wodorostów sadzawki o bagnistych brzegach, na których mały chłopiec tak łatwo może się pośliznąć i znaleźć śmierć w odmętach. Rowerów, z których może spaść na asfalt, pokaleczyć sobie kolana i dłonie - albo jeszcze gorzej, prosto pod koła autobusu, który obedrze go ze skóry jak pomarańczę i zostawi w kawałkach na jezdni. Innych dzieci, nierozumiejących, jak bardzo jest wyjątkowy, jak wrażliwy - wstrętnych chłopców, którzy mogą mu rozbić nos, podłych dziewczynek, które mogą złamać mu serce.

Wypadki zdarzają się tak często.

Dlatego właśnie jeśli do tej pory powinien już coś wiedzieć, to właśnie to, jak spowodować nieszczęśliwy wypadek. Może katastrofę samochodową albo upadek ze schodów, a może zwyczajny, nieskomplikowany pożar w wyniku elektrycznego zwarcia. Ale jak sprawić, aby wypadek - śmiertelny oczywiście - przydarzył się komuś, kto nie jeździ samochodem, nie uprawia niebezpiecznych sportów i uważa, że szalona noc w mieście równa się wypadowi na ploteczki i kieliszek wina z przyjaciółkami (zawsze robią wypadki, nigdy nie idą po prostu do kawiarni)?

Problem nie w tym, żeby wzdragał się przed samym czynem. Zwyczajnie obawia się konsekwencji. Wie, że zostanie wezwany do komisariatu policji, że uznają go za podejrzanego numer jeden, niezależnie od tego, jak przypadkowo będzie wyglądać całe zdarzenie, i że będzie musiał odpowiedzieć na pytania policjantów, przekonać ich o swojej niewinności, bo przecież to nie jego wina.

Dlatego właśnie musi starannie wybrać moment. Nie ma żadnego marginesu błędu. A morderstwo jest jak seks. Niektórzy umieją się nie spieszyć, delektując się grą uwodzenia, odrzucenia, pojednania, radością oczekiwania, podnieceniem łowów. Tyle że większość ludzi chce po prostu mieć to za sobą, pozbyć się pragnienia jak najszybciej, oderwać od okropieństw podobnej bliskości, wreszcie się od tego uwolnić.

Wielcy kochankowie wiedzą, że nie w tym rzecz.

Genialni mordercy również.

Nie żeby sam był wielkim mordercą. Raczej ambitnym amatorem. Bez ustalonego modus operandi czuje się niczym nieznanym artystą, który musi jeszcze odnaleźć swój własny styl. To jedna z najtrudniejszych rzeczy - i dla artysty, i dla mordercy. Morderstwo, tak jak wszelkie akty samoafirmacji,

wymaga ogromnej pewności siebie. A on nadal czuje się jak nowicjusz, nieśmiały, niepewny, niespokojny o swój talent i pełen wahania, czy powinien dać się poznać światu. Mimo wszystko jest słaby, boi się - nie samego czynu, ale reakcji ludzi, którzy nieuchronnie będą oceniać i potępiać, dlatego że nic nie rozumieją.

No i oczywiście jej nienawidzi. Inaczej nie planowałby tego wszystkiego; żaden z niego Raskolnikow, żeby działać przypadkowo, bez namysłu. Nienawidzi jej z pasją, której nie wzbudziła w nim dotąd żadna inna rzecz, z namiętnością, rozchodzącą się po jego ciele niczym krew, aby porwać go ze sobą gorzką błękitną falą.

Zastanawia się, jak to będzie, kiedy wreszcie się od niej wyzwoli, raz na zawsze stanie się wolny od jej przytłaczającej obecności. Wolny od jej głosu, twarzy, przyzwyczajzeń. Nadal jednak czuje lęk, a że nie ma wprawy, planuje sam akt starannie, wybierając obiekt (nie zamierza używać określenia „ofiara”) zgodnie z regułami, przygotowuje wszystko z dbałością o szczegóły i precyzją, z jaką podchodzi do najdrobniejszej sprawy.

„To był tylko wypadek”.

Wyjątkowo niefortunny wypadek.

Rozumie, że zanim przekroczy się granice, najpierw trzeba się nauczyć przestrzegania zasad. Że aby porwać się na podobny czyn, musi ćwiczyć, doskonalić swoją sztukę na jakimś pośledniejszym tworzywie, tak jak rzeźbiarz pracuje w glinie - odrzucając to, co odbiega od ideału, ponawiając próby, dopóki nie osiągnie pożądanego rezultatu - zanim stworzy arcydzieło. Byłoby naiwnością oczekiwać spektakularnych efektów po pierwszej próbie. Podobnie jak w seksie pierwszy raz często okazuje się mało elegancki, niezdarny i zawstydzający. Jest na to przygotowany. Zależy mu tylko na tym, żeby nie dać się złapać. To musi być nieszczęśliwy wypadek - a

jego związki z obiektem, choć w rzeczywistości istniejące, muszą się wydawać na tyle luźne, aby zmylić tych, którzy po niego przyjdą.

Widzicie, myśli jak morderca. Czuje w sercu piękno zbrodni. Nigdy nie skrzywdziłby kogoś, kto nie zasłużył na śmierć. Może jest złym człowiekiem, ale nikt nie zarzuci mu niesprawiedliwości. Ani zwyrodnialstwa. Nie będzie jakimś pospolitym zbrodniarzem, okładającym przechodniów pałką w ciemnym zaułku, nie stanie się bezmyślnym, niechlujnym, targanym wyrzutami sumienia zabójcą. Tylu ludzi ginie na próżno, ale przynajmniej w jej przypadku śmierć będzie miała sens, będzie uporządkowana i, tak, na swój sposób sprawiedliwa. Jeden pasożyt mniej, a świat od razu stanie się lepszy.

Ostry krzyk z parteru wdziera się w jego marzenia. Ogarnia go irytujące poczucie winy. Matka rzadko zagląda do jego pokoju. Poza tym dlaczego miałyby wdrapywać się po schodach, skoro wie, że jedno jej słowo sprowadzi go na dół?

- Kto tam jest? - woła teraz.
- Nikt, mamusiu.
- Słyszałam jakiś hałas.
- Siedzę w Internecie.
- Rozmawiasz ze swoimi wymyślonymi przyjaciółmi?

Wymyśleni przyjaciele. Dobrze, mammo.

Mama. To pierwsze słowo, jakie wypowiada małe dziecko, wspomnienie choroby, leżenia w łóżku; wąty, mleczny, bezradny dźwięk, który budzi w nim ochotę na krzyk.

- W takim razie zejdź na dół. Pora na twój napój.
- Chwileczkę, już idę.

Matka. Matkobójstwo. Takie bliskie sobie wyrazy. Matrona. Matriarchat. Martwy pasożyt Morderstwo, metoda pozbywania się pasożytów. Wszystkie słowa zabarwione błękitem, tak podobnym do błękitu kocyka, którym otulała go

w łóżecku każdej nocy, kiedy był małym dzieckiem, słowa pachnące eterem i ciepłym mlekiem:

„Dobranoc, pchły na noc”.

Przecież każdy chłopiec kocha swoją mamusię. A jego matka kocha go tak mocno. „Tak mocno, że mogłabym cię zjeść, B.B.”. I może nawet dotrzymała słowa. W każdym razie on tak się właśnie czuje, jakby pochłonęło go coś niespiesznego, ale bezlitosnego, coś nieuchronnego, co wciąga człowieka w głąb trzewi bestii.

„Pochłonąć”. Kolejne niebieskie słowo. Przywodzące na myśl łapczywe mewy zagarniające skrzydłami błękitne przestworza. Słowo, które pachnie morzem i ma posmak łez, słowo budzące wspomnienie tamtych nieszczęsnych stworków uwieczonych na dnie niebieskiego wiaderka, umierających powoli w promieniach słońca.

A matka jest z niego taka dumna, sama ciągle mu to powtarza. Dumna z jego pracy, jego inteligencji, jego daru. Czy wiecie, że angielskie *gift* to po niemiecku „trucizna”? Strzeżcie się Niemców przynoszących dary. Strzeżcie się mew mknących na południe. Na południe, w stronę krainy jego marzeń: ku błękitnym Azorom, ku wyspom Galapagos, Tahiti i Hawajom.

Hawaje. Dalekieeee! Najdalej na południe położony kraniec jego mapy mentalnej, pachnący nieznanymi przyprawami. Chociaż oczywiście nigdy tam nie był. Ale lubi usypiający rytm tego słowa, nazwy, która przypomina chichot. Białe piasek, palmy i pogodne, błękitne niebo z puszystymi obłoczkami. Zapach plumerii. Śliczne dziewczęta w kolorowych sarongach, z kwiatami w długich włosach.

Ale tak naprawdę on wie, że nigdy nie poleci na południe. Jego matka, mimo wielkich aspiracji, nigdy nie przepadała za podróżami. Lubi swój mały świat, swoje fantazje, życie, które wykula dla nich krok po kroku w skale przedmieść. Nigdy

stąd nie wyjedzie, będzie się go trzymała, ostatniego ze swoich synów, jak kleszcz, jak pasożyt.

- Hej! - woła znowu z dołu. - Idziesz czy nie? Mówiłeś, że zaraz zejdziesz.

- Tak, mamusiu, już idę.

Oczywiście, że zejść na dół. Zawsze to robię. Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

I ten skok w otchłań rozpaczy, kiedy schodzi do salonu pachnącego tanim odświeżaczem powietrza - pewnie grejpfrutowym albo mandarynkowym - przypomina zstępowanie do trzewi jakiegoś ogromnego, cuchnącego, umierającego zwierzęcia: dinozaura albo wyrzuconego na brzeg płetwala błękitnego, a odór syntetycznych cytrusów przyprawia o mdłości.

- Chodź, przygotowałam ci napój.

Matka siedzi w ich niewielkiej kuchni z rękami skrzyżowanymi na piersi i stopami wciśniętymi w buty na wysokich obcasach. Przez chwilę jest zaskoczony, nie po raz pierwszy zresztą, jak wątła się wydaje. Zawsze wyobrażał ją sobie potężniejszą, a tymczasem jest od niego o tyle drobniejsza, poza dłońmi, które w porównaniu z resztą jej szczupłego ciała okazują się zdumiewająco duże, o knykciach zniekształconych nie tylko przez artretyzm, ale też przez biżuterię, którą zgromadziła w ciągu tych wszystkich lat - sygnet ze złotym suwerenem, pierścionek z diamencikami, turmalin o krwistej barwie campari, kawałek wypolerowanego malachitu i płaski niebieski szafir w złotej oprawie.

Jej głos jest jednocześnie słaby i dziwnie przenikliwy.

- Wyglądasz okropnie, B.B. - mówi. - Przypadkiem nie bierze cię jakieś choróbko?

Wymawia te słowa podejrzliwie, jakby to on sam sprowadzał na siebie problemy.

- Źle spałem - próbuje jej tłumaczyć.

- Musisz wypić swój napój witaminowy.
- Nic mi nie jest, mamusiu.
- To ci dobrze zrobi. No dalej, pij - nakazuje. - Wiesz, co się dzieje, kiedy tego nie zrobisz.

Posłusznie przełyka więc napój, jak zawsze, tę mętną miksturę o smaku zgnilizny, niczym owoce i gówno zmieszane w równych częściach. A matka patrzy na niego z tym samym potwornym wyrazem czułości w ciemnych oczach, po czym delikatnie całuje go w policzek. Zapach jej perfum - l'Heure Bleue - otula go niczym koc.

- Może wrócisz jeszcze do łóżka i zdrzemniesz się odrobinię przed wieczorem? Tak strasznie wykorzystują cię w tym szpitalu, to prawdziwa zbrodnia, że uchodzi im to na sucho.

Teraz już naprawdę jest mu niedobrze. Może rzeczywiście powinien się położyć, wrócić do łóżka i naciągnąć koc na głowę, bo nie ma nic gorszego niż to wrażenie, że tonie w morzu czułości.

- A widzisz? - mówi matka. - Mama zawsze wie lepiej.

Mama. Ma Ma-stif. Ma-stodont. Słowa wirują w jego głowie jak piranie, które wyczuły krew. To boli, a później ból stanie się jeszcze intensywniejszy. Już teraz krawędzie rzeczy oplatają girlandy tęcz, które w przeciągu najbliższych minut rozrosną się i rozkwitną, przesywając mu szpikulcem czaszkę tuż za lewym okiem.

- Na pewno nic ci nie jest? - dopytuje się matka. - Może przy tobie posiedzę?

- Nie. - Już sam ból jest wystarczająco straszny, a jej obecność byłaby o wiele gorsza. Z trudem zmusza się do uśmiechu. - Po prostu potrzebuję snu. Za godzinę czy dwie będę jak nowo narodzony.

Potem odwraca się i wchodzi na piętro, przytrzymując się poręczy, ohydny posmak witaminowego napoju zostaje stłumiony przez nagły napad bólu. Omal nie upada, ale udaje mu

się zachować równowagę. Wie, że jeśli się przewróci, matka na pewno przyjdzie i zostanie przy jego łóżku przez wiele godzin, może nawet dni, dopóki ten straszliwy ból głowy nie ustąpi.

Pada na niepościelone łóżko. Nie ma ucieczki. Oto wyrok. Winny zarzucanych mu czynów. A teraz musi zażyć lekarstwo, tak jak to robił każdego dnia przez całe swoje życie, lekarstwo, które oczyści go ze złych myśli, lek na to, co kryje się w jego wnętrzu.

Dobranoc, pchły na noc.

Słodkich snów, błękitnookichłopcze.

Dodaj komentarz

porcelanowymotył: rany to było niesamowite

Jenny Tricks: (post usunięty)

ClairDeLune: Błękitnookichłopiec, to naprawdę intrygujące. Czy określiłbyś ten tekst jako odzwierciedlenie twojego faktycznego dialogu wewnętrznego, czy może raczej jest to portret postaci, którą zamierzasz rozwinąć później? Jeśli chodzi o mnie, chętnie przeczytałabym coś więcej!

JennyTricks: (post usunięty)

6.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 22:40 we wtorek, 29 stycznia

Status: prywatny

Nastrój: zjadliwy

Słucham: „When You're Evil” Voltaire'a

Zbrodnia doskonała ma cztery odrębne etapy. Faza pierwsza: identyfikacja obiektu. Faza druga: obserwacja codziennego rozkładu zajęć obiektu. Faza trzecia: infiltracja. Faza czwarta: akcja.

Oczywiście na razie nie ma pośpiechu. Ledwie rozpocząłem etap drugi. Ona codziennie mija ten dom, z kołnierzem czerwonego płaszcza podniesionym dla ochrony przed wiatrem.

Oczywiście czerwień to nie jest jej kolor - ale się nie spodziewam, żeby to wiedziała. Nie ma pojęcia, jak bardzo lubię ją obserwować, analizować szczegóły jej stroju, patrzeć na włosy rozwiewane przez wiatr, podziwiać precyzję, z jaką się porusza, te wszystkie niemal niedostrzegalne gesty, którymi znaczy swoją drogę - dłoń wsparta o ścianę, muśnięcie palcami żywoplotu z cisów, chwila zastanowienia, aby odwrócić

twarz na spotkanie odgłosów dziecięcej zabawy dobiegających ze szkolnego dziedzińca. Zima odarła już drzewa z liści, które w suche dni szeleszczą pod nogami, nadal lekko pachnąc sztucznymi ogniami. Wiem, że ona też tak myśli, wiem, że lubi spacerować parkowymi alejkami po otoczonych murem ogrodach i wsłuchiwać się w głosy nagich drzew, uciszających się nawzajem na wietrze. Wiem, jak unosi twarz ku niebu, aby otwartymi ustami chwytać krople deszczu. Wiem, jak wygląda w chwilach, gdy nie musi się pilnować, jak krzywi wargi, kiedy jest zdenerwowana, jak pochyła głowę, nasłuchując, i jak kieruje twarz w stronę źródła zapachu.

Szczególną uwagę zwraca na zapachy: ociąga się koło piekarni, żeby w końcu przystanąć pod drzwiami i z zamkniętymi oczami napawać się aromatem ciepłego chleba. Szkoda, że nie mogę porozmawiać z nią wprost, ale szpiedzy mamy czają się wszędzie, obserwują, kontrolują, informują...

Jednym z nich jest Eleanor Vine, która wpadła dziś do nas wczesnym wieczorem. Oficjalnie w celu sprawdzenia, co słychać u mamy, ale tak naprawdę po to, żeby ją wypytać o mnie, poszukać śladów smutku lub poczucia winy z powodu śmierci brata, wybadać, co się dzieje, i zebrać najświeższe ploteczki.

Każde miasteczko ma kogoś takiego. Miejscową dobrą duszę. Plotkarkę, do której wszyscy się zwracają w poszukiwaniu informacji. W Malbry kimś takim jest Eleanor Vine, zjadliwa pochlebczyni, która wchodzi w skład toksycznego triumwiratu stanowiącego obecnie świat mojej matki. Chyba powinienem czuć się wyróżniony. Pani Vine rzadko opuszcza swój dom, zwykle bowiem obserwuje świat zza firanki, jedynie od czasu do czasu zniżając się do tego, by zaprosić gości do swojego sterylneho sanktuarium na ciasteczka, herbatę i porcję jadu. Ma siostrzenicę o imieniu Terri, która chodzi

ze mną na pisarskie zajęcia terapeutyczne. Pani Vine uważa, że stanowilibyśmy z Terri uroczą parę. Ja uważam, że pani Vine byłaby jeszcze bardziej uroczym trupem. Dzisiaj jej słowa aż ociekają słodyczą.

- Wyglądasz na wyczerpanego, B.B. - wita się ze mną szep-tem, którego ludzie używają zwykle w rozmowie z chorym. - Mam nadzieję, że dbasz o siebie.

Wszyscy w okolicy wiedzą, że Eleanor Vine jest hipochondryczką, łyka tony rozmaitych tabletek i ciągle wszystko odkaża. Ponad dwadzieścia lat temu moja mama u niej sprzątała, ale teraz Eleanor zachowuje ten przywilej dla siebie, toteż często można ją zobaczyć przez okno, jak z mieszaniną radości i niepokoju na swojej chudej, pozbawionej koloru twarzy poleruje owoce w misie z rżniętego szkła, stojącej na kuchennym stole, podczas gdy gumowe rękawice czekają w pogotowiu.

Z iPod'a płynął akurat kawałek z jednej z moich aktualnych list przebojów. Przez słuchawkę w uchu dobiegał mnie mrocznie sarkastyczny głos Voltaire'a, objaśniający rozmaite zalety występku do melancholijnego wtóru cygańskich skrzypiec.

*To takie łatwe, kiedy jest się złym.
Widzisz, tak właśnie wygląda prawda,
Sam diabeł uchyla przede mną kapelusza.*

- Wszystko w porządku, pani Vine - odparłem.

- Nic ci nie dolega?

Pokręciłem głową.

- Nie jestem nawet przeziębiony.

- Bo wiesz, czasem z żalu po śmierci bliskiej osoby można się rozchorować - zauważyła. - Stary pan Marshall dostał zapalenia płuc cztery tygodnie po pogrzebie swojej biednej

żony. Umarł, zanim zdążyli jej postawić nagrobek. W „Examinerze” nazwali to podwójną tragedią.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu na myśl, że miałbym rozpaczać po Nigelu.

- Słyszałam, że brakuje im ciebie na zajęciach.

To odebrało mi ochotę na uśmiech.

- Naprawdę? Kto tak mówi?

- Och, ludzie gadają - bąknęła Eleanor.

A jakże. Toksyczna stara krowa. Szpieguje mnie dla mamy, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. A teraz dzięki Terri znalazłem się również pod obserwacją na moich warsztatach pisarskich, w tym kółeczku pasożytów i czubków, z którymi dzielę się - rzekomo w zaufaniu - szczegółami mojego burzliwego życia.

- Ostatnio nie miałem do tego głowy - wyjaśniłem.

Pani Vine popatrzyła na mnie ze współczuciem.

- Rozumiem - powiedziała. - To dla ciebie trudny okres. A co z Glorią? Wszystko u niej w porządku?

Rozgląda się po salonie, wypatrując jakichś oznak - śladu kurzu na gzymsie kominka, pyłku na którejś z porcelanowych figurek - które mogłyby świadczyć o kiepskiej kondycji psychicznej mamy.

- Och, wie pani, dajemy sobie radę.

- Przyniosłam coś dla niej - rzuciła Eleanor, wręczając mi papierową torbę. - To suplement, który sama stosuję, kiedy czuję się niewyraźnie - dodała swoim kwaśnym tonem. - Wygląda na to, że tobie też by się przydał. Biłeś się z kimś czy co?

- Kto, ja? - Potrząsnąłem głową.

- No tak, oczywiście, że nie - przytaknęła Eleanor.

Oczywiście, że nie. Jakby to było prawdopodobne. Jakby synek Glorii Winter mógł wdać się w bójkę. Każdy sądzi, że mnie zna. Każdy jest ekspertem. Zawsze odrobinę irytuje

mnie myśl, że Eleanor Vine, podobnie zresztą jak mama, nigdy nie uwierzyłaby nawet w jedną dziesiątą tego, do czego jestem zdolny.

- Och, Eleanor, kochana, powinnaś była zajść od razu do mnie! - Mama wynurzyła się z kuchni ze ścierką do naczyń w jednej ręce i obieraczką do warzyw w drugiej. - Właśnie przygotowuję napój witaminowy dla B.B. Napijesz się herbaty, skoro już wpadłaś z wizytą?

Pani Vine pokręciła głową.

- Zajrzałam tylko, żeby sprawdzić, jak się miewasz.

- Jakoś się trzymam - odparła mama. - B.B, tak o mnie dba.

Au! To cios poniżej pasa. Ale naprawdę jest ze mnie bardzo dumna. Usta wypełnił mi posmak zgniłych owoców. Zgniłych owoców wymieszanych z solą, niczym w koktajlu z soku i morskiej wody. Voltaire na moim iPodzie głosił akurat z morderczym entuzjazmem:

Robię to wszystko, bo jestem zły.

Robię to za darmo.

Eleanor rzuciła mi kosę spojrzenia.

- Na pewno jest dla ciebie wielką pociechą, kochana. - Odwróciła się, żeby jeszcze raz na mnie spojrzeć. - Nie mam pojęcia, jakim cudem słyszysz cokolwiek z naszej rozmowy z tym czymś w uchu. Czy ty nigdy tego nie wyjmujesz?

Gdybym mógł ją zabić w tamtym momencie bez żadnego ryzyka, złamałbym jej kark jak patyk i nie miałbym z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia - ale w tej sytuacji mogłem się tylko uśmiechać aż do bólu zębów, po czym, wyjąwszy jedną ze słuchawek, obiecać, że w przyszłym tygodniu na pewno wrócę już na zajęcia, gdzie tak im mnie brakuje.

- Co to miało znaczyć, że wrócisz na zajęcia? Znowu opuszczasz sesje?

- Nie, mamusiu, nie byłem tylko na jednej. - Mimo wszystko nie mam odwagi spojrzeć jej w oczy.

- Przecież to dla twojego dobra. Nie chcę więcej słyszeć, że przestałeś chodzić na terapię.

Oczywiście, powinienem się domyślić, że wcześniej czy później mama dowie się o wszystkim. Dzięki przyjaciółkom takim jak Eleanor Vine siatka szpiegowska mojej matki obejmuje całe Malbry. Zresztą nawet lubię te zajęcia, które dają mi okazję do rozpowszechniania najróżniejszych kłamstw.

- Poza tym to pomoże ci uporać się ze stresem.

Gdybyś tylko wiedziała, mamusiu.

- Dobrze już, dobrze, pójdę tam.

7.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec.

Wpis zamieszczony o: 01:44 w środę, 30 stycznia

Status: prywatny

Nastrój: twórczy

Słucham: „Breath” Breaking Benjamin

Większość nieszczęśliwych wypadków zdarza się w domu. Pewnie właśnie dzięki temu w ogóle pojawiłem się na tym świecie, jeden z trzech synów, wszyscy urodzeni w przeciągu pięciu lat. Nigel, potem Brendan i wreszcie Benjamin, chociaż do tego czasu matka przestała już używać naszych prawdziwych imion. Odtąd zawsze byłem B.B.

Benjamin. To hebrajskie imię. Oznacza „syna prawicy”. Szczerze mówiąc, niezbyt to pochlebne, jeśli wziąć pod uwagę, co faceci tak naprawdę robią prawą ręką. Z drugiej strony mężczyzna, którego znaleźmy jako tatę, nie okazał się zbyt odpowiedzialnym ojcem. Tylko Nigel w ogóle go pamiętał, i to wyłącznie w serii luźnych impresji: tubalny głos, szorstka skóra twarzy, zapach piwa i papierosów. A może to tylko jeden z figli, jakie płata nam wyobraźnia, uzupełniając luki wiarygodnymi szczegółami, podczas gdy cała reszta ginie w

mroku, niczym wrzeczono owinięte wełną czarnej owcy.

Nie żeby Nigel był czarną owcą - wszystko to wydarzyło się później. Ale przypadło mu w udziale zawsze ubierać się na czarno, mama zaczęła też z czasem wpływać na jego charakter. W tamtym okresie Ma pracowała jako sprzątaczką; szorowała i odkurzała domy bogatych ludzi, prała i prasowała ich ubrania, zmywała im naczynia i froterowała podłogi. Utrzymywanie porządku w naszym domu nie przynosiło zarobku i ze zrozumiałych względów schodziło na drugi plan. Nie oznacza to, że matka była niechlujna. Po prostu czas zawsze stanowił dla niej towar deficytowy, musiała go więc oszczędzać, gdzie tylko się dało.

W rezultacie, mając trzech chłopców tak bliskich sobie wiekiem, a więc mnóstwo prania co tydzień, wymyśliła sprytny system. Aby mieć pewność, że ubrania nie będą się mieszać, każdemu z synów przydzieliła określoną barwę i zaczęła nam kupować w miejscowym sklepie z używaną odzieżą rzeczy w odpowiednim kolorze. Tym sposobem wszystkie rzeczy Nigela były czarne, wliczając w to bieliznę, Brendan zawsze nosił brązy, a Benjamin...

No cóż, pewnie już się domyślicie.

Oczywiście nigdy nie przyszło jej do głowy, jak podobna decyzja może na nas spłynąć. Kolory mają ogromne znaczenie - każdy pracownik służby zdrowia wam to powie. Dlatego właśnie oddział onkologiczny szpitala, w którym pracuję, został pomalowany na wesoły róż, poczekalnie mają uspokajający odcień zieleni, a oddział położniczy jest koloru żółtych wielkanocnych kurczaczeków.

Mamusia nigdy tak naprawdę nie rozumiała tajemnej potęgi barw. Dla niej był to jedynie praktyczny sposób sortowania prania. Nigdy nie zadała sobie pytania, jakie to uczucie dzień po dniu nosić ubrania tylko w jednym kolorze, nudne

brązy, ponurą czerń albo przepiękny, niewinny, bajkowy błękit.

Z drugiej strony mamusia zawsze różniła się od zwykłych mam. Niektóre z nich to sama słodycz. Moja była, no cóż, inna.

Urodziła się jako Gloria Beverly Green, trzecie dziecko robotnicy i hutnika. Dzieciństwo spędziła w Malbry, w labiryncie małych ceglanych domków szeregowych, znanym wśród miejscowych jako Czerwone Miasto. Na rozciągniętych między budynkami sznurkach suszyło się pranie, sadza pokrywała każdą możliwą powierzchnię, a brukowane zaułki zamykał wypełniony graffiti mur, wzdłuż którego ciągnęły się zwały śmieci.

Ambitna już wtedy, marzyła o dalekich krajach, nieznanych brzegach i pracujących dziewczynach, ratowanych z opresji przez milionerów. Nawet teraz mama wierzy w prawdziwą miłość, wielkie wygrane i poradniki pozwalające odmienić swój los, w powiększanie zasobu słów, kolumny porad w czasopismach i reklamy telewizyjne, w których podłogi zawsze lśnią, a kobiety zawsze „są tego warte”.

Oczywiście Gloria Green nie grzeszyła ani szczególnie bujną wyobraźnią, ani bystrością - zakończyła edukację na gimnazjum - ale owe braki rekompensowała ogromną determinacją, poświęcając całą swoją wcale niemałą siłę woli i energię na znalezienie sposobu ucieczki z brudu i małościowości Czerwonego Miasta do telewizyjnego świata czyściutkich bobasów, szczęśliwych podłóg i cyferek, które mogą odmienić twoje życie.

Nie było łatwo zachować wiarę w zwycięstwo. Czerwone Miasto to wszystko, co dotąd знаła. Pułapka na szczury, która wabi cię do środka, żeby już nigdy nie wypuścić. Wszystkie przyjaciółki Glorii powychodziły za mąż jako nastolatki, znalazły pracę, urodziły dzieci. Ona została z rodzicami,

pomagając matce prowadzić dom i czekając jeden nudny dzień za drugim na księcia, który się nie pojawiał.

W końcu się poddała. Chris Moxon był przyjacielem ojca, prowadził bar, gdzie sprzedawał smażone ryby z frytkami, i mieszkał na obrzeżach Białego Miasta. Może nie był wymarzoną oblubieńcem - starszy i z większą łysiną, niż Gloria początkowo planowała - ale okazał się miły i troskliwy, a ona w tamtym okresie zaczynała powoli tracić nadzieję. W końcu złożyła więc przysięgę małżeńską w kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych, pośród białych tiulów i goździków, i przez chwilę nawet wierzyła, że jakimś cudem udało jej się uciec z pułapki na szczury.

Szybko jednak odkryła, że zapach smażonego tłuszczu wciska się we wszystkie jej rzeczy - sukienki, pończochy, nawet buty - i niezależnie od tego, ile marlboro wypaliła i ile perfum na siebie wylała, smród zawsze pozostawał - jego smród - czający się tuż pod powierzchnią. Wtedy zrozumiała, że wcale nie uciekła z pułapki na szczury, tylko wpadła głębiej do środka.

A później, jeszcze tego samego roku, na imprezie gwiazdkowej poznała Petera Wintera, dealera samochodowego, który jeździł bmw. Coś takiego mogło uderzyć do głowy Glorii Green, która wdała się w swój pierwszy romans z opanowaniem godnym wytrawnego pokerzysty. Z całą pewnością stawka była wysoka, bo ojciec Glorii bardzo cenił Chrisa. Ale Peter Winter sprawiał obiecujące wrażenie - wypłacalny, ambitny, nie miał żadnych problemów ani żony. Napomykał też o wyprowadzce z Białego Miasta i znalezieniu domu gdzieś w centrum.

Gloria nie potrzebowała więcej. Uczyniła z Petera swój osobisty projekt. W przeciągu dwunastu miesięcy była już po rozwodzie i w ciąży z pierwszym synem. Oczywiście przysięgała, że to dziecko Petera, za którego wyszła, kiedy tylko stało się to możliwe i pomimo protestów rodziny.

Tym razem nie było żadnych fanfar. Gloria okryła ich hańbą. Nikt z jej bliskich nie pojawił się na skromnej ceremonii, która odbyła się pewnego ponurego listopadowego dnia w miejscowym urzędzie stanu cywilnego. A kiedy wszystko zaczęło się psuć - Peter zaczął pić, a jego salon samochodowy splajtował - rodzice Glorii nie dali się przebłagać. Nie chcieli nawet zobaczyć wnuka, któremu dała imię po swoim ojcu.

Gloria jednak nie zamierzała się poddawać. Znalazła sobie dodatkową pracę wieczorami, poza sprzątaniem domów w ciągu dnia, a kiedy ponownie zaszła w ciążę, ukrywała ją za pomocą gorsetu aż do ósmego miesiąca, żeby móc zarabiać pieniądze. Po narodzinach drugiego syna zajęła się dodatkowo cerowaniem odzieży i prasowaniem, więc teraz w domu zawsze było pełno pary i zapachu prania innych ludzi. Marzenie o domku w centrum oddalało się coraz bardziej, jednak Białe Miasto oznaczało przynajmniej dobre szkoły, park dla dzieci i pracę w miejscowej pralni samoobsługowej. Sprawy zaczęły się jakoś układać, a Gloria mogła wreszcie patrzeć w przyszłość z optymizmem.

Niestety dwa lata bezrobocia odcisnęły swoje piętno na Peterze. Niegdyś zdobywca niewieścich serc, nie przestawał tyć i spędzał praktycznie cały czas na kanapie przed telewizorem, paląc camele i popijając piwo. Teraz to Gloria go utrzymywała, ku swojemu rozgoryczeniu, i chociaż jeszcze o tym nie wiedziała, po raz kolejny była w ciąży.

Nigdy nie poznałem swojego biologicznego ojca. Mamusia rzadko o nim wspominała. Ale musiał być przystojny. To po nim odziedziczyłem oczy. Myślę, że w głębi ducha Gloria uważała go za przepustkę do życia z dala od Białego Miasta. Ale pan Błękitnooki najwyraźniej miał odmienne plany, a zanim mama się zorientowała, jego statek zdążył już odpłynąć

ku słoneczniejszym brzegom, pozostawiając ją, aby sama stawiała czoła sztormowi.

Nie wiadomo, jakim cudem Peter poznał prawdę. Może widział Glorię gdzieś z kochankiem. Może słyszał jakieś plotki. A może po prostu się domyślił. W każdym razie Nigel pamiętał wieczór jego odejścia - albo tak przynajmniej twierdził, chociaż nie mógł mieć wtedy więcej niż pięć lat. Wieczór potłuczonych talerzy, wykrzykiwanych przekleństw i wyzwisk, a potem już tylko odgłos uruchamianego silnika, trzaskanie drzwiczek, pisk opon na asfalcie - wszystkie te dźwięki, które przywodzą mi na myśl zapach świeżego popcornu i foteli w kinie - no i sam wypadek: odłamki szkła, a potem zawodzenie syren gdzieś w oddali.

Oczywiście Nigel wcale tego wszystkiego nie słyszał. Tak relacjonowała ową tragedię matka, która uparcie trzymała się swojej wersji. Peter Winter zmarł po trzech tygodniach, pozostawiając swoją ciężarną żonę samą. Ale Gloria Green była twarda. Znalazła w Białym Mieście opiekunkę do dzieci i po prostu zaczęła pracować więcej, wytěżając siły jeszcze bardziej, a kiedy wreszcie na dwa tygodnie przed terminem porodu musiała zrezygnować ze sprzątania u ludzi, jej pracodawczynie urządziły między sobą składkę i zebrały czterdzieści dwa funty. Gloria przeznaczyła część tej kwoty na zakup pralki, a resztę odłożyła na czarną godzinę. Dopiero co skończyła dwadzieścia siedem lat.

W takiej sytuacji ja sam pewnie zastanawiałbym się nad powrotem do rodziców. Mama nie miała pracy, oszczędności, przyjaciół. Jej uroda zaczęła już blaknąć i niewiele pozostało z dawnej Glorii Green, która opuściła Czerwone Miasto pełna wielkich nadziei. Ale nie zamierzała przyznać się do klęski, wracać do rodzinnego domu bez męża, za to z trójką dzieci. Pozostała więc w Białym Mieście. Pracowała w domu, opiekowała się synami, prała, prasowała, cerowała i sprzątała,

cały czas szukając nowej szansy na ucieczkę, nawet kiedy młodość przeminęła, a Białe Miasto otoczyło ją niczym ramiona tonącego człowieka.

I właśnie wtedy trafił jej się łut szczęścia. Ubezpieczalnia wypłaciła odszkodowanie za śmierć męża. Okazało się, że Peter wart był więcej po śmierci niż za życia. W końcu Gloria zdobyła trochę gotówki. Nie wystarczająco dużo - nigdy nie było wystarczająco dużo - ale teraz przynajmniej dostrzegła jakieś światelko w tunelu. Na dodatek wydarzyło się to akurat w momencie, kiedy przyszedł na świat jej najmłodszy syn, który od tej pory stał się jej talizmanem, nadzieją na odmianę losu.

Wicie, że w niektórych zakątkach świata niebieskie oczy są uważane za przynoszące pecha, za ukryty znak demona? Noszenie amuletu przeciwko „złemu oku” - paciorka z niebieskiego szkła na rzemyku - pozwala odwrócić nieszczęście, odesłać zło z powrotem do jego źródła, odegnąć ciemne siły i w ich miejsce sprowadzić pomyślność.

Mamusia, pełna uwielbienia dla telewizyjnych seriali, wierzyła w proste rozwiązania. Fikcja rządzi się utartymi schematami. Ofiarą jest zawsze piękna dziewczyna. A odpowiedzi zawsze znajdują się na wyciągnięcie ręki, odkrywane w przedostatniej scenie, zwykle przypadkiem albo za sprawą dziecka, dzięki czemu wszystko zostaje doprowadzone do szczęśliwego finału.

W życiu, oczywiście, jest zupełnie inaczej. Życie to same niedokończone wątki. A czasami nić, która zdawała się prowadzić prosto do serca labiryntu, okazuje się niczym więcej tylko splątany kawałek sznurka, a my zostajemy sami w mroku, pełni obaw, dręczeni narastającym przekonaniem, że prawdziwa akcja toczy się bez nas tuż za rogiem.

To by było tyle, jeśli chodzi o szczęście. Chociaż znalazłem się naprawdę blisko. Niemal na wyciągnięcie ręki, zanim

wszystko zostało mi odebrane. To nie moja wina. Ale ona wciąż obarcza mnie odpowiedzialnością. I choć od tamtej pory ciągle próbuję spełnić jej oczekiwania, jej to nie wystarcza, nic nie jest dość dobre dla Glorii Green.

„Czy tak właśnie myślisz? - pyta Clair z grupy terapeutycznej. - Uważasz, że nie jesteś wystarczająco dobry?”

Suka. Nawet tego nie próbuj.

Zresztą nie byłabyś pierwsza. Wy, kobiety, z tymi waszymi pytaniami. Uważacie, że tak łatwo jest ocenić przyczynę i skutek, przeanalizować wszystko, znaleźć wytłumaczenie. Myślicie, że możecie wcisnąć mnie w jedno z tych waszych pudełeczek, jak starannie opisany okaz - że znając kilka starannie dobranych szczegółów, zdołacie rozszyfrować moją duszę?

Marne szanse, droga ClairDeLune. Ludzie, wy naprawdę nic na mnie nie macie. Myślicie, że jestem nowicjuszem w tej grze? Obijam się po grupach takich jak ta przez ostatnich dwadzieścia lat. Właściwie to bywa nawet zabawne, takie wspomnianie zdarzeń z dzieciństwa, wymyślanie snów, wybieranie ziaren fantazji z popiołu.

Tym sposobem Clair uwierzyła, że zna człowieka kryjącego się za awatarem. Gruba Chryssie - albo inaczej porcelanowy-motył - też myśli, że rozumie. W rzeczywistości wiem o nich więcej, niż one kiedykolwiek wydedukują na mój temat. To wiedza, która pewnego dnia może okazać się przydatna, jeśli zdecyduję się ją wykorzystać.

Clair sądzi, że próbuje mi pomóc. Ja sądzę, że to klasyczny przykład wyparcia. Warsztaty pisarskie tak naprawdę są dla niej jedynie zamaskowaną próbą zabawy w amatorską psychoanalizę. A jej internetowa fascynacja wszystkim, co przekłete i niebezpieczne, świadczy o tym, że sama też czuje się okaleczona. Podejrzewam molestowanie we wczesnym dzieciństwie, możliwe, że przez członka najbliższej rodziny.

Obsesja na punkcie tego aktora - Anielskiego Błękitu - mężczyzny tyle od niej starszego, sugeruje, że źródło problemów może stanowić tatuś. No cóż, oczywiście należy jej współczuć. Ale w przypadku wykładowcy nie napawa to otuchą. Poza tym jest z tego powodu tak podatna na zranienie. Mam nadzieję, że wszystko nie skończy się płaczem.

A jeśli chodzi o zainteresowanie Grubej Chryssie moją osobą - wygląda na to, że uczucie jest czysto romantyczne. No cóż, w każdym razie stanowi to jakąś odmianę w jej codziennych postach składających się zwykle ze szczegółowych zestawień liczby spożytych kalorii: *dietetyczna cola: 1.5 kalorii, chuda wołowina: 90 kalorii, nacho, odtłuszczony ser: pewnie jakieś 300* - akcentowanych bolesnymi monologami o tym, jak paskudna się czuje, albo niekończącym się zalewem fotografii chudych, wątlých gotek, które Chryssie określa jako „odchudzające inspiracje”.

Czasami zamieszcza również swoje zdjęcia - zawsze jest to ujęcie samego ciała, bez twarzy, zrobione komórką przed lustrem w łazience - i zachęca ludzi, żeby z niej drwili. Rzadko kto stosuje się do jej życzenia (poza Kapitanem, który nienawidzi grubasów), ale inne osoby często zostawiają wpisy pełne uwielbienia, ckliwych słów otuchy - *Dziewczyno, świetnie sobie radzisz. Tak trzymaj!* - albo niedorobionych porad na temat odchudzania.

Tym sposobem Chryssie zaczęła niemal bezgranicznie wierzyć we właściwości zielonej herbaty jako przyspieszacza metabolizmu i w pokarmy zawierające „ujemne kalorie” (czyli jej zdaniem marchew, brokuły, jagody, szparagi oraz wiele innych rzeczy, które nasza Chryssie rzadko jada). Jej awatar to rysunek w stylu mangi przedstawiający ubraną na czarno dziewczynkę ze skrzydłami motyla wyrastającymi z ramion, a jej sygnaturka - jednocześnie pełna nadziei i niewymownie smutna - brzmi: *Kiedyś będę lżejsza od powietrza...*

No cóż, może któregoś dnia rzeczywiście tak się stanie. Zawsze pozostaje mieć nadzieję. Ale nie wszystkie fanatyczki ciała umierają szczupłe. Może skończy tak jak część z nich, z udarem czy zawałem serca podczas rozmowy z Bogiem przez porcelanowy telefon.

Jedna z internetowych przyjaciółek Chryssie - lazurowe-dziecię - od dawna namawia ją do wypróbowania syropu z korzenia wymiotnicy. To powszechnie znany środek oczyszczający o potencjalnie śmiertelnych skutkach ubocznych, powodujący gwałtowną utratę wagi. Oczywiście, że to nieodpowiedzialne, wręcz przestępstwo, nakłaniać kogoś tak otępego jak Chryssie, z tak bardzo osłabionym sercem, do przyjmowania równie niebezpiecznej substancji.

Z drugiej strony to przecież wyłącznie jej wybór, prawda? Nikt nie zmusza nikogo do słuchania podobnych rad. Nie tworzymy takich sytuacji. My tylko naciskamy klawisze. *Control. Alt. Delete.* Wymazane. Śmiertelny błąd. Nieszczęśliwy wypadek.

„No więc jak dobrze twoim zdaniem mnie znasz?”

To mem tego tygodnia, zamieszczony przez Clair i podchwycony przez Chryssie, która zawsze podsyła mi takie rzeczy, zupełnie jak dziecko próbujące zebrać grupkę przyjaciół na zatłoczonym placu zabaw.

Clair i Chryssie, jak tylu innych członków naszego klanu, są uzależnione od memów, tych internetowych łańcuszków, których celem jest udawanie zainteresowania i prawdziwej rozmowy, często w formie ankiety. Szerzą się po sieci niczym szkolne mody - „Napisz trzy rzeczy o sobie! O czym śniłeś ostatniej nocy?” - przekazywane od jednego internauty do drugiego, pełne są informacji zarówno przydatnych, jak i zupełnie bezużytecznych, i przypominają wirusy, które obiegają cały świat albo znikają szybciej, niż się pojawiły, a czasem

łądują też na Niegrzecznychłopcy rządzą, gdzie opowiadanie o sobie - Ja! Ja! - stanowi niezmiennie ulubioną rozrywkę.

Kiedy ktoś przyśle mi coś podobnego, zwykle rewanżuję się w ten sam sposób. Nie dlatego, że bawi mnie autopromocja, ale ponieważ uważam takie ćwiczenia za interesujące z powodu tego, co odsłaniają - albo też nie - na temat odbiorcy. Pytania - na które należy odpowiadać jak najszybciej - są tak skonstruowane, aby stwarzać pozory bliskości, a udzielenie na nie odpowiedzi wymaga czasami podania takich szczegółów, o których nie mają pojęcia nawet najbliżsi przyjaciele.

Dzięki temu wiem jednak, że Chryssie ma kotkę o imieniu Chloe i lubi sypiać w różowych skarpetkach, że ulubiony film Kapitana to „Kill Bill”, podczas gdy „Kill Bill 2” jest jego zdaniem zwyczajnie niestrawny, że Toksyczny uwielbia czarne dziewczyny o dużych piersiach albo że ClairDeLune lubi współczesny jazz i ma kolekcję ceramicznych żab.

Oczywiście wcale nie trzeba podawać prawdziwych informacji. A jednak ludzie zwykle tak właśnie robią. Dobrane odpowiednio szczegóły wydają się zbyt błahe, by kłamać - ale układają się w określony obraz drobiazgów, z których zbudowane jest nasze życie.

W rezultacie wiem na przykład, że hasło do komputera Clair brzmi „Clairuwielbiaaniola”. Tego samego hasła Clair używa przy korzystaniu z konta na Hotmail, więc teraz mam dostęp także do jej poczty. Tak łatwo zrobić to wszystko przez Internet, a okrucy podchwyconych gdzieś w przelocie informacji - imiona zwierzków, daty urodzin dzieci, nazwiska panięńskie matek - tylko ułatwiają mi zadanie. Wyposażony w te zdawałoby się nieszkodliwe dane mogę dotrzeć do bardziej poufnych rzeczy. Danych rachunku bankowego czy kart kredytowych. To zupełnie jak z azotem

i glicerolem. Osobno są całkiem niegroźne, ale wystarczy je połączyć i mamy - Bum!

Przesłane przez: porcelanowymotył, piszący na: Niegrzeczni-
chlopcyrzadz

Wpis zamieszczony o: 12:54 we wtorek, 29 stycznia

Gdybyś był zwierzęciem, to jakim? Szczurem.

Ulubiony zapach? Benzyny.

Kawa czy herbata? Kawa. Czarna.

Ulubiony smak lodów? Gorzka czekolada.

Co masz teraz na sobie? Granatową bluzę z kapturem, dzinsy,
niebieskie trampki.

Czego boisz się najbardziej? Wysokości.

Co ostatnio kupiłeś? Muzykę do mojego iPod'a.

Co ostatnio jadłeś? Zapiekankę.

Ulubiony dźwięk? Fale rozbijające się o brzeg.

Rodzeństwo? Brak.

W jakim stroju sypiasz? W piżamie.

Czego nienawidzisz najbardziej? Słoganu „ponieważ jestem
tego warta”. Ponieważ nie jesteś i dobrze o tym wiesz.

Twoja najgorsza wada? Jestem krętaczem, manipulantem
i kłamcą.

Blizny lub tatuaże? Blizna na górnej wardze i druga na łuku
brwiowym.

Jakieś powtarzające się sny? Nie.

Gdzie najbardziej chciałbyś teraz być? Na Hawajach.

W twoim domu wybuchł pożar. Co ratujesz z płomieni? Nic.

Pozwalam, by wszystko spłonęło.

Kiedy ostatnio płakałeś? Zeszłej nocy - i nie, nie zdradzę
dlaczego...

Widzicie, wydaje się wam, że świetnie mnie znacie.

Jakby można sobie wyrobić jakiegokolwiek zdanie na podstawie tego, jaką kawę lubię albo czy sypiam w piżamie. Prawdę mówiąc, wolę herbatę i sypiam nago. Czy to wpłynęło na waszą opinię o mnie? Czy coś by to zmieniło, gdybym wam zdradził, że nigdy nie płaczę? Że miałem okropne dzieciństwo? Że nigdy nie oddaliłem się więcej niż sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym przyszedłem na świat? Że boję się przemocy fizycznej, miewam migreny i nienawidzę samego siebie?

Niektóre - a może nawet wszystkie - z tych informacji mogą być prawdziwe. Wszystkie albo żadna z nich. Albertyna zna część prawdy, tylko że ona rzadko zamieszcza tu komentarze, a jej blog jest chroniony hasłem tak, aby nikt nie zdołał przeczytać prywatnych postów.

Ale Chryssie uważnie przeanalizuje odpowiedzi i na ich podstawie stworzy sobie mój obraz. Znalazło się tu wystarczająco dużo informacji, żeby ją zaintrygować, aluzja zaś, że łatwo mnie zranić, zrównoważy zawołowaną agresję, na którą Chryssie reaguje tak ochoczo.

W rezultacie naprawdę sprawiam wrażenie niegrzecznego chłopca - ale może da się mnie jeszcze ocalić, dzięki miłości. Któż to wie? W filmach zdarza się to bez przerwy. A optymistka Chryssie żyje w swoim własnym świecie, w którym grubaska może znaleźć prawdziwą miłość w osobie mordercy potrzebującego odrobiny czułości.

Oczywiście to nie jest prawdziwy świat. Zostawiam to wszystko dla mojej grupy terapeutycznej. Ale lubię siebie o wiele bardziej jako postać fikcyjną. Poza tym któż ma prawo orzekać, że to, co widzi Chryssie, nie stanowi jakiegoś fragmentu prawdy - prawdy, która przypomina cebulę z jej warstwami łupin i mięszu, otulających ciasno coś, co przyprawia człowieka o płacz?

Opowiedz mi o sobie, prosi Chryssie.

Widzicie, tak to się zawsze zaczyna z kobietą - dziewczyną - która uważa, że wie, jak wydobyć ładunek szlachetnych kruszców, które zrodziły się w moim wnętrzu.

„Zrodzić”. „Rodzicielka”. A „ładunek” brzmi zupełnie jak coś, co dźwiga się ze sobą - ciężkie brzemie, kara.

Zacznijmy od twojej matki, pisze.

Mojej matki? Jesteś pewna?

Widzicie, jak szybko chwyciła przynętę? Bo przecież każdy chłopiec kocha swoją mamusię, prawda? A każda kobieta w skrytości ducha wie, że aby zdobyć serce mężczyzny, najpierw trzeba się pozbyć tamtej pierwszej miłości.

8.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 18:20 w środę, 30 stycznia

Status: publiczny

Nastrój: tryskający energią

Słucham: „Mr Blue Sky” Electric Light Orchestra

Nazywa ją panią Elektryczny Błękit. Urządzenia elektryczne to jej żywioł: najnowsze dzwonki przy drzwiach, odtwarzacze CD, sokowirówki, parowary, mikrofalówki. Trudno zgadnąć, na co jej tyle tego wszystkiego: w samym tylko pokoju gościnnym znajduje się dziewięć pudeł pełnych starych suszarek i lokówek do włosów, masażerów do stóp, mikserów, elektrycznych koców, odtwarzaczy wideo, łazienkowych radioodbiorników i aparatów telefonicznych.

Nigdy niczego nie wyrzuca, trzyma to wszystko „na części”, jak sama twierdzi, chociaż należy do pokolenia kobiet, dla których brak umiejętności technicznych stanowi czarujący symbol damskiej delikatności, a nie zwykłego lenistwa. I rzeczywiście nie ma pojęcia o technice, jego zdaniem jest po prostu pasożytem, bezużytecznym, manipulującym innymi,

więc nikt nie będzie za nią zbyt tęsknił, a już najmniej jej własna rodzina.

Od razu rozpoznał jej głos. Od jakiegoś czasu pracował na pół etatu w punkcie naprawy sprzętu elektronicznego kilka kilometrów od jej domu. Staromodny warsztat, obecnie raczej zaniedbany, z niewielką witryną od frontu pełną niedomagających telewizorów i odkurzaczy pokrytych szarym konfetti martwych moli, które wleciały tam na spotkanie śmierci. Kobieta zadzwoniła na jego komórkę - ni mniej, ni więcej tylko w piątek o czwartej po południu - aby obejrzał jej mezażerię martwych urządzeń.

Miała prawie pięćdziesiąt pięć lat, ale mogła wyglądać na starszą lub młodszą stosownie do potrzeb. Popielate włosy, zielone oczy, niezłe nogi, zalotny, niemal dziewczęcy sposób bycia, który w ułamku sekundy potrafi się zmienić w chłodną wzgardę - no i słabość do przystojnych młodych ludzi.

Przystojny młody chłopiec. No cóż, to właśnie on. Taki szczupły w tym swoim drelichowym kombinezonie, z kościastą twarzą, nieco zbyt długimi brązowymi włosami i niebieskoszarymi oczami w tym świetlistym, uderzającym odcieniu. Niekoniecznie materiał na okładkę babskiego magazynu, ale wystarczająco atrakcyjny dla pani Elektryczny Błękit - zresztą w jej wieku nie można pozwolić sobie na wybrzydzenie, przynajmniej jego zdaniem.

Już na samym początku mówi, że jest po rozwodzie, przygotowuje dla niego filiżankę herbaty Earl Grey, narzeka na koszty utrzymania, ciężko wzdycha nad swoją samotnością oraz czarną niewdzięcznością syna, który pracuje gdzieś w centrum, po czym wreszcie ze wspaniałomyślną miną proponuje mu swoją kolekcję w zamian za gotówkę.

Oczywiście wszystko to bezwartościowy złom. Informuje ją o tym najdelikatniej, jak potrafi, tłumacząc, że stary sprzęt elektryczny nadaje się teraz wyłącznie na śmietnik, bo

większość takich urządzeń nie spełnia współczesnych standardów bezpieczeństwa i że szef by go zabił, gdyby zapłacił za coś takiego choćby dziesiątaka.

- Naprawdę, pani E. - mówi. - Jedyne, co mogę dla pani zrobić, to wywieźć to na wysypisko. Miasto obciąży panią kosztami, ale mam furgonetkę...

Kobieta spogląda na niego podejrzliwie.

- Nie, dziękuję.

- Chciałem tylko pomóc - tłumaczy się.

- Skoro tak, młody człowieku - odpowiada gospodyni lodowatym tonem - to bardziej mi pomożesz, zaglądając do mojej pralki. Chyba coś się zatkało, od prawie tygodnia nie odprowadza wody... - A na próbę wymówienia się kolejnym zleceniem dodaje jeszcze: - Myślę, że przynajmniej tyle mógłbyś dla mnie zrobić.

Oczywiście w końcu jej ulega. Od początku wiedziała, że tak będzie. Jej głos nadal kryje w sobie tę mieszaninę pogardy i słabości, bezradności i władzy, której nigdy nie potrafił się oprzeć...

Pasek klinowy się zsunął, to wszystko. Wystarczy odczepić bęben i założyć pasek z powrotem. Kiedy wyciera ręce w swój kombinezon, w szybie drzwiczek widzi odbicie kobiety, która obserwuje go uważnie.

Kiedyś mogła być nawet atrakcyjna. Teraz należałoby ją raczej określić jako dobrze zakonserwowaną. Takiego sformułowania używa czasem matka, przywodząc mu na myśl słoje z formaliną i egipskie mumie. Gospodyni przypatruje mu się z dziwnie zaborczą miną, jej wzrok wbija mu się w plecy jak rozżarzony czubek lutownicy - jakby szacowała go tym jednocześnie niedbałym i drapieżnym spojrzeniem.

- Nie pamięta mnie pani, prawda? - mówi do niej wreszcie, odwracając głowę, żeby spojrzeć kobiecie w oczy. Ta znowu

rzuca mu władcze spojrzenie. - Moja mama kiedyś u pani sprzątała.

- Doprawdy? - Ton jej głosu ma jasno sugerować, że ona nie jest w stanie spamiętać wszystkich, którzy kiedykolwiek u niej pracowali. Ale przez ułamek sekundy wydaje się pamiętać przynajmniej cokolwiek - mruży oczy, marszcząc w czymś na kształt zdenerwowania brwi, wyskubane praktycznie do zera, a potem odtworzone za pomocą brązowej kredki niemal półtora centymetra powyżej miejsca, w którym powinny się znajdować.

- Czasami przychodziłem tu razem z nią.

- Mój Boże. - Kobieta wpatruje się teraz w niego z niedowierzaniem. - Błękitnookichłopic?

Oczywiście to załatwia sprawę. Teraz nigdy już na niego nie spojrzy. W każdym razie nie w taki sposób - przesuając leniwie wzrokiem po jego plecach w dół, mierząc odległość pomiędzy karkiem a zakończeniem kręgosłupa, prześlizgując się po krzywiźnie pośladków okrytych opiętym wyblakłym kombinezonem. Teraz rzeczywiście go widzi - czterolatka o włosach, których nie przyciemnił nawet upływ czasu - i nagle ciężar lat spada z powrotem na jej barki niczym mokry zimowy płaszcz, a ona czuje się stara, tak strasznie stara.

Uśmiecha się do niej.

- Sprawa załatwiona - mówi.

- Zapłacę ci, oczywiście - rzuca pospiesznie gospodyni, aby ukryć zażenowanie. Jakby uważała, że on pracuje za darmo, a to będzie z jej strony coś na kształt przysługi, która na zawcze uczyni z niego jej dłużnika.

Ale oboje wiedzą, za co tak naprawdę mu płaci. Za swoje poczucie winy - to wieczne, nieustrudzone, gorzko-słodkie uczucie.

Biedna stara pani E., przelatuje mu przez głowę.

Dziękuję jej grzecznie, przyjmuje kolejną filiżankę letniej herbaty o nieco dziwnym smaku i w końcu opuszcza jej dom,

mając pewność, że w najbliższym czasie jeszcze nie raz zobaczy panią Elektryczny Błękit.

Każdy ma na sumieniu jakieś grzeszki. Nie wszyscy zasługują na śmierć. Ale los czasem się mści, a akt boskiej woli wymaga pomocnej ręki człowieka. Zresztą to nie jego wina. Kobieta wzywa go jeszcze dziesiątki razy - żeby naprawił wtyczkę, wymienił bezpiecznik albo baterie w aparacie fotograficznym, a ostatnio nawet skonfigurował komputer (Bóg jeden wie, na co jej komputer - przecież i tak zginie za tydzień czy dwa), co powoduje prawdziwy wysyp naglających telefonów, które z kolei przyspieszają decyzję o konieczności usunięcia jej z ziemskiego padółu.

Właściwie to nic osobistego. Niektórzy ludzie po prostu powinni zginąć - przyczyną może tu być zło w czystej postaci, chęć szkodenia innym, poczucie winy, albo tak jak w tym wypadku fakt, że nazwała go błękitnookim chłopcem.

Większość nieszczęśliwych wypadków zdarza się w domu. Tak łatwo jest coś zorganizować - a jednak on nadal się waha. Nie ze strachu - chociaż naprawdę okropnie się boi - ale po prostu dlatego że chciałby widzieć. Rozważa nawet pomysł ukrycia kamery w pobliżu miejsca zbrodni, nie może sobie jednak pozwolić na podobne pobleżanie swojej próżności, ostatecznie zarzuca więc ten pomysł (zresztą nie bez żalu) i zastanawia się nad sposobem działania. Musicie zrozumieć, jest jeszcze bardzo młody. Wierzy w zwycięstwo dobra nad złem. Chciałby, aby ta śmierć była w pewnej mierze symboliczna - może porażenie prądem przez wadliwy odkurzacz albo jeden z wibratorów, które pani Elektryczny Błękit trzyma w szafce łazienkowej (dwa z nich skromnie cieliste i trzeci, niepokojąco fioletowej barwy) pośród buteleczek z balsamami i tabletkami.

Przez chwilę omal nie ulega pokusie. Ale wie, że skomplikowane plany rzadko się udają, więc stanowczo odsuwa od siebie kuszącą wizję pani Elektryczny Błękit zabawiającej się na śmierć jednym ze swoich gadżecików. A podczas następnej wizyty przygotowuje trywialny, ale skuteczny pożar spowodowany zwarcieniem w wadliwej instalacji elektrycznej, a potem wraca do domu akurat na czas, żeby przekąsić coś przed telewizorem, podczas gdy przy innej ulicy pani Elektryczny Błękit udaje się właśnie do łóżka (może razem ze swoim fioletowym przyjacielem, może nie), gdzie umiera w nocy, zapewne z powodu zatrucia dymem, przynajmniej wedle jego przypuszczeń, chociaż, oczywiście, na razie może mieć tylko nadzieję.

Policja zjawia się następnego dnia. Opowiada im, jak bardzo starał się pomóc, bo praktycznie każde z urządzeń w tym domu stanowiło potencjalne zagrożenie, a właścicielka zawsze podłączała do sieci za dużo rzeczy naraz, więc pewnie wystarczyło już tylko jakieś drobne przepięcie...

Tak naprawdę wydają mu się śmieszni. Jego wina powinna być dla nich oczywista, a jednak tamci dwoje niczego nie widzą, kiedy tak siedzą na kanapie, popijają herbatę i gawędzą z nim całkiem przyjaźnie, jakby nie chcieli sprawiać mu przykrości, podczas gdy matka obserwuje całą sytuację podejrzliwie, czujnie wypatrując choćby śladu oskarżenia.

- Mam nadzieję, że nie obwiniecie o to mojego syna. On tak ciężko pracuje. Jest dobrym chłopcem.

Z trudem udaje mu się ukryć uśmiech, kiedy przesłania usta dłonią. Drży ze strachu, ale nie może się już powstrzymać, symuluje więc atak paniki, zanim ktoś się zorientuje, że ten błady młodzieniec o niebieskich oczach tak naprawdę zaśmiewa się do rozpuku.

Później potrafi już wyczuć ten moment. To oszałamiające uczucie, przypominające orgazm, stan łaski. Kolory wokół

niego zaczynają jaśnieć, pulsować, słowa nabierają olśniewająco nowych odcieni, zapachy stają się wyjątkowo intensywne, a on drży i lka, podczas gdy cały świat wokół pokrywa się pęcherzami i łuszczy niczym warstwa farby, odsłaniając światło wieczności.

Policjantka (do takich spraw zawsze wysyłają kobietę) podaje mu chusteczkę, a on wyciera sobie twarz, przestraszony, pełen poczucia winy, a jednak nadal roześmiany, chociaż policjantka, która ma dwadzieścia cztery lata i pewnie całkiem nieźle wygląda bez tego swojego munduru, bierze jego łzy za oznakę rozpacz i kładzie mu dłoń na ramieniu, przepelniona dziwnie macierzyńskim uczuciem.

„Już w porządku, synku. To nie twoja wina”.

I wtedy ten złowróżbny posmak gdzieś w gardle, który kojarzy mu się z dzieciństwem, ze zgniłymi owocami, benzyną i mdlącym różanym zapachem gumy balonowej, cofa się z powrotem, niczym zwały chmur pozostawiające za sobą jedynie błękitne niebo, a jemu przez głowę przemyka myśl:

Wreszcie jestem mordercą.

Dodaj komentarz

porcelanowymotył: juhu! blekitnookichłopiec wymiata

Kapitanmordercakroliczkow: „Pani Elektryczny Błękit zabawiająca się na śmierć”... Stary, dałbym sporą kasę, żeby to przeczytać. Co ty na to, he?

JezusmoimPanem: JESTEŚ CHORY. MAM NADZIEJĘ, ŻE O TYM WIESZ.

blekitnookichłopiec: Zdaję sobie sprawę ze swojego stanu zdrowia, dzięki.

porcelanowymotył: a ja mam to w nosie jesteś super

Kapitanmordercakroliczkow: popieram. Stary, nie zwracaj uwagi na tego trolla. Te pierdolone głupole nie poznałyby się na dobrej prozie,

nawet gdyby nagle na nich wyskoczyła i ugryzła ich w tyłek.

JezusmoimPanem: JESTEŚ CHORY I ZOSTANIESZ OSĄDZONY.

JennyTricks: (post usunięty)

ClairDeLune: Jeśli te historie cię denerwują, proszę, nie zaglądam tutaj i ich nie czytaj. Blekitnookichłopiec, dziękuję, że się tym z nami podzieliłeś. Wiem, jak trudno ująć w słowa wszystkie te mroczne uczucia. Doskonała robota! Liczę na dalszy ciąg tej opowieści!

9.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 23:25 w środę, 30 stycznia

Status: prywatny

Nastrój: nieskruszony

Słucham: „Carry On, Wayward Son” Kansas

Nie, nie traktuję tego osobiście. Nie każdy docenia walory dobrze napisanej prozy. Zdaniem wielu jestem chory i demoralizowany, więc powinno się mnie trzymać pod kluczem, stłuc na kwaśne jabłko albo w ogóle zlikwidować.

Bo przecież każdy jest krytykiem, prawda? Dostaję mnóstwo pogroźek. Większość to obelgi ze strony rycerzy Boga: użytkownika JezusmoimPanem i jego przyjaciół, którzy zawsze piszą wielkimi literami i nie używają żadnych znaków interpunkcyjnych. Cały czas piszą mi: JESTEŚ CHORY czy DZIEŃ SĄDU BLISKI albo informują mnie, że będę SMAŻYŁ SIĘ W PIEKLE (!!!) Z PEDAŁAMI I PEDOFILAMI!

No cóż, dzięki. Wszędzie trafiają się czubki. Nasz nowy nabytek, JennyTricks, odwiedza nas teraz stale i z narastającą

wściekłością dodaje komentarze do wszystkich moich postów. Ma kiepski styl, ale rekompensuje to sobie jadowitością wypowiedzi, wykorzystując każde możliwe wyzwisko i zapowiadając mi najgorsze tortury, jeśli kiedykolwiek dostanie mnie w swoje ręce. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby tak się stało. Internet to moja kryjówka, bezpieczna jak konfesjonał. Nigdy nie zamieszczam w sieci żadnych osobistych szczegółów na swój temat, a gniew tych wszystkich ludzi daje mi tylko niezłego kopa. Zresztą słowa nie mogą mnie zranić, człowieku, nigdy.

A już na poważnie, uwielbiam pochwały. I bawią mnie nawet okazjonalne głosy dezaprobaty. Wywołać reakcję samymi słowami to wielkie osiągnięcie. Dlatego właśnie piszę. Żeby jątrzyć, badać, jakie emocje jestem w stanie obudzić. Miłość i nienawiść, akceptacja i pogarda, osąd, gniew i rozpacz. Jeśli mogę sprawić, że zaczniecie skakać z radości, jeżeli potrafię przyprawić was o mdłości czy płacz, a może nawet spowodować, że najdzie was ochota, by wyrzucić mi krzywdę - mnie albo komuś innemu - czyż nie jest to niezwykle przywilej? Wkraść się do waszych umysłów, zmusić was do robienia tego, co ja chcę - czy to niewystarczająca zapłata za wszelkie niedogodności?

No cóż, dobra wiadomość jest taka - pomijając fakt, że ból głowy wreszcie ustąpił - że mogę się teraz częściej oddawać podobnym rozrywkom. Jedną z korzyści nieoczekiwanego bezrobocia stanowi ogrom wolnego czasu. Czasu, który mogę poświęcić na rozwijanie swoich zainteresowań, zarówno w sieci, jak i w prawdziwym życiu. Czasu na to, by, jak to mówi mamusia, przystanąć i odetchnąć pełną piersią.

Bezrobocie? No cóż, owszem. Ostatnio miałem trochę problemów. Oczywiście mama o tym nie wie - jeśli o nią chodzi, nadal pracuję w szpitalu. Szczegóły pozostają trochę niejasne, ale wiarygodne - przynajmniej dla Glorii, która ledwie

skończyła szkołę i czerpie całą swoją wiedzę medyczną, czy też raczej jej marną namiastkę, z „Reader's Digest” oraz oglądanych popołudniami seriali medycznych.

Poza tym właściwie niewiele mijam się z prawdą. Rzeczywiście pracowałem w szpitalu - przez prawie dwadzieścia lat - choć mamusia nigdy nie wiedziała, co tak naprawdę tam robię. Coś związanego z obsługą techniczną - co również nie mijало się tak bardzo z prawdą. W języku, gdzie do opisu praktycznie każdego stanowiska używa się słowa „specjalista” lub „technik”, jeszcze do niedawna byłem członkiem ekipy specjalistów do spraw higieny, pracujących na dwie zmiany i zajmujących się tak odpowiedzialnymi zadaniami jak mycie podłóg, zmiatanie, dezynfekowanie, wynoszenie śmieci i pełne utrzymanie czystości w toaletach, kuchniach oraz ogólnodostępnych pomieszczeniach.

W języku laików zaś sprzątaczem.

Moja druga, może nawet jeszcze bardziej niebezpieczna praca - znowu przynajmniej do niedawna - polegała na opiekowaniu się w ciągu dnia przykutym do wózka inwalidzkiego staruszką, któremu gotowałem i sprzątałem, a w dobre dni czytałem też książki albo puszczałem muzykę ze starych porysowanych płyt winylowych. Czasami słuchałem też jego opowieści, które znałem już na pamięć, a potem w końcu wyruszałem na poszukiwanie jej, dziewczyny w jaskrawo-czerwonym płaszczu.

Teraz mam więcej czasu, ale nie grozi mi niebezpieczeństwo przyłapania na gorącym uczynku. Mój codzienny rozkład zajęć nie uległ zmianie. Jak zwykle wstaję rano, ubieram się do pracy, zaglądam do moich orchidei, zostawiam samochód na szpitalnym parkingu, biorę swojego laptopa i aktówkę, a potem spędzam spokojny dzień w rozmaitych kafejkach internetowych, aktualizując moją listę znajomych albo zamieszczając nowe posty na Niegrzecznychłopcy rządzą, z dala

od podejrzliwych spojrzeń matki. Po czwartej często zaglądam do kawiarenki Różowa Zebra, gdzie niemal na pewno nie wpadnę na mamę czy którąś z jej przyjaciółek i gdzie jest dostęp do Internetu za cenę dzbanka herbaty praktycznie bez dna.

Chociaż gdybym miał możliwość wyboru lokalu, chyba zdecydowałbym się na coś nieco mniej ekscentrycznego. Różowa Zebra jak dla mnie jest nieco zbyt swobodna, z tymi szerokimi filiżankami rodem z Ameryki, stolikami o laminowanych blatach, specjalnością dnia wypisaną kredą na tablicy i gwarem niezliczonych klientów. A sama nazwa, ów przymiotnik „różowa”, ma bardzo nieprzyjemny wydźwięk, tę ostrość, która przychodzi mi na myśl czasy dzieciństwa i wizyt w staromodnym gabinecie naszego rodzinnego dentysty, pana Pinka, z jego słodkawą, mdlącą wonią gazu. Ale jej się tu podoba. To było do przewidzenia. Dziewczyna w czerwonym płaszczu lubi tę anonimowość, jaką daje tłum. Oczywiście to tylko złudzenie. Jednak nie zamierzam jej tego odbierać - przynajmniej na razie. Ostatnia grzeczność z mojej strony, której znowu nikt nie doceni.

Próbuję znaleźć stolik w jej pobliżu. Piję earl greya - bez cytryny i mleka. Tak samo jak mój dawny mentor, doktor Peacock, od którego zresztą się tego nauczyłem - dosyć nietypowy napój jak na Różową Zebkę, gdzie podaje się ciasto z organicznie uprawianej marchwi i gorącą meksykańską czekoladę z przyprawami. I gdzie lubią bywać motocykliści, goci i dziwacy z mnóstwem kolczyków.

Prowadząca kawiarnię Bethan piorunuje mnie wzrokiem. Może to skutek mojego wyboru napoju albo dlatego, że mam na sobie garnitur z krawatem, co kwalifikuje mnie jako urzędasę, a może dzisiaj chodzi jedynie o moją twarz, poznaczoną drabiną szwów w poprzek kości policzkowej, z cięciami biegnącymi też przez brew i wargę.

Widzę, co sobie myśli. To nie miejsce dla mnie. Jej zdaniem będą ze mną problemy, chociaż zapytana nie potrafiłaby powiedzieć, na czym opiera swoje podejrzenia. Jestem czysty, spokojny, zawsze zostawiam napiwek. A jednak mam w sobie coś, co ją niepokoi, co sprawia, że jej zdaniem tu nie pasuję.

- Proszę earl greya, bez cytryny i mleka.
- Pięć minutek, dobra?

Bethan zna wszystkich stałych bywalców, którzy mają nawet swoje przyzwiska, tak jak moi przyjaciele z sieci, na przykład Czekoladowa Dziewczyna, Weganin, Saksofonista i tak dalej. Ja jestem tylko pan Dobra. Widzę, że byłaby szczęśliwsza, gdyby mogła dopasować mnie do jakiejś kategorii - może Yuppie albo Koleś od earl greya - i gdyby wiedziała, czego może się po mnie spodziewać.

Ale ja lubię czasem ją zaskoczyć: pojawić się od czasu do czasu w dzinsach, zamówić kawę (choć jej nie znoszę) albo tak jak kilka tygodni temu sześć kawałków ciasta, które potem pochłonałem, jeden po drugim, na jej oczach. Ewidentnie korciło ją, żeby jakoś to skomentować, jednak nie miała odwagi. W każdym razie teraz patrzy na mnie podejrzliwie. Facet, który zjada sześć kawałków ciasta, jest zdolny do wszystkiego.

Nie powinna sądzić po pozorach. Sama stanowi najlepszy tego przykład, ze swoim szmaragdowym kolczykiem w brwi i gwiazdami wytatuowanymi na chudych ramionach. Nieśmiała, rozżalona dziewczynka, rekompensująca sobie dawne smutki tłumioną agresją wobec każdego, kto krzywo na nią spojrzy.

Mimo wszystko to właśnie Bethan jest moim najlepszym źródłem plotek. Ze swojej kawiarenki dostrzega wszystko. Co prawda rzadko się do mnie odzywa, ale słyszę jej rozmowy z innymi klientami. W przypadku ludzi takich jak ja zachowuje

ostrożność, jednak wobec stałych bywalców jest wesola i bezpośrednia. Dzięki niej mogę gromadzić informacje najróżniejszego rodzaju. Na przykład to, że dziewczyna w czerwonym płaszczu woli gorącą czekoladę od herbaty i kajmak od ciasta z marchwi, przedkłada Beatlesów nad Stonesów, a poza tym ma zamiar iść na pogrzeb, który odbędzie się w miejscowym domu pogrzebowym w sobotę o 11:30.

Sobota. Owszem, zamierzam się tam wybrać. Przynajmniej będę miał okazję popatrzeć na nią gdzieś z dala od tej paskudnej kawiarenki. Może - tylko może - jest mi to winna. Takie zamknięcie, jak mawiają Amerykanie. Zakończenie parady kłamstw.

Kłamstw? Tak, każdy się do nich ucieka. Sam kłamię, odkażd tylko sięgam pamięcią. To jedyna rzecz, w której jestem dobry, a przecież powinniśmy wykorzystywać swoje mocne strony, prawda? Ostatecznie kimże jest pisarz parający się beletrystyką, jeśli nie licencjonowanym kłamcą? Sądząc po moich tekstach, nigdy byście nie zgadli, że jestem zwykłym przeciętniakiem. W każdym razie przynajmniej na zewnątrz, wewnątrz to zupełnie inna sprawa. Ale czyż wszyscy nie jesteśmy mordercami w głębi serca, wystukującego morsem tajemnice spowiedzi?

Clair uważa, że powinienem zagadać do dziewczyny w czerwonym płaszczu.

Próbowałeś kiedyś powiedzieć jej, co czujesz?, dopytuje w swoim ostatnim e-mailu. Oczywiście Clair wie tylko to, co chcę, żeby wiedziała - że od dawna mam obsesję na punkcie dziewczyny, z którą zamieniłem dotąd jedynie słówko czy dwa. Ale może Clair identyfikuje się ze mną bardziej, niż jej się zdaje - czy może raczej z błękitnookim chłopcem, którego platoniczna miłość do bezimiennej wybranki odzwierciedla jej nieodwzajemnione uczucie do Anielskiego Błękitu.

Rady Kapitana są bardziej prostackie. *Po prostu ją zerznij i miej to wreszcie za sobą*, zaleca znudzonym tonem kogoś, kto bezskutecznie próbuje ukryć własny brak doświadczenia. *Kiedy minie wrażenie nowości, zobaczysz, że jest taka sama jak inne dziwki, i będziesz mógł wreszcie wrócić do tego, co się naprawdę liczy...*

Toksyczny go popiera, domagając się relacji na moim blogu, z najbardziej intymnymi szczegółami. *Im obleśniejsze, tym lepsze*, dodaje. *A tak przy okazji, jaki ma rozmiar miscalczy?*

Albertyna rzadko komentuje moje wpisy, jednak wyczuwam jej dezaprobatę. Natomiast porcelanowymotył nie zamierza pozostawiać bez komentarza tego, co uważa za mój beznadziejny romans. *Nawet niegrzeczni chłopcy potrzebują miłości*, pisze z krępującą szczerością. *Zasługujesz na to, błękitnookichłopcze, naprawdę*. Nie wysuwa swojej kandydatury, jeszcze nie, choć dostrzegam w jej słowach tę tęsknotę. Każda dziewczyna marzy o kimś takim jak ja, zdaje się sugerować.

Biedna Chryssie. Tak, jest gruba. Ale ma świetne włosy i ładną buzię, a ja pozwoliłem jej uwierzyć, że wolę pulchne dziewczyny.

Problem w tym, że jestem za dobry w łgarstwach. Teraz Chryssie chce mnie zobaczyć za pośrednictwem kamery internetowej. Ostatnich kilka tygodni koresponduje ze mną na moim blogu, przesyła prywatne wiadomości i swoje zdjęcia.

Dlaczego nie mogę cie zobaczyć?, pyta.

To wykluczone, odpowiadam.

Dlaczego? Jesteś paskudny?

Aha. Kompletna ruina. Złamany nos, podbite oko, cały w ranach i siniakach. Wyglądam jak po dwunastu rundach z Tysonem. Możesz mi wierzyć, Chryssie. Wiałabyś, gdzie pieprz rośnie.

Serio?? Co sie stalo?

Komuś nie przypadłem do gustu.

O!!! Napadli cie?

Chyba można to tak nazwać.

!!!och, cholera, rany, biedaku! ☹ Ściskam cie bardzo bardzo mocno

Dzięki, Chryssie. Jesteś bardzo mila.

Boli??

Kochana Chryssie. Czuję taką falę sympatii z jej strony. Chryssie lubi opiekować się innymi, a ja lubię podsycać jej fantazje. Nie jest we mnie zakochana - przynajmniej na razie. Ale nie trzeba wiele, żeby tak się stało. To trochę okrutne, wiem. Ale czyż nie tak właśnie postępują niegrzeczni chłopcy? Poza tym sama ściąga to na siebie. Ja tylko ułatwiam jej sprawę. Chryssie to wcielona zapowiedź nieszczęśliwego wypadku, za który nikt nie będzie mógł mnie winić.

Skarbie, opowiedz mi, co sie stalo, dopytuje. I chyba dzisiaj spełnię jej życzenie. Daj odrobinę, zabierz o wiele więcej. Czyż to nie najlepszy interes?

W porządku, skarbie. Jak sobie chcesz. Sprawdźmy, co powiesz na taką historyjkę.

10.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 14:35 w czwartek, 31 stycznia

Status: publiczny

Nastrój: kochliwy

Słucham: „Letterbomb” Green Day

Zakochany błękitnookichłopiec. A co? Myślicie, że mordca nie może się zakochać? Zna ją od zawsze, a jednak tak naprawdę ona go nie dostrzega. Jeśli chodzi o kobietę, którą kocha, równie dobrze mógłby być niewidzialny. Ale on ją widzi, widzi jej włosy, usta, jej drobną bladą buzię o prostych, ciemnych brwiach, kiedy wylania się z porannej mgły w swoim jaskrawoczerwonym płaszczu niczym jakaś istota rodem z bajki.

Oczywiście czerwień to nie jest jej kolor - ale on się nie spodziewa, żeby to wiedziała. Ona nie ma pojęcia, jak bardzo lubi ją obserwować przez teleobiektyw, analizować szczegóły jej stroju, patrzeć na włosy rozwiewane przez wiatr, podziwiać precyzję, z jaką się porusza, te wszystkie niemal niedostrzegalne ruchy, którymi znaczy swoją drogę - dłoń wsparta

o ścianę, muśnięcie palcami żywopłotu z cisów, chwila zastanowienia, aby odwrócić twarz na spotkanie zapachów, kiedy mija miejscową piekarnię.

Wcale nie uważa się za podglądacza. Robi to dla własnej obrony. Jego instynkt przetrwania jest tak wyostrzony, że potrafi w niej wyczuć zagrożenie, niebezpieczeństwo kryjące się za tą słodką buzią. Może właśnie to niebezpieczeństwo tak go pociąga. Stąpanie po kruchym lodzie. Poczucie, że każda wykradziona za pomocą teleobiektywu pieszczota może być dla niego zabójcza.

A może chodzi jedynie o świadomość, że ona należy do kogoś innego.

Nigdy wcześniej nie był zakochany. To go trochę przeraża, ta intensywność uczucia, sposób, w jaki jej twarz wdziera się w jego myśli, fakt, że jego palce wciąż kreślą jej imię, podczas gdy cały świat jakby się zmówił, by wciąż mu o niej przypominać.

To powoduje zmianę w jego zachowaniu, czyni go pełnym sprzeczności, jednocześnie bardziej i mniej tolerancyjnym. Chce zrobić to, co słuszne, ale myśli wyłącznie o sobie. Chce ją widywać, a na jej widok ucieka. Pragnie, aby to trwało wiecznie, a jednocześnie nie może się już doczekać końca.

Przybliża obraz, aż jej twarz nabiera mistycznych, niemal monstrualnych rozmiarów, stając się jednym okiem o barwie błękitu i złota, które patrzy w obiektyw niewidzącym spojrzeniem, niczym orchidea rozkwitająca za szybą pojemnika.

Lecz oczywiście dla oczu spoglądających z miłością dziewczyna zawsze będzie się jawić w odcieniach błękitu. Błękitu sińców, błękitu motyli skrzydeł, kobaltowego, szafirowego, górskiego błękitu. Błękitu, barwy jej tajemnej duszy, koloru śmiertelności.

Jego brat w czerni wiedziałby, co powiedzieć. Błękitnokichłopiec nie potrafi znaleźć właściwych słów. Wyobraża

sobie, jak tańczą we dwoje pod gwiazdami, ona w balowej sukni z błękitnego jedwabiu, on w swoich barwach. W tych marzeniach też brakuje mu słów, lecz czuje zapach jej włosów, gładkość skóry pod palcami...

Nagle rozlega się głośne pukanie do drzwi. Błękitnokichłopiec wzdyga się, pełen poczucia winy. To go złości, bo przecież jest we własnym domu, nikomu nie robi nic złego, skąd więc ten niepokój?

Odkłada aparat. Pukanie powtarza się, nagłące, władcze. Ktoś chyba się niecierpliwi.

- Kto tam? - pyta błękitnokichłopiec.

Zza drzwi rozlega się głos znajomy, choć niezbyt lubiany.

- Wpuść mnie.

- Czego chcesz?

- Musimy pogadać, ty dupku.

Nazwijmy go panem Nocny Błękit. Jest znacznie potężniejszy od błękitnokiegochłopca i równie niebezpieczny jak wściekły pies. Ale taka furia to coś nowego, kiedy dobija się do drzwi wejściowych, domagając się, żeby go wpuścić. Ledwie odsuwają się zasuw, a już wpada do holu i bez żadnych wstępów wali naszego bohatera głową prosto w twarz.

Błękitnokichłopiec upada z ogromną siłą na stół, bibeloty i wazon uderzają odłamkami o ścianę. Błękitnokichłopiec potyka się i łąduje koło schodów, a Nocny Błękit siada na nim okrakiem, zaczyna okładać go pięściami, wrzeszcząc przy tym:

- Trzymaj się od niej z daleka, ty popierdolony sukinsynu!

Nasz bohater nawet nie próbuje się bronić. Wie, że nie ma żadnych szans. Zamiast tego zwija się w sobie niczym krab pustelnik chowający się do swojej muszli, próbuje osłaniać rękami twarz, płacząc ze strachu i nienawiści, podczas gdy

przeciwnik wymierza mu cios za ciosem w żebra, plecy, ramiona.

- Zrozumiałeś? - pyta Nocny Błękit w chwili przerwy na złapanie oddechu.

- Przecież nic nie zrobiłem. Nigdy nawet z nią nie rozmawiałem.

- Nie dam się nabrać - rzuca Błękit. - Wiem, co knujesz. A te zdjęcia?

- Z-zdjęcia? - jąka się błękitnookichłopic.

- Nawet nie próbuj mnie okłamywać. - Błękit wyciąga z wewnętrznej kieszeni kurtki fotografie. - Te zdjęcia, zrobione przez ciebie, wywołane tutaj, w twojej ciemni...

- Skąd je masz? - pyta błękitnookichłopic.

Tamten zadaje mu ostatni cios.

- Nieważne skąd. Jeśli jeszcze kiedyś się do niej zbliżysz, jeżeli się do niej odezwiesz, napiszesz - do diabła, jeśli choćby na nią spojrzysz - pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś. Ostrzegam cię po raz ostatni.

- Proszę! - skomli nasz bohater, chowając głowę w ramionach.

- Ja nie żartuję. Zabiję cię!

Nie, jeśli ja zabiję cię pierwszy, myśli błękitnookichłopic, lecz zanim zdąży się ochronić, zniechęcony posmak gnijących owoców wypełnia mu gardło odorem szklarni, głowę przeszywa ostrze bólu i nagle ogarnia go wrażenie, że umiera.

- Błagam...

- Lepiej mnie nie okłamuj. I niczego przede mną nie ukrywaj.

- Nie będę - jęczy błękitnookichłopic przez krew iłży.

- Pamiętaj - rzuca Nocny Błękit.

Oszołomiony błękitnookichłopiec słyszy trzaśnięcie drzwi. Z trudem unosi powieki. Nocny Błękit już sobie poszedł, ale on mimo wszystko czeka na warkot auta ruszającego z podjazdu, zanim powoli, ostrożnie podniesie się z podłogi i pójdzie do łazienki, żeby obejrzeć swoje obrażenia.

Co za jatka. Co za cholerna jatka.

Biedny błękitnookichłopiec: złamany nos, krwawiąca warga, niebieskie oczy podbite i opuchnięte, tak że zamieniły się w szparki. Na przodzie koszuli widać plamy krwi, która nadal sączy mu się z nosa. Czuje silny ból, ale wstyd pali jeszcze bardziej, chociaż i tak najgorsza jest świadomość, że to nie jego wina. W tym wypadku jest zupełnie niewinny.

Jakie to dziwne, myśli, że dotąd udawało mu się uniknąć kary za wszystkie grzechy, a ten jeden raz, kiedy nie zrobił nic złego, spotyka go coś takiego.

To karma, tłumaczy sobie. Kar-ma.

Wpatruje się w swoje odbicie, patrzy na nie naprawdę długo. Czuje spokój, kiedy tak przygląda się sobie, aktorowi na małym ekranie. Dotyka swojego odbicia, a otarcia na twarzy reagują ukłuciem bólu. A jednak nadal czuje się dziwnie oddzielony od tego człowieka w lustrze, zupełnie jakby to była tylko rekonstrukcja jakiejś dalekiej rzeczywistości, coś, co wydarzyło się komuś innemu przed wielu, wielu laty.

„Mówię poważnie, B.B. Zabiję cię”.

Nie, jeśli ja zabiję cię pierwszy, myśli sobie.

Czy rzeczywiście byłoby to takie trudne? Demony istnieją przecież po to, by je pokonywać. Może nie brutalną siłą, tylko raczej inteligencją i podstępem. Gdzieś w zakamarkach jego umysłu zaczyna się formować załączek planu. Raz jeszcze spogląda na swoje odbicie, a potem prostuje ramiona, ociera krew z wargi i w końcu zaczyna się uśmiechać.

Nie, jeśli ja zabiję cię pierwszy.

Czemu nie?
Ostatecznie robił to już wcześniej.

Dodaj komentarz

porcelanowymotył: super rany to prawda?

blekitnookichlopiec: Jak wszystko inne, co piszę...

porcelanowymotył: Ojej biedny blekitnookichlopiec mam ochotę uści-
skać go z całej siły

JezusmoimPanem: SUKINSYNU ZASŁUGUJESZ NA ŚMIERĆ

Toksyczny69: Rany, człowieku, tak jak my wszyscy.

ClairDeLune: Blekitnookichlopiec, to naprawdę fantastyczne. Wresz-
cie postanowiłeś rozprawić się ze swoim gniewem. Chyba powinniśmy
omówić to dokładniej, nie sądzisz?

Kapitanmordercakroliczkow: Stary, zajebicie! Ten tekst wymiata. Nie
mogę się już doczekać odwetu.

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

blekitnookichlopiec: jesteś bardzo wytrwała,

JennyTricks. Zdradź mi - czy my się przypadkiem nie znamy?

11.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 01:37 w piątek, 1 lutego

Status: prywatny

Nastój: melancholijny

Słucham: „Born Bad” Voltaire'a

No cóż, nie, to nie było dokładnie tak. Ale mimo wszystko zbyttno nie odbiega od prawdy. Prawda to takie małe, złośliwe zwierzątko, które za pomocą zębów i pazurów próbuje utorować sobie drogę ku światłu. I wie, że jeśli chce się narodzić, coś innego - ktoś inny - musi umrzeć.

Widzicie, rozpocząłem swoje życie jak bliźniak. Mój brat - który, gdyby żył, otrzymałby imię Malcolm - urodził się martwy w dziewiętnastym tygodniu.

Cóż, tak przynajmniej brzmi oficjalna wersja. Kiedy miałem sześć lat, mama powiedziała mi, że połknąłem brata *in utero* - najprawdopodobniej gdzieś pomiędzy dwunastym a trzynastym tygodniem ciąży - podczas jakiejś awantury o przestrzeń życiową. To zdarza się częściej, niż się ludziom wydaje. Dwa ciała, jedna dusza, unoszące się w wywoływaczu natury, walczące o prawo do istnienia.

Mamusia zachowała pamięć o moim bliźniaku w postaci bibelotu na półce nad kominkiem - figurki śpiącego psiaka z wrytymi inicjałami syna. Tej samej, między nami mówiąc, którą stłukłem w dzieciństwie, a potem próbowałem się ratować kłamstwem, za co zostałem sprany kablem, po czym usłyszałem, że urodziłem się z gruntu zły, morderca już w zarodku, a powinienem przecież zrobić coś ze swoim kradzionym życiem, bo jestem to winny nam obu.

Tak naprawdę jednak w głębi duszy była ze mnie dumna. Fakt, że połknąłem swojego bliźniaka, aby przeżyć, zdawał się świadczyć o mojej sile. Mamusia gardzi słabością. Twarda jak hartowana stal, nie zniosłaby w swoim domu nieudacznika. „Życie jest takie, jakim je uczynisz”, zwykła mawiać. „Jeśli nie walczysz, zasługujesz na śmierć”.

Potem często śniłem, że to Malcolm - którego imię jawi mi się w przyprawiających o mdłości odcieniach zieleni - zwyciężył i zajął moje miejsce. Nawet teraz nawiedza mnie czasem ten obraz - dwie małe żarłoczne kijanki, dwie piranie obok siebie, dwa serca w krwawej łaźni substancji chemicznych, domagające się, aby bić jako jedno. Zastanawiam się, czy gdyby to Mai przeżył, zajęłby moje miejsce? Czy to on stałby się błękitnookimchłopcem?

A może miałyby swój własny kolor? Na przykład zielony, żeby pasował do jego imienia? Próbuję wyobrazić sobie jego garderobę w różnych odcieniach zieleni, zielone bokserki, zielone skarpetki, ciemnozielony sweter w serek do szkoły. Wszystkie ubrania takie same jak moje (oczywiście poza kolorem), wszystkie w moim rozmiarze, zupełnie jakby ktoś nałożył soczewkę na świat, nadając mojemu życiu inny odcień.

Kolory robią ogromną różnicę. Nawet po tylu latach nadal przestrzegam zasad mojej matki, jeśli chodzi o dobór stroju. Niebieskie dżinsy, bluza z kapturem, podkoszulek, skarpety

- nawet moje adidas mają z boku niebieską gwiazdkę. Czarny sweter z golfem, prezent na ostatnie urodziny, leży nieużywany w dolnej szufladzie, a kiedy tylko pomyślę o jego przymierzeniu, ogarnia mnie bezsensowne poczucie winy.

„To sweter Nigela”, mówi jakiś ostry głos w mojej głowie i chociaż wiem, że to idiotyczne, nie potrafię się zmusić do włożenia ubrania w tym kolorze, nawet na pogrzeb brata.

Może to dlatego, że Nigel mnie nienawidził. I winił za wszystko, co było nie tak. Za odejście taty i swoją odsiadkę w pudle, za swoje załamanie i zrujnowane życie. Nienawidził za to, że matka kochała mnie najbardziej z całej naszej trójki. No cóż, przynajmniej w tym wypadku jego niechęć była uzasadniona. Mamusia bez wątpienia mnie faworyzowała. W każdym razie na początku. Może z powodu mojego zmarłego bliźniaka albo męki porodu, może przez wzgląd na pana Błękitnookiego, który jak twierdziła, był miłością jej życia.

Nigel jednak podniósł rywalizację pomiędzy rodzeństwem do rangi prawdziwej sztuki. Obaj żyliśmy w ciągłym lęku przed jego wybuchami niekontrolowanej złości. Jego brat w bieżach unikał najgorszego, bezbronny w tylu innych aspektach. Właśnie dlatego Nigel go lekcewał, traktował jako gorliwego niewolnika, kiedy mu to odpowiadało, ludzką tarczę osłaniającą go w razie potrzeby przed gniewem mamy, a w pozostałych sytuacjach po prostu chłopca do bicia, przyjmującego na siebie winę za to, co zrobili inni.

Tylko że znęcanie się nad Brenem było zbyt łatwe. Taki cel nie dawał żadnej satysfakcji. Nawet uderzony, doprowadzony do lez Bren nigdy nie próbował oddać. Może doświadczenie nauczyło go, że najlepszy sposób postępowania z Nigelem, podobnie zresztą jak w wypadku szarżującego słonia, to leżeć nieruchomo i udawać martwego, z nadzieją że uda się uniknąć stratowania. Poza tym mimo tortur wymyślanych

przez Nigela Bren zdawał się nigdy nie żywić do brata urazy, co tylko utwierdzało Glorię w przekonaniu, że jej średni syn nie należy do bystrzaków i że jeśli ktokolwiek może im zapewnić szczęśliwe życie, to jedynie Benjamin.

No cóż, tak. Mamusia uwielbiała takie stereotypy. Wychowana na bajeczkach o szczęśliwych kuponach totka, najmłodszych synach poślubiających księżniczki, ekscentrycznych milionerach zostawiających całą swoją fortunę małym ulicznikom, którzy ujęli ich za serce, wierzyła w przeznaczenie. Postrzegała takie rzeczy wyłącznie w kategoriach czerni i bieli. I chociaż Bren podporządkował się jej decyzjom bez szemrania, przedkładając bezpieczną przeciętność nad zdradliwe brzemie genialności, Nigel, który nie był głupi, musiał czuć się rozżalony, kiedy odkrył, że już w chwili narodzin przydzielono mu rolę brzydkiej przyrodniej starszej siostry, wiecznie faceta w czerni.

W rezultacie Nigel był wściekły. Wściekły na matkę, wściekły na Bena, a nawet na biednego, grubego Brendana, który tak bardzo starał się być cichy i grzeczny, i który coraz częściej znajdował pociechę w jedzeniu, jakby dzięki słodyczom mógł sobie zapewnić coś na kształt ochrony w świecie aż nazbyt pełnym ostrych krawędzi.

Tak więc kiedy Nigel bawił się na dworze albo jeździł na rowerze po osiedlu, a Bren przesiadywał przed telewizorem z ciastkiem w każdym ręku i sześciopakiem pepsi u boku, Benjamin chodził do pracy z mamusią, ściskając w pulchnych paluszkach ściereczkę do kurzu, z oczami szeroko otwartymi na widok bogactwa w domach innych ludzi, szerokich schodów i schludnych podjazdów, rozbudowanych zestawów nagłaśniających i półek pełnych książek, wyładowanych po brzegi lodówek, fortepianów w holu, puszystych dywanów i mis z owocami ustawionych w jadalniach na stołach równie lśniących i szerokich jak parkiet w sali balowej.

- Popatrz tutaj, Ben - mówiła mamusia, wskazując jakieś zdjęcie chłopca czy dziewczynki w szkolnym mundurku, spoglądających ze szczerbatym uśmiechem ze skórzanych ramek. - To ty za kilka lat. Będiesz się uczył w wielkiej szkole, a ja będę z ciebie taka dumna...

Jak tyle innych jej czułości te słowa dziwnie przypominały groźbę. Gloria była wtedy po trzydziestce - już wyniszczona do szczętu wpływem lat.

Albo tak przynajmniej sądziłem, kiedy byłem mały. Teraz patrzę na jej fotografię i widzę, że była piękna, może nie w konwencjonalny sposób, ale naprawdę niezwykła z tymi swoimi czarnymi włosami i ciemnymi oczami, pełnymi ustami i wydatnymi kośćmi policzkowymi, które nadawały jej wygląd Francuzki, chociaż była do szpiku kości Brytyjką.

Nigel odziedziczył po niej typ urody, miał te same ciemne jak espresso oczy. A ja zawsze byłem inny - jasne włosy, które z biegiem lat przeszły w brąz, wąskie wargi o nieco podejrzliwym wyrazie i oczy dziwnie szaroniebieskiej barwy, tak duże, że zajmowały pół twarzy.

Czy Mai byłby dokładnie taki jak ja? Czy miałby moje niebieskie oczy? A może to ja mam jego oczy, poza moimi włosami, wiecznie patrzące gdzieś do wewnątrz?

W językach orientalnych, albo tak przynajmniej zwykł twierdzić doktor Peacock, nie ma rozróżnienia pomiędzy kolorem niebieskim a zielonym. Zamiast tego istnieje określenie złożone, oddające elementy obu barw, które można przetłumaczyć jako „koloru nieba” albo też „barwy liści”. Dla mnie miało to sens. Od najwcześniejszego dzieciństwa zawsze uważałem błękit przede wszystkim za „kolor Bena”, brąz za „kolor Brendana”, a czerń za „kolor Nigela” i nie przyszło mi nawet do głowy, że inni mogliby postrzegać rzeczywistość inaczej.

Doktor Peacock to zmienił. Nauczył mnie nowego sposobu patrzenia na te kwestie. Za pomocą map, nagrań, książek i gablot pełnych motyli pokazał mi, jak poszerzyć granice mojego świata, jak wierzyć świadectwu zmysłów. Za to będę mu do zgonnie wdzięczny, nawet jeśli potem mnie zawiódł. Ostatecznie zawiódł nas wszystkich: mnie, moich braci, Emily. Widzicie, mimo całej życzliwości, jaką nam okazywał, tak naprawdę wcale o nas nie dbał. Kiedy miał nas dosyć, zwykle odkładał nas z powrotem na półkę. Albertyna to rozumie, chociaż nigdy nie wspomina tamtych czasów, a co więcej, udaje kogoś innego.

Jednak ostatnie wydarzenia mogły to wszystko zmienić. Pora sprawdzić, co u niej słychać. Chociaż Albertyna jeszcze o tym nie wie, mogę czytać wszystkie jej wpisy. Nie obowiązują mnie żadne ograniczenia, posty publiczne ani prywatne, to bez znaczenia. Oczywiście, ona nie zdaje sobie z tego sprawy. Ukryta w swoim kokonie, nie ma pojęcia, jak uważnie ją obserwuję. Wygląda tak niewinnie w tym swoim czerwonym płaszczku i z koszyczkiem w ręku, prawda? Ale jak zdążył się już zorientować mój brat Nigel, niegrzeczni faceci wcale nie chodzą ubrani na czarno, a zagubiona w lesie dziewczynka może się okazać godnym przeciwnikiem dla złego wilka...

CZĘŚĆ DRUGA

CZERŃ

1.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 20:54 w sobotę, 2 lutego

Status: prywatny

Nastrój: ponury

Zawsze nienawidziłam pogrzebów. Huczenia pieca kremacyjnego, gwaru głosów ludzi próbujących mówić jednocześnie, stukotu obcasów na wyfroterowanej podłodze, mdlącego zapachu kwiatów. Kwiaty z wiązanek pogrzebowych różnią się od wszystkich innych, prawie w ogóle nie pachną jak kwiaty, tylko jak środek dezynfekujący przeciwko śmierci, mieszanina chloru i aromatu sosnowego. Oczywiście kolory są ładne, powtarzają wszyscy. Lecz jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, kiedy trumna zanurza się wreszcie w czeluściach pieca, to gałązka pietruszki, jaką ozdabia się potrawę z ryby w restauracjach, tym pozbawionym smaku, sprężystym przybraniu, którego nikt nigdy nie ma ochoty zjeść. Coś, co ma sprawić, że danie zyska atrakcyjny wygląd, i odwróci naszą uwagę od posmaku śmierci.

Na razie właściwie w ogóle mi go nie brakuje. Wiem, że to brzmi strasznie. Byliśmy przyjaciółmi i kochankami,

i na przekór wszystkiemu - jego ponurym nastrojom, nerwowości, ciągłemu postukiwaniu palcami i kręceniu się - zależało mi na nim. A jednak czuję tak niewiele, kiedy trumna z jego ciałem wjeżdża do pieca. Czy to czyni ze mnie złego człowieka?

Myślę, że może tak.

Nieszczęśliwy wypadek, mówią. Nigel był okropnym kierowcą. Zawsze przekraczał dozwoloną prędkość, łatwo tracił panowanie nad sobą, ciągle pukał, stukał, wymachiwał rękami, jakby tym ciągłym ruchem mógł jakoś zrekompensować bezczynność innych. No i te jego napady milczącej furii na osobę jadącą przed nim, na to, że zawsze zostaje z tyłu, na zbyt powolnych albo pędzących z nadmierną prędkością kierowców, na rżęchowate samochody, dzieciaki i suvy.

„Niezależnie od tego, jak szybko jedziesz” - mawiał, postukując przy tym palcami o tablicę rozdzielczą w sposób, który zawsze doprowadzał mnie do szału - „zawsze ktoś jest przed tobą, jakiś idiota podsuwający ci pod nos swój zderzak jak napalona suka wystawiająca tyłek”.

No cóż, Nigel, tym razem się doigrałeś. Dokładnie na skrzyżowaniu Mili Road i Northgate, rozwleczony po czterech pasach jezdni, przewrócony kołami do góry jak samochodzik zabawka. Obludzona nawierzchnia, mówili. Ciężarówka. Nikt nie był w stanie stwierdzić tego na pewno. Zidentyfikował cię ktoś z rodziny. Pewnie twoja matka, chociaż oczywiście nie mogę tego sprawdzić. Ale na to mi wygląda. Ona zawsze wygrywa. A teraz jest tutaj, cała wystrojona na czarno, szlochająca na ramieniu syna - to znaczy jej jedyne go pozostałego przy życiu syna - podczas gdy ja stoję na końcu sali z suchymi oczyma.

Nie zostało wiele ani z samochodu, ani z ciebie. Karma dla psów w poobijanej puszcze. Widzisz, staram się być brutalnie

szczerą. Wszystko po to, żeby poczuć coś jeszcze - cokolwiek - poza tym upiornym spokojem tam w środku.

Nadal słyszę hałas maszynerii pracującej za zasłoną z tan-detnego aksamitu (zabezpieczonego azbestem) po tym, jak skromna ceremonia dobiegła wreszcie końca. Nie uroniłam jednej łzy. Nawet kiedy rozległy się pierwsze takty pożegnalnej melodii.

Nigel nigdy nie przepadał za muzyką klasyczną. Od zawsze wiedział, co powinni zagrać na jego pogrzebie, a teraz jego życzeniu stało się zadość - zabrzmiały „Paint It Black” Rolling Stonesów i „Perfect Day” Lou Reeda, lecz obie piosenki, choć wystarczająco mroczne w tym kontekście, nie wywarły na mnie żadnego wrażenia.

Już po wszystkim automatycznie powlokłam się za resztą żałobników do sali przyjęć, gdzie znalazłam sobie miejsce z dala od kłębiącego się tłumu. Matka Nigela nie odezwała się do mnie, zresztą wcale na to nie liczyłam. Wyczuwałam jednak jej obecność gdzieś w pobliżu, złowrogą niby gniazdo os. Jestem przekonana, że obwinia mnie o ten wypadek, chociaż trudno sobie wyobrazić, jakim cudem mogłabym być za cokolwiek odpowiedzialna.

Śmierć syna to dla niej nie tyle utrata kogoś bliskiego, ile raczej okazja do obnoszenia się ze swoim cierpieniem. Słyszałam jej rozmowę z przyjaciółkami, prowadzoną głosem rwącym się od gniewu:

- Nie mogę uwierzyć, że ona tu jest - mówiła. - Nie mogę uwierzyć, że miała chęć...

- Daj spokój, kochanieńka - mitygowała ją Eleanor Vine. Rozpoznałam jej bezbarwny głos. - Nie denerwuj się tak, to ci może zaszkodzić.

Eleanor jest przyjaciółką Glorii, jak również jej dawną pracodawczynią. Pozostała dwójka z jej orszaku to Adèle Roberts, kolejna była pracodawczyni, a przy tym emerytowana

nauczycielka z Sunnybank Park, którą wszyscy uważają za Francuzkę (z powodu tego akcentu w jej imieniu), oraz Maureen Pike, bezceremonialna i odrobinę agresywna kobieta, kierująca lokalną strażą sąsiedzką. Jej głos jest najgłośniejszy ze wszystkich i słyszę, jak zwołuje posiłki.

- Otóż to. Uspokój się. Zjedz jeszcze kawałek ciasta.

- Jeśli myślisz, że w takiej sytuacji będę w stanie cokolwiek przełknąć...

- W takim razie napij się herbaty. To ci dobrze zrobi. Musisz się wzmocnić, kochana.

Po raz kolejny pomyślałam o trumnie i kwiatkach. Do tej pory wszystko zdążyło już spłonąć. Tak wielu ludzi opuściło mnie w ten sposób. Kiedy wreszcie popłyną lży?

Wszystko zaczęło się dziewięć dni wcześniej. Dziewięć dni temu przyszedł list. Aż do tego momentu żyliśmy - Nigel i ja - w miękkim kokonie drobnych codziennych przyjemności i nieszkodliwych przyzwyczajęń, dwójka ludzi udających przed sobą nawzajem, że wszystko przebiega normalnie - cokolwiek to znaczy - i że żadne z nich nie jest okaleczone, ułomne, pewnie nie do odratowania.

A co z miłością? To też, oczywiście. Ale miłość to w najlepszym przypadku umykający szybko żaglowiec, podczas gdy Nigel i ja byliśmy rozbitkami, trzymającymi się kurczowo razem w poszukiwaniu otuchy i odrobiny ciepła. On był gniewnym poetą, spoglądającym z rynsztoka ku gwiazdom. Ja byłam zawsze inna.

Urodziłam się tutaj, w Malbry. W tej pozbawionej znaczenia dzielnicy na północnych przedmieściach niemodnego północnego miasteczka. Tu jest bezpiecznie. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nikt nie kwestionuje mojego prawa do życia. Nikt nie puszcza płyt zostawionych przez tatę, nie grywa na

pianinie Berlioza, a zwłaszcza jego „Symfonii fantastycznej”, która ciągle mnie prześladowa. Nikt nie rozmawia o Emily White, skandalu i tragedii. No, prawie nikt. Wszystko wydarzyło się tak dawno temu - minęło już ponad dwadzieścia lat - że nawet jeśli ktokolwiek wraca myślami do przeszłości, to wyłącznie w związku z faktem, że ktoś taki jak ja wprowadził się do tego domu - domu Emily - cieszącego się od czasu owych wydarzeń złą sławą, albo że doprawdy, ze wszystkich mężczyzn w Malbry, to właśnie syn Glorii Winter zapadł mi w serce.

Poznałam go przez przypadek któregoś sobotniego wieczora w Zebrze. Do tamtego dnia byłam właściwie zadowolona z życia, a z domu, który tak bardzo potrzebował remontu, wreszcie zniknęli robotnicy. Tata nie żył już od trzech lat. Wróciłam do dawnego nazwiska, miałam swój komputer i swoich przyjaciół w sieci. Chodziłam do Zebrzy w poszukiwaniu towarzystwa. A jeśli czasem nadal czułam się samotna, w pokoju gościnnym ciągle jeszcze stało pianino, teraz bezнадziejnie rozstrojone, ale do bólu znajome, tak jak zapach tytoniu ojca, podchwycony gdzieś przypadkiem na ulicy, niczym pocałunek nieznanego.

A potem w moim życiu pojawił się Nigel Winter. Nigel, który niczym nieokiełznany żywioł niszczył wszystko na swojej drodze. Nigel, który przyszedł tam w poszukiwaniu kłopotów, a jakimś cudem znalazł mnie.

W Różowej Zebrze rzadko zdarzają się nieprzyjemne sytuacje. Nawet w soboty, kiedy czasem wpadają tam motocykliści i goci jadący na koncert w Sheffield czy Leeds, tłum klientów jest niemal zawsze przyjazny, a ponieważ lokal zamyka swoje podwoje o raczej wczesnej porze, oznacza to, że zwykle wychodzący są jeszcze trzeźwi.

Tym razem było inaczej. O dziesiątej w lokalu siedziała jeszcze grupka kobiet - dziewczyn spoza miasta, które

urządziły koleżance wieczór panieński. Po paru butelkach chardonnay zaczęły rozmawiać o skandalach z przeszłości. Udawałam, że tego nie słucham, że jestem niewidzialna. Ale czułam na sobie ich wzrok. Ich niezdrową ciekawość.

- To ty, prawda? - powiedziała w końcu jedna z nich, nieco za głośno, ujawniając podbitym scenicznym szeptem to, o czym nikt nie miał odwagi wspomnieć. - Ty jesteś ta, jak jej tam. - Nieznajoma dotknęła mojego ramienia.

- Przykro mi, nie wiem, o czym pani mówi.

- Ale to ty, widziałam cię. Masz stronę na Wikipedii i w ogóle.

- Nie powinna pani wierzyć we wszystko, co znajduje się w sieci. Większość tych informacji to stek bzdur.

Dziewczyna nie zamierzała tak łatwo rezygnować.

- Bo wiesz, ja byłam obejrzyć te obrazy. Pamiętam, że mama mnie tam zabrała, miałam nawet plakat. Jak to się nazywało? Jakaś francuska nazwa. Wszystkie te zwariowane kolory. No, ale mimo wszystko to musiało być straszne. Biedny dzieciak. Ile miałaś wtedy lat? Dziesięć? Dwanaście? Mówię ci, gdyby ktoś próbował choćby tknąć moje dzieci, zabiłabym na miejscu...

Zawsze miałam skłonność do ataków paniki. Nawet teraz, po tylu latach, spadają na mnie, kiedy się tego najmniej spodziewam. Ten był pierwszy od wielu miesięcy i kompletnie mnie zaskoczył. Nagle nie mogłam złapać tchu, tonąc w muzyce, nawet jeśli żadnej nie było słycać.

Strząsnęłam z ramienia dłoń natarczywej nieznajomej, mlóćąc rękami powietrze. Na ułamek sekundy znowu stałam się tamtą małą dziewczynką - małą dziewczynką zagubioną pośród wędrujących drzew. Wyciągnęłam rękę w kierunku ściany, ale natrafiłam tylko na pustkę. Wokół mnie kłębił się roześmiany tłum dziewczyn. Impreza dobiegała końca. Próbowalam jakoś się trzymać. Słyszałam, jak ktoś prosi

o rachunek, ktoś inny zawołał: „Która jadła rybę?”. Ich śmiech otaczał mnie ze wszystkich stron.

Oddychaj, mała, oddychaj, powtarzałam sobie w myślach.

- Dobrze się czujesz? - Usłyszałam męski głos.

- Przepraszam, po prostu nie lubię tłumów.

Nieznamy się roześmiał.

- W takim razie znalazłaś się w niewłaściwym miejscu, kochana.

„Kochana”. To słowo miało w sobie potencjał.

Początkowo ludzie próbowali mnie przestrzegać. Nigel jest nieźrównoważony. Ma kryminalną przeszłość, powtarzali, ale ostatecznie mojej przeszłości też nie można by nazwać kryształową, a poza tym tak dobrze było dzielić z kimś życie - w każdym razie z kimś prawdziwym - że zignorowałam ostrzeżenia i rzuciłam się na głęboką wodę.

„Byłaś taka słodka - wyznał mi wtedy. - Słodka i zagubiona”. Och, Nigel.

Tamtego wieczoru wybraliśmy się na wrzosowiska. Nigel wyznał mi całą prawdę o sobie, swojej odsiadce w więzieniu i błędzie młodości, przez który tam trafił, a potem opowiadał o tych drobinach światła rozsianych po aksamicie nieba, kiedy tak leżeliśmy wiele godzin pośród wrzosów we wszechogarniającym milczeniu gwiazd.

Proszę, pomyślałam, teraz wreszcie przyszła pora na łzy. Bardziej zresztą nad samą sobą i tamtą gwiazdzistą nocą niż nad Nigelem. Ale nawet na pogrzebie kochanka moje oczy pozostały uparcie suche. A potem poczułam czyjaś dłoń na ramieniu, a męski głos spytał:

- Przepraszam, dobrze się pani czuje?

Jestem bardzo wyczulona na tembr głosu. Każdy ma, niczym instrument, swoje unikatowe brzmienie, swój własny, indywidualny algorytm. Ten był atrakcyjny, spokojny,

precyzyjny, z lekkim wahaniem przy niektórych sylabach, jak u kogoś, kto się kiedyś jąkał. Zupełnie inny niż głos Nigela, a jednak od razu wiedziałam, że to musi być jego brat.

- Wszystko w porządku, dziękuję - powiedziałam.

- „W porządku” - powtórzył z namysłem. - Czyż to nie przydatny zwrot? W tym wypadku oznacza: „Nie mam ochoty z tobą rozmawiać. Proszę, idź sobie i zostaw mnie w spokoju”.

W jego głosie nie było złośliwości. Raczej chłodne rozbowienie, może nawet odrobina współczucia.

- Przepraszam - zaczęłam się tłumaczyć.

- Nie, to ja przepraszam. Po prostu nienawidzę pogrzebów. Tej hipokryzji, pustych frazesów. Jedzenia, którego w innej sytuacji człowiek by nawet nie tknął. Rytuału częstowania tymi maciupenkimi kanapeczkami z pastą rybną, mikroskopijnymi ciasteczkami z konfiturą i kiełbasą w cieście. - Urwał. - Przepraszam. Teraz to ja zachowuję się niegrzecznie. Może przynieść ci coś do jedzenia?

Roześmiałam się niepewnie.

- W twoich ustach brzmi to tak zachęcająco. Ale podziękuję.

- Rozsądna decyzja. - W jego głosie pobrzmiewał uśmiech. Ten jego wdzięk nie przestaje mnie zdumiewać nawet teraz, po tak długim czasie, chociaż ogarniają mnie lekkie mdłości na samą myśl o tym, że na pogrzebie swojego kochanka śmiałam się i rozmawiałam z innym mężczyzną, mężczyzną, który wydał mi się nawet atrakcyjny...

- Muszę przyznać, że mi ulżyło - powiedział. - Już myślałem, że będziesz mnie obwiniać.

- O wypadek Nigela? Czemu miałabym to robić?

- No cóż, może z powodu mojego listu - odparł.

- Listu?

Znowu usłyszałam w jego głosie ten uśmiech.

- Listu, który Nigel otworzył w dniu swojej śmierci.

Dlaczego twoim zdaniem pędził jak szaleniec na złamanie karku? Osobiście uważam, że zamierzał mnie dopaść. Aby przekazać mi jedno ze swoich... ostrzeżeń.

Wzruszyłam ramionami.

- Cóż za subtelność. Śmierć Nigela to był nieszczęśliwy wypadek...

- Nie ma czegoś takiego jak nieszczęśliwe wypadki tam, gdzie w grę wchodzi nasza rodzina.

Na te słowa poderwałam się z miejsca. Zrobiłam to o wiele za szybko, aż krzesło przesunęło się z hałasem po podłodze.

- Co to, do diabła, ma znaczyć? - rzuciłam.

Jego głos był spokojny, ciągle lekko rozbawiony.

- Tylko tyle, że pechowa z nas rodzinka. A czego się spodziewałaś? Jakiegoś wyznania?

- W twoim przypadku wcale by mnie to nie zdziwiło - odparłam.

- Wielkie dzięki. Od razu wiem, gdzie moje miejsce.

W tym momencie czułam już dziwne oszołomienie. Może to wina upału, hałasu albo po prostu fakt, że znalazłam się tak blisko niego, na tyle blisko, by dotknąć jego ręki.

- Nienawidziłeś go. Życzyłeś mu śmierci. - Mój głos zabrzmiał żałośnie, jak u małego dziecka.

Chwila milczenia.

- Myślałem, że znasz mnie lepiej - odparł. - Naprawdę uważasz, że byłbym do tego zdolny?

Niemal słyszałam już pierwsze dźwięki „Symfonii fantastycznej” Berlioza z jej galopada fletów i cichą pieśczętą strun. Nadciągało coś przerażającego. W powietrzu, którym oddychałam, nagle jakby zabrakło tlenu. Wysunęłam rękę, żeby się czegoś przytrzymać, ale nie trafiłam w oparcie krzesła i zupełnie się odsłoniłam. Gardło miałam ściśnięte, głowę ścisnęła mi obręcz, a kiedy wyciągałam rękę przed siebie, natykałam jedynie pustkę.

- Nic ci nie jest? - W jego głosie słychać było niepokój.

Próbowałam znowu odszukać krzesło - naprawdę musiałam gdzieś usiąść - ale straciłam orientację w sali, która nagle wydała mi się taka ogromna.

- Spróbuj się odprężyć. Usiądź. Oddychaj głęboko. - Poczulałam, jak otacza mnie ramieniem i delikatnie kieruje w stronę krzesła, a wtedy znowu pomyślałam o Nigelu i głosie taty, łamiącym się lekko przy słowach: „No, dalej, Emily. Oddychaj. Oddychaj!”.

- Może wyprowadzę cię na zewnątrz? - usłyszałam.

- Nie, to nic takiego. Wszystko w porządku. To przez ten hałas.

- Jeżeli tylko nie chodziło o to, co powiedziałem...

- Nie pochlebiaj sobie.

Wykrzywiłam wargi w namiastce uśmiechu. Czulałam się tak, jakbym miała na twarzy maseczkę chirurgiczną. Musiałam się stamtąd wydostać. Wyrwałam się, pchnięte krzesło przesunęło się po linoleum. Gdybym tylko mogła zaczerpnąć powietrza, wszystko byłoby w porządku. Umilkłyby te głosy w mojej głowie. A ta okropna muzyka wreszcie by ucichła.

- Wszystko w porządku?

„Oddychaj, maleńka, oddychaj”.

I znowu muzyka rozbrzmiała głośniejsz, przechodząc w tonację dur, która jakimś cudem wydała mi się jeszcze groźniejsza, jeszcze bardziej niepokojąca niż moll.

A potem jego głos znowu przebił się poprzez gwar:

- Nie zapomnij swojego płaszcza, Albertyno.

Odskoczyłam i nie bacząc na stojących ludzi, rzuciłam się biegiem przed siebie. Przeciskałam się przez zwarty tłum, ledwo zdoławszy wykrztusić: „Proszę mnie przepuścić!”. Po raz kolejny uciekałam, niczym zbrodniarz, ku milczącemu powietrzu.

2.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 21:03 w sobotę, 2 lutego

Status: prywatny

Nastrój: kostyczny

Słucham: „Almost Human” Voltaire'a

A więc uważa mnie za nawet atrakcyjnego. To poruszyło mnie bardziej, niż jestem w stanie wyrazić słowami. Świadomość, że ona myśli o mnie w ten sposób - albo przynajmniej myślała, choćby przez chwilę - sprawia, że cała sprawa staje się niemal warta zachodu.

Kiedy Nigel pojawił się u mnie w dniu swojej śmierci, akurat wywoływałem zdjęcia. iPod grał na pełen regulator, więc nie usłyszałem pukania do drzwi.

- B.B.! - Głos mamusi brzmiał władczo.

Nienawidzę, kiedy tak mnie nazywa.

- Co? - Może się pochwalić zadziwiająco dobrym słuchem.

- Co ty tam robisz tyle godzin?

- Porządkuję negatywy.

Matka ma cały zestaw różnych rodzajów milczenia. To było pełne dezaprobaty. Mama nie znosi mojej pasji fotograficznej, uważa ją za stratę czasu. Na dodatek ciemnia to

wyłącznie moje królestwo, zamek w drzwiach skutecznie broni wstępu. Jej zdaniem to niezdrowe, żaden chłopiec nie powinien mieć tajemnic przed swoją mamą.

- O co chodzi, mamusiu? - odezwałem się wreszcie. Ta cisza zaczynała działać mi na nerwy. Na chwilę milczenie jeszcze się pogłębiło, stało się pełne namysłu. Właśnie w takich momentach mama jest najgroźniejsza. Wiedziałem już, że ma jakiegoś asa w rękawie. A to nie wróżyło nic dobrego.

- Mamusiu? - zawołałem. - Jesteś tam jeszcze?

- Twój brat przyszedł się z tobą zobaczyć.

Bez wątpienia domyślacie się już, co było dalej. Matka uważała pewnie, że sobie na to zasłużyłem. Ostatecznie utraciłem prawo do jej opieki, kiedy zacząłem mieć przed nią sekrety. Scena nie rozegrała się dokładnie tak, jak ją opisałem, ale należy wziąć poprawkę na twórczą swobodę, nieprawdaż? Zresztą Nigel rzeczywiście łatwo tracił panowanie nad sobą, a ja nigdy nie umiałem mu się przeciwstawić.

Pewnie mógłbym jakoś się z tego wyłgać, tak jak tyle razy przedtem, ale myślę, że w tamtym momencie było już na to za późno; machina została wprawiona w ruch i nic nie zdołoby jej zatrzymać. Poza tym mój brat był arogancki, absolutnie pewien swojej prostackiej taktyki siły, więc nie powstało mu nawet w głowie, że mogą istnieć inne, subtelniejsze niż przemoc sposoby na wygranie tej bitwy między nami. Nigel nigdy nie był szczególnie delikatny. Może właśnie dlatego się w nim zakochała. Ostatecznie był od niej tak różny, tak otwarty i bezpośredni, a przy tym lojalny niczym wierny pies.

Czy tak właśnie myślałaś, Albertyno? Czy właśnie to w nim dostrzegłaś? Odbicie utraconej niewinności? Cóż mogę powiedzieć, myliłaś się. Nigel nie był niewinny. Był mordercą,

tak samo jak ja, choć na pewno nigdy cię o tym nie poinformował. Ostatecznie co miałby ci powiedzieć? Że mimo całej swojej pozornej szczerości udawał, tak samo jak my oboje? Że wcielił się w rolę, którą sama mu podsunęłaś, i rozegrał to wszystko przeciwko tobie jak prawdziwy zawodowiec?

Pogrzeb trwał o wiele za długo. Zawsze tak jest, a kiedy kanapki i zapiekane parówki zostały już uprzątnięte, trzeba było jeszcze wrócić do tego wszystkiego, wyciągnąć zdjęcia, dać się ponieść fali westchnień, łez i frazesów - zupełnie jakby kiedykolwiek jej na nim zależało, jakby w całym swoim życiu dbała o kogo innego poza Glorią Green.

„Przynajmniej nie męczył się długo”. Numer jeden pośród wszystkich banałów, największy hit, ulubiony komunał wszech czasów, po którym nastąpiły takie klasyczne kawałki jak: „Dobrze, że miał lekką śmierć” oraz „To straszne, jak szybko ludzie teraz jeżdżą”. Miejsce śmierci mojego brata zostało do tej pory przyozdobione kwiatami tak jak tunel, w którym zginęła Diana - chociaż dzięki Bogu na nieco skromniejszą skalę.

Wiem, bo odbyłem pielgrzymkę do tego miejsca w towarzystwie Glorii, Adèle i Maureen, wasz uniżony sługa w swoich barwach, mama po królewsku, cała w czerni i z woalką, oczywiście cuchnąca l'Heure Bleue. Niosła oczywiście, wypchanego psa z wieńcem w pysku (odrobina czarnego humoru też nie zaszkodzi).

- Nie mam odwagi tam spojrzeć - mówi matka z odwróconą twarzą, jednocześnie obrzucając sokolim wzrokiem kwiaty w tej przydrożnej kapliczce i w myślach obliczając wartość każdej gałązki goździków, doniczki z begonią, smętnego pęku chryzantem kupionych na stacji benzynowej.

- Lepiej, żeby nie były od niej - mówi, zupełnie niepotrzebnie. Naprawdę nie ma żadnej wskazówki świadczącej,

że dziewczyna Nigela w ogóle tu była, nie wspominając już o przyniesieniu kwiatów.

Mama nie ma jednak pewności. Wysłała mnie więc z misją usunięcia każdego bukietu pozbawionego bilecika, a następnie z łzawym westchnieniem kładzie swojego wypchanego psa na poboczu.

Potem z Adèle i Maureen trzymającymi ją pod łokcie oddała się chwiejnym krokiem na przypominających zaostrzone ołówki piętnastocentymetrowych szpilkach, wydających odgłos podobny do skrzywienia kredy o tablicę, od którego cierpną mi kubki smakowe.

- Przynajmniej masz B.B., kochana.

Największe hity, numer cztery.

- Tak, nie wiem, co bym bez niego zrobiła. - Ale spojrzenie ma twarde, pozbawione wyrazu. W samym środku każdego oka lśni niebieski punkcik światła. Trochę to trwało, zanim uświadomiłem sobie, że to moje odbicie. - B.B, nigdy by mnie nie zawiódł. Nigdy by mnie nie zdradził.

Czy naprawdę tak powiedziała? Bo może tylko to sobie wyobraziłem. A jednak tak właśnie uważała. To okropne stracić syna z powodu innej kobiety, myślała. Ale stracić go z powodu tej dziewczyny, ze wszystkich dziewczyn na świecie!

Oczywiście Nigel powinien być mądrzejszy. Nikt nie zdoła uciec od Glorii Green. Matka przypomina dzbaneczniki, *Nepenthes distillatoria*, które wabią swoje ofiary słodyczą, aby chwilę później utopić je, wyczerpane walką, w kwasie.

Już ja coś o tym wiem. W końcu żyję z nią pod jednym dachem od czterdziestu dwóch lat, a nie zostałem jeszcze pożarty tylko dlatego, że każdy pasożyt potrzebuje przynęty, wabika - stworzenia, które przycupnięte na brzegu liścia będzie przekonywać inne, że nie ma się czego bać.

Wiem. Niezbyt chwalebne zadanie. Ale to lepsze, niż dać się pożreć żywcem. Widzicie, warto być lojalnym wobec

mamusi. Oplaca się zachowywać pozory. Poza tym czyż nie byłem jej ulubieńcem, wyszkolonym już od początku na mordercę? A skoro pozbyłem się Mała, czemu miałbym oszczędzić pozostałą dwójkę?

W młodości zawsze uważałem, że nasz system sprawiedliwości jest niewłaściwie skonstruowany. Najpierw człowiek popełnia przestępstwo, a potem (zakładając, że zostanie złapany) dostaje wyrok. Pięć, dziesięć, dwadzieścia lat, oczywiście w zależności od rodzaju przewinienia. Ale ponieważ tylu przestępców nie przewiduje wcześniej konieczności spłacenia tego długu wobec społeczeństwa, bardziej sensowne od popełniania zbrodni na kredyt byłoby chyba odpokutowanie swojego występkę zawczasu, odsiedzenie wyroku przed zbrodnią, aby potem, bez żadnego dochodzenia, do woli siać spustoszenie.

Pomyślcie tylko, ile można by w ten sposób zaoszczędzić na policyjnych śledztwach i przedłużających się procesach, nie wspominając już o niepotrzebnym niepokoju i cierpieniach, jakich doświadcza przestępca, nie wiedząc, czy zostanie złapany, czy też zły czyn ujdzie mu na sucho. Moim zdaniem w odmiennie skonstruowanym systemie wielu z najważniejszych zbrodni dałoby się uniknąć - bo tylko nieliczni zgodziliby się spędzić życie w więzieniu, żeby potem móc popełnić morderstwo. Tak naprawdę to wydaje się bardziej prawdopodobne, że w połowie odsiadki swojego wyroku niedoszły morderca prosiłby o wypuszczenie na wolność - będąc nadal niewinnym - nawet jeśli musiałby pogodzić się ze stratą swojej zaliczki. A może do tego momentu zdążyłby zarobić dosyć czasu na wykupienie się od jakiegoś drobniejszego wykroczenia - ciężkiego pobicia, na przykład, albo gwałtu czy kradzieży.

A widzicie. To idealny system. Moralny, tani i praktyczny. Dopuszcza nawet możliwość, że ktoś zmieni zdanie. Oferuje

odpuszczenie win. Grzech i jego odkupienie za jednym zamachem, wolną od kosztów karmę w supermarkecie Jezusa Chrystusa.

I dlatego właśnie mówię wam to wszystko. Odsiedziałem już swój wyrok. Ponad czterdzieści lat. A teraz, kiedy zbliża się data mojego zwolnienia -

wszechświat jest mi winien morderstwo.

3.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 22:03 w sobotę, 2 lutego

Status: publiczny

Nastrój: morderczy

Słucham: „Family Snapshot” Petera Gabriela

Obaj bracia nigdy za nim nie przepadali. Może za bardzo się od nich różnił. Albo też zazdrościli mu jego daru i zainteresowania, jakie dzięki temu wzbudzał. W każdym razie nie-nawidzili go - w porządku, może nie Brendan, brat w brązach, który był zbyt tępy, żeby naprawdę kogokolwiek nie-nawidzić, ale z pewnością Nigel, brat w czerni, który w roku urodzin Benjamina przeszedł tak drastyczną zmianę, że praktycznie stał się zupełnie innym chłopcem.

Narodziny młodszego brata przyjął gwałtownymi wybuchami wściekłości i nawet mama nie potrafiła ich opanować ani zrozumieć. Jeśli zaś chodzi o trzyletniego wówczas Bren-dana, spokojne, flegmatyczne i grzeczne dziecko, to jego pierwszą reakcją na informację, że ma małego braciszka, były słowa: „Dlaczego, mamusiu? Oddaj go z powrotem!”.

Niezbyt obiecująca zapowiedź dla małego Benjamina, który został rzucony w ten okrutny świat niczym kość ciśnięta między sforę psów, nie mając poza Glorią nikogo, kto by go bronił i ochraniał przed pożarciem żywcem.

Ale jej błękitnooki talizman był wyjątkowy od dnia swoich narodzin. Starsi bracia poszli do szkoły podstawowej, gdzie bawili się na huśtawkach i drabinkach, ryzykowali życie i zdrowie na boisku i codziennie wracali do domu z nowymi otarciami i skaleczeniami, których mama zdawała się nie dostrzegać. Za to nie przestawała się trząść nad Benem. Najmniejszy siniak, najłżejszy kaszel wystarczyły, żeby wzbudzić jej niepokój, a kiedy pewnego dnia jej mały synek wrócił z przedszkola z rozbitym nosem (rezultat walki o władzę w piaskownicy), w ogóle przestała go tam posyłać, żeby zamiast tego zabierać go ze sobą od tej pory do pracy.

Mama sprzątała u czterech pań, teraz już zabarwionych w jego umyśle błękitem. Wszystkie mieszkały w centrum w odległości nie większej niż kilometr od siebie, w domach ulokowanych w długich, wysadzanych drzewami alejkach pomiędzy Mili Road a obrzeżami Białego Miasta.

Poza panią Elektryczny Błękit, która miała zginąć tak nieoczekiwaną śmiercią jakieś piętnaście czy dwadzieścia lat później, były pośród nich również: pani Francuski Błękit, która paliła gauloise'y i słuchała Jacques'a Brela, pani Chemiczny Błękit, która łykała dwadzieścia rodzajów rozmaitych witamin i sprzątała dom przed przyjściem Glorii (a zapewne również po jej wyjściu), i wreszcie pani Dziecięcy Błękit, która kolekcjonowała porcelanowe lalki, miała atelier na poddaszu i była artystką, jak sama twierdziła, a jej mąż pracował jako nauczyciel muzyki w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda, w mieszczącym się przy tej samej ulicy liceum męskim, gdzie mama chodziła sprzątać i odkurzać sale lekcyjne w górnym korytarzu o czwartej trzydzieści każdego dnia

nauki, potem zaś polerowała niekończące się parkiety wielką starą froterką.

Benjaminowi tam się nie podobało. Nienawidził stęchłego zapachu szkolnych murów, odoru płynu dezynfekującego i pasty do podłóg, tego gwaru przesiąkniętego wonią pleśni, wyschniętych kanapek, zdechłych myszy, toczonego przez robaki drewna i pyłu z kredy, który wdzierała mu się do gardła, wywołując ciągły katar. Po jakimś czasie sama nazwa szkoły - ów dławiący dźwięk „O-swald” - była w stanie przywołać z pamięci tamten zapach. Od samego początku bał się tego miejsca, czuł lęk przed nauczycielami w obfitych czarnych togach i przed chłopcami w pasiastych czapkach i niebieskich marynarkach z naszytymi tarczami.

Ale lubił panie, u których pracowała matka. Przynajmniej na początku.

„Jaki śliczny chłopiec - mówiły. - Dlaczego się nie uśmiecha? Chcesz biszkopcika, Ben? A może wołałbyś się pobawić?”

Podobało mu się takie zabieganie o jego względy. Mieć cztery lata to sprawować nieograniczoną władzę nad kobietami w pewnym wieku. Szybko nauczył się to wykorzystywać - nawet niezbyt przekonujące chlipnięcie przyprawiało pracodawczynię matki o niepokój, a jeden uśmiech wystarczył, żeby zdobyć ciasteczka i inne smakołyki. Każda z tych dam miała swoją specjalność: pani Chemiczny Błękit dawała mu herbatniki z czekoladą (choć kazała je zjadać nad zlewem), pani Elektryczny Błękit częstowała ciasteczkami kokosowymi, a pani Francuski Błękit biszkopcikami o nazwie *langues de chat*, kocie języczki. Ale jego ulubienicą była pani Dziecięcy Błękit, która naprawdę nazywała się Catherine White i zawsze kupowała duże czerwone puszki Family Circle, pełne przekładańców z dżemem, ciasteczek w czekoladzie, lukrowanych krążków i różowych wafelków, w jego oczach szczególnie dekadentkich, być może za sprawą swojej kruchości,

podobnie jak falbanki na jej łóżku z baldachimem i kolekcja lalek o pustych, nieco złowrogich twarzach wyglądających spomiędzy perkali i koronek.

Jego bracia prawie nigdy im nie towarzyszyli, a w tych rzadkich przypadkach, kiedy z nimi szli, w weekendy albo święta, nie prezentowali się od najlepszej strony. Dziewięcioletni Nigel był małym bandytą, ponurym i skłonnym do przemocy. A nadal milutki Brendan, który dawniej cieszył się względami pań, zaczynał już tracić swój dziecięcy wdzięk. Na dodatek był niezdarny, zawsze wszystko przewracał, wliczając w to należący do pani White skarb - zegar słoneczny - który roztrzaskał się o kamienne płyty ogrodowej ścieżki. Oczywiście mama musiała zapłacić za szkodę, za co później srodze obu starszych synów ukarała - Brena za wyrządzoną szkodę, Nigela za to, że nie powstrzymał brata. Potem obaj już nigdy się z nimi nie wybrali, pozostawiając łupy Benjaminowi.

Co myślała o tych wszystkich przejawach zainteresowania? No cóż, może liczyła na to, że ktoś gdzieś zapala nagle sympatią do jej synka, że w jednym z tych wielkich domów znajdzie się jego dobroczyńca. Bo widzicie, mama Bena miała wysokie aspiracje, aspiracje, których właściwie sama nie pojmowała. Może tliły się w niej zawsze, a może zrodziły się w czasie tych długich dni polerowania cudzych sreber czy oglądania zdjęć czyichś synów w togach i biretach podczas rozdania świadectw. A Benjamin niemal od początku rozumiał, że owe wizyty w tych ogromnych domach mają go nauczyć czegoś więcej niż tylko metody najskuteczniejszego trzepania dywaników czy pastowania parkietu. Matka zawsze dawała mu jasno do zrozumienia, że jest wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju, powołany do wyższych celów niż jego bracia.

Oczywiście nigdy w to nie wątpił. Podobnie jak matka. Ale jej oczekiwania były jak kantar zaciśnięty na jego młodej

szy. Wszyscy trzej wiedzieli, jak ciężko pracowała, jak bolały ją plecy od stania i schylania się przez cały boży dzień, jak często trapiły ją migreny, a skóra dłoni pękała i krwawiła. Od najmłodszych lat chodzili z nią na zakupy i na długo przed rozpoczęciem szkolnej edukacji potrafili dodawać w głowie kwoty wydane na artykuły spożywcze, żeby się zorientować, jak niewiele z zarobionych tego dnia pieniędzy pozostało na wszystkie inne wydatki.

Gloria nigdy nie mówiła o tym na głos. Ale oni i tak zawsze czuli ów ciężar na swoich barkach; ciężar nadziei ich mamy, jej przerażającej pewności, że okażą się warci poświęcenia. To była cena, którą musieli zapłacić, nigdy nieokreślona wprost, ale jasna dla wszystkich, dług niemożliwy do wyrównania w całości.

Jednak to Ben zawsze był jej ulubieńcem. Wszystko, co robił, tylko umacniało w niej nadzieję. W przeciwieństwie do Brena świetnie radził sobie w sporcie, dzięki czemu wykrztusił w sobie wolę walki. A w odróżnieniu od Nigela lubił czytać, co tylko podsycalo w niej przekonanie, że najmłodszy syn jest wyjątkowo uzdolniony. Na dodatek świetnie rysował, ku wielkiej radości pani White, ładnej blondynki o artystycznych skłonnościach, która nie miała żadnych oczekiwań, gorąco pragnęła mieć dziecko i rozplýwała się nad Benem, karmiąc go słodyczami i nazywając swoim „kotkiem”; która lubiła tańczyć i czasem śmiała się albo płakała bez żadnego widocznego powodu, aż wszyscy trzej chłopcy żalowali w głębi ducha, że nie jest ich mamą.

A dom White'ów wydawał im się wspaniały. W holu stało pianino, a nad drzwiami znajdował się spory witraż, i w słoneczne dni rzucał czerwone i złote refleksy na wyfroterowane parkiety. Kiedy Gloria pracowała, pani White zabierała Bena do swojej pracowni, pełnej piętrzących się w stosach płócien i zwojów papieru, uczyła go rysować konie i psy albo

pokazywała mu tubki i palety farb, odczytując na głos ich nazwy niczym zaklęcia.

Zieleń szmaragdowa, seledyn, chromoksyd. Czasami farby miały nazwy francuskie albo hiszpańskie czy włoskie, co czyniło je jeszcze bardziej magicznymi. *Violetto. Escarlata. Pardo de Turba. Outremer.*

- To język sztuki, kochanie! - wykrzykiwała czasem pani White, która malowała wielkie, kliwne płótna w odcieniach cukierkowego rózu i złowróźbnych fioletów, a następnie nakładała na nie fotografie wycięte z czasopism - przede wszystkim główki dziewczynek - po czym zabezpieczała całość grubą warstwą werniksu i ozdabiała krezami ze staroświeckich koronek.

Benjaminowi nie bardzo podobały się dzieła pani White, ale to właśnie od niej nauczył się rozróżniać barwy i rozumieć, że jego własny kolor ma dziesiątki odcieni, ogarniać głębię od szafiru po ultramarynę, dostrzegać ich fakturę, rozpoznawać zapach.

- To jest czekoladowe - mówił, wskazując na grubą szkarłatną tubkę z obrazem truskawek z boku.

Escarlata, głosiła nalepka, a zapach był przytłaczający, zwłaszcza w blasku słońca, wypełniając jego głowę szczęściem i drobinkami pyłu, które połyskiwały i wirowały w powietrzu jak cudowne czekoladki Maltesers.

- Jak czerwień może być czekoladowa?

Miał już prawie siedem lat, ale nadal nie bardzo potrafił to wytłumaczyć. Po prostu jest, powtórzył z uporem, tak samo jak orzechowy brąz (*avellana*) to zupa pomidorowa, często budząca w nim niepokój, *verde veronese* to lukrecjowe cukierki, a *amarillo naranja* to zapach gotowanej kapusty, który z kolei zawsze przyprawiał go o mdłości. Czasami wystarczyło, że usłyszał same nazwy, zupełnie jakby dźwięki kryły w sobie rodzaj alchemii, wydobywając ze zmiennych słów radośną eksplozję barw i zapachów.

Początkowo sądził, że wszyscy mają podobną zdolność, ale kiedy wspomniał o całej sprawie braciom, Nigel uderzył go i nazwał czubkiem, a Brendan spytał z konsternacją: „Wąchasz słowa, Ben?”, a potem często z uśmiechem marszczył nos, gdy tylko znalazł się w pobliżu Benjamina, jakby odczuwał wszystko podobnie do niego, w sposób, który często naśladował, chociaż nigdy z szyderstwem. Szczerze mówiąc, biedny Brendan zazdrościł młodszemu bratu - powolny, pulchny, przestraszony Bren, który zawsze zostawał z tyłu i robił coś nie tak.

Mamusia nie rozumiała daru Bena, w przeciwieństwie do pani White, która wiedziała wszystko o języku kolorów i lubiła drogie perfumowane świece, sprowadzane z Francji mimo utyskiwań Glorii, że to zwyczajne puszczenie pieniędzy z dymem, pachnące tak cudownie, fiołkami, dymnym aromatem szaławii, buduarową paczulą, cedrem i różami.

Pani White знаła kogoś - przyjaciela męża - kto rozumiał te sprawy. Wyjaśniła matce Bena, że chłopiec może być naprawdę wyjątkowym dzieckiem, w co Gloria, oczywiście, zawsze wierzyła, ale on sam w głębi ducha szczerze w to wątpił. Pani White obiecała skontaktować ich z tym człowiekiem, doktorem Peacockiem, który mieszkał w jednym z wielkich starych budynków tuż za boiskiem szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, przy ulicy nazywanej przez mamę Zaułkiem Milionerów.

Sześćdziesięciojednoletni doktor Peacock był emerytowanym dyrektorem szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, autorem licznych publikacji oraz osobistym przyjacielem pana White'a, prowadzącego w liceum lekcje muzyki. Czasami widywano go w centrum miasta: brodaty mężczyzna w tweedowej marynarce i starym kapeluszu z opadającym rondem wyprowadzał psa na spacer. Ekscentryk, jak uprzedzała ze smutnym uśmiechem pani White, który dzięki kilku udanym inwestycjom miał teraz więcej pieniędzy niż rozumu.

Z całą pewnością Gloria nie zamierzała się wahać. Ponieważ sama była całkowicie pozbawiona słuchu muzycznego, nigdy nie zwracała większej uwagi na to, jak jej syn postrzega dźwięki i słowa, przypisując wszystko, jeśli już cokolwiek dostrzegła, jego wrażliwości - wyjaśnienie, do którego uciekała się w większości sytuacji. Ale myśl, że Benjamin może być utalentowany, szybko rozwiała jej wątpliwości. Poza tym potrzebowała dobroczyńcy, mecenasa dla swojego błękitnokiego chłopca, który w połowie semestru już miał problemy w szkole i potrzebował ojcowskiej ręki.

Doktor Peacock - bezdzietny i co najważniejsze bogaty emeryt - musiał jej się wydać spełnieniem marzeń. Wybrała się więc do niego po pomoc, tym samym zapoczątkowując całą serię zdarzeń, które niczym filtry nałożone na obiektyw aparatu miały rzucać coraz bardziej pogłębiający się cień na nadchodzące trzydzieści lat.

Oczywiście nie mogła tego przewidzieć. No bo, skąd ktośkolwiek z nich miało wiedzieć, co wyniknie z tego spotkania? I kto by się domyślił, że tak to się właśnie skończy: dwóch synów Glorii martwych i bezradny błękitnokichłopic schwytny w pułapkę, jak te umykające szybko stworzenia na plaży tamtego dnia, ginące w zapomnieniu na słońcu?

Dodaj komentarz

ClairDeLune: błękitnokichłopic, to naprawdę całkiem niezłe. Podobają mi się twoje wykorzystanie symboliki. Zauważyłam, że czerpiesz z osobistych przeżyć częściej niż zwykle. Doskonały pomysł! Czekam na ciąg dalszy!

Jenny Tricks: (post usunięty)

błękitnokichłopic: Cała przyjemność po mojej stronie...

4.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 01:15 w niedzielę, 3 lutego

Status: publiczny

Nastrój: pogodny

Słucham: „Heroes” Davida Bowie

Nigdy wcześniej nie spotkał żadnego milionera. Zawsze wyobrażał ich sobie jako mężczyzn w jedwabnych cylindrach, na podobieństwo Lorda Snooty'ego z komiksu. Albo może raczej z monoklem i laseczką. A tymczasem doktor Peacock okazał się z lekka zaniedbanym mężczyzną w tweedach, bamboszach i muszce, który wpatrywał się w niego mleczno-niebieskimi oczami ukrytymi za okularami w drucianych oprawkach, mówiąc: „Ach, ty musisz być Benjamin” - głosem jak tytoń i ciasto kawowe.

Gloria była zdenerwowana. Wystroiła się odświętnie, Benowi też kazała włożyć jego nowy szkolny zestaw: granatowe spodnie i błękitny sweter, przypominające barwy szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, chociaż w tej, do której teraz chodził, nie obowiązywały mundurki i większość

dzieciaków chodziła po prostu w dżinsach. Nigel i Bren też z nimi poszli - bała się zostawiać ich w domu samych - obaj z wyraźnym zaleceniem, że mają grzecznie siedzieć, trzymać buzie na kłódkę i niczego nie dotykać.

Próbowała zrobić dobre wrażenie. W czasie swojego pierwszego roku nauki w szkole podstawowej B.B, nie odniósł jakichś spektakularnych sukcesów naukowych, a do tej pory większość mieszkańców Białego Miasta zdążyła się już dowiedzieć, że najmłodszy syn Glorii Winter został odesłany do domu za wbicie cyrkla w dłoń kolegi, który nazwał go „pieprzonym pedziem”, i tylko ostra reakcja matki zapobiegła wydaleniu Bena ze szkoły.

Nie wiadomo, czy ta informacja dotarła i tutaj. Ale Gloria Winter nie zamierzała ryzykować, toteż tamtego łagodnego październikowego dnia na schodach wiodących do Dworu stanął Ben w swoim najbardziej anielskim wydaniu i ze wzrokiem wbitym w czubki tenisówek wsłuchiwał się w różowe, białe i srebrzyste dźwięki gongu, zanim doktor Peacock otworzył im wreszcie drzwi.

Oczywiście tak naprawdę nie miał pojęcia, kto to „pedzio”. Ale pamiętał krew, a chociaż to nie była jego wina, fakt, że w ogóle nie okazał skruchy - wręcz sprawiał wrażenie, jakby dobrze się bawił podczas całej tej awantury - mocno oburzył jego wychowawczynię - nazwijmy ją na nasze potrzeby panią Katolicki Błękit - która publicznie przyznawała się do wiary w niewinność dzieciństwa, ofiarę z jedyne Syna Bożego i opiekuńczą obecność aniołów.

Niestety, jej nazwisko miało ohydny zapach tanich kadzi-dełek i końskiego łajna, co często rozpraszało Benjamina na lekcjach, prowadząc do całego mnóstwa nieprzyjemnych incydentów, a te w końcu znalazły swój punkt kulminacyjny w odesłaniu go do domu. Oczywiście matka obwiniła szkołę, bo przecież to nie jego wina, że nauczyciele nie potrafili sobie

poradzić z równie utalentowanym dzieckiem. Jej zdaniem całą sprawą powinna się zainteresować prasa.

Doktor Peacock był inny. Jego nazwisko pachniało gumą balonową. Atrakcyjny zapach dla małego chłopca, a poza tym doktor zawsze zwracał się do niego jak do osoby dorosłej, słowami, które spływały z jego ust gładko niczym wielobarwne kulki gumy z automatu w sklepie ze słodyczami.

- Ach, ty musisz być Benjamin.

Ben skinął głową. Podobała mu się ta pewność. Z drzwi za plecami pana domu wypadł z holu kudłaty czarno-biały kształt, który okazał się wiekowym Jack Russell terrierem.

- Mój uczony kolega - wyjaśnił doktor Peacock, kiedy pies zaczął skakać wokół nich z głośnym szczekaniem, po czym zwrócił się do swojego pupila: - Zechciej łaskawie umożliwić naszym gościom przejście do biblioteki - na które to słowa zwierzak natychmiast przestał ujadać i poprowadził ich do środka.

- Proszę - powiedział doktor Peacock. - Zapraszam, napiją się państwo herbaty?

Tak właśnie było. Earl grey, bez cukru i mleka, podany z kruchymi ciasteczkami, teraz już na zawsze miał stanowić w umyśle Bena katalizator wspomnień, na podobieństwo naparu lipowego Prousta.

Wspomnienia zastępują teraz błękitnookiemuchłopcu sumienie. To właśnie one trzymały go tutaj tak długo, dlatego woził starego w wózku inwalidzkim po zarośniętych alejkach ogrodu wokół Dworu, prał jego rzeczy, czytał mu na głos, przygotowywał grzanki do jajek na miękko. I chociaż przez większość czasu staruszek go nie poznawał, Ben nigdy nie narzekał, nigdy nie zawiódł swojego podopiecznego - nawet raz - właśnie przez wzgląd na tamtą pierwszą filiżankę earl greya i sposób, w jaki doktor Peacock na niego patrzył, jakby on też był kimś wyjątkowym.

Pokój był duży, z dywanem w odcieniach ciemnej czerwieni i brązu. Kanapa, krzesła, regały pełne książek wzdłuż trzech ścian, ogromny kominek, przed którym stał koszyk dla psa, brązowy imbryk równie wielki jak u Szalonego Kapelusznika, ciasto, kilka szklanych gablot z owadami. I, co chyba najdziwniejsze, dziecięca huśtawka, zawieszona u sufitu, na którą wszyscy trzej spoglądali z tęsknotą ze swojego miejsca na sofie obok mamy, bojąc się otworzyć usta, choć bardzo mieli ochotę coś powiedzieć.

- C-co to jest? - odważył się wreszcie odezwać Ben, wskazując na przeszkloną gablotę.

- Ómy - wyjaśnił doktor z zadowoloną miną. - Tak podobne do motyli, ale o tyle bardziej subtelne i fascynujące w formie. Ta tutaj, z kosmatą głową - wyciągnął palec w stronę jednego z okazów - to nastrosz topolowiec, *Laothoepopuli*. Ta szkarłatno-brązowa obok to *Tyríajacobaeae*, proponzycza marzymłódka. A ten mały kolega - wskazał na coś brązowego i postrzępionego, co przypominało błękitnookiemuchłopcuzeschły liść - to *Smerinthus ocellata*, nastrosz półpawik. Widzisz te niebieskie oczka na skrzydłach?

Błękitnookichłopiec znowu pokiwał głową w milczeniu, pełen respektu nie tylko dla samych owadów, ale też dla spokojnej powagi, z jaką doktor Peacock wypowiadał te słowa, a potem wskazał kolejną gablotę, wiszącą nad fortepianem, w której spoczywała samotnie ogromna zielonkawożółta ćma, tylko mleko i przykurzony aksamit.

- Ta zaś młoda dama - powiedział czule doktor Peacock - to królowa mojej kolekcji. *Actias Luna*, aż z Ameryki Północnej. Przywiozłem ją jako poczwarkę, och, ponad trzydzieści lat temu, a potem siedziałem w tym pokoju i obserwowałem, jak się wykluwa. Rejestrowałem każdy etap na taśmie. To naprawdę poruszające patrzeć, jak podobna istota wyślizguje się z kokonu, rozpościera skrzydła i podrywa się do lotu...

Nie zaleciała daleko, pomyślał błękitnookichłopic. Ledwie do słoika, w którym przyszło jej zginać.

Rozsądnie postanowił jednak trzymać język za zębami. Gloria zaczynała się niecierpliwić. Dłonie złożyła na kolana, pobrząkując tandetnymi pierścionkami, które rzucały dokoła kolorowe błyski.

- A ja zbieram porcelanowe pieski - powiedziała. - Więc oboje jesteśmy kolekcjonerami.

Doktor Peacock posłał jej szeroki uśmiech.

- Jak miło. W takim razie muszę pani pokazać moją figurkę z dynastii Tang.

Błękitnookichłopic uśmiechnął się pod nosem na widok miny matki. Nie miał pojęcia, jak wygląda figurka z dynastii Tang, ale domyślił się, że to coś tak różnego od kolekcji porcelanowych piesków mamy jak *Actias Luna* od tego stworzenia zwiniętego niczym zeszcły liść wokół swoich pstrokatych, bezużytecznych oczu.

Gloria rzuciła błękitnookiemuchłopcowi złe spojrzenie. Już wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał zapłacić za to, że ją ośmieszył. Ale na razie był bezpieczny, więc rozglądał się po domu doktora Peacocka z rosnącą ciekawością. Poza gablotami z okazami ciem na ścianach wisały obrazy - nie jakieś reprodukcje na papierze, tylko prawdziwe. Oprócz pani White z jej różowo-fioletowymi kolażami nigdy nie znalazł nikogo, kto miałby w domu obrazy.

W końcu zatrzymał wzrok na delikatnym szkicu statku oddanego w wyblakłej sepii. W tle rozciągała się długa, jasna plaża z chatami, palmami kokosowymi i stożkowatymi górami, z których unosiły się smużki dymu. Sam nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego obraz wzbudził jego zainteresowanie. Może chodziło o niebo albo o tusz herbacianej barwy, a może o różaną patynę wieku, jaśniejącą za szkłem niczym rumieniec na soczystych złotych winogronach.

Doktor Peacock znowu podchwycił jego spojrzenie.

- Wiesz, gdzie to jest? - spytał, a błękitnookichłopic potrząsnął głową. - To Hawaje. Ha-wa-je. Może kiedyś się tam wybierzesz - dodał z uśmiechem doktor.

I tak właśnie, za sprawą jednego słowa, błękitnookichłopic stał się częścią jego kolekcji.

Dodaj komentarz

Kapitanmordercakroliczkow: Stary, moim zdaniem tracisz power.

Dwa posty w dwa dni i jeszcze nikogo nie zamordowałeś: ☺

błękitnookichłopic: Daj mi trochę czasu, pracuję nad tym...

ClairDeLune: Doskonale. Jesteś naprawdę odważny, że zdecydowałeś się spisać te bolesne wspomnienia! Może omówimy to dokładniej podczas naszej kolejnej sesji?

porcelanowymotył: jejku strasznie mi się podobało (uściski)

5.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 02:05 w niedzielę, 3 lutego

Status: publiczny

Nastrój: poetycki

Słucham: „A Rose For Emily” The Zombies

Następnie gospodarz zabrał chłopców do ogrodu różanego, podczas gdy ich matka popijała herbatę w bibliotece, a psiak biegał w kółko po trawniku. Doktor Peacock pokazał swoim małym gościom róże, odczytując ich nazwy z metalowych tabliczek przymocowanych do łodyg. *Adelaide d'Orléans. William Shakespeare*. Nazwy o magicznych właściwościach, które sprawiały, że czuli łaskotanie w nozdrzach.

Doktor Peacock uwielbiał swoje róże, zwłaszcza te najstarsze, o pełnych kwiatach barwy cielistej, błękitnawej i kremowej, staromodne róże, które jego zdaniem miały najśłodszy zapach. To właśnie w tym ogrodzie chłopcy nauczyli się rozróżniać różę stulistną od alby, damasceńską od francuskiej, a Benjamin zaczął kolekcjonować ich nazwy, tak jak kiedyś zbierał kolory wypisane na tubkach farby, nazwy

przyprawiające o zawrót głowy, niosące ze sobą coś więcej niż tylko barwy i zapachy, od *Rose de Recht*, ciemnoczerwonej, która pachniała gorzką czekoladą, po *Boule de Neige*, *Tour de Malakoff*, *Belle de Crécy* i *Albertynę*, jego ulubienicę o piżmowym, różowawym, staroświeckim zapachu, przywodzącym na myśl dziewczęta w białych letnich sukienkach, kroieta i mrożoną różową lemoniadę na trawniku. Dla Bena kwiaty Albertyny pachniały jak rachatłukum.

- Rachatłukum? - powtórzył doktor Peacock z oczami błyszczącymi zainteresowaniem. - A ta, *Rosa Mundi*”?

- Chleb.

- A ta? *Cécile Brunner*?

- Samochody. Benzyna.

- Naprawdę? - Gospodarz nie sprawiał wrażenie zagniewanego, jak mógłby się tego spodziewać błękitnookichłopic, lecz autentycznie zafascynowanego.

Właściwie w Benjaminie fascynowało go wszystko. Okazało się, że większość napisanych przez doktora książek traktowała o zjawisku zwanym synestezją - co przypominało nazwę zabiegu, który mogą człowiekowi wykonać w szpitalu, ale w rzeczywistości oznaczało stan neurologiczny, jak to określił sam autor. A to z kolei znaczyło, że mama miała rację od samego początku i Ben naprawdę był wyjątkowy.

Chłopcy nie bardzo to wszystko rozumieli, ale doktor Peacock mówił, że ma to jakiś związek z funkcjonowaniem odpowiedzialnych za zmysły części mózgu, bo coś tam w środku jest poplątane i wysyła z owych złożonych zwojów nerwowych pomieszane sygnały.

- To znaczy, coś jakby s-szósty zmysł? - przerwał w pewnym momencie wywód doktora błękitnookichłopic, myśląc mgliście o Spidermanie, Magneto czy nawet Hanibalalu Lecterze (widzicie, już wtedy zaczął się przemieszczać z

powszedniego krańca spektrum ku terytorium Niegrzecznych Chłopców).

- Otóż to - przytaknął doktor Peacock. - A kiedy dowiemy się już, jak to działa, może dzięki naszej wiedzy będziemy w stanie pomagać ludziom - na przykład pacjentom po udarze czy urazach głowy. Mózg to skomplikowane urządzenie. I mimo wszystkich osiągnięć nauki oraz współczesnej medycyny nadal wiemy niewiele na temat tego, jak gromadzi i przechowuje informacje, jak uzyskuje do nich dostęp i je przetwarza...

Synestezja potrafi manifestować się na tyle różnych sposobów, wyjaśnił im. Słowa mogą mieć kolory, dźwięki mogą zyskiwać kształty, liczby potrafią być rozświetlone. Niektórzy ludzie rodzą się z tą umiejętnością, inni nabywają ją dzięki skojarzeniom. Większość przypadków synestezji dotyczy doznań wzrokowych, ale istnieją również inne jej rodzaje: słowa przekładają się na smaki czy zapachy albo na przykład migreny wyzwalają określone doznania kolorystyczne. Mówiąc w skrócie, dodał doktor Peacock, synesteta może widzieć muzykę, smakować dźwięki, postrzegać cyfry jako kształty czy faktury. Istnieje nawet dotykowa synestezja lustrzana, w której dzięki skrajnej empatii podmiot potrafi odczuwać doznania fizyczne będące udziałem kogoś innego.

- To znaczy, gdybym zobaczył, jak kogoś biją, mógłbym to poczuć?

- Fascynujące, prawda?

- Ale... jak ktoś taki mógłby oglądać filmy gangsterskie, gdzie ciągle ludzie biją się nawzajem albo zabijają?

- Nie sądzę, żeby miał na to ochotę, Benjaminie. Byłoby to dla niego zbyt przykre. Widzisz, wszystko sprowadza się do sugestii. Taki typ synestezji uczyniłby człowieka wyjątkowo wrażliwym.

- Mamusia mówi, że ja jestem wrażliwy.
- Nie wątpię, że to prawda, Benjaminie.

W tamtym okresie Benjamin stawał się coraz bardziej wrażliwy, nie tylko na słowa czy nazwiska, ale też na głosy, ich akcenty i tony. Oczywiście już wcześniej wiedział, że ludzie mogą mieć różny akcent. Zawsze wolał głos pani White od głosu mamy czy pani Katolicki Błękit, mówiącej z gryzącym nosowym akcentem z Belfastu, który drażnił mu zatoki.

Jego bracia mówili jak chłopcy ze szkoły, „cze” zamiast „dzień dobry” czy „nara” zamiast „do widzenia”, obrzucali się najgorszymi wyzwiskami, które cuchnęły jak małpiarnia w zoo. Matka czyniła pewne wysiłki, niestety daremne, pozbycia się akcentu, który pojawiał się lub znikał zależnie od okoliczności. Sytuacja przedstawiała się szczególnie kiepsko podczas rozmów z doktorem Peacockiem, bo wtedy dodatkowy przydech wkładał się praktycznie wszędzie, niczym druty wbijane w kłębek wełny.

Błękitnookichłopiec wyczuwał, jak bardzo zależało jej na wywarciu dobrego wrażenia, a to przyprawiało go o mdłości z zażenowania. Nie chciał tak mówić. Zamiast tego naśladował więc swojego mentora. Podobało mu się słownictwo doktora Peacocka, sposób mówienia: „bądź łaskaw” albo „zechciej zwrócić uwagę na to” czy też rzucane do telefonu: „z kim mam przyjemność rozmawiać?”. Doktor znał łacinę, grekę, francuski, włoski, niemiecki, a nawet japoński, natomiast kiedy mówił po angielsku niczym aktor czytający Szekspira, sprawiał, że ich ojczysta mowa stawała się innym, lepszym językiem, takim, w którym było miejsce na rozróżnienie między „damą” a „damom”, „japko” zaś (zielonoszare, kwaśne słowo) brzmiało zupełnie inaczej niż „jabłko” (słodki, srebrzysty wyraz). Z równą starannością doktor zwracał się

nawet do psa, mówiąc: „zechciej zaprzestać gryzienia tego dywanu” albo „czy mój uczony kolega miałby ochotę na przechadzkę po ogrodzie?”. Najdziwniejsze jednak było, że pies zdawał się reagować na te słowa, aż błękitnookichłopiec sam zaczął się zastanawiać, czy on także zdołałby się oduczyć swoich nieokrzesanych nawyków.

Ze swojej strony doktor Peacock był pod tak wielkim wrażeniem talentu Bena, że zobowiązał się kształcić chłopca osobiście - pod warunkiem że ten będzie się zachowywał nie-nagannie w szkole - aby przygotować go do egzaminu umożliwiającego ubieganie się o stypendium w gimnazjum pod wezwaniem świętego Oswalda. W zamian liczył na możliwość przeprowadzenia, jak to określił, „kilku testów” oraz wykorzystania wyników sesji w książce, nad którą aktualnie pracował, stanowiącej zwieńczenie pracy całego jego życia. Na potrzeby tego dzieła rozmawiał już z wieloma syntetami, żaden jednak nie okazał się tak młody i obiecujący jak mały Benjamin Winter.

Oczywiście Gloria nie posiadała się z radości. Szkoła pod wezwaniem świętego Oswalda stanowiła spełnienie wszystkich jej marzeń, niewypowiedzianych ambicji, nadziei, jakie kiedykolwiek śmiała żywić. Do egzaminu pozostały jeszcze trzy lata, ale mówiła o nim tak, jakby miał się odbyć w najbliższej przyszłości, obiecywała oszczędzać każdego zarobionego funta, roztkliwiała się nad Benem jeszcze bardziej niż zwykle i jasno dawała synowi do zrozumienia, że otrzymał nieprawdopodobną szansę, szansę, którą przez wzgląd na nią musiał wykorzystać.

Benjamin nie był tak entuzjastycznie nastawiony do całej sprawy. Nadal nie lubił tej szkoły. Pomimo granatowych marynarek i krawatów noszonych przez uczniów (po prostu stworzonych dla niego, upierała się matka) widział już dosyć,

żeby zdawać sobie sprawę, że tam nie pasuje - ma nieodpowiednią twarz, nieodpowiednie włosy, nieodpowiedni dom, nieodpowiednie *imię*...

Żaden z chłopców od świętego Oswalda nie nazywał się Ben. Mieli na imię Leo, Jasper, Rufus albo Sebastian. U ucznia szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda przeszłoby imię takie jak Orlando, które dzięki niemu nabierałoby miętowych tonów. Nawet Rupert zdawał się brzmieć super w zestawieniu z granatową marynarką. Ale on, Ben doskonale zdawał sobie z tego sprawę, będzie miał nieodpowiedni odcień błękitu, cuchnący domem matki, nadmiarem płynu dezynfekującego i ciasnotą, zbyt dużą ilością smażeniny i zbyt małą liczbą książek, a na dodatek tym ostrym, nieuchronnym odorem jego braci.

Doktor Peacock powtarzał jednak, żeby się nie martwić. Trzy lata to naprawdę długo. Przez ten czas zdoła odpowiednio przygotować Bena, zrobić z niego chłopca od świętego Oswalda. Ben ma potencjał, tak mówił - czerwone słowo, jak rozciągnięta gumka recepturka, gotowa w każdej chwili strzelić mu w oko.

Dlatego błękitnookichłopiec przyjął propozycję. Jaki miał wybór? Ostatecznie był największą nadzieją mamy. Poza tym chciał zadowolić ich oboje - choć oczywiście przede wszystkim doktora Peacocka - a jeśli miało to oznaczać naukę u świętego Oswalda, gotów był podjąć takie wyzwanie. Nigel chodził do Sunnybank Park, wielkiego państwowego gimnazjum na obrzeżach Białego Miasta. Całość składała się z szeregu betonowych budynków z drutem kolczastym na dachach i przypominała więzienie, a cuchnęło tam jak w zoo. Jego bratu chyba to jednak nie przeszkadzało. Dziewięcioletni Brendan, który również miał trafić do Sunnybank Park, nie objawiał żadnych szczególnych zdolności. Doktor Peacock przeprowadził testy na obu chłopcach i nie wykazał

zainteresowania żadnym z nich. Nigela odrzucił od razu, Brendana po trzech czy czterech tygodniach, kiedy chłopak okazał się niechętny do wszelkiej współpracy.

Nigel miał dwanaście lat, był agresywny i humorzasty. Uwielbiał ciężkiego rocka i filmy z mnóstwem wybuchów, a w szkole nikt nie odważyłby się nad nim znęcać. Strachliwy i delikatny Brendan stał się jego cieniem, był bezpieczny tylko dzięki jego opiece, jak te stworzonka, które żyją w symbiozie z rekinami i krokodylami, chronione przed innymi drapieżnikami dzięki swojej przydatności dla gospodarza. Podczas gdy Nigel był inteligentny (choć nigdy się nie uczył), Ben nie nadawał się do niczego, beznadziejny w sporcie, nietowarzyski, leniwy i mrukliwy, główny kandydat do kolejki po zasilek, powtarzała mama, albo w najlepszym wypadku do pracy polegającej na przewracaniu burgerów.

Natomiast przeznaczeniem Bena były wyższe sprawy. W co drugą sobotę, kiedy Nigel i Brendan jeździli na rowerach albo bawili się z kolegami z osiedla, on odwiedzał dom doktora Peacocka - dom, który nazywał Dworem - gdzie przesiadywał rankami przy wielkim biurku obitym skórą w odcieniu butelkowej zieleni, czytając książki w twardej oprawie albo ucząc się geografii na malowanym globusie z nazwami wypisywanymi drobnymi zawijaskami. *Iroquois*, *Rangún*, *Azerbejdżan*, tajemnicze, staromodne, magiczne słowa dokładnie tak jak nazwy na tubkach z farbami pani White, pachniały leciutko dżinem i morzem, pieprznym pyłem i ostrymi przyprawami, niczym przedsmak jakiejś tajemniczej wolności, której Ben jeszcze nigdy nie doświadczył. Na dodatek jeśli zakręciło się globusem wystarczająco szybko, oceany i kontynenty zaczynały się ścigać w takim tempie, że w końcu wszystkie kolory zlewały się w jedno, w jeden idealny odcień błękitu - błękit oceanu, błękit nieba, błękit Benjamina.

Popołudniami zajmowali się już innymi rzeczami, na przykład oglądali obrazy i słuchali różnych dźwięków, co stanowiło element badań doktora Peacocka. Ben poddawał się temu posłusznie, choć niewiele z tych testów rozumiał.

Było więc mnóstwo książek pełnych liter czy liczb ułożonych w określone wzory, które musiał zidentyfikować. A także biblioteka zapisanych na taśmach dźwięków. Oraz pytania z gatunku: „Jaki kolor ma środa?”, „Która liczba jest zielona?” i kształty o intrygujących, wymyślonych nazwach, ale nigdy nie pojawiały się niepoprawne odpowiedzi, dzięki czemu doktor Peacock był zadowolony, a mamusia bardzo dumna ze swojego synka.

Poza tym Ben lubił chodzić do tego wielkiego starego domu z jego biblioteką, gabinetem i archiwum zapomnianych rzeczy, nagrań, kamer, plików pożółkłych zdjęć, fotografii weselników i rodzin albo od dawna nieżyjących dzieci w marynarskich ubrankach i o niepewnych, wymuszonych uśmiechach. Ostrożnie podchodził do perspektywy nauki w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda, podobały mu się jednak lekcje z doktorem Peacockiem, który zawsze zwracał się do niego „Benjaminie” i opowiadał mu o podróżach, muzyce, swoich badaniach i różach.

Ale co najważniejsze, tam błękitnookichłopiec się liczył. Tam był kimś wyjątkowym - obiektem badań, interesującym przypadkiem. Doktor Peacock go słuchał, notował jego reakcje na rozmaite bodźce, a następnie prosił o dokładne opisanie towarzyszących im odczuć. Często nagrywał rezultaty swoich obserwacji na małym dyktafonie, określając Bena jako „Chłopca X” dla zachowania anonimowości.

Chłopiec X - Benjaminowi podobało się to określenie, dzięki niemu robił wyjątkowe wrażenie, stawał się kimś, kto posiadał niezwykle umiejętności, posiadał dar. Nie żeby rzeczywiście był szczególnie uzdolniony. W szkole okazał się

bardzo przeciętnym uczniem, nigdy nie dostawał zbyt wysokich ocen. A jeśli chodzi o jego „czuciowe talenty”, jak określał to doktor Peacock - te dźwięki, które przekładały się na kolory i zapachy - to jeżeli już w ogóle się nad nimi zastanawiał, zawsze zakładał, że wszyscy doświadczają tego samego co on. I mimo zapewnień doktora Peacocka, że to odstępstwo od normy, nadal uważał się za normę, a cały świat postrzegał jako wynaturzenie.

Słowo „spokój” jest szare, twierdził doktor Peacock w swoim artykule zatytułowanym „Chłopiec X i wcześniej nabyta synestezja”, choć „spokojny” ma już barwę ciemnoniebieską, o lekkim posmaku anyżku. Liczby w ogóle nie mają barw, ale nazwy miejsc oraz imiona ludzi często niosą ze sobą silny ładunek, czasami wręcz przytłaczający, kolorów i smaków. W niektórych przypadkach istnieje wyraźna korelacja tych niezwykłych doznań zmysłowych z wydarzeniami, które były udziałem Chłopca X, co zdaje się sugerować, że ten typ synestezji może mieć częściowo charakter skojarzeniowy, a nie wyłącznie wrodzony. Jednak nawet w tym przypadku można zaobserwować szereg interesujących reakcji fizycznych na bodźce, wliczając w to zwiększone wydzielanie śliny jako bezpośrednią odpowiedź na słowo „szkarłatny”, które dla Chłopca X pachnie czekoladą, oraz zawroty głowy towarzyszące słowu „różowy”, które dla Chłopca X pachnie silnie gazem.

Wtedy to wszystko brzmiało tak poważnie. Jakby robili coś ważnego dla nauki. A kiedy książka się ukaże, tłumaczył doktor, obaj z Chłopcem X staną się sławni. Może nawet zdobędą za swoje badania nagrodę. Ben był tak zaabsorbowany lekcjami u doktora Peacocka, że właściwie wcale nie myślał już o paniach, u których sprzątała mama, a które tak

gorliwie zabiegały dawniej o jego względy. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie, a doświadczenia doktora Peacocka zajęły miejsce obrazów i lalek.

Dlatego właśnie kiedy sześć miesięcy później zobaczył wreszcie któregoś dnia panią White na rynku, zdumiał się, jak bardzo utyła, zupełnie jakby po jego odejściu musiała zjadać sama całą zawartość tych wielkich czerwonych puszek z ciasteczkami Family Circle. Co się stało?, zadawał sobie pytanie. Śliczna pani White miała teraz wydatny brzuch i szła między stoiskami pełnymi warzyw i owoców z szerokim, niemądrym uśmiechem na ustach.

To matka przekazała im dobrą nowinę. Po niemal dziesięciu latach daremnych starań pani White wreszcie zaszła w ciążę. Z jakiegoś powodu Gloria bardzo się tym przejęła, może podekscytowana wizją dodatkowego zarobku, ale błękitnookichłopic był zaniepokojony. Przypomniawszy sobie kolekcję lalek w burzy koronek, wszystkie te upiorne „nie do końca dzieci”, zastanawiając się, czy teraz pani White je wyrzuci, skoro miała dostać prawdziwego dzidziusia.

Sama myśl o tym przyprawiła go o senne koszmary; śniły mu się patrzące żałośnie nieruchomymi oczami lalki w jedwabiacz i starych koronkach, porzucone na śmietniku, podarte ubranka, wyblakłe od deszczu, porozbijane porcelanowe główki poniewierające się wśród butelek i puszek.

- Chłopiec czy dziewczynka? - dopytywała się mama.

- Dziewczynka. Zamierzam dać jej na imię Emily.

Emily. E-mi-ly, trzy sylaby, niczym pukanie do drzwi przeznaczenia. Takie dziwne, staromodne imię, w porównaniu z tymi wszystkimi Kylie, Tracey i Jade, imionami cuchnącymi dezodorantem Impulse i lakierem do włosów, które odcinały się wyraźnie krzykliwymi neonowymi kolorami, podczas gdy jej miało przygaszony różowawy odcień, jak guma balonowa, jak róże.

Ale skąd błękitnookichłopic mógł wiedzieć, że któregoś dnia to ona przywiedzie go aż tutaj? I jak ktokolwiek miałby odgadnąć, że staną się sobie tak bliscy - ofiara i drapieżnik, spleceni ze sobą jak róża wyrastająca z ludzkiej czaszki - nawet nie zdając sobie z tego sprawy?

Dodaj komentarz

ClairDeLune: Naprawdę podoba mi się kierunek, w którym to wszystko zmierza. Czy to fragment czegoś dłuższego?

porcelanowymotył: to prawda z tymi kolorami? długo szukałeś tych informacji?

błękitnookichłopic: Nie tak długo, jak by ci się mogło wydawać. Super, że ci się podobało, Chryssie!

porcelanowymotył: o, kotku (uściski)

Jenny Tricks: (post usunięty)

6.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 00:54 w niedzielę, 3 lutego

Status: prywatny

Nastrój: obojętny

Kiedy umarł tata, wylałam morze łez. Płacę na kiepskich filmach. Płacę przy smutnych piosenkach. Płacę z powodu przejechanych psów, reklam telewizyjnych, deszczowych dni i poniedziałków. Więc dlaczego nad Nigelem nie uroniłam nawet łezki? Wiem, że „Requiem” Mozarta czy „Adagio” Albinoniego pobudziłoby mnie do płaczu, ale to nie żal, tylko folgowanie swoim słabościom, coś, w czym lubowała się Gloria Winter.

Niektórzy uwielbiają wystawiać się w ten sposób na widok publiczny. Pogrzeb Emily był tego najlepszym przykładem. Stos kwiatów i pluszowych maskotek, ludzie płaczący otwarcie na ulicach. Cały naród rozpaczał - ale nie po jakimś dziecku. Może raczej z powodu utraconej niewinności albo ohydy tego wszystkiego i własnej zbiorowej zachłanności, która w ostatecznym rozrachunku pochłonęła ją całą. Fenomen Emily White, który nabrał takiego rozgłosu przez te

wszystkie lata, zakończył się jękiem, małym nagrobkiem na cmentarzu w Malbry i witrażem w kościele - oba ufundowane przez doktora Peacocka, ku wielkiemu oburzeniu Maureen Pike i jej przyjaciółek, uważających za bardzo niestosowne, aby taki człowiek był w jakikolwiek sposób powiązany z kościołem, miasteczkiem czy samą Emily.

Teraz nikt już o tym nie pamięta. Ludzie zwykle zostawiają mnie w spokoju. W Malbry jestem niewidzialna, ale czerpię wielką przyjemność z mojego własnego braku głębi. Gloria nazywała mnie „bezbarwną”; usłyszałam, jak określiła mnie tak przez telefon w czasach, kiedy rozmawiali jeszcze ze sobą z Nigelem.

- Nie widzę żadnej przyszłości dla tego związku - powiedziała wtedy. - To taka bezbarwna dziewczynina. Wiem, że pewnie się nad nią litujesz, ale...

- Wcale się nad nią nie lituję!

- Ależ oczywiście, że tak. Cóż za nonsensy...

- Jeszcze jedno słowo i odkładałam słuchawkę.

- Litujesz się nad nią, bo ona...

Klik.

Albo podsłuchane któregoś dnia w Zebrze: „Bóg jeden wie, co on w niej widzi. Zwyczajnie jest mu jej żal”.

Jak delikatnie, jak uprzejmie niewiarygodne, że ktoś taki jak ja mógłby zainteresować mężczyznę z powodów innych niż litość. Bo Nigel był przystojny, a ja, no cóż, na swój sposób „okaleczona”. Miałam określoną przeszłość, byłam niebezpieczna. Nigel okazał się bardzo otwarty - opowiedział mi o sobie wszystko tamtego wieczoru, kiedy leżeliśmy pod rozgwieżdżonym niebem. Ale o jednej sprawie nie wspomniał - to Eleanor Vine zwróciła mi uwagę na to, że zawsze chodził ubrany na czarno. Niekończąca się procesja czarnych dżinsów, czarnych kurtek, czarnych T-shirtów, czarnych butów. „Takie ciuchy łatwiej prać” - powiedział, kiedy w końcu go

o to spytałam. „Możesz załadować do pralki wszystko razem”.

Czy na końcu wykrzyknął moje imię? Czy wiedział, że to moja wina? A może wszystko było dla niego tylko zamazaną plamą, jednym gwałtownym skrętem prosto w nicość? Wszystko zaczęło się zupełnie zwyczajnie. Byliśmy dziećmi. Byliśmy niewinni. Nawet on także, na swój sposób - błękitnookichłopiec, który nawiedza moje sny.

Może to jednak poczucie winy wywołało ten wczorajszy atak paniki. Poczucie winy, zmęczenie i nerwy, nic więcej. Emily White od dawna nie żyje. Umarła, kiedy miała dziewięć lat, a teraz nikt już o niej nie pamięta, ani tatuś, ani Nigel, zwyczajnie nikt.

Kim teraz jestem? Na pewno nie Emily White. Nie będę, nie mogę być Emily. Nie mogę też stać się na powrót sobą teraz, kiedy nie ma już taty i Nigela. Może powinnam pozostać Albertyną, nickiem, którego używam w sieci. To imię ma w sobie jakąś słodycz. Słodycz i pewną nostalgię, jak w przypadku bohaterki Prousta. Sama nie bardzo wiem, dlaczego je wybrałam. Może z powodu błękitnookiegochłopca, nadal ukrytego w samym sercu tego wszystkiego, błękitnookiegochłopca, o którym od dawna próbuję zapomnieć.

Ale jakaś częśćka mnie musiała go zapamiętać. Jakaś częśćka mnie wiedziała, że w końcu do tego dojdzie. Bo wśród wszystkich ziół i kwiatów w moim ogrodzie - maków, tymianków, goździków, bodziszków, melisy, lawendy i maciejki - nigdy nie zasadziłam choćby jednego krzewu róży.

7.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 03:06 w sobotę, 3 lutego

Status: publiczny

Nastrój: poetycki

Słucham: „The First Time I Ever Saw Your Face” Roberty

Flack

Benjamin miał siedem lat, kiedy Emily White przysłała na świat. Czas przemian, czas niepewności, czas niewypowiedzianych złych przeczuc. Początkowo nie był pewien, co to może oznaczać, ale od tamtego dnia na targu dostrzegał w otoczeniu stopniową zmianę. Ludzie już na niego nie patrzyli, kobiety przestały go rozpieszczać słodyczami. Nikt nie zachwycał się tym, jak bardzo urósł. Zupełnie jakby nagle znalazł się poza zasięgiem ich postrzegania.

A matka, jeszcze bardziej zaabsorbowana sprzątaniami w prywatnych domach i w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda, często była zbyt zmęczona, aby rozmawiać z synami, ograniczając się jedynie do przypominania im, że mają umyć zęby i pilnie się uczyć. Kobiety, które dawniej tak się

nad nim rozczułały, stłoczone dookoła niego jak kwoki wokół osamotnionego kurczęcia, obecnie znikły z jego życia, pozostawiając go w niepewności, czy to jego wina, czy tylko zbieg okoliczności, że nikt (poza doktorem Peacockiem) już go nie chciał.

Aż wreszcie zrozumiał. Stanowił jedynie rozrywkę, nic więcej. Trudno rozmawiać z kimś, kto sprząta za twoją lodówką albo szoruje twoją muszlę klozetową czy pierze ręcznie twoją koronkową bieliznę, a pod koniec tygodnia odchodzi z taką sumą pieniędzy w portmonetce, która nie wystarczyłaby na zakup nawet jednej pary równie drogich majteczek. Pracodawczynie jego matki o tym wiedziały. Czytelniczki „Guardiana”, wszystkie co do jednej, wierzyły w równość do pewnego stopnia i może nawet czuły się trochę nieswojo, że muszą najmować sprzątaczkę - do czego nigdy by się zresztą nie przyznały, ostatecznie one tylko pomagały tej kobiecie - ale rekompensowały to sobie na swój sposób, zachwycając się słodkim małym chłopcem, tak jak goście odwiedzający gospodarstwa agroturystyczne rozczulają się nad małymi owieczkami, które wkrótce trafią na półki, ślicznie opakowane, jako (ekologiczne) kotlety i bitki. Przez trzy lata był małym księżątkiem, rozpieszczanym, wychwalanym i uwielbianym, a potem...

A potem pojawiła się Emily.

Brzmi tak niewinnie, prawda? Takie słodkie, staroświeckie imię, same migdały w lukrze i woda różana. A jednak to właśnie ona była początkiem wszystkiego, osi, wokół której zaczęło się kręcić ich życie, wiatrowskazem przechodzącym od słonecznej pogody do burzy jednym obrotem kurka na dachu. Na początku wystarczyła za ledwie pogłoska, ale pogłoska, która szerzyła się i rosła w potęgę, by w końcu zamienić się w ślepą niszczycielską siłę, miazdzącą wszystko na drodze fenomenowi Emily White.

Mama powiedziała im, że płakał, kiedy się o tym dowiedział. Tak bardzo było mu żal biednego dzidziusia, tak bardzo żałował pani White, która pragnęła dziecka bardziej niż czegokolwiek innego, a kiedy jej życzenie wreszcie się spełniło, padła ofiarą depresji poporodowej - nie chciała wychodzić z domu, karmić córeczki ani nawet się myć - tylko dlatego że dziecko urodziło się niewidome.

Mimo wszystko to znowu cała mamusia, wyolbrzymiająca jego wrażliwość. Benjamin nigdy nie uronił nawet łezki. To Brendan płakał. Takie rzeczy były bardziej w jego stylu. Ben w ogóle się tym nie przejął, ciekawiło go tylko, jak zachowa się teraz pani White. Słyszał, jak pani Vine mówiła Glorii, że czasem matki w depresji poporodowej mogą wyrządzić krzywdę swoim dzieciom. Zastanawiał się więc, czy mała jest bezpieczna, czy ludzie z opieki społecznej ją zabiorą, a jeśli tak, to czy pani White będzie chciała go znowu widywać.

Tylko że on nie potrzebował już pani White. Bardzo się zmienił od tamtych czasów. Jego jasne włosy ściemniały, dziecinna twarz nabrała ostrzejszych kształtów. Już wtedy zdawał sobie sprawę, że stracił swój dziecięcy urok, przepęłniała go jednak złość na tych wszystkich ludzi, którzy nie ostrzegli go, że to, co jako czterolatek uważał za rzecz oczywistą, może mu zostać tak okrutnie odebrane, kiedy skończy lat siedem. Tak często słyszał, że jest uroczy, wspaniały - a teraz stał się niepotrzebny jak wszystkie te lalki, które pani White odsunęła na bok, gdy na scenie pojawiła się jej nowa, żywa laleczka.

Starsi bracia nie okazali mu współczucia, że popadł w niełaskę. Nigel otwarcie się cieszył, Brendan jak zwykle pozostał obojętny. Być może początkowo nawet niczego nie zauważył, zajęty chodzeniem krok w krok za Nigelem i naśladowaniem go niewolniczo. Żaden tak naprawdę nie rozumiał, że w tym

wszystkim nie chodzi o zwrócenie na siebie uwagi mamy czy kogokolwiek innego. Okoliczności towarzyszące narodzinom Emily nauczyły błękitnookiego chłopca, że nikt nie jest niezastąpiony i nawet ktoś taki jak on może nieoczekiwanie zostać odarty z całej chwały. Teraz jedynie jego sensoryczne właściwości odróżniały Bena od reszty klanu - lecz nawet to miało się wkrótce zmienić.

Kiedy wreszcie zobaczyli Emily, dziewczynka miała już dziewięć miesięcy. Puchate stworzonko w różu, zwinięte ciasno w ramionach matki. Chłopcy byli akurat na targu, pomagali mamie w zakupach, ale to błękitnookichłopiec dostrzegł je pierwszy. Pani White włożyła długi fioletowy płaszcz - *violetto*, jej ulubiony kolor - mający sprawiać wrażenie artystycznej oryginalności, a podkreślający jedynie jej bladość, i rozsiewała wokół wybijającą się ponad zapach owoców woń paczuli, od której aż szczypały oczy.

Była z nią jeszcze jedna kobieta, zauważył błękitnookichłopiec. Kobieta w wieku jego matki, w spranych dżinsach i kamizelce, z długimi, prostymi, jasnymi włosami. Na rękach miała dużo srebrnych bransoletek. Pani White sięgnęła po opakowanie truskawek, a potem, zauważywszy Benjaminą czekającego w kolejce, aż krzyknęła ze zdumienia.

- Kochanie, ależ ty wyrosłeś! - zawołała. - Naprawdę minęło już tyle czasu? - Następnie odwróciła się w stronę stojącej koło niej kobiety. - Feather, to jest Benjamin. A to jego matka, Gloria.

Zadnej wzmianki o Nigelu czy Brendanie. Z drugiej strony należało się tego spodziewać.

Kobieta, którą pani White nazwała Feather - co za głupie imię, pomyślał błękitnookichłopiec - rzuciła im wymuszony uśmiech. Od razu widać było, że jej się nie spodobali. Oczy miała wąskie, w odcieniu lodowatej zieleni, spojrzenie

pozbawione wszelkiej sympatii. Przyglądała się im podejrzliwie, jakby uważała ich za pospolitych, nie dość dobrych.

- Urodziła pani d-dziecko - powiedział błękitnookichłopiec.

- Tak. Ma na imię Emily.

- E-mi-ly - spróbował. - M-mogę ją potrzymać? Będę ostrożny.

Feather znowu zacisnęła wargi w wąskim uśmiechu.

- Nie, dziecko to nie zabawka. Nie chciałbyś przecież zrobić Emily krzywdy.

Nie chciałbym?, pomyślał błękitnookichłopiec. Sam nie był tego taki pewny. Zresztą jaki jest pożytek z niemowlaka? Nie umie chodzić ani mówić, tylko je, śpi albo płacze. Nawet kot potrafi więcej. No a poza tym dlaczego niemowlak miałby być taki ważny? W każdym razie na pewno nie bardziej od niego.

Oczy znowu go zapiekły. To na pewno wina paczuli. Ukradkiem oderwał liść z leżącej obok kapusty i zgniótł go w rękę.

- Emily to... wyjątkowe dziecko. - Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie.

- Doktor mówi, że ja jestem wyjątkowy - odparł Ben i uśmiechnął się z wyższością na widok zdumionej miny Feather. - Pisz o mnie książkę. Bo jestem niezwykle.

To ostatnie słowo wypowiedział z pewną emfazą, jego słownictwo bardzo się rozwinęło dzięki naukom doktora Peacocka.

- Książkę? - zdumiała się Feather.

- O swoich badaniach.

Obie panie wymieniły zaskoczone spojrzenia, a potem popatrzyły na Benjaminą niezbyt pochlebnie. Poczul się trochę zbity z tropu, ale najwyraźniej w końcu zdołał przyciągnąć ich uwagę. Teraz pani White naprawdę na niego patrzyła,

jednak w taki zamyślony, podejrzliwy sposób, aż zrobiło mu się nieswojo.

- Więc... on wam... pomaga? - spytała. Mama aż zesztyniała.

- Odrobinę - mruknęła.

- Finansowo?

- To element jego badań - wyjaśniła Gloria.

Ewidentnie poczuła się urażona sugestią, że potrzebowali wsparcia finansowego, błękitnookichłopic poznał to od razu. Zupełnie jakby chodziło o jałmużnę, co przecież nie było prawdą. Błękitnookichłopic zaczął tłumaczyć pani White, że to oni pomagają doktorowi Peacockowi, a nie odwrotnie, ale wtedy mama rzuciła mu karcące spojrzenie. Po jej minie poznał, że nie powinien się odzywać niepytany. Potem położyła mu jeszcze dłoń na ramieniu i zacisnęła palce, przyprowadzając go o grymas bólu. Ręce zawsze miała wyjątkowo silne.

- Jesteśmy bardzo dumni z Bena - powiedziała. - Doktor mówi, że nasz chłopiec ma prawdziwy dar.

Dar. Dar, pomyślał błękitnookichłopic. Zielone, jakby złowieszcze słowo. Darr, niczym dźwięk grzechotki węża zatapiającego kły w ciele ofiary. Dar, niczym ładnie opakowany granat, gotowy wybuchnąć ci w rękę.

I wtedy to poczuł, niczym karcący klaps: nagły ból głowy i odór owoców, który zdawał się spowijać wszystko. Nagle ogarnęły go mdłości, zrobiło mu się niedobrze, tak niedobrze, że nawet mama to zauważyła i zwolniła ucisk palców.

- O co znowu chodzi?

- Nie cz-czuję się za dobrze.

Mamusia rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Nawet o tym nie myśl - syknęła. - Już ja ci dam powód do narzekania.

Błękitnookichłopic zacisnął pięści i pomyślał o błękiecie, o Feather w niebieskim worku na zwłoki, rozczłonkowanej

i oznakowanej do usunięcia, o sonej Emily w dziecięcym łó-
żeczku i pani White zawodzącej z rozpaczy.

Ból głowy zelżał. Dobrze. Ohydny zapach również osłabł. A
potem błękitnookichłopiec pomyślał o braciach i mamie le-
żących bez życia w kostnicy i znowu poczuł ten ból, jak kop-
nięcie rozszalałego konia, a jego spojrzenie przesłoniło tysiąc
tęcz.

Gloria popatrzyła na niego podejrzliwie. Błękitnookichłó-
piec próbował oprzeć się o najbliższy stragan, ale dłonią za-
haczył o bok skrzynki. Piramida jabłek tylko czekała, żeby
zamienić się w lawinę.

- Jeśli cokolwiek spadnie na ziemię - warknęła Gloria -
Bóg mi świadkiem, będziesz musiał to zjeść.

Błękitnookichłopiec cofnął dłoń, jakby skrzynka nagle za-
częła parzyć. Wiedział, że to jego wina, jego wina, bo pochłó-
nął swojego bliźniaka, bo życzył mamusi śmierci. Urodził się
zły, zły do szpiku kości, a te mdłości stanowiły karę.

Już myślał, że się mu upiekło. Piramida owoców zadrzała,
lecz nie runęła. A potem jedno z jabłek - nadal widzi je w my-
ślach, z małą niebieską nalepką z boku - szturchnęło swojego
sąsiada i nagle cały przód straganu z owocami poleciał w dół;
jabłka, brzoskwinie, pomarańcze podskakiwały radośnie,
odbijając się od plastikowej osłony, żeby w końcu wylądować
na betonowej podłodze.

Matka czekała, dopóki nie wyzbierał wszystkich owoców,
co do jednego. Niektóre były niemal nienaruszone, inne zo-
stały wdeptane w ziemię. Zapłaciła za nie z uporem godnym
łaskawej damy. A potem, tego samego wieczoru, stanęła nad
synem z przeciekającą plastikową torbą w jednym ręku i ka-
blem w drugim, i zmusiła go, żeby zjadł to wszystko, kawałek
po kawałku, gniazda nasienne, skórkę, piach i zgniliznę, pod-
czas gdy obaj bracia patrzyli pomiędzy słupkami balustrady i
już nawet nie wyśmiewali się z niego, kiedy płakał, z trudem

powstrzymując mdłości. I po dziś dzień niewiele się zmieniło, myśli sobie błękitnookichłopic. Witaminowy napój mamusi zawsze przywołuje to wspomnienie, a on z trudem powstrzymuje się od wymiotów, chociaż Gloria nie zwraca na to uwagi. Jej zdaniem jest taki delikatny. I na pewno nie zrobiłby nikomu nic złego.

Dodaj komentarz

porcelanowymotył: och kochanie aż chce mi się płakać

Kapitanmordercakroliczkow: Daj sobie spokój ze łzami, stary, gdzie jest krew?

Toksyczny69: Popieram. Wyciągaj te cholerne worki na zwłoki, a tak przy okazji, człowieku, co ze scenami łózkowymi?

ClairDeLune: błękitnookichłopic, dobra robota! Podoba mi się, jak łączysz ze sobą te historie. Nie zamierzam się wtrącać, ale chemie usłyszałabym, ile z tych opowieści jest opartych na wątkach autobiograficznych, a ile to czysta fikcja. Narracja w trzeciej osobie dodaje temu interesującego dystansu. Może powinniśmy to omówić na którymś ze spotkań naszej grupy?

8.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 19:15 w poniedziałek, 4 lutego

Status: publiczny

Nastrój: melancholijny

Słucham: „After the Goldrush” Neila Younga

Po pani Elektryczny Błękit wszystko było już łatwiejsze. Niewinność, tak jak dziewictwo, traci się tylko raz, ale właściwie wcale nie odczuwa jej braku, tylko lekkie zdziwienie, że w ostatecznym rozrachunku okazało się to tak drobną sprawą. Drobną, ale potężną, bo zabarwiającą teraz każdy aspekt jego życia niczym okrusz czystej turkusowej farby w szklance wody, nadający jej zawartości odcień najgłębszego błękitu.

Teraz widzi je wszystkie w błękitcie, swoje potencjalne obiekty, swój łup, cel. „Cel”. Coś, do czego można dążyć. „Celować”. „Cela”. A on jest bardzo wrażliwy na słowa, ich dźwięki, kolory, muzykę, ich kształt na stronie.

„Cel” to słowo niebieskie, jak „targowisko”, jak „morderstwo”. Podoba mu się o wiele bardziej niż „ofiara”, o lekkim

odcieniu skorupki jajka, czy nawet „zdobycz” z jej kościelnym fioletem i słabym smrodkiem kadzidła. Teraz widzi ich w błękicie, wszystkich tych ludzi, którzy wkrótce umrą, jednak pomimo swojej niecierpliwości, by powtórzyć ten czyn, oczekuje, aby euforia nieco opadła, kolory świata znowu zblakły, a supeł nienawiści ulokowany na stałe tuż pod jego spłotem słonecznym rozrósł się do punktu, w którym działanie, jakiegokolwiek działania okaże się nieuniknione, bo inaczej czeka go śmierć.

Lecz on wie, że niektóre rzeczy są warte czekania. I czeka tak długo. Ta scenka na targu rozegrała się ponad dziesięć lat temu i dziś nikt nie pamięta już pani White ani jej przyjaciółki o idiotycznym imieniu.

Nazwijmy ją panią Sprany Błękit. Pani Sprany Błękit lubi sobie wypalić skręta czy dwa. W każdym razie lubiła to robić za młodu, kiedy ważyła góra czterdzieści osiem kilo i nigdy, przenigdy nie nosiła stanika. Teraz przekroczyła już pięćdziesiątkę i musi się odchudzać, a po trawce ogarnia ją wilczy głód.

Codziennie chodzi więc do siłowni, a dwa razy w tygodniu na tai-chi i salsę i nadal wierzy w wolną miłość, chociaż w dzisiejszych czasach nawet to robi się jej zdaniem za drogie. Niegdyś radykalna feministka, traktująca wszystkich mężczyzn jak agresorów, uważa się za wolnego ducha, jeździ żółtym citroenem 2CV, lubi etniczne bransoletki i dobrze skrojone dżinsy, co roku spędza kosztowny urlop w Tajlandii, określa siebie jako „uduchowioną”, kładzie tarota na przyjęciach u przyjaciółek i może się pochwalić nogami trzydziestolatki, czego nie da się niestety powiedzieć o jej twarzy.

Jej najnowsza sympatia ma dwadzieścia dziewięć lat - niemal dokładnie tyle samo co błękitnookichłopiec. Hermafrodyta o krótko obciętych blond włosach, parkujący motor koło kościoła, na tyle daleko od domu pani Sprany Błękit,

żeby nie dawać sąsiadom powodów do plotek. Z czego błękitnookichłopiec wnioskuje, że pani Sprany Błękit wcale nie jest takim wolnym duchem, za jakiego chciałaby uchodzić.

No cóż, świat mocno się zmienił od lat sześćdziesiątych. Pani Sprany Błękit zna wartość odpowiednich znajomości, a rezygnacja z wyścigu szczurów jakoś nie wydaje się już tak pociągająca teraz, kiedy jej słabość do birkenstocków i dzwonów ustąpiła miejsca namiętności do akcji i obligacji.

Oczywiście, on wcale nie twierdzi, że właśnie dlatego pani Sprany Błękit zasługuje na śmierć. To byłoby irracjonalne. Zastanawia się jednak, czy komukolwiek będzie jej naprawdę brakować. Czy kogokolwiek obeszloby, gdyby umarła?

Prawda wygląda tak, że nikogo to nie interesuje. Rzadko kiedy czyjeś odejście oznacza dla nas wielką stratę, na ogół nie odczuwamy nic poza obojętnością w obliczu śmierci kogoś spoza własnego plemienia. Nastolatków zadźganych nożem dla paru groszy na narkotyki, emerytów zamarzających we własnych domach, ofiar głodu, wojny, zarazy. Tylu z nas udaje, że cierpi, bo tego właśnie oczekują od nas inni ludzie, chociaż w głębi ducha każdy się zastanawia, o co cały ten raban. Niektóre przypadki poruszają nas głębiej: śmierć fotogenicznego dziecka czy sezonowej gwiazdki, ale i tak większość z nas bardziej zmartwi odejście psa lub bohatera noweli niż przyjaciela albo sąsiada.

Tak właśnie myśli sobie nasz bohater, podążając za złotym Citroenem do miasta, z zachowaniem bezpiecznej odległości. Dzisiaj jedzie białą dostawczą furgonetką ukradzioną kwadrans po osiemnastej z podwórka sklepu dla majsterkowiczów. Właściciel pojechał już do domu, więc nie zauważy braku auta przed nadejściem ranka, a wtedy będzie już po wszystkim. Do tego momentu auto zdąży spłonąć, nikt więc nie zdoła powiązać błękitnookiegochłopca z tragicznym zdarzeniem, w wyniku którego jedna z mieszkańek miasteczka

została potrącona przez samochód w drodze na wieczorne zajęcia salsy.

„Zdarzenie” - podoba mu się to słowo, jego cytrynowy zapach, kusząca barwa. Nie do końca wypadek, a jednak coś przypadkowego, odwrócenie uwagi od głównej sytuacji. Nie można tego nawet nazwać ucieczką z miejsca wypadku, bo przecież nikt tu nie ucieka.

Tak naprawdę pani Sprany Błękit widzi nadjeżdżający samochód, słyszy ryk jego silnika, ale go ignoruje. Zamyka swoje żółte auto, zaparkowane dokładnie po drugiej stronie ulicy, i wchodzi na skrzyżowanie, nawet nie spojrzawszy w lewo czy prawo. Obcasy postukują na asfalcie, rąbek spódnicy znajduje się na tyle wysoko, żeby zaprezentować bardziej niż tylko niezłe nogi.

Pani Sprany Błękit wyznaje pogląd prezentowany w sloganie pewnej bardzo znanej serii produktów do pielęgnacji włosów, którego on tak nie znosi, bo jego zdaniem owe trzy słowa podsumowują całą arogancję wszystkich tych dobrze wychowanych damskich pasożytów z ich farbowanymi włosami, wypielęgnowanymi paznokciami i absolutną pogardą dla reszty świata, w tym dla młodego mężczyzny w błękitie za kierownicą furgonetki, z całą pewnością nieprzypominającego czwartego jeźdźca Apokalipsy. Ale czy naprawdę sądziła, iż Śmierć nawiedzi ją osobiście tylko dlatego, że jest *tego* warta?

On musi się zatrzymać, myśli sobie kobieta, wkraczając na jezdnię tuż przed maską auta. Musi się zatrzymać na czerwonym świetle. Musi się zatrzymać przed skrzyżowaniem. Musi się zatrzymać, ponieważ to idę ja, a jestem zbyt ważna, żeby mnie zignorować.

Uderzenie jest silniejsze, niż się spodziewał, i odrzuca kobietę aż na chodnik. Błękitnookichłopic forsuje krawężnik, żeby cofnąć auto i przejechać po niej jeszcze raz. Silnik rzezi

głośno, zawieszenie jest rozwalone, rura wydechowa ciągnie się po ziemi, a z chłodnicy bucha para.

Dobrze, że to nie mój samochód, myśli błękitnookichłopiec. I bez pośpiechu rozjeżdża coś, co bardziej przypomina teraz torbę z praniem niż kobietę, która tańczyła kiedyś salsę. Dopiero wtedy oddala się z umiarkowaną prędkością, bo tylko frajer zostałby, żeby popatrzeć, a on wie z dziesiątków filmów, że arogancja i próżność często stają się przyczyną kłęski niegrzecznych chłopców. Odjeżdża więc spokojnie, podczas gdy na chodniku zaczynają się już gromadzić gapie z otwartymi ustami, antylopy u wodopoju obserwujące przejście drapieżnika.

Powrót na miejsce zbrodni to luksus, na który nie może sobie pozwolić. Ale wyposażony w aparat z teleobiektywem może obserwować efekty wypadku z ostatniego poziomu wielopiętrowego parkingu - radiowóz, karetka, mały tłumek, potem o wiele za wolny odjazd ambulansu - wie, że potrzebują lekarza, aby stwierdzić zgon na miejscu, chociaż w sytuacji takiej jak ta wystarczyłaby opinia laika.

Oficjalnie pani Sprany Błękit została uznana za zmarłą w drodze do szpitala.

Błękitnookichłopiec wie, że w rzeczywistości wyzionęła ducha jakieś piętnaście minut wcześniej. Wie też, że miała usta wygięte do dołu niczym pyszczek małej płastugi i że policjanci zasypali piaskiem plamę krwi, aby następnego dnia nie pozostał po wypadku żaden ślad, no może poza pękiem kupionych na stacji benzynowej kwiatów, przyczepionych taśmą klejącą do znaku drogowego.

Jakie to stosowne, myśli błękitnookichłopiec. Jakie ckliwe i banalne. Śmiecie na autostradzie stanowią teraz obowiązujący symbol żałoby. Kiedy kilka miesięcy wcześniej zginęła księżna Walii, na ulicach leżały stosy takich bukietów,

przytwierdzone do każdej latarni, pozostawione na każdym możliwym murku, aby tam więdły, kwiaty we wszystkich stadiach rozkładu, zamieniające się w kompost w swoim celofanie. Na każdym rogu ulicy leżał stos kwiatów, gnijącego papieru, pluszowych misiów, kartek z wyrazami smutku, karteluszków i plastikowych opakowań, a w upale późnego lata wszystko to cuchnęło niczym miejskie wysypisko.

I dlaczego? Kim dla nich była ta kobieta? Twarzą z okładek czasopism, epizodyczną postacią w operze mydlanej, próbującym zwrócić na siebie uwagę pasożytem, kimś, kto w świecie dziwaków ledwie kwalifikował się jako osoba normalna?

Czy naprawdę była tego wszystkiego warta? Tych wybuchów żalu i rozpaczy? W każdym razie kwaciarze świetnie na tym wyszli, ceny róż gwałtownie podskoczyły. A kiedy później w ciągu tygodnia błękitnookichłopiec odważy się zauważyć w pubie, że może to wszystko było jednak niepotrzebne, zostaje wyciągnięty przez jednego z klientów i jego paskudną żonę do zaułka na poważną rozmowę - może niezupełnie napad, och, nie, ale jest w tym wystarczająco dużo ciosów i przepychanek, żeby uznać to za bliskie pobicia - po czym słyszy, że nie jest tu mile widziany, więc lepiej niech się odpięprzy.

W którym to momencie naszej historii mężczyzna - może nazwiemy go tu panem Dieslowski Błękit? - głowa rodziny, szanowany członek lokalnej społeczności, dwadzieścia lat starszy od błękitnookiegochłopca i o jakieś pięćdziesiąt kilogramów od niego cięższy - unosi swoją lojalną pięść i uderza naszego bohatera prosto w szczękę, podczas gdy jego paskudna żona, cuchnąca papierosami i tanim antyperspirantem, zaśmiewa się z plującego krwią błękitnookiegochłopca i mówi:

- Ona jest więcej warta po śmierci, niż ty kiedykolwiek będziesz...

Sześć miesięcy później dzięki zapisowi z kamer ochrony samochód Dieslowskiego zostaje powiązany z wypadkiem, którego sprawca zbiegł z miejsca zdarzenia, potrąciwszy śmiertelnie kobietę w średnim wieku, idącą przez ulicę do swojego auta. Furgonetka, która od tamtej pory zdążyła już spłonąć, nadal jednak nosi ślady włókien i włosów, więc chociaż Dieslowski Błękit zarzeka się, że to nie jego wina, bo samochód został dzień wcześniej ukradziony, nie udaje się mu przekonać sędziego pokoju, zwłaszcza w świetle swoich pi-jackich awantur i aktów przemocy z przeszłości. Sprawa trafia do sądu karnego, gdzie po czterech dniach procesu Dieslowski Błękit zostaje oczyszczony z zarzutów, głównie z powodu braku dowodów. Nagrania z kamer ochrony okazały się niewystarczające, ponieważ nie udało się na ich podstawie ustalić tożsamości kierowcy pojazdu - mężczyzny w bluzie z kapturem i czapce baseballowej, którego masywna sylwetka może być zasługą zbyt obszernego ubrania i którego twarzy nigdzie nie widać.

Ale wyrok uniewinniający to nie wszystko. Napisy na murach domu, wrogie pomruki w pubie, listy do lokalnej gazety, wszystko to sugeruje, że zdaniem mieszkańców Dieslowski Błękit wywinął się od kary jedynie dzięki uchybieniom proceduralnym. A kiedy kilka tygodni później jego dom spłonął (z samym właścicielem i jego żoną w środku), nikt specjalnie nie rozpaczał z tego powodu.

Werdykt: śmierć w następstwie nieszczęśliwego wypadku, prawdopodobnie spowodowana przez nieostrożne obchodzenie się z papierosem.

Błękitnookichłopiec nie jest zdziwiony. Już wcześniej ustalił, że facet jest palaczem.

Dodaj komentarz

Kapitanmordercakraleczkow: Stary, jesteś kompletnie porąbany. Uwielbiam to!

porcelanowymotył: hip hip hura dla blekitnookiegochłopca

ClairDeLune: Bardzo interesujące. Wyczuwam w tobie brak zaufania do autorytetów. Chciałabym usłyszeć historię, która kryje się za tą opowieścią. Czy również jest oparta na faktach? Wiesz, że chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej!

JennyTricks: (post usunięty)

9.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 21:06 w poniedziałek, 4 lutego

Status: publiczny

Nastrój: kąśliwy

Słucham: „Every Rose Has Its Thorn” Poison

Narodziny małej Emily White zbiegły się ze zmianą w zachowaniu mamy błękitnookiegochłopca. Zawsze łatwo wpadała w złość, jednak pod koniec tego lata sprawiała wrażenie, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć. Po części było to spowodowane problemami finansowymi - utrzymanie dorastających chłopców to kosztowna sprawa, a jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności coraz mniej osób z okolicy potrzebowało pomocy domowej. Do grona byłych pracodawczyń Glorii dołączyła pani Francuski Błękit, a pani Chemiczny Błękit ograniczyła jej pracę do dwóch godzin tygodniowo, wymawiając się brakiem pieniędzy. Może teraz, kiedy Ben wrócił do szkoły, ludzie byli mniej skłonni do oferowania pracy jego matce. A może zwyczajnie mieli dosyć słuchania o tym, jak bardzo utalentowanym i wyjątkowym jest chłopcem.

A potem, tuż przed Bożym Narodzeniem, niedaleko Tandy's w hali targowej wpadli na panią Elektryczny Błękit, która najwyraźniej ich nie zauważyła, nawet kiedy Gloria próbowała ją zagadnąć.

Być może nie chciała być widziana w pobliżu targowiska pełnego krzyczących ludzi i walających się na ziemi liści kapusty, gdzie wszystko pokrywa warstwa wypalonego tłuszczu, a ludzie zwracają się do ciebie „kochaniutka”. Może wydawało jej się to zbyt pospolite. A może wstydziła się znajomości z Gorią, w starym płaszczu, z włosami zaczesanymi do tyłu, z trzema obdartymi synami wokół siebie i torbami pełnymi zakupów, która musiała wracać do domu autobusem, i z tymi jej dłońmi, w które wżarł się brud z domów innych ludzi.

- Dzień dobry! - zawołała mama, a pani Elektryczny Błękit po prostu popatrzyła na nią bez słowa, dziwnie przypominając jedną z lalek pani White, na wpół zdumiona, na wpół martwa, z różowymi wargami zaciśniętymi w wąską kreskę i uniesionymi brwiami, gdy tak stała w długim białym płaszczu z futrzanym kołnierzem, który nadawał jej wygląd Królowej Śniegu, nawet jeśli wokół nie było żadnego białego puchu.

Początkowo sprawiała wrażenie, jakby po prostu nie do słyszała. Ben rzucił jej uśmiech, dzięki któremu zawsze zdobywał mnóstwo smakołyków. Ale pani Elektryczny Błękit nie odpowiedziała tym samym. Zamiast tego odwróciła się do nich plecami i zaczęła udawać, że ogląda ubrania wiszące na pobliskim straganie, chociaż nawet błękitnookichłopic widział, że zupełnie nie są w jej stylu, same workowate bluzki i tandetne, błyszczące buty. A może trzeba ją było zawołać po nazwisku?

Ale matka tylko się zaczerwieniła i powiedziała:

- Idziemy! - Po czym chwyciła syna za ramię i pociągnęła za sobą.

Próbował coś tłumaczyć, lecz właśnie w tym momencie Nigel uderzył go pięścią w miejsce tuż nad łokciem, tam, gdzie boli najbardziej, więc z płaczem ukrył twarz w rękawie. Matka zdzieliła Nigela po głowie, a błękitnookichłopiec obserwował już tylko, jak pani Elektryczny Błękit odchodzi w stronę sklepów, gdzie niecierpliwie czekał na nią ubrany w marynarską kurtkę i dżinsy młody mężczyzna - bardzo młody mężczyzna - który pewnie nawet by ją pocałował, tak przynajmniej wydawało się błękitnookiemuchłopcowi, gdyby nie obecność sprzątaczk i trójki jej dzieciaków, z których jeden nadal patrzył za nią z takim wyrzutem, jakby wiedział coś, czego wiedzieć nie powinien. To sprawiło, że pani Elektryczny Błękit tylko przyspieszyła kroku, postukując swoimi wysokimi obcasami - dźwięk cuchnący papierosami, liśćmi kapusty i tanimi perfumami z przeceny.

A tydzień później zwolniła Glorię - przedstawiając całą sprawę tak, jakby był to z jej strony wspaniałomyślny gest, bo ta i tak narzucała się o wiele za długo - w rezultacie czego mamie zostały tylko dwa domy do sprząkania, plus kilka dyżurów tygodniowo w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda, za mało, żeby opłacić czynsz, nie mówiąc już o wyżywieniu trzech chłopców.

Dlatego Gloria znalazła sobie dodatkowe zajęcie, pracę sprzedawczyni na targowisku, skąd wracała przemarznięta i wyczerpana, za to z plastikową torbą pełną na wpół zgniłych owoców i warzyw, których nie udało jej się sprzedać, a które podawała synom pod różnaitą postacią przez cały tydzień albo, co gorsza, ładowała do miksera, żeby przygotować coś, co nazywała „napojem witaminowym”. Składało się na niego tyle różnych produktów - kapusta, jabłka, buraki, marchew, pomidory, brzoskwinie czy selery - a błękitnookiemuchłopcowi i tak niezmiennie smakował jak zgniło-słodka breja o zielonej barwie ścieków. Tubka farby może nosić nazwę Orzechowy

brząz, ale gównem nie przestaje cuchnąć gównem, a ten napój już zawsze przywodził mu na myśl targowisko, aż w końcu samo to słowo zaczęło go przyprawiać o mdłości - „tar-gowis-ko” - z jego szczekliwymi sylabami, jak silnik, który nie chce zapalić, a wszystko przez to, że przypadkiem zauważyli panią Elektryczny Błękit z jej chłoptasiem przed halą targową tamtego dnia.

I głównie dlatego, kiedy sześć tygodni później zobaczyli ją znowu, tym razem na ulicy, błękitnookichłopiec poczuł w ustach tamten ohydny posmak, skroń przeszło mu znajome ostrze bólu, a cały świat nagle jakby zaczął się składać z samych ostrych krawędzi, rozszczepiony przez pryzmat.

- Gloria, jak miło cię widzieć - rzuciła pani Błękit Elektryczny tym swoim słodko-jadowitym tonem. - Wspaniale wyglądasz. A jak tam Ben radzi sobie w szkole?

Mamusia rzuciła jej ostre spojrzenie.

- Och, bardzo dobrze. Jego korepetytor mówi, że jest taki utalentowany.

Wszyscy w Malbry wiedzieli, że syn pani Elektryczny Błękit nie był utalentowany; zdawał do szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, ale oblał egzamin, a potem mimo prywatnych lekcji nie dostał się do Oksfordu. Ogromne rozczarowanie, mówiono. Pani Elektryczny Błękit pokładała w nim takie nadzieje.

- Doprawdy? - rzuciła teraz, sprawiając, że słowo to zabrzmiało zupełnie jak nowy, mroźny rodzaj pasty do zębów.

- Tak. Mój syn ma korepetytora. Wybiera się do Świętego Oswalda.

Błękitnookichłopiec przesłonił usta ręką, pragnąc ukryć grymas, nie był jednak na tyle szybki, żeby mama tego nie zauważyła.

- Dostanie stypendium.

Tu lekko nagięła prawdę. Propozycja doktora Peacocka przygotowywania Bena do egzaminów stanowiła zapłatę za udział chłopca w badaniach, jednak szczególne umiejętności Benjamina nadal pozostawały wyłącznie w sferze domysłów.

Mimo wszystko pani Elektryczny Błękit była pod wrażeniem, zapewne zgodnie z zamysłem Glorii.

A tymczasem błękitnookichłopiec starał się powstrzymać wymioty, walcząc z kolejnymi falami mdłości, które spowijały go zapachem targu, tym brązowobrejowatym odorem napoju witaminowego, spękanych pomidorów, pokrytych białym nalotem pleśni, i nadgniłych jabłek („ta brązowa część jest najśłodsza”, powtarzała mama), szerniałych bananów i liści kapusty. To nie było wyłącznie wspomnienie, stukot jej obcasów na bruku ulicy ani nawet jej głos czy też kulturalne, urywane sylaby.

To nie moja wina, powtarza sobie w myślach błękitnookichłopiec. Nie jestem zły. Naprawdę nie jestem.

Ale to nie powstrzymuje tego ohydny zapachu ani feerii kolorów czy ostrza bólu przesywającego głowę. Wszystko tylko dziwnie pogarsza sytuację - jak wyminiecie na szosie rozjechanego zwierzęcia, kiedy człowiek żałuje, że nie przyrzał się dokładniej.

Błękit to kolor morderstwa, myśli sobie, a to mdlące, pełne paniki uczucie wreszcie słabnie - odrobinę. Błękitnookichłopiec wyobraża sobie panią Elektryczny Błękit leżącą bez życia na stole w kostnicy z plakiem przyczepioną do palca u nogi, niczym ładnie opisany gwiazdkowy prezent. Za każdym razem, kiedy o tym pomyśli, brejowaty odór ustępuje, ból głowy słabnie do tępego pulsowania, a kolory wokół rozjaśniają się odrobinę i stapiają w błękit - błękit tlenu, płonącego w kuchence gazu, obwodu elektronicznego czy błękit zwłok.

Błękitnookichłopiec zmusza się do uśmiechu. Nawet przyjemne uczucie. Smród zgniłych owoców zniknął, chociaż miał powracać regularnie przez całe jego dzieciństwo, podobnie jak zdania wypowiedane tamtego dnia przez mamusię w rozmowie z panią Elektryczny Błękit.

„Benjamin to dobry chłopiec”.

„Wszyscy jesteście tacy dumni z Benjaminą”.

A jego za każdym razem ogarnia ta sama mdląca świadomość, że wcale nie jest dobrym chłopcem, że każdą komórkę jego ciała przenika zło - i że, co gorsza, on lubi taki być.

Już wtedy musiał wiedzieć.

Że któregoś dnia ją zabije.

Dodaj komentarz

ClairDeLune: blekitnookichłopiec, to było świetne!

porcelanowymotył: rany jesteś super

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

10.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 21:43 w poniedziałek, 4 lutego

Status: publiczny

Nastrój: zawiedziony

Słucham: „So Strong” Murraya Heada

Tego roku sytuacja jeszcze się pogorszyła. Pieniądzy było mało, mama stawiała się coraz bardziej nerwowa i nikt, nawet Benjamin, nie był w stanie jej zadowolić. Nie pracowała już u pani White, a jeśli ta przysłała do jej stoiska na targu, Gloria zawsze się starała, żeby obsługiwał ją ktoś inny, i udawała, że niczego nie zauważyła.

Potem języki poszły w ruch. Błękitnookichłopiec nie był pewien, co dokładnie mówią ludzie, ale zwrócił uwagę na szepty, nagle ciszę zapadającą, gdy tylko pojawiała się pani White, i spojrzenia rzucone w jego stronę przez sprzedawców z sąsiednich straganów. Myślał, że może ma to jakiś związek z Feather Dunne, wszędzie wtykającą nos plotkarą, która przeprowadziła się do miasteczka ostatniej wiosny, po czym błyskawicznie zaprzyjaźniła się z panią White i często

pomagała jej teraz przy Emily, chociaż powód, dla którego te dwie miałyby pogardzać mamusią nadal stanowił dla błękitnookiego chłopca tajemnicę. W każdym razie trucizna szybko się rozprzestrzeniała. Wkrótce już wszyscy zdawali się szepać.

Błękitnookichłopiec zastanawiał się, czy nie powinien spróbować poważnie porozmawiać z panią White i spytać ją, co się stało. Zawsze lubił ją najbardziej ze wszystkich pań mamy, bo była dla niego taka miła. Gdyby z nią porozmawiał, na pewno zmieniłaby zdanie, jeśli chodzi o zwolnienie Glorii, i znowu mogliby być przyjaciółmi.

Pewnego dnia błękitnookichłopiec wrócił ze szkoły wcześniej i zobaczył zaparkowany przed ich domem samochód pani White. Na ten widok ogarnęła go fala przemożnej ulgi. A więc znowu ze sobą rozmawiały, pomyślał. Nieważne, o co się pokłóciły, nareszcie było po wszystkim.

Kiedy jednak popatrzył w okno, zamiast pani White zobaczył jej męża, który stał obok przeszklonej szafki z porcelaną.

Błękitnookichłopiec nigdy nie miał zbyt wiele do czynienia z panem White'em. Oczywiście czasami widywał go w centrum miasteczka i w szkole Oswalda, gdzie tamten pracował, ale nigdy w ten sposób, nigdy w domu i przede wszystkim nigdy bez żony.

Musiał tu przyjechać prosto ze szkoły. Miał na sobie długi płaszcz i niósł teczkę. Był mężczyzną średniego wzrostu i postury, o ciemnych, przyprószonych siwizną włosach, drobnych, kształtnych dłoniach i błękitnych oczach ukrytych za okularami w drucianych oprawkach. Ten łagodny, nieśmiały człowiek o cichym głosie nigdy nie stawał w świetle jupiterów. Ale teraz pan White wydawał się jakiś inny, błękitnookichłopiec to wyczuwał. Życie z mamą wykształciło w nim tę szczególną wrażliwość na wszelkie oznaki napięcia czy wściekłości. A pan White był wściekły, błękitnookichłopiec

dostrzegął to w jego sylwetce, sztywnej, nieruchomej, opanowanej.

Błękitnookichłopiec ostrożnie przysunął się bliżej, kryjąc się za ligustrowym żywopłotem, aby nie wchodzić im w oczy. Poprzez gałęzie widział Glorię stojącą obok pana White'a z lekko odwróconą głową. Na nogach miała buty na obcasach - błękitnookichłopiec od razu to poznał, bo w nich zawsze sprawiała wrażenie wyższej. Ale i tak głową sięgała panu White'owi zaledwie do ramienia. W pewnym momencie podniosła na niego wzrok, po czym oboje przez chwilę stali bez ruchu: mama uśmiechnięta, pan White uważnie patrzący jej w oczy.

A potem pan White sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął coś, co początkowo wydało się błękitnookiemuchłopcowi książką w miękkiej oprawie. Mama wzięła to coś do ręki i otworzyła, a wtedy nasz bohater zorientował się, że to plik banknotów, szeleszczących, nowiutkich, nieoznakowanych.

Dlaczego pan White jej płacił? I czemu był z tego powodu taki wściekły?

To właśnie wtedy błękitnookiemuchłopcowi przysłała do głowy pewna myśl, myśl o zdumiewająco dojrzałej wyrazistości. A jeśli ojciec, którego nigdy nie poznał - pan Błękitnooki - to właśnie pan White? I jeśli pani White dowiedziała się o tym? To tłumaczyłoby jej wrogość i plotki w miasteczku. To tłumaczyłoby wiele spraw - pracę Glorii w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda, gdzie uczył pan White, otwartą niechęć mamusi wobec pani White, a teraz jeszcze te pieniądze.

Oslonięty ligustrowym żywopłotem, błękitnookichłopiec wyciągnął szyję, żeby zobaczyć coś więcej, poszukać w rysach mężczyzny choćby najsłabszego odbicia swojej własnej twarzy.

Jego ruch musiał zwrócić uwagę tamtego. Na ułamek sekundy ich oczy się spotkały. Żrenice pana White'a nagle się rozszerzyły, mężczyzna drgnął gwałtownie - i właśnie w tym momencie nasz bohater okręcił się na pięcie i uciekł. Pytanie, czy pan White jest jego ojcem, stało się zupełnie nieistotne wobec faktu, że mamusia obdarłaby go ze skóry, gdyby przyłapała syna na szpiegowaniu.

Jednak o ile zdołał się zorientować, pan White nawet nie wspomniał Glorii o chłopcu, którego zobaczył za oknem. Mamusia wydawała się w dobrym humorze i w końcu przestała narzekać na brak pieniędzy, a kiedy kolejne tygodnie i miesiące mijały bez dalszych zakłóceń, podejrzenia błękitnokochłopca okrzepły, aby w końcu zamienić się w pewność.

Patrick White był jego ojcem.

Dodaj komentarz

ClairDeLune: Podoba mi się sposób, w jaki twoje opowieści łączą zdarzenia z „prawdziwego życia” z fikcją. Może chciałbyś wrócić do grupy i przedyskutować proces pisarski? Inni na pewno doceniliby możliwość bliższego przyjrzenia się twojej emocjonalnej podróży.

Jenny Tricks: (post usunięty)

blekitnookichłopiec: Jenny, czyżbyśmy się znali?

JennyTricks: (post usunięty)

blekitnookichłopiec: serio, czy my się znamy?

11.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 22:35 w poniedziałek, 4 lutego

Status: prywatny

Nastrój: rozbawiony

Słucham: „Paranoid” Black Sabbath

No cóż, jeśli nie chcesz mi odpowiedzieć, po prostu usuń moje posty. Teraz jesteś na moim terytorium, JennyTricks, tu obowiązują moje zasady. Ale odnoszę wrażenie, jakbym cię znał. Czy to możliwe, że spotkaliśmy się już wcześniej? Czyżbyś mnie tropiła?

„Tropić”. To dopiero złowróżbne słowo. Przywodzi na myśl tropikalną roślinę, gorzko-zieloną lodygę, która pewnego dnia rozkwitnie czymś ohydny. Ale w sieci wszystko wygląda inaczej. Jako postacie fikcyjne możemy sobie czasem pozwolić na luksus społecznego zachowania. Mam już dosyć wysłuchiwanie, jak ten czy tamten „czuł się taki zbrukany” z powodu czyichś komentarzy albo jak ktoś inny poczuł się seksualnie napastowany jakąś niewinną aluzją. Och, ci wszyscy ludzie z tą ich wrażliwością. Wybaczcie, ale napisanie komentarza wielkimi literami nie jest tym samym co krzyk.

A ulanie odrobiny jadu nie równa się fizycznemu ciosowi. Więc proszę bardzo, szalej do woli, JennyTricks. Nic, co powiesz, nie zdoła mnie dotknąć. Chociaż muszę przyznać, że jestem ciekawy. Powiedz, spotkaliście się wcześniej?

Reszta mojej internetowej publiczności okazuje mi przyjemne uznanie - zwłaszcza ClairDeLune, która przysłała mi analizę krytyczną (jej własne określenie) każdego tekstu, jaki napiszę, z uwagami dotyczącymi mojego stylu i obrazowania. Moja ostatnia próba, jak twierdzi, to tekst bardzo wnikliwy psychologicznie, a poza tym przełomowy, jeśli chodzi o stworzenie nowego, dojrzalszego stylu.

Kapitan, jak zwykle już nie tak subtelny, domaga się więcej dramatyzmu, więcej cierpienia, więcej krwi. Natomiast Toksyczny, który cały czas myśli o seksie, nalega, żebym pisał dosadniej. Czyli, jak sam to ujął: „Wszystko, od czego staje ci mały, człowieku. Po prostu pomyśl czasem o moim” ...

Jeśli zaś chodzi o Chryssie, jak zwykle przesyła mi wyrazy miłości - pełnej uwielbienia, bezkrytycznej, niewolniczej miłości - razem z przekazem: „Jesteś super!” na banerze z małych różowych serduszek.

Albertyna niczego nie komentuje. Rzadko robi to w przypadku moich opowiadań. Może te teksty sprawiają, że czuje się nieswojo. Taką mam przynajmniej nadzieję. Bo po cóż innego w ogóle bym je tu zamieszczał?

Dziś po południu znowu ją widziałem. Czerwony płaszcz, ciemne włosy, koszyk na ramieniu, schodziła do Malbry ze wzgórza. Tym razem miałem ze sobą aparat, ten z teleobiektywem, więc zdołałem zrobić kilka ostrych zdjęć z niewielkiego kawałka nieużytku na końcu Mili Road, zanim jakiś mężczyzna wyprowadzający psa nie zmusił mnie do przerwania obserwacji.

Facet rzucił mi podejrzliwe spojrzenie. Był niski, muskularny, miał pałkowate nogi, typ człowieka, który zdaje się

mnie nienawidzić od pierwszego wejrzenia i zawsze traktuje z nieufnością. Jego pies wyglądał tak samo: krzywe łapy, brudnobiała sierść, wielkie zębiska i niewidoczne oczy. Zawarczał na mój widok. Natychmiast zrobiłem krok do tyłu.

- Ptaki - rzuciłem gwoli wyjaśnienia. - Lubię tu przychodzić i fotografować ptaki.

Mężczyzna popatrzył na mnie z jawną pogardą.

- Aha, jasne.

Nic więcej nie powiedział, ale kiedy odchodziłem, uważnie mi się przyglądał, czułem jego wzrok na plecach. Musisz być ostrożniejszy, upomniałem się w duchu. Ludzie już i tak uważają mnie za dziwaka - a ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba, jest to, żeby ktoś przypomniał sobie później, jak to syn Glorii Winter kręcił się w okolicach Mili Road z aparatem fotograficznym.

A jednak nie potrafię przestać jej obserwować. To niemal natręctwo. Bóg jeden wie, co zrobiłaby mamusia, gdyby się dowiedziała. Na szczęście ma teraz ważniejsze sprawy na głowie w związku z pogrzebem Nigela, chociaż zadanie opróżnienia jego mieszkania spadło na barki niżej podpisanego.

Właściwie niewiele tam znalazłem. Teleskop, trochę ciuchów, komputer, kilka starych książek zajmujących pół półki. Poza tym jakieś dokumenty ze szpitala w pudełku po butach, upchniętym pod łóżkiem. Spodziewałem się czegoś więcej - przynajmniej pamiętnika - ale może doświadczenie nauczyło Nigela większej ostrożności. Jeśli mój brat w ogóle prowadził dziennik, to pewnie trzymał go w domu Emily, gdzie mieszkał przez większość czasu i gdzie taki dokument powinien być bezpieczny przed wścibstwem innych.

W mieszkaniu brak jakichkolwiek śladów kobiecej obecności. Nic, żadnego włosa czy zdjęcia. Wąskie łóżko nadal jest niezasałane, z kołdrą niedbale naciągniętą na wątpliwej

czystości prześcieradło, ale dziewczyna Nigela najwyraźniej nigdy tu nie nocowała. Nie pozostał po niej nawet ulotny zapach ani szczoteczka do zębów w łazience czy choćby odcisk ust na filiżance po kawie w zlewie. Wszędzie nadal unosi się zaduch nieświeżej pościeli, woń stęchłej wody i wilgoci. Wystarczy mi z pół dnia na uprzątnięcie pomieszczeń, upchnięcie tego wszystkiego w bagażniku vana i wywiezienie na wysypisko, gdzie odpadki, które są coś warte, zostaną posortowane i ponownie przetworzone, a cała reszta trafi na górę śmieci, ku utrapieniu przyszłych pokoleń.

To zabawne, jak niewiele pozostaje po człowieku, prawda? Kilka znoszonych ubrań, karton papierów, parę brudnych talerzy w zlewie. Opróżniona do połowy paczka papierosów, schowana w szufladzie nocnego stolika - ona nie pali, więc to Nigel musiał je tam trzymać, na wypadek tych bezsennych nocy, które spędzał na wyglądaniu przez świetlik, aby za pomocą swojego teleskopu sięgnąć poprzez zanieczyszczenia świetlne aż do kryształowej sieci gwiazd.

Tak, mój brat lubił gwiazdy. I właściwie nic więcej. A już z całą pewnością nie lubił mnie. No cóż, żaden z nich za mną nie przepadał, oczywiście, ale to Nigela bałem się bardziej, Nigela, który wycierpiał najwięcej w związku z oczekiwaniami mamy.

Och, te jej wszelkie nadzieje! Zastanawiam się, co sądził na ten temat. W końcu obserwował wszystko z boku, taki błady w swoich czarnych koszulach, z kościstymi dłońmi wiecznie zaciśniętymi w pięści, tak że po rozprostowaniu palców na jego dłoniach widniały małe czerwone półksiężycy w miejscach, gdzie wbiły się paznokcie. Takie same ślady zostawiał na moim ciele za każdym razem, gdy byliśmy sami.

Mieszkanie Nigela jest monochromatyczne. Szare prześcieradło pod czarno-białą kołdrą, garderoba w odcieniach szarości i czerni. Można by pomyśleć, że do tej pory mój brat

zdążył już zmienić nawyki, jeśli chodzi o strój, ale najwyraźniej upływ czasu miał tutaj niewielkie znaczenie. Skarpety, marynarki, swetry, dżinsy. Nie znalazłem ani jednej koszuli, ani jednego podkoszulka czy choćby sztuki bielizny, które nie byłyby obowiązkowo czarne lub szare.

Nigel miał pięć lat, kiedy odszedł tata. Często się nad tym zastanawiałem. Czy pamiętał jeszcze czasy, kiedy jako jedynak nosił też inne kolory? Czy chodził wtedy czasami na plażę i bawił się na słonym żółtym piasku? A może nocami leżał z tatą pod rozgwieżdżonym niebem, rozpoznając poszczególne konstelacje? Czego tak naprawdę szukał, kiedy przypatrywał im się przez mały teleskop (kupiony za pieniądze zarobione na rozwożeniu gazet)? Skąd brał się jego gniew? I co najważniejsze, dlaczego zapadła decyzja, że to on powinien nosić czerń, a ja błękit? A gdyby było odwrotnie, czy wszystko potoczyłoby się inaczej?

Chyba już nigdy się tego nie dowiem. Może powinienem go o to zapytać. Ale nigdy tak naprawdę z Nigelem nie rozmawialiśmy, nawet w dzieciństwie. Żyliśmy obok siebie, prowadząc coś w rodzaju wojny podjazdowej pomimo dezaprobaty mamy i starając się zadać zniechędzonego wrogowi jak najwięcej obrażeń.

Mój brat tak naprawdę w ogóle mnie nie znał, poza tym, że stanowiłem obiekt jego złości. A ten jedyny raz, kiedy w ogóle dowiedziałem się czegoś osobistego na jego temat, zachowałem tę wiedzę dla siebie z obawy przed konsekwencjami. Ale skoro człowiek zabija to, co kocha, czy nie jest możliwa odwrotna sytuacja? Czy kocha się to, co się zabija? I czy to właśnie miłość jest elementem, którego mi brakuje?

Włączyłem komputer Nigela i przejrzałem pobieżnie jego ulubione strony. Rezultat był taki, jakiego się spodziewałem: linki do zdjęć z teleskopu Hubble'a, obrazów galaktyk, stron

przekazujących obraz z kamer internetowych na biegunie północnym, czatów, na których fotograficy omawiali ostatnie zaćmienie słońca. Trochę pornografii, wszystko najzupełniej przeciętne, trochę legalnie ściągniętej muzyki. Zjrzałem też do poczty - Nigel zostawił wpisane hasło - ale nie znalazłem nic ciekawego. Ani słówka od Albertyny, żadnych e-maili, żadnych zdjęć, najmniejszego śladu, że w ogóle ją znał.

Zresztą w skrzynce brak jakichkolwiek wiadomości poza paroma słowami od terapeuty co miesiąc, żadnej oficjalnej korespondencji, żadnej wskazówki, że Nigel mógł mieć jakiś potajemny romans, czy choćby krótkiej notki od znajomego. Mój brat miał jeszcze mniej przyjaciół niż ja, co dziwnie mnie poruszyło. Ale teraz nie pora na współczucie. Nigel od początku znał ryzyko. Nie powinien wchodzić mi w drogę, to wszystko. Nie moja wina, że tak zrobił.

Znalazłem najczystszy kubek pośród tych, które miał w domu, i zaparzyłem sobie herbatę. Może nie earl grey, ale ujdzie. A potem zalogowałem się na Niegrzecznychłopcyrdzą.

Albertyny nie było online. Ale Chryssie czekała na mnie jak zawsze, z awatarem mrugającym żałości. Poniżej znajdował się emotikon i płacziwa wiadomość: Porcelanowymotył czuje się fatalnie.

No cóż, muszę przyznać, że właściwie mnie to nie zaskoczyło. Syrop z korzenia wymiotnicy może wywoływać bardzo nieprzyjemne skutki uboczne. Mimo wszystko to przecież nie moja wina, a zresztą dzisiaj mam ważniejsze sprawy na głowie.

Przejrzałem szybko zawartość swojej skrzynki odbiorczej. *Kapitanmordercakróliczków czuje się świetnie. Bombanumer20 się nudzi.* Mem od Clair zatytułowany: *Wykonaj ten prosty test, aby sprawdzić, jakiego rodzaju psycholem jesteś.*

Mmm. Milutkie. I typowe dla Clair, której znajomość psychologii - jakakolwiek by była - pochodzi głównie z seriali kryminalnych, takich jak „Blue murder”, gdzie przebojowe panie kryminolog od sporządzania portretów psychologicznych dopadają moczących się w nocy socjopatów, bo udaje się im „wniknąć w głąb umysłu złoczyńcy”.

No więc jakiego rodzaju psycholem jestem, Clair? Zerknijmy na wyniki.

Większość odpowiedzi D.

Gratulacje! Jesteś zjadliwym narcyzem. Elokwentny i czarujący, masz skłonność do manipulowania ludźmi, którzy obchodzą cię niewiele albo wręcz wcale. Cieszy cię rozgłos, jesteś gotów stosować przemoc dla zaspokojenia własnej potrzeby natychmiastowej gratyfikacji, chociaż w głębi duszy możesz czuć się nieudolny. Prawdopodobnie cierpisz również na paranoję i chętnie szukasz ucieczki w świecie fantazji, gdzie to ty znajdujesz się zawsze w centrum zainteresowania. Powinieneś wybrać się do specjalisty, ponieważ stanowisz potencjalne zagrożenie dla siebie i innych.

Kochana Clair. Bardzo ją lubię. To nawet wzruszające, że w swoim mniemaniu potrafi mnie tak dobrze zanalizować. Ale w najlepszym przypadku ma mentalność podrzędnego pracownika opieki społecznej pomimo tego całego psychobelkotu, a poza tym sama też jest dosyć mocno rozchwiana emocjonalnie, o czym przekonamy się pewnie w stosownym czasie.

Widzicie, nawet Clair podejmuje w sieci ryzyko. W trakcie tego, co uchodzi za jej „prawdziwą” pracę - obsypywanie pochwałami rozmaitych nieudaczników pozbawionych talentu i oferowanie banalnych słów otuchy tym, którzy zmagają się z życiem - potajemnie spędza całe godziny przed komputerem,

uaktualniając swoją stronę o Anielskim Błękanie, przygotowując banery, surfując po Internecie w poszukiwaniu zdjęć, komentarzy, wywiadów, plotek, filmików z gościnnymi występami jej idola czy informacji na temat jego aktualnego miejsca pobytu. Pisuje też do niego regularnie i nawet zamieściła na swojej stronie skromną kolekcję jego odręcznych odpowiedzi, które są uprzejme, ale kompletnie bezosobowe, i które tylko ktoś ogarnięty prawdziwą obsesją uznałby za zachętę...

Clair jednak rzeczywiście ma obsesję. Dzięki linkowi do jej bloga wiem, że pisuje fanfiki o grywanym przez niego bohaterach - a czasami o nim samym - erotyczne teksty, które w ciągu kolejnych miesięcy stają się coraz odważniejsze. Maluje też portrety swojego ukochanego i szyje poduszki, na których robi nadruki jego twarzy. Sypialnia w jej domu jest pełna takich poduszek - głównie różowych - a na części widnieje również jej twarz, tuż obok podobizny ukochanego, obie razem w drukowanym sercu.

Clair przygląda się również karierze żony swojego idola - aktorki, z którą Anielski Błękit pozostaje w szczęśliwym związku od jakichś pięciu czy sześciu lat - a ostatnio zaczęła nawet snuć pełne nadziei przypuszczenia. Przyjaciółka z sieci, logująca się jako szafirowadziwczyni, poinformowała ją niedawno o romansie małżonki Anielskiego z kolegą z planu jej najnowszego filmu.

To spowodowało prawdziwą lawinę ostrych uwag Clair, która otwarcie pisze na swoim blogu, co sądzi na ten temat. Nie chce, żeby jej idol cierpiał, i jest odrobinę zdziwiona, że człowiek o jego inteligencji jeszcze nie pogodził się z myślą, że jego żona okazała się go, no cóż, niegodna.

Fakt, że nie było żadnego romansu, nie ma tu nic do rzeczy - podobne plotki szerzą się tak łatwo, a skąd szafirowadziwczyni mogła wiedzieć, że Clair zareaguje równie

impulsywnie? Ciekawie byłoby jednak zobaczyć reakcję Clair, jeśli - czy może raczej kiedy - odezwą się do niej prawnicy Anielskiego Błękitu.

Skąd ta pewność?, spytacie. No cóż, e-mail zawsze można zignorować, ale list przysłany na adres pani Anielskiej razem z pudełkiem czekoladek zawierających prawdziwą niespodziankę - wszystko nadane w promieniu niespełna ośmiu kilometrów od domu ClairDeLune i zgrabnie z nią powiązane - to już poważniejsza sprawa.

Oczywiście Clair będzie zaprzeczać. Tylko czy Anielski Błękit jej uwierzy? A ona jest przecież jego taką oddaną wielbicieleką - podróżuje po Ameryce, aby oglądać go na scenie, jeździ na zloty fanów, by popatrzeć na niego choćby przez moment. Jak się zachowa, kiedy otrzyma od swojego idola sądowy zakaz zbliżania się albo chociaż ostrą reprimendę? Podejrzewam, że jest bardzo niestabilna emocjonalnie - może nawet odrobinę pomyłona. Czego potrzeba, żeby doprowadzić ją do wybuchu? I czy nie byłoby zabawnie się tego dowiedzieć?

Na razie jednak mam inne sprawy na głowie. Zawsze trzeba po sobie sprzątać. A Nigel to ostatecznie mój bałagan - mój bałagan, jeśli już nie moje morderstwo.

Czy morderstwo to kwestia dziedziczna? Właściwie wydaje mi się, że tak. Tylko kto w takim razie będzie następny? Może ja sam, umrę z powodu przedawkowania leków albo pobicia w ciemnym zaułku? Albo zginę w wypadku samochodowym? Potrącony przez kierowcę, który ucieknie z miejsca zdarzenia? A może będzie to wyglądać na samobójstwo, fiolka tabletek koło wanny, splamiona krwią żyletka na płytkach terakoty?

Oczywiście, to może być cokolwiek. Każdy może się okazać mordercą. Dlatego bądź grzeczny. Nie ryzykuj. Pamiętaj, co się stało z tamtą dwójką.

Uważaj na siebie, błękitnookichłopcze.

12.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopic, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 01:22 we wtorek, 5 lutego

Status: publiczny

Nastrój: ostrożny

Słucham: „Happy Birthday” Altered Images

Zawsze był dobry w uważaniu na siebie. Przez te wszystkie lata musiał się w końcu tego nauczyć. Tak łatwo o wypadek, a mężczyźni w jego rodzinie ulegali im szczególnie często. Okazuje się, że nawet tacie, o którym błękitnookichłopic zawsze myślał, że po prostu wyszedł kupić papierosy i już nie miał ochoty wracać, przytrafił się tragiczny w skutkach wypadek: była to prozaiczna kolizja drogowa, niczyja wina, po prostu jedno z tych zdarzeń, które personel szpitala w Malbry składa na karby „gorączki sobotniej nocy”: za dużo alkoholu, za mało cierpliwości, może kryzys w małżeństwie i -
bum!

Nic dziwnego, że błękitnookichłopic wyrósł na kogoś takiego. Brak pozytywnego ojcowskiego wzorca, kontrolująca, ambitna matka, starszy brat, który miał skłonności do

rozwiązywania wszelkich problemów za pomocą pięści. Żadna filozofia, prawda? A on zna coś więcej niż tylko podstawy psychoanalizy.

Gratulacje! Jesteś typem edypalnym. Niezwykle bliska więź z matką stłumiła w tobie zdolność osiągnięcia równowagi emocjonalnej, a twój ambiwalentny stosunek do niej znajduje ujście w brutalnych fantazjach, często natury seksualnej.

No cóż - Ameryki nie odkryłaś, jak powiedziałby Kapitan.

Nigel może i tęsknił za swoim tatusiem, ale dla błękitno-okiego chłopca ten człowiek nic nie znaczył. To nawet nie był jego prawdziwy ojciec - z całą pewnością na zdjęciach Ben nie dostrzega w nim żadnego podobieństwa do siebie. Do Nigela owszem - te wielkie, kwadratowe dłonie, czarne włosy opadające w nieładzie na twarz, odrobinę zbyt ładne usta, w których kryła się już zapowiedź przemocy. Gloria często dawała do zrozumienia, że Peter Winter miał raczej paskudny charakter, a kiedy któryś z jej synów coś przeskrobał, powtarzała, wymachując kablem: „Ciesz się, że ojciec tego nie widzi. Już on by się z tobą rozprawił”.

Tym sposobem słowo „ojciec” nabrało dla nich, że się tak wyrażę, negatywnych konotacji. Gadatliwy, zielonkawy, ohydny wyraz, niczym mętna woda pod molo w Blackpool, gdzie dawniej obchodzili jego urodziny. Błękitnookichłopic zawsze lubił plażę, ale molo go przerażało, przypominało mu jakieś skamieniałe zwierzę - może dinozaura - z którego pozostały same kości, ale nadal jest wystarczająco niebezpieczne, ze swoimi ukrytymi w mule łapami i połamanymi zębami.

Molo nazywa się po angielsku *pier*. A Peter to po francusku *Pierre*. Skała. Ale przecież słowa nie mogą go zranić tak jak kamień.

Po tym, jak zobaczył matkę z panem White'em, jego ciekawość tylko wzrosła. Zawsze, kiedy widział w miasteczku Patricka White'a, bacznie mu się przyglądał - gdy tamten zmierzał do szkoły z teczką w rękę i stosem zeszytów pod pachą albo spacerował w niedzielę po parku w towarzystwie żony i małej Emily, która skończyła dwa latka i właśnie uczyła się chodzić.

A potem do naszego bohatera dotarło, że jeśli pan White jest jego ojcem, to Emily musi być jego siostrą. Wyobrażał sobie, jak pomaga pani White opiekować się siostrzyczką albo czyta małej bajki przed snem. Zaczął nawet śledzić pana White'a i Emily, przesiadywać w parku, tam, gdzie lubili przychodzić - udawał pogrążonego w lekturze, podczas gdy tak naprawdę uważnie ich obserwował.

Nigdy nie odważył się zapytać mamusi, jak wygląda prawda. Zresztą wcale nie musiał. Tak podpowiadało mu serce. Patrick White był jego ojcem. Czasem nasz bohater lubił pomarzyć, że pewnego dnia ojciec zjawi się w ich domu i zabierze go gdzieś daleko.

Podzieliliby się nim, przekonuje samego siebie. Podzieliliby się ojcem z Emily. Ale pan White robił wszystko, co w jego mocy, żeby unikać choćby konieczności patrzenia na niego. A przecież dotąd zawsze witał go serdecznie na ulicy, nazywał młodym człowiekiem i pytał, jak sobie radzi w szkole.

Nie chodziło jedynie o to, że Emily okazała się o wiele bardziej interesująca. Było coś takiego w twarzy pana White'a, w jego głosie za każdym razem, kiedy błękitnookichłopiec się zbliżał, ten wyraz nieufności, niemal strachu...

Tylko czemu pan White miałby się obawiać zaledwie dziewięcioletniego chłopca? Tego nasz bohater nie potrafił odgadnąć. Czy pan White niepokoił się, że błękitnookichłopiec będzie chciał skrzywdzić Emily? A może obawiał się, że któregoś dnia pani White odkryje jego tajemnicę?

Błękitnookichłopiec zaczął opuszczać lekcje, żeby tylko pokręcić się pod szkołą pod wezwaniem świętego Oswalda. Chowal się za szopą z narzędziami i godzinami obserwował dziedziniec, przelewające się po nim rzesze uczniów w niebieskich mundurkach, nauczycieli w powiewających czarnych togach. We wtorki to pan White miał dyżur na boisku, a nasz bohater przypatrywał się zachłannie ze swojej kryjówki, jak mężczyzna krąży po asfaltowej nawierzchni, od czasu do czasu przystając, żeby zamienić kilka słów z jakimś wychowankiem.

- Dziś wieczorem próba kwartetu smyczkowego, Jones. Nie zapomnij nut.

- Nie zapomnę, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

- Zechciej schować poły koszuli do spodni, Hudson. Nie jesteś na plaży w Brighton...

Błękitnookichłopiec zapamiętał jeden taki wtorek, dzień swoich dziesiątych urodzin. Szczerze mówiąc, nie oczekiwał żadnej uroczystości. Ostatni rok był wyjątkowo ponury, jeśli nie liczyć wizyt we Dworze, brakowało im pieniędzy, mama ciągle chodziła zdenerwowana, a wyprawa do Blackpool w ogóle nie wchodziła w grę - za dużo było do zrobienia. Pewnie nawet nie ma co liczyć na urodzinowy tort, myślał sobie błękitnookichłopiec. Mimo wszystko tamtego ranka w powietrzu wisiało coś szczególnego. Ostatecznie to dziesiąte urodziny. Wielka dziesiątka. Od tej pory jego życie miało być dwucyfrowe. Może nadszedł też czas, powtarzał sobie w myślach, wędrując w kierunku szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, poznać prawdę na temat Patricka White'a.

Znalazł się na dziedzińcu na kilka minut przed końcem apelu. Pan White stał przy wejściu do budynku liceum z wyblakłą togą przerzuconą przez ramię i kubkiem kawy w rękę. Za minutę czy dwie boisko zapełni się chłopcami, ale teraz

nie było tu nikogo, oczywiście poza waszym uniżonym sługą, który z powodu braku mundurka wyjątkowo rzucał się w oczy, kiedy tak tkwił pod bramą wejściową ozdobioną mottem wypisanym po łacinie: *Audere, agere, auferre* - co, jak wiedział dzięki doktorowi Peacockowi, znaczyło: „Mieć odwagę, walczyć, zwyciężyć”.

Nagle jednak nasz błękitnookichłopiec nie czuje się już tak odważny. Z rozpaczą uświadamia sobie, że zaraz zacznie się jąkać, że słowa, które tak bardzo chce wypowiedzieć, będą mu się łamać i rozpadać w ustach. A pan White nawet bez swojej czarnej togi wyglądał groźnie, zdawał się wyższy i bardziej surowy niż zwykle, kiedy tak obserwował zbliżającego się z determinacją chłopca, słuchając stukotu jego butów na bruku dziedzińca.

- Co tutaj robisz? - spytał, a jego głos, choć łagodny, zabrzmiał ozięble. - Dlaczego za mną chodzisz?

Błękitnookichłopiec podniósł wzrok. Niebieskie oczy pana White'a spoglądały na niego z tak wysoka.

- P-proszę pana - zaczął. - J-ja...

Jąkanie się bierze swój początek w umyśle. To przekleństwo oczekiwania. Dlatego czasem był w stanie mówić zupełnie normalnie, a czasami słowa zamieniały się w zdradziecką sieć, w którą zaplątywał się coraz bardziej.

- J-ja... - Czuł, że się czerwieni.

Pan White zmierzył go wzrokiem.

- Posłuchaj, nie mam czasu. Zaraz będzie dzwonek...

Błękitnookichłopiec podjął ostatnią próbę. Musi poznać prawdę. Ostatecznie dzisiaj są jego urodziny. Oczyma wyobraźni próbował zobaczyć siebie w błękicie, błękicie szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, błękicie motyli skrzydeł. A potem dostrzegł słowa wyfruwające z jego ust niczym motyle i zapytał, właściwie nawet się nie zająknawszy:

- Proszę pana, czy pan jest moim tatą?

Przez chwilę otaczała ich cisza, a kilka sekund później, akurat w momencie, kiedy w szkole rozległ się poranny dzwonek, błękitnookichłopiec zobaczył, jak szok malujący się na twarzy Patricka White'a ustępuje miejsca zdumieniu i wreszcie czemuś na kształt współczucia.

- A tak właśnie myślałeś? - zapytał w końcu mężczyzna.

Błękitnookichłopiec wpatrywał się w niego bez słowa.

A tymczasem dziedziniec błyskawicznie wypełniał się niebieskimi szkolnymi mundurkami, wszędzie wokół rozlegał się świergot głosów, unoszących się w powietrzu jak ptaki. Niektórzy z chłopców otwarcie gapili się na naszego bohatera, wróbla pośród stada papużek falistych.

Aż w końcu pan White zdołał otrząsnąć się ze zdziwienia.

- Posłuchaj - rzucił ostro. - Nie wiem, skąd przyszedł ci do głowy ten pomysł. Ale to nieprawda. Nieprawda. I jeśli przyłapię cię kiedyś na rozsiewaniu takich plotek...

- N-nie jest pan moim o-ojcem? - spytał błękitnookichłopiec drżącym głosem.

- Nie - odparł pan White. - Nie jestem.

Przez chwilę te słowa zdawały się zupełnie nie mieć sensu. Błękitnookichłopiec musiał zyskać pewność. Ale pan White mówił prawdę, błękitnookichłopiec widział to w jego niebieskich oczach. Więc dlaczego dał mamusi pieniądze? I czemu zrobił to w tajemnicy?

A potem wszystko ułożyło się w całość, niczym fragmenty układanki. Mama szantażowała pana White'a - „szantaż”, złowróźbne słowo, wymalowani farbą czarno-biali minstrele. Pan White zrobił coś złego, a Gloria jakimś cudem się o tym dowiedziała. To by tłumaczyło plotki, sposób, w jaki pan White na nią patrzył, jego gniew, a teraz jeszcze tę pogardę. Ten człowiek nie był jego ojcem. Ten człowiek nigdy o niego nie dbał.

Błękitnookichłopiec poczuł pod powiekami piekące łyzy. Okropne, bezsilne, dziecinne łyzy rozczarowania i wstydu. Proszę, tylko nie na oczach pana White'a, błagał w myślach Boga, ale Wszzechmogący, tak jak mama, był nieugięty i twardo domagał się aktu skruchy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał pan White, niechętnie kładąc mu rękę na ramieniu.

- Świetnie, dziękuję - odparł błękitnookichłopiec i otarł nos wierzchem dłoni.

- Nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że...

- Proszę o tym zapomnieć. Naprawdę. Nic mi nie jest - powtórzył błękitnookichłopiec, a potem spokojnie zawrócił w stronę bramy, starając się trzymać plecy wyprostowane, chociaż w środku cały był poskręcany i czuł się tak, jakby za chwilę miał umrzeć.

Dziś mam urodziny, powtarzał sobie w myślach. Dzisiaj zasługuję na coś specjalnego. Niezależnie od tego, czego będzie trzeba, niezależnie od ceny, którą przyjdzie zapłacić, niezależnie od kary, jaką Bóg czy mamusia zechcą mu wymierzyć...

I właśnie dlatego piętnaście minut później nie znalazł się z powrotem w szkole, tylko na skraju Zaułka Milionerów i partrył w stronę Dworu.

Po raz pierwszy błękitnookichłopiec przyszedł do doktora Peacocka bez opieki. Jego wizyty w towarzystwie braci i mamusi zawsze odbywały się pod ścisłym nadzorem, a jeśli ona dowie się kiedykolwiek, co zrobił, na pewno dopilnuje, żeby pożałował, że się w ogóle urodził. Ale dzisiaj nie bał się kary. Dzisiaj przepelniał go bunt. Dzisiaj dla odmiany wasz uniżony sługa miał ochotę złamać zasady.

Ogród był oddzielony od ulicy żeliwnym parkanem, dalej ciągnął się kamienny mur, a dookoła całej posesji rósł żywopłot

z tarniny. Ogólnie nie wyglądało to zbyt zachęcająco. Ale błękitnookichłopiec był pełen determinacji. Znalazł lukę, przez którą zdołał się prześliznąć, uważając na gałązki i ciernie szarpiące go za włosy i przebijające się przez materiał koszulki, dopóki nie wynurzył się po drugiej stronie żywopłotu na terenie posiadłości doktora.

Mamusia zawsze nazywała to „posiadłością”. Doktor Peacock mówił „ogród”, chociaż całość liczyła sobie trochę ponad półtora hektara: sad, ogródek warzywny i trawniki, plus otoczone murem rosarium, którym doktor tak bardzo się szczycił, do tego staw i dawna oranżeria, gdzie trzymano doniczki i narzędzia ogrodnicze. Jednak większość terenu zajmował park, co bardzo błękitnookiemuchłopcemu odpowiadało, te szpalery rododendronów, które na wiosnę wybuchały w krótkim błysku chwały, aby późnym latem zamienić się w szkielety, zwisające mroczną masą liści ponad ścieżką, idealna kryjówka dla kogoś, kto pragnął odwiedzić ogród niezauważony.

Błękitnookichłopiec nie kwestionował słuszności impulsu, który przygnał go do Dworu. Nie mógł zostać w szkole, nie po tym, co zaszło. Oczywiście nie miał też odwagi wrócić do domu, a w klasie dostałby karę za spóźnienie. Za to we Dworze panował spokój, aura tajemnicy i bezpieczeństwa. Wystarczyło po prostu tu wejść, zanurkować w gałęzie, żeby wsłuchać się w letnie brzęczenie pszczoł krążących pośród listowia wysoko ponad jego głową, poczuć, jak serce zwalnia rytm aż do naturalnego tempa. Błękitnookichłopiec nadal był tak zaprzątnięty swoimi pełnymi niepokoju myślami, że w parkowej alejce o mało nie wpadł na doktora Peacocka, który z sekatorem w dłoni stał z rękawami podwiniętymi aż do łokci u wejścia do ogrodu różanego.

- I cóż cię tu dziś sprowadza?

Przez chwilę błękitnookichłopiec nie był w stanie udzielić odpowiedzi na tak postawione pytanie. A potem spojrział

ponad ramieniem doktora i ujrzał świeżo wykopany grób: kopiec ziemi i zrolowany kwadrat darni obok.

Doktor Peacock uśmiechnął się do niego. Był to raczej uśmiech smutny, a jednocześnie porozumiewawczy.

- Obawiam się, że przyłapałeś mnie na gorącym uczynku - powiedział, wskazując na dół. - Wiem, jak to może dla ciebie wyglądać, ale im bardziej się starzejemy, tym większa staje się nasza skłonność do sentymentalizmu. Dla ciebie to pewnie oznaka starszej demencji...

Błękitnookichłopic popatrzył nań nierozumiejącym wzrokiem.

- Chciałem tylko powiedzieć - wyjaśnił mężczyzna - że właśnie żegnałem na zawsze mojego starego i bardzo oddanego przyjaciela.

Przez chwilę błękitnookichłopic nadal nie był pewien, co to oznacza. A potem przypomniał sobie teriera, nad którym doktor zawsze tak się trząsał. Błękitnookichłopic nie lubił psów. Zbyt energiczne, zbyt nieprzewidywalne.

Zadrżał, nagle ogarnięty lekkimi mdłościami. Próbował sobie przypomnieć imię psa, ale przychodził mu na myśl tylko „Malcolm”, imię jego nienarodzonego brata bliźniaka. Nie wiedzieć czemu do oczu napłynęły mu łzy, a głowa znowu zaczęła boleć.

Doktor Peacock położył dłoń na jego ramieniu.

- Nie przejmuj się tak, synu. Miał dobre życie. Nic ci nie jest? Cały drżysz.

- Nie czuję się za d-dobrze - przyznał błękitnookichłopic.

- Naprawdę? No cóż, w takim razie może lepiej wejdźmy do środka. Dostaniesz coś chłodnego do picia. Chyba powinienem też zadzwonić do twojej mamy...

- Nie! - krzyknął błękitnookichłopic. - Proszę, nie!

Doktor Peacock rzucił mu badawcze spojrzenie.

- W porządku - powiedział. - Rozumiem. Nie chcesz jej niepokoić. Wspaniała kobieta, ale nieco nadopiekuńcza. A poza tym... - Uśmiechnął się figlarnie, a wokół jego oczu pojawiła się siateczka drobnych zmarszczek. - Czy słusznie się domyślam, że tego słonecznego poranka rozkosze zdobywania wiedzy nie zdołały cię zatrzymać w szkolnych murach, kiedy cały rozkład zajęć Natury domagał się twojej natychmiastowej uwagi?

Błękitnookichłopiec zrozumiał, że jego wagary przestały być tajemnicą.

- Błagam, proszę pana. Proszę nie mówić mamie.

Doktor Peacock potrząsnął głową.

- Nie widzę powodu, żeby ją o tym informować - odparł. - Sam też byłem kiedyś młody. Żaby, śliniaczki i inne chłopięce smaczki. Łowienie ryb w rzece. Lubisz łowić ryby, młody człowieku?

Błękitnookichłopiec skinął głową, chociaż nigdy tego nie próbował i nigdy już nie spróbuje.

- Doskonała rozrywka. Dzięki niej człowiek może zażyć świeżego powietrza. Oczywiście mam też swój ogród. - Doktor Peacock zerknął przez ramię na kopiec ziemi i otwarty grób. - Daj mi momencik, dobrze? - powiedział. - Potem przygotuję nam obu coś do picia.

Błękitnookichłopiec obserwował w milczeniu, jak doktor zasypuje dół. Tak naprawdę wcale nie chciał patrzeć, ale okazało się, że nie potrafi odwrócić wzroku. Coś ścisnęło go za serce, wargi miał jak zdrętwiałe, w głowie mu się kręciło. Czyżby naprawdę był chory? A może to tylko przez te odgłosy kopania, metaliczny zgrzyt łopaty wgrzającej się w ziemię, kwaśno-warzywny zapach gleby, głuchy stukot grud wrzuconych do grobu?

W końcu doktor Peacock odłożył łopatę, jednak nie odwrócił się od razu. Przez dłuższy czas stał nad mogiłą z rękami

w kieszeniach i pochyloną głową, aż błękitnookichłopiec zaczął się zastanawiać, czy staruszek o nim nie zapomniał.

- Proszę pana, dobrze się pan czuje? - spytał wreszcie.

Na dźwięk jego głosu doktor Peacock odwrócił głowę.

Wcześniej zdjął kapelusz, który zwykle nosił podczas pracy w ogrodzie, więc teraz musiał zmrużyć oczy z powodu oślepiającego słońca.

- Ależ muszę ci się wydawać sentymentalny - powiedział. - Cała ta ceremonia z powodu jakiegoś psa. Miałeś kiedyś psa?

Błękitnookichłopiec potrząsnął głową.

- Szkoda. Każdy chłopiec powinien mieć psa. Za to ty masz braci - dodał doktor Peacock. - Założę się, że to fajna sprawa, co?

Przez chwilę błękitnookichłopiec próbował sobie wyobrazić taki świat, jakim widział go ten człowiek, świat, w którym posiadanie braci było fajną sprawą, w którym chłopcy mieli psy, chodzili na ryby i grali na trawniku w krykieta.

- Dzisiaj są moje urodziny - oznajmił w końcu.

- Doprawdy? Dzisiaj?

- Tak, proszę pana.

Doktor Peacock uśmiechnął się ciepło.

- Ach, pamiętam swoje urodziny. Galaretki, lody i urodzinowy tort. Dzisiaj już ich nie obchodzę. Dwudziestego czwartego sierpnia, tak? Ja urodziłem się dwudziestego trzeciego. Kompletnie wyleciało mi to z głowy, dopóki mi nie przypomniałeś. - Popatrzył z namysłem na chłopca. - Chyba powinniśmy uczcić taką okazję - dodał. - Niestety, obawiam się, że nie jestem w stanie zaproponować zbyt wielkiego wyboru przekąsek, ale mam herbatę i trochę lukrowanych babeczek, no a poza tym... - w tym momencie uśmiechnął się niespodziewanie z psotną miną, niczym mały chłopczyk ze sztuczną

brodą, bardzo przekonująco przebrany za starca - my, Panny, musimy się trzymać razem.

To niewielkiego, prawda? Filiżanka earl greya, lukrowana babeczka z płonącym ogarkiem świecy na wierzchu. Ale w pamięci naszego bohatera ten dzień odcina się wyraźnie niczym połączony minaret na tle pustynnego krajobrazu. Nawet teraz błękitnookichłopiec pamięta każdy szczegół z idealną ostrością: małe niebieskie różyczki na filiżance, szcęk łyżeczki o porcelanę, bursztynowy kolor i zapach herbaty, kąta padania promieni słonecznych. Drobnostki, ale ich wyrazistość jest niczym wspomnienie niewinności. Nie, żeby kiedykolwiek był niewinny, ale tamtego dnia bardzo się do tego stanu zbliżył. A kiedy teraz spogląda w przeszłość, wie, że był to ostatni moment jego dzieciństwa, prześlizgujący się przez palce niczym piasek.

Dodaj komentarz

ClairDeLune: błękitnookichłopiec, cieszę się, że postanowiłeś jednak zgłębić ten temat bardziej szczegółowo. Twój bohater często sprawia wrażenie zimnego i pozbawionego uczuć, więc podoba mi się twoja sugestia, że może jednak kryć w sobie pewną bezbronność. Przesyłam ci listę lektur, które na pewno ci się przydadzą. Może przed naszym następnym spotkaniem zechcesz do nich zajrzeć. Mam nadzieję, że wkrótce znowu cię tu zobaczymy!

porcelanowymotył: szkoda że mnie tam nie ma (płacze)

13.

Autorem tego bloga jest błękitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 01:45 we wtorek, 5 lutego

Status: publiczny

Nastrój: drapieżny

Słucham: „Smells Like Teen Spirit” Nirvany

Od tamtego dnia błękitnookichłopiec zaczął wielbić doktora Peacocka jak bohatera. Byłoby nawet dziwne, gdyby tak się nie stało, ostatecznie ten człowiek stanowił wcielenie wszystkiego, co nasz bohater podziwiał. Oszołomiony jego osobowością, spragniony jego aprobaty, żył dla tych krótkich antraktów, wizyt we Dworze, kiedy mógł chłonąć każde wypowiedane przez swojego mentora słowo.

Jedyne, co błękitnookichłopiec teraz pamięta, to okruchy życzliwości. Spacer po ogrodzie różanym, filiżanka earl grey-a, rzucone w przelocie słówko. Na razie jego potrzeba kontaktu nie zdążyła się jeszcze przerodzić w zachłanność, a przywiązanie w zazdrość. Doktor Peacock potrafił sprawić, że każdy czuł się wyjątkowy - nie tylko Ben, lecz również jego

bracia - ba, nawet twarda jak gładz Gloria uległa urokowi tego człowieka.

A potem przyszła pora egzaminów wstępnych. Benjamin miał dziesięć lat. Od jego pierwszej wizyty we Dworze minęło trzy i pół roku. Z biegiem czasu wiele rzeczy uległo zmianie. Nikt nie dokuczał mu już w szkole (od tamtego zdarzenia z cyrklem inne dzieciaki nauczyły się zostawiać go w spokoju), ale błękitnookichłopiec i tak czuł się nieszczęśliwy. Zyskał sobie sławę zarzumialca - a w Malbry to grzech śmiertelny - co w połączeniu z jego wcześniejszą opinią czubka i dziwaka równało się towarzyskiemu samobójstwu.

Nie pomógł mu też fakt, że dzięki mamusi wieść o jego darze rozeszła się po mieście. W rezultacie nawet nauczyciele zaczęli patrzeć nań inaczej, niektórzy wręcz z niechęcią. Inne dziecko to trudne dziecko - tak przynajmniej sądzili nauczyciele z Abbey Road. Większość z nich nie była nawet ciekawa, tylko zwyczajnie podejrzliwa, wielu zaś okazywało swój sarkazm otwarcie, jakby oczekiwania mamy i jego własna nieumiejętność dostosowania się do przeciętności szkoły stanowiły jakimś cudem atak na nich.

Mamusia i jej oczekiwania. Oczywiście te nadzieje jeszcze przybrały na sile teraz, kiedy talent Bena został oficjalnie uznany, kiedy miał już swoją nazwę - oficjalną, syndrom pachnący chorobą i świętością, z tymi kosmatymi, ciemnoszarymi głoskami szczelinowymi i z lekka owocowym katolickim zabarwieniem.

Chociaż to nie miało żadnego znaczenia, powtarzał sobie błękitnookichłopiec. Jeszcze rok i wreszcie będzie wolny. Będzie mógł pójść do szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, którą Gloria przedstawiła mu w tak atrakcyjnych barwach, że niemal dał się nabrać. Zresztą słyszał o niej tyle ciepłych słów z ust samego doktora Peacocka, że w końcu odsunął wszystkie lęki na bok i z zapalem zaczął się starać o to, by spełnić

oczekiwania doktora, stać się synem, którego ten nigdy nie miał, wiernym odbiciem swojego mentora, wedle jego własnych słów.

Czasami Benjamin się zastanawiał, co by było, gdyby oblał egzamin wstępny. Ale ponieważ mamusia dawno temu uznała, że egzamin stanowi jedynie formalność, szereg dokumentów do podpisania, zanim jej syn przekroczy wreszcie czcigodne bramy, wołał nie wspominać o swoich obawach.

Obaj jego bracia chodzili do Sunnybank Park. „Sunnybankerzy”, mówił na nich. „Rymuje się z frajerzy”, dodawał. Brendan tylko się z tego śmiał, ale Nigel dostawał białej gorączki i jeśli tylko udało mu się złapać najmłodszego brata, przytrzymywał go między kolanami i okładał pięściami, wykrzykując: „Pieprz się, ty mały świrze”, dopóki nie opadł z sił albo dopóki Gloria nie usłyszała płaczu Benjamin i nie pospieszyła mu na ratunek.

Nigel miał piętnaście lat i szczerze nienawidził Bena. Nienawidził go od samego początku, ale ostatnio jego nienawiść przybrała jeszcze na sile. Może był zazdrosny o uwagę, jaką poświęcano tamtemu, może po prostu miał za dużo testosteronu. W każdym razie im starszy się stawał, tym więcej energii poświęcał na dręczenie błękitnookiego chłopca, niezależnie od konsekwencji.

Ben był drobny i chudy, natomiast mocno wyrosnięty jak na swój wiek Nigel miał już całkiem niezłe rozwiniętą muskulaturę, a na dodatek znał wszelkie możliwe i praktycznie niewykrywalne sposoby sprawiania bólu: wykręcanie rąk, szczypanie, kuksańce i kopniaki wymierzane ukradkiem pod stołem - chociaż kiedy wpadał w złość, zapominał o rozwadze i nie bacząc na groźbę odwetu, rzucał się na brata z pięściami.

Skarżenie się na niego tylko pogarszało sytuację. Nigel zdawał się nie przejmować karami, które stanowiły jedynie

pożywkę dla jego wściekłości. Bicie czyniło go jeszcze bardziej bezwzględny. Jeśli został odesłany do łóżka bez kolacji, wciskał bratu do gardła pastę do zębów, ziemię czy pająki, starannie zbierane na strychu i przechowywane specjalnie na taką okazję.

Brendan, jak zawsze ostrożny, akceptował naturalny porządek rzeczy. Może był bystrzejszy, niż im się wszystkim wydawało. Może bał się zemsty. Na dodatek był dziwnie wrażliwy i kiedy Nigel albo Ben dostali lanie od mamy, płakał równie głośno jak ukarany - ale przynajmniej nie stanowił zagrożenia, a czasem dzielił się nawet z Benem słodyczami, jeśli tylko obaj znaleźli się wystarczająco daleko od Nigela.

Brendan zjadał mnóstwo słodyczy, co teraz naprawdę zaczynało być po nim widać: nad paskiem brązowych sztruksów zwisał mu miękki wałek białego tłuszczu, ukrywana pod workowatymi brązowymi swetrami klatka piersiowa była zaokrąglona jak u dziewczyny. I chociaż do spółki z Benem mogli mieć szansę w starciu z Nigelem, nigdy nie zdołał wykresać z siebie dosyć odwagi, by stanąć do walki. W rezultacie Ben nauczył się dbać o własną skórę i uciekać, gdy tylko jego brat w czerni pojawiał się w pobliżu.

Inne rzeczy też się pozmiały. Błękitnookichłopic dorastał. Dotąd często cierpiał na bóle głowy, a teraz zaczęły go nękać paskudne migreny, które zawsze rozpoczynały się pulsującym światłem o trupich barwach. Potem napływały smaki i zapachy, silniejsze niż wszystko, co znał do tej pory: odór zgniętych jajek i kreozotu, podstępny zapach napoju witaminowego, aż wreszcie przychodziły mdłości i ból przetaczający się po nim niczym głaz, grzebiący go żywcem.

Nie mógł spać, nie mógł myśleć, ledwie potrafił skoncentrować się na nauce. A jakby tego było mało, choć zawsze mówił z lekkim wahaniem, teraz po prostu zaczął się

zwyczajnie jąkać. Wiedział, w czym rzecz. Jego dar - ta jego wielka wrażliwość - stał się dlań trucizną. Trucizną, która krążyła powoli, rozlewała się ukradkiem w jego organizmie, zamieniając zdrowe ciało i krew w coś, dla czego nawet mama nie zdołałaby wykrzesać odrobiny współczucia.

Oczywiście Gloria wezwała lekarza, który początkowo złożył bóle głowy na karb dojrzewania, a potem, kiedy migreny nadal nie ustępowały, stresu.

- Stres? A czym on się może stresować? - wykrzyknęła porirytowana.

Jego milczenie rozżłościło ją jeszcze bardziej, co w końcu doprowadziło do serii nieprzyjemnych przesłuchań, po których błękitnookichłopic poczuł się tylko gorzej. Szybko nauczył się nie narzekać, udawać, że wszystko w porządku, nawet kiedy z powodu przyprawiającego o mdłości bólu był bliiski omdlenia.

Zamiast tego wykształcił swój własny system walki z podobnymi dolegliwościami. Dowiedział się, które lekarstwo z apteczki mamy podkraść. Nauczył się zwalczać wrażenia fantomowe za pomocą magicznych słów i obrazów. Szukał ich na mapach doktora Peacocka i w jego książkach albo w mrocznych zakamarkach swojego serca.

Przed wszystkim jednak marzył mu się błękit. Błękit, kolor władzy. Zawsze kojarzył tę barwę z siłą, energią podobną do elektryczności, więc teraz zaczął sobie wyobrażać, że znajduje się w kuli rozżarzonego błękitu, nietykalny i niezwyciężony. Zamknięty bezpiecznie w jej wnętrzu mógł się wreszcie odrodzić. Błękit dawał mu poczucie pewności. Błękit dawał spokój. Błękit, kolor morderstwa. Błękitnookichłopic notował wszystkie te obrazy w tej samej Błękitnej Księdze, w której spisywał swoje historie.

Ale istnieją również inne niż wyobrażenia sposoby radzenia sobie z młodzieńczym stresem. Potrzeba tylko odpowiedniego

kozła ofiarnego, żeby wziął na siebie winę za wszystko, co wycierpiał, najlepiej takiego, który nie będzie się bronił.

Na swoje pierwsze ofiary wybrał osy, których serdecznie nienawidził, odkąd został użądłony w usta, kiedy pociągnął spory łyk coli z na wpół opróżnionej puszkii, pozostawionej nierozważnie w letnim słońcu. Od tamtej pory wszystkie osy były winne. Mścił się na nich, chwytając je w pułapki zrobione ze słoików wypełnionych do połowy osłodzoną wodą, a następnie nabijał na czubek igły i obserwował, jak tłoczą jad do białego żądła i wyginają ohydnie wcięte ciało niczym najmniejsza tancerka go-go świata, żeby w końcu umrzeć.

Czasami pokazywał je Brendanowi i patrzył, jak przerażony brat wierci się rozpaczliwie, a potem błaga:

- Och, przestań, to obrzydliwe.
- Dlaczego, Bren? Przecież to tylko osa.

Brat wzruszał ramionami.

- Wiem. Ale proszę cię...

Ben wyciągał igłę z ciała osy. Kiedy przecięty niemal na pół owad zaczynał fikać lepkie koziołki, Bren aż się wzdrygał.

- Zadowolony?

- Ona nadal się r-rusza - mówił tamten z twarzą wykrzywioną ze strachu i obrzydzenia.

W takich sytuacjach Benjamin wywracał słoik do góry nogami, wyrzucając jego zawartość na stół przed bratem.

- Więc ją zabij - mówił.

- Och, proszę cię, Ben...

- No dalej, zabij ją. Skróć jej męki, ty tłusty dupku.

- Nie m-mogę - jękał bliski płaczu Brendan. - Ja tylko...

- Zrób to! - Ben wymierzał bratu kuksańca w ramię. - Zrób to, zabij ją, ale już!

Niektórzy ludzie rodzą się mordercami. Brendan do nich nie należał. A Benjamin rozkoszował się bezradnością swojego

głupiego brata, jego płaczliwymi okrzykami wydawanymi pod gradem ciosów i ucieczką w kąt pokoju z głową osłoniętą ramionami. Brendan nigdy nie próbował się bronić. Ben był od niego o trzy lata młodszy i dobre piętnaście kilogramów lżejszy, a jednak bez trudu mógł go zbić na kwaśne jabłko. I wcale nie chodziło tu o nienawiść, po prostu ta słabość Brendana była irytująca, sprawiała, że Ben miał ochotę sprawiać bratu coraz większy ból i patrzeć, jak ten wije się niczym osa w słoiku.

Może rzeczywiście było to odrobinę okrutne. Przecież Brendan nigdy nie zrobił nic złego. Ale dzięki temu Ben miał poczucie władzy, którego tak bardzo mu brakowało, a które pomagało mu zapanować nad narastającym stresem. Zupełnie jakby dzięki dręczeniu brata sam mógł się uwolnić od cierpienia, uniknąć tego, co go więziło w klatce zapachów i barw.

Chociaż szczerze mówiąc, niewiele o tym wszystkim myślał. Działał czysto instynktownie, po prostu bronił się przed światem. Później miał się dowiedzieć, że takie zachowanie nazywa się przeniesieniem. Interesujące słowo o barwie błotnistej, niebieskawej zieleni, przywodzące na myśl ohydne kalkomanie, które starsi bracia naklejali sobie na ramionach, tandetne zmywalne tatuaże, brudzące rękawy szkolnych koszul i przysparzające obu chłopcom kłopotów w klasie. Ale jakimś cudem w końcu nauczył się sobie radzić. Najpierw z pułapkami na osy, później z myszami i w końcu ze swoimi braćmi.

I tylko popatrz teraz na swojego błękitnookiego chłopca, mamusiu. Przerósł twoje najśmielsze oczekiwania. Wkłada do pracy garnitur - a przynajmniej takie zachowuje pozory. Nosi skórzaną aktówkę i pracuje na stanowisku, w którego nazwie jest słowo „technik” czy też „specjalista”, a jeśli nawet nikt nie ma pojęcia, czym tak naprawdę się zajmuje, to

wyłącznie dlatego, że zwykli ludzie na ogół nie zdają sobie sprawy, jak skomplikowane potrafią być te wszystkie szpitalne procedury.

- W dzisiejszych czasach lekarze tak bardzo polegają na maszynach - tłumaczy Gloria Adèle i Maureen podczas ich zwyczajowych piątkowych spotkań. - Zainwestowali miliony funtów w te wszystkie skanery i urządzenia do rezonansu magnetycznego, które ktoś musi teraz obsługiwać...

Nieważne, że błękitnookichłopiec zbliża się do tych skomplikowanych maszyn jedynie wtedy, gdy pod którąś z nich odkurza. Widzisz, mamusiu, słowa naprawdę mają wielką moc - moc ukrywania prawdy, nadawania jej wszystkich kolorów tęczy.

Och, gdyby wiedziała, gorzko by tego pożałował. Ale się nie dowie. Nauczył się być ostrożnym. Oczywiście, matka może coś podejrzewać, ale jego zdaniem powinno mu to ująć na sucho. To wyłącznie kwestia odwagi, niczego więcej. Odwagi, odpowiedniej synchronizacji i opanowania. W ostatecznym rozrachunku to wszystko, czego trzeba mordercy.

Poza tym, jak wiecie, robił to już wcześniej.

Dodaj komentarz JennyTricks: (post usunięty)

ClairDeLune: Jenny, czy tobie nigdy się nie znudzi wchodzenie tutaj, żeby wiecznie wszystko krytykować? Błękitnookichłopiec, to naprawdę intrygujący tekst. Przejrzałaś listę lektur, którą ci wysłałam? Jestem bardzo ciekawa twojej opinii na ten temat...

14.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 01:55 we wtorek, 5 lutego

Status: prywatny

Nastrój: czujny

Dziś wieczorem w mojej skrzynce pusto. Tylko mem od błękitnookiegochłopca, zaproszenie do zabawy. Jestem niemal pewna, że on na mnie czeka, często loguje się mniej więcej o tej porze i zostaje aż do samego rana. Ciekawe, czego ode mnie chce. Miłości? Nienawiści? Wyznań? Kłamstw? A może pragnie jedynie kontaktu, pewności, że nadal go słucham? Późną nocą, kiedy Bóg wydaje się tylko kosmicznym żartem i nie ma nikogo, kto by wysłuchał naszych zwierzeń, czyż wszyscy nie potrzebujemy kogoś bliskiego? Nawet ty, błękitnookichłopcze. Obserwujesz mnie, obserwującą cię, „jakby w zwierciadle, niejasno”*, wystukującą na tabliczce *ouija* moje listy do zmarłych.

* IKor: 13, 12, Biblia Tysiąclecia (...).

Czy właśnie dlatego on pisze te wszystkie swoje historie, a potem zamieszcza je tutaj dla mnie? Czy w ten sposób

zaprasza mnie do gry? I czeka, aż odpowiem własnym wyznaniem?

Przesłane przez: blekitnookichlopiec, piszący na: Niegrzecznychlopcyrzadza.

Wpis zamieszczony o: 01:05 we wtorek, 5 lutego

Gdybyś był zwierzęciem, to jakim? Orłem szybującym nad wzgórzami.

Ulubiony zapach? Zapach wnętrza kawiarenki Różowa Zebra w porze czwartkowego lunchu.

Kawa czy herbata? Czemu pić któryś z tych napojów, skoro można wybrać gorącą czekoladę ze śmietanką?

Ulubiony smak lodów? Jabłkowe.

Co masz teraz na sobie? Dżinsy, tenisówki i mój ukochany stary sweter z kaszmiru.

Czego boisz się najbardziej? Duchów.

Co ostatnio kupiłeś? Mimozę. To mój ulubiony kwiat.

Co ostatnio jadłeś? Grzankę.

Ulubiony dźwięk? Yo-Yo Ma grający Saint-Saensa.

W jakim stroju sypiasz? W starej koszuli, która należała kiedyś do mojego chłopaka.

Czego nienawidzisz najbardziej? Bycia traktowaną protekcyjnie.

Twoja najgorsza wada? Skłonność do ciągłych uników.

Blizny lub tatuaże? Więcej niż chciałabym pamiętać.

Jakieś powtarzające się sny? Nie.

W twoim domu wybuchł pożar. Co ratujesz z płomieni? Swój komputer.

Kiedy ostatnio płakałeś?

No cóż - chciałabym napisać, że to było po śmierci Nigela. Ale oboje wiemy, że to nieprawda. Zresztą jak mogłabym wytłumaczyć mu tę ukradkową, irracjonalną falę radości, która przesłania mój żal, jak wyjaśnić świadomość, że czegoś mi brak, jakiegoś zmysłu, który nie ma nic wspólnego z moimi oczami?

Bo widzicie, ja jestem zła. Nie umiem radzić sobie ze stratą. Śmierć to uderzający do głowy koktajl z jednej części żalu i trzech części ulgi - to samo czułam, gdy chodziło o tatę, matkę i o Nigela, nawet w wypadku biednego doktora Peacocka.

Błękitnookichłopiec wiedział - oboje wiedzieliśmy - że oszukuję sama siebie. Nigel nigdy nie miał najmniejszej szansy. Nawet nasza miłość od samego początku była kłamstwem, wypuszczając zielone pędy niczym ucięta gałązka w wazonie, ale nie były to pędy ozdrowienia, tylko rozpaczy.

lak, byłam egoistką. Tak, myliłam się. Od początku wiedziałam, że Nigel należał do kogoś innego. Kogoś, kto nigdy nie istniał. Ale po tylu latach uciekania jakaś cząstka mnie chciała być tą dziewczyną, zanurzyć się w nią tak jak dziecko zapada się w puchową pościel, zapomnieć o sobie - o wszystkim - w ramionach Nigela. Przyjaciele z sieci już mi nie wystarczali. Niespodziewanie zapragnęłam czegoś więcej. Chciałam być normalna, poznawać świat nie przez szybę, ale za pomocą warg i palców. Pragnęłam czegoś więcej niż wirtualnego życia, czegoś więcej niż tylko imienia kryjącego się pod czubkami moich palców. Chciałam być rozumiana nie przez kogoś, kto siedzi gdzieś tam nad klawiaturą, tylko kogoś, kogo mogłabym dotknąć.

Tyle że czasem dotyk potrafi być zabójczy. Powinna wiedzieć, zdarzało się to przecież już wcześniej. Niecały rok później Nigel już nie żył, zatruty bliskością. Jego dziewczyna okazała się równie toksyczna jak Emily White, siejąc śmierć jednym słowem -

albo w tym przypadku listem.

15.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 15:44 we wtorek, 5 lutego

Status: prywatny

Nastrój: niespokojny

List przyszedł w środę, akurat kiedy jedliśmy śniadanie. W tamtym okresie Nigel praktycznie już u mnie mieszkał (choć zatrzymał swoje mieszkanie w Malbry), a nasze życie toczyło się według określonego schematu, który właściwie odpowiadał nam obojgu. Oboje byliśmy dziećmi nocy, wtedy czuliśmy się najszczęśliwsi. Dlatego właśnie Nigel wpadał koło dziesiątej wieczorem, po czym wypijaliśmy butelkę wina, rozmawialiśmy, kochaliśmy się i szliśmy spać, a o dziewiątej następnego ranka wychodził. W weekendy zostawał dłużej, czasami do dziesiątej czy jedenastej, więc właśnie dlatego w ogóle tu był, kiedy przyszedł ten list. W tygodniu po prostu nie miałby okazji go otworzyć, a ja zdążyłabym znaleźć sposób, żeby załatwić sprawę dyskretnie. Podejrzewam, że to również stanowiło część planu. W tamtym momencie jednak nic nie wiedziałam o bombie, która za chwilę miała nam wybuchnąć w rękach.

Tamtego ranka jadłam płatki, które szeleściły i podskakiwały, kiedy zalewałam je mlekiem. Nigel nic nie tknął, niewiele się też odzywał. Rzadko jadał śniadanie, a jego milczenie bywało wręcz złowrogie, zwłaszcza rankami. Dźwięki wirowały w ciszy jak satelity wokół groźnej planety: skrzypnięcie drzwi spiżarni, brzęknięcie łyżeczki o słoik z kawą, szcęk kubków, a chwilę później odgłos otwieranych i zamykanych drzwiczek lodówki. Gwizd czajnika, krótki wybuch gorącej wody zakończony kliknięciem o wojskowej wręcz ostateczności. Później stukot klapki od skrzynki na listy i beznamietne wsunięcie porcji przesyłek.

Większość mojej poczty to zwykłe reklamowe śmieci, chociaż w ogóle rzadko coś dostaję. Rachunki opłacam za pośrednictwem stałego zlecenia. Listy? Po co w ogóle zawracać sobie nimi głowę. Kartki z życzeniami? Zapomnijcie.

- Coś interesującego? - zapytałam.

Przez chwilę Nigel milczał, słyszałam tylko suchy szelest papieru, przypominający wyciąganie ostrego sztyletu z pochwy.

- Nigel?

- co?

W chwilach zdenerwowania Nigel zawsze kiwał stopą; słyszałam, jak postukuje nią teraz o nogę stołową, podczas gdy jego głos przybrał taki beznamietny, twardy ton, zupełnie jakby w gardle tkwił mu jakiś obcy przedmiot. Przedarł kopertę na pół, a potem przesunął palcami po pojedynczej kartce, badając kciukiem jej brzeg, jakby sprawdzał ostrze noża.

- Mam nadzieję, że to nic złego? - Nie wypowiedziałam na głos swoich najgorszych obaw, ale czułam, że ten lęk cały czas gdzieś nade mną wisi.

- Do kurwy nędzy, daj mi najpierw przeczytać - warknął Nigel.

Teraz ta przeszkoda była już w zasięgu ręki, niczym ostry kraniec blatu, na który człowiek nieoczekiwanie wpada. Te ostre krawędzie nigdy nie chybają, mają swoją własną grawitację i zawsze ściągają mnie na swoją orbitę. A Nigel miał tyle ostrych kantów, tyle stref z zakazem wstępu.

To nie jego wina, powtarzałam sobie, bo przecież inaczej bym z nim nie była. W jakiś dziwny sposób uzupełnialiśmy się wzajemnie, jego mroczne nastroje i mój brak temperamentu. Jestem otwarta na oścież, jak mawiał Nigel, nie ma we mnie żadnych ukrytych miejsc, żadnych paskudnych sekretów. Tym lepiej, bo najbardziej na świecie Nigel nienawidził właśnie przewrotności, tej typowo kobiecej cechy. Przewrotności i kłamstwa, tak obcych jemu samemu, tak obcych, jak sądził, mnie.

- Muszę wyjść, na godzinkę albo dwie. - Powiedział to tak, jakby próbował się tłumaczyć. - Poradzisz sobie sama? Muszę wpaść do mamy.

Gloria Winter, z domu Green, miała lat sześćdziesiąt dziewięć i nadal trzymała się resztek rodziny z uporem wygłodniałej pijawki. Znałam ją jako głos po drugiej stronie linii telefonicznej, silny północny akcent, niecierpliwe postukiwanie palcami o słuchawkę oraz władczy sposób przerywania człowiekowi w pół słowa na podobieństwo ogrodnika przycinającego krzewy róż.

Chociaż nigdy nie zostałyśmy sobie przedstawione, w każdym razie nie oficjalnie, znam ją z opowieści Nigela, znam jej przyzwyczajenia, jej głos przez telefon i złowrogi zestaw rozmaitych odcieni milczenia. Są też inne rzeczy, o których nie usłyszałam od Nigela, ale znam je aż za dobrze. Zazdrość, zawziętość, gniew, nienawiść zmieszana z bezradnością.

Nigel niewiele mi mówił o matce. W ogóle rzadko o niej wspominał. Kiedy zamieszkaliśmy razem, szybko zrozumiałam, że pewnych tematów lepiej nie poruszać. Znalazły się

pośród nich: dzieciństwo Nigela, jego ojciec, bracia i przeszłość, przede wszystkim jednak Gloria, która zawsze potrafiła, podobnie jak jej najmłodszy syn, wydobyć z Nigela to, co najgorsze.

- Twój brat nie może się tym zająć?

Usłyszałam, jak Nigel zatrzymuje się w drodze do drzwi. Ciekawe, czy odwrócił się też, żeby zmierzyć mnie spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Rzadko wspominał o bracie, ale jeśli już coś mówił, to wyłącznie złe rzeczy. „Pokręcony mały sukinsyn” to najłagodniejsze określenie, jakie dotąd usłyszałam. Nigel nigdy nie był zbyt obiektywny, jeśli w grę wchodziła jego rodzina.

- Mój brat? A dlaczego? Rozmawiał z tobą?

- Oczywiście, że nie. Czemu miałby to robić?

Następna pauza. Wzrok Nigela wwierał mi się teraz gdzieś w okolice czubka głowy.

- Graham Peacock nie żyje - usłyszałam w końcu wiadomość, wypowiedzianą dziwnie bezbarwnym głosem. - Nieszczęśliwy wypadek, przynajmniej na to wygląda. W nocy doktor wypadł ze swojego wózka inwalidzkiego. Rano znaleźli go martwego.

Nie podniosłam oczu. Nie miałam odwagi. Nagle wszystko jakby nabrało intensywności: smak pitej przeze mnie kawy, świergot ptaków za oknem, bicie mojego serca, faktura wszystkich tych szram i nacięć na powierzchni stołu pod moimi palcami.

- Ten list był od twojego brata? - rzuciłam.

Nigel zignorował moje pytanie.

- Podobno większość majątku Peacocka, ocenianego na jakieś trzy miliony funtów...

Kolejna chwila ciszy.

- No co? - spytałam.

Ten zdumiewająco beznamiętny ton był o wiele bardziej niepokojący niż wybuch wściekłości.

- Doktor zostawił to wszystko tobie: dom, obrazy, swoje zbiory...

- Mnie? - zdumiałam się. - Przecież nawet go nie znałam.

- Popieprzony mały *sukinsyn*.

Nie musiałam pytać, kogo miał na myśli - to określenie było zarezerwowane wyłącznie dla jednej osoby. W wielu aspektach obaj synowie Glorii byli do siebie tak podobni, a jednak za każdym razem, kiedy imię najmłodszego padało w rozmowie, wciąż nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że Nigel mógłby zabić brata, zatłuc go gołymi pięściami na śmierć.

- No cóż, może zrobił to z powodu Emily White? - powiedział na pozór całkiem obojętnie.

Teraz kawa smakowała mi jak piach, ptaki umilkły, a moje serce zamieniło się w kamień. To imię uciszyło wszystko, poza szumem, który rozpoczynał się gdzieś u nasady mojego kręgosłupa, wymazując ostatnich dwadzieścia lat gwałtowną falą zabójczych zakłóceń.

Wiem, powinnam mu wtedy powiedzieć. Ale ukrywałam prawdę od tak dawna, więc wciąż czekałam na odpowiedni moment, przekonana, że Nigel zawsze będzie przy mnie, i nie miałam pojęcia, że ten czas to wszystko, co mamy.

- Emily White - powtórzył Nigel.

- Nigdy o niej nie słyszałam - odparłam.

16.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 03:15 w środę, 6 lutego

Status: prywatny

Nastrój: bezsenny

Kiedy trzeba się zmierzyć z jednym z okrutnych ciosów losu - śmiercią rodzica, zakończeniem związku, pozytywnym wynikiem testu, wyrokiem skazującym, ostatnim krokiem poza krawędź dachu wysokiego budynku - przychodzi w końcu ów moment lekkości, niemal euforii, gdy ostatnia nić wiążąca nas z nadzieją zostaje zerwana, i odskakujemy w przeciwnym kierunku, przez ułamek chwili niesieni siłą odrzutu.

Przedostatnia część „Symfonii fantastycznej”, „Droga na miejsce stracenia”, ma właśnie taki moment, kiedy skazaniec dostrzega już szubienicę, a tonacja moll przechodzi w triumfalne dur, jakby na widok przyjaznej twarzy. Znam to uczucie, owo gwałtowne szarpnięcie wyzwolenia, świadomość, że najgorsze już się stało, a reszta to jedynie kwestia grawitacji.

Chociaż najgorsze nie nastąpiło - jeszcze nie. Ale chmury zaczęły już się zbierać na niebie. Kiedy nadszedł ten list,

Nigelowi pozostała jedynie niecała godzina życia, a ostatnią rzeczą, jaką do mnie powiedział, stanowiły te cztery krótkie sylaby jej imienia i nazwiska, Emily White, niczym parę tonów dla zbudowania atmosfery napięcia, granych przez ducha Beethovena.

A więc doktor Peacock w końcu umarł. Był wykładowca i dyrektor w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda, ekscentryk, geniusz, szarlatan, marzyciel, kolekcjoner, święty, błazen. Równie bezlitosny w śmierci jak za życia - toteż wcale nie zdziwiła mnie wiadomość, że mimo najlepszych intencji po raz kolejny zdołał obrócić moje życie w gruzy.

Nie żeby mógł mi zrobić krzywdę. W każdym razie nie celowo. Emily zawsze go kochała - tego potężnego mężczyznę o miękkiej brodzie i dziwnie dziecinny sposób bycia, który czytywał jej na głos „Alicję w krainie czarów”, puszczał stare, trzeszczące płyty na gramfonie nakręcanym korbką i dyskutował o muzyce, obrazach, poezji i dźwiękach, podczas gdy ona kołysała się na huśtawce w Domu z Kominkiem. A teraz wreszcie nie żył. Nie było już ucieczki przed nim ani przed tym, co pomogliśmy mu zapoczątkować.

Tak naprawdę nie wiem, ile lat miała Emily, kiedy po raz pierwszy zjawiała się w Domu z Kominkiem. Wiem tylko, że musiało to być tuż po bożonarodzeniowym koncercie, bo właśnie wtedy urywają się moje wspomnienia. W jednej chwili jestem tam, otoczona muzyką, niczym cudownym akksamitem, a w następnej...

Sprzężenie zwrotne i biały szum. Długa fala zakłóceń, przerywanych czasem nagłym wybuchem idealnego dźwięku, jakąś frazą, akordem, nutą. Próbuję znaleźć w tym sens, ale nie potrafię, zbyt wiele spraw pozostaje przede mną ukrytych. Oczywiście, byli świadkowie, z ich relacji mogłabym, gdybym tylko chciała, złożyć w całość wariację, jeśli już nie fugę. Ale ufam im jeszcze mniej niż sobie - zresztą tak bardzo

staralam się o tym wszystkim zapomnieć, więc czemu teraz miałabym próbować do tego wrócić?

W dzieciństwie, kiedy mi się wydawało, że spadło na mnie największe nieszczęście - zepsułam zabawkę, rodzice nie zwracali na mnie uwagi albo dotknęła mnie jedna z tych drobnych, ale dotkliwych trosk wspominanych potem przez mgłę dorosłego smutku - zawsze szukałam schronienia w ogrodzie. Było tam pewne drzewo, pod którym lubiłam przesiadywać. Pamiętam szorstkość jego słoniowej skóry, soczysty, miękki zapach opadłych liści i mchu. Dzisiaj, kiedy czuję się zagubiona i zdezorientowana, idę do Różowej Zebry. To najbezpieczniejsze miejsce w moim świecie, szansa na ucieczkę od samej siebie, mój azyl. Wszystko tutaj wydaje się jakby specjalnie skrojone do moich szczególnych potrzeb.

Po pierwsze, wygodne rozplanowanie lokalu, gdzie każdy stolik ma swoje miejsce pod ścianą. Menu zawiera wszystko, co lubię. A najlepsze, że w odróżnieniu od samego miasteczka, kawiarenka jest wolna od wszelkich powiązań towarzyskich czy aspiracji. Tutaj przestaję być niewidzialna, i chociaż mogą się z tym wiązać pewne zagrożenia, to wspaniałe uczucie znaleźć się w miejscu, gdzie ludzie rozmawiają z tobą, a nie o tobie. Nawet głosy są tu inne, nie piskliwe jak u Maureen Pike czy zadyszane i cierpkie jak w przypadku Eleanor Vine albo tak afektowane jak u Adèle Roberts, ale bogate w jazzowe tony klarnetu, sitaru czy stalowych bębnów, o cudownych rytmach calypso, tak że samo przebywanie tutaj jest niemal równie przyjemne jak muzyka.

Wpadłam do Różowej Zebry w ową sobotę po wyjściu Nigela. Tamto imię w jego ustach wzbudziło we mnie niepokój, potrzebowałam miejsca, w którym mogłabym sobie wszystko przemyśleć. Miejsca głośnego. I bezpiecznego. Wiecznie załoczona Zebra stanowiła doskonałe schronienie. Dzisiaj pod drzwiami kawiarenki czekało nawet więcej gości niż zwykle,

ich głosy napierały na mnie jak zwierzęta w porze karmienia. Jamajski akcent Saksofonisty. Lekkie posapywanie Grubaski. I spinający je razem irlandzki zaśpiew Bethan, radosnej, zagadującej do każdego, łączącej wszystko w całość.

- Hej, co się dzieje? Spóźniłaś się, powinnaś tu być dobre dziesięć minut temu.

- Cześć, skarbie. Co dla ciebie?

- Macie jeszcze to czekoladowe ciasto?

- Chwileczkę, sprawdzę.

Dzięki Bogu za Bethan, pomyślałam sobie. Bethan, mój kamuflaż. Nie sądzę, żeby Nigel tak naprawdę to rozumiał. Nie lubił, kiedy przesiadywałam w Różowej Zebrze, niepokoiło go, dlaczego tak często przedkładałam towarzystwo nieznamomych nad niego. Ale żeby zrozumieć, o co chodziło z Bethan, trzeba by przeniknąć kolejne maski, jakie przybierała, przedrzeć się przez głosy, żarciki, przezwiska nadawane klientom i ten radosny irlandzki cynizm, który przesłania coś znacznie prawdziwszego.

Bo pod tymi wszystkimi warstwami kryje się ktoś zupełnie inny. Ktoś skrzywdzony i wrażliwy. Ktoś, kto rozpaczliwie próbuje odnaleźć sens w czymś smutnym i pozbawionym sensu.

- Proszę bardzo, skarbie. Mam nadzieję, że tyle wystarczy. Gorąca czekolada z kardamonem i śmietanką.

Czekolada to jeden z moich ulubionych przysmaków. Podawana w wysokiej szklance z mlekiem, wiórkami kokosowymi i piankami, albo gorzka, z odrobiną chili.

- Posłuchaj tylko tego. Parę dni temu wpadł do Zebry Dziwny Koleś. Usiadł dokładnie tu, gdzie siedzisz, i zamówił ciasto cytrynowe. Zjadł je na moich oczach, a potem wrócił do baru i zamówił jeszcze jeden kawałek. Przysięgam ci, kochana, facet wsunął w ciągu pół godziny sześć porcji.

Grubaska siedziała dokładnie naprzeciwko i nie odrywała od niego oczu. Ja zresztą też.

Upiłam łyk czekolady. Wydawała się kompletnie pozbawiona smaku. Ale przynajmniej była ciepła, co okazało się bardzo krzepiące. Podtrzymywałam tę rozmowę, tak naprawdę nie poświęcając zbyt wiele uwagi słowom odbijającym się od szumu tła równie pozbawionego znaczenia co fale uderzające o brzeg.

- Hej, skarbie, świetnie wyglądasz...

- Bethan, poproszę dwa espresso.

- Sześć kawalców ciasta. Wyobrażasz to sobie? Pomyślałam nawet, że może on ucieka, że zastrzelił kochankę, a teraz zamierza skoczyć z Beachy Head, zanim dorwie go policja, no bo w końcu sześć porcji ciasta - Jezu Chryste! - ewidentnie facet nie miał już nic do stracenia...

- Więc jej tłumaczę, mówię jej jasno, że nie będę tego tolerować...

- Zaraz do ciebie podejść, skarbie.

Niekiedy z całego tego hałasu można wyłowić jeden głos - czasami jest to nawet pojedyncze słowo - który odcina się na tle ściany dźwięków niczym rozstrojone skrzypce wyróżniające się spośród pozostałych instrumentów orkiestry.

- Poproszę earl greya. Bez cytryny i mleka.

Jego głosu nie dało się pomylić z żadnym innym. Łagodny, lekko nosowy, ze szczególnym naciskiem na aspiratach, zupełnie jak u aktora teatralnego albo kogoś, kto się kiedyś jąkał. I znowu w mojej głowie rozbrzmiała znajoma muzyka, pierwsze takty Berlioza, którymi zawsze są podszyte wszystkie moje myśli. Dlaczego to musiał być akurat ten fragment, nie wiem, ale to dźwięki mojego największego lęku, zupełnie jakby świat miał się za chwilę skończyć.

- Tym razem naprawdę ci się udało - rzuciłam. Staralam

się mówić spokojnie, cicho. Nie ma potrzeby niepokoić innych gości.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O twoim liście - odparłam.

- Jakim liście?

- Nie wciskaj mi tu kitu - warknęłam. - Nigel dostał dzisiaj list. Jeśli wziąć pod uwagę, w jakim nastroju wyszedł z domu, i fakt, że znam tylko jedną osobę zdolną tak go wkurzyć...

- Cieszę się, że tak myślisz. - Usłyszałam, że się uśmiechnęła.

- Co mu napisałeś?

- Nic takiego - rzucił lekko. - Ale znasz mojego brata. Jest taki impulsywny. Zawsze coś źle zrozumie. - Urwał, a ja znowu usłyszałam w jego głosie uśmiech. - Być może tak wstrząsnęła nim informacja o testamencie doktora Peacocka. Może chciał tylko powiedzieć mamie, że nie miał o niczym pojęcia... - Kolejna pauza na łyk earl greya. - Wiesz, myślałem, że się ucieszysz - dodał. - Mimo wszystko spadek jest naprawdę imponujący. No, posiadłość trochę podupadła, ale przecież temu da się zaradzić, prawda? Poza tym są jeszcze wszystkie te dzieła sztuki. Zbiory. Trzy miliony to ostrożna wycena. Na moje oko kwota powinna być bliższa czterech...

- Nie obchodzi mnie to - wysyczałam w jego stronę. - Mogą to oddać komu innemu.

- Nie ma nikogo innego - odparł.

Ależ jest. Jest jeszcze Nigel. Nigel, który mi ufa.

Jakże kruche okazuje się, co sobie budujemy. Jak tragicznie ulotne. W porównaniu z tym dom jest solidny jak skała, jak dachówki, belki i zaprawa murarska. Jak moglibyśmy konkurować ze skałą? Jakim cudem nasze słabe przymierze zdołałoby przetrwać?

- Muszę przyznać - odezwał się po chwili łagodnie

- myślałam, że okażesz odrobinę wdzięczności. Ostatecznie spadek po doktorze Peacocku przyniesie ci ładną sumkę, dosyć, żeby się stąd wynieść i kupić sobie coś porządnego.

- Lubię swoje życie takie, jakie jest - rzuciłam.

- Naprawdę? Ja mógłbym zabić, byle się stąd wyrwać.

Wzięłam do ręki kubek po czekoladzie i zaczęłam go obracać w dłoniach.

- No więc, jak dokładnie zmarł doktor Peacock? I ile zostawił tobie?

Chwila ciszy.

- To nie było miłe.

Zniżyłam głos do szeptu:

- Mam to w nosie. Sprawa zamknięta. Wszyscy nie żyją...

- Niezupełnie.

Rzeczywiście, pomyślałam. Może tu akurat się myliłam.

- A więc jednak pamiętasz. - Znowu ten uśmiech.

- Nie za wiele. Sam wiesz, ile miałam wtedy lat.

Na tyle dużo, żeby pamiętać, przynajmniej jego zdaniem. On uważa, że powinnam mieć więcej wspomnień z tamtego okresu, ale dla mnie większość z nich istnieje jedynie jako fragmenty dotyczące Emily, niektóre w najlepszym przypadku sprzeczne, inne zwyczajnie nieprawdopodobne. Wiem to samo, co wszyscy: że była sławna, wyjątkowa, że profesoria z uniwersytetu pisali rozprawy na temat tego, co zaczęli określać mianem „fenomenu Emily White”.

Pamięć, napisał doktor Peacock w swojej pracy „Człowiek oświecony”, jest w najlepszym przypadku niedoskonałym i bardzo indywidualnym procesem. Mamy skłonność do postrzegania ludzkiego umysłu jako sprawnie działającej maszyny rejestrującej, z gigabajtami danych - słuchowych, wizualnych i dotykowych - dostępnych w dowolnym momencie.

Nie moglibyśmy się bardziej mylić. Chociaż to prawda, że przynajmniej w teorii powinienem móc sobie przypomnieć, co jadłem na śniadanie każdego konkretnego dnia mojego życia albo jak dokładnie brzmiał sonet Szekspira, którego musiałem się nauczyć jako dziecko, bardziej prawdopodobne jest, iż bez wykorzystania narkotyków czy głębokiej hipnozy - które to metody budzą ogromne wątpliwości, jeśli wziąć pod uwagę poziom podatności na sugestię u badanego - te konkretnie wspomnienia pozostaną niedostępne i w końcu ulegną degradacji, podobnie jak sprzęt elektroniczny wystawiony na działanie wilgoci powodującej spięcia i awarie, aż wreszcie system zacznie wykorzystywać alternatywną bądź zapasową pamięć, z jej wrażeniami sensorycznymi i wewnętrzzną logiką, która w rzeczywistości może stanowić wy-nik kompletnie odmiennego zestawu doświadczeń i bodźców, ale która zapewnia mózgowi kompensacyjny bufor ochronny przed jakąkolwiek nieciągłością czy oczywistą usterką w działaniu.

Kochany doktor Peacock. Zawsze tak długo trwało, zanim w końcu przeszedł do sedna. Jeśli mocno się postaram, nadal słyszę jego głos, miękki, niski i odrobinę komiczny, zupełnie jak dźwięk fagotu w „Piotrusiu i wilku”. Doktor mieszkał niedaleko centrum, w jednym z tych wielkich starych domów o wysokich sklepieniach i wydeptanych parkietach, z szerokimi wykuszami i donicami aspidistry o spiczasto zakończonych liściach, budynku, w którym unosił się dystyngowany zapach starej skóry i cygar. W salonie znajdował się ogromny kominek z rzeźbionym gzymsem i tykającym zegarem, gdzie wieczorami płonął ogień podsycany kłódami drewna i sosnowymi szyszkami, podczas gdy doktor Peacock powtarzał swoje opowieści każdemu, kto zechciał wpaść z wizytą.

W Domu z Kominkiem ciągle kręcili się jacyś ludzie. Uczniowie (oczywiście), koledzy, wielbiciele talentu doktora, włóczędzy zebrzący o coś na ząb i kubek herbaty. Każdy był tu mile widziany, byle tylko zachowywał się grzecznie, i o ile mi wiadomo, nikt nigdy nie nadużył dobroci doktora Peacocka ani nie sprawił żadnych kłopotów.

Taki dom, w którym zawsze znalazło się coś dla każdego, butelka wina czy filiżanka gorącej herbaty z imbryka grzejącego się na ogniu. Do tego było tam mnóstwo jedzenia, zwykle chleb i jakaś zupa, parę grubych keksów aż ciężkich od rodzynek i brandy plus cała masa herbatników. Kręciło się tam też kilka kotów, pies o imieniu Patch i królik, który spał w koszyku pod oknem w salonie.

W Domu z Kominkiem czas jakby stanął w miejscu. Nie uświadczylbyś tam telewizji ani radia, żadnych gazet czy magazynów, za to w każdym pokoju znajdował się gramofon przypominający cudowną rozkwitłą lilię o mosiężnym języku, szafki pełne płyt, czasem małych, czasem tak wielkich jak półmiski, zapisanych ciasno głosami z przeszłości i rozwlekłymi, trzeszczącymi, cierpkimi dźwiękami smyczków. Chybotliwe stoliki aż ugiwały się od marmurów i brązów, wszędzie było mnóstwo sznurów dżetów, puderniczek do połowy wypełnionych pachnącym pyłem, książek o pożółkłych kartach, globusów, tabakierek, miniatur, filiżanek ze spodkami, nakręcanych lalek. Dla Emily White to był właśnie dom. I pomyśleć, że teraz miałam okazję tam do niej dołączyć, wieczne dziecko w domu zapomnianych przedmiotów, gdzie mogłabym robić, co mi się żywnie podoba.

Tylko, oczywiście, nie odejść.

Myślałam, że udało mi się uciec. Że zbudowałam sobie nowe życie z Nigelem. Teraz jednak wiem, że to wszystko było jedynie złudzeniem, grą dymów i luster. Emily White nigdy nie zdołała się wyrwać. Benjamin Winter też nie. Jak

mogłam sądzić, że ze mną będzie inaczej? I czy w ogóle rozumiem, przed czym próbuję umknąć?

„Emily White”.

„Nigdy o niej nie słyszałam”.

Biedny Nigel. Biedny Ben. To boli, prawda, błękitnokichłopcze? Być ignorowanym, zostać przyćmionym przez jaśniejszą gwiazdę, znaleźć się w cieniu, bez choćby własnego imienia? Cóż, teraz już wiesz, co wtedy czułam. Co czułam zawsze i co nadal czuję.

- To już przeszłość - powiedziałam. - Właściwie niewiele pamiętam.

- Z czasem wszystko wróci - zauważył, dolewając sobie herbaty.

- A co, jeśli wcale tego nie chcę?

- Nie sądzę, żebyś miała wybór.

Być może się nie mylił, przynajmniej w tej kwestii. Tak naprawdę nie nigdy nie znika. Nawet po tych wszystkich latach nadal żyję w cieniu Emily White. Masz swoje wyznanie, błękitnokichłopcze. Z pewnością dostrzegasz tę ironię. Ale w wielu aspektach nasz związek jest silniejszy niż przyjaźń. Może z powodu tej zasłony, która nas oddziela niczym kratka konfesjonału.

Może to właśnie przyciągnęło mnie na Niegrzecznichłopcyrządzą. Podejrzewam, że to odpowiednie miejsce dla takich jak ja, miejsce, gdzie można wyznać swoje grzechy, jeśli zajdzie taka potrzeba, opowiedzieć wszystkie te historie, które powinny być prawdziwe, nawet jeśli w rzeczywistości takie nie są. A co do błękitnokiegochłopca - no cóż, przyznaję, że on także mnie pociąga. Tak bardzo do siebie pasujemy, on i ja; nasze losy, złożone razem jak bibułka w albumie ze starymi fotografiami, stykają się na tyle rozmaitych sposobów, że właściwie moglibyśmy być kochankami. A te jego opowiadania są o wiele bardziej prawdziwe od fikcji, na której zbudowałam swoje życie.

Usłyszałam krótki sygnał jego komórki. Z perspektywy czasu myślę, że była to pierwsza z wielu wiadomości z kondolencjami, SMS-ów z jego bloga informujących go o śmierci brata.

- Przepraszam, muszę iść - powiedział. - Mama czeka na mnie z lunchem. Ale pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Sama wiesz, że nie da się uciec przed przeszłością.

Kiedy sobie poszedł, zadumałam się nad jego słowami. Może jednak się nie mylił. Może nawet Nigel by to zrozumiał. Po tych wszystkich latach obserwowania świata „jakby w zwierciadle, niejasno”^{*} może nadeszła wreszcie pora, by stać czoło samej sobie, przywołać przeszłość i wszystko sobie przypomnieć.

^{*} IKor: 13, 12, Biblia Tysiąclecia (...).

Ale jedyne, czego mogłam być teraz tak naprawdę pewna, to ten narastający szum zakłóceń w powietrzu i dźwięki pierwszej części symfonii Berlioza, „Marzenia - Namiętności”, niczym gromadzące się nad moją głową chmury.

CZEŚĆ TRZECIA

BIEL

1.

Autorem tego bloga jest Albertyna, pisząca na:

Niegrzecznychlopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 21:39 w czwartek, 7 lutego

Status: publiczny

Nastrój: spięty

Jej pierwsze wspomnienie dotyczy bryły garncarskiej gliny. Miękką jak masło, po wyschnięciu zamienia się na ramionach i łokciach w szorstką łuskę, a na dodatek pachnie rzeką, która przepływa za ich domem, deszczem na chodnikach i piwnicą, gdzie nigdy, przenigdy nie wolno było schodzić, bo tam matka trzymała zimowe ziemniaki w ich małych trumienkach, wypuszczające swoje długie ślepe oczy w stronę światła.

„Niebieska glina”, mówi jej matka, ściskając grudkę w rozcapierzonych jak rozgwiadzy dłoniach. „Ulep coś z niej, Emily. Nadaj jej kształt”.

Glina jest miękka, w dotyku przypomina śliską skórę. Kiedy bierze ją do ust, czuje ten sam smak, co wtedy, gdy przyłoży język do ścianki wanny, ciepły, mydlany, odrobinę cierpki. „Nadaj jej kształt”, namawia matka, aż wreszcie

dłonie dziewczynki zaczynają badać kawałek śliskiej niebieskiej gliny, głaszczą ją niczym mokrego szczeniaka, gładzą w poszukiwaniu ukrytego w jej wnętrzu kształtu.

Ale to oczywiście nonsens. Wcale nie pamięta żadnego kawałka gliny. Tak naprawdę nie ma z tamtego okresu żadnych wspomnień, którym mogłaby w pełni ufać. Poznała je przez naśladowanie, tak że teraz potrafi wyrecytować każde słowo. I wie, że był taki kawałek gliny: całymi latami stał w atelier, twardy i zwarty niczym skamieniała głowa.

Później został sprzedany do jakiejś galerii, ładnie oprawiony i odlany w brązie. Może za odrobinę zbyt wysoką cenę, ale zawsze jest popyt na takie rzeczy. Pamiątki zbrodni: stryżek wisielca, kawałki kości, atrybuty niesławy oferowane kolekcjonerom z całego świata.

Kiedyś miała nadzieję na lepsze pamiątki. Ale teraz, myśli sobie, to będzie musiało wystarczyć. Z braku odpowiednich wspomnień pozostanie przy tej odlanej w brązie główce i literach wrytych tam niemal trzydzieści lat temu.

„Pierwsze impresje” - brzmi inskrypcja.

„Emily White, lat trzy”.

Dodaj komentarz

błękitnookichłopic: Albertyno, brak mi słów. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. Napiszesz coś więcej? Proszę!

Albertyna: Może. Skoro tak ci na tym zależy...

2.

Autorem tego bloga jest Albertyna, pisząca na:

Niegrzecznychlopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 22:45 w czwartek, 7 lutego

Status: publiczny

Nastrój: zdeterminowany

Matka była artystką. Kolory stanowiły całe jej życie. Emily White uczyła się raczkować na podłodze jej pracowni, a zanim nauczyła się mówić, już знаła sypki zapach akwareli i kolorowej kredy, metaliczny aromat farb akrylowych, dymny odór olejów. Jej matka pachniała terpentyną, jej pierwszym słowem był „papier”, a pierwszymi zabawkami rolki pergaminu leżące pod biurkiem, ze swoim fascynującym szelestem i zapachem kurzu.

Kiedy matka pracowała, Emily uczyła się rozpoznawać odgłosy czynionych przez nią postępów: soczyste, chlupoczące pociągnięcia pędzla przy malowaniu tła, skrzypienie stalówki, miękkie szszsz... pastel i gąbek, a potem skrzypienie nożyczek i szelest ołówka na papierze.

To był rytm pracy jej matki, któremu czasem towarzyszyły ciche okrzyki irytacji czy zadowolenia, niekiedy szmer kroków,

najczęściej wygłaszane na bieżąco komentarze na temat jakiejś barwy czy odcienia. Po ukończeniu pierwszego roku życia Emily nadal nie umiała chodzić, potrafiła za to nazwać wszystkie kolory w pudełku z farbami matki. Ich nazwy dźwięczały w jej głowie niczym sygnaturka: śliwka, umbra, ochra, złoto, alizaryna, fiolet, szkarłat, róż.

Fiolet stał się jej ulubionym kolorem. Tubka była wyciśnięta niemal do samego końca, a potem zwinięta jak pasztecik, żeby wydusić resztę. Ta z białą farbą okazała się niemal pełna, ale tylko dlatego, że została kupiona całkiem niedawno, natomiast rzadko używana czerń leżała wyschnięta gdzieś z tyłu pudła z farbami, pośród pozbawionych włosia pędzli i szmatek do czyszczenia przyborów.

- Pat, mała po prostu wolno się rozwija. Einstein był taki sam. - To na pewno kolejne fałszywe wspomnienie, jak tyle innych z tamtego okresu: głos matki unoszący się wysoko ponad jej głową, niepewna odpowiedź taty.

- Ale kochanie, lekarz...

- Do diabła z lekarzem! Nasza córeczka potrafi nazwać każdy kolor w tym pudełku.

- Po prostu powtarza to, co jej mówisz.

- Nieprawda!

W głosie matki drży znajoma nuta, wysoki, ostry ton, który dociera aż do zatok i wyciska z oczu łzy. Nie zna jej nazwy - jeszcze nie, dopiero później się dowie, że to fis - za to potrafi ją odnaleźć na klawiaturze fortepianu taty. To jednak tajemnica, nawet przed mamą, te godziny spędzane razem przy starym bechsteinie, tatuś z fajką w ustach, Emily siedząca mu na kolanach i rączkami ledwie sięgająca klawiszy, podczas gdy tata gra „Sonatę księżycową” albo „Dla Elizy”, a mama myśli, że jej mała córeczka leży już grzecznie w łóżeczku.

- Catherine, proszę...

- Mała widzi doskonale!

Zapach terpentyny staje się silniejszy. To zapach zdenerwowania matki i jej strasznego zawodu. Potem mama chwytą ją w ramiona, przyciska jej twarzyczkę do swojego kombinezonu, a kiedy się odwraca, stopy Emily przesuwają się po stole, strącając tubki z farbą, kubki i pędzle na parkiet z głośnym stuk-puk.

- Catherine, posłuchaj... - Ojciec jak zwykle mówi z pokorą, niemal przepraszającym tonem. Jak zawsze pachnie lekko tytoniem Clan, chociaż oficjalnie nigdy nie pali w domu.

- Catherine, proszę...

Ale matka nie słucha, tylko zawodzi, ściskając Emily w objęciach.

- Widzisz wszystko doskonale, prawda, kochanie? Prawda?

To musi być fałszywe wspomnienie. Emily miała wtedy za ledwie rok, z pewnością nie mogła zrozumieć ani zapamiętać czegokolwiek z taką dokładnością. A jednak ona zdaje się pamiętać wszystko tak wyraźnie, swoje pełne oszołomienia łzy, krzyki matki i mamrotane cicho odpowiedzi ojca, zapach pracowni i sklejącą palce farbę z kombinezonu matki. Oraz to wysokie fis, drżące przez cały ten czas w głosie Catherine, nutę jej zawiedzionych nadziei, przypominającą uporczywy flażolet na zbyt napiętej strunie.

Tata wiedział niemal od samego początku. Ale był potulnym, wiecznie zadumanym człowieczkiem, jedynie tłem dla ataków wściekłości mamy. Nawet jako małe dziecko Emily wyczuwała, że Catherine uważa męża za kogoś gorszego od siebie, że jest nim rozczarowana. Może z powodu jego braku ambicji albo dlatego, że dopiero po piętnastu latach starań dał jej dziecko, którego tak bardzo pragnęła. Ojciec uczył muzyki w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda i grał na kilku instrumentach, ale matka tolerowała w domu jedynie fortepian, cała reszta natomiast została sprzedana, jeden po drugim, aby opłacić jej lekarzy i rozmaite zabiegi.

Tak naprawdę to żadne poświęcenie, tak przynajmniej twierdził tata. Ostatecznie miał dostęp do wszelkich instrumentów w szkole. Tak było sprawiedliwie - matka cierpiała na bóle głowy, a Emily okazała się niespokojnym dzieckiem, budzącym się na najłżejszy szmer. Ostatecznie więc ojciec przeniósł się ze swoimi płytami do szkoły, gdzie zawsze mógł ich posłuchać podczas lunchu albo w trakcie którejś z przerw, a poza tym i tak większość czasu spędzał w pracy.

„Musisz zrozumieć, co to dla niej oznaczało”.

To słowa taty, zawsze szukającego usprawiedliwień, zawsze gotowego stanąć w obronie Catherine niczym znużony stary rycerz w służbie jakiejś szalonej królowej, która utraciła swoje królestwo. Długo trwało, zanim Emily zrozumiała przyczynę takiej uległości ojca. Tata zdradził kiedyś mamę z kobietą, która nic dla niego nie znaczyła, ale urodziła jego dziecko. Więc teraz miał wobec żony dług - i nigdy nie zdoła go spłacić, co oznaczało, że przez resztę życia będzie musiał się godzić z graniem drugich skrzypiec w domu, bez narzekania, bez protestów, bez nadziei na coś więcej niż tylko służenie Catherine, spełnianie każdej jej zachcianki w próbie odkupienia tego, czego odkupić się nie da.

„Maleńka, musisz zrozumieć”.

Żyli z jego pensji, bo matka uważała, że ma przyrodzone prawo realizować swoje artystyczne ambicje, podczas gdy tata pracował na utrzymanie ich obojga. Od czasu do czasu udawało się też sprzedać któryś z jej kolaży za pośrednictwem maleńkiej galerii. Z biegiem lat ambicje Catherine uległy jednak przewartościowaniu. Urodziła się zbyt wcześnie, lubiła powtarzać. Dopiero przyszłe pokolenia się na niej poznają. Niepowodzenia na polu sztuki dodały jej tylko determinacji. Teraz całym sercem pragnęła dziecka, choć tata dawno zdążył już zarzucić swoje skromne marzenia w tej kwestii.

A potem na świecie pojawiła się wreszcie Emily. „Och, te wszystkie plany, które snuliśmy” - to słowa samego taty, chociaż wątpię, czy kiedykolwiek pozwolono mu planować cokolwiek w związku z przyszłością córki - „marzenia o twojej przyszłości, Emily”. Przez siedem i pół miesiąca matka dała się niemal udomowić, robiła na drutach maleńkie buciki w pastelowych kolorach i słuchała nagrań z dźwiękami wydawanym przez wieloryby, co miało jej zapewnić lekkie rozwiązanie. Zamierzała rodzić siłami natury, ale w ostatniej chwili i tak zażyczyła sobie znieczulenia, więc to tata liczył wszystkie paluszki u rąk i nóg córeczki, wstrzymując oddech na widok tego wrzeszczącego cudu, który miał przed sobą, tej bezwłosej małpki o ciasno zaciśniętych powiekach i małych piąstkach.

„Kochanie, mała jest cudowna”.

„O, mój Boże...”.

Przyszła jednak na świat o dwa miesiące za wcześnie. Dostała za dużo tlenu, co spowodowało odklejenie się siatkówki. Początkowo nikt tego nie zauważył, w tamtych czasach wystarczyła pewność, że dziecko ma wszystkie członki. Kiedy ślepotą Emily stała się w końcu oczywista, matka nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Emily to wyjątkowe dziecko, powtarzała. Jej talenty potrzebują czasu, żeby się rozwinąć. Przyjaciółka Catherine, Feather Dunne, astrolożka amatorka, już przepowiedziała małej wspaniałą przyszłość, mistyczne zjednoczenie Saturna z Księżycem potwierdzało, że dziewczynka jest niezwykła. A kiedy lekarza zaczęło w końcu drażnić całe to gadanie, matka Emily zdecydowała się na kurację u terapeuty stosującego metody alternatywne, który zalecił światlik, masaże i leczenie kolorami. Przez trzy miesiące pani White żyła w oparach kadzideł i dymu świec, straciła zainteresowanie swoimi płótnami i nawet przestała się czesać.

Tata podejrzewał depresję poporodową. Catherine zaprzeczała, ale co jakiś czas popadała z jednej skrajności w drugą; jednego dnia była nadopiekuńcza i nie dopuszczała męża do małej, drugiego siedziała obojętnie, nie zwracając uwagi na spoczywające obok niej zawiniątko, z którego dobiegał ciągły krzyk.

Czasami było jeszcze gorzej, aż tata musiał szukać pomocy u sąsiadów. Zaszła pomyłka, upierała się Catherine, w szpitalu zamienili dzieci, oddali komuś jej idealne dziecko w zamian za to uszkodzone.

„Tylko popatrz, Patricku - powtarzała. - To nawet nie wygląda jak dziecko. Jest ohydne. Ohydne”.

Opowiedziała o tym córce, kiedy ta skończyła pięć lat. Nie może być pomiędzy nimi żadnych tajemnic, tłumaczyła, stanowią część siebie nawzajem. „Zresztą miłość jest rodzajem szaleństwa, prawda, kochanie? Czymś na kształt opętania”.

Tak, to był jej głos, głos Catherine White. Ona odczuwa wszystko intensywniej niż my wszyscy, tłumaczył często ojciec Emily, jakby przeproszał za to, że najwyraźniej czuje o tyle mniej. A jednak to właśnie on panował jakoś nad tym chaosem, kiedy Catherine przechodziła załamanie nerwowe i długo potem, to on płacił rachunki, gotował i sprzątał, przewijał i karmił córkę, a poza tym każdego dnia delikatnie prowadził swoją żonę do opustoszałej pracowni, żeby pokazać jej pędzle, farby i dziecko raczkujące pośród rolek papieru i szleszczących wiórów z drewna.

Któregoś dnia Catherine wzięła do ręki pędzel, przyjrzała mu się uważnie, a potem odłożyła go z powrotem, ale i tak był to pierwszy raz od wielu miesięcy, kiedy chora w ogóle okazała zainteresowanie czymkolwiek. Tata uznał to za oznakę poprawy. I rzeczywiście tak było - gdy Emily skończyła dwa latka, twórcza pasja jej matki powróciła i choć

znajdowała teraz ujście niemal wyłącznie poprzez córeczkę, była nie mniej żarliwa niż poprzednio.

Wszystko zaczęło się od tej głowy z błękitnej gliny. Ale glina, chociaż interesująca, szybko przestała wystarczać Emily, która pragnęła nowych doznań, chciała wszystkiego dotykać, wszystko wąchać i czuć. Pracownia stała się dla niej za ciasna - dziewczynka nauczyła się wędrować wzdłuż ścian do innych pomieszczeń, gdzie znajdowała sobie miejsce pod oknem, w promieniach słońca, zaczęła też korzystać z magnetofonu, na którym odtwarzała kasety z bajkami, albo podnosić kłapę fortepianu, żeby stukać jednym palcem w klawisze. Poza tym uwielbiała się bawić guzikami przechowywanymi przez matkę w metalowej puszcze. Wcisnęła dłonie głęboko do środka albo wysypywała zawartość na podłogę i sortowała według kształtów, rozmiarów, faktury.

Widzicie, poza swoją ułomnością pod każdym innym względem Emily była zupełnie normalnym dzieckiem. Uwielbiała bajki, które ojciec dla niej nagrywał, a także spacerować po parku, kochała rodziców i swoje lalki. Czasami miała też napady dziecięcej złości, lubiła odwiedziny na farmie w Pog Hill i marzyła o szczeniaku.

Do czasu, gdy nauczyła się chodzić, matka zdążyła już niemal zaakceptować jej ślepotę. Wizyty u specjalistów były kosztowne, a ich diagnozy stanowiły nieuchronnie wariacje na ten sam temat. Stan córki był nieodwracalny, jej oczy reagowały jedynie na najjaśniejsze, bezpośrednie światło, i to w bardzo niewielkim stopniu. Dziewczynka nie rozróżniała kształtów, ledwie dostrzegała ruch i nie miała świadomości koloru.

Jednak Catherine White nie zamierzała się poddawać. Poświęciła się edukacji Emily z energią, którą dawniej wkładała w swoje malarstwo. Najpierw glina, aby rozwinąć wycucie przestrzeni i pobudzić twórcze myślenie. Następnie liczby,

odmierzane na wielkich liczydłach z drewnianymi koralikami, które przesuwają się z głośnym stuknięciem. Potem litery poznawane za pomocą tabliczki brajlowskiej oraz specjalnego uzgodnienia. A potem, za radą Feather, „terapia kolorami”, której celem było, jak tłumaczyła przyjaciółka mamy, pobudzenie wzrokowej części kory mózgowej poprzez kojarzenie obrazów.

- Skoro sprawdza się to w przypadku dzieciaka Glorii Winter, dlaczego nie miałyby zadziałać u Emily? - Tak właśnie mówiła Catherine White za każdym razem, kiedy mąż próbował protestować.

Nie miało znaczenia, że syn Glorii był zupełnie innym przypadkiem, jedyne, co się dla niej liczyło, to fakt, że Ben - czy też Chłopiec X, jak określał go doktor Peacock z typową dla siebie pretensjonalnością - jakimś cudem rozwinął u siebie dodatkowy zmysł. A jeśli syn sprzątaczkki to potrafił, czemu nie mogłaby tego dokonać mała Emily?

Mała Emily nie miała oczywiście pojęcia, o czym mówią rodzice, ale bardzo chciała sprostać ich wymaganiom i lubiła się uczyć, więc cała reszta była naturalnym następstwem tych dwóch rzeczy.

Terapia kolorami poskutkowała, przynajmniej do pewnego stopnia. Chociaż same słowa miały dla Emily nie większe znaczenie niż nazwy farby matki, „zieleń” wywoływała w niej teraz wspomnienie trawników latem i skoszonej trawy, „czerwień” stanowiła zapach ogniska, trzask płonącego drewna i żar, natomiast „błękit” to była woda, cisza, chłód.

- Twoje nazwisko też oznacza kolor, Emily - mówiła Feather, której długie, łaskoczące włosy pachniały paczulą i dymem papierosowym. - *White*, czyli biel. Czyż to nie cudowne?

Biel. Barwa śniegu. Tak zimna, że niemal parzy w opuszkach palców, lodowata, paląca.

- Emily, nie lubisz ślicznego śniegu?

Nie, nie lubię, myślała Emily. Futro jest śliczne. I jedwab. Guziki w puszcze też są śliczne i ryż albo ziarna soczewicy prześlizgujące się przez palce. Nie ma jednak nic ślicznego w śniegu, który kaleczy dłonie i sprawia, że schody robią się śliskie. Zresztą biel to wcale nie jest kolor. Biel to ohydna luka pomiędzy stacjami radiowymi, kiedy dźwięk rwie się na kawałki i nie zostaje nic poza szumem. Biały szum. Biały śnieg. Śnieżka, ni to martwa, ni to śpiąca w swojej szklanej trumnie.

Kiedy Emily miała cztery lata, tata zasugerował, że córka mogłaby pójść do szkoły. Może w Kirby Edge, przekonywał, gdzie funkcjonował specjalny ośrodek. Catherine, oczywiście, nie chciała o tym słyszeć. Dzięki pomocy Feather, przekonywała, jej starania już sprawiły prawdziwy cud. Od początku wiedziała, że Emily jest wyjątkowym dzieckiem, które nie powinno trwonić swoich talentów w szkole dla niewidomych dzieci, ucząc się robienia dywaników i uzalania nad sobą, czy w zwyczajnej placówce, gdzie zawsze byłaby kimś gorszym. Nie, Emily będzie nadal pobierać nauki w domu, tak aby, kiedy w końcu odzyska wzrok - w co jej matka nigdy nie wątpiła - była gotowa stawić czoło temu, co przyniesie jej życie.

Tata zawzięcie protestował, ale bezskutecznie, bo Feather i Catherine właściwie nie zwracały na niego uwagi. Astrolożka wierzyła w reinkarnację i uważała, że jeśli tylko zostaną pobudzone odpowiednie fragmenty mózgu Emily, mała odzyska pamięć wzrokową, natomiast Catherine sądziła...

No cóż, sami wiecie, co sądziła Catherine. Zniosłaby dziecko brzydkie, nawet zdeformowane, ale ślepe? Dziecko, które nie pojmowało kolorów?

Kolory, kolory, kolory. Zielony, różowy, złoty, pomarańczowy, fioletowy, szkarłatny, błękitny. Sam niebieski miał

tysiące odcieni. Lazur, akwamaryna, cyjan, indygo, ultramaryna, szafir, od błękitu nieba aż po atramentową noc, poprzez kolor gołębi, jasnoniebieski, kobaltowy, bławatkowy, turkusowy i granatowy. Widzicie, Emily rozumiała notację barw. Znała ich okresy i kadencje, nauczyła się odtwarzać nuty i szybkie arpedžio ich siedmiostopniowej skali. A jednak istota koloru nadal jej umykała. Bo Emily była jak człowiek pozbawiony słuchu muzycznego, który nauczył się grać na pianinie, choć wie, że to, co słyszy, w ogóle nie przypomina muzyki. Ale umie grać, o tak, umie.

- Tylko zobacz te żonkile, Emily.

- Śliczne żonkile. Słoneczne, złociste żonkile. Szczerze mówiąc, kwiaty były ohydne w dotyku, zimne i nieco mięsiste, jak plastry szynki. Emily o wiele bardziej wolała grube jedwabiste płatki czyścica albo lawendę z jej chropowatymi pączkami o sennym zapachu.

- Namalujemy żonkile, kochanie? Chcesz, żeby Cathy ci pomogła?

Sztalugi stały w pracowni. Po lewej stronie leżało spore pudło z farbami, których barwy oznaczono brajlem, po prawej znajdowały się trzy szklanki z wodą oraz cały zestaw pędzli. Emily najbardziej lubiła te z sierści sobola. Najlepszej jakości, mięciutkie niczym czubek kociego ogona. Emily uwielbiała przesuwając nimi w zagłębieniu tuż pod dolną wargą, miejscu tak wrażliwym, że czuła dotyk każdego włoska, podobnie jak meszku z kawałka aksamitnej wstążki. Papier - gruby, gładki brystol z jego czystym zapachem świeżo powleczonej pościeli - był przypięty do sztalug specjalnymi zaciskami i podzielony na kwadraty niczym szachownica za pomocą drutu rozciągniętego w poprzek i wzdłuż. W ten sposób Emily nie musiała się obawiać, że wykroczy poza obraz albo pomyli niebo z drzewami.

- A teraz drzewa, Emily. Dobrze. Bardzo dobrze.

Drzewa są wysokie, myśli Emily. Wyższe niż tata. Catherine pozwala ich dotykać, przykładać buzię do szorstkich pni, zupełnie jakby obejmowało się brodatego mężczyznę. Dziewczynka czuje też ich zapach i lekki ruch, daleki, ale nadal z nimi powiązany, nadal jakoś ich dotyczący.

- Wieje wiatr. - Emily bardzo się stara. - Drzewo kołysze się na wietrze.

- Dobrze, kochanie! Świetnie!

Chlap, chlap. Teraz biały, pozbawiony koloru papier staje się zielony. Emily wie o tym, ponieważ matka ją obejmuje. Emily czuje drżenie jej ciała. Słyszy też nowy ton w głosie Catherine - tym razem nie fis, dźwięk nie jest tak przenikliwy i łzawy. Serce jej wypełnia się dumą i szczęściem. Bo Emily kocha swoją mamę, a także zapach terpentyny, nierozłącznie z nią związane, kocha lekcje malowania, dzięki którym Catherine może być dumna ze swojej córeczki - chociaż później, kiedy jest już po wszystkim, zawsze zakrada się z powrotem do pracowni i bezskutecznie próbuje zrozumieć, dlaczego matkę tak to cieszy. Ona czuje jedynie delikatną szorstkość i pofałdowanie papieru, zupełnie jak w przypadku skóry dłoni po zmywaniu naczyń. To wszystko, co Emily wyczuwa, nawet w tym miejscu pod dolną wargą. Próbuje stłumić rozczarowanie. Tam musi coś być, myśli. Tak twierdzi przecież mama.

Dodaj komentarz

blekitnookichlopiec: Albertyno, to było piękne.

Albertyna: Cieszę się, że ci się podobało, blekitnookichlopce...

3.

Autorem tego bloga jest błękitnookichłopic, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 04:16 w piątek, 8 lutego

Status: publiczny

Nastrój: twórczy

Słucham: „Story In Your Eyes” Moody Blues

Biedna Emily. Biedna Catherina White. Tak sobie bliskie, a jednak tak dalekie. To, co zaczęło się od pana White'a i nieudanych poszukiwań ojca przez naszego bohatera, przekształciło się w coś na kształt obsesji na punkcie wszystkich członków rodziny White'ow: pani White, jej męża, a przede wszystkim Emily, która mogłaby być małą siostrzyczką błękitnookiego chłopca, gdyby wszystko potoczyło się inaczej.

I tak przez całe lato w jedenastym roku jego życia błękitnookichłopic śledził ukradkiem tych troje, gorliwie odnotowując ich wyjścia i powroty, ich ubrania, ulubione rozrywki i miejsca w swojej oprawnej w płótno Błękitnej Księżki, która służyła mu za pamiętnik.

Towarzyszył im do parku rzeźby, gdzie mała Emily uwielbiała się bawić, do otwartej dla zwiedzających farmy pełnej

prosiaczków i jagniąt, do pracowni ceramicznej w mieście, gdzie za cenę filiżanki herbaty można było kupić bryłkę gliny i ulepić z niej, co tylko dusza zapragnie, a potem wypalić swoje dzieło w piecu, pomalować i zabrać do domu, aby tam ustawić je na honorowym miejscu na kominku czy w kredensie.

W tamtą sobotę Emily miała cztery lata. Błękitnookichłopic zauważył ją w momencie, kiedy wraz z panią White schodziła powoli do Malbry ze wzgórza, wystrojona w swój czerwony płaszczyk, który sprawiał, że wyglądała niczym nietypowa o tej porze roku bombka choinkowa, z ciemną główką podskakującą w górę i w dół. Pani White miała na sobie botki i niebieską wzorzystą sukienkę, a długie jasne włosy spływały jej gęstą falą na plecy. Błękitnookichłopic podążył za nimi do miasta, trzymając się w cieniu żywopłotów rosnących wzdłuż drogi. Pani White w ogóle go nie zauważyła, nawet kiedy w końcu odważył się do niej zbliżyć, śledząc jej błękitną sylwetkę z uporem godnym młodego szpiega.

Błękitnookichłopic, młodszy szpieg. Podobało mu się tajemnicze brzmienie tego określenia, jego perłowy sznur głosek szczelinowych, sekretna aluzja do dymiącej broni. Poszedł za nimi aż do pracowni ceramicznej w centrum, gdzie przy stoliku dla czterech osób czekała już Feather, z filiżanką kawy na blacie przed sobą i na wpół wypalonym papierosem w smukłych palcach.

Błękitnookichłopic chętnie by do nich podszedł, ale obecność Feather go onieśmiała. Od czasu tamtego pierwszego spotkania na targu wyczuwał z jej strony niechęć, zupełnie jakby przyjaciółka pani White uważała go za nie dość dobre towarzystwo dla Emily czyjej matki. Usiadł więc przy stoliku za ich plecami, starając się zachowywać swobodnie, jakby miał gotówkę do wydania w takim miejscu i własne sprawy do załatwienia.

Feather popatrzyła na niego podejrzliwie. Była ubrana w brązową sukienkę w etniczne wzory i miała mnóstwo szykretowych bransoletek, pobrzękujących przy każdym ruchu ręki, w której trzymała papierosa.

Błękitnookichłopiec unikał jej spojrzenia, udając bardzo zajętego wyglądem przez okno. Kiedy w końcu odważył się znowu zerknąć w ich stronę, Feather rozmawiała dosyć głośno z panią White, z łokciami wspartymi na stole, od czasu do czasu strząsając odrobinę popiołu papierosa do swojej pustej filiżanki.

W tym momencie podeszła do niego ładna kelnerka.

- Jesteście wszyscy razem? - zapytała.

Najwyraźniej uznała, że przyszedł tu z panią White. Bez większego namysłu przytaknęła, a że Feather nie przestawała mówić, jego maleńkie kłamstewko umknęło niezauważone. Po kilku minutach kelnerka wróciła z pepsi i bryłką gliny, po czym przykazała mu życzliwie, że mają zawołać, gdyby jeszcze czegoś potrzebował.

Nie miał pojęcia, co powinien ulepić. Może pieska do kolekcji mamy, coś, co można by postawić na kominku. Coś - cokolwiek - co odwróciłoby choć na moment jej uwagę od Dworu, badań doktora Peacocka i rozmaitych aspektów syntezy.

Znad swojej pepsi obserwował sąsiadki, spoglądając spod oka na Emily, która zaciskała rozcapierzone jak rozgwiadza palce na kawałku błękitnej gliny. Feather nie przestawała jej zachęcać:

- Ulep coś, kochanie. Nadaj temu kształt.

Pani White nachylała się do przodu, pełna nadziei i wyczekiwania, a jej długie włosy zwisały tak blisko gliny, jakby miały się przykleić już na dobre.

- Co to będzie? Buzia?

Emily wydała z siebie dźwięk, który od biedy można by uznać za potwierdzenie.

- To są oczy, a to nos - rzuciła podekscytowana Feather,

choć błękitnookichłopiec nie zauważył nic, co mogłoby stanowić powód równie gwałtownego wybuchu zachwytu.

Palce Emily formowały glinę, dodając wgłębienie tu i tam, badając jej powierzchnię, żłobiąc ją paznokciami tak, aby odtworzyć coś na kształt włosów. Teraz błękitnookichłopiec widział już, że to rzeczywiście głowa, choć kształt nadal był prymitywny i zdeformowany, z nietoperzowymi uszami i nedorzecznym czołem pseudonaukowca, które przyćmiewało pozostałe rysy. Oczy stanowiły jedynie płytkie, ledwie widoczne wgłębienia po kciukach, ale Feather i pani White piały z zachwytu, więc błękitnookichłopiec przysunął się bliżej, próbując dostrzec to, co ich zdaniem było tak wyjątkowe.

W tym momencie Feather rzuciła mu ostre spojrzenie. Natychmiast odsunął się od ich stolika, jednak pani White zdążyła go już zauważyć, chociaż zamiast radości dostrzegł w jej oczach niepokój, zupełnie jakby uważała, że zamierzał skrzywdzić Emily, że mógłby się okazać niebezpieczny.

- A ty co tu robisz? - spytała.

Błękitnookichłopiec wzruszył ramionami.

- N-nie wiem.

- Gdzie są twoi bracia? Matka?

Znowu wzruszył ramionami. Gdy w końcu stanął twarzą w twarz z obiektem swoich obserwacji, okazało się, że głos odmawia mu posłuszeństwa; nie mógł z siebie wykrztusić nic poza potrzaskanymi sylabami i jękaniem się, które czyniło go bezradnym.

- Śledzisz mnie - oświadczyła pani White. - Czego chcesz?

Kolejne wzruszenie ramion. Nie potrafiłby jej tego wytłumaczyć, nawet gdyby byli tutaj tylko we dwoje, bez Feather, której obecność tylko pogarszała sytuację. Zaczął się wiercić na krześle. Czuł się jak schwytyany w pułapkę, w gardle palił go znajomy posmak witaminowego napoju, a czoło ścisnęła mu niewidzialna obręcz.

Feather popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Wiesz, że to nękanie? - odezwała się w końcu. - Catherine mogłaby wezwać policję.

- To tylko mały chłopiec - wtrąciła pani White.

- Chłopcy dorastają - odparła złowróżbnym tonem Feather.

- Czego chcesz? - powtórzyła pytanie pani White.

- J-ja tylko ch-chciałem z-zobaczyć E-Emily - wyjąkał błękitnookichłopiec, z trudem powstrzymując mdłości. Popatrzył na nietkniętą bryłę gliny i na wpół opróżnioną butelkę pepsi, której wcale nie zamierzał zamawiać. Nie miał pieniędzy, żeby za to zapłacić. A teraz przyjaciółka pani White mówiła coś o wzywaniu policji.

Chciał wyznać prawdę, ale właściwie nie miał już pojęcia, jaka ona była. Dotąd myślał, że gdy już odezwie się do pani White, będzie wiedział, co powiedzieć. Teraz jednak, kiedy znajomy witaminowy odór przybierał na sile, a ból głowy stawał się coraz trudniejszy do zniesienia, zrozumiał, że to, czego od niej chciał, to coś znacznie bardziej osobistego, słowo otulone tyloma odcieniami błękitu...

A wieczorem, kiedy znalazł się już w swoim pokoju, wyciągnął spod łóżka Błękitną Księgę i zamiast pamiętnika zaczął pisać pewną historię.

Dodaj komentarz

ClairDeLune: To intrygujące, jak twój tekst zgłębia temat ewolucji procesu twórczego. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym rozesłać go do kilku moich studentów - a może porozmawiamy o tym tutaj?

4.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 22:40 w piątek, 8 lutego

Status: prywatny

Nastrój: złowróźbny

Słucham: „I Will Kill Again” Jarvisa Cockera

Eleanor Vine wpadła dziś wczesnym wieczorem, a ponieważ mamusia akurat przygotowywała się do wyjścia, wykorzystała tę okazję, żeby znowu wziąć mnie na spytki. Najwyraźniej moja przedłużająca się nieobecność na pisarskich zajęciach terapeutycznych została dostrzeżona i skomentowana. Pani Vine oczywiście sama w nich nie uczestniczy - za dużo ludzi, za dużo brudu - ale pewnie Terri coś jej wspomniała.

Ludzie chętnie rozmawiają z Eleanor. Jakimś cudem zawsze udaje jej się skłonić wszystkich do zwierzeń. Widzę, jak ją to dobija, że zna mnie tyle czasu, a nadal nie wie o mnie więcej niż wtedy, gdy miałem cztery lata.

- Naprawdę powinieneś tam wrócić - mówi teraz. - Musisz częściej wychodzić z domu, zawierać nowe znajomości. Poza tym jesteś to winien swojej mamie...

Jestem to winien mamie? Nie rozśmieszajcie mnie.

Poprawiłem słuchawkę od iPod'a w uchu. Tylko dzięki niej daję radę znośić to gadanie. Jarvis Cocker wyznawał mi właśnie swoim ochrypłym głosem, co zrobiłby komuś takiemu jak Eleanor, gdyby tylko miał okazję.

Pani Vine rzuciła mi pełne wyrzutu spojrzenie swoich rybich oczu.

- Słyszałam, że ktoś tam za tobą tęskni.

- Naprawdę? - Udałem, że o niczym nie mam pojęcia.

- Och, nie bądź taki skromny. Podobasz jej się. - Eleanor dała mi kuksańca w bok. - Mógłbyś trafić znacznie gorzej.

- Aha, dziękuję, pani Vine.

Stara wścibska klabzdra. Jakby pośród tej zbieraniny ćwoków i popaprańców uchował się jeszcze ktoś do rzeczy. Wiem, o kogo jej chodzi, i nie jestem zainteresowany. Głos Cockera w słuchawce zmienił rejestr, wznosząc się z zawozeniem ku oktawie:

*I nie wierz, kiedy mówię, że przyjaciela we mnie masz
Bo jeśli trafi mi się cień szansy, nie zawaham się zabić
jeszcze raz...*

Ale Eleanor Vine równie łatwo się pozbyć co kleszcza.

- Będzie z ciebie całkiem przystojny młody człowiek, kiedy te siniaki już zejda. Na pewno potrafisz się zaprezentować z najlepszej strony. Widziałam, że kręcisz się wokół tamtej dziewczyny, ale przecież wiesz równie dobrze jak ja, że gdyby twoja mama się o tym dowiedziała, miałaby się z pyszna.

Skrzywiłem się.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- O tamtej pannicy z Różowej Zebry. Tej z tatuażami.

- Kto, Bethan? - zdumiałem się. - Ona mnie nie znosi.

Eleanor uniosła brew, wyrysowaną cienką linią na skórze.

- Więc jesteśmy już po imieniu, co? - rzuciła:

- Właściwie w ogóle z nią nie rozmawiam poza zamawianiem earl greya.

- Ja słyszałam co innego - odparła.

To na pewno Terri, pomyślałam. Ona też zagląda czasem do Zebry. Właściwie to odniosłem wrażenie, że mnie śledzi. Coraz trudniej przychodzi mi jej unikanie.

- Bethan nie jest w moim typie - wyjaśniłem.

Eleanor jakby się uspokoiła, a na jej ciekawską twarz o ostrych rysach powróciła figlarna mina.

- Więc pomyślisz o tym, co ci powiedziałam? Dziewczyna taka jak nasza Terri nie będzie czekać w nieskończoność. Musisz się szybko decydować...

Westchnąłem.

- Jasne.

Eleanor popatrzyła na mnie z aprobatą.

- Wiedziałaś, że dasz się przekonać. A teraz muszę już iść, twoja mama wybiera się przecież na lekcję salsy. Ale informuj mnie na bieżąco, dobrze? I pamiętaj, co się mówi...

Byłem ciekawy, jakiego frazesu użyje tym razem. „Do odważnych świat należy”, a może „trzeba kuć żelazo, póki gorące”?

Ostatecznie jednak nie zdążyła już nic dodać, bo właśnie w tym momencie zjawiała się mama, cała w czerni i cekinach. Jej buty do tańca miały piętnastocentymetrowe obcasy. Nie zazdrościłem partnerowi Glorii.

- Eleanor! Co za niespodzianka!

- Pogawędziliśmy sobie chwilkę z B.B. - wyjaśniła pani Vine.

- To miło. - Miałem wrażenie, że oczy matki zwężyły się odrobinę.

- Jestem zdziwiona, że jeszcze nie znalazł sobie dziewczyny - tłumaczyła Eleanor, zerkając na mnie z ukosa. - Gdybym

była ze dwadzieścia lat młodsza - dodała, przenosząc znowu wzrok na Glorię - przysięgam, sama bym się za niego wydała.

Wyobraziłem sobie panią Vine w błękicie. Ten kolor do niej pasował.

- Doprawdy? - mruknęła mama.

Pewnie pani Vine chciała dobrze, ale najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, z czym przyszło jej się zmierzyć. Oczywiście, miała jak najlepsze intencje, podobnie zresztą jak mama. Tyle że „nasza Terri”, jak ją nazywa, nie jest szczytem moich marzeń. Zresztą i tak nie mam czasu na romanse. Muszę się zająć ważniejszymi sprawami.

Pani Vine obdarzyła mnie czymś, co zapewne miało być uśmiechem.

- Możesz mnie podrzucić do domu? Poszłabym pieszo, ale będziesz przecież odwozić mamę, więc...

- Oczywiście - rzuciłem. - Koniecznie musi się pani z nami zabrać.

5.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 23:49 w sobotę, 9 lutego

Status: publiczny

Nastrój: przyzwoity

Słucham: „One For the Vine” Genesis

Nazywają panią Chemiczny Błękit. Higiena i porządek to jej główne troski, które w ciągu tych piętnastu lat dawno wykroczyły już poza granice rozsądku - czy nawet żartu. Ciasteczka zjadane nad zlewem, okna myte codziennie, kurze ścierane po dziesięć - dwadzieścia razy dziennie, ozdoby na gzymsie kominka przestawiane co kwadrans. Pani Chemiczny Błękit zawsze była taka porządnicka - to dopiero dziwne słowo, myśli błękitnookichłopiec, wspominając tamten dom i to, jak pani Chemiczny Błękit obserwowała jego mamusię przy pracy. Chude ręce splotła ruchem pełnym obaw i cierpienia, twarz miała ściągniętą niepokojem, że ściereczka do naczyń zostanie powieszona nierówno albo wycieraczka pod drzwiami będzie leżeć odrobinę krzywo, albo też na dywaniku pozostanie pyłek kurzu, a może jakiś bibelot nie trafi z

powrotem na swoje miejsce.

Pan Chemiczny Błękit odszedł dawno temu, zabierając ze sobą ich nastoletniego syna. Być może jego żona czasem tego żałuje, ale dzieci są takie nieporządne, przekonuje samą siebie, a poza tym nigdy nie umiała wytłumaczyć mężowi, dlaczego zatrudnienie sprzątaczkii tylko skomplikuje sytuację, dokładając, a nie ujmując jej obowiązków, bo przecież będzie musiała dopilnować kolejnej sprawy, w domu pojawi się nowa osoba, nowy zestaw odcisków palców. I chociaż wie, że mąż z synem nie są niczemu winni, ich obecność staje się dla niej nie do zniesienia - tak, nawet tego słodkiego chłopczyka - aż wreszcie obaj muszą odejść.

Od tamtej pory oczywiście jej stan jeszcze się pogorszył. Kiedy nie było już nikogo, kto trzymałby ją w ryzach, obsesja schludności opanowała całe jej życie. Przestał jej wystarczać nieskazitelnie czysty dom, teraz przyszła pora na kompulsywne mycie rąk i niemal toksyczne dawki antyseptycznego płynu do ust. Pani Chemiczny Błękit zawsze miała neurotyczne skłonności, ale piętnaście lat nadużywania alkoholu i zażywania antydepresantów odcisnęło swoje piętno na jej psychice, tak że teraz, w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, składała się właściwie z samych nerwowych tików - system nerwowy poza kontrolą, obleczony cienką warstwą wymizowanego ciała.

Nikom nie będzie jej brakować, myśli sobie błękitnokochłopic. Właściwie to pewnie wszyscy poczują ulgę. To będzie anonimowy dar dla jej rodziny, jej syna, który wpada z wizytą dwa razy do roku i zawsze z trudem znosi widok matki w takim stanie, jej męża, który odszedł, pielęgnując w sobie poczucie winy trawiące go teraz niczym nowotwór, siostrzenicy, która żyje w ciągłym lęku przed jej wścibstwem i życzliwymi, ale katastrofalnymi w skutkach próbami

umówienia jej z jakimś miłym młodym człowiekiem. Poza tym ta kobieta zasługuje na śmierć choćby tylko ze względu na zmarnowane życie, na słoneczne dni spędzone w domu, niewypowiedziane słowa, niezauważone uśmiechy, z powodu wszystkich tych rzeczy, które mogła robić, gdyby tylko zadowolila się czymś perfekcyjnym.

Teraz przy życiu trzymają ją jedynie plotki. Plotki, pogłoski i domysły, rozpuszczane pocztą pantoflową po całej parafii za pośrednictwem linii telefonicznych. Zza swoich firanek pani Chemiczny Błękit widzi wszystko. Nic nie umknie jej uwagi, żaden uporczywy pyłek ludzkiego brudu. Żadna zbrodnia, żadna tajemnica ani odstępstwo od normy nie zostaną przeoczone. Nic nie uniknie roztrząsania. Nikt nie uniknie osądu. Czy nigdy nie marzyła, żeby odsunąć to wszystko od siebie, otworzyć drzwi i po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza? Czy nigdy nie pomyślała, że tak obsesyjne dbanie o czystość stanowi przykrywkę dla innego rodzaju brudu?

Może kiedyś, dawno temu, przyszło jej to do głowy. Ale teraz potrafi już tylko obserwować. Jak wąsionóg albo krab oddzielony pancerzem od całego świata. Co ona robi tam u siebie cały boży dzień? Każdy, kto wchodzi do jej domu, musi najpierw zdjąć przed drzwiami buty. Filiżanki są odkażane przed użyciem i po. Artykuły spożywcze są jej dostarczane na ganek i nawet listonosz wrzuca listy nie do środka, ale do specjalnej metalowej skrzynki przy furtce, skąd pani Chemiczny Błękit zabiera je czym prędzej ukradkiem, wyposażona w gumowe rękawiczki, z jasnymi oczami przepelnionymi tym ciągłym niepokojem z powodu konieczności pokonania dwóch metrów niewydezynfekowanej przestrzeni...

To wyzwanie, któremu błękitnookichłopiec nie potrafi się oprzeć. Usunąć ją niczym trudną plamę, zlikwidować jak pasożyta, wyciągnąć ze skorupy, odsłonić na powrót przed całym światem.

Ostatecznie okazuje się to całkiem proste. Wystarczy drobny podstęp i trochę pieniędzy. Wynajęta biała furgonetka z naklejonym logo nieistniejącej firmy, bejsbolówka i granatowy kombinezon z tym samym logo wyszytym na kieszonce, rozmaite przedmioty zamówione przez Internet, opłacone za pomocą pożyczonej karty kredytowej i dostarczone do skrytki pocztowej w mieście, plus podkładka do pisania i lśniaca ilustrowana broszura (w całości przygotowana na jego domowym komputerze), zachwalająca zalety pewnego przemysłowego środka czyszczącego o takiej skuteczności, że dopiero teraz zezwolono na jego stosowanie (ściśle ograniczone) w prywatnych domach.

Błękitnookichłopic wyjaśnia to wszystko przez szparę w drzwiach, przez którą oko pani Chemiczny Błękit świdruje go spojrzeniem meduzy. Przez moment strach zwycięża pożądanie, ale w końcu kobieta ulega słabości, dokładnie tak jak to przewidział, i zaprasza miłego młodego człowieka do środka.

Tym razem naprawdę chce widzieć. Dlatego w kluczowym momencie zakłada maskę z demobilu. Kupiony na amerykańskiej stronie internetowej gaz, który ma ponoć zwalczać niepożądane robactwo, nie został jeszcze oficjalnie przetestowany na ludziach, chociaż kundel z okolicy wniósł już swój wkład w badania, z bardzo obiecującym rezultatem. Pani Chemiczny Błękit pewnie pożyje dłużej, myśli sobie błękitnookichłopic, ale jeśli wziąć pod uwagę jej słaby system odpornościowy oraz nerwowe unoszenie się i opadanie klatki piersiowej, jest niemal na sto procent pewien efektu końcowego.

Mimo wszystko spodziewał się, że poczuje coś więcej. Może wyrzuty sumienia albo nawet litość. Zamiast tego ogarnia go jedynie ciekawość naukowca zmieszana z dzieciennym zdziwieniem niepozornością tego wszystkiego.

Śmierć to nic wielkiego, myśli sobie. Różnica pomiędzy życiem a jego przeciwieństwem potrafi być tak maleńka jak skrzep, równie nieistotna jak pęcherzyk powietrza. Ciało to ostatecznie tylko maszyna. On zna się trochę na maszynach. Im większa liczba ruchomych części, tym większe prawdopodobieństwo awarii. A ciało ma tyle ruchomych części.

Nie na długo, mówi sobie.

Faza agonalna (to termin używany przez lekarzy na określenie tego widocznego fragmentu walki życia, o oddzielenie się od protoplazmy zbyt uszkodzonej, aby je podtrzymać) trwa niecałe dwie minuty, jeśli wierzyć jego zegarkowi marki Seiko. Błękitnookichłopiec stara się obserwować wszystko bez emocji, uchylając się przed drgającymi rękami i nogami umierającej kobiety, bo chciałby zrozumieć, co tak naprawdę kryje się za tymi wychodzącymi z orbit wylupiastymi oczami, tymi ostatnimi szczekającymi wdechami.

Od słuchania ich na chwilę ogarniają go mdłości, którym przez moment towarzyszy fantomowy posmak zgniłych owoców i zepsutej kapusty, ale błękitnookichłopiec to ignoruje, całą uwagę koncentrując na pani Chemiczny Błękit, jako że jej faza agonalna właśnie dobiega końca, rozbiegane oczy stają się szkliste, a wargi przybierają odcień pomiędzy cyjaniem a bladym fioletem.

Ostatecznie błękitnookichłopiec nie zna się na tyle dobrze na anatomii, by być absolutnie pewnym prawdziwej przyczyny zgonu. Ale, jak to już zauważył Hipokrates, człowiek nie może się obejść bez powietrza. Co zapewne oznacza, że pani Chemiczny Błękit umarła, ponieważ jej potrzebujące tlenu komórki przestały otrzymywać jego ilość wystarczającą, czego rezultatem był śmiertelny wstrząs.

Innymi słowy, powtarza sobie błękitnookichłopiec, to nie moja wina.

Dzięki lateksowym rękawiczkom nie pozostawił żadnych odcisków palców na wypolerowanych powierzchniach. Na nogach ma nowe buty, prosto z pudełka, więc nie zostawi też żadnych zdradzieckich śladów błota, uchylone okno zaś pozwoli usunąć resztki zapachu zabójczej zawartości kanistra, a ten za chwilę trafi do czyichś śmieci, kiedy błękitnookichłopiec będzie przejeżdżał koło miejskiego wysypiska, żeby zwrócić samochód - już bez logo - do firmy, z której go wypożyczył. Śmierć pani Chemiczny Błękit będzie wyglądać na zupełnie naturalną - atak serca, udar, może zawał - a jeśli nawet ktoś zacznie podejrzewać morderstwo, on będzie poza wszelkim podejrzeniem.

Pali kombinezon i czapkę w ognisku przygotowanym z liści na podwórku za domem matki, a zapach dymu - niczym w świąteczny wieczór w Bonfire Night* - przywodzi mu na myśl toffi, watę cukrową i karuzele wesołego miasteczka obracające się w mroku. Wszystkich tych rzeczy matka zawsze mu odmawiała, chociaż jego bracia chodzili na festyny, skąd wracali z lepкими palcami, przesiąknięci dymem i wspomnieniami tych wspaniałych przejażdżek, od których aż ich mdliło. On zawsze zostawał w bezpiecznym schronieniu domu, gdzie nie mogło mu się przytrafić nic złego.

* Szkockie święto nowego ognia, pochodzenia celtyckiego, obchodzone również w Anglii 1 sierpnia.

Dzisiaj jednak jest wolny. Podsyca ogień, czuje żar płomieni na twarzy, a potem falę nagłego spełnienia.

I już wie, że zrobi to znowu. Wie nawet, kto będzie następny. Wdycha zapach dymu, myśli o jej twarzy i uśmiecha się do siebie.

A kolory wokół niego rozbłyskują niczym fajerwerki rozrywające niebo.

Dodaj komentarz

ClairDeLune: Chyba powinniśmy o tym porozmawiać. Myślę, że kierunek, w jakim rozwija się twoje opowiadanie, rzuca interesujące światło na stosunki panujące w twojej rodzinie. Napisz do mnie, może jeszcze dzisiaj? Chciałabym to z tobą przedyskutować.

JennyTricks: (post usunięty).

blekitnookichlopiec: Witam ponownie. Czy my się skądś nie znamy?

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

blekitnookichlopiec: Proszę cię, Jenny, czy my się znamy?

6.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec
Wpis zamieszczony o: 14:38 w niedzielę, 10 lutego
Status: prywatny
Nastrój: bezsenny
Słucham: „Wild Night” Vana Morrisona

Dzisiaj na blogu czeka na mnie mnóstwo wyrazów sympatii. Głównie w odpowiedzi na moje opowiadanie, które zdaniem Clair stanowi przełom w rozwoju mojego stylu, według Toksyicznego „zwyczajnie wymiata”, dla Kapitana stanowi „cholernie mocną rzecz, człowieku”, a zdaniem ciągle niedomagającej Chryssie jest „niesamowite (i naprawdę superr!)”.

No cóż, Chryssie może i choruje, ale przynajmniej czuje się szczęśliwa. W tym tygodniu straciła trzy kilogramy - co oznacza, że jeśli utrzyma dotychczasowe tempo, to według internetowego licznika kalorii, osiągnie swoją wymarzoną wagę nie w lipcu przyszłego, lecz jeszcze w sierpniu tego roku - i przesyła mnóstwo buziaczków i wirtualnych uścisków swojej przyjaciółce lazurowedziecie, która jest zawsze tak pomocna.

Clair natomiast trochę się denerwuje. Otrzymała właśnie e-mail od Anielskiego Błękitu czy też raczej od jego adwokata, który żąda natychmiastowego zaprzestania wszelkiej korespondencji z jego klientem pod groźbą podjęcia stosownych kroków prawnych.

Biedna Clair, czuje się tak zraniona i oburzona. Nigdy nie wysyłała żadnych obraźliwych listów czy podejrzanych paczek ani do Anielskiego Błękitu, ani do jego żony. Dlaczego miałyby to robić? Przecież uwielbia tego człowieka. Szanuje jego prywatność. Na pewno stoi za tym jego żona. Anielski Błękit jest zbyt miły, żeby zrobić coś takiego komuś, kto z biegiem czasu stał się prawdziwym przyjacielem.

Zazdrość małżonki Anielskiego Błękitu to dowód na to, co Clair podejrzewała już od dawna - małżeństwo jej idola przechodzi kryzys, może nawet od samego początku było jednym wielkim oszustwem. Internetowe błagania Clair, kierowane do Anielskiego Błękitu, zaczęły zwracać uwagę innych. Niektórzy piszą, że powinna sobie znaleźć jakieś zajęcie, inni zachęcają, by walczyła o swoje marzenia. Jeszcze inni mają do opowiedzenia własne historie na temat rozczarowań, miłości i zemsty. Jeden z korespondentów, BłękitHawajski, namawia ją, żeby się nie poddawała i spróbowała zwrócić uwagę swojego mężczyzny siłą, dała mu dowód uczucia, który nie pozostawi cienia wątpliwości.

A Albertyna zamieszcza własne teksty. To chyba dobry znak; najwyraźniej zdołała się już trochę otrząsnąć z szoku po śmierci swojego brata, bo loguje się teraz codziennie.

Oczywiście kiedy byli razem, pojawiała się na stronie znacznie mniej regularnie. Czasami nie logowała się nawet kilka tygodni - jako admin mogę śledzić jej poczynania, liczbę odwiedzin na stronie, zamieszczane posty, teksty, które wzbudziły jej zainteresowanie.

Wiem, że czyta wszystko, co napiszę, łącznie z komentarzami innych internautów. Przegląda również wpisy Clair i Chrissy; wiem, że niepokoi się dietą tej ostatniej. Nie rozmawia zbyt często z Kapitanem, który moim zdaniem po prostu budzi w niej niepokój, ale Toksyczny69 stał się już jej regularnym korespondentem, być może za sprawą swojego kalectwa. Dla niektórych z nas te internetowe znajomości nabierają nadmiernego znaczenia, zwłaszcza wtedy, gdy świat na ekranie komputera okazuje się bardziej prawdziwy, bardziej rzeczywisty niż to, co poza nim.

Dzisiaj Albertyna miała ochotę na rozmowę ze mną. Może to w związku z pogrzebem Nigela, może z powodu mojego najnowszego posta. Ten tekst musiał nieźle nią wstrząsnąć. Szczerze mówiąc, liczyłem, że tak właśnie się stanie. W każdym razie Albertyna odezwała się do mnie za pośrednictwem wiadomości prywatnej. Pełna wahania, wstrząśnięta, lekko oburzona, dziecko potrzebujące pociechy.

Skąd bierzesz wszystkie te historie, które opisujesz? Dlaczego musisz je tu opowiadać?

Ach, odwieczne pytanie. Skąd biorą się opowieści? Czy przypominają sny, kształtowane przez naszą podświadomość? Czy przynoszą je w nocy chochliki? A może wszystkie one stanowią jakąś formę prawdy, odbicie tego, co mogło się wydarzyć, niczym gałganki pozszywane razem w szmacianą kukielkę, którą będą się bawić dzieci...

Może nie mam wyboru, wystukuję na klawiaturze. To bliższe prawdy, niż jej się wydaje.

Milczenie. Przywykłem już do tych przerw ze strony Albertyny. Tym razem trwa to trochę za długo, znak, że coś na prawdę wytrąciło ją z równowagi.

Nie podobał ci się mój ostatni tekst.

To nie jest pytanie. A milczenie się przedłuża. Ona jedyna z całego mojego internetowego klanu nie ma swojego

awatara. Podczas gdy pozostali zamieścili jakiś obrazek - Clair zdjęcie Anielskiego Błękitu, Chryssie wizerunek uskrzydłonego dziecka, Kapitan kreskówkowego królika - Albertyna pozostawiła ustawienia domyślne: zarys sylwetki w niebieskim kwadracie.

Rezultat jest dziwnie niepokojący. Ikonki i awatary stanowią element naszego sposobu interakcji. Podobnie jak wzory tarcz w czasach średniowiecza, służą jednocześnie jako narzędzie obrony i wyobrażenie nas samych, obraz, jaki chcemy zaprezentować światu, tandetny herb dla tych z nas, którzy nie mają swojego tytułu, króla, ojczyzny.

Jak więc postrzega siebie Albertyna?

Czas mija powoli, odliczając sekundy niczym niecierpliwa nauczycielka. Przez chwilę jestem pewien, że Albertyna zniknęła.

A potem wreszcie nadchodzi jej odpowiedź.

Twoja opowieść trochę mnie niepokoi, czytam. Ta kobieta przypomina mi pewną znajomą. Szczerze mówiąc, przyjaciółkę twojej matki.

Zabawne, jak prawda i fikcja się przeplatają. Tak właśnie piszę do Albertyny.

Eleanor Vine jest w szpitalu. Rozchorowała się wczoraj w nocy. Jakieś problemy z płucami, z tego, co słyszałam.

Doprawdy? Cóż za zbieg okoliczności.

Gdybym była bardziej podejrzliwa, dodaje, pewnie pomyślałabym, że masz z tym coś wspólnego.

Naprawdę? Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Jak dla mnie zabrzmiało to odrobinę sarkastycznie. Ale tam, gdzie brak wyrazu twarzy, trudno być pewnym. Gdyby chodziło o Chryssie czy Clair, mógłbym liczyć na dołączony do komentarza symbol - uśmieszek, mrugnięcie, płaczącą buźkę - żeby wyeliminować wątpliwości. Albertyna nie używa emotikonów. Ich brak czyni rozmowę z nią interesująco

beznamiętną, a ja nigdy nie mam całkowitej pewności, czy wszystko właściwie zrozumiałem.

Czujesz się winny, błękitnookichłopcze?

Długa pauza.

Prawda czy wyzwanie?

Błękitnookichłopiec waha się, ważąc radość ze zwierzenia się Albertynie i niebezpieczeństwo powiedzenia zbyt wiele. Fikcja to zdradliwy przyjaciel, zasłona dymna, która w każdej chwili może się rozproszyć, zniknąć bez ostrzeżenia, pozostawiając go zupełnie nagim.

W końcu wystukuje na klawiaturze: *Tak.*

Może właśnie dlatego piszesz te rzeczy. Może przyjmujesz na siebie winę za coś, za co tak naprawdę nie ponosisz odpowiedzialności.

Hm. Cóż za interesujący pomysł. *Nie sądzisz, żebym był czegokolwiek winny?*

Każdy ma jakieś grzechy na sumieniu, odpisuje. Ale czasami łatwiej przyznać się do czegoś, czego nie zrobiliśmy, niż spojrzeć prawdzie w oczy.

Teraz próbuje mnie przeanalizować. Mówiłem wam, jest bystra.

A więc - dlaczego tu zaglądasz, Albertyno? Jaka wina obciąża twoje sumienie?

Milczenie, wystarczająco długie, żeby zdążył nabrać przekonania że tym razem naprawdę zerwała kontakt. Kursor miga bezlitośnie. Odzywa się sygnał mojej skrzynki e-mailowej. Raz, drugi.

Zastanawiam się, jak bym zareagował, gdyby Albertyna po prostu wyznała mi prawdę. Ale nic nie jest równie proste. Czy ona w ogóle wie, co zrobiła? Czy zdaje sobie sprawę, że wszystko zaczęło się właśnie wtedy, na koncercie u świętego Oswalda, w szkolnej kaplicy, które to słowo zawsze przywodzi mi na myśl bożonarodzeniową feerię barw witrażowych szybek, przywołuje zapach sosny i kadzidła?

Kim tak naprawdę jesteś, Albertyno? Kompletnym przeciwnikiem czy może raczej niegrzeczną dziewczynką? Morderczynią, tchórzem, oszustką, złodziejką? A kiedy dotrę już do twojego wnętrza, jak się zorientuję, kto tam jest?

A potem nadchodzi odpowiedź od Albertyny, która zaraz potem się wylogowuje, żebym nie zdążył skomentować jej słów albo poprosić o coś więcej. Z braku ikonki czy awatarów nie jestem pewien jej motywów, ale wyczuwam, że ucieka, bo w końcu trafiłem w czuły punkt.

Prawda czy wyzwanie, Albertyno? Do czego chciałabyś się tu przyznać?

Jej wiadomość składa się z jednego słowa. Brzmi po prostu:

Skłamałam.

7.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 04:38 w poniedziałek, 11 lutego

Status: publiczny

Nastrój: skłonny do zwierzeń

Słucham: „Big Brother” Hazel O'Connor

Każdy to robi. Każdy kłamie. Każdy ubarwia prawdę stosownie do swoich potrzeb, od wędkarza nieco zbyt entuzjastycznie opisującego wielkość karpia, który zerwał mu się z haczyka, po polityka przemieniającego w swoich pamiętnikach metal codziennych doświadczeń w złoto historii. Nawet dziennik błękitnookiegochłopca (ukryty pod materacem łóżka) był bardziej listą pobożnych życzeń niż zapisem faktów i przedstawiał z żalosną nadzieją życie chłopca, którym nasz bohater nigdy nie miał się stać - chłopca z obojgiem rodziców i mnóstwem przyjaciół, chłopca, który robił zwyczajne rzeczy, jeździł nad morze w swoje urodziny i kochał mamusię - ze świadomością, że tuż pod powierzchnią kryje się ponura prawda, cierpliwie czekając na odsłonięcie przez jakąś przypadkową cofającą się falę.

Ben oblał egzamin wstępny do szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda. Oczywiście nie powinno go to dziwić, ale tyle razy słyszał, że zda bez problemu, że wszyscy uważają to za zwykłą formalność, przypominającą przekroczenie granicy przyjaznego państwa, że potrzeba jedynie symbolicznego gestu, by zapewnić mu wstęp do tej szkoły, a w rezultacie również sukces.

Rzecz nie w tym, że test był trudny. Tak naprawdę okazał się banalnie prosty - czy może raczej byłby taki, gdyby Ben go dokończył. Ale to miejsce, ze wszystkimi jego zapachami, odebrało mu odwagę, ta ogromna sala pełna jednakowych mundurków, listy nazwisk wywieszona na ścianie i nieszczerze, wrogie twarze pozostałych ubiegających się o stypendium chłopców.

Atak paniki, tak określił to doktor. Fizyczna reakcja na stres. Wszystko zaczęło się od nerwowego bólu głowy, który w połowie pierwszego arkusza błyskawicznie rozrósł się w coś znacznie poważniejszego, w niespokojny deszcz kolorów i zapachów, który przemoczył go niczym tropikalna burza i pozbawił świadomości, dokładnie tam, pośrodku sali w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda.

Zabrali go do szpitala w Malbry i błagał, by mógł tam pozostać. Wiedział, że stypendium przepadło i matka będzie wściekła, więc jedynym sposobem na uniknięcie poważnych konsekwencji byłoby przeciągnięcie lekarzy na swoją stronę.

Ale znowu nie miał szczęścia. Pielęgniarka od razu zadzwoniła do mamy, a nauczyciel, towarzyszący mu w drodze do szpitala - niejaki doktor Devine, szczupły mężczyzna, którego nazwisko miało mroczny, ciemnozielony odcień - opowiedział dokładnie, co przydarzyło się jej synowi.

- Ale pozwolicie mu zdawać jeszcze raz? - Pierwsza pełna niepokoju myśl Glorii dotyczyła upragnionego stypendium.

A jakby tego było mało, Ben czuł się już całkiem dobrze, po bólu głowy pozostało ledwie wspomnienie. Spojrzenie jej czarnych jak jagody oczu zatrzymało się na chwilę na jego twarzy, na tyle długo jednak, aby zdążył się zorientować, że musi się przygotować na morze cierpienia.

- Obawiam się, że nie - odparł doktor Devine. - To sprzeczne z regulaminem naszej szkoły. Gdyby jednak Benjamin miał przystąpić do powszechnego egzaminu...

- To znaczy, że nie dostanie stypendium? - Oczy Glorii zamieniły się w wąskie szparki.

Doktor Devine wzruszył lekko ramionami.

- Obawiam się, że decyzja nie należy do mnie. Może powinien spróbować ponownie za rok.

Aż poderwała się do przodu.

- Pan nie rozumie...

Ale doktor Devine miał już dosyć.

- Przykro mi, pani Winter - powiedział, kierując się w stronę drzwi. - Nie możemy robić wyjątków dla jednego chłopca.

Matka zachowała spokój aż do chwili powrotu do domu. Dopiero wtedy dała upust swojej wściekłości. Najpierw za pomocą kabla, potem użyła pięści i nóg, podczas gdy Nigel i Brendan obserwowali całą scenę z podestu na piętrze, w milczeniu przyciskając twarze do tralek balustrady niczym zamknięte w klatce małpki.

To nie był pierwszy raz, kiedy mamusia sprawiła mu lanie. Zresztą zdarzało się to w tym czy innym momencie całej trójce - najczęściej Nigelowi, ale Benjaminowi również, nawet niemądremu Brendanowi, który za bardzo bał się własnego cienia, żeby postąpić niewłaściwie. To była metoda matki na utrzymanie ich wszystkich w ryzach.

Ale tym razem chodziło o coś innego. Matka zawsze uważała Bena za wyjątkowego. A teraz wyglądało na to, że jest

dokładnie taki sam jak wszyscy. Świadomość tego musiała być dla niej prawdziwym szokiem, straszliwym rozczarowaniem. Cóż, tak przynajmniej sądzi teraz błękitnookichłopic. Właściwie już wtedy musiał wiedzieć, że matka powoli zaczyna popadać w szaleństwo.

- Ty kłamliwy, symulujący gówniarzu!

- Nie, mamusiu, proszę - jęczał Ben, próbując osłaniać twarz ramionami.

- Specjalnie zawałiłeś ten egzamin. Specjalnie mnie zawiodłeś! - Chwyliła go za włosy i siłą odsunęła jego ręce od twarzy, szykując się do kolejnego ciosu.

Ben zacisnął powieki, próbując znaleźć właściwe słowa, magiczne słowa mogące poskromić bestię. I właśnie w tym momencie spłynęło na niego natchnienie.

- Proszę, mamusiu. To nie moja wina. Proszę, mamusiu. Kocham cię...

Ciosy ustały. Pięść uniesiona w górę zastygła niczym upierścieniona rękawica, złośliwie przymrużone oko spozrzało z uwagą.

- Co powiedziałaś?

- Kocham cię, mamusiu...

Teraz, kiedy poczynił postępy, musiał umocnić swoją pozycję. Roztrzęsiony, cały we łzach, nie potrzebował wiele, żeby wykrzesać z siebie pozostałe elementy repertuaru. I kiedy tak kurczowo trzymał się matki, pochlipując pod nosem, a starsi bracia nadal obserwowali wszystko z górnego podestu schodów, nagle sobie uświadomił, że jeśli będzie w tym dobry, jeśli właściwie rozegra swoje karty, może naprawdę zdoła przetrwać. Każdy ma jakąś piętę achillesową. A on właśnie odkrył czuły punkt swojej matki.

W tym momencie zobaczył, jak oczy Brendana przyciskającego twarz do balustrady nagle otwierają się szeroko. Przez ułamek sekundy brat wpatrywał się w niego uważnie, a jemu

nieoczekiwanie przemknęło przez głowę, że Bren, który nigdy nie przepadał za lekturą, czyta w jego umyśle jak w otwartej księdze.

Potem Brendan szybko odwrócił wzrok. Ale zanim to zrobił, Benjamin dostrzegł w jego wzroku błysk zrozumienia. Czy to naprawdę było aż tak oczywiste? A może jednak mylił się co do Brena? Przez całe lata uważał go po prostu za bezużytecznego grubasa, zwykłą zawalidrogę. Ale co tak naprawdę wiedział na temat swojego głupkowatego brata? Jak wiele spraw brał za pewnik? Teraz zaczął się zastanawiać, czy się nie mylił, czy Bren nie był bystrzejszy, niż dotąd się wydawało? Na tyle bystry, żeby przejrzeć jego grę. Na tyle bystry, by stanowić zagrożenie...

Benjamin uwolnił się z objęć mamy. Bren nadal siedział na schodach i znowu miał tę swoją przestraszoną, bezmyślną minę. Ale teraz już Benjamin wiedział, że tamten udaje. Że jego brat, pod tym monotonnym brązowym strojem, rozgrywa jakąś własną grę. Benjamin nie miał pojęcia, o co chodzi - jeszcze nie. Jednak od tamtej pory nie opuszczała go już świadomość, że pewnego dnia będzie musiał się rozprawić z Brenem.

Dodaj komentarz

Albertyna: Jesteś pewien, że wiesz, dokąd to wszystko zmierza?

blekitnookichlopiec: Całkiem pewien. A ty?

Albertyna: Podążam twoim śladem. Jak zawsze,

blekitnookichlopiec: „Ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi”*...

* François Villon, „Wielki testament”, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Beskidzka Oficyna Wydawnicza, Bielsko-Biała, 2010.

8.

Autorem tego bloga jest Albertyna, pisząca na:

Niegrzecznychlopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 20:14 w poniedziałek, 11 lutego

Status: publiczny

Nastrój: zakłamanym

Tak, właśnie w ten sposób się to wszystko zaczęło. Od małego niewinnego kłamstewka. Bielutkiego niczym świeżo spadły śnieg. Niczym Śnieżka z bajki. I kto by pomyślał, że śnieg potrafi być niebezpieczny, że te małeńkie wilgotne pocałunki prosto z nieba mogą stać się zabójcze?

Widzicie, wszystko to kwestia rozmachu, lak jak rozmachu nabrało to małe, niewinne kłamstwo. Jeden kamień potrafi zapoczątkować lawinę. Słowo może czasem dokonać tego samego. Kłamstwo też potrafi zamienić się w lawinę i z rykiem zmiecie to, co stanie na jego drodze, niszcząc i rujnując wszystko. Kłamstwo pozostawiające za sobą zupełnie odmieńiony świat, wyznaczające na nowo bieg naszego życia.

Emily miała pięć i pół roku, kiedy ojciec zabrał ją ze sobą do szkoły, w której uczył. Do tego czasu było to dla niej

tajemnicze miejsce (dalekie i czarowne jak wszystkie mityczne krainy), o którym rodzice rozmawiali czasem przy kolacji. Chociaż niezbyt często: Catherine nie znosiła tego, jak określała, „ględzenia Patricka o pracy” i często kierowała rozmowę na inne tory dokładnie w chwili, kiedy robiło się ciekawie. Emily domyślała się, że „szkoła” to miejsce, dokąd przychodzą dzieci - żeby się uczyć, jak twierdził ojciec, chociaż mama wydawała się odmiennego zdania.

- A ile dzieci?

Guziki w pudełku, fasolki w słoiku.

- Setki.

- Takich jak ja?

- Nie, Emily. Nie takich jak ty. Szkoła świętego Oswalda jest przeznaczona wyłącznie dla chłopców.

Do tego czasu Emily zdążyła już stać się zapaloną czytelniczką. Co prawda trudno było znaleźć książeczki dla dzieci pisane brajlem, ale matka stworzyła dla niej wiele książek dotykowych z filcu i haftowanych wstawek, a tata poświęcał codziennie wiele godzin na staranne przepisywanie bajek - wszystkie pracowicie wystukane na starej brajlowskiej maszynie. Emily umiała już dodawać i odejmować oraz dzielić i mnożyć. Znała życiorysy wielkich artystów, studiowała wypukłe mapy świata i systemu słonecznego. Wiedziała wszystko o rozkładzie ich domu, a podczas częstych wizyt na farmie agroturystycznej zdobyła też całkiem spory zasób wiadomości na temat roślin i zwierząt. Umiała grać w szachy i na pianinie - tę przyjemność dzieliła z ojcem - a najcudowniejsze chwile spędzała razem z nim w jego gabinecie, gdzie poznawała rozmaite gamy i akordy czy rozciągała swoje maleńkie paluszki w daremnej próbie objęcia oktawy.

Na temat innych dzieci wiedziała jednak niewiele. Słyszała ich głosy, kiedy bawiła się w parku, a raz nawet przytuliła niemowlę, które pachniało z lekka kwaśno i przypominało

w dotyku śpiącego kociaka. Ich sąsiadka nazywała się Brannigan i z jakiegoś powodu stała niżej od nich na drabinie społecznej - może dlatego że była katoliczką, a może przez to, że mieszkała w wynajmowanym domu, podczas gdy ich był splotony co do grosza. Pani Brannigan miała córeczkę odrobinę starszą od Emily, ale ten jeden jedyny raz, kiedy dziewczynki miały okazję ze sobą porozmawiać, Emily, która chętnie by się z tamtą pobawiła, nie zrozumiała nawet słowa z powodu silnego akcentu swojej małej sąsiadki.

Jednak tata Emily pracował przecież w miejscu, gdzie setki dzieci uczyły się matematyki, geografii, francuskiego i łaciny, plastyki, historii, muzyki i przyrody, a do tego były się na boisku, krzyczały, paplały, zawierały przyjaźnie, bawiły się w berka, pałaszowały obiad w długiej sali albo grały w krykieta czy tenisa na trawie.

- Chciałabym chodzić do szkoły - rzuciła kiedyś Emily.

- Nie ma mowy. - W głosie Catherine rozległ się ostrzegawczy ton. - Patrick, przestań opowiadać o pracy. Przecież wiesz, jak ją to denerwuje.

- Wcale mnie to nie denerwuje. Chciałabym tam pójść.

- Może zabiorę ze sobą małą któregoś dnia. Tylko żeby się przekonać...

- Patrick!

- Przepraszam. Po prostu... no wiesz. W przyszłym tygodniu jest bożonarodzeniowy koncert, kochanie. W szkolnej kaplicy. Ja mam dyrygować. Emily lubi...

- Patrick, nie zamierzam tego słuchać!

- Emily tak lubi muzykę, Catherine. Pozwól mi ją zabrać. Ten jeden raz.

I tak, ten jeden jedyny raz, Emily poszła do szkoły. Być może po części dzięki wstawiennictwu taty, chociaż głównie chyba jednak dlatego, że Feather poparła tę propozycję. Feather święcie wierzyła w uzdrawiającą potęgę muzyki, a poza

tym po niedawnej lekturze „Symfonii pastoralnej” Gide'a była zdania, że koncert może ożywić kulejącą terapię Emily kolorami.

Natomiast Catherine pomysł ten w ogóle nie przypadł do gustu. Teraz myślę, że po prostu mogło chodzić o trapiące ją wyrzuty sumienia, te same, które sprawiły, że usunęła z domu wszelkie ślady namiętności męża do muzyki. Fortepian był tu jedynym wyjątkiem, ale i on został wyrugowany do gościnnej sypialni, między pudła zapomnianych dokumentów i starych ubrań, gdzie Emily nie wolno się było zapuszczać. Jednak entuzjazm Feather przechylił szalę i w wieczór koncertu wszyscy powędrowali do szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda: Catherine pachnąca terpentyną i różami („różowy zapach - tłumaczyła córce - śliczne różowe różyczki”), Feather, której usta właściwie się nie zamykały, i ojciec, ostrożnie prowadzący Emily za ramię, żeby dziewczynka nie pośliznęła się na wilgotnym grudniowym śniegu.

- W porządku? - szepnął, kiedy zbliżali się już do celu.

- Aha.

Wcześniej Emily z rozczarowaniem przyjęła wiadomość, że koncert nie odbędzie się w samej szkole. Chciałaby odwiedzić miejsce, gdzie pracował tata, wejść do klas pełnych drewnianych ławek, poczuć zapach kredy i pasty do podłóg, usłyszeć echo swoich kroków na wyfroterowanych parkietach. Później mogła już zrobić to wszystko. Ale tym razem zmierzali do pobliskiej kaplicy, gdzie miał wystąpić szkolny chór pod kierunkiem jej ojca, co, jak przypuszczała, musiało oznaczać prowadzenie młodych śpiewaków, wskazywanie im drogi.

Wieczór był zimny, wilgotny i przesiąknięty zapachem dymu. Od strony ulicy dobiegał warkot samochodów, dźwięk rowerowych dzwonek i gwar rozmów, tłumiony niemal całkowicie przez mgliste powietrze. Mimo zimowego okrycia

Emily zmarzła, kiedy tak wędrowała błotnistą alejką w swoich bucikach o cienkich podszewkach, a wilgoć osiadała kroplami na jej włosach. Mgła jakimś cudem sprawia, że świat zewnętrzny wydaje się ciaśniejszy, podczas gdy wiatr szumiący w koronach wysokich drzew zawsze poszerza jego granice. Tamtego wieczoru Emily czuła się taka małeńka, zgniatana w drobinę pyłu przez nieruchome powietrze. Od czasu do czasu mijali ich jacyś ludzie - Emily wyczuwała szelest damskiej sukni, a może togi nauczyciela, słyszała urywki rozmowy, dopóki wszystko nie rozplynęło się z powrotem we mgle.

- Patricku, nie będzie tam zbyt tłoczno? Emily nie znosi tłumów - znowu odezwała się Catherine głosem tak ściśniętym, jak Emily w swojej najlepszej odświętnej sukience w ładnym odcieniu różu, która została wyciągnięta z szafy specjalnie na to ostatnie wyjście, zanim dziewczynka całkiem z niej wyrośnie.

- Wszystko w porządku. Macie miejsca w pierwszym rzędzie.

Tak się złożyło, że tłum wcale jej nie przeszkadzał. To hałasu nie znosiła, tych bezbarwnych, rozmytych głosów, które wszystko gmatwały i wywracały świat do góry nogami. Chwyła ojca za rękę i mocno ścisnęła. Jedno uściśnięcie oznaczało: „kocham cię”. Dwa - „ja ciebie też”. Był to kolejny z ich małych sekretów, tak jak ten, że Emily potrafiła już niemal objąć oktawę, jeśli tylko uderzała dłonią w klawisze odpowiednio energicznie, a nawet zagrać motyw melodyczny z „Dla Elizy”, podczas gdy ojciec wygrywał akordy.

We wnętrzu kaplicy panował chłód. Rodzice Emily nie chodzili do kościoła - w przeciwieństwie do ich sąsiadki, pani Brannigan, a sama Emily weszła do katedry pod wezwaniem świętej Marii tylko raz, żeby posłuchać echa. Tutaj panowała podobna atmosfera; ich kroki rozlegały się głośno na twardej, gładkiej posadzce, a wszystkie dźwięki zdawały się biec

do góry - niczym ludzie nieprzerywający rozmowy podczas wchodzenia po schodach - ku sklepieniu, gdzie każdy głos miał zostać odbity po wielokroć.

Tata wytłumaczył jej później, iż to dlatego, że sklepienie jest tak wysoko, ale w tamtym momencie Emily wyobrażała sobie, że chór będzie siedział gdzieś ponad nią, niczym zastępy aniołów. Wyczuwała też zapach, coś jak paczula Feather, tyle że tym razem silniejszy, bardziej dymny.

- To kadzidło - wyjaśnił ojciec. - Pali się je w sanktuarium.

Sanktuarium. Już wcześniej objaśnił jej to słowo. Miejsce, w którym można poczuć się bezpiecznie. Kadzidło, tytoń Clan i anielskie głosy. Sanktuarium.

Potem zapanowało wokół nich spore poruszenie. Słysząc było rozmowy, toczone jednak przyciszonymi głosami, zupełnie jakby ludzie bali się zbudzić echo. Kiedy tata zostawił je w końcu same i podszedł do chórzystów, Catherine opisała córce organy, kościelne ławy i witraże, a potem wszędzie wokół rozległy się głośnie szelesty, następnie odgłos zajmowania miejsc i wreszcie ostatnie psyknięcia uciszające maruderów, bo chór właśnie zaczął śpiewać.

Emily poczuła się tak, jakby coś nagle w niej pękło. I właśnie to, a nie bryłka gliny, stanowi jej pierwsze wspomnienie: miejsce w pierwszym rzędzie w szkolnej kaplicy u świętego Oswalda, gdzie siedziała ze łzami spływającymi po policzkach prosto do uśmiechniętych ust, otoczona ze wszystkich stron muzyką, tą cudowną muzyką.

Och, nie pierwszy raz słyszała muzykę, ale tandetne brzdąkanie na ich domowym fortepianie czy metaliczne brzmienie tranzystorów kuchennego radia nie było w stanie oddać więcej niż ledwie cząstkę tego wszystkiego. Emily nie potrafiła nazwać tego, co słyszy, nie umiała znaleźć słów na opisanie tego nowego doświadczenia. To było, tak po prostu, przebudzenie.

Później matka próbowała ubarwić tę historię, jakby coś takiego w ogóle potrzebowało podkolorowywania. Ona sama nigdy tak naprawdę nie przepadała za muzyką kościelną - a już zwłaszcza za kolędami, z ich prostymi melodiami i sentymentalnymi tekstami. Coś z Mozarta byłoby o wiele odpowiedniejsze, z jego teorią o przyciąganiu się podobieństw, chociaż historia o narodzeniu Pańskim ma dziesiątki rozmaitych wariantów, od Mozarta po Mahlera, a nawet nieuniknionego Berliozą, jakby skomplikowanie melodii przekładało się jakoś na same dźwięki albo wywoływane w słuchaczach uczucia.

Tak naprawdę utwór nie był niczym więcej niż tylko kolejną wersją a capella starej czterozwrotkowej kolędy.

*Pośród mroźnej zimy
Wichry zawodziły,
Ziemię lodem skuły,
Wodę w gład zmieniły.*

Ale chłopięce głosy mają w sobie coś wyjątkowego, jakieś drżenie, budzące lekki niepokój, wiecznie na skraju utraty właściwego tonu. To dźwięk, który łączy w sobie niemal ludzką słodycz z surową nutą, która wręcz sprawia ból.

Emily wysłuchiwała w milczeniu kilku pierwszych taktów, niepewna, cóż to takiego. A potem głosy znowu wzniosły się wysoko:

*Śnieg wciąż prószy, śnieg i śnieg,
Śnieg i śnieg...*

Przy drugim „śniegu” głosy dotknęły tej nuty, tego wysokiego fis, które zawsze wywierało na Emily tajemniczy wpływ, tak że teraz łyzy po prostu popłynęły same. Nie ze

smutku czy nawet nadmiaru emocji, zwykły odruch, jak skurcz kubków smakowych po zjedzeniu czegoś bardzo kwaśnego albo gwałtowne zaczerpnięcie oddechu po zetknięciu świeżej papryczki chili z tylną ścianą gardła.

„Śnieg i śnieg, i śnieg”... śpiewali chłopcy, a całe ciało Emily odpowiadało na tę muzykę. Dziewczynka drżała, kiedy zwracała rozpromienioną twarz ku niewidzialnemu sklepieniu i otwierała usta niczym pisklę, niemal oczekując, że zdoła poczuć dźwięki spadające jej na język niczym płatki śniegu. Przez dobrą minutę cała rozedrgana słuchała z zapartym tchem chłopięcych głosów, które wznosiły się raz za razem ku temu niesamowitemu fis, owej magicznej nucie przyprawiającej niczym lody o przyjemny ból głowy, a łzy znowu zaczynały spływać po jej policzkach. Dolna warga ją mrowiła, palce zupełnie jej zdrętwiały. Czuła się tak, jakby dotykała Boga.

- Emily, o co chodzi?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Liczyły się tylko te dźwięki.

- Emily!

Każda nuta zdawała się wdzierać w jej ciało w taki rozkoszny sposób, każdy akord stanowił istny cud faktury i kształtu. I znowu te łzy.

- Coś się stało! - Głos Catherine dobiegał z bardzo daleka.

- Feather, proszę. Zabieram ją do domu.

Emily poczuła, jak mama wstaje i podnosi płaszczyk, słuchający jej za poduszkę.

- Wstań, kochanie, w ogóle nie powinnyśmy były tu przychodzić.

Czyżby w głosie matki słyhać było satysfakcję? Jej dłoń, która dotknęła czoła Emily, była gorąca i wilgotna.

- Mała jest taka rozgorączkowana. Feather, pomóż mi...

- Nie! - szepnęła Emily.
- Emily, skarbie, jesteś zdenerwowana.
- Proszę...

Ale matka już podnosiła ją do góry i obejmowała. Spod kosztownych perfum przebijał zapach terpentyny. Emily rozpaczliwie szukała w myślach jakiegoś magicznego zaklęcia, które powstrzymałoby Catherine: czegoś, co oddawałoby to palące pragnienie, konieczność pozostania tutaj, by dalej słuchać.

- Proszę, ta muzyka...

„Twojej mamy nie interesuje muzyka”. Głos taty był daleki, ale brzmiał tak wyraźnie.

Tylko co interesowało Catherine? Co stanowiło dla niej język rozkazów?

Podniosły się już niemal ze swoich miejsc, chociaż Emily próbowała jeszcze walczyć. Pod pachą jej zbyt ciasnej sukienki puścił szew, płaszczyk dusił ją swoim futrzanym kołnierzem. I znowu ten zapach terpentyny, woń gorączki Catherine, zapach jej szaleństwa.

I nagle Emily zrozumiała, z dojrzałością wybiegającą daleko poza jej wiek, że nigdy nie odwiedzi szkoły swojego ojca i nie pójdzie na żaden koncert, tak jak nigdy już nie będzie się bawić z innymi dziećmi, które mogłyby ją skaleczyć czy popchnąć, nigdy nie pobiega w parku, gdzie mogłaby się przewrócić.

Jeżeli teraz wyjdą, myślała rozpaczliwie Emily, matka już zawsze będzie stawiać na swoim, a ślepotą, który nigdy dotąd tak naprawdę Emily nie przeszkadzała, w końcu pociągnie ją w dół niczym kamień uwiązany do psiego ogona.

Muszą istnieć jakieś sposoby, powtarzała sobie, magiczne słowa, które zmusiłyby matkę do pozostania. Ale Emily miała dopiero pięć lat, nie znała żadnych zaklęć, więc teraz szła już nawą z matką po jednej stronie i Feather po drugiej, podczas

gdy te cudowne głosy przetaczały się ponad nimi jak rzeka.

Pośród mroźnej zimy

Da-aaawno temu...

I wtedy to do niej dotarło. Rozwiązanie tak proste, że aż westchnęła, przestraszona własną zuchwałością. Uświadomiła sobie, że jednak zna magiczne słowa. Dziesiątki magicznych słów, które poznawała praktycznie od kołyski, ale dla których aż do tej pory tak naprawdę nie potrafiła znaleźć zastosowania. Znała ich przerażającą moc. Otworzyła usta, nieoczekiwanie ogarnięta jakąś demoniczną inspiracją.

- Kolory - wyszeptwała.

Catherine White zamarła w pół kroku.

- Co powiedziałaś?

- Kolory. Proszę, chcę tu zostać. - Emily odetchnęła głęboko. - Chcę posłuchać kolorów.

Dodaj komentarz

blekitnookichlopiec: Cóż za odwaga z twojej strony, Albertyno, żeby to tutaj zamieścić. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że będę się musiał zrewanżować tym samym...

9.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 23:03 w poniedziałek, 11 lutego

Status: publiczny

Nastrój: pogardliwy

Słucham: „Any Colour You Like” Pink Floyd

„Posłuchać kolorów”. No, proszę was, nie mówcie mi, że była niewinna, nie mówcie, że nie miała wtedy pojęcia, co robi. Pani White wiedziała wszystko o Chłopcu X i jego syntezy. Wiedziała, że doktor Peacock musi być gdzieś w pobliżu. To wystarczyło jako wymówka, w którą tym łatwiej przyszło jej uwierzyć, kiedy Emily zareagowała na terapię i zaczęła słyszeć kolory.

Benjamin był wtedy w pierwszej klasie. Wyobraźcie go sobie, wyszorowanego do czysta chórzystę, gotowego zaprezentować się w swoim błękitnym mundurku szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, z białą ozdobioną falbanami komżą na wierzchu.

Wiem, co sobie myślicie. Przecież oblał tamten egzamin. Ale wtedy chodziło wyłącznie o stypendium. Dzięki odłożonym

przez Glorię pieniądzom i pomocy doktora Peacocka ostatecznie udało się go umieścić u świętego Oswalda, już nie jako stypendystę, tylko jako ucznia płacącego normalne czesne. Tak więc teraz stał w pierwszym rzędzie szkolnego chóru, nienawidząc każdej sekundy występu. Wiedział, że po czymś takim chłopcy z klasy nigdy nie zostawią go w spokoju, jakby już nie mieli dosyć powodów, żeby go prześladować. No i był jeszcze Nigel, zaciągnięty tu siłą, za co odpłaci się potem swojemu najmłodszemu bratu drwinami, kopniakami i kuksańcami.

*Pośród mroźnej zimy
Wichry zawodziły.*

Na próżno modlił się, żeby mutacja odebrała mu głos i wreszcie go wyzwoliła. Ale podczas gdy koledzy mężnieli niczym pnie palm i zaczęli cuchnąć piżmem nastoletniego ciała, Ben pozostał smukły, dziewczęcy i blady, z tym swoim niesamowitym, łamliwym sopranem.

*Ziemię lodem skuty,
Wodę w głąz zmieniły...*

Widział swoją matkę w trzecim rzędzie, jak wsłuchiwała się w jego śpiew. Za nią siedział doktor Peacock, a dalej Nigel, już niemal siedemnastoletni, rozwalony z niezadowoloną miną na ławce, i spocony, cuchnący Bren, wyglądający na wyjątkowo skrepowanego ze swoimi włosami w strąkach i wykrzywioną twarzą, niczym największe niemowlę świata.

Błękitnookichłopiec próbował nie patrzeć w tamtą stronę, tylko skoncentrować się na kolędzie, ale właśnie w tym momencie dostrzegł zaledwie kilka miejsc dalej panią White, z małą Emilią u boku - Emilią w jej czerwonym płaszczyku

i różowej sukience, z włosami związanymi w kucyki i twarzą rozświetloną czymś na kształt ni to udręki, ni to ekstazy.

Przez chwilę błękitnookichłopiec miał wrażenie, że popatrzyła mu prosto w oczy, ale z niewidomymi tak to jest, prawda? Emily go nie widziała, cokolwiek by zrobił, niezależnie od tego, jak bardzo by się starał - dziewczynka nigdy nie zobaczy. Jednak to właśnie jej oczy tak go przyciągały - biegające na boki niczym szklane kulki u lalki, jak para błękitnych koralików, odbijających spojrzenie patrzącego.

Błękitnookiemuchłopcemu zaczynało się już kręcić w głowie, pulsowało mu w niej w rytm melodii. Nadciągał kolejny atak bólu, i to naprawdę paskudny. Błękitnookichłopiec rozpaczliwie szukał więc jakiegoś sposobu, żeby się przed nim uchronić - wyobraził sobie błękitną kapsułę, twardą jak stal, chłodną jak kamień, niebieską jak bryła arktycznego lodu. Ale atak był nieunikniony. Ból głowy, który będzie narastał, aż wyciśnie go niczym ścierkę.

W stallach było gorąco. Zaczerwieniem chórzyci śpiewali w swoich białych komżach jak anioły. W szkole pod wezwaniem świętego Oswalda chór traktowano bardzo poważnie, chłopcy byli ćwiczeni w posłuszeństwie. Uczono ich trwania w jednej pozycji całymi godzinami niczym żołnierzy. Nikt nie narzekał. Nikt nie miałby dosyć odwagi. „Śpiewajcie z całego serca i uśmiechajcie się!”, musztrował ich kapelmistrz podczas prób. „Śpiewacie dla Boga i świętego Oswalda. Nie chce widzieć, żeby któryś z was zawiódł resztę zespołu”.

Ale Ben Winter wyglądał teraz naprawdę blado. Może to wina upału albo kadzidła, albo też wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie na twarzy uśmiechu. Pamiętacie, błękitnookichłopiec zawsze był taki delikatny, mamusia ciągle to powtarzała. Wrażliwszy niż dwaj starsi bracia, bardziej podatny na rozmaite infekcje i nieszczęśliwe wypadki. Anielskie głosy znowu wzniosły się do góry, szybując ku crescendo.

Śnieg wciąż prószy, śnieg i śnieg...

I właśnie wtedy to się stało. Wszystko rozegrało się jak w zwolnionym tempie. Głuchy łoskot, zamieszanie w pierwszym rzędzie, błąd chłopiec osuwał się niepostrzeżenie na posadzkę kaplicy, a w końcu uderzył głową o kant ławki - potrzeba będzie czterech szwów, żeby opatrzyć rozcięcie, po którym pozostanie na czole blizna w kształcie półksiężyca.

Dlaczego nikt tego nie dostrzegł? Czemu Ben został tak całkowicie zepchnięty na drugi plan? Nikt, nawet mamusia, nie zwrócił na niego uwagi, bo dokładnie w chwili, kiedy upadł, jakaś niewidoma dziewczynka z widowni dostała ataku paniki. Wszystkie oczy w oczywisty sposób zwróciły się na nią, na Emily White w różowej sukience, wymachującą rękami i wykrzykującą:

- Pozwólcie mi posłuchać, mamusiu, tatusiu, proszę...
Posłuchać kolorów.

Dodaj komentarz

Albertyna: Niezły powrót, blekitnookichlopiec,

blekitnookichlopiec: Cieszę się, że ci się podobało, Albertyno.

Albertyna: No cóż, „podobało się” nie jest tu chyba najlepszym określeniem...

blekitnookichlopiec: Niezły powrót, Albertyno...

10.

Autorem tego bloga jest Albertyna, pisząca na:

Niegrzecznychlopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 23:49 w poniedziałek, 11 lutego

Status: publiczny

Nastrój: urażony

„Posłuchać kolorów”. Może pamiętacie to zdanie. Spływające gładko z ust osoby dorosłej, musiało się wydać aż do bólu przejmujące u pięcioletniej niewidomej dziewczynki. W każdym razie zadziało. „Posłuchać kolorów”. Zupełnie nieświadomie Emily White otworzyła pudełko z magicznymi słowami, których mocją oszołomiła, podobnie jak jej własna potęga, kiedy tak wydawała rozkazy niczym małeńki generał, rozkazy, które Catherine i Feather - a później oczywiście również doktor Peacock - wypełniali z bezwarunkowym zachwytem.

- Co widzisz?

Obniżony akord f-moll. Magiczne słowa rozwijają się niczym papier pakowy, jedno za drugim.

- Róż. Błękit. Zieleń. Takie śliczne.

Jej matka z radości aż klaszcze w ręce.

- Jeszcze, Emily. Powiedz coś jeszcze. Akord F-dur.
- Czerwień. Oranż. Kar-ma-zyn. Czerń.

To było jak przebudzenie. Diabelska siła, którą odkryła w sobie Emily, rozwinęła się w zdumiewający sposób, a muzyka stała się nagle dla Emily częścią rozkładu dnia. Fortepian został przeniesiony z gościnnej sypialni do salonu i nastrojony, lekcje, których potajemnie udzielał jej ojciec, stały się teraz oficjalne, ona sama zaś mogła ćwiczyć, ile tylko zapragnęła, nawet jeśli Catherine akurat pracowała. Potem pojawili się dziennikarze z lokalnych gazet, zaczęły napływać szeregiem strumieniem listy i podarunki.

Ta historia kryła w sobie ogromny potencjał. Właściwie to miała wszelkie niezbędne składniki. Bożonarodzeniowy cud, fotogeniczna niewidoma dziewczynka, muzyka, sztuka, odrobina nauki wystarczająco zrozumiałej dla przeciętnego zjadacza chleba, uprzejmość doktora Peacocka i mnóstwo kontrowersji w światku sztuki, podtrzymywały zainteresowanie gazet, które przez następne trzy lata oddawały się najrozmaitszym spekulacjom. W końcu tematem zainteresowały się telewizja i prasa ogólnokrajowa, ukazał się też singiel - hit z listy Top Ten - grupy rockowej, której nazwy już nie pamiętam, ale w każdym razie piosenka została później wykorzystana w hollywoodzkiej adaptacji książki opowiadającej historię Emily, z Robertem Redfordem grającym doktora Peacocka i młodą Natalie Portman w roli niewidomej dziewczynki, która widzi muzykę.

Początkowo Emily przyjmowała to wszystko jako rzecz naturalną. Ostatecznie była jeszcze bardzo młoda i nie miała żadnej podstawy do porównań. Na dodatek czuła się taka szczęśliwa - całymi dniami słuchała muzyki, poznawała to, co kochała najbardziej, a wszyscy byli z niej zadowoleni.

W ciągu następnych dwunastu miesięcy Emily często chodziła na koncerty, jak również do opery, gdy wystawiano „Czarodziejski flet”, „Mesjasza” czy „Jezioro łabędzie”. Kilka razy odwiedziła też ojca w szkole, gdzie mogła poznać dotychczas rozmaite instrumenty.

Flety o szczupłych korpusach i skomplikowanym zestawie klap, pękate wiolonczele i kontrabasy, waltornie i tuby przypominające wielkie szkolne dzbanki dźwięków, skrzypce o wciętej talii, cieniutkie jak sople lodu dzwonki, grube bębny i płaskie werble, czynele, trójkąty, kotły, trąbki i tamburyny.

A czasami ojciec dla niej grał. Zachowywał się zupełnie inaczej, kiedy Catherine nie było w pobliżu, żartował, tryskał energią i tańczył z córką wokół pokoju w takt muzyki, aż Emily kręciło się w głowie ze śmiechu. Kiedyś marzył o karierze muzyka, najbardziej ze wszystkich instrumentów ukochawszy klarnet, a nie fortepian, nie było jednak zapotrzebowania na klarncistów z klasycznym wykształceniem, żywiących skrytą słabość do Ackera Bilka, toteż skromne ambicje Patricka White'a na zawsze miały pozostać niewypowiedziane i niezauważone.

Ta przemiana Catherine miała także swoją drugą stronę. Odkrycie prawdy zajęło Emily całe miesiące, zrozumienie tego jeszcze dłużej. To właśnie w tym punkcie moje wspomnienia tracą wszelką spójność, rzeczywistość miesza się z fantazją, nie mogę więc ufać, że relacja będzie dokładna czy prawdziwa. Tylko fakty mówią same za siebie, a nawet one były przecież szeroko dyskutowane tyle razy, podawane w wątpliwość, błędnie relacjonowane i źle odczytywane, tak więc pozostały już tylko okruchy z tego wszystkiego, co mogłyby mnie przybliżyć do prawdy.

Ale wracając do faktów, musicie poznać całą historię. Tamtego wieczoru pośród publiczności znajdował się akurat

niejaki doktor Graham Peacock, sześćdziesiąt siedem lat, ogólnie ceniony w lokalnej społeczności, znany smakosz, miły ekscentryk, hojny mecenas sztuki. Podczas owego grudniowego koncertu bożonarodzeniowych kolęd w kaplicy szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda doktor Peacock stał się uczestnikiem zajścia, które miało odmienić jego życie.

Mała dziewczynka, córka jego znajomych, dostała czegoś podobnego do ataku paniki. Matka chciała ją zabrać z kaplicy, a w całym tym zamieszaniu, jakie nastąpiło potem - dziecko walczyło dzielnie o to, żeby pozostać na miejscu, a matka z równym samozaparciem starała się je wyprowadzić - doktor Peacock usłyszał z ust dziewczynki słowa, które były dla niego jak prawdziwe objawienie.

„Posłuchać kolorów”.

W tamtym momencie Emily właściwie nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tego, co mówi. Ale matkę zainteresowanie doktora Peacocka wprowadziło w stan bliski euforii. W domu Feather otworzyła z tej okazji butelkę szampana, ba, nawet tata wyglądał na zadowolonego, chociaż w tym wypadku większe znaczenie miała zapewne przemiana, jaka zaszła w samej Catherine. Bo tak naprawdę Patrickowi nie podobało się to wszystko, a później, kiedy sprawy zaczęły nabierać tempa, on jeden był odmiennego zdania niż cała reszta.

Nie trzeba chyba dodawać, że nikt go nie słuchał. Zaraz następnego dnia mała Emily została zaproszona do Domu z Kominkiem, gdzie doktor Peacock przeprowadził wszelkie możliwe testy w celu potwierdzenia jej wyjątkowych uzdolnień.

Synestezja, pisał doktor w swojej pracy „Aspekty modularności”, to rzadki stan, kiedy dwa - a czasem więcej - z pięciu „normalnych” zmysłów najwyraźniej stapiają się w jedność.

Cała ta sytuacja wydaje się powiązana z koncepcją modularności. Każdy z systemów sensorycznych ma odpowiadający mu obszar, innymi słowy moduł, w mózgu. Oczywiście istnieją normalne interakcje pomiędzy poszczególnymi modułami (na przykład wykorzystanie wzroku w celu wykrycia ruchu), jednak obecna wiedza na temat ludzkiego postrzegania nie jest w stanie wyjaśnić przypadków, kiedy stymulacja jednego z modułów powoduje aktywność również innych części mózgu. Tak się jednak przedstawia sytuacja w przypadku synestezji.

Jednym słowem, synesteta może doświadczać jednego lub wszystkich z następujących przypadków: postrzegać kształty jako smaki, wrażenia dotykowe jako zapachy, dźwięki czy smaki jako kolory.

Wszystko to dla Emily było zupełną nowością, jeśli już nie dla Feather i Catherine. Ale rozumiała ideę przewodnią - ostatecznie wszyscy znali już historię Chłopca X, a z tego, co Emily słyszała na temat jego wyjątkowego daru, nie było to wcale tak dalekie od skojarzeń słownych, lekcji sztuki i terapii kolorami, poznanymi dzięki matce. Miała pięć i pół roku, zawsze starała się sprostać oczekiwaniom najbliższych i marzyła o tym, żeby także grać.

Ustalenia były proste. Rankami Emily chodziła do domu doktora Peacocka na lekcje muzyki i innych przedmiotów, popołudniami natomiast grywała na fortepianie, słuchała płyt i malowała. To były jej jedyne obowiązki, a ponieważ w trakcie tych zajęć mogła słuchać muzyki, nie stanowiły dla niej wielkiego obciążenia. Czasami doktor Peacock zadawał pytania i odnotowywał sobie jej odpowiedzi.

- Emily, posłuchaj. Co widzisz?

Pojedyncza nuta G, wybrana na klawiaturze starego, niezgrabnego fortepianu, jedyne, jaki znajdował się w Domu

z Kominkiem, ma barwę indygo, bliską czerni. Prosta triada idzie jeszcze dalej, aż wreszcie ostatni akord - g-moll z septymą zmniejszoną w niskim rejestrze - przeradza się w ak-samitną fioletową pieszczotę.

Doktor Peacock zapisuje wyniki w swoim notesie.

- Bardzo dobrze, Emily. Grzeczna dziewczynka.

Potem następuje cała seria delikatnych akordów: cis-moll, d zmniejszone, Es-dur z septymą. Emily wskazuje nazwy kolorów, oznaczone brąjlem na pudełku z farbami.

Dla niej to niemal jak gra na fortepianie, jej dłonie biegają po małych kolorowych klawiszach, a doktor Peacock skrzętnie notuje wszystko w swoim brulionie, niemiłosiernie skrzypiąc przy tym piórem, a potem już wspólnie popijają sobie herbatę przy kominku. Jack Russell terrier doktora, Patch II (następca Patcha numer jeden, który leży zakopany w ogrodzie różanym), węszy wokół z nadzieją na herbatnika, łaskocze Emily w ręce, rozśmiesza dziewczynkę. Doktor przemawia do swojego psa tak, jakby ten był wiekowym wykładowcą, co jeszcze bardziej bawi Emily, a cały ten rytuał szybko staje się nieodłącznym elementem ich wspólnych herbatek.

- Patch II pragnie spytać - mówi doktor Peacock głosem przypominającym dźwięki fagotu - czy panna White zechciałaby się dzisiaj zapoznać z moją kolekcją nagranych dźwięków...

Emily chichocze.

- To znaczy posłuchać płyt?

- Mój kosmaty kolega byłby naprawdę zobowiązany.

Na sygnał Patch II wydaje szcęknięcie.

Emily znowu wybucha śmiechem.

- Dobrze - zgadza się.

W ciągu następnych dwóch i pół roku doktor Peacock stał się niezwykle ważną osobą w życiu ich wszystkich. Catherine

szalała ze szczęścia, Emily okazała się pojętną uczennicą, każdego dnia spędzała trzy lub cztery godziny przy fortepianie, a świat nabrał wreszcie sensu. Wątpię, czy Patrick White zdołałby położyć temu kres, nawet gdyby chciał, ale ostatecznie on także był stroną zainteresowaną w tej sprawie. On też pragnął wierzyć.

Dziewczynka nigdy się nie zastanawiała nad powodami hojności doktora Peacocka. Dla niej doktor był po prostu miłym, zabawnym człowiekiem, który mówił długimi, wymyślnymi zdaniami i nigdy nie zjawiał się z wizytą bez drobnego podarunku: kwiatów, butelki wina czy książki. Na szóste urodziny Emily dostała od niego nowy fortepian w miejsce starego, zniszczonego instrumentu, na którym uczyła się grać. Przez cały rok doktor obdarowywał ją też biletami na koncerty, pastelami, farbami, sztalugami, płótnami, słodyczami i zabawkami.

No i oczywiście była jeszcze muzyka. Zawsze muzyka. Nawet teraz to właśnie boli najbardziej. Myśl o czasach, kiedy Emily mogła grać tak długo, jak tylko zechciała, kiedy każdy dzień był fanfarą, a Mozart, Mahler, Chopin czy nawet Berlioz tłoczyli się niczym zalotnicy zabiegający o jej względy, wybierani i odprawiani wedle własnego widzimisię dziewczynki.

- A teraz, moja droga, wsłuchaj się w muzykę i powiedz mi, co widzisz.

To był Mendelssohn, „Pieśni bez słów”, opus 19, numer 2 w a-moll. Partia lewej ręki jest trudna do opanowania, z tymi ciasnymi zbitkami szesnastek, ale Emily ćwiczy to od dawna, więc osiągnęła już niemal perfekcję. Doktor Peacock jest zadowolony. Matka też.

- Błękit. Dosyć ciemny.

- Pokaż mi.

Emily ma teraz nowe pudło z farbami, niemal tak szerokie jak biurko, sześćdziesiąt cztery kolory układające się w

szachownicę. Wprawdzie ich nie widzi, ale zna je na pamięć, są posegregowane według jasności i odcienia. F - fiolet, G - indygo, A - błękit, B - zieleń, C - żółcień, D - oranż, E - czerwień. Krzyżyki są jaśniejsze, bemole ciemniejsze. Instrumenty też mają swoje kolory w obrębie palety orkiestry, sekcja dętych drewnianych często okazuje się zielona lub niebieska, smyczki są brązowe i pomarańczowe, a dęte blaszane czerwone i żółte.

Emily sięga po gruby pędzel i macza go w farbie. Dzisiaj używa akwareli, więc zapach jest kredowy, staroświecki, przywodzący na myśl pudrowe dropsy. Doktor Peacock stoi z boku, Patch II leży zwinięty w kłębek u jego stóp. Po drugiej stronie Emily czekają Catherine i Feather, gotowe w każdej chwili podać jej wszystko, czego mogłaby akurat potrzebować. Gąbkę, pędzel, mniejszy pędzelek, paczuszkę brokatu.

Andante jest leniwie abstrakcyjne, jak dzień nad morzem. Emily moczy palce w farbie i przesuwa nimi po gładkim, niezagruntowanym papierze, który aż marszczy się w fałdy, niczym piasek na mieliźnie, a farba roztapia się i spływa w wąwozy pozostawione przez jej dotyk. Doktor Peacock jest zadowolony, Emily słyszy w jego fagotowym głosie uśmiech, chociaż nie rozumie wiele z tego, co mówi starszy mężczyzna, ale ta cudowna muzyka szybko porywa jego słowa.

Czasami przychodzą też inne dzieci. Emily pamięta zwłaszcza pewnego chłopca, chyba starszego od niej, który jest bardzo nieśmiały, jąka się i w ogóle niewiele mówi, bo zwykle siedzi na kanapie pogrążony w lekturze. W salonie mieszczą się kanapy i krzesła, siedzisko pod oknem i jej ulubiona huśtawka zawieszona u sufitu na dwóch grubych linach. Pomieszczenie jest ogromne, więc Emily może huścić się tak wysoko, jak tylko zechce, bez obawy, że w coś uderzy. Poza tym każdy wie, że ma jej schodzić z drogi, więc nie zdarzają się żadne przykre wypadki.

W niektóre dni Emily nie maluje w ogóle, tylko siedzi na swojej huśtawce w Domu z Kominkiem i słucha dźwięków. Doktor Peacock nazywa to zabawą w skojarzenia, a jeśli Emily się postara, dodaje, nie minie jej nagroda. Dziewczynka ma tylko siedzieć na huśtawce, słuchać nagrań i mówić mu, jakie widzi kolory. Niektóre dźwięki są łatwe - jako że Emily zdążyła już posortować je w umyśle niczym guziki w pudełku - inne nie. Ale Emily lubi maszyny odtwarzające doktora Peacocka i jego płyty, zwłaszcza te stare, trzeszczące, pełne od dawna martwych głosów, puszczone na nakręcanym korbką gramofonie.

Czasami nie ma żadnej muzyki, tylko seria efektów dźwiękowych, i właśnie wtedy jest najtrudniej. Ale Emily nadal bardzo się stara spełnić oczekiwania doktora Peacocka, który zapisuje każde jej słowo w oprawionych w płótno notatkach, czasem naciskając tak mocno, że czubek ołówka przebija papier.

- Posłuchaj, Emily. Co widzisz?

Odgłosy tysięcy westernów, strzały z broni, świst kul odbijających się rykoszetem o ściany kanionu. „Gunsmoke”. Bonfire Night i pieczone w popiele ziemniaki.

- Czerwień.

- To wszystko?

- Smocza krew. Z nutą szkarłatu.

- Dobrze, Emily. Bardzo dobrze.

Tak naprawdę to bardzo proste, wystarczy jedynie puścić wodze wyobraźni. Brzęk monety, mężczyzna gwizdzący fałszywie, samotny drozd, stukot kołatki do drzwi, odgłos klaskania w dłonie. Emily wraca do domu z kieszeniami pełnymi słodyczy. Doktor Peacock co wieczór przepisuje swoje spostrzeżenia na maszynie do pisania o dźwięku przypominającym głos Kaczora Donalda. Swoim artykułom nadaje takie tytuły jak: „Synestezja indukowana”, „Zespół kolorów”

i „Co z oczu, to z serca”. Jego słowa przypominają gaz rozwe-
selający podawany przez dentystę, kiedy trzeba rozwiercić
zęb. Emily wyslizguje się gładko spod tej drżącej pieśczoły i
„wszystkie pachnidia Arabii”* nie są w stanie jej ocalić.

* William Shakespeare, „Makbet”, przeł. Maciej Słomczyński [w:] „Romeo i
Julia. Makbet. Hamlet”, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2009.

Dodaj komentarz blekitnookichlopiec: O, tak!

Albertyna: Czy to znaczy, że masz ochotę na więcej?

blekitnookichlopiec: Jeśli ty możesz to znieść, to ja tym bardziej...

11.

Autorem tego bloga jest Albertyna, pisząca na:
Niegrzecznychlopcyradza
Wpis zamieszczony o: 01:45 we wtorek, 12 lutego
Status: publiczny
Nastrój: pełen poczucia winy

Większość tej historii to oczywiście spekulacje. To nie są moje wspomnienia, należą do Emily White. Jakby Emily mogła być wiarygodnym świadkiem czegokolwiek. A jednak to jej głos - jej płaczliwy dyszkant - woła do mnie z przeszłości. „Pomóż mi, proszę! Ja ciągle żyję! Pogrzebaliście mnie żywcem!”.

- Czerwony. Ciemnoczerwony. Czerwień z domieszką brązu i smużkami fioletu.

Opus 52 Chopina, ballada f-moll. Emily ma doskonały słuch i już w wieku sześciu lat potrafi wychwycić większość akordów, chociaż nerwowe chromatyczne dwugłosy nadal pozostają poza zasięgiem jej krótkich, pulchnych paluszków. Ale to wcale nie martwi doktora Peacocka, który jest o wiele bardziej zainteresowany jej umiejętnościami malarskimi niż talentem muzycznym.

Wedle słów Catherine kazał już oprawić i powiesić na ścianach Domu z Kominkiem kilka obrazów Emily - w tym „Toreadora”, „Wariacje Goldbergowskie” i (to ulubiony obraz jej matki) „Nokturn w fioletach i ochrze”.

- Mają w sobie tyle energii - mówi Catherine drżącym głosem. - Tyle doświadczenia. To niemal mistyczne wrażenie, ten sposób, w jaki czerpiesz kolory z muzyki i przenosisz je na płótno. Wiesz, Emily, zazdroszczę ci. Chciałabym widzieć to, co ty teraz.

Żadne dziecko nie pozostałoby obojętne wobec takich pochwał. Obrazy Emily uszczęśliwiały ludzi, zapewniały jej prezenty od doktora Peacocka i aplauz jego licznych kolegów. Co więcej, doktor najwyraźniej pracował nad kolejną książką, w większości opartą na najnowszych ustaleniach.

Emily wie jednak, że nie jest jedyną osobą, z którą się zaprzyjaźnił podczas swoich poszukiwań synestetów. W pracy pod tytułem „Poza rozumem”, tłumaczy teraz, opisał już szczegółowo przypadek nastolatka określanego w całym tekście jako Chłopiec X, który zdawał się przejawiać symptomy nabytej synestezji węchowo-smakowej.

- A co to znaczy? - dopytuje Emily.

- Doświadczał rzeczy w szczególny sposób. Albo tak przynajmniej twierdził. A teraz zechciej się skoncentrować na nutach.

- Jakie rzeczy widział? - Emily nie rezygnuje.

- Nie sędzę, żeby rzeczywiście coś widział.

Aż do momentu pojawienia się Emily Chłopiec X stanowił ukochany projekt doktora. Ale pomiędzy małą niewidomą dziewczynką, która słyszy kolory (i potrafi je namalować), a nastoletnim chłopcem z upodobaniem do zapachów nie mogło być żadnej prawdziwej konkurencji. Zresztą ten chłopak to naciągacz, powtarzała Catherine, gotów wymyślić całą masę nieprawdziwych symptomów, byle tylko ściągnąć na siebie

uwagę. A jego matka jest jeszcze gorsza, każdy głupiec by się zorientował, że ona go do tego namówiła w nadziei na zdobycie pieniędzy doktora Peacocka.

- Jesteś zbyt łatwowierny, Gray - mawiała. - Ktoś inny zorientowałby się od razu, co to za ludzie. Zobaczyli, że łatwo cię oszukać, mój drogi, i zwyczajnie cię nabrali.

- Ale moje testy jasno dowodzą, że chłopiec reaguje...

- Chłopiec reaguje na pieniądze, Gray. Podobnie jak jego matka. Parę funtów tu, dziesiątka tam. Ziarnko do ziarnka i zanim się zorientujesz...

- Ale, Cathy, ona pracuje na targu, na miłość boską, i ma trójkę chłopaków na wychowaniu, a męża ani widu, ani słychu. Potrzebuje kogoś...

- I co z tego? To samo można powiedzieć o połowie matek na naszym osiedlu. Zamierzasz płacić temu chłopcu do końca życia?

Pod jej naciskiem doktor Peacock przyznaje, że dołożył się już do czesnego syna Glorii i wpłacił tysiąc funtów na fundusz powierniczy dla niego - to na college, Cathy, chłopak jest całkiem bystry.

Catherine White nie posiadała się z wściekłości. Pieniądze nie należały do niej, ale taka sytuacja złościła ją równie mocno, jakby owa kwota została wyjęta z jej własnej kieszeni. Poza tym to niemal okrucieństwo, twierdziła, pozwolić temu chłopcu tak wiele oczekiwać. Pewnie byłby dużo szczęśliwszy, gdyby nikt mu nie nabijał głowy tego typu pomysłami. Ale doktor go zachęcał i w ten sposób przyzwyczaił do naciągania.

- Tak to się właśnie kończy, Gray - przekonywała Catherine. - Te próby zabawy w Pigmaliona. Nie spodziewaj się wdzięczności ze strony tego chłopaka - właściwie to wyrządzasz mu krzywdę, pozwalając, by wierzył, że może na tobie żerować, zamiast znaleźć sobie uczciwą pracę. W końcu jeszcze stanie się niebezpieczny. Dajesz pieniądze takim

ludziom, a oni co robią? Wydają je na alkohol i narkotyki. Sprawy wymykają się spod kontroli. To nie byłby pierwszy raz, że jakiś życzliwy biedak został zamordowany we własnym łóżku przez te same indywidua, którym usiłował pomóc...

I tak to się ciągnęło. W końcu po burzliwych dyskusjach między doktorem Peacockiem a Catherine Chłopiec X przestał być zapraszany do Domu z Kominkiem i już nigdy się tam nie pojawił.

W swoim zwycięstwie Catherine okazała się wielkoduszna. Chłopiec X był pomyłką, orzekła. Otrzymywał sowite wynagrodzenie za udział w eksperymentach doktora Peacocka, więc to zupełnie naturalne w przypadku kogoś jego pokroju, że próbował wykorzystać sytuację. Ale teraz doktor miał do czynienia z prawdziwym talentem, najrzadszym z fenomenów, niewidomą od urodzenia synestetką, która poprzez muzykę zyskała możliwość widzenia. Fantastyczna historia, zasługująca na to, by zaistnieć samodzielnie. Nie mogło być nikogo, kto spróbowałby podważyć wyjątkowość zjawiska Emily White.

Dodaj komentarz

blekitnookichłopiec: Au! To był cios poniżej pasa...

Albertyna: Przeszanę, kiedy będziesz miał dosyć...

blekitnookichłopiec: Naprawdę myślisz, że byłabyś w stanie?

Albertyna: Nie wiem. Pytanie brzmi, czy ty jesteś?

12.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 01:56 we wtorek, 12 lutego

Status: publiczny

Nastrój: nieszczęśliwy

Słucham: „The Last Laugh” Marka Knopflera

Tamto zemdenie oznaczało kres dla Benjamina. Wyczuł niemal od razu to delikatne przesunięcie akcentów i chociaż upłynęło trochę czasu, zanim wszystko zgasło śmiercią naturalną, niczym kwiat więdnący w wazonie, wiedział już, że tamtego wieczoru w kaplicy szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda coś się dla niego skończyło. Cień maleńkiej Emily White przyćmił go niemal od samego początku, nie tylko dzięki sensacyjnej wprost historii, lecz również z powodu niezaprzeczalnie medialnego uroku niewidomej dziewczynki, a ów niezwykle talent miał już wkrótce uczynić z niej znaną w całym kraju gwiazdę.

Teraz długie wizyty Bena we Dworze skurczyły się do godzinnych sesji, czasu dzielonego z Emily, którą doktor Peacock chętnie chwycił się niczym cennym okazem ze swojej kolekcji -

kolejną ćmą albo figurynką - oczekując ze strony siedzącego cicho na kanapie Bena podziwu, entuzjazmu dorównującego jego własnemu. Co gorsza, Brendan też zawsze z nimi był (żeby mieć go na oku, jak mawiała mama, która sama szła wtedy do pracy na targowisku), jego brat w brązach, z tłustymi włosami i zawstydzoną miną, który rzadko się odzywał, tylko siedział i gapił się z głupkowskim uśmiechem przed siebie. Czasem Ben czuł do niego taką nienawiść połączoną ze wstydem, że miał ochotę po prostu uciec i zostawić Brena samego - niezgrabnego, gburowatego, niepasującego tutaj grubasa - pośród tych wszystkich kruchych rzeczy.

Catherine White położyła temu kres. To nie w porządku, żeby ci chłopcy przychodzili i przebywali w domu bez nadzoru. Było tam zbyt wiele cennych przedmiotów, zbyt wiele pokus. Odwiedziny Benjamina zostały ograniczone jeszcze bardziej, tak że teraz przychodził do doktora Peacocka już tylko raz w miesiącu, przy czym zawsze musiał czekać razem z Brenem na schodach, dopóki pani White nie była gotowa do wyjścia. Za każdym razem witały ich przesycone zapachem farby dźwięki fortepianu płynące ponad trawnikiem, więc dzisiaj za każdym razem, kiedy błękitnookichłopiec słyszy te tony, czy będzie to preludium Rachmaninowa, czy początkowe takty „Hey Jude”, wracają do niego wspomnienia tamtych dni i ten żaloszny skurcz serca, który czuł na widok Emily kołyszącej się na swojej huśtawce w salonie w przód i w tył niczym szczęśliwy ptaszek.

Początkowo tylko jej się przyglądał. Jak wszyscy był nią olśniony, cieszył się, że może po prostu oglądać, trochę tak jak doktor Peacock obserwował *Actias Luna* wykluwającą się z poczwarki, z lękiem i podziwem, zaprawionym być może odrobiną żalu. Śliczną jak obrazek, już wtedy. Taką uroczą. Było coś wzruszającego w pełnym ufności sposobie, w jaki trzymała ojca za rękę, z twarzą uniesioną ku niemu niczym

kwiat zwracający się w stronę słońca, albo w tej małej zręczności, z jaką wdrapywała się na taboret przy fortepianie, żeby usiąść na nim zjedną nogą podwinętą pod siebie i do połowy podciągniętą skarpetką, niesamowita i czarująca. Przypominała zbudzoną do życia lalkę zrobioną z porcelany i kości słoniowej, żeby pani White, która zawsze uwielbiała lalki, mogła przez okrągły rok stroić ją w maleńkie ubranka w pastelowych barwach i dopasowane do nich buciki, wszystko jakby wyjęte prosto ze staroświeckiej książeczki z bajkami dla dzieci.

A wracając do naszego bohatera, do błękitnookiego chłopca:

Okres dojrzewania okazał się dla niego naprawdę trudny. Plecy i twarz miał obsypane pryszczami, z trudem panował nad łamiącym się głosem, który do dziś zresztą brzmi odrobinę nierówno. Zaczął się jąkać jeszcze mocniej niż w dzieciństwie. Później pozbył się owej wady, ale tamtego roku było tak źle, że w niektóre dni ledwie był w stanie wykrztusić z siebie słowo. Zapachy i kolory nagle nabrały intensywności, powodując migreny, o których doktor mówił, że na pewno z czasem ustąpią. Tak się nie stało. Nadal dręczą błękitnookiego chłopca, chociaż jego sposoby radzenia sobie z bólem stały się teraz nieco bardziej wyrafinowane.

Po tamtym bożonarodzeniowym koncercie Emily zaczęła spędzać większość czasu we Dworze, ale ponieważ kręciło się tam tyle osób, błękitnookiego chłopca rzadko się do niej odzywał. Zresztą przez to swoje jąkanie zrobił się bardzo nieśmiały i wolał trzymać się z boku, niewidziany i niesłyszany. Czasami przesiadywał na werandzie z komiksem albo książką o kowbojach w ręku, zadowolony, że może krążyć po orbicie Emily White, cicho, bez zbędnego zamieszania. Poza tym w domu rzadko mógł sobie pozwolić na luksus lektury, bo mama wiecznie potrzebowała pomocy, a bracia nigdy nie dawali

mu spokoju. Czytanie było dla mięczaków, powtarzali, i cokolwiek błękitnookichłopiec wybrał: „Supermana”, „Sędziego Dredda” czy choćby „Beano”, zawsze budziło to drwiny brata w czerni, który dręczył go bez litości - „Spójrzcie tylko państwo na te śliczne obrazki! Ojej! Więc jaka jest ta twoja supermoc?” - dopóki zawstydzony nie ustąpił i nie dał się namówić na robienie czegoś zupełnie innego.

W tygodniu, pomiędzy swoimi wizytami we Dworze, przechodził czasem obok domu Emili, w nadziei że zobaczy ją bawiącą się w ogrodzie. Od czasu do czasu widywał dziewczynkę gdzieś w mieście, zawsze wraz z matką, zawsze na baczność niczym posłuszny żołnierz. Czasami towarzyszył im też doktor Peacock, który stał się jej obrońcą, mentorem, jej drugim ojcem, jakby potrzebowała jeszcze jednego, jakby już i tak nie miała wszystkiego.

Można by pomyśleć, że błękitnookichłopiec jej zazdrościł. To nie do końca prawda. Ale jakimś cudem nie potrafił przestać o niej myśleć, analizować jej, obserwować. Jego zainteresowanie nabierało rozmachu. Z komisji z używanymi rzeczami ukradł aparat fotograficzny i nauczył się robić zdjęcia. W tym samym sklepie ukradł też teleobiektyw, choć tym razem o mało nie został przyłapany na gorącym uczynku. Jakoś udało mu się jednak uciec z łupem, bo gruby facet zza lady - zdumiewająco szybki jak na taką masę ciała - w końcu zrezygnował z pościgu.

Kiedy mamusia poinformowała go ostatecznie, że nie jest dłużej mile widziany we Dworze, nie chciał uwierzyć. Zdążył się już przyzwyczaić do tego codziennego rytuału - siedzenia w milczeniu na kanapie, czytania książek, popijania herbaty earl grey, słuchania gry Emili - że odprawienie go po takim czasie wydało mu się niezasłużoną karą. To nie jego wina, przecież nie zrobił nic złego. Musiała zająć jakaś pomyłka.

Doktor Peacock zawsze był dla niego taki dobry, dlatego teraz miałyby się zwrócić przeciwko niemu?

Dopiero później zrozumiał. Doktor Peacock, mimo całej swojej życzliwości, stanowił jedynie kolejne wcielenie pracodawczyń matki błękitnookiego chłopca, które były dla niego takie miłe, kiedy miał cztery lata, potem zaś szybko straciły zainteresowanie nim. Pozbawiony przyjaciół, spragniony miłości, której brakowało mu w domu, nadał zbyt duże znaczenie wszystkim tym życzliwym gestom: spacerom po różnym ogrodzie, wspólnym herbatkom, drobnym przejawom sympatii. Krótko mówiąc, wpadł w pułapkę, myśląc litość z troską.

Kiedy tamtego wieczoru zjawił się we Dworze z zamiarem poznania prawdy, natknął się nie na doktora Peacocka, lecz na panią White w czarnej atlasowej sukni, ze sznurem pereł zdobiącym jej długą szyję. To właśnie od niej usłyszał, że nie powinien się tu kręcić, ma odejść i nigdy nie wracać, bo sprawia tylko problemy, że ona zna takich jak on.

Czy tak powiedział doktor Peacock?

Cóż, o to przynajmniej zamierzał spytać. Ale tamtego dnia jękał się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, usta miał jak zaszyte niezdarnym ścięciem, więc z trudem zdołał z siebie wydusić tylko:

- A-ale dlaczego?

- Nie próbuj udawać. Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho.

Na moment zalała go fala obezwładniającego wstydu. Nie miał pojęcia, co takiego zrobił, ale pani White wydawała się pewna jego winy. Pod powiekami poczuł piekące łzy, z trudem tłumił mdłości, o które przyprawiał go odór napoju witaminowego mamusi, nagle wypełniający mu gardło.

Błagam, tylko nie płacz, powtarzał sobie w myślach. Nie przed panią White.

Pogarda w jej spojrzeniu aż paliła.

- Nie myśl, że mnie tym udobruchasz. Powinieneś się wstydić.

I błękitnookichłopiec czuł wstyd. Wstyd i gniew, tak nieoczekiwany, że gdyby w tamtym momencie mógł ją zabić, zrobiłby to bez chwili wahania czy skruchy. Ale był tylko kar-nym uczniem, pani White natomiast należała do zupełnie innej sfery, innej klasy, do ludzi, których się słucha, niezależnie od wszystkiego - Gloria dobrze wyszkoliła swoich synów - a jej słowa niczym ostrza wbijały się mu w czaszkę.

- Proszę - powiedział, tym razem nawet się nie zajaknąwszy.

- Wynoś się - rzuciła w odpowiedzi.

- Proszę, czy n-nie możemy być przyjaciółmi?

Pani White uniosła brew.

- Przyjaciółmi? - prychnęła. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Twoja matka u mnie sprzątała, to wszystko. Zresztą niezbyt dobrze. A jeśli myślisz, że to daje ci prawo prześladowania mnie i mojej córki, to lepiej zastanów się jeszcze raz.

- Ja nie prze-prze...

- A jak nazwałbyś te zdjęcia? - rzuciła pani White, wpatrując mu się prosto w oczy.

- Z-zdjęcia? - spytał błękitnookichłopiec drżącym głosem. Szok sprawił, że natychmiast obeschły łzy.

Okazuje się, że znajoma Feather pracowała w miejscowym sklepie fotograficznym. To właśnie od niej Feather dowiedziała się o jego pasji, a potem opowiedziała o wszystkim pani White, która zażądała natychmiastowego okazania rzeczonych odbitek, a następnie zaniósła je prosto do Dworu i przedstawiła doktorowi Peacockowi na dowód tezy, że znajomość z Winterami była błędem, z którego należało wyplątać się jak najszybciej.

- Nie łudź się, że nikt cię nie zauważył - dodała pani White - jak skradasz się wokół Emily i robisz nam obu zdjęcia...

To nie była prawda. Nigdy nie robił zdjęć Catherine. Fotografował jedynie Emily. Ale nie mógł tego powiedzieć pani White. Ani błagać jej, żeby nie wspominała o niczym mamie.

Odszedł więc spod drzwi Dworu, z oczami suchymi z wściekłości i językiem przyklejonym do podniebienia. A kiedy obejrzał się jeszcze przez ramię, żeby po raz ostatni spojrzeć na dom doktora Peacocka, w jednym z okien na piętrze dostrzegł jakiś ruch. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale błękitnookichłopic zdążył zauważyć doktora, obserwującego go i machającego doń z nieśmiałym uśmiechem.

Właśnie wtedy się to wszystko tak naprawdę zaczęło. Wtedy narodził się błękitnookichłopic. Wieczorem zakradł się jeszcze pod dom doktora z puszką farby w odcieniu pawiego błękitu i niemal sparaliżowany strachem i poczuciem winy dał wyraz swojej wściekłości, malując gryzmoły na wielkich frontowych drzwiach, tych samych, które tak okrutnie mu zatrzęsnięto przed nosem. A potem, kiedy już znalazł się z powrotem w swoim pokoju, wyciągnął spod materaca wysłużoną Błękitną Księżę, aby zaplanować kolejne morderstwo.

Dodaj komentarz:

Albertyna: Och, proszę cię, tylko nie kolejne morderstwo. Naprawdę myślałam, że zaczynamy do czegoś dochodzić,

błękitnookichłopic: W porządku, ale będziesz mi coś winna...

13.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 02:05 we wtorek, 12 lutego

Status: publiczny

Nastrój: zdruzgotany

Słucham: „The Boys of Summer” Dona Henleya

Wszystko zaczęło się właśnie w ten sposób, jako dziennik jego fikcyjnego życia. W pierwszych wpisach jest jeszcze jakaś niewinność, ukryta pomiędzy zapiskami prowadzonymi jego ściśniętym, nerwowym pismem. Czasami pamięta prawdę: codzienne rozczarowania, wściekłość, ból, okrucieństwo. Jednak przez większość czasu niemal wierzy, że rzeczywiście był błękitnookim chłopcem - że to, co zanotował w Błękitnej Księdze, wydarzyło się naprawdę, a Benjamin Winter i Emily White to jedynie wytwory wyobraźni kogoś innego. Błękitna Księga pozwalała mu zachować zdrowe zmysły, tam zapisywał swoje fantazje, swoją sekretną zemstę wywiebraną na wszystkich tych, którzy go skrzywdzili czy upokorzyli.

A co do małej Emily:

Teraz obserwował ją jeszcze uważniej niż poprzednio. W tajemnicy, z zazdrością, tęsknotą i z miłością. Po tym, jak został wyrzucony z domu doktora Peacocka, śledził karierę Emily, jej losy. Robił setki zdjęć, zbierał wycinki z gazet na jej temat. Zaprzyjaźnił się też z małą dziewczynką, która mieszkała po sąsiedzku z White'ami. Obdarowywał ją słodyczami i odwiedzał w nadziei zobaczenia gdzieś w przelocie Emily.

Przez jakiś czas doktorowi udawało się utrzymać jej tożsamość w tajemnicy. W jego pracach pojawiała się po prostu jako Dziewczynka Y - godna następczyni Chłopca X - do momentu, kiedy wspólnie z rodzicami Emily podjął decyzję o zaprezentowaniu jej światu. Ale błękitnookichłopiec znał prawdę. Błękitnookichłopiec wiedział, czym w rzeczywistości była. *Actias Luna* w szklanej gablocie, czekająca, aby wyfrunąć ze swojego kokonu prosto do słoika, w którym zginie.

Nadal robił zdjęcia, chociaż nauczył się postępować z większą ostrożnością. Po szkole pracował w kilku miejscach: rozwodził gazety, kilka wieczorów w tygodniu zmywał naczynia w miejscowej kawiarence, a za pierwsze zarobione pieniądze kupił używany powiększalnik, zapas papieru fotograficznego, kuwety i odczynniki. Dzięki lekturze stosownych podręczników z biblioteki nauczył się samodzielnie wywoływać fotografie, przerobiwszy piwnicę, której matka nigdy nie używała, na małą ciemnię.

Czuł się jak ktoś, komu zabrakło do głównej wygranej w totka jednej liczby - w czym była duża zasługa mamusi, która nie przestawała dawać mu jasno do zrozumienia, że w jakiś sposób to jego wina, że gdyby okazał się sprytniejszy, zręczniejszy, lepszy, to jeden z jej chłopców wreszcie skupiłby na sobie całą uwagę i zgarnął wszystkie pochwały.

Tego roku Gloria pozwoliła swoim synom wyraźnie odczuć, że wszyscy trzej ją zawiedli. Nigel, który w tak żałosny

sposób nie zdołał utrzymać pozostałej dwójki w ryzach, Brendan, który był tak głupi, no i przede wszystkim Benjamin, w którym pokładała tyle nadziei, a on rozczarował ją pod każdym możliwym względem. We Dworze, w domu, ale przede wszystkim w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda. Nauka Bena w tej ekskluzywnej placówce okazała się największą porażką ze wszystkich, niweczając plany Glorii (wyrażane aż nazbyt otwarcie) co do przyszłości syna, którego przeznaczeniem miały być przecież wielkie rzeczy. Właściwie błękitnookichłopiec nienawidził tej szkoły od samego początku i tylko przyjaźń z doktorem Peacockiem powstrzymywała go przed powiedzeniem tego otwarcie.

Ale teraz wszystko tam było dlań nienawistne, od chłopców, którzy tak jak kiedyś łobuziaki z osiedla przezywali go „czubek”, „frajer” i „dziwadło” (choć już z bardziej wyrafinowanym akcentem), po pretensjonalne nazwy samych budynków- nazwy takie jak „Rotunda” czy „Porte Cochère” - o posmaku gnijących owoców, aż ociekające samozadowoleniem i przesączone odorem świętości.

Podobnie jak napój witaminowy mamusi szkoła pod wezwaniem świętego Oswalda miała być dobra dla jego zdrowia, miała mu pomóc wykorzystać potencjał. Ale po spędzeniu tam trzech nieszczęśliwych lat, kiedy to do pewnego stopnia próbował się jakoś przystosować, nadal tęsknił za domem doktora Peacocka, z jego kominkiem i zapachem starych książek. Brakowało mu globusów z ich magicznymi nazwami, ale przede wszystkim brakowało mu tego, jak zwracał się doń doktor, zupełnie jakby mu naprawdę zależało na Benie.

U świętego Oswalda nikogo nie obchodził. To prawda, że nikt się nad nim nie znęcał - no cóż, przynajmniej nie tak, jak robili to jego bracia - ale mimo wszystko zawsze wyczuwał tę ukrytą pogardę. Nawet nauczyciele ją czuli, chociaż niektórzy potrafili to ukryć lepiej od innych.

Zwracali się do niego po nazwisku, „Winter”, jak do kadeta w wojsku. Musztrowali go za pomocą tabliczki mnożenia i czasowników nieregularnych. Wzdychali ciężko, dramatycznie, nad przejawami jego ignorancji, a następnie kazali mu przepisywać kolejne zdania.

„Będę utrzymywał swoje zeszyty w nienagannym stanie”. (Niezależnie od tego, jak dobrze je ukrył, Nigel zawsze zdołał się do nich dostać). „Mundurek reprezentuje moją szkołę. Zawsze będę go nosił z dumą”. (To akurat wtedy, gdy Nigel odciął mu nożyczkami krawat, pozostawiając jedynie nędzne resztki). „Będę przynajmniej udawał zainteresowanie, kiedy nauczyciel wchodzi do klasy”. (To od sarkastycznego doktora Devine'a, który przyłapał go któregoś ranka na spaniu w szkolnej ławce).

Ale najgorsze w tym wszystkim było to, że Ben naprawdę się starał. Próbował zdobywać jak najlepsze oceny. Chciał, by nauczyciele byli z niego dumni. Podczas gdy inni chłopcy dostawali złe stopnie z powodu swojego lenistwa, on w pełni zdawał sobie sprawę ze znieprawdzonego przywileju uczęszczania do szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda i ze wszystkich sił starał się na to zasłużyć. Ale doktor Peacock, ze swoim lekceważeniem dla szkolnych programów, wyedukował go jedynie w przedmiotach, które sam cenił - sztukach pięknych, historii, muzyce, literaturze angielskiej - zaniebując matematykę i inne nauki ścisłe, co przyniosło taki skutek, że Ben już od pierwszego semestru miał zaległości, których pomimo szczerych wysiłków nigdy nie zdołał nadrobić.

Po tym, jak doktor Peacock zniknął z ich życia, Benjamin spodziewał się, że mama zabierze go ze szkoły. Szczerze mówiąc, modlił się o to żarliwie, ale gdy jeden jedyny raz odważył się wspomnieć na ten temat, Gloria zbiła go kablem.

- Za dużo w ciebie zainwestowałam - powiedziała po

skończonej egzekucji, zwijając sznur. - W każdym razie o wiele za dużo, żeby pozwolić ci teraz zrezygnować.

Potem był już mądrzejszy i nie narzekał. Wraz z wejściem w wiek dojrzewania zaczął też dostrzegać kolejne zmiany. Jego bracia szybko dorastali, a mama, niczym październikowa osa wyczuwająca zbliżanie się zimy, z dnia na dzień stała się coraz bardziej zjadliwa, wyładowując na synach swoje frustracje. Nagle cała ich trójka stała się obiektem jej ataków, których przyczyną mogło być praktycznie wszystko, od sposobu wysławiania się po długość włosów. To właśnie wtedy błękitnookichłopiec uświadomił sobie z rosnącym przerażeniem, że poświęcenie Glorii dla synów stanowiło jedynie element jej długoterminowego planu inwestycyjnego, który teraz wreszcie miał przynieść pierwsze owoce.

Trzy miesiące wcześniej Nigel skończył szkołę, a chęć sprawiania Benjaminowi bólu zeszała na drugi plan w obliczu myśli o znalezieniu mieszkania, dziewczyny, pracy, ucieczki - od matki, braci, od Malbry.

I nagle najstarszy brat zaczął sprawiać wrażenie jakby dojrzałego, bardziej oddalonego, bardziej podatnego na ataki złego nastroju i milczenia. Zawsze był zmienny w nastrojach i zamknięty w sobie, ale teraz zamienił się w prawdziwego odludka. Kupił sobie teleskop i w bezchmurne noce wybierał się na wrzosowiska, skąd wracał do domu nad ranem, co dla Bena wcale nie było takim złym rozwiązaniem, ale budziło niepokój i irytację Glorii.

Ucieczką Nigela stały się więc gwiazdy, Brendan natomiast znalazł inną drogę. W wieku szesnastu lat ważył już dwadzieścia pięć kilo więcej od Bena i nie tylko nie stracił dziecięcego tłuszczu, ale do pochłanianych codziennie słodyczy dorzucił teraz jeszcze alarmujące ilości śmieciowego jedzenia. On też miał dorywcze zajęcie, w tygodniu pracował w położonej w centrum Malbry knajpce ze smażonymi kurczakami, gdzie mógł podjadać cały dzień, jeśli tylko chciał,

i skąd wracał wieczorami z kubelkami pełnymi ogromnych porcji jedzenia, które, jeśli akurat nie był głodny, pochłaniał następnego ranka na zimno, razem z litrem pepsi, zanim wyruszył wreszcie do Sunnybank Park, gdzie chodził już do ostatniej klasy. Matka spodziewała się, że zostanie w szkole przynajmniej tak długo, żeby podejść do egzaminów końcowych, ale nic, co mogła powiedzieć czy zrobić, nie miało wpływu na żarłocznego Brendana, który najwyraźniej postawił sobie za cel w życiu wyzwolić się jedzeniem spod jej kurateli. Ben uznał, że to jedynie kwestia czasu, a brat obleje egzaminy i rzuci szkołę, żeby w końcu wyprowadzić się z domu.

Na myśl o tym Benjamin czuł nawet pewną ulgę. Od tamtego nieszczęsnego egzaminu do szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że Bren go obserwuje. Nie chodziło o coś, co brat powiedział, jedynie o sposób, w jaki na niego patrzył. Czasami, kiedy Ben wychodził z domu, miał wrażenie, że Bren go śledzi, czasem, kiedy wracał do swojego pokoju, był pewien, że ktoś ruszał jego rzeczy. Książki, które zostawił pod łóżkiem, przemieszczały się albo znikaly na dzień czy dwa, żeby potem zmaterializować się w innym miejscu. Oczywiście tak naprawdę to w ogóle nie miało sensu. Bo cóż Brena obchodziły książki? A jednak myśl, że ktoś przegląda jego rzeczy, budziła niepokój Benjamina.

Chociaż w tamtym okresie Bren był najmniejszym z jego zmartwień. Tyle w niego, Bena, zainwestowano: pieniędzy, nadziei. A teraz, kiedy miało się to w końcu zwrócić, nie mogło być mowy o wycofaniu się. Mamusia nie zniosłaby takiego upokorzenia, wysłuchiwanie plotek sąsiadek opowiadających o tym, że syn Glorii Winter rzucił szkołę.

- Będziesz robił, co ci każę, i będziesz to robił z radością - mawiała. - Albo przysięgam, drogo mi za to zapłacisz.

Najwyraźniej zdanie „drogo mi za to zapłacisz” stanowiło jej ulubiony zwrot przez cały ten rok. I tak synowie Glorii żyli w strachu przed nią przez cały rok.

Przynajmniej błękitnookichłopiec wiedział, że sobie na to zasłużył, wiedział, że był niegrzeczny. Chociaż nikt nie miał pojęcia, do jakiego stopnia niegrzeczny. Ale matka dawała mu jasno do zrozumienia, że nie ma już odwrotu, a jeśli zawiedzie ją na tym etapie, czeka go kara najstraszliwsza z możliwych.

- Jesteś mi to winien - powtarzała, zerkając na zielonego ceramicznego pieska. - Co więcej, jesteś to winien jemu. Jesteś to winien swojemu bratu.

Czy Malcolm odniósłby sukces, gdyby żył? Błękitnookichłopiec często zadawał sobie to pytanie. Sama ta myśl budziła w nim niepokój. Zupełnie jakby miał dwa życia naraz. Jedno dla siebie, drugie dla Mała, który nigdy nie otrzymał tych wszystkich możliwości co on. Strach kąsał go niczym osaczony w klatce szczur. A jeśli zawiedzie? Co matka wtedy zrobi?

Ucieczkę od tego wszystkiego stanowiło pisanie. Trzymał swoją Błękitną Księgę w ciemni, poza zasięgiem wzroku mamusi i brata, i każdego wieczoru, kiedy sprawy przybierały naprawdę kiepski obrót, umieszczał swój lęk w kolejnej opowieści. Pisanej zawsze z pozycji czarnego charakteru, zło-czyńcy, mordercy.

Jego ofiary były liczne, metody rozmaite, ale żadnej zwy-czajnej strzelaniny. Jego styl mógł budzić wątpliwości, lecz wyobraźnia okazała się nieograniczona. Ofiary ginęły na róż-norodne sposoby, uwięzione w skomplikowanych narzę-dziach tortur, zakopane po szyję w mokrym piasku albo schwytane w diabelskie śmiertelne pułapki.

Błękitnookichłopiec wykorzystywał Księgę do zapisywania swoich fikcyjnych morderstw, jak również kilku naprawdę

przeprowadzonych eksperymentów: ostatnio przeszedł od zabaw z osami do dręczenia ciem, a potem myszy, które całkiem łatwo można było schwytać za pomocą zwykłej butelkowej pułapki, a trzepotliwy rytm ich serca, wzmocniony przez akustykę szklanego pojemnika, stanowił odbicie jego własnego oszalałego tętna.

Sporządzał swoje pułapki z butelek po mleku, w których umieszczał przynętę. To był jego sposób wybierania ofiary, oddzielania grzesznych od niewinnych. Mysz włąziła do butelki, zjadała przynętę, ale już nie była w stanie wydostać się z powrotem po gładkiej ścianie. Ginęła dosyć szybko - z wyczerpania i przerażenia - cały czas przebierając małymi różowymi łapkami, jak w jakimś niewidzialnym kołowrotku.

Najważniejsze jednak było, że myszy same wybierały swój los. To one podejmowały decyzję o wejściu do pułapki z przynętą. A więc ich śmierć to nie była jego wina.

Ale to się miało wkrótce zmienić.

Dodaj komentarz

JennyTricks: (post usunięty)

blekitnookichlopiec: Jenny? Ależ się za tobą stęskniłem...

14.

Autorem tego bloga jest Albertyna, pisząca na:
Niegrzecznychlopcyrzadza
Wpis zamieszczony o: 03:12 we wtorek, 12 lutego
Status: publiczny
Nastrój: niespokojny

Każde kłamstwo ma swój własny rytm. Kłamstwo Emily rozpoczęło się porywającą uwerturą, potem złagodniało do uroczego andante, rozwinęło kilka motywów i wariacji, aby ostatecznie rozkwitnąć w triumfalnym scherzo, do wtóru niekończących się owacji na stojąco.

To było jej wielkie wejście. Jej oficjalna prezentacja przed przedstawicielami mediów. Dziewczynka Y spełniła już swoje zadanie, teraz Emily była gotowa stanąć w świetle jupiterów. Za trzy tygodnie kończyła osiem lat, była bystra i ładnie się wyrażała, a jej dopracowane do perfekcji prace bez obaw mogły zostać poddane krytyce. Dla większego rozgłosu poinformowano ogólnokrajową prasę, w niewielkiej galerii przy Kingsgate w Malbry zorganizowano aukcję obrazów Emily, a już wkrótce miała się ukazać najnowsza książka doktora Peacocka. Nagle wszyscy zaczęli mówić wyłącznie o Emily White.

Ta niewysoka istota, pisał reporter z „Guardiana”, o przy-
ciętych na pazia brązowych włosach i melancholijnej twarzy
wcale nie robi wrażenia cudownego dziecka. (Dlaczego?, za-
stanawiacie się pewnie teraz. Czego się spodziewali?) Wła-
ściwie na pierwszy rzut oka Emily White wygląda jak każda
inna ośmiolatka, poza tym że jej oczy krążą niespokojnie,
budząc w niżej podpisanym niepokojące wrażenie, iż dziew-
czynka potrafi zajrzeć w głąb jego duszy.

Autorem tekstu był starzejący się dziennikarz Jeffrey Stu-
arts, lecz jeśli nawet rzeczywiście miał jakąś duszę, Emily
nigdy nie wyczuła najmniejszego śladu jej obecności. Stuarts
zawsze mówił odrobinę za głośno, z perkusyjnym rytmem
przypominającym stukot suszonego grochu w misce, a pach-
niał wodą po goleniu Old Spice, która miała maskować kryją-
cy się pod nią odór potu i zawiedzionych ambicji.

Tamtego dnia słowa ociekały słodyczą.

Aż trudno uwierzyć, pisał dalej, że te płótna, które śpiewa-
jąc, sfruwają ze ścian maleńkiej galerii niedaleko Kingsgate
w Malbry, to samodzielne prace tej nieśmiałej dziewczynki. A
jednak Emily White ma w sobie coś niesamowitego. Jej
drobne blade ręce poruszają się niespokojnie, niczym émy,
głowa pozostaje lekko przechylona na bok, jakby dziewczyn-
ka słyszała coś, czego nie chwyta reszta z nas.

Tak naprawdę Emily była po prostu znudzona.

- Czy to prawda - spytał Stuarts - że widzisz muzykę?

Emily posłusznie skinęła głową. Zza pleców dziennikarza
dolatywał miękki śmiech doktora Peacocka, wznoszący się
ponad świergotem białego szumu. Zastanawiała się, gdzie
podziewa się jej ojciec, nasłuchiwała jego głosu i nawet przez

chwile zdawało się jej, że wyłowiła go spośród narastającej kakofonii dźwięków.

- A te wszystkie obrazy, czy one naprawdę przedstawiają to, co widzisz?

Znowu skinęła głową.

- A więc, Emily, jakie to uczucie?

Może nadmiernie dramatyzuję, ale mam wrażenie, że jest w niej coś z czystego płótna, coś nie z tego świata, co jednocześnie przyciąga i odpycha. Jej obrazy doskonale to oddają, jakby młoda artystka jakimś cudem zyskała dostęp do innego poziomu poznania.

O, rany. Ale temu facetowi podobała się jego własna zabawa w aliteracje. Dalszy ciąg był mniej więcej w tym samym tonie, nie obyło się bez wzmianki o Rimbaudzie, prace Emily zostały porównane do dzieł Muncha i van Gogha, w artykule znalazła się nawet sugestia, że być może dziewczynka doświadczyła czegoś, co Feather określała channellingiem, czyli innymi słowy podłączyła się do otwartej częstotliwości talentu (zapewne od dawna nieżyjących artystów), aby stworzyć te zdumiewające obrazy.

Na pierwszy rzut oka, kontynuował Stuarts, wszystkie jej płótna sprawiają wrażenie abstrakcji. Wielkie, wyraziste plamy koloru, niektóre o tak wypukłej fakturze, że przypominają niemal rzeźby. Ale działają tutaj również inne wpływy, które nie mogą być przypadkowe. „Eroica” Emily White przypomina „Guernicę” Picassa, „Urodzinowy Bach” jest równie zatłoczony i zawily co dzieła Jacksona Pollocka, a „Gwiazdzista sonata księżycowa” nie przypadkiem przywodzi na myśl van Gogha. Czy to możliwe, jak sugeruje Graham Peacock, że wszelka sztuka bierze wspólny początek w

zbiorowej nieświadomości? A może ta mała dziewczynka stanowi „kanał” łączący nas z czymś, co wykracza poza sferę wrażliwości zwykłych śmiertelników?

Było tego jeszcze więcej - znacznie więcej - w podobnym duchu. Okrojona wersja artykułu trafiła nawet do „Daily Mirror” pod tytułem „Szósty zmysł niewidomej dziewczynki”, tekst przedrukowano też w „Sun”, no, przynajmniej jakąś jego namiastkę, opatrzoną zdjęciem Sissy Spacek w filmie „Carrie”. Wkrótce potem poszerzona wersja ukazała się w gazecie „Aquarius Moon”, tuż obok wywiadu z Feather Dunne. Do tej pory legenda Emily White zdążyła już okrzepnąć, a chociaż tamtego konkretnego dnia nie było jeszcze nawet śladu wrogich komentarzy, które miały się wkrótce pojawić, myślę, że już wtedy całe to zainteresowanie musiało budzić w niej niepokój. Nie znosiła tłumów, nienawidziła hałasu i wszystkich tych ludzi, którzy przychodzili i odchodzili, dziobiąc ją swoimi głosami jak wygłodniałe kurczęta.

Pan Stuarts rozmawiał teraz z Feather, Emily słyszała jej gardłowy, ciemny jak paczula głos mówiący coś o tym, że dzieci „sprawne inaczej” często są idealnymi gospodarzami dla życzliwych duchów. Po swojej lewej ręce miała matkę, która sprawiała wrażenie lekko wstawionej i śmiała się odrobinię za głośno pośród całego tego dymu i zgiełku.

- Zawsze wiedziałam, że to wyjątkowe dziecko - usłyszała Emily poprzez hałas. - Któż to wie, może Emily stanowi kolejny szczebel na drabinie ewolucji. Jedno z Dzieci Jutra.

„Dzieci Jutra”. Boże, co za określenie. Feather użyła go w rozmowie z dziennikarzem „Aquarius Moon” (z tego, co mi wiadomo, równie dobrze sama mogła je stworzyć), dając początek dziesiątkom najrozmaitszych teorii, o których Emily na szczęście nie miała pojęcia - przynajmniej aż do momentu swojego ostatecznego upadku.

Na razie to określenie jedynie ją drażniło. Wstała z krzesła i ruszyła w stronę otwartych drzwi, podążając za gładką linią ściany. Delikatny wietrzyk pieścił jej uniesioną ku górze twarz. Na zewnątrz było ciepło, Emily czuła na powiekach dotyk wieczornego słońca i zapach kwiatów magnolii, napływający z parku po drugiej stronie ulicy.

„To zapach bieli”, usłyszała w głowie głos matki. „Bieli magnolii”. Dla Emily brzmiało to miękko i czekoladowo, jak nokturn Chopina, jak „Kopciuszek”, po prostu aromat magii. W porównaniu z tym upał panujący w galerii wydawał się przytłaczający, a głosy tych wszystkich ludzi - gości, naukowców, dziennikarzy, mówiących jednocześnie i bardzo głośno - napierały na nią niczym gorący wiatr. Nigdy wcześniej nie miała wystawy. Nigdy nie miała nawet porządnego przyjęcia urodzinowego. Usiadła na stopniu schodów prowadzących do środka, po czym przycisnęła rozpalony policzek do chropawych prętów kutej balustrady i uniosła twarz na spotkanie tego białego zapachu.

- Cześć, Emily - usłyszała nagle.

Odwróciła głowę w stronę głosu. Chłopiec stał kilka kroków dalej. Starszy od niej, pomyślała, mógł mieć nawet szesnaście lat. Jego głos był dziwnie matowy i spięty, zupełnie jak instrument grający w niewłaściwym rejestrze. Emily wychwyciła w nim też ostrożną nutkę zmieszaną z ciekawością i czymś na kształt wrogości.

- Jak masz na imię? - spytała.

- B.B. - odpowiedział chłopiec.

- To nie jest imię - odparła Emily.

Nawet w jego tonie dało się wyczuć to wzruszenie ramion.

- Tak mówią na mnie w domu.

Zapadła przedłużająca się cisza, chociaż chłopak ewidentnie miał ochotę powiedzieć coś więcej i Emily czuła na sobie

jego spojrzenie. Wolałaby już, żeby zadał wreszcie swoje pytanie albo odszedł, zostawiając ją w spokoju. Tylko że on nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Po prostu tam stał, bez słowa otwierając i zamykając usta niczym drzwi często odwiedzanego sklepu.

- Uważaj - odezwała się w końcu sama - bo wpadnie ci mucha.

Usłyszała, jak jego zęby stuknęły o siebie.

- Myślałem, że n-nie widzisz.

- Bo nie widzę, za to doskonale cię słyszę. Robisz straszny hałas, kiedy otwierasz usta. A poza tym twój oddech się zmienia. - Emily odwróciła twarz z nagłym zniecierpliwieniem. Dlaczego w ogóle mu się tłumaczy? Przecież to tylko kolejny ciekawski, który przyszedł zobaczyć cudaka. Za chwilę, oczywiście jeśli się odważy, zapyta ją o kolory.

A kiedy rzeczywiście to zrobił, chwilę trwało, zanim Emily go zrozumiała. Jąkanie, pobrzmiwające w jego głosie już wcześniej, nasiliło się, nie, jak sobie uświadomiła, ze zdenerwowania, ale z powodu jakiegoś rzeczywistego napięcia, płaczącego mu słowa w kłębówisko, którego nawet on sam przez kilka sekund nie potrafił rozwikłać.

- Naprawdę s-s-, naprawdę s-s-, naprawdę słyszysz k-k.. - Emily zauważyła w jego głosie frustrację, kiedy tak zmagał się ze słowami. - Naprawdę słyszysz k-kolory? - wykrztusił w końcu.

Skinęła głową.

- Więc jakiego koloru ja jestem?

Tym razem Emily pokręciła głową.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. To jakby coś w rodzaju dodatkowego zmysłu.

Chłopak roześmiał się. Nie był to wesoły śmiech.

- Malbry cuchnie gównem - powiedział szybko bezbarwnym głosem. - Doktor Peacock pachnie jak guma balonowa.

A pan Pink pachnie gazem rozweselającym. - Emily zauważyła, że nie zająknął się ani razu podczas całej tej kwestii, najdłuższej, jaką usłyszała z jego ust do tej pory.

- Nie rozumiem - odrzekła zaskoczona.

- Nie wiesz, kim jestem, co? - rzucił z lekką goryczą chłopiec. - Mimo wszystkich tych dni, kiedy patrzyłem, jak grasz albo siedzisz na h-huśtawce w salonie.

W końcu zrozumiała.

- To ty? Ty jesteś Chłopcem X?

Przez chwilę milczał. Może nawet skinął głową - ludzie często zapominają o jej ślepcie - po czym powiedział po prostu:

- Tak. To ja.

- Słyszałam o tobie - rzuciła Emily. Nie chciała, żeby wiedział, że jej matka uważała go za oszusta. - Gdzie zniknąłeś, kiedy przestałeś przychodzić do doktora Peacocka?

- Nigdzie. Mieszkamy w Białym Mieście. Na skraju centrum. Mama pracuje na t-targu. S-sprzedaje o-owoce.

Znowu przedłużające się milczenie. Tym razem chłopiec nie próbował nic powiedzieć, Emily wyczuwała tylko, że jej się przyglądał. To ją krępowało, czuła jednocześnie oburzenie i coś na kształt lekkich wyrzutów sumienia.

- Nienawidzę tych pieprzonych owoców - rzucił wreszcie.

Kolejna chwila ciszy. Emily zamknęła oczy. Szkoda, że ten chłopak tak po prostu sobie nie pójdzie. Matka miała rację. On nie jest do niej podobny. Nawet nie zachowuje się uprzejmie. A jednak.

- Jak to jest? - Musiała o to spytać.

- Co, sprzedawać owoce?

- Ta... rzecz, którą robisz. Ta rzecz ze słowami, które mają zapach i smak. Nie wiem, jak to się nazywa.

Zapadła długa pauza, kiedy po raz kolejny szukał odpowiednich słów, żeby jej to wytłumaczyć.

- Ja nic nie r-robię - powiedział w końcu. - To po prostu... po prostu tam jest, tak jakby. Chyba podobnie jak u ciebie. Widzę coś, słyszę, a potem ogarnia mnie to uczucie. Nie pytaj dlaczego. Dziwne rzeczy. A poza tym to boli...

Znowu zamilkł. Szmer głosów dobiegający z galerii przycichł, Emily domyśliła się, że ktoś szykuje się do wygłoszenia mowy.

- Szczęściara z ciebie - dodał B.B. - Masz dar. Dzięki niemu jesteś wyjątkowa. A ta moja... chętnie bym się jej pozbył. To sprawia mi ból, o tutaj. - Jedną dłoń przytknął do skroni, drugą położył na karku. Emily wyczuła, że zadrżał, jakby rzeczywiście cierpiał. - A poza tym wszyscy mają mnie za szaleńca albo jeszcze gorzej, myślą, że udaję, by zwrócić na siebie uwagę. A ty, ty też uważasz, że udaję?

Emily zawahała się na ułamek sekundy. - Nie wiem...

Znowu ten śmiech.

- Sama widzisz. - Nagle stłumiony gniew, który Emily słyszała w jego głosie, zniknął pod warstwą ogromnego znużenia. - W końcu sam zacząłem myśleć, że udaję. A doktor Peacock... nie można go winić. To znaczy, mówił, że to dar. Tylko do czego miałby służyć? Twój potrafisz zrozumieć.

Widzenie kolorów, kiedy jest się niewidomym. Malowanie muzyki. To jak ch-cholerny cud. Ale w moim przypadku? Wyobraź sobie, co to dla mnie znaczy, c-codziennie... - Znowu zaczął się jękać. - W niektóre d-dni jest tak źle, że ledwie mogę myśleć, i po co to wszystko? Po co mi to?

Urwał; Emily słyszała jego chrapliwy oddech.

- Kiedyś myślałem, że jest na to lekarstwo - odezwał się po chwili. - Myślałem, że jeśli zrobię te wszystkie testy, doktor Peacock znajdzie jakiś środek. Ale nie ma żadnego sposobu. To wciska się wszędzie. Do wszystkiego. Do telewizji. Filmów. Nie da się od tego uciec. Od nich...

- Masz na myśli zapachy?

Przez chwilę milczał.

- Aha. Zapachy.

- A ja? - zapytała Emily. - Ja też mam zapach?

- Oczywiście, że masz, Emily - powiedział. Teraz usłyszała w jego głosie leciutki ślad uśmiechu. - Emily White pachnie różami. Jest taka róża, która rośnie tuż przy murku na skraju ogrodu doktora Peacocka. Nazywa się Albertyna.

Właśnie tak pachnie dla mnie twoje imię.

Dodaj komentarz

JennyTricks: (post usunięty)

blekitnookichlopiec: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

Albertyna: Ależ dziękuję...

15.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 04:29 we wtorek, 12 lutego

Status: prywatny

Nastrój: dobry

Słucham: „The Lady Lies” Genesis

Od tamtej chwili wiedziałem, że Emily White udaje. Nie miała jeszcze ośmiu lat, a już była mądrzejsza od nich wszystkich, od ludzi, którzy rozpętali całe to szaleństwo w mediach przekonani, że ją stworzyli.

„Jak to jest? Ta... rzecz, którą robisz?”

Już wtedy była taka piękna. Skóra o barwie waniliowych lodów, gładkie ciemne włosy i oczy Sybilli. Dobre pochodzenie daje dobrą karnację. Jej sięgało aż do kości: czoła, kości policzkowych, nadgarstków i szyi, pięknie rzeźbionych obojczyków. Ale...

„Jak to jest? Ta... rzecz, którą robisz?”

Nigdy by mnie o to nie spytała. Nie, gdyby mówiła prawdę. To, co czujemy - co wyczuwamy - jest w nas głęboko zakorzenione, jak żyłki ukryte w kostce mydła, niewytłumaczalne ostrza, które ranią równie dotkliwie jak czyjaś uroda.

Jej kłamstwo tylko to potwierdziło, ale wiedziałem już wcześniej, że jest moją pokrewną duszą. Złączeni oszustwem na zawsze, stanowiliśmy dwa czarne charaktery, zepsuci aż do szpiku kości. Nie było sensu pytać, kiedy - i czy - znowu ją zobaczę. Nawet gdyby chodziło o zwykłe dziecko, trudno byłoby zorganizować takie potajemne spotkanie, o jakim myślałem, więc w przypadku tej sławnej niewidomej dziewczynki nie miałem najmniejszych szans.

Właśnie wtedy zaczęły się pojawiać te sny. Nikt tak naprawdę nigdy mi nie wytłumaczył, o co chodzi z hormonami, dorastaniem czy seksem. Jak na kobietę wychowującą trzech nastoletnich synów Gloria okazała się zdumiewająco pruderyjna, więc kiedy nadeszła właściwa pora, musiałem dowiadywać się wszystkiego od moich braci, choć w najlepszym przypadku była to podwórkowa edukacja, która nie do końca przygotowała mnie na ciężar tego doświadczenia.

W dzieciństwie rozwijałem się bardzo powoli, tamtej wiosny jednak odbiłem to sobie wszystko z nawiązką. Urosłem blisko osiem centymetrów, cera mi się poprawiła, a poza tym nagle stałem się boleśnie świadomy samego siebie, intensywności wszystkich swoich doznań, które wydawały się nawet silniejsze niż poprzednio, i to do tego stopnia, że rano budziłem się ze wzrodem trwającym czasem przez wiele godzin.

Moje emocje oscylowały od głębokiego jak otchłań smutku po absurdalny entuzjazm, wszystkie zmysły uległy wyostreniu i rozpaczliwie pragnąłem kochać, dotykać, całować, czuć, wiedzieć.

Przez cały czas śniłem te swoje żywe, zwarte, namiętne sny, które spisywałem w Błękitnej Księdze, sny napełniające mnie wstydem i rozpaczą, a także przerażającą, tajemną radością.

Kilka miesięcy wcześniej Nigel powiedział mi, że niedługo przyjdzie pewnie pora, żebym sam zaczął prac swoje rzeczy.

Teraz już rozumiałem, co miał na myśli. Posłuchałem jego rady: często wietrzyłem pokój i prałem pościel trzy razy w tygodniu w nadziei, że zdołam się pozbyć wszechobecnego zapachu piżma. Mamusia nigdy tego nie skomentowała, ale czułem jej rosnącą dezaprobatę, jakby to była moja wina, że ostatecznie pozostawiam za sobą dzieciństwo.

Ona sama wyglądała staro, tak przynajmniej wtedy uważałem. Zawsze była twarda i kwaśna jak niedojrzałe jabłko, a teraz wyczuwało się w niej jeszcze jakąś desperację, kiedy bacznie obserwowała mnie podczas kolacji, powtarzając mi, że mam siedzieć prosto przy stole, jeść kulturalnie i przestać się wreszcie garbić, na miłość boską.

Pod wpływem nacisków mamy kontynuowałem naukę w szkole i na razie skutecznie ukrywałem przed nią fakt, jak bardzo odstaję od reszty kolegów. Ale potem przyszła Wielkanoc, zbliżał się termin przystąpienia do egzaminów państwowych, a ja nie radziłem już sobie z większością przedmiotów. Moja ortografia pozostawiała wiele do życzenia, od zadań matematycznych bolała mnie głowa, a im bardziej próbowałem się skoncentrować, tym gorsze stawały się owe ataki, które potrafił wywołać już sam widok szkolnego munda, powieszzonego na oparciu krzesła; tortura skojarzeń.

Nie było nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić po pomoc. Nauczyciele - nawet ci najbardziej życzliwie usposobieni - skłaniali się ku opinii, że zwyczajnie nie mam drygu do nauki. Nie mogłem im wyjawiać prawdziwego powodu swojego niepokoju. Nie mogłem się przyznać, jak bardzo się boję rozczarować mamusię.

Ukrywałem więc wszelkie dowody moich szkolnych niepowodzeń. Podrabiałem podpis matki na usprawiedliwieniach nieobecności. Chowałem przed nią kartki z ocenami, kłamałem, sfalszowałem nawet wykaz moich wyników na koniec semestru. Ale musiała coś podejrzewać, bo rozpoczęła

potajemne śledztwo - pewnie wiedziała, że będę próbował kłamać. Najpierw zadzwoniła do szkoły, żeby się dowiedzieć, jaką historyjkę opowiedziałem, a potem umówiła się z moją wychowawczynią i pedagogiem na spotkanie, na którym się dowiedziała, że od Bożego Narodzenia prawie nie chodziłem do szkoły z powodu przedłużającej się grypy i w rezultacie w ogóle nie przystąpiłem do egzaminów.

Pamiętam dokładnie tamten wieczór. Mamusia przygotowała moje ulubione danie - smażonego kurczaka z chili i kolbami kukurydzy - co już powinno wzbudzić we mnie niepokój. Powinienem też zauważyć jej strój - granatową sukienkę i te buty na obcasach - ale chyba po prostu byłem zbyt pewny siebie. Nawet przez moment nie podejrzewałem, że wszystko to ma uspić moją czujność, w głowie mi nie powstało, jak straszliwa czeka mnie kara.

Może byłem nierozważny. Może nie doceniłem mamusi. A może ktoś zauważył mnie na mieście z ukradzionym aparatem.

W każdym razie matka wiedziała. Wiedziała, obserwowała i cierpliwie czekała, a potem, po rozmowie ze szkolnym pedagogiem i moją wychowawczynią, panią Platt, wróciła do domu w tym swoim wyjściowym ubraniu i przygotowała kolację składającą się z moich ulubionych dań. Kiedy skończyła jeść, zostawiła mnie na kanapie przed włączonym telewizorem i zniknęła w kuchni. Myślałem, że poszła zmywać naczynia, a tymczasem ona zakradła się z powrotem do pokoju i zanim się zorientowałem, już otaczał mnie zapach l'Heure Bleue, a jej głos wysyczał mi do ucha:

- Ty mały gnoju.

Odwrociłem się gwałtownie. To właśnie wtedy mnie uderzyła. Uderzyła mnie talerzem prosto w twarz i przez sekundę byłem rozdarty pomiędzy szokiem, jaki spowodował cios w brew i kość policzkową, a zwyczajną konsternacją z powodu

całego tego bałaganu - tłuszczu z kurczaka i ziaren kukurydzy na twarzy i we włosach - który wywołał we mnie większe przerażenie niż widok krwi spływającej do oczu, krwi zabarwiającej świat w odcieniach *escarlata*.

Oszołomiony, próbowałem się wycofać, ale nadziałem się na kanapę, aż przeszył mnie ból, dotknięcie lodowatych palców u nasady kręgosłupa. Matka uderzyła mnie znowu, tym razem w usta, a potem zaczęła mnie okładać pięściami, wrzeszcząc przy tym:

- Ty kłamliwy gnojku, ty oszukańczy gówniarzu!

Wiem, co sobie teraz myślicie: mogłem się bronić. Słowami, jeśli nie pięściami czy kopniakami. Ale tym razem nie pomogłyby żadne magiczne słowa. Żadne pokrętne wyznania miłości nie zdołałyby ułagodzić matki, żadne zapewnienia o niewinności nie powstrzymałyby jej gniewu.

To właśnie ta wściekłość Glorii przerażała mnie najbardziej - niepohamowany, gwałtowny atak szału - o wiele gorsza niż razy i uderzenia, a ohydny, szlamowaty posmak napoju witaminowego jakimś cudem stał się elementem tego wszystkiego, podobnie jak krzyk matki, wrzeszczącej mi prosto do ucha, aż wreszcie zacząłem płakać: „Mamusi! Proszę cię! Mamusi!” - zwinięty w kącik za kanapą, z głową osłoniętą ramionami, podczas gdy krew spływała mi do oczu i zalewała usta. A te słabe, przerażone słowa w niebieskawym odcieniu, niczym bezradny krzyk nowo narodzonego dziecka, podkreślały każdy cios, dopóki świat stopniowo nie przeszedł od czerwieni krwi do niebieskawej czerni, a wybuch dobiegł wreszcie końca.

Potem mama dała mi jasno do zrozumienia, jak bardzo ją zawiodłem. Siedziałem na kanapie z jedną ściereczką przyciśniętą do rozciętej wargi, a drugą do łuku brwiowego i z łkaniem wysłuchiwałem długiej listy moich zbrodni, żeby w końcu usłyszeć ostateczny wyrok:

- Będę cię mieć na oku, B.B.

Nasza maleńka gra. Oko mojej matki, wszechwiedzące niczym oko opatrności. To jego spojrzenie było zupełnie jak świeży tatuaż, otarcie na nagiej skórze. Czasami je sobie wyobrażam: jest zabarwione błękitem siniaków, błękitem szpitala, błękitem wyblakłego kombinezonu więziennego. I czuję się nim naznaczony już na zawsze - to znak mojej matki, znak Kaina, piętno, którego nigdy nie zdołam zmazać.

Tak, zawiodłem ją. Po pierwsze, jak mi powiedziała, swoimi kłamstwami - jak gdybym mówiąc prawdę, mógł się uchronić przed tym wszystkim. Po drugie, swoimi licznymi niepowodzeniami: tym, że nie odnosiłem sukcesów w szkole, nie byłem dobrym synem i nie umiałem spełnić jej oczekiwań.

- Proszę, mamusiu. - Bolały mnie żebra, później miało się okazać, że dwa były pęknięte. Nos też miałem złamany (do tej pory widać, że jest odrobinę krzywy), a jeśli przyjrzą się uważnie moim ustom, zobaczą blizny, cieniutkie, srebrzyste szramy przypominające niewprawny ścieg ucznia.

- Sam sobie jesteś winien - rzuciła, jakby wymierzyła jedynie macierzyńskiego klapsa, żeby zwrócić mi uwagę. - No i co to za konszachty z tą małą?

Kłamstwo przyszło mi bez trudu, zupełnie odruchowo.

- Jaką małą?

- Nie rób takiej niewinnej minki... - Wygięła wąskie wargi w kwaśnym uśmiechu, aż przeszedł mnie zimny dreszcz. - Wiem, co wyprawiasz. Łazisz za tą ślepą dziewczynką.

Czyżby pani White z nią rozmawiała? A może mama dostała się jakoś do mojej ciemni? Albo któraś z jej przyjaciółek wspomniała, że zauważyła mnie gdzieś z aparatem fotograficznym?

W każdym razie mamusia wiedziała. Jak zawsze. O zdjęciach Emily, graffiti na drzwiach domu doktora Peacocka, ciągnących się całymi tygodniami wagarach. A Błękitna

Księga, pomyślałem nagle z niepokojem, czy to możliwe, że do niej też się dobrała? Ręce zaczęły mi się trząść.

- No i co masz do powiedzenia na swoją obronę? Nigdy nie zdołałem jej tego wytłumaczyć.

- Proszę, m-mamusiu. P-przepraszam.

- O co chodzi z tobą i tą niewidomą małą? Co wy tam we dwójkę knujecie?

- Nic. Naprawdę nic, mamusiu. Nigdy nawet z nią nie rozmawiałem!

Matka rzuciła mi jeden ze swoich lodowatych uśmiechów.

- A więc, nigdy z nią nie rozmawiałeś? Nigdy, ani razu, przez cały ten czas?

- Jeden jedyny raz. Przed galerią...

Oczy matki zwięzły się nagle, zobaczyłem, jak jej ręka unosi się do góry, i już wiedziałem, że znowu dostanę. Myśl o tych agresywnych dłoniach w pobliżu moich ust nagle wydała mi się nie do zniesienia, wzdrygnąłem się więc w obronnym odruchu i powiedziałem pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy:

- Emily o-oszukuje - rzuciłem w pośpiechu. - Wcale nie słyszy kolorów. Nawet nie wie, o co chodzi. Zmyśla - sama mi to mówiła - i wszyscy na tym zarabiają...

Czasami trzeba wykorzystać zupełnie nową myśl, żeby powstrzymać niszczycielską siłę. Matka popatrzyła na mnie spod zmrużonych powiek, jakby próbowała przejrzeć moje kłamstwo. A potem bardzo powoli opuściła rękę.

- Co ty powiedziałeś?

- Ona zmyśla. Mówi to, co ludzie chcą usłyszeć. A pani White ją do tego przygotowała...

Matka milczała przez chwilę. Widziałem, jak zastanawia się nad tą informacją, niespiesznie zapuszczającą w niej korzenie, wypierającą rozczarowanie i gniew.

- Tak ci powiedziała? - zapytała w końcu. - Przyznała ci się, że zmyśla?

Skinąłem głową w nagłym przypiływie odwagi. Wargi nadal mnie piekły, żebra wciąż były obolałe, ale oprócz cierpienia czułem też smak zwycięstwa. Wbrew temu, co sądzili moi bracia, zawsze miałem talent do zmyślania na poczekaniu i teraz wykorzystałem go, żeby uwolnić się spod badawczego spojrzenia matki.

Zrelacjonowałem jej wszystko. Naopowiadałem bajek. Wszystkie te rzeczy, które kiedykolwiek słyszeliście na temat sprawy Emily White, każda plotka, drwina, każdy złośliwy komentarz, wszystko to wzięło swój początek ode mnie - i tak jak ziarnko piasku drażniące ciało ostrygi twardnieje, żeby w końcu zamieniać się w perłę, tak moje słowa rozkwitły i wydały owoce.

Wiedzieliście, że niegrzeczny ze mnie chłopiec. Ale nie mieliście pojęcia, jak bardzo jestem niegrzeczny. W tamtej jednej chwili wyznaczyłem kurs ku tragicznemu zakończeniu, stając się współtowarzyszem podróży Emily White w tej drodze.

Krętej drodze ku morderstwu.

16.

Autorem tego bloga jest Albertyna, pisząca na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 08:37 w środę, 13 lutego

Status: publiczny

Nastrój: przygnębiony

Wszystko zaczęło chylić się ku upadkowi właśnie wtedy, w wieczór tamtej pierwszej wystawy. Przez jakiś czas żyłam jeszcze w błogiej nieświadomości, jednak już wówczas sprawa Emily White zaczęła przybierać niepokojący obrót. Początkowo mogło się to wydawać zaledwie drobną zmarszczką na gładkiej tafli wody, ale po sukcesie książki doktora Peacocka coraz więcej ludzi interesowało się tą sprawą, gotowych wierzyć w najgorsze, oceniać, zazdrościć i drwić.

We Francji, kraju uwielbiającym cudowne dzieci, *L’Affaire Emily* wzbudziła ogromne zainteresowanie. Jeden z pierwszych mecenasów Emily - stary przyjaciel doktora Peacocka z Paryża - sprzedał kilka jej obrazów w swojej galerii w Rive Gauche. „Paris Match” skwapliwie podchwycił historię, podobnie zresztą jak niemiecki „Bild” i wszystkie angielskie

tabloidy - nie wspominając już o wywiadzie z Feather zamieszczonym w „Aquarius Moon”.

Tyle że potem wybuchł skandal. Media mocno nagłośniły sprawę i w niecałe pół roku po triumfalnym początku kariery Emily właściwie była skończona.

Oczywiście niczego takiego się nie spodziewałam. Skąd mogłam wiedzieć? Nie czytałam gazet, plotki i pogłoski do mnie nie docierały. Jeśli rzeczywiście coś wisiało w powietrzu, to byłam zbyt zajęta sobą, żeby dostrzec niebezpieczeństwo, tak zaabsorbowana swoją maskaradą, że właściwie nie zauważyłam, co się dzieje. Tata zdawał sobie sprawę - wiedział od samego początku - ale nie był w stanie powstrzymać lawiny. Padły oskarżenia, zostało wszczęte dochodzenie. W gazetach aż się roilo od sprzecznych relacji, ukazała się książka na ten temat, powstał nawet film - ale jedno było jasne dla wszystkich. Bańka mydlana pękła. Cudowne dziecko zniknęło. Fenomen Emily White ostatecznie przestał istnieć. A kiedy nie było już nic do stracenia, roztopiliśmy się, tata i ja, niczym ulepiona ze śniegu dziewczynka z bajki, nie pozostawiając po sobie śladu.

Początkowo czuliśmy się jak na wakacjach. To tylko na chwilę, dopóki nie staniemy na nogi. Niekończący się szereg wynajętych pokoi. Bekon na śniadanie, śpiew ptaków o świecie, świeża czysta pościel na obcych, wąskich łózkach. Wakacje od Malbry, mówił tata, i przez kilka pierwszych tygodni mu wierzyłam, podążałam za nim niczym potulne jagniątko, dopóki nie osiedliśmy wreszcie w odludnym zakątku niedaleko granicy ze Szkocją, gdzie nikt, jak zapewniał tata, nie powinien nas rozpoznać.

W ogóle nie tęskniłam za matką. Wiem, że to musi brzmieć okropnie, ale fakt, że miałam tatę wyłącznie dla siebie, napawał mnie tak wielką radością, że Malbry i moje stare życie wydawały mi się teraz czymś, co przydarzyło się

komuś innemu, jakiejś innej dziewczynce, dawno temu. A kiedy w końcu zrozumiałam, że coś jest nie w porządku, a tata z wolna traci rozum i już nigdy nie stanie z powrotem na nogi, kryłam go najlepiej, jak potrafiłam, dopóki po nas nie przyszli.

Ojciec zawsze był spokojnym człowiekiem. Teraz pograżył się w depresji. Początkowo sądziłam, że to wina osamotnienia, i ze wszystkich sił próbowałam mu je wynagrodzić. Ale wraz z upływem czasu tata stawał się coraz bardziej wycofany, coraz bardziej zaabsorbowany swoimi dziwactwami, uzależniony od swojej muzyki do tego stopnia, że zapominał o jedzeniu i śnie, opowiadał te same stare historyjki, wygrywał te same stare melodie na fortepianie w holu albo odtwarzał je na zniszczonym stereo - „Dla Elizy” i sonatę Księżycową, no i oczywiście Berliozą, „Symfonię fantastyczną”, a już zwłaszcza „Drogę na miejsce stracenia” - podczas gdy ja starałam się nim opiekować najlepiej, jak umiałam. Ale i tak coraz bardziej zapadał się w ciszę.

Półtora roku później doznał pierwszego udaru. Na szczęście przy nim byłam, mówili, na szczęście w porę go znalazłam. Udar okazał się lekki, poinformowali mnie lekarze, zaburzył jedynie mowę i funkcjonowanie lewej ręki. Najwyraźniej nie rozumieli, jak ważne dla taty były dłonie - w ten sposób przemawiał do mnie, kiedy słowa mu umykały.

To oznaczało koniec naszego ukrywania się. Zostaliśmy odnalezieni. Zabrano nas do różnych miejsc - tatę do domu opieki niedaleko Malbry, mnie do innego ośrodka, gdzie wytrzymałam następne pięć lat. I nawet przez moment nie zastanowiło mnie, że ktoś musiał za to wszystko płacić rachunki, ktoś się nami opiekował, że doktor Peacock nas wytropił.

Później dowiedziałam się o ich jednostronnej korespondencji, wciąż ponawianych przez doktora Peacocka próbach

nawiązania kontaktu i braku odpowiedzi ze strony mojego nieugiętego ojca. Dlaczego w ogóle doktor interesował się naszym losem? Może trapiły go wyrzuty sumienia, a może kierowało nim poczucie lojalności wobec starego przyjaciela albo współczucie dla małej dziewczynki zaplątanej w całą tę tragedię.

W każdym razie doktor Peacock płacił nasze rachunki i opiekował się nami z daleka, podczas gdy dom stał pusty, nieużywany i niekochany, zamknięty na cztery spusty niczym niechciany prezent, po brzegi wypchany wspomnieniami.

Skończyłam osiemnaście lat. Znalazłam sobie samodzielne mieszkanie w centrum Malbry, małą klatkę na czwartym piętrze, z jednym pokojem pełniącym jednocześnie funkcję salonu i sypialni, maciupenką kuchnię i łazienką wyłożoną do połowy wysokości kafelkami, w której zawsze czuć wilgoć. Odwiedzałam tatę co tydzień - czasami nawet pamiętał, kim jestem. Przez pewien czas miałam obawy, że zostanę rozpoznana, w końcu jednak zrozumiałam. Emily White nikogo już nie obchodziła. Nikt jej nawet nie pamiętał.

Ale nic nigdy nie znika bezpowrotnie. Tak naprawdę już nic nigdy się nie kończy. Mimo całego tego poczucia bezpieczeństwa i miłości, jakie ofiarował mi Nigel, wiem teraz - nawet jeśli odrobinę za późno - że podążając za nim, po prostu zamieniłam złotą klatkę na inny rodzaj więzienia.

Ale w końcu jestem wolna od nich wszystkich. Wolna od rodziców, wolna od doktora, wolna od Nigela. Kim więc teraz jestem? Dokąd mam pójść? I ile jeszcze osób będzie musiało umrzeć, zanim uwolnię się od Emily?

Dodaj komentarz

blekitnookichlopiec: To naprawdę poruszające, Albertyno.

Czasami zadaję sobie dokładnie to samo pytanie...

CZEŚĆ CZWARTA

DYM

1.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec.

Wpis zamieszczony o: 15:06 w środę, 13 lutego

Status: prywatny

Nastrój: pogodny

Słucham: „Blue-eyed Matador” Voltaire'a

Dzisiaj spałem aż do popołudnia. Powiedziałem mamusi, że wziąłem w pracy urlop. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie sypiam wiele, ale ostatnio drzemałem zaledwie dwie - trzy godziny na dobę, a ostatnia wymiana ciosów z Albertyną musiała mnie wyczerpać bardziej, niż przypuszczałem. Mimo wszystko warto było, nie sądzicie? Po dwudziestu latach milczenia nagle ona chce rozmawiać.

Nie mogę powiedzieć, żebym miał jej to za złe. Wskrzeszanie umarłych zawsze wywołuje poważne konsekwencje. Brukowce rzucają się na nią nieubłaganie całymi chmurami. Pieśniadze, morderstwo i szaleństwo to doskonała pożywka dla mediów. Tylko czy ona zdoła przetrwać takie wystawienie na widok publiczny? A może nadal będzie się ukrywać, w milczeniu, potajemnie akceptując przeszłość, która nigdy się nie wydarzyła?

Wziąłem prysznic, przebrałem się i wyruszyłem na poszukiwanie Albertyny. Kafejka Różowa Zebra przy Mili Road, to właśnie tam zagląda, kiedy chce pobyć kimś innym. Dochodziła szósta, niedługo będą zamykać. Siedziała samotnie przy barze nad filiżanką gorącej czekolady i cynamonową bułeczką. Pod czerwonym płaszczem miała sukienkę w kolorze nieba.

Albertyna w błękitcie, pomyślałem. To chyba mój szczęśliwy dzień.

- Można się przysiąc? - Na dźwięk mojego głosu wzdrygnęła się gwałtownie. - Jeśli nie jesteś w towarzyskim nastroju, obiecuję, że nie pisnę nawet słówka. Ale ta gorąca czekolada wygląda apetycznie, a...

- Nie, zostań, proszę.

Smutek zawsze czynił jej twarz nagą. Wyciągnęła rękę na powitanie. Kiedy dotknąłem jej palców, od stóp aż po korzonki włosów przeszył mnie dreszcz, jakby przebiegł mnie prąd.

Zastanawiałem się, czy ona też to poczuła - palce miała chłodne, jej dłoń spoczywała w mojej nie do końca pewnie. Miała w sobie coś niemal dziecięcego, rodzaj biernej akceptacji, którą Nigel musiał uznać za bezbronność. Ja oczywiście jestem mądrzejszy, ale stanowię szczególny przypadek, o czym ona na pewno doskonale wie.

- Dziękuję. - Usiadłem obok niej. Zamówiłem earl greya i najbardziej kaloryczne ciasto, jakie było w karcie. Od dwudziestu czterech godzin nie miałem nic w ustach i po prostu umierałem z głodu.

- Cytrynowe? - Uśmiechnęła się. - To chyba twoje ulubione.

Zjadłem ciasto, ona wypila swoją gorącą czekoladę, ale cynamonowej bułeczki nawet nie tknęła. Proces jedzenia czyni człowieka dziwnie nieszkodliwym, wszelka broń złożona, wspólny cel.

- Jak sobie z tym radzisz? - zapytałem, przelknąwszy ostatni kęs.

- Nie chcę o tym rozmawiać - odparła.

Przynajmniej nie udawała, że nie wie, o co chodzi. Jeszcze kilka dni i nie będzie miała wyboru. Wystarczy jedno słówko do prasy, a cała historia przestanie być tajemnicą, czyjej się to podoba, czy nie.

- Tak mi przykro, Albertyno - powiedziałem.

- To już przeszłość, B.B., życie toczy się dalej.

No cóż, to akurat było kłamstwem. Życie wcale nie toczy się dalej. To tylko koło obraca się wciąż na nowo, stwarzając złudzenie pędu, nic więcej. A my w jego wnętrzu jesteśmy jak szczyry, biegnące z rosnącą desperacją w stronę namalowanego błękitnego horyzontu, który nigdy nie przybliży się nawet o jotę.

- Szczęściara. Tak po prostu żyjesz dalej. Przynajmniej bycie martwym pozwala zamknąć przeszłość.

- A co to niby miało znaczyć? - obruszyła się.

- No cóż, każdy bierze stronę ofiary oczywiście. Zasłużenie czy nie, każdy zaczyna opłakiwać frajera, kiedy ten w końcu kopnie w kalendarz. A co z resztą nas? Tych, którzy mają swoje własne problemy? Stanie się martwym jest całkiem proste. Nawet moi bracia sobie z tym poradzili. Ale życie z poczuciem winy to już co innego. Niełatwo być niegrzecznym chłopcem...

- A ty właśnie taki jesteś? - spytała łagodnie.

- Chyba oboje już się co do tego zgodziliśmy.

Po jej twarzy przemknął cień uśmiechu, niczym strzęp obłoczka po letnim niebie.

- Co zaszło pomiędzy tobą a Nigelem? - zapytała po chwili.

- Niewiele o tobie mówił.

Naprawdę? Świetnie.

- A jakie to ma teraz znaczenie?

- Po prostu chciałabym zrozumieć. O co poszło?

Wzruszyłem ramionami.

- Mieliśmy swoje problemy.

- Kto ich nie ma?

Roześmiałem się na te słowa.

- Nasze były innego rodzaju. W ogóle to stanowiliśmy zgrają odmieńców.

Na moment uciekła wzrokiem gdzieś w bok. Ma niesamowicie piękne oczy, w odcieniu bajkowego błękitu nakrapianego złotem. W porównaniu z nimi moje są szare, zimne, jak to określają niektórzy, zmienne.

- Nigel nigdy nie opowiadał za wiele o swojej rodzinie - wyjaśniła, po czym ostrożnie uniosła filiżankę z gorącą czekoladą do ust.

- Jak już wspomniałem, nie byliśmy sobie szczególnie bliscy.

- Nie w tym rzecz. Wiem, jak to jest w rodzinie. Nigel nigdy nie umiał się trzymać z daleka. Jakby coś go tutaj trzymało...

- To na pewno mama - wyjaśniłem.

- Ale przecież Nigel nienawidził swojej matki. - Urwała. - Przepraszam. Wiem, że jesteś jej bardzo oddany.

- Tak ci powiedział? - spytałem suchym głosem.

- Po prostu tak mi się wydawało, w końcu, no wiesz, nadal z nią mieszkasz.

- Niektórzy przyzwyczajają się do życia z rakiem - mruknąłem.

Albertyna rzadko się uśmiecha. Myślę, że trudno jej zrozumieć wszystkie te drobne zmiany w mimice twarzy, różnice pomiędzy uśmiechem a skrzywieniem się, grymasem bólu. Oczywiście jej własna twarz nie jest kompletnie pozbawiona wyrazu. Po prostu konwenanse to nie dla niej, ona nigdy nie daje po sobie poznać, co czuje.

- Więc dlaczego zostałeś? - zapytała w końcu. - Dlaczego nie uciekłeś jak Nigel?

- Uciec? - Parsknąłem śmiechem. - Nigel wcale nie uciekł. Wylądował w odległości niespełna kilometra od domu. I to ni mniej, ni więcej, tylko z dziewczyną z sąsiedztwa. Myślisz, że to można uznać za ucieczkę? Ale z drugiej strony z ciebie też żaden ekspert. Oboje trafiliście do tego samego rynsztoka, tyle że Nigel przynajmniej patrzył w gwiazdy.

Milczała tak długo, aż zacząłem się zastanawiać, czy nie posunąłem się za daleko. Ale Albertyna jest twardsza, niż na to wygląda.

- Przepraszam - powiedziałem. - Zdaje się, że to było zbyt obcesowe.

- Chyba wolałabym, żebyś już sobie poszedł. - Odstawiła filiżankę z czekoladą na blat. Słyszałem w jej głosie napięcie, w tamtym momencie ciągle jeszcze pod kontrolą, chociaż niewiele trzeba było, żeby wybuchnęła.

Nie ruszyłem się z miejsca.

- Przepraszam - powtórzyłem. - Ale Nigel wcale nie był taki kryształowy. Wciągnął cię w swoją grę. Wiedział, kim jesteś, kim byłaś. I wiedział też, że kiedy doktor Peacock umrze, on będzie wreszcie miał w ręku swój bilet do wolności.

- Kłamiesz!

- Nie, nie tym razem - odparłem.

- Nigel nienawidził kłamców. I dlatego nienawidził ciebie.

Au. To było naprawdę okrutne, Albertyno.

- Nie, nienawidził mnie, bo byłem pupilkiem mamy. Zawsze mi zazdrościł. Musiał dostać wszystko, czego pragnąłem. Może dlatego chciał mieć ciebie. Oraz pieniądze doktora Peacocka, oczywiście. - Zerknąłem na nietkniętą cytrynową bułeczkę. - Nie zamierzasz tego jeść?

Zignorowała moje pytanie.

- Nie wierzę ci. Nigel nigdy by mnie nie okłamał. Był najuczciwszym człowiekiem, jakiego znałam. Dlatego właśnie go pokochałam.

- Miłość? - rzuciłem. - Nigdy go nie kochałaś. Ty po prostu uwielbiałaś być kimś innym. - Odgryzłem kęs cynamonowej bułeczki. - A co do Nigela, któż to wie? Może zamierzał powiedzieć ci prawdę. Może uważał, że po prostu potrzebujesz czasu. A może podobało mu się to poczucie władzy, jaką dzięki temu miał nad tobą...

- Co takiego?

- Och, proszę cię, nie udawaj. Niektórzy faceci uwielbiają rządzić. Mój brat miał prawdziwą obsesję na punkcie władzy, no i oczywiście całkiem niezły charakter. Naprawdę nieposkromiony. Na pewno doskonale zdawałaś sobie z tego sprawę.

- Nigel był dobrym człowiekiem - odparła cicho.

- Tacy ludzie nie istnieją - rzuciłem w odpowiedzi.

- A właśnie że on taki był. Był dobry! - Teraz jej głos rozrywał powietrze plamami zieleni i szarości. Wkrótce, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości, ogarnie mnie znajomy zapach, ale na razie nie przerywałem ciszy.

- Usiądź - powiedziałem w końcu i podniosłem dłonie Albertyny do swojej twarzy. - Tylko na momencik.

Przez chwilę się opierała. Może ten gest był zbyt intymny. Ostatecznie jednak musiała zmienić zdanie, bo nagle przymknęła oczy i dotknęła mojej twarzy, przesuwając po skórze chłodnymi palcami, od czoła aż po podbródek, delikatnie badając szwy pod lewym okiem, opuchliznę na kości policzkowej, rozciętą wargę, złamany nos.

- Nigel ci to zrobił? - zapytała miękko.

- A jak myślisz?

Otworzyła oczy. Boże, były takie piękne. Teraz już nie widziałem w nich smutku, gniewu ani miłości. Tylko piękno, czyste i nieskalane.

- Zawsze był niezrównoważony - dodałem. - Pewnie sam ci się do tego przyznał. Powiedział ci, że miał skłonności do przemocy? Że ni mniej, ni więcej tylko zamordował swojego brata?

Skrzywiła się.

- Oczywiście, że mi powiedział. Mówił, że to był wypadek.

- Ale opowiedział ci o wszystkim, tak?

- Ponad dwadzieścia lat temu wdał się w bójkę. To jeszcze nie czyni z niego mordercy.

- Och, proszę cię - przerwałem j ej. - Jakie to ma znaczenie, kiedy to było. Ludzie się nie zmieniają. To bujda. Nie istnieje coś takiego jak nagłe nawrócenie, nie ma żadnej drogi ku odkupieniu. Nawet miłość dobrej kobiety - zakładając oczywiście, że coś takiego jest możliwe - nie zdoła zmyć krwi z rąk zabójcy.

- Przestań! - Jej dłonie drżały teraz mocno. - Nie możemy tak po prostu dać sobie z tym spokoju? - rzuciła. - To już przeszłość i lepiej niech tak zostanie, choć ten jeden raz.

Przeszłość? Nie wyjeżdżaj mi z takimi tekstami, Albertyno. Ty, spośród wszystkich ludzi na świecie, powinnaś rozumieć, że przeszłość nigdy nie jest zamknięta. Wszędzie ją za sobą wlecemy, jak beżpański kundel ciągnie puszkę uwiązaną do ogona. Spróbuj przed nią uciec, a narobi jeszcze więcej hałasu. Aż doprowadzi cię do szaleństwa.

- Nigdy ci nie powiedział, prawda? - spytałem. - Nigdy nie wyjaśnił, co się wydarzyło tamtego dnia?

- Proszę, nie. Zostaw mnie w spokoju.

Z tonu jej głosu poznałem, że dała już wszystko, co mogła mi dziś dać. Szczerze mówiąc, poszło nawet lepiej, niż się spodziewałem, a poza tym najważniejsza zasada każdej zabawy to wiedzieć, kiedy pora kończyć. Uregulowałem rachunek, zostawiając dwudziestofuntowy banknot pod swoim talerzem. Albertyna nie odpowiedziała, nawet nie podniosła

wzroku, kiedy się z nią żegnałem. Ostatnim obrazem, jaki zobaczyłem, zanim otworzyłem drzwi i wyszedłem w ciemność, był przelotny błysk koloru, kiedy sięgnęła po swój czerwony płaszcz, powieszony za barem, a otwarte dłonie przesłoniły jej profil.

Prawda boli, co, Albertyno? Kłamstwa są znacznie bezpieczniejsze. Ale w naszej rodzinie często trafiają się mordercy, więc Nigel nie stanowił tu żadnego wyjątku. No bo kto by pomyślał, że ten miły młody człowiek jest zdolny do tak strasznej zbrodni? I komu przyszłoby do głowy, że niewinne kłamstwo może się rozrosnąć do rozmiarów morderstwa?

2.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 23:25 w środę, 13 lutego

Status: prywatny

Nastrój: ponury

Aktualnie słucham: „The Great Pretender” Freddiego Mercury'ego

Nieszczęśliwy wypadek, mówili ludzie. Pęknięta czaszka, rezultat upadku ze schodów. Nawet nie z głównych, jak się okazało, tylko z sześciu kamiennych stopni przed frontowymi drzwiami. Jakimś cudem spadł z podjazdu, który zbudowałem - a może po prostu próbował wstać, jak to czasem robił, w cudowny sposób stanąć na własnych nogach i przejść przez zasnutą białą mgłą trawnik niczym Chrystus po wodzie.

To było ponad trzy tygodnie temu. Od tamtej pory w moim życiu wydarzyło się tyle rzeczy. Śmierć brata, utrata pracy i rozmowa z Albertyną. Ale niech wam się nie wydaje, że zapomniałem. Doktor Peacock zawsze był obecny w moich myślach. Chociaż miał wystarczająco dużo lat, by zostać zapomnianym przez wszystkich, których znał, wystarczająco dużo, żeby przeżyć czas swojej chwały, a nawet niesławy.

Żaloszny starzec, zdeorientowany i na wpół ślepy, który wciąż od nowa opowiadał te same historie i ledwie rozpoznawał moją twarz.

Wiecie, włączył mnie do grona swoich spadkobierców. Czyż to nie prawdziwa ironia losu? Znajdziecie mnie na samym końcu testamentu, pod nagłówkiem „różne”. No tak, kogoś, kto zostawia trzydzieści tysięcy schronisku dla zwierząt sprawującemu opiekę nad jego psami, stać też na to, żeby zapisać parę tysiaków facetowi, który mu sprzątał, gotował papkowate posiłki dla staruszków i woził go w wózku inwalidzkim po ogrodzie.

Parę tysiaków. Po podatkach mniej. Nie na tyle dużo, by kwalifikowało się jako motyw. Ale to dosyć miłe, spotkać się, jeśli już nie z uznaniem, to przynajmniej z jakimś dowodem wdzięczności za wszystko, co dla niego zrobiłem, za mój niegasnący optymizm i uczciwość.

Czy pamiętał moje dziesiąte urodziny? Świeczkę na lukrowanej babeczce? Nie sądzę - dlaczego miałoby go to obchodzić? Byłem dla niego nikim, niczym. Jeśli nawet tamten dzień przetrwał w jego pamięci, to raczej jako ten, w którym pochował swojego biednego starego Rovera, Bowsera, Jocka czy jak tam się ten cholerny pies nazywał. Udawanie przed samym sobą, że mógłbym go w ogóle obchodzić, ja, błękitnokichłopic, to kompletny absurd. Byłem dla niego po prostu jednym z projektów, nawet nie głównym bohaterem sztuki. A jednak nadal się zastanawiam.

Czy rozpoznał swojego zabójcę? Czy próbował wzywać pomocy? A może wszystko mu się zamazało, po prostu masa roztrzaskanych na kawałki obrazów? Osobiście lubię myśleć, że na samym końcu zrozumiał. Że kiedy umierał, odzyskał zmysły na wystarczająco długo, by zdawać sobie sprawę, jak umiera i dlaczego. Nie każdy ma ten przywilej. Nie każdemu jest to dane. Ale lubię myśleć, że w jego przypadku właśnie

tak się stało i że ostatnią rzeczą, jaką kiedykolwiek zobaczył, jaką zabrał ze sobą do wieczności, był obraz znajomej twarzy, oczu, które tak dobrze znał.

Oczywiście policjanci zjawili się i w naszym domu. Skierowała ich do nas Eleanor Vine, chociaż nie mam pojęcia, skąd się dowiedziała, że pracuję we Dworze. Jak na kobietę, która spędza większość czasu w domu, szorując podłogi, wykazywała zdumiewający talent do odkrywania wstydlivych sekretów innych ludzi. W tym wypadku jednak zorientowałem się, zresztą nie bez ulgi, że moja przykrywka została zdemaskowana tylko częściowo: pani Vine wiedziała, że zajmowałem się doktorem Peacockiem, ale nie miała pojęcia o mojej pracy w szpitalu, chociaż żywiła pewne podejrzenia, w związku z czym odkrycie tego mojego sekretu stanowiło jedynie kwestię czasu.

Czy przypuszczała, że miałem jakiś związek ze śmiercią doktora? Jeśli tak, to musiała przeżyć ogromne rozczarowanie. Nie było żadnych kajdanek, żadnego przesłuchania, żadnej przejażdżki do komisariatu. Nawet pytania, które zadawali mi policjanci, okazały się zupełnie rutynowe. Ostatecznie nie znaleziono żadnych śladów użycia przemocy. Ofiara po prostu upadła, a zgon - przypadkowa śmierć - jakiegoś staruszka (choćby i w przeszłości sławnego) to nie powód do podejrzeń.

Natomiast matka bardzo się tą sprawą przejęła. Chociaż nie chodziło jej o to, że mogłem zabić doktora Peacocka, tylko raczej o sam fakt, że w ogóle bywałem we Dworze, pracowałem tam od półtora roku, podczas gdy ona niczego nie podejrzewała - i że co gorsza, Eleanor wiedziała.

- Jak mogłeś? - rzuciła, gdy tylko policjanci wyszli. - Jak twoja stopa mogła w ogóle postać w tamtym domu po tym wszystkim, co zaszło?

Nie było sensu zaprzeczać. Ale jak wie każdy wprawny kłamca, jedna półprawda potrafi zamaskować tysiąc kłamstw.

Tak więc się przyznałem. Nie miałem wyboru. Musiałem sobie znaleźć jakieś dodatkowe zajęcie. To wchodzi w zakres opieki szpitala nad pacjentami ambulatoryjnymi. Fakt, że trafił mi się ten konkretny przypadek, to czysty zbieg okoliczności.

- Mogłeś się od tego wymówić. Gadaniem zdołałbyś się wydostać z zamkniętego pokoju...

- To nie takie proste, mamoo...

Właśnie wtedy mnie uderzyła, prosto w usta. Jeden z jej pierścionków rozciął mi wargę. Pewnie ten z turmalinem, miał posmak campari z wodą sodową, z aluminiową nutką krwi.

Turmalin. Turma. Lin. Brzmi zupełnie jak nazwa mrocznej wieży, w której złe wróżki z baśni Perraulta więżą swoje ofiary, a cuchnie zupełnie jak szkoła pod wezwaniem świętego Oswalda, mieszanina woni środka dezynfekującego i kurzu, pasty do podłóg, kapusty, kredy i chłopców.

- Nie waż się traktować mnie protekcyjnie. Nie myśl sobie, że nie wiem, co knujesz.

Chyba ma jakiś szósty zmysł. Zawsze wie, kiedy coś przeszkrobię, zanim w ogóle coś przeszkrobię.

- Chciałeś się z nim zobaczyć, prawda? Po tym wszystkim, co nam zrobił. Zależało ci na jego cholernej aprobacie.

Jej stopa w szpilce zaczyna wybijać szybki nieregularny rytm o nóżkę sofy. Ten dźwięk sprawił, że zasycha mi w ustach, a jego warzywny odór znowu wywołuje mdłości.

- Proszę cię, mamusiu.

- Nie było tak?

- Proszę, mamusiu, to nie moja wina...

Ma zdumiewająco szybkie ręce. Spodziewałem się kolejnego ciosu, ale i tak mnie zaskoczyła. Uderzyłem bokiem o ścianę, porcelanowe pieski za szybą zadrżały, ostatecznie jednak żaden się nie stłukł.

- W takim razie czyja wina, ty mały gnojku?

Przyłożyłem dłoń do rozciętej wargi. Wiedziałem, że matka jeszcze nawet nie zaczęła. Jej twarz była niemal całkowicie pozbawiona wyrazu, ale głos pozostawał naładowany energią jak bateria. Przysunąłem się bliżej kredensu. Mamusia nie zaryzykuje niczego w pobliżu swoich porcelanowych pie-sków.

Kiedy umrze, przemknęło mi nagle przez myśl, wyniosę je wszystkie jednego po drugim na podwórko i rozdepczę na miazgę.

Musiała zauważyć moje spojrzenie.

- B.B., chodź tutaj!

Tak jak myślałem. Chciała, żebym odsunął się od kolekcji. Zauważyłem, że zdobyła nową figurkę, jakiś orientalny okaz. Delikatnie oparłem dłoń o szybę.

- Zabierz rękę - warknęła matka. - Zostawisz ślady na szkle.

Widziałem, że ma ochotę znowu mnie uderzyć. Nie zrobiła tego jednak ze względu na swoje figurki. Tyle że nie mogłem tam stać cały dzień. Ruszyłem w stronę drzwi z nadzieją, że zdołam uciec do swojej sypialni na piętrze, ale wtedy chwyciła za klamkę i położywszy drugą dłoń na moich plecach, jednym szarpnięciem otworzyła mi drzwi prosto w twarz.

Potem poszło już gładko. Leżałem na ziemi, więc nogi załatwiły resztę, nogi w tych cholernych butach na obcasie. Kiedy skończyła, pochlipywałem już tylko, z twarzą pozna-czoną zadrapaniami i rozcięciami.

- Tylko na siebie popatrz - rzuciła. W jej głosie nie było już słyhać wściekłości, raczej nutę zniecierpliwienia, zupełnie jakbym sam to wszystko na siebie ściągnął, jakby chodziło o jakiś niezwiązany z nią przypadek. - Jak ty wyglądasz? Co ty u licha wyrabiasz?

Wiedziałem, że tłumaczenia na nic się nie zdadzą. Do-świadczenie nauczyło mnie już, że kiedy mamusia jest w takim

nastroju, lepiej milczeć i mieć nadzieję, że będzie dobrze. Później uzupełni sobie luki jakąś prawdopodobną historyjką: spadłem ze schodów albo przydarzył mi się jakiś inny nieszczęśliwy wypadek. A może tym razem się okaże, że zostałem napadnięty i pobity w drodze powrotnej z pracy. Już ja coś na ten temat wiedziałem. Takie sytuacje bywały już wcześniej. A nagle drobne dziury w pamięci przytrafiały jej się coraz częściej, zwłaszcza od śmierci mojego brata.

Sprawdziłem żebra. Żadne nie było chyba złamane, ale plecy bolały mnie od kopniaków matki, a krew z rozciętego o kant drzwi łuku brwiowego wsiąkała w koszulę. Głowa zaczęła mi pulsować znajomym bólem, przed oczami migąły plamy kolorowego światła.

- Chyba tym razem trzeba założyć szwy - uznała mama. - Jakbym nie miała wystarczająco dużo zmartwień. Ale cóż, chłopcy już tacy są - westchnęła. - Zawsze muszą coś spsocić. Na szczęście byłam w domu, prawda? Pojadę z tobą do szpitala.

W porządku, skłamałem. Nie jestem z tego dumny. To mama tak zmasakrowała mi twarz, nie Nigel. Gloria Green, sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu w butach na obcasach, sześćdziesiąt dziewięć lat, lekka jak piórko.

- Wyzdrowiejesz raz-dwa, złociutki - powiedziała pielęgniarka o różowych włosach, która mnie opatrywała.

Głupia krowa. Jakby ją to w ogóle obchodziło. Dla niej byłem tylko kolejnym pacjentem. Pacjent. Cierpliwy penitent. Penitent. Słowa pachnące sokiem limonkowym i kłujące w usta jak garść igieł. A ja byłem cierpliwy, mamusiu, byłem cierpliwy bardzo długo...

Po tym zdarzeniu musiałem odejść z pracy. Zbyt wiele pytań, zbyt wiele kłamstw, zbyt wiele pułapek, w które mogłem wpaść. Odkrywszy jeden z moich forteli, mama z łatwością

mogła mnie sprawdzić i zdemaskować oszustwo ciągnące się od dwudziestu lat.

Jednak to tylko czasowa komplikacja. Mój długoterminowy plan pozostaje bez zmian. Ciesz się swoimi porcelanowymi pieskami, mamusiu. Ciesz się nimi, póki jeszcze możesz.

Chyba powinienem być z siebie zadowolony. W końcu ujdzie mi na sucho morderstwo. Jeden uśmiech, krótki całus i - Ojej! Już ich nie ma! - niczym w sztuczce złośliwego magika. Nie wierzycie? Sami sprawdźcie. Obejrzyjcie mnie pod każdym kątem, szukajcie ukrytych lusterek, tajemnych schowków, asów w rękawie. Przysięgam, jestem czysty jak łąza. A jednak to się stanie, mamusiu. Tylko patrz, jak wszystko wybuchnie ci prosto w twarz.

Takie właśnie myśli krążyły mi po głowie, kiedy leżałem na szpitalnej kozetce i wyobrażałem sobie te porcelanowe pieśki, kruszone moim butem na proch w chwili - dokładnie w tej samej sekundzie - kiedy ona będzie umierać. A gdy tylko pozwoliłem tym obrazom przybrać kształt pozbawiony krępującej otoczki fikcji, poczułem się tak, jakby wewnątrz mojej czaszki eksplodowała bomba atomowa, rozrywając mnie od środka, wyzymając jak mokrą szmatę, zaciskając mi szczęki w niemym krzyku.

- Przepraszam, złotko. Zabolalo? - Różowowłosa pielęgniarka we wszystkich trzech egzemplarzach przemknęła przez moją świadomość niczym ławica tropikalnych ryb.

- Syn miewa okropne bóle głowy - odezwała się mama. - Proszę się nie przejmować. To tylko stres.

- Mogę poprosić doktora, żeby przepisał coś na te migreny...

- Nie, niech się pani nie przejmuje. To minie.

To było prawie trzy tygodnie temu. Sprawa zapomniana, jeśli nawet nie do końca wybaczona; teraz szwy zostały już

zdjęte, a siniaki zaczęły się mienić paletą barw, od fioletu i błękitu po tęczę żółtych i zielonych odcieni, całkiem jak w plamie ropy. Ból głowy utrzymywał się przez trzy dni. Przez ten czas mamusia karmiła mnie domową zupą i czuwała przy moim łóżku, podczas gdy ja drżałem i jęczałem. Nie sądzę, żebym się z czymś wygadał. Myślę, że nawet w malignie byłem na to za sprytny. W każdym razie pod koniec tygodnia życie wróciło na stare tory, a błękitnookichłopic, jeśli nawet nie uwolnił się jeszcze ostatecznie, to przynajmniej stanął z powrotem na nogach, gotowy do kolejnej rundy. A tymczasem, z rzeczy przyjemniejszych: Eleanor Vine jest bardzo chora. W ostatnią sobotę źle się poczuła i nadal leży w szpitalu, podłączona do respiratora. Wstrząs toksyczny, twierdzi Terri, a może jakiś rodzaj alergii. Nie mogę powiedzieć, że bym był zaskoczony - przy tej ilości lekarstw, jakie łyka Eleanor, najwyraźniej zupełnie na chybił trafił, prędzej czy później musiało się to wydarzyć. Mimo wszystko to dziwne, że opowiadanie zamieszczone przeze mnie na blogu zaczęło żyć własnym życiem w ten sposób. Zresztą coś takiego przytrafiło mi się nie pierwszy raz, zupełnie jakbym za sprawą jakiegoś wudu nabył umiejętność usuwania z tego świata wszystkich, którzy mi zagrażali. Kilka uderzeń w klawisze i pstryk, wymazani!

Gdyby tylko rzeczywiście było to aż tak proste. Gdyby chodziło jedynie o myślenie życzeniowe, moje problemy skończyłyby się ponad dwadzieścia lat temu. A wszystko zaczęło się od Błękitnej Księgi - tego katalogu marzeń i nadziei - żeby potem przenieść się do cyberprzestrzeni, na mój blog i portal Niegrrzecznicłopcyrządzą. Ale oczywiście to jedynie fikcja. I chociaż pisałem o Catherine White, Eleanor Vine, Grahamie Peacocku czy całej reszcie tych pasożytów, w myślach zawsze widziałem twarz jednej osoby - posiniaczonej i krwawiącej, załuczonej na śmierć, uduszonej za pomocą

struny od fortepianu, porażonej prądem w kąpielni, otrutej, utopionej, pozbawionej głowy, zamordowanej na setki rozmaitych sposobów.

Jedna twarz. Jedno imię.

Wiem, to niewybacalne. Życzyć swojej matce takiej śmierci - pragnąć tego tak, jak ma się ochotę na coś chłodnego do picia w upalny dzień, czekać z biciem serca na chrobot jej klucza w zamku drzwi wejściowych z nadzieją, że może właśnie dziś jest ten dzień...

Nieszczęśliwe wypadki zdarzają się tak często. Potrącenie przez samochód, upadek ze schodów, przypadkowy napad. No i jeszcze kwestie zdrowotne. Skończyła sześćdziesiąt dziewięć lat, jest już stara. Artretyzm powykręcał jej dłonie, ciśnienie ma strasznie wysokie. Poza tym w naszej rodzinie często zdarzają się przypadki raka - jej własna matka zmarła na nowotwór w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. A sam dom pełen jest potencjalnych zagrożeń: przeciążone gniazdko elektryczne, zdradliwe chodniki, doniczki z kwiatami chwiejące się niebezpiecznie na parapetach okien w sypialni. Nieszczęśliwe wypadki zdarzają się co chwila, ale wyglądało na to, że nigdy Glorii Green. Dostyc, żeby doprowadzić jednego małego chłopca do rozpaczy.

A jednak wciąż nie tracę nadziei. Nadzieja, najbardziej złośliwy ze wszystkich demonów kryjących się w maleńkiej puszcze Pandory.

3.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 09:55 w czwartek, 14 lutego

Status: prywatny

Nastrój: romantyczny

Słucham: „I Never Loved Eva Braun” Boomtown Rats

Jest czternasty lutego, walentynki. W powietrzu unosi się miłość, prawdziwa miłość. I właśnie dlatego położyłem tę kopertę na skraju witryny z porcelaną, razem z pudełkiem czekoladek i kwiatami. To nie są róże, dzięki Bogu, i nawet nie orchidee, ale mimo wszystko ładna wiązanka, wystarczająco duża, żeby sporo kosztować, choć nie aż tak, by otrzeć się o wulgarność.

Sama kartka z życzeniami została wybrana starannie, żadnych żartobliwych rysunków, żadnych seksualnych podtekstów, żadnych zapewnień o dozgonnej miłości. Mamusia zna mnie zbyt dobrze, żeby się na to nabrać. Tak naprawdę liczy się jedynie gest i to uczucie triumfu, jakie będzie jej towarzyszyło podczas następnego wypadu na miasto w towarzystwie Maureen, Eleanor czy Adèle, której syn mieszka w Londynie i rzadko do niej dzwoni.

My siebie nie oszukujemy, ja i mamusia. Ale rozgrywka wciąż trwa. Uprawiamy tę grę podstępów i strategicznych wybiegów od tak dawna. Każde z nas ma za sobą pasmo zwycięstw i klęsk. Teraz jednak nadarza się okazja, by zdobyć ostateczną przewagę - i właśnie dlatego nie mogę sobie pozwolić na niepotrzebne ryzyko. Mama już i tak patrzy na mnie podejrzliwie. Na dodatek jest nieźrównoważona, a jej zaburzenia coraz bardziej się nasilają. Było już źle, kiedy żyli moi bracia, ale teraz zostałem sam, ostatni syn, którego traktuje jak jednego ze swoich porcelanowych pieszków; wykorzystuje mnie do prezentowania światu ze wszystkich stron.

Na widok prezentów i kartki udaje zdziwienie. To również element naszej gry. Gdyby nie dostała walentynki, nie skomentowałyby tego, ale w ciągu paru dni poniósłbym przykre konsekwencje. Warto więc przestrzegać konwencji i udawać, pamiętając o stawce. Właśnie dlatego udało mi się zejść tak daleko. Dzięki temu, że zawsze stawiam diabłu ogarek.

Moje przyjaciółki z sieci też o mnie nie zapomniały. Dostałem sześć wirtualnych walentynek, mnóstwo obrazków i bannerów, w tym jeden od Clair, która pisze, że ma nadzieję zobaczyć mnie wkrótce, i życzy mi, abym znalazł w tym roku prawdziwą miłość.

Ojej, to naprawdę miłe z twojej strony, ClairDeLune. Tak się składa, że ja też sobie tego życzę. Ale ty masz dzisiaj inne zmartwienia - ni mniej, ni więcej tylko e-mail, który wysłałaś do Anielskiego Błękitu ze swojego bezpłatnego konta z zapewnieniami o dozgonnej miłości, jak również tę małą niespodziankę, jaka zostanie dostarczona pod jego nowojorski adres.

Wiedziałem, że to hasło kiedyś się przyda. Tak się składa, że zmieniłem je ostatnio z *Clairkochaaniola* na *Clairkochaan-*

gie, przy czym Angie to żona Anielskiego. To okrutne, wiem. Może przysporzyć wiele smutku. Ale teraz, gdy wkraczamy w ten nowy etap razem, czuję coraz większe zniecierpliwienie, że muszę tracić czas na błahostki, które odwracają moją uwagę od sprawy najważniejszej. Nie potrzebuję już mojej armii myszy. Ich piski stały się męczące. Kiedyś moje myszki były miłą odskoczną. No a poza tym potrzebowałem ich, żeby stworzyć to miejsce, umieścić przynętę w wirtualnej pułapce, moim osobistym dzbaneczniku.

Teraz jednak wkraczamy wreszcie w ostateczną fazę naszej gry, więc Albertyna nie powinna niepotrzebnie tracić czasu. Czasu potrzebnego na zajęcie się tym, co naprawdę ważne. Najwyższa pora na pogawędkę w cztery oczy.

Od dzisiaj cały portal Niegrzecznychłopcyrządzą staje się naszym prywatnym polem bitwy. *Strona w budowie*, informuje zamieszczony przeze mnie tekst, co powinno odstraszyć większość naszych gości, podczas gdy ja będę rozsyłał prywatne walentynki, żeby rozprawić się z tymi bardziej wytrwałymi.

O tej dla Clair już wiecie. Ta do Chryssie przybiera inną formę: wyzwania dietetycznego - *schudnij 5 kilo w 3 dni!* - dla Chryssie to kropla w morzu, ale dzięki temu przez jakiś czas będzie się trzymać ode mnie z daleka.

Natomiast co do Kapitana, będzie to słówko rzucone nieopatrnie w jego imieniu na forum pewnego gangu oraz e-mail od przyjaciela zapraszającego go na spotkanie o konkretnej godzinie w określonym miejscu, w jednej z mniej przyjemnych dzielnic Manhattanu.

A co z Albertyną? Mam nadzieję, że jej nie zdenerwowałem. Oczywiście jest bardzo wrażliwa, a ostatnie wydarzenia musiały naprawdę nią wstrząsnąć. Nie odbiera telefonów, co oznacza, że ma identyfikację numeru i starannie sprawdza rozmówców. No a poza tym może zwyczajnie brak jej ener-

gii, dzisiaj, w tym jedynym dniu, kiedy cały naród obchodzi święto, które choć toczone rakiem reklamy, ma jednak uczcić prawdziwą miłość.

Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Nigel był tym zainteresowany. Ale z drugiej strony to chyba zupełnie naturalne. Trudno dostrzec w dręczycielu z czasów dzieciństwa kogoś, kto kupowałby bukiety czerwonych róż, przygotowywał składankę piosenek miłosnych czy wysyłał dziewczynie walentynkowe kartki.

A może właśnie taki był. Któż to wie? Może miał więcej tajemnic, niż podejrzewałem. Z całą pewnością w dzieciństwie był humorzasty - godzinami przesiadywał w swoim pokoju, w samotności studiując mapy nieba, pisząc wiersze albo słuchając rocka pełnego pretensji do całego świata.

Nigel Winter, poeta. Cóż, patrząc na niego, nigdy byście się tego nie domyślili. Ale znalazłem parę jego utworów w notatniku ukrytym na dnie szafy pośród ubrań w odcieniach szarości i czerni. Notes Moleskine, lekko podniszczony, z okładką w kolorze mojego brata.

Nie mogłem się powstrzymać. Zwinąłem ten notatnik i czym prędzej opuściłem miejsce przestępstwa, żeby go przeczytać w wolnej chwili. Początkowo Nigel niczego nie zauważył, a później, kiedy już odkrył stratę, musiał pomyśleć, że istnieją dziesiątki miejsc, w których mógł zostawić swój mały, niepozorny notes w czarnej okładce. Pod materacem, pod łóżkiem, pod rogiem dywanu. Z niewinną miną obserwowałem, jak ukradkiem przeszukuje dom, schowałem jednak notes w bezpiecznym miejscu - w pudle upchniętym w zakamarkach garażu - a Nigel nie powiedział nigdy żadnemu z nas, czego szuka, chociaż na jego mrocznej twarzy malowała się podejrzliwość, kiedy nas przepytował - ogródkami i z nietypowym jak na niego opanowaniem.

- Grzebałeś w moich rzeczach? - zapytał.

- A co, zgubiłeś coś? - Nigel rzucił mi ciężkie spojrzenie. - No więc?

- Nie - odparł po chwili wahania.

Wzruszyłem ramionami, ale w myślach uśmiechałem się szeroko. Cokolwiek znajdowało się w tym notesie, musiało być naprawdę ważne. Tymczasem Nigel, nie chcąc zwracać mojej uwagi na coś, co najwyraźniej próbował zachować w tajemnicy, udawał, że nie interesuje się już całą sprawą, być może w nadziei, że notes pozostanie nietknięty na wieki.

Wolne żarty. Gdy tylko stało się to możliwe, wyciągnąłem swój łup ze schowka. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na zapiski astronomiczne, lecz pomiędzy rzędami cyfr oraz notatkami na temat planet, spadających gwiazd i zaćmień Księżyca, znalazłem coś jeszcze: dziennik podobny do mojego, tyle że składający się z wierszy.

*Linia twej szyi
Ramion -palcami badam
Ten zdradliwy szlak.*

Poezja? Nigel? Z radością kontynuowałem lekturę. Nigel poeta! Niezły żart. Najwyraźniej mój brat był pełen sprzeczności, a przy tym niemal równie ostrożny jak ja. Teraz odkryłem jeszcze, że za tą ponurą fasadą kryje się parę niespodzianek.

Pierwsza taka, że Nigel najchętniej pisał haiku, te zwodniczo proste, maleńkie i na pierwszy rzut oka pozbawione rymów wiersze, składające się zaledwie z siedemnastu sylab - jeśli już, to spodziewałbym się po nim rozbudowanych wersetów, dobitnych rymów, sonetów o rytmach, które grzmiały i dźwięczą, albo mocnych brył białych wierszy.

A drugim powodem zdziwienia okazało się dla mnie to, że Nigel był zakochany - rozpaczliwie, żarliwie zakochany.

Ciągnęło się to od miesięcy, właściwie od momentu gdy kupił teleskop, bo takie hobby dawało mu doskonałą wymówkę, żeby swobodnie wychodzić z domu wieczorami.

Już samo to było zabawne. Mój brat nie wyglądał mi na romantycznego faceta. Ale trzecia sprawa okazała się najbardziej zdumiewająca ze wszystkich - odebrała mi ochotę do śmiechu i sprawiła, że moje serce zabiło szybciej ze strachu, odroczonego w czasie lęku.

Zacząłem przerzucać kartki notesu z powrotem do początku. Moje palce nagle stały się zimne i sztywne, w ustach miałem kosmaty, chemiczny posmak. Oczywiście zawsze wiedziałem, że jeśli Nigel przyłapie mnie na przeglądaniu jego notatnika, drogo za to zapłacę. Ale im więcej czytałem, tym lepiej rozumiałem, jak wielkie ryzyko podjąłem. Ponieważ te kartki zawierały coś znacznie bardziej obciążającego niż tylko kilka wierszy i zapisków. Gdyby Nigel się zorientował, że to ja ukradłem jego notes, czekałaby mnie kara o wiele straszliwsza niż zwykłe lanie. Gdyby ktokolwiek odkrył, czego się dowiedziałem.

Za coś takiego mój brat byłby gotów zabić.

4.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec. Wpis zamieszczony o: 21:30 w czwartek, 14 lutego Status: prywatny Nastrój: rozczarowany Słucham: „Picture This” Blondie

Na razie żadnej walentynki od Albertyny. Tak się zastanawiam, czy Nigel naprawdę ją kochał. Czy leżeli obok siebie w łóżku: on obejmujący ją niedbale ramieniem, ona z twarzą wtuloną w zagłębienie jego szyi? Czy Nigel budził się obok niej zdumiony własnym szczęściem? Czy czasem zapominał, kim tak naprawdę jest, i wyobrażał sobie, że dzięki miłości do niej któregoś dnia stanie się dobrym człowiekiem?

Ale miłość to zdradliwe zwierzę, wiecznie zmieniające postać, na dzień czyniące z biedaka króla, a wzór stateczności z najbardziej zmiennego człowieka. To wsparcie dla słabych, tarcza dla lękliwych - w każdym razie dopóki nie minie pierwsze uniesienie.

A Nigela wzięło naprawdę mocno. Wiedziałem, że tak będzie. Mój dotychczasowy dręczyciel, który zmuszał mnie do jedzenia pajaków, w końcu nieszczęśliwie się zakochał.

I to w najbardziej nieprawdopodobnej kandydatce, podczas jednego z tych przypadkowych spotkań, którego nawet ja nie byłem w stanie przewidzieć.

Linia twej szyi Ramion -

Podaję, że można ją określić jako atrakcyjną. Oczywiście zupełnie nie była w moim typie, ale Nigel zawsze miał perwersyjne upodobania. Chłopiec, który przez całe swoje dzieciństwo próbował uciec od jednej dojrzałej kobiety, wpadł w szpony innej. Nazywała się Tricia Goldblum i była kiedyś pracodawczynią mamy. Elegancka pięćdziesięcikilkulatka o włosach w mroźnym odcieniu blond, otoczona tą aurą bezradności, która sprawia, że takim kobietom nie sposób się oprzeć. No ale z drugiej strony o gustach się nie dyskutuje, prawda? Podaję, że jej to pochlebiało. Tak się złożyło, że pani Elektryczny Błękit akurat rozwiodła się z mężem i wreszcie mogła dać upust swojemu upodobaniu do miłych młodych mężczyzn.

Brzmi wystarczająco znajomo? Na zajęciach zawsze powtarzają, żeby pisać o tym, co się zna. A fikcja to szklana wieża zbudowana z miliona maleńkich prawd, ziarenka prawdy stopione razem w jedno lśniące kłamstwo.

Nigel nigdy tak naprawdę jej nie znał w czasach, kiedy mamusia pracowała u niej jako sprzątaczką. Może spotkał ją raz czy dwa w kawiarence albo sklepie, ale właściwie nie miał powodów, żeby zamienić z nią choć słowo, poznać ją tak, jak ja poznałem. A co do tamtego dnia na targowisku, dnia, który nadal stoi tak żywo w mojej pamięci...

O ile się zorientowałem, Nigel w ogóle nie pamiętał takiego zdarzenia. Może właśnie dlatego ją wybrał - pani Robinson z Malbry, kobieta, której reputacja nabrała dzięki tajemnej

kolekcji młodych mężczyzn koloru, nie tyle błękitu, ile raczej szkarłatu w oczach osób takich jak Catherine White, Eleanor Vine i najbardziej krytycznie nastawionej z nich wszystkich - Glorii Green.

Chociaż Nigela akurat niewiele to wtedy obchodziło. Miłość zupełnie go zaślepiła. Jednak pani Goldblum ceniła sobie dyskrecję, a że to ona grała w tym związku pierwsze skrzypce, początkowo utrzymywali swój romans w tajemnicy. Chociaż i tak wyczytałem wszystko z pamiętnika Nigela - to, jak sprytnie uwiodła mojego brata, nawet informację o jej słabości do erotycznych gadżetów, ukrytą pomiędzy haiku a mapami nieba.

W pierwszej chwili chciałem oczywiście powiedzieć o wszystkim mamusi, która nienawidziła pani Goldblum, odkąd ta się od nas odwróciła, a trzeba przyznać, że z biegiem czasu to uczucie wcale nie stało się mniej zjadliwe. Ale naprawdę uważałem, że za coś takiego Nigel by mnie zabił. Znałem jego charakter, więc podejrzewałem, że Nigel zakochany, podobnie jak ten w stanie wojny, byłby zdolny do wszystkiego.

Dlatego właśnie delektowałem się swoją wiedzą w ukryciu, czekając na odpowiedni moment, by ją wykorzystać. Nigdy nie powiedziałem o tym mamie, nigdy nikomu nie wspomniałem o całej sprawie, nawet w zawaolowanej formie. Byłem zupełnie sam ze swoim sekretem, stosem kradzionych banknotów, których nie mógłbym wydać, nie zdradzając się przy tym.

Ale na razie dosyć na ten temat. Kiedy przyjdzie pora, jeszcze do tego wrócimy. Dość powiedzieć, że w swoim czasie notes Moleskine okazał się niezwykle użyteczny. Teraz już wiedziałem, jak dzięki kilku starannie dobranym rekwizytom mogłem zastawić pułapkę, która, miejmy nadzieję, wreszcie mnie wyzwoli.

5.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec. Wpis zamieszczony o: 22:15 w czwartek, 14 lutego Status: prywatny Nastrój: wrogi Słucham: „I Spy” Pulp

Kiedy Nigel wyszedł z więzienia, spodziewałem się, że spróbuje zbudować sobie nowe życie, będzie robił wszystko, na co zawsze miał ochotę, wykorzysta szansę, którą otrzymał od losu, i ucieknie. Ale zawsze był taki nieprzewidywalny, a teraz nabrał jeszcze bardziej perwersyjnych upodobań i starał się postępować dokładnie na przekór oczekiwaniom innych. Poza tym bardzo się zmienił. Właściwie trudno było określić, na czym to polegało, ale zwróciłem na to uwagę. Niczym statek uwięziony na Morzu Sargassowym Nigel uwiłkłał się, zaplątał w sobie, pochłonięty przez dzbanecznik, którym było Malbry. I nasza mamusia.

O tak, nasza mamusia. Na przekór wszystkiemu, co się wydarzyło, Nigel wrócił do domu - nie do budynku, w którym mieszkaliśmy, ale do Malbry, do mamy. Oczywiście nie miał nikogo innego. Jego przyjaciele - jacy by tam oni byli - zajęli się już własnym życiem. Została mu tylko rodzina.

Mój brat skończył wtedy dwadzieścia pięć lat. Nie miał pieniędzy, perspektyw, pracy. Przyjmował leki stabilizujące nastrój, daleki był jednak od stabilności. I winił mnie za to, co mu się przytrafiło - winił mnie niesłusznie, ale uparcie - chociaż nawet dla takiego czubka jak on powinno być jasne, że nie ponoszę odpowiedzialności za to, że popełnił morderstwo.

Oczywiście to wszystko nie wyszło na jaw od razu. Nigel jednak nigdy za mną nie przepadał, a teraz lubił mnie jeszcze mniej. Pewnie rzeczywiście miał powody. W jego oczach musiałem wyglądać na człowieka sukcesu. W tamtym okresie studiowałem - albo przynajmniej tak sądził - w wyższej szkole zawodowej w Malbry, ni mniej, ni więcej, a rok później uczelnia awansowała do rangi uniwersytetu, ku ogromnej satysfakcji mamy. Nadal miałem też własne pieniądze za pracę na pół etatu w sklepie elektrycznym, a ponieważ byłem studentem, pozwalała mi zatrzymywać całą wypłatę. Sprawa Emily White była zakończona, mamusia i ja zdążyliśmy już przejść nad tym do porządku dziennego.

Na pierwszy rzut oka Nigel niewiele się zmienił. Włosy nosił teraz dłuższe, na dodatek czasem przetłuszczone, na ramieniu miał wytatuowany czarnym tuszem chiński znak odwagi. Był też szczuplejszy i chyba odrobinę niższy, zupełnie jakby jakaś jego częśćka zużyła się, wytarła niczym gumka na końcu ołówka. Ale nadal ubierał się wyłącznie na czarno i lubił dziewczyny tak samo jak dawniej, chociaż, o ile mi wiadomo, z żadną nie spotykał się dłużej niż przez kilka tygodni, jakby musiał stale trzymać się w ryzach z obawy, że ta sama wściekłość, która stała się już powodem śmierci człowieka, może się któregoś dnia obrócić przeciw komuś innemu.

Początkowo nie kontaktował się z mamą. Nic dziwnego, po tym, co zrobił. Wynajął mieszkanie w mieście, znalazł

sobie pracę i przez kilka następnych lat żył sam - może nie do końca szczęśliwy, ale przynajmniej wolny.

Potem jakimś cudem matka ściągnęła go z powrotem. Wolność okazała się złudzeniem. Któregoś dnia wróciłem do domu i zastałem go razem z mamą w salonie. Wyglądał jak trup, a mnie poza tajoną radością z powodu jego klęski ogarnęło nagłe przeczucie nieuniknionego nieszczęścia.

Nikt nie zdołał się wydostać z wnętrza dzbanecznika. Ani Nigel, ani ja, po prostu nikt.

Tak naprawdę nie zbliżyliśmy się do siebie ponownie. Ale przez następnych osiemnaście lat, czy coś koło tego, widywaliśmy Nigela trzy lub cztery razy do roku: w Boże Narodzenie, urodziny mamy, Wielkanoc i moje urodziny. Za każdym razem, kiedy mój brat wpadał z wizytą, siadał w tym samym miejscu w salonie i wpatrywał się w witrynę z porcelanowymi pieškami - figurka Mała została oczywiście posklejana, a do tego czasu zdążyła jeszcze do niej dołączyć kolejna, w kształcie śpiącego szczeniaczka.

I za każdym razem, kiedy Nigel zjawiał się u nas, gapił się na te pieprzone pieski i popijał herbatkę z filiżanek dla gości, słuchając paplania mamy o tym, ile pieniędzy udało się dotąd zebrać na kościół i jak bardzo żywopłot potrzebuje przycięcia. Poza tym w każdy niedzielny wieczór dzwonił dokładnie o wpół do dziewiątej (wcześniej mamusia oglądała swoje ulubione seriale) i tkwił przy słuchawce, dopóki mama z nim nie skończyła, a przez resztę czasu próbował nadać sens temu, co zostało z jego życia, za pomocą terapii i prozacu, w ciągu dnia pracował, a noce spędzał w swoim mieszkanku na poddaszu na oglądaniu gwiazd, które z każdym dniem zdawały się oddalać coraz bardziej. A czasem krążył też ulicami miasta w swojej czarnej toyocie w oczekiwaniu na kogoś, na coś...

I wtedy właśnie pojawiła się Albertyna. Oczywiście, w ogóle nie powinno jej tam być. Nie pasowała do tej nowej kawia-

renki o dziwacznej nazwie Różowa Zebra, z jej gazowym, usypiającym zapachem i kolorami rodem z podstawówki. A już z całą pewnością nie pasowała do Nigela, który zaprzepścił swoją szansę na ucieczkę, chociaż do tej pory dawno powinien stąd wyjechać.

Może już wtedy należało położyć temu kres. Wiedziałem, że Albertyna jest niebezpieczna. Ale Nigel zdążył sprowadzić ją do domu jak bezpańskiego kociaka przygarniętego z ulicy. Ciągłe powtarzał, że jest zakochany. Nie trzeba chyba dodawać, że musiał zniknąć.

I chociaż wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek, oczywiście i wy, i ja wiemy, jak było naprawdę. Połknąłem go, tak jak kiedyś połknąłem Mala, tak jak połknąłem wszystkich swoich braci. Połknąłem ich jak napój witaminowy - raz, dwa, trzy i po wszystkim! - a chociaż pozostał mi w ustach kwaśny posmak, zwycięstwo okazało się słodsze od aromatu letniej róży.

6.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 23:25 w czwartek, 14 lutego

Status: publiczny

Nastrój: pokręcony

Słucham: „Paint It Black” Rolling Stones

Nazwijmy go panem Nocny Błękit. Człowiek o zmiennych nastrojach i wielu sekretach. Poeta i kochanek, przynajmniej jej zdaniem, delikatny mężczyzna z głową pełną gwiazd. A prawda wygląda tak, że to ona żyje w świecie fantazji. W świecie, gdzie dwie zagubione dusze mogą natknąć się na siebie zupełnym przypadkiem i dzięki prawdziwej miłości znaleźć wybawienie od siebie.

Nieżył żart. Biedaczka. W rzeczywistości jej facet to czubek, który ma krew na rękach, kłamca, tchórz, arogancki bandyta. Co więcej, chociaż jej się wydaje, że została wybrana przez niego, tak naprawdę została wybrana dla niego.

Myślicie, że to niemożliwe? Widzicie. Ludzie są jak karty. „Wyciągnij z talii kartę. Dowolną kartę”. Cała sztuczka polega na tym, żeby obiekt uwierzył, że kar-

ta, którą wyjął, to jego wybór, jego własna i wyjątkowa dama pik.

On jeździ czarną toyotą. Krąży po ulicach miasta tak jak przedtem. Ciągłe myśli o swoim życiu jako „przed” i „po”, zupełnie jakby podobny kataklizm mógł zmienić orbitę ludzkiego losu, niczym zderzenie dwóch planet, z których każda rusza potem własną drogą.

Oczywiście, że to niemożliwe. Nie da się oszukać przeznaczenia. Jego zbrodnia stała się częścią jego samego, tak samo jak kształt twarzy i blizna na dłoni, która przecina linię serca, jedyny fizyczny element przypominający mu tamten paskudny antrakt. Płytkie nacięcie, które szybko się zagoiło, w przeciwieństwie do obrażeń jego ofiary, nieszczęśnika z pogruchofaną czaszką, który umarł dwa tygodnie później.

Ale oczywiście Nocny Błękit wcale się nie uważa za mordercę. To był tylko nieszczęśliwy wypadek, mówi, sprzeczka, która wymknęła się spod kontroli. Nie chciał tego zrobić, powtarza, jakby jego zapewnienia mogły kogoś wskrzesić, jakby robiło to jakąś różnicę, że działał pod wpływem impulsu, że został wprowadzony w błąd, że miał wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Jego prawnik był skłonny się z tym zgodzić. Powoływał się na kiepski stan psychiki swojego klienta, tłumaczył, że należy wziąć pod uwagę wyjątkowe okoliczności, a na koniec wnioskował o orzeczenie przypadkowego spowodowania śmierci - „przypadek”, srokatę słowo, czarno-czerwone, pół na pół, według mnie pachnące co najmniej podejrzenie i brzmiące niemal jak tytuł powieści przygodowej, „Przypadki tego czy tamtego”, jakiegoś bohatera podobnego do Chłopca X.

Czy jakikolwiek wyrok może wynagrodzić śmierć drugiego człowieka? „Przepraszam. Nie chciałem tego zrobić”. Wszystkie owe płacziwe, kiepskie wymówki. Pięć lat, w większości spędzonych w miękkim komforcie oddziału psychiatrycznego-

go, wystarczyło, aby spłacić dług wobec społeczeństwa, ale to jeszcze nie oznacza, że Nocny Błękit został wyleczony albo że nie zasługiwał na śmierć.

Tak, drogi czytelniku, zamordowałem go. Nie miałem innego wyjścia. Ta czarna toyota była po prostu zbyt kusząca. Tym razem jednak miałem ochotę na coś bardziej dramatycznego, coś, co zaakcentowałoby śmierć ofiary ostateczną, triumfalną fanfarą.

Nocny Błękit lubi słuchać muzyki podczas jazdy - pod deską rozdzielczą ma odtwarzacz CD. Najczęściej wybiera zespoły rockowe, muzykę pełną pretensji do całego świata. Lubi ją puszczać naprawdę głośno, z ochryplym wokalem i zawodzeniem gitar, lubi czuć to mocne uderzenie basów o bębni w uszach i to szarpnięcie w podbrzuszu, jakby coś tam było jeszcze żywe.

Ktoś mógłby powiedzieć, że w jego wieku powinien już przykręcać głośność, ale Nocny Błękit wie, że bunt rodzi się z doświadczenia - to rzecz, o której trzeba się przekonać na własnej skórze, coś, czego nastolatki nie rozumieją. Nocny Błękit zawsze był odrobinę egzystencjalistą, wiecznie rozmyślał o śmierci i wyżywał się na reszcie świata za to, że i on musi kiedyś umrzeć.

Niewielki słoik umieszczony pod siedzeniem to jedyny wkład błękitnookiego chłopca. Reszta to już dzieło Nocnego Błękitu, bo przecież to on zwiększa moc głośników, podkreca ogrzewanie, jedzie do domu tak samo jak zwykle, trasą tą samą co zawsze, z tą samą co zwykle prędkością. A w słoiku samotna osa wędruje niemrawo po szklanym dnie...

Osa?, spytacie. O tej porze roku? Owszem, znalezienie jej wcale nie jest niemożliwe. Często gdzieś pod dachem można się natknąć na pozostałe po lecie gniazdo, w którym owady czekają w uśpieniu, aż temperatura wzrośnie. Nie tak

trudno wspiąć się tam, ostrożnie wyjąć jednego z wyściełanej komory, włożyć do słoika, a potem już tylko czekać.

W samochodzie robi się coraz cieplej. Osa powoli budzi się do życia w pomruku syntetyzatorów i gitar. Wędruje w stronę źródła ciepła, jej żądło zaczyna pulsować w rytm basów i bębnow. Nocny Błękit nic nie zauważa, nie widzi, jak owad wędruje po oparciu jego fotela aż na okno, a tam powoli rozwija skrzydła, i zaczyna się tłuc o szybę.

Dwie minuty później osa jest już w stanie gotowości, zbudzona wskutek połączonych bodźców muzyki, ciepła i światła. Na moment podrywa się do lotu, odbija się od okna, a potem uparcie próbuje znowu. W końcu leci w stronę przedniej szyby, dokładnie w momencie, gdy Nocny Błękit zbliża się do skrzyżowania, jak zawsze niecierpliwym, przeklinając innych kierowców, a także samą drogę, i postukując palcami w wyściełaną tablicę rozdzielczą dla rozładowania frustracji.

Aż wreszcie dostrzega osę. Instynktownie unosi dłoń do twarzy. Owad wyczuwa ruch i podlatuje bliżej. Nocny Błękit próbuje go odegnąć, nadal trzymając jedną rękę na kierownicy. Ale osa nie ma dokąd uciec. Znowu ze złowrogim brzęczeniem uderza o przednią szybę. Nocny Błękit w panice zaczyna macać ręką w poszukiwaniu przycisku otwierania okien, ale zamiast tego natrafia na guzik zwiększający głośność w odtwarzaczu CD i...

Barn! Natężenie dźwięku skacze od głośnego do rozrywającego bębenki w uszach wybuchu decybeli, nagłego uderzenia, które podrywa rękę mężczyzny z kierownicy. Samochód skręca gwałtownie, przecina dwa pasy jezdni, wpada na pobocze do wtóru potwornego ryku zawodzących gitar i na nic się zdają wysiłki Nocnego Błękitu, by odzyskać kontrolę nad autem.

Lubię sobie wyobrażać, że myślał wtedy o mnie. Lubię myśleć, że dokładnie w momencie, kiedy jego głowa przebijała

przednią szybę, zobaczył coś więcej niż tylko kreskowkowy wianuszek gwiazd czy cień kostuchy. Że ujrzał wtedy znajomą twarz, że w tym ostatnim przeblysku świadomości tuż przed śmiercią zrozumiał, kto go zamordował i dlaczego.

Z drugiej strony może to wyglądało zupełnie inaczej. Te sprawy są tak ulotne, więc Nocny Błękit mógł umrzeć od razu albo przynajmniej w ciągu paru sekund od momentu uderzenia, kiedy samochód zamienił się w kulę ognia, który pochłania wszystko.

Cóż - może przynajmniej osa uszła z życiem.
Nawet biedaka nie uządliła.

Dodaj komentarz

Kapitanmordercakraleczkow: Witamy z powrotem!!!

Toksyczny69: Facet, jesteś odlotowy!

porcelanowymotył: hip hip hura

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

JennyTricks: (post usunięty)

blekitnookichlopiec: Albertyno, to ty?

JennyTricks: (post usunięty)

blekitnookichlopiec: Albertyno?

7.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 22:46 w piątek, 15 lutego

Status: prywatny

Nastrój: czujny

On się broni, że to tylko fikcja. Nigdy nikogo nie zamordował. A jednak mamy tu jego wyznanie, ujęte w formę opowiadania - nazbyt bliskie faktom, by mogło być kłamstwem, zbyt podłe, by być prawdą, walentynkowe kartki z za grobu, pocztówki od zmarłych.

To tylko fantazja, prawda? Jak mogłoby być inaczej? Życie w sieci jest takie bezpieczne, tak przyjemnie odcięte od rzeczywistości. A od wirtualnych przyjaciół zawsze odgradzają nas ekran i myszka. Nikt nie oczekuje prawdy w tych światach, które dla siebie budujemy. Nikt nie spodziewa się, że będzie tak czuł, „jakby w zwierciadle, niejasno”*.

Ale błękitnookichłopiec ma szczególny dar naginania prawdy do własnych celów. To samo robi z ludźmi, nakręca

- IKor: 13,12, Biblia Tysiąclecia (...).

ich jak mechaniczne zabawki, a potem puszcza przed siebie, żeby rozbijali się o...

ściany budynków? Ciężarówka na zatłoczonych ulicach?

„Tak, drogi czytelniku, zamordowałem go”. Cóż za niebezpieczne słowa. I co niby powinnam z nimi począć? Czy on naprawdę wierzy w to, co pisze, czy tylko próbuje namieszać mi w głowie? Nigel jeździł czarną toyotą. Znam też styl jego jazdy i ulubione kawałki, wiem, że bał się os, a pod tablicą rozdzielczą miał zamontowany odtwarzacz CD. Ale przede wszystkim pamiętam, jak bardzo się zdenerwował tamtym listem i jak wyruszył do domu matki, żeby rozprawić się z bratem raz na zawsze...

Przez cały dzień błękitnookichłopiec próbował się ze mną skontaktować. W mojej skrzynce czeka pięć nowych e-maili od niego. Ciekawe, czego ode mnie chce. Wyznać? Kłamstw? Deklaracji miłości?

No cóż, tym razem nie zamierzam odpowiadać. Odmawiam. Bo on tego właśnie oczekuje: dialogu. Bawił się w tę grę już tyle razy. Sam przyznaje, że uwielbia manipulować ludźmi. Widziałam, jak robi to z Chryssie i Clair. Lubi grać na ich emocjach. Zmuszać je, żeby się odsłoniły. I tak Chryssie zupełnie oszalała na jego punkcie, Clair sądzi, że może go uleczyć, Kapitan chce być taki jak on, a co do mnie...

Czego ode mnie chcesz, błękitnookichłopcze? Jakiej reakcji oczekujesz? Gniewu? Pogardy? Zakłopotania? Rozpaczy? A może chodzi ci o coś więcej, może to ma być twoje wyznanie? Czyżbyś po tak długim czasie oglądania świata w zwierciadle w końcu rozpaczliwie zapragnął sam być widzianym?

O dziesiątej wieczorem Zebra zamyka swe podwoje. Zawsze wychodzę ostatnia. Tym razem błękitnookichłopiec czekał na mnie na zewnątrz, pod osłoną drzew.

- Odprowadzić cię do domu?

Zignorowałam go, ale i tak ruszył za mną. Słyszałam jego kroki za plecami, tak jak tyle razy wcześniej.

- Przepraszam, Albertyno - odezwał się w końcu. - Nie powinienem zamieszczać tego opowiadania. Ale nie odpowiadałaś na moje e-maile, a poza tym...

- Nie obchodzi mnie, co piszesz - burknęłam.

- Tak trzymać, Albertyno.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

- Mówiłem ci, że kolekcjonuję rozmaite gatunki orchidei?

- Nie.

- Chciałbym ci je kiedyś pokazać. *Zygopetalum* ma szczególnie intensywny zapach, który potrafi wypełnić cały pokój.

Może przyjmiesz ode mnie jeden egzemplarz w prezencie?

Na przeprosiny...?

Wzruszyłam ramionami.

- Moje rośliny zawsze umierają.

- Tak jak twoi przyjaciele - odparł.

- Śmierć Nigela to był nieszczęśliwy wypadek.

- Oczywiście. Tak samo jak zgon doktora Peacocka i Eleanor Vine... - Serce szarpnęło mi się gwałtownie w piersi. - Nie wiedziałaś? - Sprawiał wrażenie zaskoczonego. - Pani Vine odeszła zeszłej nocy. Odeszła. Cóż za dziwne określenie. Zupełnie jakby rzuciła pracę. W każdym razie już po niej. Biedna Terri będzie niepokieszona.

I znowu szliśmy w milczeniu po Mili Road, przez skrzyżowanie, a potem dalej pod drzewami, które budziły się do życia w przybierającym na sile wietrze. W tym roku w ogóle nie było śniegu - właściwie to zima okazała się wyjątkowo łagodna, a powietrze miało mleczną konsystencję, zupełnie jakby zbliżała się burza. Minęliśmy pogrążone w ciszy przedszkole, zamkniętą na cztery spusty piekarnię, dom państwa

Jacadee otoczony zapachem smażonego czosnku, słodkich ziemniaków i prażących się papryczek chili.

W końcu dotarliśmy do furtki prowadzącej do ogrodu. Atmosfera zdążyła się już zrobić niemal przyjacielska, ofiara i drapieżnik obok siebie, tak blisko, że mogliśmy się dotknąć.

- Nadal to potrafisz? - zapytałam w końcu. - To - no wiesz - co robisz?

Parsknął krótkim, urywanym śmiechem.

- To nie jest umiejętność, której można się pozbyć - odparł.

- Właściwie z wiekiem przychodzi mi to coraz łatwiej.

- Jak morderstwo - zauważyłam.

Znowu się roześmiał.

Sięgnęłam po omacku do haczyka furtki. Mleczne, niespokojne powietrze wokół mnie pachniało świeżą ziemią i gnijącymi liśćmi. Ze wszystkich sił starałam się zachować spokój, ale czułam, jak z każdą sekundą rozpływam się coraz bardziej, przemieniam w kogoś innego, jak zawsze, gdy on na mnie patrzył.

- Nie zaprosisz mnie do środka? Bardzo rozsądnie. Ludzie mogliby zacząć gadać.

- Może innym razem - powiedziałam.

- W każdej chwili, Albertyno.

Ruszyłam w stronę domu. Przez cały czas patrzył za mną, czułam na sobie jego spojrzenie, wwiercające mi się gdzieś w okolice karku. Zawsze umiem rozpoznać, kiedy jestem obserwowana. Ludzie tak łatwo się z tym zdradzają. Stał zbyt cicho, zbyt nieruchomo, żeby robić cokolwiek innego poza gapieniem się na mnie.

- Wiem, że tam jesteś - powiedziałam, nie odwracając głowy, po czym otworzyłam drzwi.

Ani słówka ze strony błękitnookiego chłopca. Właściwie to miałam nawet ochotę zaprosić go do środka tylko po to, żeby się przekonać, jak zareaguje. On chyba myśli,

że się go boję. A tak naprawdę jest dokładnie odwrotnie. To on przypomina małego chłopca zafascynowanego osą w słoiku i jednocześnie przerażonego, że w którymś momencie owad wydostanie się z więzienia i zemści na dręczycielu. Trudno uwierzyć, że coś równie małego potrafi wzbudzić taki lęk, prawda? A jednak Nigel też bał się os. Takie maleństwo, można by pomyśleć, a potrafi przyprawić człowieka o atak paniki. Drobiną miękkiego meszku, brzęczenie, ruch skrzydełek, a za całą broń żądło i kropla drażniącej substancji.

Myślisz, że nie widzę, jak ze mną pogrywasz? No cóż, może widzę więcej, niż ci się wydaje. Widzę twoją nienawiść do samego siebie. Widzę twój strach. Ale przede wszystkim widzę, czego pragniesz, tam w głębi duszy. Chociaż to, czego pragniesz i czego potrzebujesz, niekoniecznie musi się pokrywać. Pragnienie i potrzeba to dwie różne sprawy.

Wiem, że ciągle tam jesteś i że mnie obserwujesz. Niemal czuję bicie twojego serca. Pulsuje szybko, jak u zwierzęcia schwytanego w pułapkę. No cóż, doskonale znam to uczucie. Kiedy trzeba udawać, że jest się kimś innym, kiedy żyje się w ciągłym strachu przed przeszłością. Sama funkcjonuję tak od dwudziestu lat, w nadziei, że ludzie zostawią mnie w spokoju.

Ale teraz jestem gotowa się ujawnić. W końcu coś musi się wreszcie wykluć z tej zasuszonej poczwarki. Więc jeśli jesteś tak winny, jak twierdzisz, lepiej bierz nogi za pas, póki masz jeszcze szansę. Zmykaj, jak ten bezradny szczur, którym jesteś. Uciekaj tak daleko i tak szybko, jak tylko zdołasz.

Ratuj swoją skórę, błękitnookichłopcze.

8.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 23:18 w sobotę, 16 lutego

Status: prywatny

Nastrój: cyniczny

Słucham: „Teenage Dirtbag” Wheatus

Mówiłem wam już wcześniej, nic się nigdy nie kończy. I tak naprawdę nic się nigdy nie zaczyna, chyba że w bajkach, gdzie na początku zawsze mamy: „Dawno, dawno temu” albo „Pewnego razu”, a wszyscy żyją długo i szczęśliwie, wbrew temu, jak w rzeczywistości wygląda ludzki los. Ja mierzę skromniej. Wystarczy mi, że przeżyję mamusię. Och, no i oczywiście że będę miał okazję zmiażdżyć butami jej pieski. To wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem. Cała reszta - moi bracia, White'owie, a nawet doktor Peacock - to jedynie wisienka na torcie, torcie, któremu dawno minął termin przydatności do spożycia i który skwaśniał pod lukrem ozdobionym tą wisienką.

Ale zanim będę mógł liczyć na przebaczenie, muszę wyznać swoje grzechy. Ostatecznie może właśnie po to tu trafiłem. Ekran, niczym kratka w konfesjonale, ma dwojakie przezna-

czenie. Oczywiście, pamiętam o tym, że zgubną wadą większości czarnych charakterów ze świata fikcji jest to powszechne pragnienie czynienia wyznań, chępcenia się, wyjawiania pozytywnemu bohaterowi swojego przebiegłego planu, który w ostatecznym rozrachunku i tak zostanie udaremiony.

Właśnie dlatego nie zamierzam rozprawiać publicznie o moich zamiarach. Przynajmniej na razie. Wszystkie moje prywatne wpisy są chronione hasłem. Ale może później, kiedy już skończę i będę sobie siedział gdzieś tam na plaży, popijając *mai tai* i przyglądając się ślicznym dziewczynom, wyślę ci e-mailem hasło, żebyś poznała prawdę. Może jestem ci to winien, Albertyno. A może nawet któregoś dnia wybaczysz mi całe zło, które ci wyrządziłem. Pewnie nie zdołasz jednak tego zrobić. Nie ma sprawy. Od tak dawna żyję z poczuciem winy, że jeszcze trochę wytrzymam.

Wszystko tak naprawdę zaczęło się psuć latem po śmierci mojego brata. Długie, niespokojne lato, tylko chmury ważek i burze. Miałem zaledwie siedemnaście lat, za miesiąc kończyłem osiemnaście, a uwaga, którą poświęcała mi matka, przypominała chmurę gradową, kładącą się cieniem na całym moim życiu. Mama zawsze była wymagająca, ale teraz, kiedy zabrakło obu starszych synów, stała się zjadliwie krytyczna wobec każdej najdrobniejszej nawet rzeczy, jaką zrobiłem, tak że marzyłem już tylko o tym, żeby od niej uciec, zupełnie jak tata.

Sporo ostatnio przeszła. Po tej sprawie z Nigelem bardzo się zmieniła. Nie chodziło o coś, co zauważylibyście na pierwszy rzut oka, ale ja mieszkalem z nią na co dzień, więc wiedziałem, że coś jest bardzo nie w porządku z Glorią Green. Początkowo zachowywała się jak człowiek w letargu i z trudem przychodziła do siebie. Całymi godzinami wpatrywała się w przestrzeń, pochłaniała kolejne opakowania ciasteczek, rozmawiała z nieistniejącymi ludźmi albo prze-

sypiała popołudnia, żeby o ósmej czy dziewiątej wieczorem znowu położyć się do łóżka...

Niektórzy tak właśnie przeżywają żalobę, wyjaśniła mi Maureen Pike. Oczywiście Maureen była teraz w swoim żywiole - wpadała do nas codziennie z kolejną porcją domowych wypieków i dobrych rad. Eleanor też zaoferowała pomoc, zachwalając skuteczność dziurawca i terapii grupowej. Natomiast Adèle powtarzała plotki i banalne frazesy. „Czas leczy rany”. „Życie musi toczyć się dalej”.

Powiedzcie to pacjentom oddziału onkologicznego.

A potem wraz z końcem lata Gloria wkroczyła w następną fazę. Letarg ustąpił miejsca maniakalnej wręcz aktywności. Maureen znalazła wyjaśnienie i dla tego zjawiska, które jej zdaniem nazywało się „wyparciem” i stanowiło niezbędny składnik procesu ozdrowieńczego. W tamtym okresie córka Maureen akurat kończyła psychologię, więc pani Pike wkroczyła w świat psychoanalizy z tym samym zadufanym, lekceważącym zapalem, z jakim podchodziła do kościelnych festynów dobroczynnych, szkolnych wycieczek, kwest na rzecz osób starszych, spotkań klubu książki, swojej pracy w kawiarni i dzieła oczyszczenia Malbry z pedofilów.

W każdym razie przez ten miesiąc mamusia była bardzo zajęta przez pięć dni w tygodniu pracą na straganie, gotowaniem, sprzątaniem, robieniem planów, odmierzaniem czasowniczym zniecierpliwiona nauczycielka - no i oczywiście baczaniem na waszego unżonego sługę.

Do tej pory wiodłem raczej spokojne życie. Przez cały miesiąc pogrążona w żalobie Gloria praktycznie mnie nie zauważała. Teraz wynagrodziła mi to z nawiązką, kwestionując każdy mój ruch, przygotowując mi napój witaminowy dwa razy dziennie i wiecznie się o wszystko zamartwiając. Wystarczyło, że zakaszlałem, a już widziała mnie na łożu śmierci. Jeśli się spóźniłem, to na pewno dlatego, że zostałem

napadnięty albo brutalnie zamordowany. A kiedy nie zadreżczała się wszystkimi nieszczęściami, jakie na mnie czyhały, aż sztywniała ze strachu na myśl o tym, co mógłbym zrobić

- wpakować się w jakieś kłopoty, zacząć pić czy zażywać narkotyki albo, co gorsza, zadawać się z dziewczynami.

Ale dla błękitnookiego chłopca nie było żadnej ucieczki. Upłynęły już trzy miesiące, odkąd mamusia uderzyła mnie talerzem, a po tym, jak Nigel sromotnie ją zawiódł, jej obsesja na punkcie konieczności odniesienia przez nas sukcesu rozrosła się do wręcz monstrualnych rozmiarów. Oczywiście nie przystąpiłem do egzaminów końcowych, ale prośby mamy (która zaapelowała do uczuć wykładowców) poskutkowały rewizją mojego przypadku. College w Malbry był zdaniem Glorii jedynym miejscem, w którym powinienem kontynuować naukę. Wszystko już dla mnie zaplanowała. Rok przygotowań, aby ponownie podejść do egzaminów, a potem będę mógł zacząć od nowa. Zawsze marzyła o tym, żeby któryś z jej synów został lekarzem. Byłem jej jedyną nadzieją, powtarzała mi ciągle i z bezwzględnym lekceważeniem dla moich własnych pragnień - nie mówiąc już o zdolnościach

- planowała mi przyszłą karierę.

Początkowo próbowałem oponować. Nie miałem żadnych kwalifikacji ani tym bardziej predyspozycji, żeby zostać lekarzem. Mamusia była zasmucona, ale przyjęła to całkiem spokojnie - albo tak przynajmniej sądziłem w swojej naiwności. Spodziewałem się przynajmniej awantury, jednego z tych gwałtownych ataków furii, a zamiast tego dostałem tydzień podwójnej dawki miłości i obfitych domowych obiadków - zawsze moje ulubione dania - które stawiała na stole z cnotliwą miną cierpliwego anioła stróża.

Wkrótce potem ciężko się rozchorowałem, dostałem ostrych skurczów żołądka i gorączki, wprost zwalającej z nóg. Nawet siedzenie w łóżku wywoływało u mnie straszne paro-

ksyśmy bólu i wymioty, a stanie - już nie mówiąc o chodzeniu - było absolutnie wykluczone. Mamusia pielęgnowała mnie z czułością, która pewnie wzbudziłaby moje podejrzenia, gdybym tak nie cierpiał. A potem, po upływie niemal tygodnia, nagle wróciła do starych nawyków.

A ja czułem się coraz lepiej. Schudłem kilka kilogramów, byłem osłabiony, lecz przynajmniej ból ustąpił, mogłem więc wreszcie jeść proste potrawy w niewielkich ilościach. Odrobina rosółu z makaronem, kromka chleba, łyżka gotowanego ryżu, grzanki maczane w żółtku jajka.

Oczywiście już wtedy mamusia musiała się martwić. Nie była lekarzem, nie miała pojęcia o dawkowaniu, a moja gwałtowna reakcja na pewno ją zaniepokoiła. Kiedy kilka nocy wcześniej zbudziłem się z pełnego majaków snu i usłyszałem, jak mówi sama do siebie, klóćąc się zawzięcie z nieistniejącym rozmówcą:

- Dobrze mu tak. Musi się nauczyć.

- Ale on tak cierpi. Jest chory...

- Nic mu nie będzie. Zresztą mógł mnie słuchać... Czym nafaszerowała te swoje pyszności? Tłuczonym

szkłem? Trutką na szczury? Cokolwiek to było, zadziałało naprawdę szybko. A w dniu, kiedy byłem wreszcie w stanie usiąść w łóżku, a nawet wstać, mamusia zjawiała się w moim pokoju nie z tacą, tylko z formularzem zgłoszeniowym - podaniem o przyjęcie na studia w college'u, który już za mnie wypełniła.

- Mam nadzieję, że wykorzystałeś ten czas, żeby zastanowić się nad swoim życiem - powiedziała podejrzanie radosnym tonem. - Próżnowałeś w łóżku całymi dniami, podczas gdy ja ci usługiwałam, więc chyba miałeś okazję pomyśleć o tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam. I jak wiele mi wdzięczasz...

- Proszę, nie teraz. Brzuch mnie boli...

- Nieprawda - rzuciła. - Za dzień czy dwa będziesz jak nowo narodzony. Objadałeś mnie jak ostatni niewdzięczny drań. A tymczasem rzuć okiem na te papiery. - Jej twarz, która zaczynała już posepnieć, znowu przybrała ten wyraz bezlitostnej radości. - Przejrzałam ponownie listę proponowanych zajęć, moim zdaniem też powinieneś to zrobić.

Popatrzyłem na nią. Uśmiechała się do mnie i poczułem wyrzuty sumienia, jak podobna myśl w ogóle mogła mi przyjść do głowy.

- Co się stało? - spytałem. Miałem wrażenie, że oczy jej błysnęły.

- A o co pytasz?

- Myślisz, że zjadłem coś, co mi zaszkodziło? - ciągnąłem. - Ty w ogóle nie zachorowałaś, prawda, mamusi?

- Nie mogę sobie pozwolić na chorowanie - rzuciła w odpowiedzi. - Przecież muszę o ciebie dbać. - Podeszła bliżej i utkwiała we mnie spojrzenie swoich ciemnych jak espresso oczu. - Chyba najwyższa pora, żebyś wstał z łóżka - dodała, wciskając mi formularze do ręki. - Czeka cię mnóstwo pracy.

Tym razem nie zamierzałem protestować. Bez słowa zapisałem się na trzy przedmioty, o których nie miałem zielonego pojęcia, bo wiedziałem, że później będę mógł je zmienić. Już wtedy byłem niezłym kłamcą, zamiast więc uczestniczyć w zajęciach i ryzykować, że jeśli ich nie zaliczę, matka dowie się o wszystkim, zaczekałem do rozpoczęcia semestru, po czym w tajemnicy przepisałem się na przedmioty, które lepiej odpowiadały moim predyspozycjom. Znalazłem też pracę na pół etatu w sklepie elektrycznym kilka kilometrów od domu, pozwalając, by mama wierzyła, że cały czas studiuje.

Potem wystarczyło już tylko sfalszować świadectwa - łatwizna, jeśli ma się dostęp do komputera - a następnie włamać

się do plików w redakcji „Examinera”, gdzie dodałem jedno nazwisko - swoje własne - do listy z wynikami egzaminów, która miała zostać opublikowana w następnym numerze.

Teraz staram się sam sobie gotować. Ale oczywiście zawsze jest jeszcze napój witaminowy, który mama przygotowuje mi własnoręcznie i który utrzymuje mnie w dobrym zdrowiu - jak ciągle powtarza, uśmiechając się przy tym przebiegle. Mniej więcej co półtora roku miewam gwałtowne ataki, charakteryzujące się okropnymi bólami brzucha, a wówczas mamusia czule się mną opiekuje, i nawet jeśli te napady choroby zawsze zbiegają się w czasie z okresami napięć pomiędzy nami, to pewnie wyłącznie dlatego, że jestem wrażliwy, a podobne sytuacje źle wpływają na moje zdrowie.

Oczywiście nigdy nie udało mi się stąd wyrwać. Od niektórych rzeczy po prostu nie da się uciec. Nawet Londyn jest zbyt daleko, żeby się tam wybrać - a Hawaje to już nierealne marzenie.

No dobra, może nie do końca nierealne. Niebieskie światło nadal płonie. I chociaż trwało to dłużej, niż początkowo zakładałem, w końcu zacznę czuć, że moja cierpliwość się opłaca.

Trzeba się nią wykazać w takim na przykład pasjansie, grze wymagającej zręczności i uporów. Amerykanie mają na nią inne określenie - „samotnik” - chociaż ich nazwa jest znacznie mniej optymistyczna, zabarwiona szarzieloną melancholią. Cóż, może i jest to samotna gra, ale w moim wypadku to akurat prawdziwe dobrodziejstwo. Poza tym skoro gra się w nią z samym sobą, to czy można powiedzieć, że się przegrało?

9.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 23:49 w sobotę, 16 lutego

Status: prywatny

Nastrój: uwięziony

Słucham: „Rat Trap” Boomtown Rats

„Czeka cię mnóstwo pracy”.

Początkowo myślałem, że chodzi o naukę. Tak naprawdę jednak szkoła stanowiła tylko jeden z elementów dalekosiężnego planu mamy. Wszystko zaczęło się zaraz po moim - i jej - ataku choroby, w ostatnich dniach września, które zapisały się w mojej pamięci w odcieniach szarości i błękitu. Błyskawice razily mnie w oczy, upał był jak obręcz ściskająca głowę, aż zacząłem się lekko garbić, niczym skruszony grzesznik. Potem już nigdy nie udało mi się pozbyć tego nawyku do końca.

Kiedy policjanci zjawili się u nas po raz pierwszy, pomyślałem, że chodzi o jakieś moje ciemne sprawy. Może kradzież aparatu czy graffiti na drzwiach doktora Peacocka. Albo też ktoś w końcu odkrył, jak pozbyłem się brata.

Nie zostałem jednak aresztowany. Zamiast tego kręciłem się zdenerwowany na zewnątrz, podczas gdy mama zabawiała

gości w salonie, częstując ich lepszymi ciasteczkami i herbatą w odświeżonych filiżankach, które zwykle zajmowały honorowe miejsce w oszklonej szafce, zaraz obok porcelanowych piesków. Aż w końcu, kiedy niekończące się oczekiwania nie było już nie do zniesienia, dwoje funkcjonariuszy - kobieta i mężczyzna - wyszło na zewnątrz z poważnymi minami, po czym policjantka oświadczyła:

- Musimy porozmawiać.

O mało nie zemdlałem z przerażenia, trawiony poczuciem winy. Ale mamusia przypatrywała mi się z pełną wyczekiwania dumą, więc nie mogło chodzić o coś, co zrobiłem, tylko o coś, czego ode mnie oczekiwała.

Oczywiście wiecie już, co to było. Ona nigdy niczego nie odpuszcza. A to, co jej powiedziałem na temat Emili w dniu, kiedy uderzyła mnie talerzem, jątrzyło się w jej umyśle tak długo, dopóki nie przyszedł moment, by tę wiedzę w końcu wykorzystać.

- Wiem, że nie chcesz o tym mówić - powiedziała głosem przypominającym żyletkę ukrytą w lukrowanym jabłku, utkwivszy we mnie swoje czarne jak jagody oczy. - Ale wychowałam cię w poszanowaniu dla prawa, a wszyscy wiedzą, że to nie twoja wina...

Przez chwilę nie miałem pojęcia, o co chodzi. Musiałem wyglądać na przestraszonego, bo policjantka objęła mnie ramieniem i szepnęła:

- Zgadza się, synu. To nie twoja wina...

A potem przypomniałem sobie, co wypisałem na drzwiach doktora Peacocka tamtej nocy, i wszystkie elementy ułożyły się w końcu w całość, jak w tej grze „Pułapka na myszy”. Wreszcie zrozumiałem, co miała na myśli mama.

„Czeka cię mnóstwo pracy”.

- Och, proszę - wyszeptałem. - Proszę, nie.

- Wiem, że się boisz - dodała tym swoim słodko brzmią-

cym głosem, któremu daleko było do słodczy. - Ale wszyscy są po twojej stronie. Nikt nie będzie cię winił. - Kiedy to mówiła, jej oczy przypominały łebki stalowych szpilek. Jej dłoń spoczywająca na moim ramieniu mogła wyglądać krucho, ale następnego dnia miałem w tym miejscu siniaki. - Chcemy tylko usłyszeć prawdę, B.B. Tylko prawdę. Czy to takie trudne?

Cóż mogłem począć? Byłem zupełnie sam. Sam z mamusią, schwyty w pułapkę i przerażony. Wiedziałem, że jeśli ją zdradzę, jeżeli publicznie okryję ją hańbą, znajdzie sposób, żeby mnie ukarać. Przystąpiłem więc do tej gry, ucziszając swoje wątpliwości myślą, że to tylko małe, niewinne kłamstewko, że ich kłamstwa są znacznie gorsze, a ja nie mam wyboru.

Policjantka przedstawiła się jako Lucy. Wyglądała na bardzo młodą, może dopiero co skończyła szkołę. Nadal była pełna wzniosłych ideałów i przekonana, że dzieci nie mają powodów, by kłamać. Mężczyzna, starszy i ostrożniejszy, mniej był skłonny do ulegania współczuciu, ale on też wykazał sporą delikatność, pozwalając koleżance ze mną porozmawiać, podczas gdy sam zapisywał wszystko w notatniku.

- Twoja matka mówi, że ostatnio trochę chorowałeś - powiedziała Lucy. Skinąłem głową, nie miałem odwagi się odezwać. Mamusia stała obok z kamienną twarzą, obejmując mnie ramieniem. - Mama twierdzi też, że majaczyłeś w gorączce. Mówiłeś i krzyczałeś przez sen.

- Chyba tak - mruknąłem. - Ale nie było aż tak źle.

- Mówisz, że już ci lepiej - odezwała się mama, a ja poczułem, jak jej kościste palce zaciskają się na moim ramieniu. - Ale nie wiesz nawet połowy. Dopóki człowiek nie ma własnych dzieci - dodała, nie zwalniając chwytu - nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jakie to uczucie widzieć swojego synka w takim strasznym stanie, płaczącego jak malutkie dziecko.

- Rzuciła mi krótki, pełen niepokoju uśmiech. - Wiecie państwo, niedawno straciłam drugiego syna - wyjaśniła, zerkając na policjantkę. - Gdyby coś przydarzyło się teraz B.B., chyba bym oszalała.

Zauważyłem, jak Lucy i jej partner wymieniają spojrzenia.

- Tak, pani Winter, wiem. To musiało być dla pani straszne.

Mama zmarszczyła brwi.

- Skąd pani może cokolwiek wiedzieć. Nie jest pani wiele starsza od mojego syna. Ma pani dzieci?

Lucy potrząsnęła głową.

- Więc proszę nie udawać, że mnie pani rozumie.

- Bardzo mi przykro, pani Winter.

Mamusia przez chwilę milczała, wpatrując się nieobecnym wzrokiem w dal. Wyglądała jak odłączony od prądu jednoręki bandyta, a ja zastanawiałem się nawet, czy nie dostała udaru. A potem nagle odezwała się znowu swoim normalnym głosem - no, w każdym razie takim, który w jej wypadku uchodził za normalny.

- Matka wie takie rzeczy - powiedziała. - Matka po prostu to wyczuwa. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku.

Zaczęła mówić i płakać przez sen. Właśnie wtedy zaczęłam podejrzewać, że dzieje się coś złego.

Och, była taka sprytna. Wciskała im te głupoty, rzucała jak zatrutą przynętę, podczas gdy ja wilem się i skręcałem pod jej spojrzeniem. Ale fakty były bezsporne. Pomiędzy siódmym a trzynastym rokiem życia Benjamina, najmłodszego syna Glorii, łączyła z doktorem Grahamem Peacockiem szczególna zażyłość. W zamian za udział w jego badaniach doktor zaprzyjaźnił się z chłopcem, zajął się jego edukacją, zaproponował nawet pomoc finansową samotnej matce wychowującej trójkę dzieci.

A potem nagle, bez żadnego powodu, Ben przestał współpracować, stał się zamknięty w sobie i milczący, coraz gorzej

radził sobie w szkole i zaczął sprawiać problemy wychowawcze. Przede wszystkim jednak kategorycznie odmówił powrotu do Dworu, nie podając żadnych konkretnych powodów swojego zachowania, wskutek czego doktor Peacock przestał ich wspierać finansowo, a Gloria musiała znowu sama troszczyć się o utrzymanie chłopców.

Już wtedy powinna się domyślić, że stało się coś niedobrego, ale gniew tak ją zaślepił, że przestała zwracać uwagę na potrzeby syna, a kiedy na drzwiach Dworu pojawiło się graffiti, uznała to jedynie za kolejny dowód jego skłonności przestępczych. Oczywiście Ben twierdził, że to nie on dokonał tego aktu wandalizmu, ale mu nie uwierzyła. Dopiero teraz zrozumiała, co ten gest tak naprawdę oznaczał: wołanie o pomoc, ostrzeżenie.

- Co napisałeś na tych drzwiach, B.B.? - W jej głosie groźba mieszała się z miłością.

Odwróciłem wzrok.

- Proszę, m-mamo. To było tak dawno temu. Ch-chyba naprawdę nie...

- B.B. - Najwyraźniej tylko ja zauważyłem zmianę w jej głosie, ten cierpki, kwaśnawy ton, który przywoływał znajomy odór napoju witaminowego. Głowa już zaczynała pękać mi z bólu, sięgnąłem więc po słowo, które miało go odegnać. Słowo przywodzące na myśl letnią zieleń trawników i zapach skoszonej łąki.

- Zboczeniec - szepnąłem.

- Co powiedziałaś? - rzuciła mamusia, a kiedy powtórzyłem to słowo jeszcze raz, uśmiechnęła się do mnie. - Dlaczego tak napisałeś, B.B.? - zapytała.

- Bo to prawda. - Nadal czułem się jak ktoś schwytyany w pułapkę, ale tym razem za lękiem i wyrzutami sumienia kryło się coś wręcz przyjemnego, jakby niebezpieczne poczucie posiadania.

Pomyślałem o pani White i o tym, jak wyglądała wtedy na schodach Dworu. O litości malującej się na twarzy pana White'a tamtego dnia na dziedzińcu szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda. I o twarzy doktora Peacocka wyglądającego z nieśmiałym uśmiechem zza firanki, kiedy odchodziłem jak niepiszny spod drzwi jego domu. Pomyślałem o tych wszystkich paniach, które rozpieszczały mnie i hołubiły, gdy byłem dzieckiem, a kiedy zacząłem dorastać, przestały się mną interesować. O nauczycielach ze szkoły i moich braciach, którzy traktowali mnie z taką pogardą. A potem pomyślałem o Emily...

To właśnie wtedy zrozumiałem, jak łatwo można wziąć odwet na wszystkich tych ludziach, zmusić ich, by zwrócili na mnie uwagę, sprawić, by cierpieli tak, jak ja cierpiałem. I po raz pierwszy od czasów najwcześniejszego dzieciństwa doświadczyłem podobnej euforii. Tego poczucia władzy, przyływu energii, siły, mocy, uderzenia emocji.

Uderzenie. Takie wieloznaczne słowo, które kryje w sobie potęgę i słabość, atak i obronę, winę i karę. Na dodatek pachnie prochem i krwią, a jego barwa przywodzi na myśl chmurne letnie niebo, rozświetlone zygzakami błyskawicy.

Nie myślcie sobie, że próbuję się tu wybielać. Mówiłem wam, że jestem niegrzecznym chłopcem. Nikt mnie do niczego nie zmuszał, tamtego dnia podjąłem świadomą decyzję. Mogłem postąpić właściwie. Mogłem zakończyć całą sprawę. Powiedzieć prawdę. Przyznać się do kłamstwa. Miałem wybór. Mogłem odejść z domu, uciec z dzbanecznika.

Ale mamusia mnie obserwowała i już od razu wiedziałem, że nigdy nie zrobię żadnej z tych rzeczy. Nie chodziło o to, że jej się bałem - chociaż naprawdę mnie przerażała. Po prostu uległem pokusie znalezienia się u steru, bycia tym, na kogo zwracają się oczy wszystkich.

Wiem. Nie ma się czym chwalić. To nie był mój najlepszy moment. Większość zbrodni jest irytująco małostkowa, a moja, niestety, nie okazała się tu wyjątkiem. Ale miałem tak niewiele lat, zbyt mało, żeby się zorientować, jak sprytnie poradziła sobie ze mną mamusia, prowadząc mnie twardą ręką ku nagrodzie, która w ostatecznym rozrachunku miała się okazać najgorszym rodzajem kary.

Teraz już się uśmiechała, szczerze, z aprobatą. A ja w tamtym momencie tego właśnie pragnąłem, chciałem usłyszeć z jej ust: „Świetnie, synu”, nawet jeśli cały czas jej nienawidziłem.

- Powiedz im, B.B. - rzuciła, przyszpilając mnie swoim promiennym uśmiechem. - Powiedz im, co ten człowiek ci zrobił.

10.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 03:58 w niedzielę, 17 lutego

Status: prywatny

Nastrój: przewrotny

Słucham: „I'm Not In Love” IOcc

Zaraz potem Emily została zabrana do pogotowia opiekuńczego. Tak na wszelki wypadek, powtarzali, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Jej opór przed obciążeniem doktora Peacocka uznano za dowód długotrwałego molestowania, a nie zwyczajnie niewinności, natomiast wściekłość i niedowierzanie Catherine w obliczu takich rewelacji potraktowano jako kolejne świadectwo istnienia jakiejś zmywy. Ewidentnie działa się tu coś złego. W najlepszym wypadku chodziło o cyniczne oszustwo. W najgorszym - o zakrojony na ogromną skalę spisek.

A teraz jeszcze pojawiły się zeznania waszego uniżonego sługi. Wszystko zaczęło się tak nieszkodliwie, powiedziałem. Doktor Peacock był bardzo miły. Prywatne lekcje, trochę gotówki tu i tam - właśnie tak nas skusił. I w dokładnie ten sam sposób podszedł Catherine White, ambitną, uwielbiającą

komplementy kobietę z napadami depresji w przeszłości. Tak bardzo pragnęła uwierzyć w wyjątkowość swojej córki, że gotowa była nawet przymknąć oczy na prawdę.

Książki zgromadzone w bibliotece doktora Peacocka oczywiście tylko potwierdziły moje oskarżenia. Biografie naj-sławniejszych synestetów w dziejach literatury. Nabokow, Rimbaud, Baudelaire, Da Quincey - zdeklarowani narkoma-ni, homoseksualiści, pedofile - mężczyźni, dla których arty-styczne poszukiwania stały ponad małostkową moralnością ich czasów. Zebrany materiał dowodowy nie był bezpośrednio obciążający, ale policjanci nie znali się zbyt dobrze na sztuce, a sama objętość kolekcji doktora wystarczyła, żeby przekonać ich, że dostali w swoje ręce właściwego człowieka. Zdjęcia klasowe chłopców ze szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda, robione w czasach, kiedy doktor Peacock był tam dyrektorem. Całe tomy sztychów z reprodukcjami arcydzieł sztuki greckiej i rzymskiej, rycin przedstawiających rzeźby nagich młodzieńców. Egzemplarz „Yellow Book” Beardsleya, zbiór grafik Ovendena do „Lolity”, rysunek przedstawiający nagiego chłopca (ponoć autorstwa Caravaggia), bogato ilu-strowane wydanie „Pachnącego ogrodu”, zbiorki erotyków Verlaine'a, Swinburne'a, Rimbauda i markiza de Sade'a.

- Pokazywał pan te rzeczy siedmiolatkowi?

Doktor Peacock próbował im to wytłumaczyć. To element edukacji chłopca, mówił. A Benjamin okazał spore zainteresowanie, chciał wiedzieć, kim jest.

- No i kim jest według pana?

I znowu doktor Peacock podjął próbę oświecenia swojego audytorium. Ale podczas gdy Chłopiec X był zafascynowany historiami z życia synestetów, muzyką, migrenami i orga-zmami, które manifestowały się jako pasma kolorów, poli-cjanci wydawali się znacznie bardziej zainteresowani infor-macjami,

o czym dokładnie podejrzany rozmawiał ze swoim podopiecznym podczas tych prywatnych lekcji, czy odczuwał pokusę dotykania chłopca, czy podawał mu narkotyki i czy kiedykolwiek zostawał z Benjaminem sam - z Benjaminem albo jego braćmi.

A kiedy zniecierpliwiony doktor Peacock w końcu dał upust swojej wściekłości i frustracji, funkcjonariusze popatrzyli tylko na siebie, po czym zauważyli:

- Ma pan raczej wybuchowy charakter, prawda? Czy kiedykolwiek uderzył pan chłopca? Dał mu klapsa albo ukarał go w jakikolwiek inny sposób?

Oszołomiony doktor tylko potrząsnął głową.

- A co z tą dziewczynką? Praca z tak małym dzieckiem musiała być naprawdę frustrująca. Zwłaszcza jeśli przywykło się do nauczania chłopców. Czy mała kiedykolwiek odmówiła współpracy?

- Nigdy - odparł doktor Peacock. - Emily to taka słodka dziewczynka.

- Stara się spełniać oczekiwania innych? Doktor skinął głową.

- Do tego stopnia, żeby posunąć się do oszustwa? Doktor gwałtownie zaprzeczył. Ale czasu nie dało się już

cofnąć. Odmalowałem wystarczająco przekonujący obraz. A jeśli Emily nie potwierdziła tej historii, to wyłącznie dlatego, że była jeszcze taka młodziutka i zdezorientowana, że nie chciała przyjąć do wiadomości, jak okrutnie ją wykorzystano.

Próbowali utrzymać to w tajemnicy przed prasą. Równie dobrze jednak mogli próbować zatrzymać falę. Spekulacje pojawiły się od razu po premierze filmu, a pod koniec roku Emily White była już na ustach całego kraju, nieoczekiwanie dla siebie okryta złą sławą.

Brukowce szalały. „Oskarżenia o molestowanie dziewczynki obdarzonej szóstym zmysłem” (to „The Mail”),

„Spójrzcie tylko, jak Emily gra!” (tym razem „The Sun”) i najlepszy ze wszystkich, w „The Mirror”: „Emily - czy jest oszustką?”.

Jeffrey Stuarts, dziennikarz, który śledził jej karierę od samego początku - mieszkał nawet przez jakiś czas z rodziną White'ów, uczestniczył w sesjach we Dworze i odpowiadał sceptykom z zapalem godnym prawdziwego fanatyka - zwęszył pismo nosem i natychmiast zmienił kurs. Pospiesznie dokonał zmian w swojej książce, mającej nosić tytuł „Eksperyment Emily”, i wplótł w tekst nie tylko plotki na temat rozmaitych brzydkich sprawek rozgrywających się w murach Dworu, lecz również wyraźną aluzję do mrocznej prawdy kryjącej się za fenomenem Emily.

Surowa, ambitna matka, słaby, bezsilny ojciec, wpływowa przyjaciółka związana z ruchem New Age, dziecięca ofiara, przygotowywana do występów, drapieżny starzec szarpany swoimi obsesjami. No i oczywiście Chłopiec X. Zrehabilitowany przez to, co musiał wycierpieć w przeszłości, tkwił w tej historii po uszy. Naiwna ofiara. Niewinny. Na powrót błękitnooki chłopiec.

Oczywiście sprawa nigdy nie trafiła do sądu. Nie trafiła nawet na biurko sędziego pokoju. Jeszcze w czasie trwania śledztwa doktor Peacock dostał ataku serca i wylądował na oddziale intensywnej terapii. Sprawa została odroczone na czas bliżej nieokreślony.

Ale do przekonania opinii publicznej wystarczy najdrobniejsza wzmianka o nieczystej grze, a brukowce nie czekają z ferowaniem wyroków. Trzy miesiące później było już po wszystkim. „Eksperyment Emily” trafił prosto na listy best-sellerów. Patrick i Catherine White podjęli decyzję o separacji. Inwestorzy wycofali pieniądze, galerie nie chciały wystawiać prac Emily. Feather wprowadziła się do Catherine, a Patrick wyniósł się do hotelu pod miastem.

To tylko na jakiś czas, mówił. Po prostu powinni dać sobie trochę czasu. Policja musiała zorganizować całodobową ochronę Dworu w związku z kilkoma próbami podłożenia ognia. A gazety pisały wyłącznie o Catherine. Fotoreporterzy koczowali wokół jej domu, pstrykając zdjęcia każdemu, kto przekraczał jego próg.

Na drzwiach pojawiło się graffiti, pełne nienawiści listy napływały szerokim strumieniem. W „News of the World” ukazało się zdjęcie zapłakanej Catherine i opowieść (potwierdzona przez Feather, która otrzymała od redakcji pięć tysięcy funtów) o jej załamaniu nerwowym.

Boże Narodzenie nie wyglądało wiele lepiej, chociaż Emily pozwolono wrócić na święta do domu. Wcześniej dziewczynką zajmowali się pracownicy opieki społecznej, którzy nie znalazłszy żadnych śladów przemocy fizycznej, wypytywali ją łagodnie, ale nieustępliwie, dopóki sama nie zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie postradała zmysłów.

„Spróbuj sobie przypomnieć, Emily”.

Znam tę metodę. Znam ją doskonale. Życzliwość też jest rodzajem broni. Mięciutką pałką rodem z kreskówek, która wali człowieka w pamięć, dopóki nie zamieni jej w watę cukrową.

„Wszystko w porządku. To nie twoja wina”.

„Po prostu powiedz nam prawdę, Emily”.

Wyobraźcie sobie, jak ona musiała się czuć. Wszystko się rozpadało. Przeciwno doktorowi Peacockowi toczyło się śledztwo, rodzice nagle postanowili zamieszkać osobno, a obcy ludzie ciągle zadawali jej pytania. I chociaż bez przerwy zapewniali, że to nie jej wina, nie mogła przestać myśleć, że może jednak było inaczej, może jakimś cudem to maleńkie niewinne kłamstwo wywołało ogromną lawinę.

„Posłuchać kolorów”.

Chciała powiedzieć, że to wszystko pomyłka, ale oczywiście było już na to za późno. Ludzie domagali się ostatecznego udowodnienia jej talentu, z dala od nacisków doktora Peacocka czy matki, występu, który potwierdziłby albo raz na zawsze uciszył pogłoski, że jest oszustką, pionkiem w tej grze kłamstw i chciwości.

Tym sposobem w pewien śnieżny styczniowy poranek znalazła się razem ze sztalugami i paletą farb na scenie w Manchesterze, otoczona kamerami i reflektorami, które zalewały ją palącym światłem, podczas gdy z głośników dobiegały dźwięki „Symfonii fantastycznej” Berlioza. I w tym właśnie momencie staje się cud, Emily rzeczywiście słyszy kolory.

Do tej pory tamten obraz jest jej najślawniejszą pracą. „Symfonia fantastyczna” w dwudziestu czterech gryzących się kolorach, przypominająca trochę dzieła Jacksona Pollocka, a trochę Mondrianiego, z tym swoim ogromnym szarym cieniem rozciągającym się w dolnym rogu i wdzierającym na rozświetlone płótno niczym dłoń śmierci ciemniejąca pośród łąnu kolorowych kwiatów...

Tak przynajmniej twierdzi Jeffrey Stuarts w kontynuacji swojego bestsellera, „Zagadka Emily”. Również ta książka wskoczyła od razu na pierwsze miejsce list najchętniej kupowanych tytułów, chociaż ewidentnie była to jedynie przeróbka poprzedniej pozycji z posłowiem zawierającym relację ze zdarzeń, które rozegrały się już po opublikowaniu opowieści książki. Później, oczywiście, całą historią zajęli się eksperci, specjaliści w każdej z powiązanych ze sprawą dziedzin, od sztuki po psychologię dziecięcą, spierający się ze sobą w próbie udowodnienia własnych racji.

Każda ze stron miała swoich zwolenników, czy byli to cynicy, czy też ludzie przekonani o wyjątkowych umiejętnościach Emily. Psycholodzy dziecięcy traktowali jej obrazy jako sym-

boliczny wyraz lęków, wielbiciele zjawisk paranormalnych jako zwiastun śmierci, natomiast krytycy sztuki uważali zmianę w stylu za potwierdzenie tego, co wiele osób w głębi ducha od dawna podejrzewało: że synestezja Emily od samego początku była udawana i że to Catherine White, a nie jej córka, stanowiła siłę twórczą stojącą za powstaniem takich prac jak „Nokturn w szkarłacie i ochrze” czy „Gwiazdzista sonata księżycowa”.

„Symfonia fantastyczna” okazała się zupełnie inna. Stworzone na oczach widzów płótno, kwadrat o boku blisko dwóch i pół metra, wręcz pulsowało energią, tak że nawet taki tępak jak Jeffrey Stuarts wyczuł jej złowrogą obecność. Jeśli strach ma kolor, to właśnie taki, te groźne pasma czerwieni, brązów i czerni, z nakładającymi się na nie gdzieniegdzie ostrymi plamami światła, i ten odcinający się ostrym zgrzytem nie-bieskoszary cień niczym prowadząca do lochu zapadnia.

Dla mnie pachniało to tak jak molo w Blackpool, moja matka i napój witaminowy. Dla Emily musiał to być pierwszy krok na drugą stronę lustra, do świata, gdzie nic nie było już normalne, nic nie było pewne.

Próbowali ukrywać przed nią prawdę. Z litości, twierdzili specjaliści. Taka informacja w przypadku równie młodej osoby, zwłaszcza przekazana w podobnych okolicznościach, mogłaby spowodować niewyobrażalny wprost uraz. Ale my dowiedzieliśmy się o wszystkim z plotek, zanim jeszcze zaczęły o tym pisać gazety. Catherine White trafiła do szpitala w wyniku nieudanej próby samobójczej. I nagle każdy reporter na świecie zapragnął być w Malbry, sennym miasteczku na północy kraju, gdzie rozgrywały się wszystkie te ekscytujące wydarzenia i gdzie gromadziły się już chmury przed kolejną potężną burzą z piorunami.

11.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 20:55 w poniedziałek, 18 lutego

Status: prywatny

Nastrój: wyczerpany

Słucham: „I Can See Clearly Now” Johnny'ego Nasha

Dzisiaj napisała do mnie znowu Clair. Najwyraźniej bardzo za mną tęskni. A opowiadanie, które zamieściłem w walentynki, zaniepokoiło ją bardziej niż zwykle. Nalega, żebym wrócił do stada, porozmawiał o swoim poczuciu wyobcowania i wreszcie zaakceptował ciężar odpowiedzialności. Ten e-maila jest oczywiście odpowiednio neutralny, ale wyczuwam jej dezaprobatę. Może Clair czuje się urażona, a może uważa, że moje teksty wywołują niedostosowaną reakcję u ludzi takich jak Toksyczny czy Kapitan, których upodobanie do przemocy nie wymaga już dalszej zachęty.

Musisz wrócić na zajęcia, pisze Clair. Rozmowa w sieci to żadne wyjście. Wolalabym się z tobą zobaczyć twarzą w twarz. Poza tym nie jestem pewna, czy te twoje historie są rzeczywiście

pomocne. Powinieneś stawić czoło swoim ekshibicyjnym skłonnościom i zmierzyć się z rzeczywistością...

Pi! Usuń wiadomość.

I już nie ma Clair.

Oto cały urok e-maili, Clair. Dlatego właśnie wołę się z tobą spotykać w sieci zamiast w twoim maleńkim saloniku z jego ślicznymi, neutralnymi reprodukcjami na ścianach i zapachem taniego potpourri. Poza tym na zajęciach to ty rządysz, podczas gdy strona Niegrzecznychłopcy rządzą należą do mnie. Tutaj to ja zadaję pytania, ja mam całą władzę.

Nie, chyba jednak wołę zostać tutaj i rozwijać własne zainteresowania w bezpiecznym schronieniu swojego pokoju. O wiele bardziej lubię siebie w sieci. Tu mogę wyrazić o tyle więcej. To właśnie tutaj, a nie w tamtej okropnej szkole, zdobyłem klasyczne wykształcenie. I tutaj mogę się wśliznąć do twojego umysłu, odkrywać twoje drobne sekrety i obnażać twoje słabostki, dokładnie wtedy, gdy ty próbujesz rozszfrować mnie.

Powiedz mi, jak się miewa ostatnimi czasy Anielski Błękit? Na pewno się z tobą skontaktował. A Chryssie, czy nadal choruje? No cóż, jaka szkoda. Nie powinnaś porozmawiać teraz z nią, zamiast przepytawać mnie?

Znowu sygnał poczty. Nowy e-mail od Clair.

Naprawdę uważam, że powinniśmy jak najszybciej porozmawiać. Wiem, że nasze pogawędki są dla ciebie trudne, ale zaczynam się martwić o ciebie. Proszę, napisz do mnie, żeby potwierdzić spotkanie!

Pi! Usuń wiadomość.

„Ojej! Już ich nie ma!”

Gdyby wykasowanie Clair było równie proste.

Z drugiej strony mam teraz inne zmartwienia na głowie, przy czym mój związek z Albertyną nie należy tu do najmniejszych. Nie żebym liczył na wybaczenie. Na to oboje posunęliśmy się już za daleko. Jej milczenie jest jednak tak niepokojące, że z trudem powstrzymuję się przed złożeniem jej wizyty w domu. A to nie byłoby rozsądne. Zbyt wielu potencjalnych świadków. Podejrzewam, że jesteśmy już obserwowani. Wystarczy jedno słówko do mamy i runie cały domek z kart.

W efekcie znalazłem się znowu w Zebrze na pół godziny przed zamknięciem lokalu. Masochistyczna część mojej natury tak często ciągnie mnie do tego miejsca, bezpiecznego mikroświata, którego częścią z całą pewnością nie jest wasz unижony sługa. W przelocie zauważyłem jeszcze z irytacją, że przy drzwiach siedzi Terri. Kiedy wszedłem, z nadzieją podniosła wzrok, ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby ją zignorować. To by było na tyle, jeśli chodzi o dyskrecję, pomyślałem. Pomimo swojej nieśmiałości Terri jest, podobnie jak jej ciotka, bystrą obserwatorką i zdeklarowaną plotkarką, typem gapia, który zatrzymuje się na widok wypadku samochodowego, nie żeby pomóc, ale by uczestniczyć w zbiorowym nieszczęściu.

Saksofonista z dredami, który siedział w pobliżu z dzbankiem kawy pod ręką, rzucił mi spojrzenie jasno dające do zrozumienia, że gardzi takimi jak ja. Może Bethan mu o mnie wspominała. Od czasu do czasu to robi, sami rozumiecie, w daremnej próbie udowodnienia sobie, jak bardzo mnie teraz nienawidzi. Dziwny Koleś, tak mnie nazywa. Szczerze mówiąc, liczyłem, że wykaże się większą inwencją.

Usiadłem na swoim zwykłym miejscu i zamówiłem earl greya, bez cytryny i mleka. Przyniosła go na kwiecistej tacy. Ociągała się na tyle długo, bym zaczął podejrzewać, że coś ją dręczy, a potem wreszcie podjęła jednak decyzję i usiadła naprzeciwko mnie.

- Czego ty, do cholery, ode mnie chcesz? - spytała, patrząc mi prosto w oczy.

Nalałem sobie herbaty, pachnącej i mocnej, po czym odparłem:

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O tym, że cały czas się tu kręcisz. Piszesz te swoje historyjki, odgrzebujesz zdarzenia z przeszłości...

- Ja? Odgrzebuję zdarzenia z przeszłości? - Parsknąłem śmiechem. - Przepraszam, ale kiedy szczegółóły testamentu doktora Peacocka wyjdą na jaw, wszystkich będzie interesować, co porabiasz. To nie moja wina, Albertyno.

- Wolalabym, żebyś mnie tak nie nazywał.

- Sama sobie wybrałaś to imię - zauważyłem. Wzruszyła ramionami.

- Nie zrozumiałbyś.

No cóż, i tu się właśnie mylisz, Albertyno. Rozumiem aż za dobrze. To skryte pragnienie, by stać się kimś innym, przybrać nową tożsamość. Tak jak ja to zrobiłem.

- Nie chcę jego pieniędzy - oświadczyła. - Chcę tylko, żeby ludzie zostawili mnie w spokoju.

Uśmiechnąłem się.

- Mam nadzieję, że to ci się uda.

- Ty go do tego namówiłeś, prawda? - Oczy jej pociemniały z gniewu. - Pracowałeś tam, miałaś okazję. Był stary, podatny na wpływy. Wmówiłbyś mu wszystko.

- Możesz mi wierzyć, Bethan, gdybym mógł coś zrobić, nie sądzisz, że namówiłbym go do zostawienia tych pieniędzy mnie? - Dałem jej kilka sekund, żeby przetrawiła tę myśl. - Stary, dobry doktor Peacock. Nadal próbujący, po tych wszystkich latach, naprawić dawne krzywdy. Nadal pełen nadziei, że może uda się wskrzesić zmarłych. A skoro Patrick już nie żył, zostałaś mu tylko ty. Nigel musiał być w siódmym niebie...

Spojrzała na mnie.

- Tylko mi z tym znowu nie wyjeżdżaj. Mówiłam ci, Nigela w ogóle to nie interesowało.

- Och, proszę cię. - Parsknąłem. - Może i miłość zaślepia, ale musiałabyś być naprawdę głupia, żeby sądzić, że kogoś takiego jak Nigel w ogóle nie zainteresowałaby fortuna, którą ma odziedziczyć jego dziewczyna...

- Powiedziałeś mu o testamencie doktora Peacocka?

- Któż to wie? Mogło mi się coś wymknąć.

- Kiedy? - spytała piskliwie.

- Półtora roku temu, może więcej.

Zapadła cisza. A potem:

- Ty sukinsynu! - wysyczała. - Próbujesz mi wmówić, że wszystko było ustawione od samego początku?

- Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz - odrzekłem. - Domyślałam się, że Nigel był naprawdę opiekuńczy. Nie podoobało mu się, że mieszkasz sama. Jeszcze nie wspomniał o małżeństwie, ale gdyby poprosił cię o rękę, powiedziałabyś „tak”. - Po chwili dodałem: - No i jak mi idzie?

- Wiesz co, to zupełnie bezcelowe - odparła, utkwivszy we mnie morderczy wzrok. - Nigdy nie uwierzę w te bzdury. Nigel nie dbał o pieniądze.

- Doprawdy? Cóż za romantyk - odpowiedziałem z ironią.

- Bo według wyciągów z karty kredytowej, na które się natknąłem podczas uprzątnania rzeczy z jego mieszkania, miał mnóstwo długów. W sumie niemal dziesięć tysięcy funtów. Chyba musiało mu być trudno związać koniec z końcem. Może zaczął się niecierpliwić. Albo znalazł się naprawdę w rozpaczliwym położeniu. Doktor Peacock był stary i chory, jednak z całą pewnością nie umierający. Mógł żyć jeszcze z dziesięć lat.

Teraz zrobiła się blada jak płótno.

- Nigel nie zabił doktora Peacocka! - zawołała. - Nie

byłby do tego zdolny. Nie zrobiłby czegoś takiego... - Głos jej zadrżał. Bolało mnie, że sprawiam jej ból, ale musiała wiedzieć. Musiała zrozumieć.

- A dlaczego nie, Bethan? Zrobił to już wcześniej.

- To było co innego - odparła, potrząsając głową.

- Tak ci powiedział?

- Oczywiście, że to było co innego! Tylko wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

Poderwała się gwałtownie, odsunięte krzesło zatańczyło ze stukotem.

- Do diabła, jakie to ma teraz znaczenie? - krzyknęła.

- To wydarzyło się tak dawno temu, dlaczego teraz do tego wracasz? Nigel nie żyje, już po wszystkim, więc czemu nie zostawisz mnie po prostu w spokoju?

Jej rozpacz wydała mi się dziwnie poruszająca, jej posępna twarz była taka piękna. A szmaragdowy kolczyk, który miała wpięty w brew, mrugał do mnie niczym otwarte oko. I nagle pomyślałem, że jedyne, czego pragnę, to żeby mnie przytuliła, pocieszyła, powiedziała wszystkie te kłamstwa, które każdy z nas w głębi duszy pragnie usłyszeć.

Ale nie mogłem teraz przerwać. Byłem jej to winien.

- To się nigdy nie skończy, Bethan - powiedziałem. - Nie da się cofnąć morderstwa. Zwłaszcza kiedy chodzi o kogoś z rodziny. A Benjamin miał zaledwie szesnaście lat...

Popatrzyła na mnie z nienawiścią, a ja po raz pierwszy mógłbym uwierzyć, że byłaby zdolna do czynu, który zmiotł z powierzchni ziemi już dwóch z synów Glorii Winter.

- Nigel miał rację - odezwała się w końcu. - Naprawdę jesteś pokreconym sukinsynem.

- Ranisz moje uczucia, Albertyno.

- Nie zgrywaj niewiniątka, Brendan.

Wzruszyłem ramionami.

- Teraz jesteś niesprawiedliwa - powiedziałem. - Ostatecznie to Nigel zamordował Benjamina. Miałem sporo szczęścia, że mnie przy tym nie było. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, to mogłem być ja.

CZEŚĆ PIĄTA

LUSTRA

1.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 23:40 w poniedziałek, 18 lutego

Status: prywatny

Nastrój: zmęczony

Słucham: „True Colors” Cindy Lauper

W porządku, możecie mi mówić Brendan. Zadowoleni? Czy teraz wydaję się wam, że mnie znacie? Sami wybieramy nasze imiona, naszą tożsamość, tak jak wybieramy życie, jakie chcemy prowadzić. Muszę w to wierzyć, Alertyno, bo drugie rozwiązanie - że wszystko rozstrzyga się w chwili naszych narodzin albo nawet wcześniej, jeszcze w macicy - jest zbyt przerażające, żeby w ogóle brać je pod uwagę.

Ktoś powiedział mi kiedyś, że siedemdziesiąt procent pochwal, jakie słyszy przeciętny człowiek, pada przed ukończeniem przez niego piątego roku życia. W przypadku pięcioletka powodem zachwyty może być niemal wszystko - zjedzenie całego posiłku, samodzielne ubranie się czy pokolorowanie kredkami obrazka. Oczywiście potem to się kończy. Dla mnie takim punktem granicznym były narodziny mojego brata w błękicie, Benjamina.

Clair, z całym tym swoim uwielbieniem dla psychobelkotu, wspomina czasem o czymś, co nazywa „odwróconym efektem halo”, tej tendencji nas wszystkich, by przypisywać bliźniemu kolory zbrodni na podstawie jednej tylko wady - takiej jak na przykład połknięcie swojego brata czy zebranie do wiaderka morskich stworzeń i pozostawienie ich w palącym słońcu na pewną śmierć. Kiedy na świat przyszedł Ben, moje halo się odwróciło, a błękitnookichłopiec został pozbawiony wszystkich swoich dotychczasowych przywilejów.

Wcale nie byłem tym zaskoczony. Miałem trzy lata i wiedziałem już, że ten wrzeszczący niebieski tobolek, z którym mamusia pojawiła się w domu, przyniesie mi jedynie cierpienie. Najpierw była decyzja o przydzieleniu naszej trójce kolorów. Właśnie wtedy wszystko się zaczęło, teraz to wiem, chociaż mama mogła sobie wówczas nie zdawać z tego sprawy. Ale tak właśnie stałem się Brendanem Brązowym - taki nudziarz, ni pies, ni wydra - przyćmiewanym z jednej strony przez Nigela Czarnego, z drugiej przez Benjamina Błękitnego. Nikogo nie interesowałem - no, chyba że coś przeszkrobałem, bo wtedy kabel elektryczny aż nazbyt szybko znajdował się w użyciu. Dla nikogo nie byłem na tyle wyjątkowy, by zasługiwać na uwagę.

Zdołałem jednak to wszystko zmienić. Odzyskałem swoje halo - przynajmniej w oczach mamusi. A co do ciebie, Albertyno - czy może powinienem raczej zwracać się teraz do ciebie Bethan? - ty zawsze dostrzegałaś więcej niż inni. Zawsze mnie rozumiałaś. Nigdy nie miałaś najmniejszych wątpliwości, że ja też jestem niezwykły, że pod tą wrażliwością bije serce przysłego mordercy. Mimo to...

Wszyscy wiedzą, że to nie moja wina. Nigdy nie tknąłem go palcem. Tak naprawdę to nawet mnie przy tym nie było. Obserwowałem wtedy Emily. Wszystkie te razy, kiedy na nią patrzyłem, śledziłem ją aż do Dworu i z powrotem, tonąłem

w powitalnym uścisku doktora Peacocka, frunąłem razem z nią na maleńkiej huśtawce, czułem dłoń jej matki w swojej dłoni, słyszałem słowa: „Doskonale, kochanie”.

Mój brat nie robił żadnej z tych rzeczy. Może nie musiał. Był zbyt zajęty uzalaniem się nad sobą, żeby interesować się Emily. To ja o nią dbałem, robiłem jej zdjęcia ponad żywopłotem i dzieliłem z nią szczegóły jej dziwnego małego życia.

Może właśnie z tego powodu wtedy ją pokochałem, dlatego że ukradła życie Benjamina, tak jak on ukradł moje. Miłość matki, mój dar, moja szansa, wszystko to przeszło na Benjamina, jakbym kiedyś dostał je tylko na przechowanie, zanim pojawi się ktoś lepszy.

Ben, błękitnooki chłopiec. Złodziej. I co zrobił ze swoją wielką szansą? Zmarnował wszystko, obrażony, że kogoś innego spotkało większe szczęście. Wszystko: inteligencję, miejsce w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda, nawet czas spędzany we Dworze. Roztrwonił to tylko dlatego, że nie potrafił się zadowolić kawałkiem tortu, nie, on chciał mieć całą cholerną cukiernię. Cóż, tak to właśnie wyglądało w oczach Brendana Brązowego, który musiał się zadowolić kilkoma okruchami skradzionymi z talerza brata.

Ale teraz tort należy do mnie. Tort i cała cukiernia. Jak ująłby to Kapitan: „Pełnia władzy, brachu”.

Upiekło mi się morderstwo.

2.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 23:47 w poniedziałek, 18 lutego

Status: publiczny

Nastrój: wrażliwy

Słucham: „Hurt” Johnny'ego Casha

Nazywają go Brendanem Brązowym. Zbyt nijaki, by mieć jakiś talent, zbyt nijaki, by zostać dostrzeżonym, zbyt nijaki nawet na mordercę. Brązowy jak gówno, jak sierść osła, ten nudny, tępy, cholerny brąz. Przez całe życie próbował udawać ślepeca, niechętny widz obserwujący wszystko przez splecione palce, podczas gdy życie toczy się dalej bez jego udziału, krzywiący się przy najłżejszym uderzeniu, najmniejszej zapowiedzi przemocy.

Tak, Brendan Brązowy jest wrażliwy. Filmy akcji go przerażają. Filmy przyrodnicze są wykluczone, podobnie jak horrory, gry wideo, westerny i sceny walk. Współczuje nawet czarnym charakterom. Sport też jest dla niego źródłem dyskomfortu, ze swoim ryzykiem obrażeń i kolizji. Zamiast tego ogląda więc programy kulinarne i ogrodnicze, filmy

podróznicze albo pornosy. I śni o dalekich miejscach, czując na twarzy promienie słońca.

- Ten chłopak jest zbyt wrażliwy - mówi mamusia. - Odczuwa wszystko mocniej niż pozostali.

Może tak właśnie jest, myśli sobie Brendan Brązowy. Może odczuwa wszystko inaczej. Ponieważ kiedy patrzy na czyjeś cierpienie, robi się taki nieswój, że czasem jest wręcz fizycznie chory i płacze przerażony tym, co czuje z powodu oglądanych obrazów.

Jego brat w błękitnie dobrze to wie i zmusza go do przyglądania się swoim eksperymentom z muchami i osami, a potem również z myszami, albo pokazuje Brenowi obrazki, od których ten aż się wzdryga. Doktor Peacock nazywa to „dotykową synestezją lustrzaną”. Jest to coś w rodzaju patologicznej nadwrażliwości - przynajmniej w przypadku Brendana - w której ośrodek wzroku w korze mózgowej jakimś cudem łączy się ze sferą odpowiedzialną za doznania zmysłowe, tak że chłopiec może doświadczać tego, co czują inni - czy chodzi tu o dotyk, smak czy cios - równie wyraźnie, jakby to wszystko przydarzyło się jemu samemu.

Brat w czerni go nie znosi, gardzi nim z powodu jego słabości. Matka też go teraz ignoruje, środkowe dziecko, to spokojne, uwięzione pomiędzy Nigelem, czarną owcą, i Benjaminem, błękitnookim chłopcem.

Brendan nienawidzi swoich braci. Nienawidzi tego, jak się przy nich czuje. Jeden jest cały czas wściekły, drugi zarozumiały i pełen wzdrygi. A Brendan to wszystko odczuwa - aż za bardzo - czy tego chce, czy nie. Coś ich swędzi, a on ma ochotę się podrapać. Leci im krew, a Brendan krwawi za nich. Szczerze mówiąc, wcale nie chodzi tu o empatię. To jedynie mimowolna fizyczna reakcja na serię bodźców wzrokowych. Niewiele by go obeszło, gdyby obaj umarli - o ile stałoby się to gdzieś daleko, żeby nie musiał na to patrzeć.

Czasami, kiedy zostaje sam, czyta. Początkowo powoli, w odosobnieniu, pochłania książki o podróżach i fotografii, wiersze i dramaty, opowiadania, powieści i słowniki. Słowo drukowane jest tak inne od tego, co widzi wokół siebie. Akcja rozwija się w jego umyśle, bez udziału jego ciała. Czyta do późna w nocy przy świetle gołej żarówki w piwnicy, którą z braku własnego pokoju potajemnie przerobił na ciemnię. Tutaj czyta książki, jakich zdaniem nauczycieli nie byłby w stanie zrozumieć; owe książki już na zawsze uczyniłyby z niego obiekt drwin i niewybrednych psikusów kolegów ze szkoły.

Ale tu, w swojej ciemni, czuje się bezpieczny. Nie ma tu nikogo, kto by się z niego wyśmiewał, kiedy przesuwając palcem po tekście. Nikogo, kto nazwałby go przygłupem, gdy wolno odczytuje słowa na głos. Nie, to kryjówka Brendana. Tutaj może robić, co mu się żywnie podoba. A czasem, kiedy jest sam, nawiedzają go też sny, marzenia o tym, że ubiera się w coś innego niż tylko brązy, że ludzie go dostrzegają, że wreszcie może pokazać światu swoje prawdziwe oblicze.

Ale w tym właśnie problem, prawda? Całe swoje życie był nudnym, głupim Brendanem Brązowym. Tyle że wcale nie jest głupi. Po prostu dobrze się kamufluje. W szkole zawsze robił tylko to, co niezbędne, żeby nie narażać się na kpiny, w domu udaje pozbawionego wyobraźni flegmatyka. Wie, że dzięki temu będzie bezpieczniejszy, teraz, kiedy Ben zajął jego miejsce, ograbił go z miłości mamy, połknął go, tak jak on sam połknął kiedyś Mała podczas rozpaczliwej walki o dominację.

To niesprawiedliwe, myśli sobie. On też ma błękitne oczy. On też ma wyjątkowy dar. Jego nieśmiałość i jąkanie się sprawiają, że wszyscy wokół uważają go za milczka. Ale Brendan wie, że słowa mają niezwykłą moc. Chce się nauczyć nad nimi panować. A poza tym świetnie zna się

na komputerach. Potrafi przetwarzać informacje. Walczy z dysleksją za pomocą specjalnego programu. A później pod przykrywką pracy na pół etatu w knajpce z fast foodem zapisuje się na zajęcia z twórczego pisania. Początkowo nie radzi sobie za dobrze, ale bardzo się stara, jest pełen zapału do nauki. Fascynują go słowa i ich znaczenie, pragnie się o nich dowiedzieć jak najwięcej. Ma zamiar rozebrać język na czynniki pierwsze, aż do samych podstaw.

I co najważniejsze, jest ostrożny. Ostrożny i bardzo cierpliwy. Zrzucenie teraz barw ochronnych oznaczałoby zdradzenie się ze swoimi zamiarami. Brendan Brązowy jest na to za mądry. Ceni sobie swój kamuflaż. Właśnie dzięki owej sztuce udało mu się przetrwać tak długo, dzięki temu, że wtapia się w tło, pozwala innym błyszczeć, usuwa się na bok, żeby patrzeć, jak jego przeciwnicy niszczą się nawzajem.

Sun Zi twierdzi w „Sztuce wojennej”: „Wojna to sztuka wprowadzania w błąd”*. Cóż, jeśli nasz chłopiec coś potrafi, to właśnie oszukiwać i tworzyć zasłony dymne.

„Więc jeśli coś możesz, udawaj, że nie możesz. Jeżeli jesteś gotów, udawaj bezczynność.

Będąc blisko, udawaj, że jesteś daleko. Będąc daleko, udawaj, że jesteś blisko”.

Wybiera odpowiedni moment starannie. Nigdy nie był porywczy. W przeciwieństwie do Nigela, po którym zawsze można było się spodziewać, że najpierw coś zrobi, a dopiero potem będzie się zastanawiał (jeśli w ogóle pomyśli), i że zareaguje w sposób tak oczywisty, że nawet dziecko mogłoby nim manipulować.

„Kiedy wpada w gniew, podbechtuj go”.

* Ten i następujące cytaty z: Sun Zi, „Sztuka wojenna”, przeł. Rober Stiller, vis-à-vis etiuda, Kraków 2004.

Łatwizna, gdy chodzi o Nigela. Wystarczy odpowiednio dobrane słówko. W tym wypadku prowadzi ono do przemo-
cy, a potem wywołuje reakcję łańcuchową, której już nikt nie
potrafi zatrzymać i która kończy się śmiercią jego brata w
błękitcie oraz aresztowaniem brata w czerni. A Bystry Bren-
dan jest wreszcie wolny od nich obu, a przy tym bielszy niż
świeżo spadły śnieg.

Składnik numer jeden: czarny notes Moleskine.

Składnik numer dwa: parę zdjęć jego brata w czerni figlu-
jącego z Tricią Goldblum, znaną też jako pani Elektryczny
Błękit, niektóre dosyć intymnej natury, zrobione za pomocą
teleobiektywu z końca ogrodu wspomnianej damy i wywoła-
ne ukradkiem w ciemni, o której istnieniu nie wie nikt, nawet
mama.

Połączyć razem jak kwas azotowy z gliceryną, a potem...

Bum!

Właściwe to było niemal zbyt proste. Ludzie są tacy prze-
widywalni. Zwłaszcza Nigel ze swoimi zmiennymi nastrojami
i wybuchowym temperamentem. Dzięki efektowi odwróco-
nego halo (Nigel zawsze nienawidził Bena) wszystko, co nasz
bohater musiał zrobić, to odpowiednio go nakręcić, a potem
pchnąć we właściwym kierunku - reszta była już z góry prze-
sądzona. Słódko szepnięte Nigelowi mimochodem, sugerują-
ce, że Ben go szpieguje, wzmianka o tajemnej skrytce brata,
podrzucenie dowodów pod materac Bena, tak aby Nigel bez
trudu je znalazł, a potem wystarczyło wynieść się z domu,
aby mogło tam wreszcie dojść do ohydnej zbrodni.

Ben oczywiście wszystkiego się wyparł. I tu popełnił
śmiertelny błąd. Brendan wiedział z doświadczenia, że jedy-
nym sposobem na uniknięcie poważnych obrażeń jest na-
tychmiastowe przyznanie się do winy, nawet jeśli się nie zro-
biło nic złego. Nauczył się tego bardzo wcześnie, zdobywając
sobie

przy tym jakże wygodną opinię beznadziejnego kłamcy, ponieważ brał na siebie winę za mnóstwo rzeczy, za które nie ponosił odpowiedzialności. W każdym razie Ben nie zdążył niczego wyjaśnić, bo pierwszy cios Nigela roztrzaskał mu czaszkę. Potem - no cóż, dość powiedzieć, że Benjamin nie miał najmniejszej szansy.

Oczywiście naszego bohatera jednocześnie nie było. Niczym Maks Absent, Kot-Tajemnica, opanował trudną sztukę unikania rzeczy nieprzyjemnych. To matka znalazła Bena, to ona wezwała policję i pogotowie, a potem czuwała w szpitalu, nie uroniwszy jednej łzy, nawet wtedy, kiedy jej powiedzieli, że zmiany w mózgu są nieodwracalne i Benjamin już nigdy się nie obudzi.

Nieumyślne spowodowanie śmierci, tak to określili.

Cóż za interesujące sformułowanie, zabarwione błękitem błyskawic, pachnące szaławią i fiołkami. Tak, teraz Bren widzi kolory tak jak jego brat. Ostatecznie zajął jego miejsce. Teraz to wszystko należy do Brendana - dar Bena, jego przyszłość i kolory.

Trochę to trwało, zanim się przyzwyczaił. Początkowo całymi dniami chorował. Brzuch przemienił się w pozbawioną dna otchłań, głowa bolała tak bardzo, aż zaczął myśleć, że umiera. W pewnym sensie uważał, że sobie na to zasłużył. Ale jakaś jego częśćka uśmiecha się gdzieś tam w środku. To jest niczym okrutna sztuczka magiczna. Nie popełnił żadnej zbrodni, a jednak jest winien morderstwa.

Czegoś wszakże w tym wszystkim brakuje. Przemoc nadal pozostaje poza jego zasięgiem. Niezbyt fortunne, jeśli wziąć pod uwagę ogrom jego wściekłości. Bez swojego trującego daru mógłby wszystko. Jego myśli są czyste, beznamiętne, nie ma też sumienia, które mogłoby go dręczyć. W jego umyśle kryją się najstraszniejsze rzeczy, zaledwie na mgnienie oka od wcielenia w czyn. Ale jego ciało odrzuca taki scenariusz.

Jedynie w swoich opowiadaniach może działać bezkarnie. Tylko w nich naprawdę jest wolny. W życiu zawsze trzeba zapłacić za ten triumf zwycięstwa, zapłacić chorobą i bólem, tak jak trzeba drogo zapłacić za wszystkie złe myśli.

Matka nadal ma ten kabel elektryczny. Oczywiście teraz już z niego nie korzysta. Zamiast tego używa pięści i nóg, wiedząc, że syn nie będzie się bronił. Ale on nadal śni o tym kablu i porcelanowych pieskach, gapiących się pustym wzrokiem zza szybki. Kabel pasowałby jak ulał do jej szyi, bez trudu można by go okręcić co najmniej sześć czy siedem razy, a po czymś takim ta szklana witryna i porcelanowe pieski nie miałyby już żadnej szansy.

Ta myśl nagle wprawia go w zdenerwowanie. Do gardła znowu podchodzi znajomy smak, słonawy, przyprawiający o mdłości, który sprawia, że wargi mu drętwieją ze strachu, a serce trzepocze się jak wyciągnięta z wody ryba.

Z dołu słychać głos matki:

- Kto tam jest?

- To tylko ja, mamusiu - odpowiada z westchnieniem.

- Co ty tam robisz? Najwyższa pora na twój napój. Brendan wyłącza komputer i sięga po słuchawki. Lubi

słuchać muzyki. To ona nadaje wszystkiemu zupełnie nowy kontekst. Cały czas nosi ze sobą iPod'a, dawno temu opłynał sztukę sprawiania wrażenia, że uważnie przysłuchuje się temu, co mówi Gloria, podczas gdy tak naprawdę w jego głowie rozbrzmiewa coś zupełnie innego, sekretna ścieżka dźwiękowa jego życia. Schodzi na dół.

- O co chodzi, mamusiu?

Patrzy, jak usta matki poruszają się bezgłośnie. W jego głowie Facet w Czerni śpiewa głosem tak starym i znużonym, jakby gość już dawno nie żył.

Czuje się jak wydrażony, nękanym przez taką pustkę, taki głód, jakiego nic nie zdoła zaspokoić - ani jedzenie, ani miłość, ani morderstwo - niczym wąż, który próbował połknąć cały świat, a ostatecznie zaczął pożerać własny ogon.

I tam, w głębi ducha, wie, że jego czas właśnie nadszedł. Pora, aby przyjąć lekarstwo. Zrobić to, o czym marzył przez ostatnich czterdzieści lat - praktycznie całe swoje życie. Wreszcie zrzucić barwy ochronne i zmierzyć się z przeciwnikiem, twarzą w twarz. Ostatecznie cóż ma do stracenia? Swój napój witaminowy?

Dodaj komentarz JennyTricks: (post usunięty) Albertyna: (post usunięty). JennyTricks: (post usunięty) blekitnookichlopiec: Albertyno?

3.

Autorem tego blogu jest błękitnookichłopiec.
Wpis zamieszczony o: 00:15 we wtorek, 19 lutego
Status: prywatny
Nastrój: niezadowolony
Słucham: „Just Like Jesse James” Cher

Tym sposobem chłopcu z dotykową synestezją lustrzaną uszło na sucho morderstwo. Zręczna sztuczka, musicie to przyznać, którą przeprowadziłem ze swoim typowym sprytem. Lustra są naprawdę wszechstronne. Można lewi-tować, sprawiać, że rzeczy będą znikać, przeszywać mieczem nagą kobietę. Tak, czasami miewam bóle głowy. Ale błękitnookichłopiec pomógł mi się z tym uporać. Czy nie wspominałem już wcześniej, że wolę siebie, kiedy piszę jako ktoś inny? Błękitnookichłopiec nie czuje do innych ani krzty empatii. Rzadko ma dla kogoś współczucie. Jego zimne, beznamienne spojrzenie na świat to mile widziana odmiana po mojej delikatności.

„Delikatności?”, już słyszę, jak to mówicie. No cóż, owszem. Jestem bardzo wrażliwy. Synesteta lustrzany czuje wszystko, czego jest świadkiem. W dzieciństwie trochę czasu

zajął mi zrozumienie, że inni nie funkcjonują w ten sam sposób. Dopóki w moim życiu nie pojawił się doktor Peacock, myślałem, że jestem zupełnie normalny. Takie rzeczy są czasem dziedziczne, tak słyszałem, chociaż często nawet w wypadku bliźniąt jednojajowych umiejętność ta objawia się zupełnie inaczej.

W każdym razie mój brat Ben nie miał ochoty dzielić się ze mną swoim miejscem w świetle jupiterów. Kiedy pierwszy raz wybraliśmy się do Dworu, ostrzegł mnie, że jeśli choćby pisnę w obecności doktora Peacocka, że nie jestem normalnym dzieciakiem, zwykłym przeciętniakiem, na jakiego wyglądam, poniosę bardzo nieprzyjemne konsekwencje swojego gadulstwa. Początkowo zlekceważyłem to ostrzeżenie, nawet jeśli było to tylko z powodu tej ryciny w sepii, obrazu przedstawiającego Hawaje i sposobu, w jaki zwracał się do mnie doktor Peacock. No i jeszcze myśli, że ja też mogę być wyjątkowy.

Opierałem się przez całe trzy tygodnie. Nigel otwarcie okazywał mi pogardę - jakby Brendan Brązowy rzeczywiście mógł cokolwiek zrobić - a Benjamin obserwował mnie z urazą, czekając na okazję, żeby się ze mną rozprawić. Już wtedy był przebiegły. Słówko czy dwa, rzucone przypadkiem „mamusiu”, aluzja, że jestem o niego zazdrosny, kilka uwag, że wcale nie mam żadnego daru, tylko udaję, naśladując brata.

Spójrzmy prawdzie w oczy, nie miałem najmniejszej szansy. Byłem gruby i niezdarny, obiekt kpin, dyslektyk, jakaś i kiepski uczeń. Nawet moje oczy miały chłodny szaroniebieski odcień, oczy Bena natomiast były świetliste, o barwie letniego nieba, która sprawiała, że ludzie chcieli go kochać. Oczywiście wierzyli mu. Dlaczego miałoby być inaczej?

Mamusia wydobyła ze mnie wyznanie za pomocą kabla. W pewnym sensie myślę, że wtedy obojgu nam ulżyło. Już

wcześniej zdawałem sobie sprawę, że nie mogę konkurować z Benem. A co do mamy, od samego początku wiedziała, że nie mogę być wyjątkowy. Jak śmiem ośmieszać Bena? Jak śmiem opowiadać takie kłamstwa? Pochlipując, wydukałem przeprosiny, podczas gdy mój brat obserwował całą scenę z uśmiechem na twarzy, a potem wystarczyła już tylko groźba, że poskarży się mamie, żeby miał we mnie posłusznego niewolnika.

Wtedy po raz ostatni podjąłem próbę opowiedzenia komuś o swoim darze. Ben znowu zepchnął mnie na drugi plan. Próbowałem wrócić do bycia Brendanem Brązowym, bezpiecznym w swojej przeciętności. Ale mama nagle się zmieniła. Może to wina odwróconego efektu halo. A może sprawy Emily White. W każdym razie od tamtej pory stałem się jej chłopcem do bicia, tym, na którym mogła wyładować własne frustracje. Kiedy doktor Peacock przestał pracować z Benem, odkryłem, że jakimś cudem mnie o to obwiniła. A gdy Ben nie dostał się do świętego Oswalda, to ja zostałem ukarany - i owszem, zamierzałem rzucić szkołę, ale oboje wiedzieliśmy, że gdyby Ben lepiej się spisał, nikt nawet by nie pomyślał o mojej dalszej edukacji.

Wówczas ucieczką stało się dla mnie jedzenie - jedzenie, a później także Emily. Jadłem nie z głodu czy łakomstwa, ale po to, żeby się osłonić przed światem, gdzie wszystko było tak niebezpieczne, a każde słowo mogło mnie zdradzić, gdzie nawet oglądanie telewizji niosło za sobą ryzyko, a każda sytuacja przypominała ostrze czekające tylko, aż się na nie nadzieję.

Teraz umiem już sobie z tym radzić. Muzyka trochę pomaga, podobnie jak pisanie opowiadań, a dzięki pośrednictwu Internetu znalazłem również sposób, aby wykorzystać swój dar. Globalna sieć to medium, gdzie znajdziesz każdy możliwy rodzaj pornografii. Oczywiście dla „lustrzanego” synestety

to równie dobre jak prawdziwe doznania. Dotknięcie, pocałunek i czasem potrafię nawet zapomnieć, że tam na ekranie to w ogóle nie jestem ja, że jestem tylko widzem, szpiegiem, a prawdziwa akcja rozgrywa się zupełnie gdzie indziej.

„Medium”. Cóż za interesujące słowo. Opisuje jednocześnie, kim byłem - środkowe dziecko, przeciętniak - i kim jestem teraz: człowiek przemawiający różnymi językami, żywa tuba zmarłych.

Powiadają, że ma się tylko jedno życie. Zerknijcie do sieci, a przekonacie się, że to nieprawda. Wpiszcie w wyszukiwarkę swoje nazwisko, a zobaczycie, ile osób je nosi, wszyscy ci ludzie, którzy mogliby być wami - bezdomny ze schroniska, sportowiec, niemal sławny aktor, więzień skazany na karę śmierci, znany szef kuchni, ktoś, kto obchodzi urodziny tego samego dnia, co wy - wszyscy stanowiący jedynie cień tego, kim mogliby się okazać, gdyby sprawy potoczyły się nieco inaczej.

No cóż, ja miałem szansę stać się kimś innym. Zostawić własne życie i przejąć los jednego ze swoich cieni. Czyż każdy nie postąpiłby dokładnie tak samo? A wy, co byście zrobili, gdyby nadarzyła się wam okazja?

4.

Autorem tego bloga jest błękitnookichłopic.

Wpis zamieszczony o: 01:04 we wtorek, 19 lutego

Status: prywatny

Nastrój: refleksyjny

Słucham: „Mirrors” Sally Oldfield

Oczywiście mamusia oplakiwała Benjamina. Początkowo w milczeniu, ze złowróżbnym spokojem, który uznałem za akceptację. Potem jednak pojawiły się inne symptomy: wściekłość, ataki szaleństwa. Nocami słyszałem ją na dole, jak odkurza swoje porcelanowe pieski albo zwyczajnie krąży po domu.

Czasami łkała głośno: to nie twoja wina. Czasem brała mnie za Benjamina i lajała za jego niepowodzenia. Czasami krzyczała: „To powinieneś być ty!”. A czasem budziła mnie w środku nocy szlochaniem: „Och, B.B., śniło mi się, że umarłem”. Aż w końcu zrozumiałem, że staliśmy się z bratem wymienni, że Benjamin Błękitny i błękitnookichłopic często są dla niej jedną i tą samą osobą.

Nie udało się jednak uniknąć przykrych następstw. To było nieuchronne. Po pierwszym szoku przyszedł sprzeciw, a ja po raz

kolejny stałem się obiektem najrozmaitszych oczekiwań. Skoro obaj tamci zniknęli ze sceny, moja rola uległa drastycznej zmianie. Teraz to ja stałem się błękitnookim chłopcem mamy. Teraz to ja stanowiłem jej jedyną nadzieję. I byłem jej winien kolejną próbę, powrót do szkoły, może nawet po to, by studiować medycynę, i wszystkie te rzeczy, które on powinien zrobić, a których mogłem dokonać wyłącznie ja.

Początkowo próbowałem się bronić. Nie nadawałem się na studia medyczne. W Sunnybank Park oblewałem każdy przedmiot przyrodniczy, a z matematyki ledwie zdałem egzaminy na poziomie podstawowym. Ale mamusia nie zamierzała tego słuchać. Miałem swoje obowiązki. Już za długo byłem leniuchem i obibokiem, teraz przyszła pora, by to zmienić...

No cóż, już wiecie, co się wydarzyło potem. Zapadłem na tajemniczą chorobę. W brzuchu miałem kłębowisko żmij, sączących jad w moje trzewia. Przez ten czas schudłem tak bardzo, że w swoich starych ubraniach wyglądałem jak pajac. Wzdrygałem się nerwowo przy każdym głośniejszym dźwięku, kulilem w ostrym świetle. A czasami ledwie pamiętałem o tej strasznej, cudownej rzeczy, której dokonałem, o tym, gdzie kończył się Ben, a zaczynał Brendan.

No cóż, to zupełnie naturalne, prawda? Moje wspomnienia są tak mgliste, zwijałem się z bólu, trawiony gorączką, więc nie mam pojęcia, co powiedziałem mamusi. Nie pamiętam niczego - kłamstw, wyznań, obietnic - ale kiedy wróciłem do zdrowia i wreszcie mogłem wstać z łóżka, wiedziałem, że coś się we mnie zmieniło. Teraz nie byłem już Brendanem Bązowym, stałem się kimś zupełnie innym. I szczerze mówiąc, nie miałem też pewności, czy to ja połknąłem Benjamina, czy to on połknął mnie.

Oczywiście nie wierzę w duchy. Ledwie wierzę w żywe istoty. A jednak tym się właśnie stałem, cieniem mojego brata.

Kiedy wybuchł skandal z Emily, przerobiłem jego historię na nowo. Naturalnie dysponowałem już jego darem, który przejąłem tak łatwo dzięki moim własnym umiejętnościom. Tym sposobem łatwiej przyszło mi sprawić, by wszyscy uwierzyli, że mówię prawdę.

Zawłaszczyłem też sobie kolor Bena. Początkowo nosiłem jego ubrania wyłącznie ze względów praktycznych, ponieważ moje własne rzeczy zrobiły się na mnie za duże. Oczywiście nie chodziłem w błękitnie cały czas. Jakaś bluza tu, podkoszulek tam. Mamusia zdawała się nie zwracać na to uwagi. Skandal otaczający sprawę Emily White uczynił ze mnie bohatera, ludzie w barach stawiali mi drinki, dziewczyny nagle zaczęły mnie uważać za całkiem atrakcyjnego. Rozpocząłem też naukę w college'u w Malbry, pozwalając mamie wierzyć, że studiuję medycynę. W końcu zdołałem wyleczyć się z trądziku i nawet pozbyłem się wady wymowy. A co najlepsze, nadal traciłem na wadze. Kiedy nie było już moich braci, nagle przestałem odczuwać potrzebę gwałtownego pożerania, pochłaniania, połykania wszystkiego w zasięgu wzroku. To, co rozpoczęło się wraz ze zniknięciem Mala, znalazło swój koniec wraz ze śmiercią Bena. Wreszcie mój głód został zaspokojony.

5.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopic
Wpis zamieszczony o: 21:56 we wtorek, 19 lutego
Status: prywatny
Nastrój: melancholijny
Słucham: „Over the Rainbow” Judy Garland

No cóż, Clair - w końcu postawiłaś na swoim. Dzisiaj wróciłem na zajęcia. Skoro wszystko układa się zgodnie z planem, chyba mogę sobie pozwolić na odrobinę niewinnej rozrywki. Poza tym może to już ostatni raz.

Ciasna klitka z zielistką na półce przy drzwiach i zdjęciem Anielskiego Błękitu na ścianie. Pomarańczowe krzesła ustawiono w kręgu, żeby nikt nie czuł się gorszy. W jego centrum znajduje się niewielki stolik, na którym jest kwiecista taca z imbrykiem, filiżankami, talerzem ciasteczek (bourbon creams, których nienawidzę), plik kartek w linię formatu A4, kilka długopisów, a także obowiązkowe pudełko chusteczek higienicznych.

No cóż, nie oczekujcie ode mnie łez. Błękitnookichłopic nigdy nie płacze.

-Witaj! Wspaniale cię znowu widzieć! - wykrzyknęła

na mój widok Clair (mówi to każdemu). - Jak się mie-
wasz?

- W porządku.

W świecie realnym nie jestem taki wygadany jak w sieci. To jeden z wielu powodów, dla których wolę siedzieć w domu.

- Co ci się stało w twarz? - zapytała. Oczywiście zdążyła już zapomnieć o moim opowiadaniu - albo uznała, że wszystko to rozegrało się w mojej głowie.

Wzruszyłem ramionami.

- Miałem wypadek.

Rzuciła mi spojrzenie pełne udawanej sympatii. Wygląda zupełnie jak swoja matka, Maureen Pike, zwłaszcza teraz, kiedy osiągnęła ten szczególny wiek. Czterdzieści jeden, czterdzieści dwa lata i nagle przed człowiekiem otwiera się zupełnie nowy świat. I nie, nie są to Hawaje, tylko jakiś znacznie bardziej posępny krajobraz, z wyschniętymi korytami rzek, rumowiskami skał i bezkresem pofałdowanej pustki. Kompletnie inna bajka w porównaniu z ClairDeLune, która zamieszcza erotyczne opowiadania na mojej stronie i twierdzi, że ma zaledwie trzydzieści pięć lat. Z drugiej strony, jak pewnie zdążyliście się już zorientować, to, kim jesteśmy w portalu Niegrzecznychłopcyrządzą, potrafi się czasem drastycznie różnić od naszego rzeczywistego ja. Dopóki wszystko pozostaje jedynie w sferze wyobraźni, kogo tak naprawdę obchodzi, jakie role odgrywamy? Kowboj czy Indianin, czarny charakter czy rycerz na białym koniu, nikt tu nikogo nie krytykuje.

A jednak te wszystkie gierki, które tak lubimy, są powiązane z podskórnym nurtem prawdy - niewykorzystanymi pokładami pragnienia. Jesteśmy tym, o czym śnimy. Wiemy, czego pragniemy. Wiemy, że jesteśmy tego warci.

A co, jeśli pragniemy czegoś złego? Gdy chodzi o jakąś niegodziwość?

No cóż, może tego też jesteśmy warci. A karą za grzech jest...

- Herbaty? - Clair wskazuje ręką tacę w kwiatki. Herbata. Prozac biedaków.

- Nie, dziękuję.

Terri - która zawsze pije herbatę bez cukru i nie zwraca uwagi na ciastka, żeby po powrocie do domu pochłonąć całe opakowanie lodów czekoladowych - poklepała zachęcającym gestem krzesło obok siebie.

- Cześć, Bren - zaszczebiotała.

- Odpieprz się - rzuciłem, po czym przebiegłem wzrokiem resztę grupy.

Tak, byli już wszyscy. Szóstka doborowych czubków, niedoszłych pisarzy, bojowniczek o sprawę, niedocenianych poetów (a czy w ogóle są jacyś inni?), wszyscy rozpaczliwie pragnący, by ktoś ich wysłuchał. Ale dla mnie liczy się tylko jedna osoba, Bethan, z tymi swoimi irlandzkimi oczami, patrząca na mnie takim wygłodniałym wzrokiem.

Dzisiaj ma na sobie szary top bez rękawów, który odsłania gwiazdy wytatuowane na jej ramionach. „Ta irlandzka pannica Nigela”, tak mówi o niej mama, nie chcąc nawet wymówić jej imienia. „Ta z tymi paskudnymi tatuażami”.

„Paskudny” to określenie matki na wszystkie te rzeczy, nad którymi nie ma kontroli. Moje zdjęcia. Orchidee. I opowiadania. Szczerze mówiąc, mnie raczej podobają się te tatuaże, pozwalające ukryć srebrzyste blizny, które od czasów młodości znaczą ręce Bethan niczym pajęczyna. Czy to właśnie widział w niej Nigel? Owo zamilowanie do gwiazd, które odpowiadało jego własnej pasji? Albo to nieustające, skryte cierpienie?

Pomimo swojego uderzającego wyglądu Bethan nie lubi, kiedy ludzie się na nią gapią. Może właśnie dlatego chowa się pod tyłoma warstwami kłamstw. Tatuaże, kolczyki, różne

wcielenia. Jako dziecko była spokojna i nieśmiała, cichutka, niemal niewidzialna. No cóż, podejrzywam, że to efekt katolickiego wychowania. Wieczna walka pomiędzy stłumieniem a nadmiarem. Nic dziwnego, że Nigel się w niej zakochał. Taki rzadki przypadek, ktoś jeszcze bardziej okaleczony niż on sam.

- Przestań się na mnie gapić, Brendan - rzuca teraz w moją stronę.

Wolałbym, żeby mnie tak nie nazywała. Moje imię ma kwaśny posmak, jak coś butwiejącego w czeluściach piwnicy. Pozostawia po sobie taką miękawą suchość w ustach, a jest koloru - no cóż, sami najlepiej wiecie jakiego. „Bethan” nie jest wiele lepsza, z jej zapachem kościelnego kadzidła, od którego aż kręci w nosie. Wolę ją jako Albertynę, bezbarwną i nieskalaną.

Tymczasem Clair postanowiła interweniować.

- Proszę, Bethan. Pamiętasz, o czym ostatnio rozmawialiśmy? Jestem pewna, że Bren nie chciał być niegrzeczny. - Rzuciła mi jedno ze swoich ckliwych spojrzeń. - A skoro już się zjawileś, Bren, może zaczniemy dzisiaj od ciebie? Słyszałam, że ostatnio częściej wychodzisz z domu. To dobrze.

Wzruszyłem ramionami.

- Dokąd chodzisz, Bren?

- Tu i tam. No wiesz. Kręcę się po mieście.

- Naprawdę wspaniale to słyszeć - powiedziała z aprobatą i uśmiechnęła się do mnie szeroko. - No a poza tym bardzo się cieszę, że znowu zacząłeś pisać. Czy jest coś, co chciałbyś nam dzisiaj zaprezentować?

Znowu wzruszyłem ramionami.

- No dalej, nie wstydz się. Przecież wiesz, że jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc. - Odwróciła się w stronę reszty grupy. - Moi drodzy, może pokażecie Brenowi, jak bardzo jest dla nas wyjątkowy. I jak bardzo chcemy mu pomóc.

O nie, tylko nie ten pieprzony grupowy uścisk. Wszystko, tylko nie to. Błagam.

- Mam taki maleńki kawałeczek... - rzuciłem, bardziej po to, żeby odwrócić ich uwagę niż z powodu jakiejś rzeczywistej potrzeby zwierzeń.

Clair utkwiała we mnie oczy, głodne i wyczekujące. Taki sam wyraz twarzy ma czasem, kiedy opowiada nam o Anielskim Błękitcie. A ja rzeczywiście trochę go przypominam - przynajmniej to nie jest kłamstwem - co oznacza, że dzięki efektowi halo Clair ma do mnie słabość i zwykle wierzy we wszystko, co mówię.

- Naprawdę? - zapytała. - Możemy posłuchać?

Spojrzałem jeszcze raz na Bethan. Kiedyś myślałem, że mnie nienawidzi, a jednak może to właśnie ona jest jedyną osobą, która naprawdę rozumie, jak to jest żyć z umarłymi, rozmawiać z nimi, sypiać z nimi.

- Bardzo chcielibyśmy tego posłuchać, Bren - zachęcała mnie Clair.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? - spytałem, nie odrywając wzroku od Bethan. Wpatrywała się we mnie z uwagą, przymrużywszy swoje błękitne jak gazowy płomyk oczy.

- Oczywiście - zapewniła Clair. - Wszyscy tego chcemy, prawda?

Wszyscy w kręgu pokiwali zgodnie głowami. Chociaż zauważyłem, że Bethan nawet nie drgnęła.

- To może wydawać się odrobinę... za ostre - zauważyłem. - Kolejne morderstwo, obawiam się. - Uśmiechnąłem się na widok miny Clair i tego, jak pozostali wychylili się jednocześnie do przodu niczym mopsy w porze karmienia.

- Przepraszam za to, moi drodzy - dodałem. - Pewnie pomyślicie, że nic innego nie robię.

6.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 22:31 we wtorek, 19 lutego

Status: publiczny

Nastrój: czysty

Słucham: „Bye Bye Baby” The Four Seasons

Nazywa ją panią Dziecięcy Błękit. Ona sama uważa się za artystkę. W każdym razie z całą pewnością na taką wygląda, popielate włosy ma artystycznie rozwichrzone, nosi pochłapaną farbą kombinezon i długie sznury paciorków, lubi palić pachnące świece, które, jak sama twierdzi, pobudzają proces twórczy (a poza tym likwidują zapach farby).

Co prawda nie osiągnęła zbyt wiele, ale teraz cała jej twórcza pasja znalazła swoje ujście w wychowaniu córki. Każde dziecko stanowi małe dzieło sztuki, a jej córeczka jest doskonała, przekonuje samą siebie; doskonała, utalentowana i dobra.

On obserwuje dziewczynkę z daleka. Jest taka śliczna z tymi równo przyciętymi włosami, skórą o barwie obranych ze skórki migdałów i w czerwonym płaszczyku ze spicza-

stym kapturkiem. Zupełnie nie przypomina swojej matki. Wszystko, co jej dotyczy, stanowi doskonałą całość. Nawet imię ma piękne. Imię, które pachnie różami.

Z drugiej strony jej matka uosabia wszystko, czego on nie-nawidzi. Niestala, pretensjonalna, po prostu pasożyt, żeruje na córce, istnieje poprzez nią, swoimi oczekiwaniami okrada ją z życia.

Błękitnookichłopiec jej nie znosi. Myśli o całym złu, które wyrządziła - jemu, im obojgu - i zastanawia się, czy jej śmierć kogokolwiek w ogóle by obeszała.

Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie czynniki, wniosek nasuwa się sam: pewnie nie. Świat byłby bez niej czystszy miejscem.

Czystszy. Czyścić. Czyściciel. Cóż za cudowna rodzinka słów w błękicie, określająca, kim był Brendan, kim jest i kim będzie. Czyściciel.

Zbrodnia doskonała ma cztery etapy. Pierwszy jest oczywisty. Drugi wymaga czasu. Trzeci wydaje się nieco trudniejszy, ale można się do tego przyzwyczaić. Pięć zabójstw, wliczając w to pana Dieslowski Błękit, aż zaczyna się zastanawiać, czy uznaliby go już za seryjnego mordercę, czy też powinien udoskonalić styl.

Błękitnookichłopiec przywiązuje ogromną wagę do stylu. Chce czuć, że w tym, co robi, jest jakaś poezja, jakiś wyższy cel. Ma ochotę porwać się na coś bardziej skomplikowanego - może rozczłonkowanie zwłok albo dekapitacja - w każdym razie coś dramatycznego, ekscentrycznego i niezwykłego. Coś, od czego wszyscy dostaną dreszczy, coś, co wyróżni go spośród całej reszty. I co najważniejsze, chciałby patrzeć, widzieć wyraz jej oczu, sprawić, by w końcu zrozumiała, kim on jest.

Dzięki obserwacji wie, że kiedy pani Dziecięcy Błękit zostaje sama w domu, lubi brać długie kąpiele. Zawsze

siedzi w wannie co najmniej godzinę, czytając magazyny - widział wiele mówiące ślady wody na stosach gazet, które pani Dziecięcy Błękit wyrzuca na makulaturę. Obserwował migoczące światło świec za matową szybą okna, czuł zapach płynu do kąpieli, kiedy woda spływała do ścieku. Pora kąpieli jest święta. Pani Dziecięcy Błękit nigdy nie odbiera wtedy telefonu, nikomu nie otwiera. On o tym wie, bo zdążył to już sprawdzić. Pani Dziecięcy Błękit nie zamyka nawet drzwi na klucz.

Błękitnookichłopicz czeka w ogrodzie. Obserwuje dom. Czeka na blask świec i szum wody w rurach. Czeka, aż pani Dziecięcy Błękit pójdzie do łazienki, żeby w końcu mógł wśliznąć się do środka.

Wystrój domu został zmieniony. Na ścianach wiszą nowe obrazy - w większości abstrakcje - w holu położono szkarłatno-brązowy dywan Axminster.

Ax-minster. Siekiera i katedra. Czerwone słowo. Co oznacza? *Axe-murderer*, morderca z siekierą. Siekiera. Katedra. Mord w katedrze.

Ta myśl dekoncentruje go na chwilę, przyprawia o zawrót głowy, uczucie wyobcowania, przynosząc ze sobą znajomy smak, tę samą słodycz gnijących owoców, która zwiastuje najgorsze migreny. Dlatego nasz bohater koncentruje się na błękitnie, jego kojących właściwościach, jego spokoju. Błękitny jest koc, po który sięga zawsze, kiedy czuje się samotny czy przestraszony. Zamyka oczy, zaciska pięści i powtarza sobie w myślach:

To nie moja wina.

Kiedy unosi powieki, po ohydny posmaku i bólu głowy nie ma nawet śladu, w końcu może się więc rozejrzeć po pograżonym w ciszy domu. Rozkład pomieszczeń jest dokładnie taki sam, jak zapamiętał, podobnie leciutki zapach terpentyny i te porcelanowe lalki, które nie zostały wyrzucone. Nadal

stoją wyeksponowane za szkłem w salonie, takie złowrogie z tymi swoimi błyszczącymi oczami pośród burzy wyblakłych loczków i koronek.

Łazienka jest wyłożona zielonkawoniebieskimi i białymi kafelkami. Pani B, leży z przymkniętymi oczami w wannie. Jej twarz ma zaskakująco turkusowy kolor - jakaś maseczka upiększająca, uznaje błękitnookichłopiec. Na podłodze widać egzemplarz „Vogue”, wokół unosi się zapach truskawek. Pani B, lubi musujące kule do kąpieli, które pozostawiają na skórze połyskujący osad, warstewkę gwiazdowego pyłu.

Stellatio: akt nieświadomego przenoszenia brokatu z kulek do kąpieli na inną osobę bez jej wiedzy czy zgody.

Stellata: okruchy błyszczącej substancji, które przyklejają mu się do włosów i skóry; trzy miesiące później nadal znajduje w domu te lśniące drobinki, sygnalizujące jego winę alfabetem Morse'a.

Obserwuje panią B, w milczeniu. Mógłby to zrobić teraz, ale czasami pragnienie, aby być widzianym, jest zbyt silne, a on chce zobaczyć wyraz jej oczu. Ociąga się jeszcze chwilę, lecz nagle któryś ze zmysłów informuje panią B, o obecności intruza. Kobieta unosi powieki - przez chwilę w pustym spojrzeniu jej szeroko rozwartych oczu odbija się jedynie czyste zdumienie, zupełnie jak u tych lalek w holu - a potem próbuje się podnieść, walcząc z oporem wody, która odbiera jej lekkość i spowalnia każdy ruch. Zapach truskawek staje się przytłaczający, połyskująca woda pryska na twarz błękitnookiego chłopca. Kiedy nachyla się nad wanną, kobieta uderza go bezsilnymi pięściami, ale on chwyta ofiarę za namydlone włosy i wpycha jej głowę pod wodę.

To zdumiewająco proste. Chociaż nie podoba mu się cały ten bałagan. Kobieta jest pokryta błyszczącymi drobinkami, które przyklejają się mu do skóry. Zapach syntetycznych truskawek jeszcze się wzmacnia. Kobieta wije się i szarpie,

jednak grawitacja działa przeciwko niej, masy wody przytrzymują ją w dole.

Błękitnookichłopiec odczekuje jeszcze kilka minut, rozmyślając o różowych, cieniutkich jak opłatek waflach z puszek Family Circle, a z tego błyskawicznego ciągu skojarzeń napływa do niego nowy zapach. Opłatek. Komunia. Kościół. Arcydział, anielskie ziele. W końcu może się odprężyć. Czeka, aż jego oddech wróci do normy, a potem bierze się do starannego, metodycznego sprzątania.

Na miejscu zbrodni nie zostaną znalezione żadne ślady - ma na rękach lateksowe rękawiczki, a buty zdjął w holu jak grzeczny chłopczyk podczas oficjalnej wizyty. Sprawdza zwłoki. Chyba wszystko w porządku. Wyciera mopem wodę rozlaną na podłodze w łazience, świece zostawia zapalone.

Następnie zdejmuje przemoczoną koszulę i džinsy, wciska je zwinięte w kłęb do torby, a potem wkłada suche rzeczy, które przyniósł ze sobą. Zostawia dom w takim samym porządku, w jakim go zastał - a mokre ubranie zabiera ze sobą i od razu po powrocie ładuje do pralki.

Proszę bardzo, myśli sobie. Już jej nie ma.

Czeka na wykrycie - nikt jednak się nie zjawia. Znowu mu się udało. Ale tym razem nie czuje euforii. Właściwie to dręczy go poczucie straty, a ten cierpki miedziany posmak gnijących warzyw, tak podobny do smaku napoju witaminowego mamy, znowu podchodzi mu do gardła, wdziera się do ust, przyprawia o mdłości i ból.

Dlaczego tym razem jest inaczej? - to pytanie nie daje mu spokoju. Czemu miałby odczuwać jej brak teraz, kiedy wszystko jest tak bliskie zakończenia. I dlaczego miałby się czuć tak, jakby - żeby użyć ulubionego powiedzonka mamusi - wylał dziecko z kąpielą?

Dodaj komentarz

ClairDeLune: blekitnookichlopiec, dziękuję ci za ten tekst. Wspaniale było usłyszeć, jak czytasz go na spotkaniu grupy Mam nadzieję, że następnym razem nie każesz nam tyle czekać! Pamiętaj, wszyscy jesteśmy tam po to, żeby ci pomóc! porcelanowymotył: szkoda że nie mogłam posłuchać © Kapitanmordercakraoliczkow: Zajebiste - LOL! Toksyczny69: Stary, to lepsze od seksu. Mimo wszystko gdybyś któregoś dnia znalazł sposób na połączenie w swoich tekstach obu tych rzeczy...

7.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 23:59 we wtorek, 19 lutego

Status: prywatny

Nastrój: samotny

Słucham: „The Ace of Spades” Motorhead

No cóż, zawsze trzeba brać poprawkę na licencję poetycką. Ale czasami fikcja jest lepsza od życia. Może tak właśnie powinno się to odbyć. Morderstwo to morderstwo - czy chodzi o truciznę, wykorzystanie kogoś innego do odwalenia za nas brudnej roboty, utonięcie czy tysiące ranek zadanych przez artykuły brukowców. Morderstwo to morderstwo, wina to wina, a pod tą otoczką fikcji bije zdradzająca wszystko prawda, równie czerwona i krwawa, jak ludzkie serce. Bo morderstwo zmienia wszystkich - ofiarę, sprawcę, świadka, podejznanego - na tyle nieoczekiwanych sposobów. To prawdziwy koń trojański, który wnika w duszę, a potem tkwi w uśpieniu całymi miesiącami, może nawet latami, wykradając sekrety, zrywając połączenia, niszcząc wspomnienia albo jeszcze gorzej, aż w końcu objawi się w obejmującej cały system orgii zniszczenia.

Nie, nie czuję żadnych wyrzutów. Przynajmniej nie z powodu śmierci Catherine. To instynkt sprawił, że postąpiłem tak,

jak postąpiłem, instynkt pisklęcia walczącego o przetrwanie. Mamusia też zareagowała instynktownie. Ostatecznie byłem teraz jej jedynym dzieckiem. Musiałem okazać się najlepszy, odnieść sukces, więc lepiej, żebym zapomniał o swobodzie wyboru. Przejąłem schedę po Benie. Czytałem jego książki, nosiłem jego ubrania. A kiedy wybuchł skandal z doktorem Peacockiem, opowiedziałem jego historię - oczywiście nie tak, jak się naprawdę rozegrała, ale tak, jak wyobrażała ją sobie mama, raz na zawsze czyniąc z mojego brata świętego, ofiarę, gwiazdę całego spektaklu.

Owszem, przykro mi z tego powodu. Doktor Peacock był dla mnie dobry. Ale nie miałem innego wyjścia. Wicie o tym, prawda? Odmowa nie wchodziła w grę, wpadłem w zastawioną przez siebie pułapkę, a teraz musiałem walczyć o życie, życie, które ukradłem Benjaminowi.

Iy na pewno to rozumiesz, Albertyno. Ukradłaś życie Emily. Chociaż nie mam ci tego za złe. Szczerze mówiąc, to jest dokładnie na odwrót. Człowiek, który potrafi odebrać życie bliźniemu, zawsze może to zrobić ponownie. A jak wspominałem już chyba wcześniej, w morderstwie, tak jak we wszystkich sprawach serca, liczy się nie wiedza, lecz pragnienie.

No cóż, może nadal będę cię nazywał Albertyną? Imię Bethan nigdy do ciebie nie pasowało. Ale róże, które porastały mur twojego ogrodu - Albertyna z jej tęsknym zapachem - należały do tej samej odmiany co róże wokół Dworu. Pewnie zdażyłem ci już o tym napomknąć. Zawsze słuchałaś z zainteresowaniem. Mała Bethan Brannigan o równo przyciętych ciemnych włosach i stalowoniebieskich oczach. Mieszkałaś obok Emily, a przy odpowiednim oświetleniu spokojnie mogłabyś uchodzić za jej siostrę. Pewnie zdołałybyście się nawet zaprzyjaźnić i Emily miałyby wreszcie wymarzoną towarzyszkę zabaw w swoim wieku.

Tyle że pani White była okropną snobką. Pogardzała sąsiadką, z wynajmowanym domem, irlandzkim, nosowym akcentem i podejrzanie nieobecny mężem. Pani Brannigan pracowała w miejscowej podstawówce - nawet uczyła kiedyś mojego brata, który nazywał ją panią Katolicki Błękit i z lekceważeniem wypowiadał się na temat jej przekonań. I chociaż Patrick White był bardziej tolerancyjny niż Benjamin czy mamusia, Catherine z uporem trzymała Emily z dala od małej Irlandki i jej rodziny.

Ale ty lubiłaś ją obserwować, prawda? Tę niewidomą dziewczynkę zza muru, która tak pięknie grała na fortepianie, nie chodziła do szkoły i miała wszystko, czego tobie brakowało: prywatnych nauczycieli, prezenty, gości. A kiedy po raz pierwszy odezwałem się do ciebie, byłaś onieśmielona, odrobinę nieufna, przynajmniej na początku, a potem mile połączona tym zainteresowaniem z mojej strony. Przyjmowałaś prezenty ode mnie najpierw z zakłopotaniem, a potem z wdzięcznością.

I co najlepsze, nigdy mnie nie osądzałaś. Nigdy nie dbałaś o to, że jestem gruby czy że się jąkam. I nigdy nie uważałaś mnie za człowieka drugiej kategorii. Nigdy mnie o nic nie prosiłaś i nie oczekiwałaś ode mnie, że stanę się kimś innym. Byłem bratem, którego nigdy nie miałaś, a ty byłaś moją małą siostrzyczką. I nigdy nie przyszło ci do głowy, że stanowisz jedynie wymówkę, marionetkę, podczas gdy do waszego domu ciągnie mnie tak naprawdę coś innego.

No cóż, teraz już wiesz, co czułem. Nie zawsze otrzymujemy od życia to, czego pragniemy. Ja miałem swojego Bena, a ty Emily - oboje byliśmy statystami zepchniętymi na bok, stanowiliśmy jedynie namiastkę tego, co prawdziwe. Mimo wszystko nawet cię polubiłem. Och, oczywiście nie tak, jak pokochałem Emily, tę małą siostrzyczkę, którą powinienem był mieć. Jednak twoje niewinne oddanie sta-

nowiło dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. To prawda, że byłem prawie dwa razy starszy od ciebie, ale ty też miałaś sporo zalet. Okazałaś się taka miła i posłuszna. No i bystra. A do tego rozpaczliwie pragnęłaś dać mi to, czego od ciebie oczekiwałem.

Och, proszę cię. Skąd takie odrażające słownictwo? Bierzesz mnie za jakiegoś zbrojeńca? Lubilem spędzać z tobą czas, nic więcej, tak samo jak lubilem przebywać w pobliżu Emily. Twoja matka nigdy nie zwracała na mnie uwagi, a pani White, która doskonale wiedziała, kim jestem, nigdy nie próbowała interweniować. W ciągu tygodnia wpadałem do was po szkole, zanim twoja matka wróciła z pracy, a w weekendy spotykaliśmy się gdzieś na mieście, na placu zabaw przy Abbey Road albo na skraju waszego ogrodu, gdzie nie byliśmy tak bardzo narażeni na ludzkie spojrzenia. Rozmawialiśmy wtedy o tym, jak minął nam dzień, dawałem ci łakocie, czekoladki, a potem opowiadałem historyjki o mamie, moich braciach, o sobie samym i Emily.

Okazałaś się wspaniałą słuchaczką. Szczerze mówiąc, czasem zapominałem, ile naprawdę masz lat, i dyskutowałem z tobą jak z rówieśnicą. Powiedziałem ci o mojej przypadłości - moim darze. Pokazałem swoje rany i siniaki. Opowiedziałem o wizytach we Dworze i o wszystkich tych testach, które doktor Peacock przeprowadził na mnie, zanim ostatecznie wybrał mojego brata. Pochwaliłem się przed tobą niektórymi moimi fotografiami i zdradziłem ci sekret, do którego nie mogłem się przyznać mamie - że moim jedynym marzeniem jest polecieć kiedyś na Hawaje.

Biedna, samotna dziewczynka. Kogo poza mną miałaś? Kto jeszcze był ważny w twoim życiu? Zapracowana matka, nieobecny ojciec, żadnych dziadków, żadnych sąsiadów, żadnych przyjaciół. Kto ci pozostawał oprócz mnie? I czego byś dla mnie nie zrobiła?

Nie pozwól sobie nigdy wmówić, że ośmioletnie dziecko nie potrafi tak czuć. Te najwcześniejsze lata dzieciństwa też potrafią być pełne cierpienia i buntu. Dorośli starają się o tym nie pamiętać. Oszukują samych siebie, że dzieci odczuwają emocje mniej intensywnie od nich, że miłość przychodzi później, wraz z dojrzewaniem, coś w rodzaju rekompensaty za utratę stanu łaski.

Miłość? No cóż, owszem. Ostatecznie istnieje tyle jej rodzajów. Jest więc *eros*, najbardziej ulotna ze wszystkich. *Iphilia*, przyjaźń oraz lojalność. Jest też *storge*, uczucie, które dziecko żywi do rodziców, *thelema*, czyli pragnienie działania, no i *agape*, miłość platoniczna, miłość do przyjaciela, do świata, do nieznanego, którego się nigdy nie poznało, miłość ogarniająca całą ludzkość.

Ale nawet Grecy nie wiedzieli wszystkiego. Miłość przypomina płatki śniegu, kryje się pod tyłoma nazwami, każda jedyna w swoim rodzaju i nieprzekładalna. Czy istnieje określenie na miłość, którą czuje się do kogoś, kogo nienawidziło się przez całe dotychczasowe życie? Albo do czegoś, co wywołuje w nas chorobę? Albo tę słodką, bolesną czułość, którą obdarza się kogoś, kogo ma się zamiar zabić?

Proszę cię, Albertyno, uwierz mi. Jest mi naprawdę przykro z powodu tego wszystkiego, co ci się przytrafiło. Nigdy nie chciałem, żeby stała ci się krzywda. Ale szaleństwo jest zaraźliwe, prawda? Tak jak miłość, wierzy w to, co niemożliwe. Przenosi góry, dotyka wieczności, czasami nawet wskrzesza umarłych.

Pytałaś, czego od ciebie chcę. Dlaczego nie mogę po prostu zostawić cię w spokoju. No cóż, moja droga Albertyno, oto wyjaśnienie: zrobisz dla mnie coś, czego sam nigdy nie będę mógł wykonać. Jediną rzecz, która może mnie wyzwolić. Rzecz, którą planuję od dwudziestu lat. Rzecz, której nie

jestem w stanie przeprowadzić, ale którą ty zdołasz wcielić w czyn bez najmniejszego trudu.

Wybierz kartę. Dowolną kartę.

Cała sztuczka polega na tym, żeby przekonać obiekt, że wyciągnął z talii kartę, którą sam wybrał, a nie tę, którą dla niego wybrano. Jakakolwiek byłaby to karta. Moja karta. Którą, tak się akurat składa, jest...

Jeszcze się nie domyślasz, Albertyno?

W takim razie wybierz kartę.

8.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 23:32 we wtorek, 19 lutego

Status: prywatny

Nastrój: napięty

Oczywiście pogrywa sobie ze mną. To właśnie błękitnokichłopiec umie robić najlepiej. Prowadziliśmy już tyle rozmaitych gier, on i ja, że granica pomiędzy fikcją a prawdą dawno uległa zatarciu. Powinnam go nienawidzić, a jednak wiem, że kimkolwiek jest, cokolwiek czyni, to po części moja wina.

Dlaczego on mi to robi? Co ma nadzieję osiągnąć tym razem? Wszyscy bohaterowie tej historii już nie żyją - Catherine, tata, doktor Peacock, Ben, Nigel i, co najważniejsze, Emily. A jednak kiedy czytał swoje opowiadanie na głos, czułam, jak coś ściska mnie w gardle, moje nerwy były jak rozedrgana struna, w głowie mi huczało, a melodia Berlioza natychmiast zaczęła wciskać się w moje myśli.

- Bethan? Dobrze się czujesz? - spytał. Prawie słyszałam ten uśmieszek w jego głosie.

- Przepraszam - powiedziałam, wstając. - Muszę iść.

Za tą swoją współczującą fasadą Clair sprawiała wrażenie lekko zniecierpliwionej. Oczywiście przerwałam opowieść Brena, skupiając na sobie uwagę wszystkich.

- Nie wyglądasz za dobrze - zauważył. - Mam nadzieję, że to nie z powodu czegoś, co powiedziałem...

- Pieprz się - rzuciłam i ruszyłam w stronę drzwi.

Kiedy przechodziłam obok niego, ze smutkiem wzruszył ramionami. Dziwne, że po tym wszystkim, co zrobił, nadal czuję to żalosne drgnienie serca za każdym razem, kiedy napotykam jego oczy. Jest szalony, fałszywy i zasługuje na śmierć. A jednak coś we mnie nadal chce wierzyć, wciąż szuka dla niego usprawiedliwienia. Minęło już tyle czasu. Byliśmy wtedy zupełnie innymi ludźmi. A poza tym oboje zapłaciliśmy ogromną cenę, oboje utraciliśmy jakąś część siebie, tak że żadne z nas już nigdy nie będzie całością, już nigdy nie zdoła uciec przed duchem Emily.

Przez jakiś czas myślałam, że mnie się to udało. Może nawet tak by się stało, gdyby on ciągle mi o tym nie przypominał. Co dnia, na tyle rozmaitych sposobów, samą swoją obecnością, zanim wszystko wyszło na jaw, dopóki magiczna szkatułka się nie zepsuła, a demony nie wyleciały na wolność, żeby nękać mnie wspomnieniami.

Zabawne, dokąd to wszystko może nas zaprowadzić. Czy gdyby Emily żyła, byłybyśmy przyjaciółkami? Czy to ona nosiłaby czerwony płaszcz? Czy mieszkałaby w moim domu? Czy tamtego wieczoru w Zebrze Nigel zakochałby się w niej, a nie we mnie? Czasami czuję się tak, jakbym przeszła na drugą stronę lustra i wiodła teraz niezupełnie swoje życie, nosiła cudzą skórę, która nie do końca na mnie pasuje.

Życie Emily. Krzesło Emily. Łóżko Emily. Dom Emily.

Podoba mi się tam, jest tak dobrze. Może niezupełnie jak w moim starym domu sprzed tylu lat, w którym mieszka teraz rodzina Jacadee, napełniając go radosnymi odgłosami życia

i zapachami przypraw ze swojej kuchni. Ale nie mogłam tam zostać. Nie, dom Emily był dla mnie właściwym miejscem. Niewiele w nim zmieniłam, jakby prawowita właścicielka miała kiedyś się tu zjawić i zażądać jego zwrotu.

Może właśnie dlatego Nigel nigdy się tu nie zadomowił i wolał zatrzymać swoją kawalerkę na mieście. Nie żeby pamiętał Emily - bo w ogóle nie znał tej sprawy - po prostu podejrzewam, że Gloria tego nie pochwałała. Ale ona nie akceptowała niczego, co dotyczyło mnie: moich włosów, akcentu, tatuaży i kolczyków, ale przede wszystkim mojego związku z tym, co się przydarzyło Emily White, z tą nie do końca rozwikłaną tajemnicą, w którą był wplątany również jej syn.

Oczywiście nie wierzę w duchy. To nie ja jestem szalona. Ale przez całe swoje życie widywałam ją tutaj, jak wystukuje sobie drogę laseczką przez Malbry, idzie przez park, obok kościoła, taka rzeczywista w swoim czerwonym płaszczyku. Widziałam ją, tkwiłam w jej umyśle. Jak mogłoby być inaczej? Żyję jej życiem o wiele dłużej, niż żyłam własnym. Słucham jej muzyki. Hoduję jej ulubione kwiaty. Odwiedzałam jej ojca w każde niedzielne popołudnie, a on aż do samego końca niemal za każdym razem zwracał się do mnie jej imieniem.

Mimo wszystko pora nostalgii dawno minęła. Teraz mój dziennik służy zupełnie innym celom. Spowiedź jest dobra dla duszy, tak mówią, a ja z wiekiem nabrałam ochoty do zwierzeń. Tak jest oczywiście łatwiej - nie ma księdza ani pokuty. Jedynie komputerowy ekran i rozgrzeszenie, jakie daje klawisz „Delete”. To nieprawda, że nie da się zmienić przeszłości. Można ją usunąć jednym ruchem palca, odwrócić to, co zapisane, wymazać winy, sprawić, że pokalani staną się znowu czyści jak łąka.

Błękitnookichłopiec by to zrozumiał. Błękitnookichłopiec, który z takim upodobaniem uprawia swoje gierki w sieci.

Dlaczego to robi? Ponieważ może. I dlatego że nie powinien. No i oczywiście dlatego, że Chryssie wierzy w szczęśliwe zakończenia, Clair kupuje ciasteczka Bourbon Creams zamiast Family Circle, a Kapitan jest dupkiem, który nie rozumiałby, co to prawdziwa odwaga, nawet gdyby ta ugryzła go w tyłek.

Wiem, sama zaczynam mówić jak on. Ale to chyba zupełnie naturalne w takiej sytuacji. Poza tym zawsze byłam dobra w naśladowaniu innych. To mój jedyny, że się tak wyrażę, talent. Jedyna sztuczka, którą mogę zaprezentować przed znajomymi na przyjęciu. Ale nie pora na przechwałki. Teraz muszę zachować szczególną czujność. Nawet w chwili największej bezradności błękitnookichłopic potrafi być niebezpieczny. Na pewno nie jest głupi, a poza tym nigdy nie daruje doznanych krzywd. Nigel - biedny Nigel - jest tego najlepszym przykładem, został wymazany równie skutecznie, jak gdyby błękitnookichłopic nacisnął jeden klawisz.

Tak właśnie robi. Tak sobie radzi. Sam to przyznał w swoim opowiadaniu. W ten sposób chłopak z dotykową synestezją lustrzaną spowodował śmierć jednego brata, wykorzystując drugiego jako narzędzie. I tak właśnie zamordował Nigela, za pomocą owada zamkniętego w słoiku. A jeśli mam mu wierzyć, w ten sam sposób zaaranżował inne zgony, chroniąc się przed konsekwencjami dzięki temu, że obserwował to wszystko w lustrze, poprzez swoje teksty, niczym Perseusz zabijający Gorgone.

Myślałam nawet o pójściu na policję. Ale to wszystko brzmi tak absurdalnie, prawda? Już wyobrażam sobie miny funkcjonariuszy, ich spojrzenia pełne współczucia zmieszanego z rozbawieniem. Mogłabym im pokazać jego internetowe wyznania - jeśli nimi rzeczywiście są - i to ja sama wyszłabym na wariatkę, żyjącą w świecie fantazji. Niczym sceniczny magik, przygotowujący się do przepiłowania swojej

asystentki na pół błękitnookichłopic zachęca nas, żebyśmy sprawdzili, że nie kryje się za tym oszustwo.

Spójrzcie, żadnych sztuczek. Żadnej zapadni w podłodze ani asów ukrytych w rękawie. Jego zbrodnie są jawne i oczywiste. Gdybym teraz się odezwała, ściągnęłabym ogólną uwagę, dodała kolejny skandaliczny element do opowieści najeżonej kłamstwami. Już sobie wyobrażam moje życie z Nigelem poddane analizie przez dziennikarzy, widzę tych pismaków wpełzających niczym wygłodniałe szczury z nor, jak badają wszystko, szarpia i przezuwają każdy najdrobniejszy szczegół mojej historii, żeby wyścielić swoje plugawe gniazda.

Wracałam do siebie trasą biegnącą obok Domu z Komin-kiem. Znałam to miejsce z opowieści, chociaż widziałam je tylko raz, w tajemnicy, kiedy miałam dziesięć lat. Pamiętam ogród pełen róż, i jasnozielone trawniki, wysokie frontowe drzwi i sadzawkę z fontanną. Oczywiście nigdy nie byłam w środku, ale tata opisał mi wszystko. Dwadzieścia lat później odnalazłam drogę powrotną z tą niesamowitą, oczywistą łatwością. Zajęcia skończyły się o dwudziestej, zdążył już więc zapaść ponury mrok, pachnący dymem i kwaśną ziemią, otaczający budynki i auta pomarańczową poświatą ulicznych latarni.

Dom był zamknięty, tak jak się tego spodziewałam, ale brama ustąpiła bez kłopotu, a ścieżka musiała zostać uprzątnięta i oczyszczona z chwastów całkiem niedawno. Robota Brena, pomyślałam. On zawsze nienawidził bałaganu.

Kiedy przechodziłam alejką, włączyły się uruchamiane czujnikiem ruchu lampy. Białe reflektory na tle zieleni. Na murze otaczającym ogród różany widziałam swój ogromny cień, wskazujący niczym palec w głąb ścieżki, a potem przesuwający się dalej poprzez trawnik.

Próbowałam sobie wyobrazić ten dom jako swoją własność. Ten dostojny dwór z jego ogrodami. Gdyby Emily żyła, to wszystko należałoby teraz do niej. Ale Emily nie żyje, a cały

majątek przeszedł na jej najbliższych, czy też może raczej na ostatnich niedobitków, którzy jeszcze pozostali, czyli na Patricka White'a, a potem w końcu z tatusia na mnie. Szkoda, że nie mogę odrzucić tego spadku. Ale teraz już za późno; dokądkolwiek bym uciekła, Emily White zawsze będzie mi towarzyszyć. Emily White i jej straszna menażeria - nienawistnicy cieszący się z cudzego nieszczęścia, prześladowcy, dziennikarze.

Okna na piętrze zostały zabite deskami, na wyblakłych frontowych drzwiach całkiem niedawno ktoś nabazgrał czarnym sprejem: „Gnij w piekle, stary zboku”.

Nigel? Nie, to na pewno nie on. Nie wierzę, że mógłby skrzywdzić staruszkę, nieważne z jakiego powodu. A co do tej drugiej sugestii Brena - że Nigel nigdy mnie nie kochał i chodziło mu wyłącznie o pieniądze...

Nie. To tylko kolejna gierka błękitnookiego chłopca, próbującego zatruć wszystko swoim jadem. Gdyby Nigel mnie okłamywał, wiedziałabym o tym. A jednak wciąż nie mogę przestać myśleć: co było w tamtym liście? Liście, z powodu którego Nigel wypadł z domu taki rozwścieczony? Czy Brendan go szantażował, groził, że ujawni jego plany? Czy Nigel naprawdę mógł być zamieszany w coś, co w ostatecznym rozrachunku doprowadziło do morderstwa?

Pstryk.

Cichy, a jednak znajomy dźwięk. Przez chwilę stałam bez ruchu, nasłuchując, a krew tętniła mi w uszach niczym fala przypływu i ze zdenerwowania cierpła skóra. Czyżby zdążyli mnie już odnaleźć?, zastanawiałam się gorączkowo. Czy to właśnie nagłośnienia całej sprawy w mediach obawiałam się najbardziej?

- Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi, tylko szum drzew szepczących na wietrze.

- Brendan! - zawołałam. - Bren, to ty?

Nadal żadnego ruchu. Cisza. A jednak czułam na sobie jego wzrok, tak jak czułam już tyle razy wcześniej - zjeżyły mi się włoski na karku, w ustach zrobiło się nieprzyjemnie sucho.

A potem znowu usłyszałam ten dźwięk. Pstryk!

Trzask migawki aparatu fotograficznego, tak przerażająco niewinny, pełen grózb i wspomnień. I w końcu ledwie uchwytny odgłos ukradkowej ucieczki poprzez krzewy. Oczywiście porusza się bardzo cicho. Aleja zawsze potrafię go usłyszeć.

Ruszyłam w kierunku tego dźwięku, rozgarnęłam gałęzie rękami i zawołałam w przestrzeń:

- Dlaczego mnie śledzisz, Bren? Czego chcesz?

Miałam wrażenie, że słyszę go teraz za plecami, lekki szelest gdzieś w zaroślach. Tym razem odezwałam się uwodzicielsko, głosem aksamitnym niczym kocia łapka, aby wywabić z ukrycia niczego niepodejrzewającego szczura.

- Brendan, proszę cię. Musimy porozmawiać.

Na skraju rabaty, tuż koło mojej stopy, leżał kamień. Podniosłam go i przez chwilę ważyłam w dłoni, wyobrażając sobie, jak z całej siły spuszczam go na głowę kryjącego się w zaroślach Brena.

Stałam chwilę z kamieniem w ręku i wyglądałam jakiegokolwiek śladu obecności błękitnookiego chłopca.

- Brendan? Jesteś tam? - rzuciłam w końcu. - Wyjdź.

Chcę z tobą porozmawiać...

Znowu usłyszałam szelest liści i tym razem zareagowałam błyskawicznie. Zrobiłam krok, obróciłam się i z całej siły cisnęłam kamieniem w stronę źródła dźwięku. Rozległ się głuchy odgłos, stłumiony okrzyk - a potem zapadła straszliwa cisza.

Proszę, zrobiłaś to, pomyślałam sobie.

Wszystko to wydawało mi się takie nierzeczywiste. Dłonie miałam zupełnie zdrętwiałe, w uszach słyszałam tylko biały szum. To wszystko?, zastanawiałam się. Tylko tyle trzeba, żeby zabić człowieka?

A potem to do mnie dotarło. Przerażająca prawda. Morderstwo jest aż tak proste i łatwe jak przypadkowy cios pięścią czy sięgnięcie po kamień. Czułam się jak wydrążona skorupa, sama zaskoczona własną pustką. Czyżby rzeczywiście nie było w tym nic więcej?

I wtedy napłynęły pierwsze akordy żalu, fala miłości i mdłości. Usłyszałam potworny krzyk bólu, który początkowo uznałam za jego głos, żeby dopiero po chwili uświadomić sobie, że to ja tak krzyczę. Ruszyłam w stronę, w którą rzuciłam kamieniem, wołając Brendana po imieniu. Żadnej odpowiedzi. Może jest ranny, pomyślałam. Może żyje, tylko stracił przytomność. Albo udaje, czając się w ukryciu. Nie ważne, musiałam wiedzieć. Tam, za żywoplotem z dzikiej róży, której ciernie poraniły mi ręce do krwi.

A potem znowu usłyszałam za plecami jakiś ruch. Zachowywał się naprawdę cicho. Musiał przeczołgać się na czworakach pomiędzy rabatami ziół. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam jego twarz i malujący się na niej grymas bólu, a także niedowierzania.

- Bren? - zawołałam. - Ja nie chciałam...

Ale on już uciekał pomiędzy drzewami, błękitna parka mięła pośród całego tego oceanu zieleni. Słyszałam, jak ślizga się na opadłych liściach, a potem biegnie szybko żwirową alejką, przeskakuje przez mur i w końcu znika w zaułku. Serce waliło mi jak młot. Cała aż się trzęsłam od nadmiaru adrenaliny, rozdarta między ulgą a żalem. A jednak nie przekroczyłam granicy. Nie stałam się morderczynią. Chyba że tę nieszczęsną granicę stanowił nie sam czyn, tylko zamiar?

Oczywiście teraz to już tylko teoretyczne rozważania. Od-
kryiam karty, gra rozpoczęta. Czy mi się to podoba, czy nie,
przy pierwszej nadarzającej się okazji on spróbuje mnie za-
bić.

9.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec
Wpis zamieszczony o: 00:07 w środę, 20 lutego
Status: prywatny
Nastrój: zraniony
Słucham: „Run Like Hell” Pink Floyd

Suka. Trafiłaś mnie. Dokładnie w nadgarstek - na szczęście nie jest złamany. Gdybym dostał w głowę, tak jak bez wątpienia planowałaś, byłoby już po mnie. „Dobranoc, słodki książę”*, czy jaki tam sobie frazes wybierzesz.

Muszę przyznać, że jestem odrobinę zaskoczony. Nie miałem złych zamiarów, rozumiesz, po prostu robiłem zdjęcia. No i z całą pewnością nie spodziewałem się, że zareagujesz tak agresywnie. Na szczęście świetnie znam ten ogród. Wiem, jak poruszać się pomiędzy klombami i znam kryjówki, skąd mogę obserwować otoczenie niezauważony. Pamiętałem też drogę ucieczki - korzystałem z niej tyle razy - przez mur na ulicę. Pobiegłem z obolałym nadgarstkiem przyciś-

* William Shakespeare, „Hamlet” [w:] : „Romeo i Julia. Makbet. Hamlet”, przeł. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2009.

niętym mocno do brzucha, na wpół oślepiiony łzami bólu, a cały świat zdawały się teraz przesłaniać pasma brudnego pomarańczowego koloru.

Pognałem do siebie, wmawiając sobie w myślach, że wcale nie uciekam do domu i do mamusi. Dotarłem na miejsce akurat w momencie, kiedy matka kończyła sprzątać kuchnię.

- Jak tam zajęcia? - zawołała przez drzwi.

- W porządku - odpowiedziałem z nadzieją, że uda mi się dotrzeć na górę, zanim mnie zobaczy. Miałem ubłocone tenisówki, błoto na dżinsach, pulsujący z bólu nadgarstek zaczął puchnąć - dlatego teraz piszę na klawiaturze jedną ręką - a moja twarz stanowiła mapę miejsc, w których byłem, miejsc, przed którymi przestrzegala mnie mamusia.

- Rozmawiałeś z Terri? - spytała. - Na pewno bardzo przeżywa całą tę sprawę z Eleanor...

Co zaskakujące, sama Gloria przyjęła śmierć przyjaciółki całkiem nieźle. Znacznie lepiej niż się spodziewałem. Dzisiaj na przykład przez większość dnia oglądała kapelusze i wybierała pieśni na ceremonię pogrzebową. Mama uwielbia pogrzeby. Rozkoszuje się ich dramatyzmem. Drżąca ręka, uśmiech przez łzy, chusteczka przyciśnięta do uszminekowanych ust. Chwiejny krok, Adèle i Maureen prowadzące ją pod łokcie.

„Gloria jest taka dzielna”.

Zatrzymała mnie w połowie schodów. Kiedy popatrzyłem w dół, widziałem czubek jej głowy, przedziałek w ciemnych włosach, który z wiekiem przeistoczył się z wąskiej ścieżki w czteropasmową autostradę. Mama oczywiście farbuje włosy - to jedna z tych rzeczy, o których nie powinienem wiedzieć, tak samo jak o wkładkach Tena w łazience i o tym, co się stało z moim ojcem, chociaż mnie nie wolno mieć przed nią żadnych tajemnic. Tymczasem mama popatrzyła bacznie na mój profil winowajcy,

a ja stałem jak jeleń schwytyany w światła reflektorów, czekając na nieunikniony cios.

Ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał zaskakująco radośnie.

- Może weźmiesz sobie teraz milutką kąpiel? - powiedziała. - Kolację masz w piekarniku. Twój ulubiony kurczak z chili, a na deser trochę domowego cytrynowego placka.

Ani słowa o błocie na schodach czy nawet o tym, że spóźniłem się pół godziny.

Czasami właśnie to okazuje się najgorsze. Potrafię z nią żyć, kiedy jest zła. Kiedy jednak zaczyna się zachowywać normalnie, to wręcz boli, bo właśnie wtedy podkrađa się do mnie poczucie winy, przynosząc ze sobą migrenę i mdłości. Kiedy jest spokojna, czuję te gruzły artretyzmu na jej dłoniach i to, jak bardzo bołają ją plecy przy wstawaniu. I właśnie wtedy przypominam sobie, jak to było za dawnych czasów, zanim urodził się mój młodszy brat, w czasach, kiedy to ja byłem jej błękitnookim chłopcem.

- Właściwie to nie jestem głodny, mamusiu.

Spodziewałem się, że zareaguje gniewem, lecz tym razem uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

- W porządku, B.B., odpocznij trochę. - Po czym wróciła do kuchni.

Zdziwił mnie, a jednocześnie zaniepokoił fakt, że tak łatwo mi odpuściła, ale mimo wszystko byłem szczęśliwy, kiedy znalazłem się wreszcie z powrotem w swoim pokoju ze szklanką wina i kanapką, zaopatrzony w okład z lodu na obolałą dłoń.

Najpierw zalogowałem się na Niegrzecznichłopcyrządzą. Na stronie było pusto, lecz moja skrzynka pękała w szwach, głównie za sprawą Clair i Chryssie. Żadnego e-maila od Albertyny. No cóż, pewnie nadal jest roztrzęsiona. Niełatwo zmierzyć się ze świadomością, że byłoby się zdolnym do mor-

derstwa. Ale ona zawsze miała skłonność do upierania się przy prawdach absolutnych. Tyle że w realnym życiu granica pomiędzy dobrem a złem okazuje się tak rozmyta, że niemal niedostrzegalna, więc dopiero kiedy ją przekroczysz, orientujesz się, że w ogóle istniała.

Albertyno, och, Albertyno. Dzisiaj jestem tak blisko ciebie. W pulsowaniu mojego nadgarstka wychwytyuję bicie twojego serca. Wiesz, że życzę ci jak najlepiej. Mam nadzieję, że zdołdziesz to, czego szukasz. A kiedy już będzie po wszystkim, liczę, że znajdziesz w sercu miejsce dla mnie, dla błękitnokiegochłopca, który rozumie znacznie więcej, niż ci się wydaje.

10.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 23:32 w środę, 20 lutego

Status: prywatny

Nastrój: niecierpliwy

Od błękitnookiego chłopca ani słowa. Chociaż niczego się nie spodziewałam - w każdym razie nie tak szybko. Podejrzewam, że przyczai się na pewien czas, niczym zwierzę zagonione do nory. Myślę, że będzie potrzebował trzech dni, zanim stamtąd wyjdzie. Pierwszy na zbadanie terenu. Drugi - ułożenie planu. Trzeci - podjęcie działania. I właśnie dlatego sama wykonałam ruch już dzisiaj - opróżniłam konto w banku, uporządkowałam wszystkie sprawy, spakowałam rzeczy - w oczekiwaniu na to, co nieuniknione.

Nie myślcie sobie, że to będzie dla mnie proste. Te rzeczy nigdy takie nie są. Zwłaszcza dla niego, ale on dobiera metodę tak, aby oszukać swój pokręcony umysł, że to, co robi, to tak naprawdę nie jego wina, podczas gdy jego ofiara sama właśnie wchodzi w starannie przygotowaną pułapkę.

Co to będzie, tak się zastanawiam? Jasno wyraziłam swoje intencje, więc nie mogę oczekiwać, że w moim wypadku

zrobi wyjątek. Będzie próbował mnie zabić. Nie ma wyboru. A uczucia, jakie do mnie żywi - jakiegokolwiek by one były - opierają się przede wszystkim na świadomości winy i nostalgii. Zawsze wiedziałam, kim tak naprawdę dla niego jestem. Cieniem, duchem, odbiciem. Namiastką Emily. Wiedziałam, ale o to nie dbałam, tak wiele dla mnie znaczył.

Tyle że ludzie przypominają kostki domina ustawione w rzędy, jeden upada i reszta idzie w jego ślady. Emily i Catherine, potem tata, doktor Peacock, a w końcu ja. Nigel, Bren, Benjamin. Początek tego wszystkiego rzadko jest oczywisty, bo przecież należy do nas zaledwie cząstka naszej własnej historii.

To nie wydaje się sprawiedliwe, prawda? Wszyscy wyobrażamy sobie, że nasze życie to dramat, w którym my sami zajmujemy centralną pozycję. A co ze statystami? Co z dublerami? Bo obok każdej głównej roli istnieje całe mnóstwo ludzi zbędnych, nigdy niestających w świetle jupiterów, niewyglaszających nawet linijki tekstu. Czasami nawet nie trafiają do ostatecznej wersji dzieła, kończąc swój żywot jako wycięty kadr gdzieś na podłodze montażowni. Kogo obchodzi, jeśli statysta trafi do piachu? Do kogo należy historia jego życia?

Dla mnie wszystko bierze swój początek w szkole pod wezwaniem świętego Oswalda. Nie mogłam mieć wtedy więcej niż siedem lat, ale pamiętam w najdrobniejszych szczegółach, co się wydarzyło tamtego dnia. Co roku matka zabierała mnie na bożonarodzeniowy koncert w szkolnej kaplicy, który zamykał długi semestr zimowy. Podobała mi się muzyka, kołędy, pieśni i organy przypominające hydrę o lśniących językach z mosiądzu. Natomiast matka ceniła sobie powagę nauczycieli w czarnych szatach i anielski wygląd chórzystów w białych komżach i świecach w dłoniach.

Widziałam wtedy wszystko z taką wyrazistością. Utrata pamięci przyszła później. W jednej chwili stałam w blasku słońca, w drugiej znalazłam się pośród zmiennych cieni,

z zaledwie kilkoma okrucami jasności, które miały stanowić dowód, że te wspomnienia w ogóle istniały. Ale tamten dzień stoi mi przed oczami tak wyraźnie, w najdrobniejszych szczegółach.

Wszystko zaczęło się, gdy mała dziewczynka siedząca w rzędzie za mną rozplakała się w trakcie koncertu. To była oczywiście Emily White. Młodsza ode mnie o dwa lata, skupiała na sobie uwagę wszystkich. Doktor Peacock też tam był: potężnie zbudowany, łagodnie wyglądający mężczyzna z brodą, miał miły głos przypominający dźwięki waltorni. Rozczulił się nad płaczącą dziewczynką, podczas gdy gdzie indziej rozgrywał się kolejny mały dramat, niezauważony przez głównych bohaterów tej sztuki.

Właściwie to nic wielkiego, po prostu błękitnooki chłopiec z chóru upadł na twarz. Zrobiło się jednak drobne zamieszanie, melodia jakby lekko się zawahała, chociaż nie umilkła, a jakaś kobieta z uszmińkowaną twarzą wykrzywioną przerażeniem - pewnie matka zemdlonego chórzysty - rzuciła się w jego stronę, ślizgając się w szpilkach na wypolerowanej posadzce.

A moja własna mama przypatrywała się temu z dezaprobatą. Ona by tak nie biegła. Nigdy nie wywołałaby podobnego zamieszania - zwłaszcza tutaj, w kaplicy, gdzie aż się roilo od ludzi gotowych ją oceniać i rozsiewać te ohydne plotki.

- Gloria Winter. Mogłam się domyślić...

Słyszałam to nazwisko już wcześniej. Mama wspomniała mi, że ten chłopiec sprawiał problemy w szkole. Tak naprawdę cała ich rodzina to nic dobrego: bezbożna, niegodziwa i bluźniercza.

Zatwardziali grzesznicy, powtarzała matka. To określenie rezerwowała wyłącznie dla najgorszego rodzaju zbrodniarzy: gwałcicieli, bluźnierców, matkobójców.

Tymczasem Gloria podtrzymywała syna, który rozciął sobie czoło o ławkę. Krew - było jej zaskakująco dużo - za-

chlapała mu komżę. Za plecami Glorii stało jeszcze dwóch chłopców, jeden w czerni, drugi w brązach, niczym rezerwowi zawodnicy w jakiejś tajemniczej rozgrywce. Ten w czarnym ubraniu miał ponurą i jednocześnie odrobinę znudzoną minę. Ten w brązach - niezdarnie wyglądający chłopak o długich, prostych włosach spadających na oczy i w za dużej bluzie, która raczej podkreślała, niż ukrywała spory brzuch - wyglądał na cierpiącego, wręcz oszołomionego.

Przykładał przy tym drżącą rękę do czoła, aż zaczęłam się zastanawiać, czy on też nie upadł.

- Co wy tu za cyrki urządzacie? Nie widzicie, że potrzebuję pomocy? - Głos Glorii Winter brzmiał naprawdę ostro.

- B.B., przynieś mi ręcznik albo coś takiego. Nigel, wezwij pogotowie.

Nigel, tak niewinny w wieku szesnastu lat. Żałuję, jednak nie mogę powiedzieć, żebym go z tamtego okresu pamiętała. Ale szczerze mówiąc, nigdy go nie dostrzegłam, całą swoją uwagę poświęcając Brenowi. Być może z powodu jego udręczonego, pozbawionego nadziei spojrzenia, w którym czaiła się nienawiść. A może już wtedy wyczuwałam łączącą nas więź. Pierwsze wrażenie jest takie ważne, przygotowuje nas na to, co przychodzi później.

Zobaczyłam, jak Brendan znowu unosi rękę do czoła z takim grymasem bólu, jakby trafiło go coś spadającego z nieba. A potem potknął się o stopień i upadł na kolana niemal u moich stóp.

Moja mama podeszła już do Glorii, żeby jej pomóc, i poprowadziła ją razem z synem przez tłum.

Popatrzyłam w dół na chłopca ubranego na brązowo.

- Nic ci się nie stało? - spytałam.

Milczał, wpatrując się we mnie ze zdumieniem. Szczerze mówiąc, sama poczułam się zaskoczona własną śmiałością. Byłam tyle młodsza od niego, a poza tym rzadko rozma-

wiałam z nieznajomymi. Ale on miał w sobie coś, co mnie poruszyło, taką dziecinność.

- Nic ci się nie stało? - powtórzyłam.

Nie miał czasu odpowiedzieć, bo Gloria odwróciła się już niecierpliwie, nadal otaczając ramieniem Benjamina. To właśnie wtedy uderzyło mnie, jak drobna się wydawała, z talią osy podkreśloną ołówkową spódnicą i obcasami szpilek ledwie dotykającymi podłogi. Moja mama nie znosiła takich butów - które nazywała dziwkarskimi - odpowiedzialnych jej zdaniem za rozmaite dolegliwości, od chronicznego bólu pleców po haluksy i artretyzm. Ale Gloria poruszała się w nich jak tancerka, a jej głos był równie ostry jak te dziesięciocentymetrowe obcasy, kiedy łąjała swojego niezgrabnego syna:

- Brendan, chodź tu natychmiast, bo inaczej, jak mi Bóg miły, skręcę ci ten cholerny kark...

Mama aż się wzdrygnęła. Słowo na „eh” było w naszym domu kategorycznie zakazane. Na dodatek padło z ust matki chłopca - tak więc od razu zrobiło mi się go szkoda. Brendan podniósł się niezdarne, z twarzą oblaną ciemnym rumieńcem. Widziałam, jak bardzo jest zdenerwowany, przestraszony, zażenowany i pełen nienawiści.

On życzy jej śmierci, pomyślałam nagle z całkowitą pewnością.

Była to niebezpieczna, potężna myśl. Rozświetliła mój umysł niczym latarnia. Przecież to niewyobrażalne, żeby pragnąć śmierci własnej matki. Grzech śmiertelny. A więc ten chłopak będzie się smażył w piekle, skazany na wieczne potępienie. Jednak coś mnie do niego ciągnęło. Sprawiał wrażenie tak bardzo zagubionego i nieszczęśliwego. Może zdołam go ocalić, pomyślałam. Może da się go jeszcze uratować...

11.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 02:04 w czwartek, 21 lutego

Status: prywatny

Nastrój: niespokojny

Pozwólcie, że wam coś wyjaśnię, chociaż to nie takie proste. Jako dziecko byłam okropnie nieśmiała. Dzieciaki w szkole mi dokuczały, nie miałam żadnych przyjaciół. Matka była bardzo religijna, a cień jej dezaprobaty ciążył na każdym aspekcie mojego życia. Właściwie nigdy nie okazywała mi czułości, od samego początku dając jasno do zrozumienia, że tylko Jezus zasługuje na jej miłość. Stanowiłam dar matki dla Niego, kolejną duszyczkę do Jego stadka, ale chociaż byłam daleka od doskonałości, jak lubiła podkreślać, dzięki Jego łasce i własnym wysiłkom miałam szansę stać się któregoś dnia na tyle dobra, by spełnić surowe wymagania Zbawiciela.

Ojca w ogóle nie znałam. Mama nigdy o nim nie mówiła, chociaż nosiła obrączkę, budząc we mnie niejasne wrażenie, że ponieważ w jakiś sposób ją rozczarował, odesłała go, tak jak odprawi i mnie, jeśli nie okażę się wystarczająco dobra.

No cóż, próbowałam. Odmawiałam modlitwy, sumiennie wykonywałam swoje obowiązki domowe, chodziłam do spowiedzi. Nigdy nie rozmawiałam z nieznanymi ani nie podnosiłam głosu, nie czytałam komiksów i nie sięgałam po drugi kawałek ciasta, kiedy matka zapraszała koleżanki na herbatę. Ale to i tak nie wystarczało. Nigdy nie mogłam zbliżyć się do ideału, ciągle pozostawała jakaś skaza. Czasami chodziło o moją niefrasobliwość, naderwany rąbek szkolnej spódnicy, smugi błota na białych skarpetkach. A czasem o złe myśli. Albo o piosenkę w radiu - mama nie znosiła rocka i nazywała go tchnieniem szatana - czy fragment książki, którą czytałam. Czyhało na mnie tyle niebezpieczeństw, powtarzała mi, tyle wybojów na tej drodze do piekła. Ale ona przecież próbowała, na swój sposób chciała mnie ratować, więc to nie jej wina, że wyrosłam na kogoś takiego.

W moim pokoju nie było żadnych zabawek, żadnych lalek, tylko błękitnooki Jezus na krzyżu i lekko obtluczony gipsowy anioł, który miał odpędzać złe sny i sprawić, że w nocy będę się czuła bezpiecznie.

Szczerze mówiąc, to raczej budził we mnie niepokój. Jego bezpłciowa twarz przypominała buzię martwego dziecka. A co do błękitnookiego Jezusa z głową odrzuconą do tyłu i krwawiącym bokiem, to nie wyglądał ani łagodnie, ani współczująco. Wydawał się raczej zagniewany, udręczony, przerażający, ale cóż w tym dziwnego? Skoro umarł, aby nas wszystkich zbawić, to chyba naturalne. Czyż nie miał prawa czuć wściekłości z powodu tego wszystkiego, co musiał znieść dla naszego dobra? I czy nie chciałby się jakoś zemścić - za te gwoździe, włócznie i koronę cierniową?

Aniele boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój...

I dlatego często w nocy nie mogłam zasnąć przez wiele godzin, zbyt przerażona myślą, że kiedy zamknę oczy, zjawi się anioł, by poprowadzić mnie do żywota wiecznego. Albo

że, co gorsza, sam Jezus wstanie z grobu i przyjdzie po mnie, lodowato zimny, roztaczający wokół zapach śmierci, żeby szepnąć mi do ucha:

„To powinnaś być ty”.

Bren lekceważył moje obawy, denerwowało go jednak, że matka jeszcze je podsycą.

- A ja myślałem, że moja mama jest okropna. Ale twoja to już cholerna wariatka.

Zachichotałam. Znowu to słowo na „eh”. Sama nigdy nie miałam odwagi go użyć. Ale Bren był ode mnie tyle starszy i o wiele odważniejszy. Wszystkie te historie, które opowiadał na swój temat - opowieści o własnej przebiegłości i sekretnej zemście - wcale mnie nie przerażały, raczej budziły podziw. Moja matka wierzyła w pokorę, a Bren w wyrównywanie rachunków. Dla mnie stanowiło to zupełną nowość - wychowana w jednej wierze, w głębi duszy byłam jednocześnie zafascynowana i zszokowana tą ewangelią Brendana.

A okazała się całkiem nieskomplikowana. Uderzaj na odwet tak mocno i tak nisko, jak tylko zdołasz. Zapomnij o nadstawianiu drugiego policzka, po prostu wal i wiew. W razie podejrzeń zrzuć winę na kogoś innego. I nigdy, przenigdy do niczego się nie przyznawaj.

Oczywiście podziwiałam go. Jak mogłoby być inaczej? Te słowa miały dla mnie sens. Co prawda trochę się martwiłam o jego duszę, lecz w głębi serca uważałam, że gdyby nasz Zbawiciel wyznawał zasady podobne do Brendana, zamiast być aż tak pokornym, wszystkim wyszłoby to na dobre. Brendan Winter zawsze skopie przeciwnikowi tyłek, nie da się zastraszyć ani sponiewierać. Bren nigdy nie leżał w łóżku sparaliżowany strachem. On uderzał wroga z całą mocą anielskich zastępów.

No cóż, nic z tego nie było tak do końca prawdą. Zrozumiałam to wystarczająco szybko. Bren opowiadał, jak wszystko

powinno wyglądać, a nie jak się rzeczywiście stało. I taki podobał mi się najbardziej. Sprawiał wrażenie, jeśli nie do końca niewinnego, to przynajmniej zasługującego na odkupienie. A ja tego właśnie pragnęłam - albo tak przynajmniej mi się wydawało. Ocalić go. Skleić to, co pęknięte tam, w środku. Uformować go, niczym bryłkę gliny, w posąg niewinności.

A poza tym lubiłam słuchać. Podobało mi się brzmienie jego głosu. Kiedy czytał mi swoje opowiadania, nigdy się nie jękał. Nawet ton głosu miał inny - spokojny i cynicznie zabawny, przypominający dźwięki rożka angielskiego. Przemoc nigdy mi nie przeszkadzała, zresztą to była tylko fantazja. Cóż złego mogło z tego wyniknąć? Bracia Grimm opisywali znacznie gorsze rzeczy: niemowlęta pożerane przez ogry czy wilki, matki porzucające dzieci, synów skazywanych na wygnanie, zabijanych albo okładanych klątwą przez złe wiedźmy.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Brena, od razu wiedziałam, że ma problem ze swoją mamą. Już wcześniej widywałam Glorię w miasteczku, nigdy jednak nie miałyśmy z nią wiele do czynienia. Teraz poznałam ją z opowieści Brena i szczerze zniechęciłam - nie ze względu na siebie, tylko właśnie na niego.

Powoli dowiadywałam się na jej temat coraz więcej, słyszałam już o napoju witaminowym, porcelanowych pieskach i kablu elektrycznym. Czasami Bren pokazywał mi ślady, które zostawił na jego ciele sznur, wszystkie te zadrapania, pręgi i siniaki. Był ode mnie tyle starszy, a jednak w takich sytuacjach czułam się tak, jakbym to ja stała się dorosła. Pocięszałam go, wysłuchiwałam zwierzeń, dawałam mu swoją bezwarunkową miłość, sympatię i podziw. I w ogóle nie zdażałam sobie sprawy, jak bardzo się myliłam. Myślałam, że to ja nadaję mu kształt, a tak naprawdę to on kształtował mnie.

12.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 13:57 w czwartek, 21 lutego

Status: prywatny

Nastrój: melancholijny

Pięć miesięcy po tamtym koncercie Brendan Winter i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Akurat przeżywałam wtedy trudny okres - mama była cały czas zapracowana, a dzieciaki w szkole dokuczały mi bardziej niż zwykle. Nie rozumiałam, dlaczego tak się dzieje. W Malbry było mnóstwo dzieci, które nie miały ojców. Czym się spośród nich wyróżniałam? Może to moja wina, zastanawiałam się, że tata nas zostawił. Może wcale mnie nie chciał. Może żadne z nich mnie nie chciało.

I właśnie wtedy w moim życiu znowu pojawił się Brendan. Od razu go poznałam. Matka jak zawsze była zajęta, więc siedziałam zupełnie sama w ogrodzie, podczas gdy Emily grała u siebie w domu na fortepianie - chyba coś Rachmaninowa, jakąś słodką i melancholijną melodię. Muzyka wlatywała przez otwarte okno, obrzeżone gęstwiną kwitnących róż. Dla mnie wyglądało zupełnie jak okno

z bajki, w którym za chwilę powinna się pojawić księżniczka, może Śpiąca Królowna albo Królowna Śnieżka, a może Pani z Shallot.

Tyle że Brendan nie był Lancelotem. Ubrany w brązowe sztruksy i beżową płócienną kurtkę, przypominał wypchaną bąbelkową kopertę. Pod pachą niósł szkolny tornister, a włosy, dłuższe niż przy naszym poprzednim spotkaniu, spadały mu na oczy. Akurat przechodził ulicą, usłyszał muzykę i zatrzymał się, zaledwie parę kroków od ogrodowej furtki. Nie zauważył mnie, jak siedziałam na huśtawce pod płaczącą wierzbą. Ale ja widziałam dokładnie jego twarz, kiedy słuchał Emily, leciutko uśmiechnięty. Następnie wyciągnął z tornistra aparat z teleobiektywem i ze zręcznością, która zupełnie do niego nie pasowała, zrobił kilkanaście ujęć domu - pstryk pstryk pstryk, zupełnie jak odgłos przewracających się kostek domina - a potem jednym płynnym ruchem schował aparat z powrotem.

Wtedy w końcu porzuciłam swój punkt obserwacyjny na huśtawce.

-Hej.

Odwrócił się z zaleknioną miną, lecz na mój widok ewidentnie się rozluźnił.

- Cześć, jestem Bethan - dodałam.

- B-Brendan.

Oparłam się łokciami o furtkę.

- Brendan, dlaczego fotografowałeś dom White'ów?

To pytanie go wystraszyło.

- Proszę cię, jeśli komuś p-powiesz, będę miał kłopoty.

Ja -ja po prostu lubię robić zdjęcia, to wszystko.

-Więc sfotografuj mnie - rzuciłam, szczerząc zęby w uśmiechu.

Bren rozejrzał się wokół, a potem odpowiedział mi tym samym.

- W porządku, ale musisz mi obiecać, B-Bethan, że nie pśniesz nikomu ani słówka.

- Nawet mamie?

- Zwłaszcza mamie.

- Dobrze, obiecuję - powiedziałam. - A dlaczego tak lubisz robić zdjęcia?

Popatrzył na mnie i znowu lekko się uśmiechnął. Jego oczy, ukryte za nieporządną strzechą włosów, były naprawdę piękne, a rzęsy gęste i długie jak u dziewczyny.

- To nie jest zwykły aparat - odparł w końcu, tym razem, jak zauważyłam, bez najmniejszego zająknięcia. - Za jego pomocą mogę zajrzeć w głąb twojego serca. Zobaczyć, co przede mną ukrywasz. I poznać, czy jesteś dobrą dziewczynką, czy codziennie odmawiasz modlitwę, czy kochasz swoją mamę...

Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia.

- Naprawdę potrafisz zobaczyć to wszystko?

- Oczywiście - zapewnił, a potem uśmiechnął się szeroko.

I w ten sposób ja też zostałam złowiona.

Naturalnie wtedy nie postrzegałam tego w ten sposób. Jeszcze nie. Ale właśnie w tamtym momencie postanowiłam, że Brendan Winter zostanie moim przyjacielem. Bren, którego nikt nie chciał, Bren, który prosił, żebym dla niego skłamała, bo inaczej będzie miał kłopoty.

Tak to się właśnie zaczęło, od jednego niewinnego kłamstewka. No i od mojego zaciekawienia kimś tak całkiem różnym ode mnie. Potem przyszło ostrożne przywiązanie, jakim dziecko może darzyć groźnego psa, poczucie więzi pomimo wielu dzielących nas różnic, a na końcu uczucie, które z czasem rozwinęło się w coś na kształt zadurzenia.

Nigdy nie miałam złudzeń, że jakoś szczególnie mu na mnie zależy. Od początku wiedziałam, kto tak naprawdę go inte-

resuje. Ale pani White była bardzo opiekuńcza. Emily nigdy nie zostawała sama, nigdy nie rozmawiała z nieznanymi. Rzut oka ponad ogrodowym murem, zrobione w przelocie zdjęcie, jakaś namiastka dotyku, to wszystko, na co mógł liczyć Bren. Jeśli o niego chodziło, Emily równie dobrze mogła mieszkać na Marsie.

Przez resztę czasu Brendan należał do mnie i to mi w zupełności wystarczało. On nawet jej nie lubi, myślałam. Właściwie to miałam wrażenie, że wręcz jej nienawidzi. Byłam młoda. I bardzo naiwna. A poza tym wierzyłam w Brendana - w jego dar. Nie spełniałam oczekiwań matki, ale może z Brenem mi się to uda. Byłam jego aniołem stróżem, jak sam mówił. Opiekowałam się nim. Chroniłam go. I tym sposobem przeszedłam na drugą stronę lustra, wkraczając do świata błękitnookiego chłopca, gdzie wszystko jest na opak, a każdy zmysł okazuje się pokręcony i wykoślawiony, gdzie nic się tak naprawdę nie zaczyna i nic nigdy nie kończy...

Pamiętam tamto lato, kiedy zginął brat Brendana. Do moich dwunastych urodzin brakowało jeszcze trzech miesięcy. Nikt mi nie powiedział, co się stało, chociaż przez całe tygodnie po Malbry krążyły nawet najbardziej nieprawdopodobne plotki. Ale ludzie ze śródmieścia zawsze uważali, że są ponad to, co się dzieje w Białym Mieście. Brendan był chory, więc początkowo uznałam, że Ben umarł na tę samą przypadłość, a potem afera Emily White zatarła większość szczegółów. Skandal, publiczne załamanie nerwowe - wszystko to zapewniło dziennikarzom na tyle dużo materiału, że stracili zainteresowanie jakimś drobnym przypadkiem przemocy domowej.

Tymczasem Dom z Kominkiem stał się centrum wszystkiego. Krótkotrwała sława Emily White dawno by się wypaliła, gdyby jesienią Brendan Winter nie ożywił jej na nowo. Te

pomówienia o oszustwo i molestowanie rozślały Emily bardziej, niż kiedykolwiek zdołałyby to zrobić Catherine White. Chociaż w tamtym momencie Catherine już o to nie dbała - jej rodzina właśnie się rozpadła. Catherine nie widziała córki od kilku tygodni, odkąd opieka społeczna uznała, że dobro dziecka jest zagrożone. W rezultacie Emily zamieszkała z panem White'em w pensjonacie w centrum miasta, gdzie dwa razy w tygodniu miał ją odwiedzać psycholog, przynajmniej do czasu, aż cała sprawa zostanie pomyślnie rozwiązana. Osamotniona Catherine leczyła smutki za pomocą mieszaniny antydepresantów i alkoholu, uzupełnianej przez Feather - której obecność nigdy nie stanowiła w ich życiu czynnika stabilizującego - preparatami ziołowymi, zarówno tymi legalnymi, jak i zabronionymi.

Ktoś powinien był zauważyć pierwsze sygnały. Co zdumiewające, tak się nie stało. A kiedy doszło już do eksplozji, każdy z nas został trafiony odłamkiem.

Chociaż mieszkaliśmy po sąsiedzku, nie znałam pana White'a zbyt dobrze. Wiedziałam tylko, że jest spokojnym człowiekiem, który chętnie grywa na fortepianie, kiedy jego żony nie ma w pobliżu, czasem pali fajkę (znowu pod nieobecność wiecznie utyskującej pani White), nosi małe okulary w drucianych oprawkach i płaszcz rosyjskiego szpiega. Miałam też okazję posłuchać jego gry na organach w kościele i występów szkolnego chóru pod jego batutą. Często obserwowałam go zza muru, kiedy przesiadywał z Emily w ogrodzie. Najczęściej czytywał wtedy córce książki, a że wiedział, jak bardzo lubię się przysłuchiwać temu, specjalnie dla mnie podnosił głos - chociaż z jakiegoś powodu pani White nie pochwałała tego i zawsze wołała oboje do środka, gdy tylko mnie zauważyła. W rezultacie nigdy nie miałam okazji poznać tej dwójki.

Po wyprowadzce pana White'a widziałam go tylko raz, jesienią tego roku, kiedy umarł Benjamin. Była to pora nie

mgieł, ale wiatrów, które odzierały drzewa z liści, zasypując nimi chodniki. Wracałam ze szkoły przez park, wyznaczający granice śródmieścia, a że pogoda była mroźna i zanosilo się na śnieg, nawet w swoim najlepszym palcie drżałam z zimna.

Słyszałam, że pan White zrezygnował z pracy, żeby zająć się Emily. Ta decyzja spotkała się z dwojaką reakcją mieszkańców Malbry - jedni wychwalali jego poświęcenie, inni (tak jak Eleanor Vine) uważali, że to niestosowne, aby mężczyzna samotnie opiekował się dziewczynką w wieku Emily.

- Będzie ją musiał kąpać i w ogóle - mówiła pani Vine z ewidentną dezaprobatą. - Aż strach pomyśleć! Nic dziwnego, że ludzie wzięli go na języki.

No cóż, jeśli rzeczywiście tak było, na pewno stała za tym sama pani Vine. Już wtedy była złośliwą żmiją, plującą jadem wszędzie, gdziekolwiek się pojawiła. Matka zawsze obwiniała ją o rozsiewanie plotek na temat mojego taty, a kiedy raz czy dwa zdarzyło mi się pójść na wagary, to właśnie Eleanor Vine doniosła na mnie do szkoły, zamiast powiedzieć o wszystkim mojej matce.

Może właśnie dlatego czułam, że z panem White'em łączy mnie jakaś szczególna więź, a gdy pewnego razu zauważyłam go w parku, jak w swoim płaszczu rosyjskiego szpiega buja Emily na huśtawce, zatrzymałam się na chwilę, żeby na nich popatrzeć. Oboje wyglądali na tak uszczęśliwionych, jakby na całym świecie nie było nikogo innego poza nimi.

To właśnie pamiętam najlepiej. Widok ich dwojga, sprawiających wrażenie takich szczęśliwych.

Stałam na ścieżce przez minutę czy dwie. Emily miała czerwony płaszczyk, a do tego mitenki i włóczkową czapeczkę. Suche liście szeleściły pod jej stopami za każdym razem, kiedy huśtawka sfruwała w dół. Pan White śmiał się wesoło, zwrócony do mnie odrobinę profilem, tak że miałam okazję

mu się przyjrzeć, zobaczyć go w chwili, kiedy był zupełnie bezbronny.

Dotąd uważałam go za starego. Znacznie starszego od Catherine z jej długimi, rozpuszczonymi włosami i dziewczęcym sposobem bycia. Teraz miałam okazję się przekonać, jak bardzo się myliłam. Po prostu nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby pan White się śmiał. Był to młodzieńczy, wesoły śmiech, na którego tle odcinał się wyraźnie głosik Emily jak sylwetka mewy szybującej po bezchmurnym niebie. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że skandal nie tylko nie rozdzielił tych dwojga, ale jeszcze bardziej zbliżył ich do siebie. Byli zupełnie sami przeciwko całemu światu, ale zadowoleni ze swojego towarzystwa.

Za oknem prószy śnieg. Żółtoszare płatki wirują w kręgu światła latarni na rogu ulicy. Może później, kiedy przestanie już padać, w Malbry zapanuje wreszcie spokój, wszystkie grzechy, te przeszłe i te obecne, znikną choć na jeden dzień pod litościwą warstwą bieli.

Śnieg prószył i tamtej nocy, kiedy zginęła Emily. Może gdyby wtedy nie padało, Emily nadal by żyła. Któż to wie? Nic się nigdy nie kończy. Historia każdego z nas rozpoczyna się w samym środku czyjejs opowieści, z plątaniną wątków, które tylko czekają na rozwinięcie. Zresztą czyja to w ogóle historia? Moja czy Emily?

13.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 23:14 w czwartek, 21 lutego

Status: prywatny

Nastrój: bezsenny

Słucham: „In the Air Tonight” Phila Collinsa

Oczywiście należało się tego spodziewać. Catherine White była niezrównowazona, gotowa walić na oślep w źródło swojego cierpienia - zupełnie jak ja, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. A kiedy Patrick White przywiózł córkę po jej ostatnim występie do domu - no cóż, doszło do awantury.

Chyba powinni byli to przewidzieć. Napięcie narastało od wielu miesięcy, emocje sięgały zenitu. Pod nieobecność męża pani White zaprosiła pod swój dach Feather, która ze swoją fascynacją medycyną niekonwencjonalną, teoriami spiskowymi, przewodnikami duchowymi, zjawami i Dziećmi Jutra pchnęła niestabilną Catherine prosto w pełnoobjawową nerwicę.

Oczywiście wtedy jeszcze nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Emily odeszła z rodzinnego domu pod koniec września. Teraz była połowa stycznia, a przebiśniegi zaczynały wychylać

zielone główki z zamarznętej ziemi. Przez te wszystkie miesiące mojej obserwacji domu White'ów rzadko widywałem Catherine. Zauważyłem ją tylko raz czy dwa przez okno, wciąż ozdobione bożonarodzeniowymi lampkami, chociaż było już dawno po święcie Trzech Króli, a obsypana anielskim włosom choinka brązowała na trawniku za domem. Catherine wyglądała przez szybę i z papierosem wciśniętym w drżące usta wpatrywała się w śnieg.

Za to Feather wечно kręciła się wokół domu. Widywałem ją niemal codziennie, jak szła po zakupy, przynosiła pocztę, rozmawiała z dziennikarzami, którzy od czasu do czasu zjawiali się jeszcze z nadzieją na wywiad, jedno słówko czy choćby zdjęcie Emily.

Natomiast mało kto miał teraz okazję oglądać samą Emily, która po umorzeniu sprawy doktora Peacocka opuściła wreszcie placówkę opiekuńczą i zamieszkała z ojcem, a pan White co dwa tygodnie woził ją na spotkania z matką odbywające się pod nadzorem kuratora. Ten skrzętnie wszystko notował, a potem pisał kolejne raporty, z których niezmiennie wynikało, że pani White na razie nie powinna zostawać z córką sam na sam.

Tamten wieczór był jednak inny. Pan White nie myślał trzeźwo. Wcześniej jego żona nie raz mówiła, że popełni samobójstwo, ale tym razem rzeczywiście próbowała wcielić swoją groźbę w czyn, czemu zapobiegła jedynie interwencja Feather i szybka akcja ratowników medycznych, którzy wyciągnęli Catherine ze stygnącej kąpieli i prowizorycznie opatrzyli jej nacięcia na nadgarstkach.

Mogło być znacznie gorzej, powiedział lekarz. Potrzeba naprawdę sporej dawki aspiryny, żeby się zabić, a chociaż rany na nadgarstkach były głębokie, nie doszło do uszkodzenia tętnicy. Ale próba była poważna, na tyle poważna, że wzbudziła niepokój. Następnego zaś dnia - który okazał

się zresztą dniem ostatniego występu Emily - cała sprawa rozrosła się do takich rozmiarów, że nie dało się już nad tym wszystkim zapanować. Jakże małe są elementy składające się na nasz los! Jak skomplikowana to struktura! Wystarczy usunąć jeden z kawałków tej układanki, a cały mechanizm przestaje funkcjonować. Gdyby Catherine nie wybrała tego konkretnego dnia na samobójstwo - a któż może wiedzieć, jaki ciąg wydarzeń doprowadził do tej ostatecznej decyzji - tworząc złowróżbną koniunkcję ciał A, B i C, gdyby występ Emily nie był tak fascynujący, gdyby Patrick White okazał się bardziej stanowczy i nie uległ błaganiom córki, gdyby przestrzegął postanowienia sądu i nie zabrał Emily na spotkanie z matką, gdyby pani White była w lepszym nastroju, gdyby Feather nie zostawiła ich samych, gdybym włożył cieplejszy płaszcz, gdyby Bethan nie wyszła na dwór, żeby popatrzeć na świeżo spadły śnieg...

Gdyby. Gdyby. Gdyby. Cudownie zwodnicze słówko, lekkie jak dotyk płatka śniegu na języku, niemal zbyt małe, by zawrzeć w sobie taki ogrom żalu. Angielskie *if* to po francusku *cis*, symbol żałoby i grobu, kiedy drzewo pada w lesie.

Podajrzewam, że pan White miał jak najlepsze intencje. Sami rozumiecie, nadal kochał Catherine. A poza tym wiedział, ile dla Emily znaczyła matka. I chociaż mieszkali oddzielnie, wciąż nie tracił nadziei, że będzie mógł wrócić, że wpływ Feather osłabnie, a Emily, gdy już ucichnie zamieszanie wywołane skandalem, znowu będzie mogła się stać zwyczajną dziewczynką, a nie cudownym dzieckiem.

Obserwowałem dom z kawiarni po drugiej stronie ulicy już od lunchu, a kiedy o piątej kawiarenka została zamknięta, przeniosłem się do ogrodu, gdzie zwarta kępa cyprysowców Leylanda tuż pod oknem salonu zapewniła mi odpowiednią kryjówkę. Drzewa miały cierpki, warzywny zapach, a ich gałęzie pozostawiały na mojej skórze czerwone, swędzące

bąble przypominające pokrzywkę. Byłem jednak osłonięty przed ludzkim wzrokiem i przez niedokładnie zaciągnięte zasłony obserwowałem scenę rozgrywającą się w salonie. I zarejestrowałem wszystko za pomocą aparatu.

Naprawdę tak to było. Przysięgam. Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy. Ale stałem na zewnątrz i słyszałem wszystko, wzajemne oskarżenia, głos pana White'a próbującego uspokoić żonę, uwagi wtrącane przez Feather, histeryczny płacz pani White, nieśmiałe protesty Emily. A może tylko wydawało mi się, że to słyszę - z perspektywy czasu głos pani White coraz bardziej przypomina mi głos mamy, a głosy pozostałych osób tego dramatu rozbrzmiewają w moich wspomnieniach jak słyszane przez szybę akwarium, dudniące bańki dźwięków, rozpryskujące się absurdalnymi sylabami na białym szkle.

Pstrykpstryk. Trzask migawki. Teleobiektyw spoczywa na parapecie, ekspozycja ustawiona na najkrótszą z możliwych. Wiedziałem, że zdjęcia i tak będą nieostre, zamazane, niewyraźne, z kolorami otaczającymi tę scenę jak fosforyzująca poświata wokół ławicy tropikalnych ryb.

Pstrykpstryk.

- Ona musi wrócić do domu! Nie możesz trzymać jej z daleka ode mnie - nie teraz!

Pani White z papierosem w ręku krążyła po pokoju. Brudne włosy spływały jej ciężką falą na plecy, bandaże na okaleczonych nadgarstkach odcinały się nienaturalnie upiorną bielą.

Pstrykpstryk. Ten dźwięk ma smak Bożego Narodzenia o soczyście niebieskim zapachu cyprysowca, zimny jak padający z nieba śnieg, od którego drętwieje całe ciało. Pogoda Królowej Śniegu, pomyślałem, a potem przypomniałem sobie panią Elektryczny Błękit na cuchnącym kapustą targowisku tamtego dnia i stukot jej szpilek w alejce - stuk-stuk-stuk - zupełnie jak odgłos kroków mamy.

- Cathy, proszę cię - powiedział pan White. - Musiałem myśleć o Emily. To nie jest dla niej dobre. Poza tym potrzebowałaś odpoczynku i...

- Nawet się nie waży traktować mnie protekcyjnie, do cholery! - Głos Catherine nabierał coraz wyższych tonów. - Wiem, co próbujesz zrobić. Chcesz się trzymać z daleka ode mnie. Chcesz przeczekać skandal, a kiedy już zwalisz winę na mnie, zaczniesz na tym zarabiać, jak cała reszta...

- Nikt nie próbuje zrzucić na ciebie winy. - Pan White wyciągnął rękę, żeby dotknąć żony, która aż się wzdrygnęła. Ukryty pod oknem też drgnąłem. A Emily stała bezradnie z boku, przyciskając dłoń do ust, chociaż najwyraźniej tylko ja dostrzegąłem jej rozpacz.

Pstryk-pstryk. Czuję to. Czuję dotyk jej palców na wargach. Zupełnie jak muśnięcie skrzydeł motyla. Intymność tego gestu sprawiła, że aż zadrzałem, a serce wezbrało mi czułością.

Emily. E-mi-ly. Wszędzie wokół unosił się zapach róż, drobiny światła padającego przez zasłony znaczyły śnieg gwiezdny pyłem.

Emily. E-mi-ly.

Pstryk-pstryk - niemal czuję, jak dusza opuszcza moje ciało; miliony maleńkich punkcików światła mknących ku zapomnieniu.

Teraz do rozmowy włączyła się Feather, jej przenikliwy głos przewiercał się przez szybę. I znowu przyszła mi na myśl mama i zapach, który zawsze jej towarzyszył: dym papierosowy, a gdzieś pod spodem woń l'Heure Bleue i napoju witaminowego.

Pstryk-pstryk i Feather też została uchwycona na kliszy.

Wyobraziłem sobie, jak tonie, uwięziona w moim aparacie.

- Nikt cię tu nie zapraszał - mówiła. - Nie sądzisz, że dosyć zła już wyrządziłeś?

Przez chwilę miałem wrażenie, że zwraca się do mnie. „Ty mały gnojku”, spodziewałem się teraz usłyszeć. „Nie rozumiesz, że to wszystko twoja wina?”. Może tym razem rzeczywiście tak było, pomyślałem. I może teraz ona też o tym wie.

- Nie uważasz, że wystarczająco upokorzyłeś Cathy tym swoim bękartem mieszkającym w domu obok?

Nastąpiła chwila milczenia, tak lodowatego jak warstwa śnieżnego puchu.

- Co takiego? - odezwał się w końcu pan White.

- A tak - rzuciła triumfalnie Feather. - Catherine wie, my wiemy wszystko. Myślałeś, że ci się upieczę?

- Wcale mi się nie upiekło. - Teraz pan White zwrócił się do żony. - Powiedziałem ci o wszystkim. Powiedziałem ci od razu, że to błąd, za który płacę od dwunastu lat...

- Powiedziałeś mi, że to skończone! - wykrzyknęła Catherine. - Powiedziałeś, że to była koleżanka z pracy, nauczycielka na zastępstwo, która wyprowadziła się z miasta...

Pan White przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa. Zaskoczył mnie jego spokój.

- Tak, to było kłamstwo - powiedział w końcu. - Ale cała reszta to prawda.

Cofnąłem się. Serce gwałtownie szarpnęło mi się w piersi, a oddech rozkwitł wielką, ogromną chmurą. Wiedziałem, że nie powinno mnie tu być, że mamusia na pewno zaczęła się już zastanawiać, gdzie się podziewam. Ale ta scena to było za dużo dla waszego uniżonego sługi. Twój bękart. Ależ ze mnie głupiec.

- Ile jeszcze ludzi o tym wiedziało? - To znowu pani White. - Hu śmiało się ze mnie, podczas gdy ta irlandzka dziwka i jej cholerny bachor...

Przysunąłem się z powrotem do okna. Na policzku czułem dotyk dłoni Emily. Była chłodna, ale serce Emily trzepotało jak wyciągnięta z wody ryba.

- Mamusiu, proszę. Tatusiu...

Tylko jaja słyszałem. Tylko ja wiedziałem, co czuła. Wyciągnąłem rękę i rozcapierzywszy palce na kształt rozgwiazdy, przycisnąłem je do szyby.

- Kto ci o tym powiedział, Cathy? - spytał pan White.

Catherine wydmuchnęła w powietrze chmurę papierosowego dymu.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, Pat? - Jej dłonie poruszały się nerwowo. - Chcesz wiedzieć, kto cię wydał?

Potrząsałem głową. Ja już wiedziałem, kto zdradził jej tę tajemnicę. Teraz rozumiałem, dlaczego tamtego dnia pan White dawał mamie pieniądze, rozumiałem, czemu patrzył na mnie z taką litością, kiedy go spytałem, czy jest moim ojcem.

- Ty hipokryto! - prychnęła w jego stronę pani White. - Udawałeś, że zależy ci na Emily, a tak naprawdę nigdy jej nie chciałeś. Nigdy nie rozumiałeś, jaka jest wyjątkowa i utalentowana...

- Ależ rozumiałem - odparł pan White głosem spokojnym jak zawsze. - Tylko że z powodu tego, co się wydarzyło dwanaście lat temu, pozwoliłem ci na zbyt wiele. Zrobiłaś z naszej córki dziwadło. No cóż, po dzisiejszym pokazie zamierzam położyć temu kres raz na zawsze. Żadnych więcej wywiadów. Żadnej telewizji. Najwyższy czas, żeby Emily miała normalne dzieciństwo, a ty musisz nauczyć się stawiać czoło faktom. To tylko mała niewidoma dziewczynka, która chce zadowolić swoją mamę...

- Ona nie jest zwyczajna! - zawołała pani White. Głos zaczynał jej drżeć. - Jest wyjątkowa! Ma dar! Ja to wiem! Wolałabym widzieć ją martwą, niż gdyby miała być po prostu kolejnym niepełnosprawnym dzieckiem...

W tym momencie ta, o której dyskutowali, zerwała się na równe nogi i zaczęła krzyżeć. Był to rozpaczliwy, przeszywający krzyk, który wzbijał się coraz wyżej, tnąc rzeczywistość z precyzją lasera pozostawiającego po sobie zapach miedzi i gnijących owoców.

Upuściłem aparat.

- Maaaaaa-aaaaaaa-maaa-aaaaaaa!

Przez chwilę stanowiliśmy jedność. Bliźnięta, dwa serca bijące wspólnym rytmem, jedna fala drgań. Przez ułamek sekundy wiedziałem o niej wszystko, tak jak ona o mnie. A potem równie niespodziewanie zapadła cisza. Głos umilkł. Nagle zdałem sobie sprawę z przenikliwego zimna, przecież tkwiłem tu już dobrą godzinę albo dłużej. Nogi mi zdrętwiały, ręce miałem zupełnie zgrabiałe. Łzy spływały mi po twarzy, ale właściwie wcale tego nie czułem.

Nie mogłem złapać tchu. Próbowałem się ruszyć, ale było już za późno. Moje ciało zastygło w bezruchu. Choroba, którą przeszedłem po śmierci Bena, uczyniła mnie słabym i bezradnym. Straciłem zbyt wiele kilogramów w ciągu zbyt krótkiego czasu, mój organizm był wyczerpany.

Zalała mnie fala przerażenia. Mogę tu umrzeć, kołatało mi się w głowie. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Próbowałem krzyknąć, ale nie wydałem z siebie żadnego dźwięku - usta miałem zeszywniałe ze strachu. Z trudem oddychałem, wiedziałem wszystko jak przez mgłę.

„Trzeba było słuchać mamusi, Bren. Ona zawsze wie, kiedy knujesz coś niedobrego. Wie, że zasługujesz na śmierć”.

- Proszę, mamusiu - szepnąłem przez zeszywniałe wargi.

Śnieg wciąż prószy, śnieg i śnieg Śnieg i śnieg...

Ogarnęła mnie cisza. Śnieg tłumił wszystko: dźwięki, światło, odczucia.

Dobra, w takim razie niech umrę, przemknęło mi przez głowę, niech umrę tutaj, pod jej drzwiami. Przynajmniej będę wolny.

Ta myśl okazała się dziwnie ekscytująca. Uwolnić się od mamy - uwolnić od tego wszystkiego - nagle stało się głównym moim pragnieniem. Zapomnijcie o Hawajach, potrzebuję jeszcze tylko chwileczki w śniegu. Jedna chwila i sen. Sen bez nadziei, bez wspomnień.

A potem gdzieś za sobą usłyszałam ten głos.

- Brendan?

Otworzyłem oczy i odwróciłem głowę. Mała Bethan Branigan w swoim czerwonym płaszczyku i czapce z pomponem spoglądała na mnie ponad ogrodowym murem niczym jakaś istota z bajki. Mała Bethan, znana też jako „bękart Patricka z domu obok”, której pochodzenie - utrzymywane przez tyle lat w tajemnicy - stanowiło kartę przetargową mamy.

Tymczasem Bethan przeszła przez mur i stanęła przy mnie ze słowami:

- Bren, wyglądasz strasznie.

Śnieg odebrał mi głos. Znowu spróbowałem się ruszyć, ale stopy miałem jak przymarznięte do ziemi.

- Zaczekaj tutaj. Nic ci nie będzie. - Nawet jako dwunastolatka Bethan doskonale wiedziała, jak sobie radzić w kryzysowych sytuacjach. Usłyszałem, jak biegnie do frontowych drzwi. Zadzwoiła. Ktoś wyszedł na zewnątrz. Śnieg z dachu ganku upadł z głuchym odgłosem na schody.

A potem głos pana White'a wdarł się w mrok.

- O co chodzi, Bethan? Co się stało? Teraz odezwała się Bethan.

- Mój przyjaciel potrzebuje pomocy.

I piskliwy, bliski hysterii głos pani White:

- Patrick! Nie waż się wpuszczać jej do środka!
- Cathy, ktoś znalazł się w tarapatach!
- Ostrzegam cię, Patrick! - cathy, proszę...

W końcu nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Upadłem na kolana, podpierając się rękami. Kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem Emily, stojącą trochę z boku przy drzwiach. Złociste światło wylewało się na nieskalany śnieg. Emily miała na sobie niebieską sukienkę, błękitną jak niebo, jak szaty Maryi, a ja w tej jednej chwili pokochałem ją tak mocno, że z chęcią umarłbym zamiast niej.

- Emily - udało mi się w końcu wykrztusić.

A potem świat skurczył się do jednej drobiny, zimno napłynęło falą, aby mnie pochłonąć, usłyszałem kroki zmierzające w moją stronę, a potem...

Pustka.

Kompletna pustka.

14.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 00:23 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój: wyczerpany

Dziennikarze mają ograniczony zasób słów, których używają wedle określonego klucza. Każdy pożar staje się obojętnie „pożogą”, a blondynka zawsze okazuje się „pełna życia”. Morderstwa są „brutalne”, jakby to odróżniało je od tych bardziej humanitarnych zbrodni. A śmierć dziecka (albo jeszcze lepiej „maleństwa”) to niezmiennie „straszliwa tragedia”.

W tym przypadku było to niemal prawdą - matczyna miłość, wystawiona na zbyt ciężką próbę, przyjaciele, którzy nie zauważyli w porę ewidentnych sygnałów, nieskłonny do pomocy mąż, dziwaczny splot wypadków...

Oczywiście ludzie obwiniali o wszystko media, tak jak w przypadku śmierci Diany. Najwyższy wyraz uznania ze strony brukowców, bycie wymienianym jedynie z imienia, przypada w udziale nielicznym: Jezusowi, rodzinom królewskim, gwiazdom rocka, supermodelkom i małym dziewczynkom,

które zostały porwane lub zamordowane. Nagłówki uwielbiają takie oderwane imiona - te wszystkie Hayley, Mad-die i Jessiki - stwarzające pozory intymności, zapraszające do dzielenia z innymi tej zbiorowej żałoby. Pojawiają się wieńce, figurki aniołków, pluszowe misie, kwiaty ścielące się na ulicach po kolana, no i oczywiście historia życia ofiary przywrócona z otchłani niepamięci w następstwie tej straszliwej tragedii.

Tragedii? No cóż, chyba tak można określić to, co się wydarzyło. Emily miała tyle rzeczy, dla których warto żyć. Talent. Urodę. Pieniądze. Sławę. Wokół tej małej istotki narosło już tyle legend, które po jakimś czasie rozrosły się w coś na kształt niemal kultu. A wielka fala rozpacz, jaka przetoczyła się przez kraj po jej śmierci, przypominała zbiorowy lament, w którym ciągle przewijały się te same pytania: „Dlaczego Emily? Dlaczego nie jakaś inna mała dziewczynka?”

No cóż, ja w każdym razie nigdy jej nie oplakiwałam. Jak pewnie zauważyłby błękitnookichłopic, takie jest życie. Przecież Emily nie była nikim szczególnym, nie różniła się od innych dzieci. Bren sam mi powiedział, że oszukiwała - co zostało pogrzebane razem z nią pod białą płytą nagrobną - ale śmierć uczyniła ją nietykalną, zaledwie krok od świętości. Nikt nie wątpi w słowa anioła. Pozycja Emily pozostanie więc niezachwiana.

Wszyscy znają oficjalną wersję, która właściwie nie potrzebowała upiększeń. Po wieczornym występie w telewizji Emily pojechała wraz z ojcem do rodzinnego domu. Pomiędzy będącymi w separacji małżonkami z nieznanых przyczyn doszło do sprzeczki. Potem zdarzył się jeden z tych wypadków, których nikt nie jest w stanie przewidzieć. Pewien chłopiec z sąsiedztwa zasnął przed domem White'ów. Noc była mroźna, ziemię przykrywała gruba warstwa śniegu.

Chłopiec - który, jak powtarzali ludzie, mógłby umrzeć, gdyby jego mała przyjaciółka nie poprosiła o pomoc - był bardzo wyziębiony. Patrick White zabrał oboje do środka i zaparzył im gorącą herbatę, a gdy Feather wypytywała dwójkę dzieciaków, co w ogóle robili w ogrodzie, Catherine została sam na sam z Emily - po raz pierwszy od wielu miesięcy.

W tym punkcie sytuacja staje się nieco zagmatwana. Może nigdy nie uda się ustalić do końca kolejności wydarzeń tego wieczoru. Feather Dunne niezmiennie twierdziła, że ostatni raz widziała Emily o szóstej, chociaż w opinii ekspertów od kryminalistyki dowody zdawały się wskazywać, że dziewczynka żyła jeszcze około godziny. Brendan Winter, który był świadkiem całej tragedii, powtarzał, że nic nie pamięta.

W każdym razie fakty wyglądają następująco. O szóstej, może o szóstej trzydzieści, kiedy to Patrick White i Feather Dunne zajmowali się Brendanem, Catherine White przygotowała kąpiel, a następnie utopiła w wannie swoją dziewięcioletnią córkę, zanim sama weszła do wody i połknęła opakowanie leków nasennych. Kiedy Patrick wreszcie poszedł ich szukać, znalazł je zwinięte razem w wannie, obsypane gwiazdzistym pyłem z brokatowych kulek do kąpieli.

O tak, byłam tam. Nie chciałam zostawiać Brendana samego. A kiedy znaleźli już Emily, we dwójkę obserwowaliśmy rozgrywającą się w łazience scenę, niewidzialni, jak niewidzialne potrafią być w tak dramatycznych okolicznościach tylko dzieci.

Chwilę to trwało, zanim wszystko zrozumiałam. Najpierw, że Emily nie żyje. A potem, że jej śmierć nie była przypadkowa. Moje wspomnienia stanowią ciąg impresji oglądanych z perspektywy czasu, to zapach truskawkowego żelu do mycia, obrazy nagich ciał odbijających się w łazienkowym lustrze, bezcelowe pawie krzyki Feather, głos Patricka powtarzający: „Oddychaj, maleńka, oddychaj!”.

I Brendan, w milczeniu obserwujący całą scenę oczami, w których wszystko się odbijało.

A w łazience Patrick White próbował przywrócić córkę do życia. „Oddychaj, maleńka, do cholery, oddychaj!” - akcentował każde słowo mocnym uciśnięciem serca martwej Emily, jakby siłą swojego pragnienia mógł przywrócić do życia zepsuty mechanizm. Naciśnięcia stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, aż wreszcie zamieniły się w serię ciosów, kiedy Patrick White stracił panowanie nad sobą i zaczął okładać córkę pięściami, uderzając w jej martwe ciało jak w poduszkę.

Brendan przycisnął dłonie do piersi.

- Oddychaj, maleńka, oddychaj!

Brendan zaczął gwałtownie chwytać powietrze.

- Patrick! - krzyknęła Feather. - Przestań. Ona nie żyje.

- Nie! Nie mogę tego zrobić! Emily! Oddychaj!

Brendan oparł się o drzwi. Jego pobladła twarz lśniła

od potu, oddech stał się szybki i urywany. Oczywiście wiedziałam o jego przypadłości - lustrzanej reakcji, która sprawiała, że krzywił się na widok swojego obtartego kolana i tak, bardzo cierpiał, kiedy jego brat zemdlał w kaplicy szkoły pod wezwaniem świętego Oswalda - ale nigdy nie widziałam go w takim stanie. To trochę jak wudu, pomyślałam, zupełnie jakby Emily go zabijała, chociaż sama była już martwa.

Ale wiedziałam, co muszę zrobić. Całkiem jak w tej bajce, przemknęło mi przez głowę, kiedy chłopcu wpada do oka okruch zwierciadła, tak że od tej pory zaczyna on widzieć wszystko zniekształcone i wykrzywione. „Królowa Śniegu”, tak brzmiał tytuł tej bajki. A ocalić chłopca mogła tylko pewna mała dziewczynka.

Stałam przed Brendanem, zasłaniając mu widok ciała Emily. Teraz to ja odbijałam się w jego oczach, w ich zimo-

wym błękanie. Widziałam siebie, swój czerwony płaszczyk, przycięte równo włosy, zupełnie jak u Emily.

- Bren, to nie twoja wina - powiedziałam.

Gwałtownie wyciągnął przed siebie rękę, żebym się do niego nie zbliżała. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał zemdleć.

- Brendan, popatrz na mnie - rzuciłam, ale tylko zamknął oczy. - Powiedziałam, popatrz na mnie! - Chwyciłam go za ramiona i z całej siły przytrzymałam. Słyszałam, jak walczy o oddech. - Proszę! Po prostu popatrz na mnie i oddychaj!

Przez moment miałam wrażenie, że go straciłam. Jego powieki zatrzepotały, nogi się pod nim ugięły, a potem oboje osunęliśmy się na drzwi. Ale po chwili Brendan otworzył wreszcie oczy, w których nie widziałam już Emily. Była w nich tylko moja twarz, odbijająca się w miniaturze. Moja twarz i jego oczy. Otchłań jego oczu.

Trzymałam go na długość ramion i oddychałam, po prostu oddychałam, spokojny wdech i wydech, aż wreszcie jego oddech też zwolnił, stopniowo dostosowując się do mojego, a twarz zaczęła odzyskiwać kolory. Z oczu popłynęły mi łzy - jemu też - kiedy pomyślałam znowu o bajce, w której łzy małej dziewczynki roztopiły odłamek zwierciadła, wyzwalając chłopca spod władzy Królowej Śniegu. A potem ogarnęła mnie fala szalonej radości.

Uratowałam Brendana. Uratowałam mu życie.

Teraz to ja odbijałam się w jego oczach.

Przez chwilę widziałam w nich siebie, niczym pyłek uwięziony we łzie. A potem Brendan odepchnął mnie i powiedział:

- Emily nie żyje. To powinnaś być ty.

15.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 00:40 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój: intensywny

Tak naprawdę nie pamiętam wiele z tego, co się działo potem. Tylko tyle, że biegłam przez śnieg i wywróciłam się na ścieżce, że widziałam orła, którego odcisnął w śniegu przy drzwiach Brendan. Pobiegłam do swojego pokoju i padłam na łóżko pod wizerunkiem umęczonego Jezusa. Nie mam pojęcia, jak długo tak leżałam. Byłam martwa, istota pozbawiona głosu. W myślach ciągle wracałam do tego, że Bren wybrał ją, nie mnie, że pomimo tego wszystkiego, co dla niego zrobiłam, Emily i tak mnie pokonała.

A potem usłyszałam muzykę.

Może dlatego teraz tak jej unikam. Przywołuje zbyt wiele wspomnień. Niektóre należą do mnie, inne do Emily, a część do nas obu. Może to właśnie muzyka przywróciła mnie tamtego dnia do życia. Pierwsze takty „Symfonii fantastycznej”, dobiegające z wnętrza auta - ciemnoniebieskiej toyoty sedan zaparkowanej na podjeździe domu White'ów - tak głośno,

że aż zadrżały szyby w oknach, niczym serce gotowe zaraz pęknąć.

Do tej pory karetka zdążyła już odjechać. Feather musiała się nią zabrać. Tego wieczoru mama była zajęta do późna - chodziło o coś związanego z kościołem, tak mi się wydaje. Bren też gdzieś zniknął, a światła w domu państwa White'ów były pogaszone. A potem napłynęła do mnie ta fala muzyki, niczym czarny wiatr mający wyważyć wszystkie zamknięte na cztery spusty drzwi na świecie. Zerwałam się z łóżka, chwyciłam płaszcz i wyszłam z domu. Silnik samochodu pracował, a od rury wydechowej do okna kierowcy biegł gumowy wąż. Za kierownicą siedział w milczeniu ojciec Emily - nie płakał, nie rozpaczał, po prostu tam siedział, słuchając muzyki i wpatrując się w noc.

Wyglądał niczym zjawa. Tak jak i ja. Moja blada twarz widziana w szybie samochodu stanowiła odbicie jego twarzy. Muzyka wokół niego coraz bardziej przybierała na sile. Pamiętam to szczególnie wyraźnie, ustęp z Berlioza, który ciągle mnie prześladowuje, i śnieg pokrywający wszystko grubą warstwą.

Wtedy pomyślałam, że on też się za to obwinia; myśli, że gdyby sprawy ułożyły się inaczej, może zdołałby ocalić Emily. Gdyby nie wpuścił mnie do środka, gdyby zostawił Brendana na mrozie, gdyby ktoś inny znalazł się na jej miejscu...

„Emily nie żyje. To powinnaś być ty”.

I wreszcie chyba zrozumiałam. Już wiedziałam, jak ocalić nas oboje. Może uda mi się uczynić z tego moją historię, nie Emily. Historię dziewczynki, która umarła i jakimś cudem zdołała powrócić zza grobu. Nie myślałam wtedy o zemście - jeszcze nie. Nie chciałam odbierać jej życia. Pragnęłam jedynie móc zacząć wszystko od nowa, z czystą kartą, i nigdy więcej nie myśleć już o tej dziewczynce, dziewczynce, która widziała i słyszała za wiele.

Patrick White wpatrywał się we mnie bez słowa. Wcześniej zdjął okulary, bez których wyglądał na zagubionego i zdeorientowanego. Jego pozbawione szkieł oczy miały jasny - i zaskakująco znajomy - odcień błękitu. Wczoraj był czyimś tatą, kimś, kto czytał córeczce bajki, bawił się z nią w różne gry, całował ją na dobranoc; wydawał się potrzebny i kochany - a teraz? Był nikim. Wyrzutkiem, statystą, zupełnie jak ja. Porzucony na śmietniku, podczas gdy życie toczyło się dalej gdzie indziej, bez nas.

Nacisnęłam klamkę i wsunęłam się na siedzenie za fotelem kierowcy. Powietrze wewnątrz auta było ciepłe, pachniało drogą, asfaltem autostrad. Kiedy otwierałam drzwi samochodu, koniec gumowego węża wciśniętego na rurę wydechową wypadł.

Muzyka umilkła, silnik zgasł. Patrick White nadal wpatrywał się we mnie bez słowa. Chyba nie mógł wydobyć z siebie głosu, ale jego wzrok powiedział mi wszystko, co trzeba.

Zatrzasnęłam drzwi i powiedziałam.

- Ruszajmy, tato.

Odjechaliśmy w milczeniu.

16.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopic.

Wpis zamieszczony o: 01:09 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój: skruszony

Słucham: „The Final Cut” Pink Floyd

Nie, nie był to mój moment chwały. Nie myślcie, że jestem dumny z tego, co powiedziałem. Na swoją obronę dodam tylko, że tamtego dnia wiele wycierpiałem, a cierpienie ma to do siebie, że rozchodzi się jak kręgi na powierzchni wody, kiedy wrzucić do niej kamień...

„To powinnaś być ty”. Tak, właśnie tak powiedziałem. Wtedy nawet tak myślałem. No bo czy komuś by jej w ogóle brakowało? Jaką funkcję pełniła mała Bethan Brannigan w tej grze? Emily White była wyjątkowa, była darem, a Bethan była nikim. I właśnie dlatego nawet kiedy zniknęła, przegrała w tym wyścigu do miana „Wiadomość dnia”, wyprzedzona tuż przed metą, przyćmiona żalobą po odejściu Emily.

Nagłówki z pierwszych stron gazet krzyczały: EMILY UTOPIŁA SIĘ W WANNIE! TAJEMNICZA ŚMIERĆ CU-DOWNEGO DZIECKA.

W obliczu tak doniosłych wydarzeń wszystko inne musiało zejść na drugi plan. „Zaginiecie miejscowej dziewczynki” trafiło ledwie na szóstą stronę. Nawet matka Bethan czekała aż do rana ze zgłoszeniem jej zniknięcia na policji.

Niewiele pamiętam z tego, co się działo potem. Jakoś dotarłem do domu, tyle wiem na pewno. Mama od razu zauważyła moje zdenerwowanie i zapakowała mnie do łóżka, skąd miałem się nie ruszać. Ból głowy, skurcze żołądka, gorączka. W końcu zjawili się policjanci, ale w takim stanie nie mogłem im wiele powiedzieć. A co do pana White'a, policja potrzebowała czterdziestu ośmiu godzin, żeby się zorientować, że on także zniknął.

Do tej pory oczywiście po uciekinierach zagiął wszelki ślad. Trop dawno ostygł. I dlaczego, zastanawiali się wszyscy, Patrick White miałby porwać dziecko, które ledwie znał? Feather ujawniła jednak motyw, potwierdzony następnie przez panią Brannigan. Wiadomość, że Bethan była córką Patricka, zapewniła tej historii tak bardzo potrzebny dopływ paliwa, a polowanie na zaginioną dziewczynkę i jej ojca rozpoczęło się na nowo.

Samochód Patricka znaleziono na poboczu drogi siedemdziesiąt pięć kilometrów na północ od Hull. Brązowe włosy zebrane z tylnego siedzenia potwierdziły, że Bethan była w aucie, chociaż oczywiście nie sposób było ustalić, kiedy się tam znajdowała. Tymczasem bankowe potwierdzenia jasno dowodziły, że Patrick White opróżnia swoje konto oszczędnościowe. A potem, po trzech wypłatach w wysokości dziesięciu tysięcy funtów każda, finansowy trop urwał się równie gwałtownie. Patrick korzystał teraz z gotówki, która jest tak przyjemnie nie do namierzenia. Policja otrzymała informację, że jakiegoś mężczyznę z dziewczynką widziano w Bath. Po dwóch tygodniach zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań w całym mieście uznano jednak te pogłoski

za głupi żart. Podobne doniesienia, tym razem z Londynu, okazały się równie niewiarygodne, apel pani Brannigan do społeczeństwa też na niewiele się zdał.

Niemal trzy miesiące później, z braku wystarczających dowodów przeciwko podobnej tezie, ludzie zaczęli się zastanawiać, czy oszalały w wyniku tragedii Patrick nie powtórzył sceny morderstwa połączonego z samobójstwem. Przeszukiwano stawy, sprawdzano każde urwisko. W prasie Bethan osiągnęła już status osoby wymienianej tylko z imienia, co często poprzedza straszliwe odkrycie. W kościołach Malbry palono świece w intencji „aniołka Beth, Bóg cię kocha” i tak dalej. Pani Brannigan urządziła nawet serię spotkań modlitewnych, Maureen Pike zorganizowała kiermasz dobroczynny. A jednak Wszechmocny milczał. Teraz dziennikarze podtrzymywali zainteresowanie tą historią jedynie dzięki spekulacjom, tej naczelnej zasadzie, która utrzymuje przy życiu pismaków na całym świecie, istnemu perpetuum mobile mogącemu działać praktycznie w nieskończoność (patrz śmierć Diany - minęło dwanaście lat, a ona nadal gości na pierwszych stronach gazet) albo wyłączanemu jednym pstryknięciem pod wpływem kaprysu widzów. Upadek Bethan był gwałtowny. Ścięta róża szybko traci aromat. Historyjka BETH NADAL NIEODNALEZIONA to żadna sensacja. Mijały miesiące, wreszcie upłynął rok. W okrągłą rocznicę jej zaginięcia w kościele w Malbry zorganizowano czuwanie przy świecach. A tymczasem u pani Brannigan zdiagnozowano ziarnicę złośliwą, jakby los nie doświadczył jeszcze wystarczająco tej nieszczęsnej kobiety. To ożywiło gazety, przynajmniej na jakiś czas - MATKA ZAGINIONEJ BETH MA RAKA - ale wszyscy wiedzieli, że ta historia jest martwa jak pokryty odleżynami pacjent, czekający na kogoś, kto odważy się wreszcie odłączyć aparaturę podtrzymującą życie.

I właśnie wtedy ich odnaleziono. Zupełnie przypadkiem, w jakiejś zapadłej dziurze na prowincji. Do szpitala przywieziono mężczyznę po udarze mózgu. Chory odmówił podania nazwiska, ale towarzysząca mu dziewczynka powiedziała, że mężczyzna nazywa się Patrick White, a ona jest jego córką i ma na imię Emily.

„Szczęśliwy traf!”, rozpisywały się gazety, zawsze mające w pogotowiu odpowiedni frazes. Ale sama historia nie była już taka prosta. Bethan Brannigan zaginęła półtora roku wcześniej. Przez większość tego czasu mieszkała razem z Patrickiem w odciętej od świata szkockiej wiosce, gdzie ojciec uczył ją w domu i nikt się nie domyślał, że ten uwielbiający książki mężczyzna i jego córeczka mogą być kimś innym, niż się to na pierwszy rzut oka wydawało.

A dziewczynka - nieśmiała, małomówna czternastolatka, która upierała się, że ma na imię Emily - tak bardzo różniła się od Bethan Brannigan, że nawet jej matka, przykuta do łóżka w ostatnim stadium choroby, miała wątpliwości przy identyfikacji.

Owszem, były pewne podobieństwa. Kolor włosów i oczu się zgadzał, ale dziewczynka pięknie grała na fortepianie, chociaż w domu nigdy się tego nie uczyła, mówiła do Patricka „tato” i twierdziła, że nie pamięta absolutnie niczego z życia, jakie wiodła jeszcze osiemnaście miesięcy temu.

Gazety miały wreszcie używanie. Oczywiście najczęściej powtarzały się pogłoski o molestowaniu seksualnym, chociaż nie było żadnych przesłanek przemawiających za tą tezę. Potem zaczęły się pojawiać teorie spiskowe, które w okrojonej wersji trafiły do wszystkich dzienników. I w końcu nastąpił prawdziwy wysyp najrozmaitszych hipotez, od podejrzeń o opętanie po uproszczone diagnozy psychicznego przeniesienia, schizofrenii i syndromu sztokholmskiego.

Nasza tabloidalna kultura preferuje proste rozwiązania. Krótkie historie, zamknięte sprawy. A ta okazała się długa, poplątana i niezrozumiała. Sześć tygodni śledztwa, a Bethan nadal się nie otworzyła, natomiast przebywający w szpitalu Patrick White nie mógł czy też nie chciał mówić.

Tymczasem pani Brannigan - ciągle wymieniana w brukowcach jako „mama Bethan” - niestety wyzionęła ducha, co pozwoliło gazetom po raz kolejny nadużyć słowa „tragedia”, ale oznaczało również, że Bethan nie miała już nikogo więcej na świecie poza człowiekiem, do którego zwracała się „tato”.

Prawdziwym szokiem musiała być dla niej wiadomość, że Patrick White to naprawdę jej ojciec. Niewątpliwie ta sprawa została źle rozegrana, no a potem doktor Peacock pogorszył jeszcze sytuację, zmieniając testament na korzyść dziewczynki, jakby to mogło wymazać przeszłość i odegnąć ducha Emily.

To musiało być dla biedaczki bardzo trudne. Z pewnością całe lata zajęło jej odzyskanie choćby namiastki normalności. Umieszczona w pogotowiu opiekuńczym, a potem w rodzinie zastępczej, nauczyła się udawać to, czego tak naprawdę nie czuła. Jej przybrani rodzice, Jeff i Tracey Jones, mieszkali na osiedlu w Białym Mieście. Zawsze chcieli mieć córkę. Ale kiedy Jeff za dużo wypił, przestawał być taki życzliwy, a Tracey, która zawsze marzyła o małej dziewczynce na swój obraz i podobieństwo, nie dostrzegała nic z siebie w tej milczącej, posępnej nastolatce. Wyciszona, ukrywająca wszelkie emocje Bethan znalazła swój sposób radzenia sobie z rzeczywistością. Nadal widać bliźny z tamtych początkowych lat, srebrzyste linie biegnące od ramion w dół pod warstwą kremu i ozdób.

Kiedy się z nią rozmawia, patrzy na nią, nie można pozbyć się wrażenia, że to gra, że Bethan, podobnie jak Albertyna,

stanowi jedynie kolejny z jej awatarów, tarczę osłaniającą ją przed światem, w którym nie ma nic pewnego.

Nigdy nic im nie powiedziała. Uznali, że wyparła wszystkie wspomnienia. Oczywiście ja nie dałem się nabrać, a jej ostatnie posty dobitnie potwierdzają, że miałem rację. Jednak milczenie Bethan zapewniło panu White'owi wolność - zarzuty przeciwko niemu zostały po cichu wycofane. I chociaż plotkarki z Malbry nigdy się nie wyzbyły najgorszych podejrzeń, ojcu i córce pozwolono wreszcie wrócić do w miarę normalnego życia.

Upłynęło wiele lat, zanim zobaczyłem ją ponownie. Do tego czasu podobnie jak ja zdążyła się stać kimś zupełnie innym. Spotkaliśmy się niemal jak dwoje nieznajomych. Nie wspominaliśmy o przeszłości, kiedy zjawialiśmy się co tydzień na tych samych zajęciach z twórczego pisania, a potem ona wśliznęła się do mojego życia, żeby znaleźć słaby punkt, w który mogłaby uderzyć.

Myślicie, że to jej groziło niebezpieczeństwo z mojej strony? Obawiam się, że było dokładnie na odwrót. Mówiłem wam przecież, że nie mógłbym nawet tknąć jej palcem. W świecie fikcji mogę robić, co mi się żywnie podoba, ale w prawdziwym życiu jestem zmuszony zginać kark przed tymi, którzy budzą we mnie nienawiść i pogardę.

Chociaż już nie na długo. Moja lista śmierci z każdym dniem staje się coraz krótsza. Tricia Goldblum, Eleanor Vine, Graham Peacock, Feather Dunne. Rywale, wrogowie, pasożyty - wszystkich dosięgła usłużna ręka losu. Cóż, los, przeznaczenie, czy jakkolwiek zechcecie nazwać tę siłę. Rzecz w tym, że to nigdy nie jest moja wina. Ja tylko notuję słowa.

Nie da się zmienić tego, co zapisane.

Ale to chyba nie do końca tak, prawda? Życzyć wrogowi śmierci, choćby w najmisterniej skonstruowanych fantazjach,

to nie to samo, co odebrać mu życie. Może to jest właśnie mój prawdziwy dar, nie synestezja, która przysporzyła mi tyle cierpień, ale właśnie to: umiejętność zniszczenia słowem tych, którzy mnie obrazili.

Czy już odgadłaś, czego od ciebie chcę, Albertyno? Wiesz, to naprawdę bardzo proste. Jak już wspomniałem, robiłaś to wcześniej. Granicę między słowem a czynem wyznacza wykonanie.

Wyrok też można wykonać. „Wykonać”. Interesujące słowo, z jego kłującymi zimozielonymi sylabami, kryjące w sobie tę dziwną słodycz symfonii, wykonywanej przez orkiestrę. Zupełnie jakby katem miał być nie zakapturzony mężczyzna, ale jakaś miła skrzypaczka.

Naprawdę nie odgadłaś jeszcze, co dla mnie zrobisz? Och, Albertyno. Mam ci powiedzieć? Po tym wszystkim, czego do tej pory dokonałaś, przez co razem przeszliśmy? Wybierz kartę, dowolną kartę.

Zabijesz moją matkę.

CZĘŚĆ SZÓSTA

ZIELEŃ

1.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec, piszący na:

Niegrzecznychlopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 01:39 w piątek, 22 lutego

Status: publiczny

Nastrój: paskudny

Słucham: „I Will Survive” Glorii Gaynor

Zmieniała nazwisko tyle razy, a ludzie nadal nazywali ją Gloria Green. Jej zdaniem imiona i nazwiska są niczym nalepki na walizkach albo mapy, które mają pokazać wszystkim, gdzie się było i dokąd się zmierza, przynajmniej we własnym mniemaniu. Gloria nigdy nigdzie nie wyjeżdżała. Krążyła tylko po okolicy jak pies ścigający własny ogon, żeby potem biec na oślep z powrotem do siebie i rozpocząć całą tę grę pozorów od nowa.

Ale imiona i nazwiska są prorocze. Słowa mają ogromną moc, obracane w ustach jak cukierki, znaczenia ukryte jedno w drugim. Gloria zawsze była dobra w krzyżówkach, akronimach i grach słownych. To talent, który przekazała synom, chociaż tylko jeden z nich zdaje sobie z tego sprawę. Poza tym Gloria darzy ogromnym szacunkiem książki, chociaż

sama nigdy nie czytuje literatury pięknej, pozostawiając takie rzeczy swojemu średniemu synowi, który mimo jąkania jest bystrzejszy, niż ona kiedykolwiek będzie - może nawet zbyt bystry, żeby wyszło mu to na dobre.

Jego imię znaczy w języku Anglosasów „ognisty”, a matka, chociaż bardzo z niego dumna, wie też, że jej syn potrafi być niebezpieczny. Ma w sobie coś, co pozostaje zamknięte na świat zewnętrzny, pewną niezgodę na postrzeganie rzeczywistości taką, jaka ona jest. Pani Brannigan, nauczycielka z Abbey Road, mówi, że chłopiec z tego wyrośnie, dodając przy tym, że może gdyby Gloria częściej bywała na niedzielnych mszach, jej syn nie sprawiałby tylu kłopotów. Ale jeśli chodzi o matkę błękitnookiegochłopca, pani Brannigan zwyczajnie gada głupoty. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje jej syn, jest kolejna porcja bajek.

Ciekawe, jak ułożyłyby się sprawy, gdyby Peter Winter nie umarł. Czy coś by to zmieniło, gdyby w chaotycznym życiu błękitnookiegochłopca i jego braci był obecny ojciec? Gdyby nie ominęły ich wszystkie te mecze piłki nożnej, krykietowe rozgrywki w parku, wspólne klejenie modeli samolotów, zabawa kolejką czy smażenie bekonu na śniadanie?

Ale nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Peter był pasożytem, grubym, leniwym darmozjadem, który jedynie umiał wydawać pieniądze Glorii. Najlepsza rzecz, jaką mógł zrobić, to umrzeć i zostawić ją samą, a nawet do tego potrzebował pomocy. Ale nikt nie porzuca tak po prostu Glorii Green. Na dodatek, ku jej zaskoczeniu, firma ubezpieczeniowa zdecydowała się wypłacić pieniądze z polisy, a wszystko okazało się w ostatecznym rozrachunku takie proste - wystarczyło lekko zacisnąć kciuk i palec wskazujący na rurce, jeszcze kiedy Peter leżał w szpitalu.

Teraz jednak Gloria zastanawia się, czy to nie był błąd. Błękitnookichłopiec potrzebował ojca. Kogoś, kto zrobił-

by z nim porządek. Nauczył go dyscypliny. Ale Peter nie poradziłby sobie z trzema chłopcami, by nie wspomnieć już o tym utalentowanym. Jego następcą, pan Błękitno-oki, w ogóle nie wchodził w grę. Natomiast Patrick White, wręcz idealny kandydat na ojca we wszystkich aspektach poza jednym, niestety, był już zajęty, łagodny artysta, który popełnił błąd...

Wyrzuty sumienia uczyniły go bezbronny, a szantaż przekonał do hojności. Dzięki rozsądnemu połączeniu obu tych rzeczy Patrick White okazał się doskonałym źródłem dochodów na całe lata. Znalazł pani Green pracę, pomagał jej, a Gloria nigdy nie winiła go za to, że w końcu ją zwolnił. Nie, to była wina jego żony, z tymi jej świecami i porcelanowymi lalkami, kiedy więc wreszcie nadarzyła się okazja odplacenia pani White pięknym za nadobne, Gloria nie wahała się zdradzić jej tak długo skrywanej tajemnicy, zapoczątkowując w ten sposób cały łańcuch zdarzeń, który miał doprowadzić do morderstwa i samobójstwa.

Ale niezależnie od swojego pochodzenia błękitnookichłopiec jest inny. Może dlatego że odczuwa wszystko intensywniej. Może właśnie z tego powodu tak często śni na jawie. Bóg jeden wie, że próbowała go chronić. Starła się przekonać wszystkich, że jest zbyt nudny, aby go krzywdzić. Ale błękitnookichłopiec sam szuka cierpienia jak świnia ryjąca w ziemi w poszukiwaniu trufli, więc Glorii nie pozostaje nic innego, tylko dotrzymywać mu kroku, naprawiać jego błędy i sprzątać bałagan, który po sobie zostawił.

Gloria pamięta zwłaszcza pewien dzień spędzony nad morzem, kiedy chłopcy byli jeszcze mali. Nigel włóczył się gdzieś samopas. Benjamin miał cztery lata, a błękitnookichłopiec prawie siedem. Obaj jedli lody, ale błękitnookichłopiec twierdził, że jego nie smakują tak, jak powinny, zupełnie jakby samo obserwowanie brata liżącego swoją porcję odbierało im właściwy smak.

Błękitnookichłopic jest wrażliwy. Do tej pory zdążyła przekonać się o tym aż za dobrze. Klaps wymierzony któremuś z pozostałych synów wywołuje u niego wzdrygnięcie, widok kraba w wiaderku przyprawia go o lzy. To zupełnie jak jakieś wudu, które budzi jednocześnie okrutną i współczującą stronę jej natury, bo jak on sobie poradzi w życiu, skoro nie potrafi się zmierzyć z rzeczywistością?

- Musisz pamiętać, że to tylko na niby- rzuca ostrzej, niż zamierzała. A on wpatruje się okrągłymi błękitnymi oczami w swoją mamusię, trzymającą na rękach jego młodszego brata, podczas gdy zawartość wiaderka u jej stóp zaczyna już cuchnąć.

- Nie baw się tym - mówi Gloria synkowi. - To paskudztwo.

Błękitnookichłopic tylko na nią patrzy, ocierając lody z ust. On wie, że martwe rzeczy są paskudne, ale nadal nie potrafi odwrócić wzroku. Gloria czuje ukłucie irytacji. I co niby ma teraz zrobić z tym cholerstwem, które zebrał?

- Nie trzeba było ich łapać, jeżeli nie chciałeś, żeby umarły.

Zobacz, zdenerwowałeś brata.

Tak naprawdę mały Ben jest całkowicie pochłonięty kończeniem swojej porcji lodów, co wprawia ją w jeszcze większą złość (choć sama wie, że to irracjonalne), ponieważ właśnie on powinien być tym wrażliwym - ostatecznie jest najmłodszy. Błękitnookichłopic ma się nim opiekować, zamiast robić tyle zamieszania, myśli sobie Gloria.

Ale błękitnookichłopic to szczególny przypadek, patologicznie wręcz wrażliwy, a wszystkie jej starania o to, żeby go zahartować i nauczyć dbania o własne interesy, jakimś cudem spęzły na niczym, więc w ostatecznym rozrachunku to ona musi zawsze otaczać go opieką.

Maureen uważa, że z jego strony to gra. Typowe średnie dziecko, powtarza wyniosłym tonem. Zazdrosne, nadąsa-

ne, walczące o uwagę rodzica. Eleanor podziela jej opinię, Catherine White natomiast sądzi, że w tym chłopcu jest coś więcej. Catherine lubi wciągać Brena w rozmowy, więc Gloria przestaje zabierać go ze sobą. Teraz do pracy towarzyszy jej zwykle Benjamin, który tak ładnie bawi się zabawkami i nigdy jej nie przeszkadza.

- To nie moja wina - broni się błękitnookichłopiec. -Ja nie wiedziałem, że one umrą.

- Wszystko umiera - rzuca gniewnie Gloria, a jego oczy natychmiast wypełniają się łzami. Chłopak wygląda, jakby miał zaraz zemdleć.

Jakaś jej częśćka pragnie go pocieszyć, ale Gloria wie, jak niebezpiecznie jest pobłażać podobnym słabościom. Gdyby teraz skupiła na nim uwagę, popełniłaby ogromny błąd. Jej synowie muszą być silni, powtarza sobie. Jak inaczej zdołają się nią zaopiekować w przyszłości?

- Pozbądź się tego paskudztwa - mówi błękitnookiemu chłopcu, ruchem głowy wskazując błękitne wiaderko.

- Wyrzuć z powrotem do morza czy coś takiego.

Syn potrząsa głową.

- N-nie chcę. To śmierdzi.

- Lepiej mnie słuchaj, bo, jak mi Bóg miły, zapłacisz zato.

Błękitnookichłopiec spogląda na wiaderko. Pięć godzin w palącym słońcu spowodowało szybką fermentację jego zawartości. Warzywny zapach słonej wody i ryb zmienił się w duszący smród, który przyprawia go o mdłości.

Błękitnookichłopiec zaczyna bezradnie chlipać.

- Proszę, mamusiu...

- Nie mazgaj mi się tu!

Teraz jego młodszy braciszek także zaczyna płakać. Wysocki, rozdrażniony, lodowaty krzyk. Gloria zwraca się przeciwko nieszczęśliwemu średniemu synowi.

- Popatrz, co narobiłeś - mówi. - Jakbym nie miała już do-
syć problemów.

Potem wyciąga rękę, żeby wymierzyć mu policzek. Na no-
gach ma sandały na korkowej podeszwie. Kiedy przysuwa się
bliżej, żeby uderzyć syna, przewraca błękitne wiaderko, któ-
rego zawartość łąduje na jej stopie.

Dla Glorii to ostatnia kropla przepelniająca czarę. Wy-
puszcza Benjamina z objęć i chwytą błękitnookiego chłopca
obiema rękami. Ten próbuje uciekać, ale mama jest zbyt sil-
na, jej żylaste ramiona są jak imadło, kiedy wczepia mu palce
we włosy i powoli, centymetr po centymetrze, ciągnie jego
głowę w dół, a potem wciska mu twarz w piasek i w tę ohyd-
ną, pienistą mieszaninę martwych ryb i syntetycznego olejku
kokosowego. Topiące się lody spływają mu po nadgarstku i
kapią na brązowy piasek, jednak błękitnookichłopiec nie ma
odwagi wypuścić ich z ręki, bo jeśli to zrobi, matka na pewno
go zabije, tak samo jak on zabił te żyjątka z plaży, te kraby i
maleńkie fladry o pyszczkach rozwartych szeroko jak otwór
skrzynki na listy. Ze wszystkich sił próbuje wstrzymać od-
dech, ale w ustach i w oczach ma pełno piasku, kiedy wymio-
tuje z płaczem. Mama wrzeszczy:

- Połknij to, ty mały gnojku, tak jak połknąłeś swojego
brata!

I nagle koniec. Gloria zwalnia uścisk, zastanawiając się, co
ją opętało. Dzieciaki potrafią doprowadzić człowieka do sza-
łu, wiadomo, ale co ona sobie, u licha, myślała?

- Wstań - mówi do syna.

Błękitnookichłopiec z trudem podnosi się z ziemi, ciągle
ściskając w ręku rozek z roztopionymi lodami. Twarz ma
brudną od piasku i wymiocin, z nosa kapie mu krew. Ociera
ją wolną ręką, wpatrując się przy tym w mamę oczami, w
których wzbierają łzy.

- Nie ma co się mazgać - mówi Gloria. - Nikomu nie stała się krzywda. A teraz dokończ cholerne lody.

Dodaj komentarz

Albertyna: (post usunięty)

blekitnookichlopiec: Wiem. Mnie też zwykle brak słów...

2.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 01:45 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój: niepewny

Nareszcie jakaś wersja prawdy. Czemu zadawał sobie tyle trudu na tym etapie gry? Musi wiedzieć, że już za późno, żeby się wycofać. Oboje odkryliśmy karty. Czyżby znowu próbował mnie sprowokować? A może liczy na współczucie?

Przez ostatnie dwa dni oboje siedzieliśmy w domu, złożeni identycznym atakiem wymyślonej grypy. Clair pisze mi w e-mailu, że Brendan nie chodzi do pracy. Zebra też była zamknięta przez te dwa dni. Nie chciałam, żeby tu zaglądał. Przynajmniej dopóki nie będę gotowa.

Dziś wieczorem wróciłam tu po raz ostatni. Nie mogę spać we własnym łóżku. Mój dom jest zbyt odsłonięty. Tak łatwo go podpalić, zaaranżować wyciek gazu, jakiś nieszczęśliwy wypadek. Nie musiałby nawet patrzeć. W Zebrze będzie mu trudniej, bo lokal jest położony przy głównej ulicy, a na dachu znajdują się kamery ochrony, chociaż to już właściwie

bez znaczenia. Samochód załadowany, rzeczy spakowane. Mogę wyruszyć w każdej chwili.

Myślicie, że zostanę i będę z nim walczyć? Obawiam się, że nie jestem typem wojowniczką. Przez całe życie uciekałam od problemów, a teraz już za późno, żeby to zmieniać. Ale to dziwne uczucie opuszczać Zebry po tak długim czasie. Dziwne i smutne. Będę tęsknić za tą kafejką, ale przede wszystkim będę tęsknić za osobą, którą byłam, kiedy tu pracowałam. Nawet Nigel tylko po części rozumiał sens istnienia tego ko-goś, myślał, że prawdziwa Bethan to ktoś inny.

Prawdziwa Bethan? Nie rozśmieszajcie mnie. Wewnątrz rosyjskich matrioszek nie ma nic poza malowanymi buziąmi. A jednak to było dobre miejsce, bezpieczne. Parkuję samochód koło kościoła, a potem idę opustoszałą ulicą do kawiarni. Większość domów jest o tej porze pogrążona w mroku, niczym kwiaty zamykające swoje kielichy na noc. Ale neon nad wejściem do Zebry odcina się wyraźnie w ciemnościach, zasypując śnieg płatkami światła. To takie miłe uczucie wracać do domu, choćby tylko na chwilę.

Czeka tam na mnie prezent. Orchidea w doniczce, z doczepionym bilecikiem: *Dla Albertyny*. Sam je hoduje, tak mi powiedział. Jakoś mi to nawet do niego pasuje.

Wchodzę do środka i od razu loguję się na portalu. Oczywiście nadal jest online.

Mam nadzieję, że podobała ci się orchidea, pisze.

Nie zamierzałam mu odpisywać. Obiecałam sobie, że tego nie zrobię. Ale ostatecznie co mi teraz szkodzi?

Jest piękna, wystukuję na klawiaturze.

To prawda. Kwiat ma zielony kielich o fioletowej gardzieli, niczym jakiś trujący gatunek ptaka. A pachnie zupełnie jak hiacynty, tyle że słodziej, bardziej pudrowo.

Oczywiście on już wie, że tu jestem. Podejrzewam, że właśnie dlatego przysłał mi tę orchideę. Ale wiem, że nie może wyjść

wcześniej niż jak zwykle, za kwadrans piąta, żeby nie wzbudzić podejrzeń matki. Jeśli teraz wróci do domu, zaczną się pytania, a błękitnookichłopiec zrobiłby wszystko, byle ich uniknąć. Tym sposobem jestem bezpieczna przynajmniej do 4:30.

To Zygotetalum, Brilliant Blue. Jedna z odmian pachnących. Spróbuj jej nie wykończyć, dobrze? Och, a tak przy okazji, co myślisz o mojej historii?

Myślę, że jesteś pokrecony, odpisuję. Odpowiada mi emotikonem, jedną z tych żółtych uśmiechniętych buziek. Dlaczego opowiadasz wszystkie te rzeczy?, pytam.

Bo chcę, żebyś zrozumiała. Jego głos brzmi w mojej głowie tak wyraźnie, jakby błękitnookichłopiec był tu ze mną. Nie da się odwrócić morderstwa, Beth.

Sam wiesz o tym najlepiej, odpisuję natychmiast.

Znowu znajomy emotikon.

Chyba powinienem potraktować to jako komplement, pisze. Ale wiesz przecież, że to tylko fikcja. Nie potrafiłbym zrobić wszystkich tych rzeczy, tak jak nie umiałbym pierwszy cisnąć kamieniem. A przy okazji, nadgarstek nadal mnie boli. Chyba miałem szczęście, że to nie była głowa.

Co on mi próbuje wmówić? Ze to tylko zbieg okoliczności? Eleanor, doktor Peacock, Nigel - wszyscy jego wrogowie zmieceni z powierzchni ziemi za sprawą szczęśliwego trafu?

No cóż, nie do końca, odpisuje błękitnookichłopiec. Ktoś inny działa w moim imieniu.

Kto?

Przez dłuższy czas nie odpowiada. W mojej skrzynce odbiorczej nie ma nic nowego, tylko ten mały kwadracik kursora mruga cierpliwie. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy błękitnookichłopiec nie stracił połączenia z Internetem. A może to ja powinnam się ponownie zalogować. A potem, kiedy już mam zrezygnować, przychodzi e-mail.

Naprawdę nie wiesz, kogo mam na myśli?

Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Kolejna przerwa. A potem dostaję automatyczną wiadomość z portalu: „Ktoś właśnie zamieścił wpis na Niegrzecznicłopcyrządzą!” - i dwa słowa:

Przeczytaj to.

3.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 01:53 w piątek, 22 lutego

Status: publiczny

Nastrój: wygłodniały

Słucham: „She's Not There” The Zombies

On mówi o niej panna Kameleonowy Biękit. Wy możecie nazywać ją Albertyną. Albo Bethan, a nawet Emily. Jakiekolwiek imię wybierze, ona i tak nie będzie miała swojej barwy. Niczym kameleon przystosowuje się do sytuacji. I pragnie być dla mężczyzn wszystkim: wybawicielką, kochanką, nemezis. Daje im to, czego pragną. Daje to, czego jej zdaniem potrzebują. Lubi gotować i w ten sposób zaspokaja swoją potrzebę opiekiowania się nimi. Zna wszystkie ich ulubione potrawy, wie, kiedy dodać śmietanki, a kiedy nie, wyczuwa ich pragnienia, zanim oni sami zdadzą z nich sobie sprawę.

I właśnie dlatego blekitnookichłopiec jej unika. Blekitnookichłopiec był dawniej gruby i mimo upływu dwudziestu lat wie, jak łatwo przyszloby mu stać się tamtym chłopcem

z przeszłości. Panna Kameleonowa zna go aż za dobrze, jego lęki, marzenia i pragnienia. A przecież niektóre z nich powinny pozostać niezaspokojone. Nawet spojrzenie wprost na nie pociągnęłoby za sobą konsekwencje najgorsze z możliwych. Dlatego on wykorzystuje szereg luster, niczym Perseusz patrzący na Gorgone. I bezpiecznie ukryty za przyciemnianą szybą obserwuje, czeka, cierpliwie wyczekuje odpowiedniej chwili.

Niektórzy ludzie są stworzeni do tego, by obserwować, doskonale o tym wie.

Niektórzy ludzie są niczym lustro, zrodzeni do tego, by odbijać życie.

Niektórzy ludzie są bronią, zostali wytrenowani po to, by zabijać.

Czy lustro wybiera sobie, co będzie odbijać? Czy broń wybiera swoją ofiarę? Ale panna Kameleon nie zdaje sobie z tego sprawy. Nigdy nie grzeszyła pomysłowością, nawet kiedy była dzieckiem. Spójrzmy prawdzie w oczy, ona prawie wcale nie ma wspomnień. Nie ma też pojęcia, kim tak naprawdę jest, i każdego dnia zmienia rolę, którą będzie odgrywać. Ale próbuje wyrzucić na nim wrażenie, odcisnąć swoje piętno.

Wrażenie. Impresja. Impresjonista. Iluzjonista. Cóż za interesujący ciąg skojarzeń. Wzbudzić podziw, wyrazić swoje zdanie, zostawić po sobie ślad. Ktoś, kto maluje obrazy jedynie przy użyciu drobnych plamek światła. Ktoś, kto wciąż na nowo zmienia skórę. I stwarza iluzje - za pomocą dymu i luster, przepowiedni i marzeń.

Tak, marzeń. Właśnie tam się wszystko zaczyna. W marzeniach, fikcji, fantazji. A domeną błękitnookiegochłopca jest fantazja, jego terytorium - cyberprzestrzeń. Miejsce na każdą pogodę, każdy smaczek, każdy odcień pragnienia. Pragnienie tworzy swój własny wszechświat albo przynaj-

mniej tak jest tutaj, na Niegrzecznychłopcyrządzą. Ta nazwa jest tak przyjemnie niejednoznaczna - to wyspa, na którą trafiają pokutnicy wyrzuceni przez morze - czy też przystań dla złoczyńców z całego świata, gdzie można wreszcie dać upust swoim perwersyjnym upodobaniom?

Tu każdy ma coś do ukrycia. Dla jednego będzie to własna bezradność, tchórzostwo, lęk przed światem. Dla kogoś innego, na przykład dla praworządnej obywatelki z odpowiedzialną pracą, cudownym domem i mężem równie mdłym jak margaryna z niską zawartością tłuszczu, będzie to głęboko skrywana ochota na czerwone mięso, na pełnych problemów, niegrzecznych, niebezpiecznych chłopców. Dla kogoś jeszcze innego, dajmy na to dla kobiety marzącej o szczupłej sylwetce, będzie to fakt, że tak naprawdę jej nadwaga stanowi jedynie wymówkę, zbudowaną z tłuszczu tarczę broniącą przed światem, który w każdej chwili może ją pożreć. A dla kogoś będzie to dziewczynka, którą zabił w dniu, kiedy roztrzaskał swój motocykl, ośmiolatka przechodząca przez ulicę w drodze do szkoły akurat w momencie, kiedy wyjeżdżał zza zakrętu z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, ciągle jeszcze naprany po poprzedniej nocy. Potem, kiedy motocykl wpada w poślizg i uderza w mur, on myśli sobie: „Dobra, stary, koniec gry” - tyle że gra toczy się dalej, więc w momencie, gdy czuje, jak jego kręgosłup trzaska niczym suchy patyk, zauważa but leżący bokiem na asfalcie i dziwi się mgliście, kto u licha wyrzuca zupełnie dobry but. Dopiero potem dostrzega jej ciało. I nawet dwadzieścia lat później jest to jedyna rzecz, jaką widzi, obraz, który ciągle nawiedza go w snach z tą straszną wyrazistością. Nienawidzi więc siebie, nienawidzi całego świata, ale najbardziej nienawidzi tego okropnego, pieprzonego współczucia.

A błękitnookichłopic? No cóż, podobnie jak reszta plemienia, nie jest do końca tym, kim się wydaje. Ciągle

im to powtarza, ale im bardziej się przy tym upiera, tym bardziej są gotowi uwierzyć w kłamstwo.

„Nigdy nikogo nie zamordowałem”. Oczywiście nie powiedziałby prawdy. Dlatego właśnie afiszuje się w sieci ze swoimi najnikczemniejszymi pragnieniami niczym paw dumnie prezentujący swój ogon w trakcie tańca godowego. Pozostali podziwiają jego uczciwość. Kochają go za szczerość. Błękitnookichłopiec wciela w życie to, o czym inni ludzie mają odwagę jedynie pomarzyć; awatar, ikona straconego plemienia, od którego nawet Bóg się odwrócił.

A co z panną Kameleon?, spytacie. Błękitnookichłopiec nie przyjaźni się z nią zbyt blisko, ale czasem ją widuje, nawet jeśli tylko sporadycznie. Łączy ich wspólna przeszłość, chociaż nie zostało tego dosyć, żeby go poruszyć, przykuć jego uwagę. Ale gdy zaczyna ją poznawać na nowo, czuje coraz większe zainteresowanie. Kiedyś uważał ją za bezbarwną. A tak naprawdę ona po prostu łatwo się przystosowuje. Przez całe życie uczyła się, zbierała rozmaite ideologie, chociaż nie ma dotąd własnych poglądów. Ale wskażcie jej sprawę, dajcie sztandar, a ofiaruje wam swoje oddanie.

Najpierw podążała za Jezusem i modliła się o anielskiego przewodnika. Potem za chłopcem, który uczył ją całkiem innej ewangelii, a kiedy miała dwanaście lat, poszła za szaleńcem prosto w śnieżną zamięć wyłącznie z powodu jego błękitnych oczu. Teraz zaś podążała za błękitnookimchłopcem, tak jak cała reszta jego małej armii myszy, nie pragnąc niczego więcej, tylko tańczyć, jak on im zagra, przez całą drogę, aż do zapomnienia.

Spotykają się ponownie na zajęciach z twórczego pisania, kiedy ona ma zaledwie piętnaście lat. To nie tyle warsztaty pisarskie, ile rodzaj terapii, którą zalecił jej psycholog jako sposób na nauczenie się lepszego wyrażania swoich emocji. Błękitnookichłopiec uczestniczy w nich głównie po to,

żeby poprawić styl, którego zawsze się wstydził, a także dlatego, że nauczył się już wykorzystywać urok fikcyjnego morderstwa.

Zna pewną kobietę z miasteczka. Nazywają panią Elektryczny Błękit. Kobieta ma tyle lat, że mogłaby być jego matką, więc to dosyć obrzydliwe. Nie żeby wiedział na pewno, co jej chodzi po głowie. Ale pani Elektryczny Błękit cieszy się sławą wielbicielki uroków miłych młodych mężczyzn, a błękitno-okichłopiec jest taki niewinny - przynajmniej w temacie miłości. Miły młodzieniec koło dwudziestki, który pracuje w sklepie elektrycznym, żeby opłacić naukę w college'u. Taki szczupły w tym swoim drelichowym kombinezonie, może nic szczególnego, ale i tak niebo a ziemia w porównaniu z takim grubym chłopakiem, którym był zaledwie parę lat temu.

Nasza bohaterka mimo swojej młodości jest znacznie bardziej obyta. Ostatecznie musiała już tyle znieść w życiu. Śmierć matki, udar ojca, piekielny blask sławy. Trafiła pod kuratelę pracowników opieki społecznej, mieszka z rodziną zastępczą na jednym z osiedli Białego Miasta. Mężczyzna jest hydraulikiem, a jego brzydka żona wiele razy bezskutecznie próbowała zająć w ciążę. Oboje są zagorzałymi zwolennikami monarchii, w ich domu jest pełno wizerunków księżnej Walli: artystycznych zdjęć i obrazków namalowanych według gotowego wzoru akrylem na tanim płótnie. Panna Kameleon ich nie znosi, ale nic nie mówi na ten temat, jak zawsze. Zdążyła się już nauczyć, że milczenie popłaca, lepiej pozwolić mówić innym. To odpowiada jej nowym opiekunom. A nasza bohaterka jest grzeczną małą dziewczynką. Oczywiście powinni być mądrzejsi, powinni się już nauczyć, że to właśnie grzecznych małych dziewczynek trzeba się wystrzegać.

Mężczyzna, którego dla naszych potrzeb będziemy nazywać Dieslowskim Błękitem, a który jakieś pięć czy sześć lat

później zginie razem z żoną w pożarze domu, lubi ucho-
dzić za człowieka rodzinnego, nazywa więc przybraną córkę
księżniczką, a w weekendy zabiera ją ze sobą do pracy. Panna
Kameleon nosi za nim wielką torbę z narzędziami i cierpliwie
czeka, podczas gdy on gawędzi z kolejnymi zmęczonymi pa-
niami domu i ich nieco agresywnymi mężami, którzy wszyscy
co do jednego uważają, że hydraulicy to prawdziwi zdziercy,
a oni sami, gdyby tylko zechcieli, bez trudu naprawiliby ten
kran, wymienili uszczelkę czy zainstalowali nowy podgrze-
wacz wody.

Tylko te idiotyczne przepisy bhp ich przed tym powstrzy-
mują, więc dlatego są tacy rozdrażnieni i pełni urazy, pod-
czas gdy ich kobiety przygotowują herbatę, częstują fachowca
ciasteczkami i próbują rozmawiać z milczącą dziewczynką,
która rzadko odpowiada, a jeszcze rzadziej się uśmiecha i
tylko siedzi tak w tej swojej za dużej bluzie zakrywającej
większą część ciała, z drobnymi dłońmi wystającymi z ręk-
awów niczym zwiedle pączki róż, zasłoną ciemnych włosów i
twarzą pustą jak buzia porcelanowej lalki.

To podczas jednej z takich wizyt w którymś z domów w
miasteczku nasza bohaterka poznaje tajemną rozkosz zabój-
stwa. Oczywiście nie jest to jej pomysł - podchwyciła go od
błękitnookiegochłopca na warsztatach twórczego pisania.
Panna Kameleon nie ma własnego stylu. Jej twórcze próby
ograniczają się wyłącznie do naśladownictwa. Jego obecność
na tych zajęciach to jedyny powód, dla którego jeszcze tam
chodzi, w nadziei, że pewnego dnia on znowu ją zobaczy, że
jego oczy napotkają jej wzrok i tak już pozostaną, jak zahip-
notyzowane, pozbawione odbicia innych ludzi, które mogło-
by zmać mu koncentrację.

On nazywa tę kobietę panią Elektryczny Błękit...

Doskonałe posunięcie, błękitnookichłopcze. Tożsamość i
imiona bohaterów tej historii zostały zmienione, aby chronić

niewinnych. Ale panna Kameleon ją rozpoznaje, pamięta jej dom z wcześniejszych wizyt. Zresztą zna jej reputację, wie o jej słabości do młodych mężczyzn i odrażającym związku ze starszym bratem naszego bohatera w przeszłości. Panna Kameleon uważają za godną pożałowania, a kiedy kilka dni później kobieta ginie w pożarze we własnym domu, dziewczynka nie znajduje w sobie nawet odrobiny współczucia. Właściwie to niewiele ją to obchodzi.

Niektórzy lubią igrać z ogniem. Inni zasługują na śmierć. Ale co ów nieszczęśliwy wypadek mógłby mieć wspólnego z tą grzeczną dziewczynką, która tak spokojnie i cierpliwie czeka przy kominku na ojca naprawiającego rury?

Początkowo błękitnookichłopic niczego się nie domyśla. Ot, po prostu przeznaczenie. Ale z czasem, kiedy jego wrogowie chwieją się i padają po każdym naciśnięciu klawisza, zaczyna dostrzegać pewien schemat, wyraźny niczym kwiatowy wzór tapety w salonie jego matki.

Elektryczny Błękit. Dieslowski Błękit. Nawet biedna pani Chemiczny Błękit, która przypieczętowała swój los tym, że pragnęła, aby wszystko było takie porządne i czyste, poczynając od tego porządnego, czystego chłopca z grupy terapeutycznej jej grubej siostrzenicy.

A doktor Peacock, którego jedyną zbrodnią było to, że znalazł się pod opieką naszego bohatera? Umysł staruszka nie funkcjonował już prawidłowo, a wózek inwalidzki doktora tak łatwo było zepchnąć z prowizorycznego podjazdu, aby następnego ranka znaleziono biedaka z szeroko otwartymi oczami i ustami wykrzywionymi w grymasie. I jeśli błękitnookichłopic w ogóle coś czuje, to jest to pierwszy promyk nadziei.

Może to zasługa mojego anioła stróża, myśli sobie. Albo czystego przypadku.

Dlaczego ona to robi? - nie przestaje się zastanawiać. Czyżby chciała chronić jego niewinność? Przyjąć na siebie jego winę i uczynić ją swoją? A może próbuje tylko przyciągnąć jego uwagę? Czy to dlatego że uważa się za kata, wymierzającego światu sprawiedliwość? A może to z powodu tamtej małej dziewczynki, której tak ochoczo odebrała życie? Albo dlatego, że bycie kimś innym to dla niej jedyny sposób na istnienie? Czy też dlatego, że tak jak błękitno-okichłopiec nie ma innego wyboru i musi jak w zwierciadle, odbijać otaczających ją ludzi?

Mimo wszystko w ostatecznym rozrachunku to nie jego wina. On tylko daje jej to, czego ona pragnie, nic więcej. A jeśli ona pragnie być winna, cóż robić? Albo jeśli pragnie zbrodni?

To oczywiste, że on nie jest za to wszystko odpowiedzialny. Nigdy jej nie mówił, co ma robić. A jednak nie potrafi się pozbyć wrażenia, że ona chce czegoś więcej. Wyczuwa jej niecierpliwość. Te kobiety, myśli sobie. Zawsze takie same. I te ich oczekiwania. A przecież wiadomo, że to się skończy łzami, jak zwykle.

Chociaż błękitnookichłopiec nie może przecież winić tej dziewczyny za to, co chodzi jej teraz po głowie. Ostatecznie sam ją stworzył, uformował z tej zabójczej gliny. Przez lata była jego golemem, a teraz po prostu niewolnik zapragnął wolności.

Ciekawe, jak się do tego zabierze. Tak łatwo przecież o nieszczęśliwy wypadek. Może to będzie trucizna wrzucona do jego drinka? Banalny wyciek gazu? Wypadek samochodowy? Pożar? A może coś bardziej wyrafinowanego, powiedzmy igła zanurzona w jądzie rzadkiej odmiany południowoamerykańskiej orchidei albo skorpion umieszczony w koszyku z owocami? Cokolwiek to będzie, błękitnookichłopiec spodziewa się czegoś naprawdę wyjątkowego.

Tylko czy zauważy, że ta chwila właśnie się zbliża? Czy będzie miał czas, aby spojrzeć jej w oczy? A kiedy ona będzie się już wpatrywać w otchłań, co tam dostrzeże?

Dodaj komentarz

JennyTricks: MYŚLISZ, ŻE JESTEŚ TAKI SPRYTNY? bleitnooki-chłopiec: Nie podobała ci się moja historyjka? Czemu mnie to nie dziwi?

JennyTricks: CHŁOPCY, KTÓRZY IGRAJĄ Z OGNIEM, ŁATWO MOGĄ SIĘ POPARZYĆ, bleitnookichłopiec: Dziękuję, Jenny. Postaram się zapamiętać...

4.

Autorem tego bloga jest Albertyna.

Wpis zamieszczony o: 02:37 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój : wściekły

Nazwał mnie golemem! Jakie to nienawistnie trafne. Golem to wedle legendy istota stworzona ze słowa i gliny, pozbawiony głosu niewolnik bez żadnego celu poza wykonywaniem poleceń swego pana. Ale w jednej z wersji tej historii niewolnik się buntuje - wiedziałeś o tym, błękitnokichłopcze? - i zwraca się przeciwko własnemu twórcy. Tylko co było dalej? Nie pamiętam. Ale wiem, że nie skończyło się to dobrze.

Czy on rzeczywiście tak o mnie myśli? Zawsze był zarożumiały. Już w dzieciństwie, kiedy wszyscy nim pogardzali, miał w sobie tę arogancję, to niegasnące przekonanie, że jest wyjątkowy, przeznaczony do wielkich rzeczy. Może to wina jego matki. Gloria Green i te jej kolory. Nie, nie próbuję go bronić. Ale jest coś nienormalnego w pomysle, że chłopców można posegregować jak pranie, że kolor może uczynić człowieka złym albo dobrym, i że każdą zbrodnię da się wyprać, a potem rozwiesić na sznurze do wyschnięcia.

Cóż za ironia losu, prawda? On nienawidzi swojej matki, a jednak nie potrafi tak po prostu odejść. Zamiast tego szuka więc ucieczki gdzie indziej. Od lat żyje niemal wyłącznie we własnej głowie. No i ma swojego golema, żeby wykonywał za niego całą brudną robotę, uformowanego pod konkretne wymagania.

Oczywiście kłamie. To tylko fikcja. A on próbuje przełamać moją linię obrony. Wie, że moja oporna pamięć przypomina zepsuty projektor, niezdolny przetworzyć więcej niż jeden slajd naraz. Relacja błękitnookiego chłopca z wydarzeń jest zawsze znacznie lepsza od mojej, obraz w wysokiej rozdzielczości w porównaniu z moim ziarnistym czarno-białym zdjęciem. Tak, byłam dezorientowana i pełna nienawiści. Ale nigdy nie stałam się morderczynią.

Oczywiście, wiedział o tym od samego początku. Po prostu się ze mnie naigrawa. Ale potrafi też być bardzo przekonujący. I kłamał już wcześniej policji, oczerniając innych, żeby ukryć własną winę. Zastanawiam się, czy teraz oskarży też i mnie. Czy znalazł coś w mieszkaniu Nigela albo w Domu z Kominkiem, co mógłby przedstawić jako dowód? Czy próbuje grać na zwłokę, wciągając mnie w rozmowę? A może bawi się w pikadora i drażni mnie, żebym zrobiła jakiś ruch?

Chłopcy, którzy igrają z ogniem, łatwo mogą się poparzyć.

Sama lepiej bym tego nie ujęła. Jeśli tak to sobie zaplanował, żeby mnie zbić z tropu, to stąpa po bardzo cienkim lodzie. Wiem, że powinnam go teraz zignorować, po prostu wsiąść w samochód i odjechać, ale trawi mnie gniew. Grałam w te jego gierki o wiele za długo. Wszyscy to robiliśmy, cierpliwie znosząc jego kaprysy. On nie jest w stanie znieść widoku fizycznego bólu, ale rozkoszuje się cudzym cierpieniem psychicznym. Dlaczego mu na to pozwalamy? - nie

przestaję zadawać sobie tego pytania. Czemu nikt się jeszcze nie zbuntował przeciw niemu?

Przed chwilą przyszedł e-mail. Odebrałam go na swojej komórce.

Temat: codzienna pielęgnacja orchidei.

Byłbym ci wdzięczny, gdybyś pod moją nieobecność zaopiekowała się orchideami. Większość storczyków preferuje ciepłe, wilgotne środowisko z dala od bezpośredniego światła słonecznego. Podlewać oszczędnie, nie zalewając korzeni. Dziękuję.

Aloha

blękitnookichłopic

Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Czyżby spodziewał się, że ucieknę jak ostatni tchórz? Szczerze mówiąc, nie sądzę. Już bardziej prawdopodobne jest to, że się mną bawi, próbuje uspić moją czujność. Jego orchidea stoi na tylnym siedzeniu mojego auta, bezpiecznie ulokowana między dwoma pudłami. Sama nie wiem dlaczego, ale nie chcę jej zostawiać. Wygląda tak nieszkodliwie z tymi kilkoma małymi kwiatkami.

A potem nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Napływa razem z zapachem orchidei, tak jasny, tak piękny jak promień światła pośród kłębow dymu.

To się musi kiedyś skończyć, nie rozumiecie? Podążałam za nim o wiele za długo, niczym kalekie dziecko za szczurołapem z legendy. To on mnie taką uczynił. Tańczyłam, jak mi zagrał. Moje ciało to mapa poznaczona bliznami i śladami tego, co mi zrobił. Ale teraz widzę go takim, jaki naprawdę jest; to chłopic, który tak często ostrzegał przed wielkim, złym wilkiem, aż wreszcie ktoś mu uwierzył...

Znam jego codzienne przyzwyczajenia równie dobrze jak własne. Wyruszy z domu za kwadrans piąta, jak zwykle udając, że jedzie do pracy. Jestem pewna, że właśnie wtedy wykona swój ruch. Nie zdoła oprzeć się pokusie zajrzenia do Różowej Zebry z jej ciepłym, zapraszającym światłem i zobaczenia mnie samej i bezbronnej niczym ćma uwięziona wewnątrz latarni.

Będzie jechał swoim autem, niebieskim peugeotem. Wybierze trasę przez Mili Road, zaparkuje koło kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych, gdzie śnieg został już uprzątnięty. Rozejrzy się po opustoszałej ulicy, a potem ruszy do Zebry, cały czas trzymając się w cieniu budynku. Wewnątrz lokalu radio będzie grało na tyle głośno, by zagłuszyć odgłos jego wejścia. Dzisiaj nie będzie to stacja z muzyką klasyczną, chociaż wcale jej się nie boję. Ten lęk należał do Emily. Teraz nawet „Symfonia fantastyczna” nie ma nade mną władzy.

Drzwi od kuchni będą zamknięte jedynie na zatrask. Naprawdę łatwo je otworzyć. Potem jeszcze szybki rzut oka na neon, tak jak on to robi, na te migające słowa „Różowa Zebra” z ich widmowym zapachem gazu.

Widzicie? Znam jego słabości. Wykorzystuję teraz przeciwko niemu jego własny dar przejęty od brata. A kiedy uderzy go w nozdrza prawdziwy zapach, pomyśli, że to po prostu złudzenie, tak jak było już tyle razy wcześniej - przynajmniej dopóki nie wejdzie do środka i nie pozwoli, aby drzwi się za nim zamknęły.

Troszkę przy nich pomajstrowałam. Od wewnątrz nie da się obrócić gałki. A gaz będzie się ulatniał już od wielu godzin. O piątej wystarczy jedna iskra, żeby doszło do wybuchu: naciśnięcie przełącznika światła, pstryknięcie zapalniczki, sygnał telefonu komórkowego.

Oczywiście mnie tam nie będzie, żebym mogła to zobaczyć. Dawno zdąży już zniknąć. Ale w komórce mam dostęp

do Internetu i znam numer błękitnookiego chłopca. Oczywiście to on będzie musiał podjąć decyzję o wejściu do kawiarni. Ofiara sama wybiera swój los. Nikt nikogo nie zmusza, żeby tam wchodził, nikt nie ponosi za to odpowiedzialności.

Może kiedy on już przestanie żyć, wreszcie będę wolna. Wolna od jego pragnień, które odzwierciedlają moje własne. Co się dzieje z odbiciem, kiedy lustro się rozbije? Co się dzieje z błyskawicą po skończonej burzy? Prawdziwe życie jest pozbawione sensu, tylko fikcja ma znaczenie. A ja od tak dawna żyję w świecie fikcji, po prostu jestem bohaterką jednej z jego opowieści. Ciekawe, czy postaci fikcyjne buntują się kiedykolwiek przeciwko swoim twórcom?

Mam tylko nadzieję, że koniec nie nastąpi zbyt szybko. Że błękitnookichłopiec zdąży jeszcze zrozumieć. Że kiedy wejdzie na oślep w moją pułapkę, będzie miał chwilę czy dwie, żeby krzyknąć, spróbować walki albo ucieczki, uderzyć pięściami w drzwi i w końcu pomyśleć o mnie, o golemie, który zwrócił się przeciwko swojemu panu.

5.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopic.

Wpis zamieszczony o: 04:16 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój: optymistyczny

Słucham: „Breakfast In America” Supertramp

Żadnego spania dzisiaj. Zbyt wiele snów. Niektórzy śnią w technikolorze, inni tylko w czerni i bieli. Ale dla mnie sny to totalne zanurzenie, dźwięki, zapachy, doznania zmysłowe. Czasem budzę się nocą zlany potem, czasem nie śpię w ogóle. W takich sytuacjach pociechą bywa Internet, w sieci zawsze znajdę kogoś, kto też nie śpi. Czaty, strony fanklubów, blogi, pornosy. Ale dzisiaj brakuje mi mojej listy przyjaciół, mojego małego chóru popiskujących myszek. Dzisiaj chciałbym usłyszeć: „Jesteś super, błękitnookichłopcze”.

A więc znalazłem się tutaj, z powrotem na Niegrzecznicłopcyrządzą, żeby obserwować podstępna Albertynę. Zaszła tak daleko - jestem z niej naprawdę dumny - a jednak nadal czuje potrzebę wyznania grzechów jak grzeczna mała katoliczka z przeszłości. Od jakiegoś czasu znam jej hasło. Tak naprawdę łatwo się było tego dowiedzieć. Wystarczył jeden

lekkomyślny ruch, otwarte konto pozostawione na laptopie, kiedy ktoś nalewa sobie herbatę, i nagle ów ktoś może czytać jej prywatne posty.

Sprawdzasz pocztę, Albertyno? Moja skrzynka jest zapechana wiadomościami, żalonym pochlipywaniem Kapitana, nieśmiały mi zaczepkami Chryssie. Od Toksycznego trochę pornografii ściągniętej ze strony Bigjugs.com. Od Clair jeden z jej memów, razem z nudnym, kretyńskim postem na temat Anielskiego Błękitu i jego zdzirowatej żony, stanu umysłowego mojej matki oraz wspaniałych postępów, jakie jej zdaniem poczyniłem swoim ostatnim publicznym wyznaniem.

Dalej już zwyczajowe reklamy, parę pełnych jadu e-maili, trochę spamu składającego się głównie z niegramatycznie napisanych listów z Nigerii z obietnicą wpłaty milionów funtów na moje konto, jeśli tylko podam swoje namiary, oferty sprzedaży viagry, seksu, intymnych filmików wideo z nastoletnimi gwiazdkami - w skrócie cały ten chłam spływający z sieci, ale dzisiaj z radością przyjmuję nawet te bzdury, bo to właśnie jest moje życie, mój świat i gdyby odciąć mnie od tego wszystkiego, zginąłbym w powietrzu jak ryba wyciągnięta z wody.

O czwartej słyszę, jak wstaje mamusia. Ostatnio ona też nie sypia zbyt dobrze. Czasami przesiaduje w salonie, oglądając telewizję satelitarną, czasem krząta się po domu, a czasem idzie na spacer po okolicy. Lubi być na nogach, kiedy wychodzę do pracy. Zawsze przygotowuje mi śniadanie.

Wybieram z szafy czystą koszulę - dzisiaj białą w niebieskie prążki - i ubieram się ze szczególną starannością. Wygląd stanowi dla mnie powód do dumy. Tak jest bezpieczniej, powtarzam sobie, zwłaszcza kiedy mama patrzy. Oczywiście nie potrzebuję tej białej koszuli - mój szpitalny strój składał się z wybrudzonego granatowego kombinezonu, wysokich skórzanych butów z obitymi blaszką czubkami i pary grubych

rękawic - ale Gloria nie musi przecież o tym wiedzieć. Jest taka dumna ze swojego błękitnookiego chłopca. A gdyby kiedykolwiek poznała prawdę?

-B.B.!Toty?- woła.

A kto inny mógłby to być, mamusiu?

- Pospiesz się! Przygotowałam ci śniadanie!

Chyba dzisiaj mam u niej specjalne względy. Bekon, jajka, cynamonowa grzanka. Właściwie nie jestem głodny, jednak muszę ją trochę udobruchać. Jutro o tej porze będę jadł śniadanie w Ameryce.

Obserwuje mnie, kiedy zmiatam wszystko z talerza.

- Grzeczny chłopiec. Musisz mieć dużo siły.

Jej dobry nastrój budzi we mnie niepokój. Po pierwsze, mama jest całkowicie ubrana, zdążyła zamienić swój zwyczajowy szlafrok na tweedowy kostium i buty z krokodylęj skórki. Pachnie też ulubionymi perfumami, l'Heure Bleue, o pudrowym zapachu kwiatów pomarańczy i goździków, z tą drżącą srebrzystą nutą głowy, która przytłacza wszystko inne. Najdziwniejsze okazuje się jednak to, że mama jest - jak by to określić? Nie mogę powiedzieć „szczęśliwa”. Wjej wypadku takie ulotne chwile można by policzyć na palcach jednej ręki. Ale w jej zachowaniu czuje się pewną radość, coś, czego nie zauważyłem u niej od śmierci Bena. Właściwie to wręcz ironia losu. W każdym razie wkrótce będzie po wszystkim.

- Nie zapomnij o swoim napoju - dodaje.

Tym razem to dla mnie wręcz przyjemność. Napój smakuje dziś odrobinę lepiej, może dlatego że został przygotowany ze świeżych owoców. Poza tym pojawił się w nim nowy składnik - borówki, może czarna porzeczką - który nadaje całości z lekka garbnikowy posmak.

- Zmieniłam recepturę - wyjaśnia matka.

- Mmm, pyszne - odpowiadam.

- Czujesz się dziś lepiej?

- W porządku, mamusiu.

Lepiej niż w porządku. Nawet nie boli mnie głowa.

- To miło z ich strony, że dali ci wolne.

- No cóż, to przecież szpital. Nie mogę przynosić zarasków do pracy.

Mama przyznaje mi słuszność. Przez ostatnich kilka dni walczyłem z atakiem grypy. No cóż, taka jest przynajmniej oficjalna wersja. Tak naprawdę byłem zajęty czym innym, co bez wątpienia doceniacie.

- Na pewno dobrze się czujesz? Jesteś trochę blady.

- Zimą każdy jest blady, mamusiu.

-

6.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 04:33 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój: podekscytowany

Słucham: „Here Comes the Sun” Beatlesów

Bilety kupiłem przez Internet. Przy rezerwacji online dostaje się zniżkę. Poza tym można zdecydować, gdzie się chce siedzieć, zamówić sobie posiłek, a nawet wydrukować kartę pokładową. Wybrałem miejsce przy oknie, przez które będę mógł obserwować oddalającą się ziemię. Nigdy wcześniej nie leciałem samolotem. Nigdy nawet nie jechałem pociągiem. Bilety okazały się dosyć drogie, tak mi się wydawało, ale karta kredytowa Albertyny jakoś to wytrzyma. Zdobyłem jej dane rok temu, kiedy Albertyna kupowała jakieś książki w Amazonie. Oczywiście wtedy dysponowała skromniejszymi funduszami, teraz jednak, dzięki spadkowi doktora Peacocka, ma dosyć pieniędzy na co najmniej kilka miesięcy. A kiedy już się zorientuje - jeśli w ogóle tak się stanie - cała sprawa będzie praktycznie nie do wytropienia.

Nie zabieram ze sobą zbyt wielu *rzeczy*. Tylko teczkę z papierami, trochę gotówki, iPoda, zmianę ubrania, zapasową koszulę. Nie, tym razem już nie błękitną. Ta jest w pomarańczowe i różowe palmy. Kiepski kamuflaż, ale zaczekajcie, aż dotrę na miejsce. Bez trudu wtopię się w tłum.

Loguję się w sieci po raz ostatni, tak na szczęście, zanim wyruszę w drogę. Po prostu chcę przeczytać wiadomości, sprawdzić, kto jeszcze nie spał tej nocy, upewnić się, że nie ma żadnych niespodzianek, przekonać się, kto mnie kocha, a kto mi życzy śmierci.

Nic ciekawego.

- Co ty tam robisz na górze? - woła matka.

- Jeszcze chwileczkę, mamusiu, zaraz schodzę.

Pora na jeszcze jeden e-mail - na adres albertine@yahoo.com - zanim będę gotów do drogi. W południe będę już siedział w samolocie, oglądając telewizję i popijając szampana. Angielski *champain* czyta się jak *sham pain*, „pozorny ból”. Jak gdyby jakiegokolwiek doznanie rzeczywiście mogło nie być prawdziwe. W żołądku czuję musujące bąbelki podekscytowania, oddech niemal sprawia mi ból. Poświęcam chwilę, żeby się odprężyć, skoncentrować myśli na błękitnie. Błękit księżycy, błękit laguny, oceanu, wyspy, Hawajów. Kolor niewinności, kolor moich marzeń.

7.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopic, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrządza

Wpis zamieszczony o: 04:45 w piątek, 22 lutego

Status: publiczny

Nastrój: niespokojny

Słucham: „Don't Stop Me Now” Queen

Musiąła zdjąć buty. W ogóle jej nie usłyszał. Pierwsze, co dotarło do jego uszu, to trzask zamykanych drzwi i szcęk klucza przekręcanego w zamku.

Klik!

- Mamusiu?

Żadnej odpowiedzi. Błękitnookichłopic podchodzi do drzwi. Klucze miał w kieszeni płaszcza. Musiåła je wyjąć, kiedy wrócił na górę. Drzwi są z sosnowych desek, zamek firmy Yale. Błękitnookichłopic zawsze cenił sobie prywatność.

- Mamusiu? Proszę, odezwij się.

Jedynie ta ciężka cisza, zupełnie jakby znalazł się pod grubą warstwą śniegu. A potem odgłos kroków matki, wycofującej się ostrożnie po pokrytych wykładziną schodach.

Czyżby się domyśliła? Jak dużo wie? Błękitnookichłopiec czuje lodowaty dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Do jego głosu wkrada się drżenie, wspomnienie tamtego jąkania, którego, jak sądził, już na dobre zdołał się pozbyć.

- Proszę, mamusiu!

W fikcyjnym świecie nasz bohater wyważyłby drzwi, a gdyby mu się to nie udało, wyskoczyłby oknem i wylądował bezpiecznie na ziemi. W prawdziwym życiu drzwi są nie do pokonania, w przeciwieństwie do błękitnookiegochłopca, niestety, czego bez wątplenia dowiódłby skok z okna, po którym nasz bohater bez wątplenia leżałby w agonii na lodowatym betonie przed domem.

Znalazł się w pułapce. Teraz nie ma już żadnych wątpliwości. Cokolwiek planuje matka, on nie zdoła temu zapobiec. Słyszy ją krzątającą się na dole, a potem kroki w holu, stukot obcasów na wyfroterowanym parkiecie. I brzęk kluczy. Matka dokąś wychodzi.

- Mamusiu! - W jego głosie słychać teraz rozpacz. - Nie zabieraj samochodu! Błagam!

Gloria rzadko korzysta z auta, ale dzisiaj na pewno to zrobi. Od skrzyżowania Mili Road i AU Saints dzieli ich zaledwie kilka ulic, jednak mama potrafi być czasem taka niecierpliwa - a poza tym wie, że tamta dziewczyna na niego czeka, ta wytatuowana Irlandka, która złamała serce jej chłopczykowi.

Skąd się dowiedziała, co planował? Może z jego komórki, pozostawionej na stoliku w holu. Cóż za głupota zostawić telefon tak na widoku. Nic łatwiejszego niż przejrzeć zawartość jego skrzynki odbiorczej, przeczytać korespondencję, jaką prowadził ostatnio z Albertyną.

Albertyna, myśli z ironią Gloria. Róża pod innym imieniem. A przecież ona wie, że ta irlandzka pannica, odpowiedzialna już za śmierć jednego z jej synów, ma teraz czelność zagrażać drugiemu.

Może to osa w słoiku zabiła Nigela, ale nie doszłoby do tego, gdyby nie ta dziewczucha. Głupi, zazdrosny Nigel, który najpierw zakochał się w tej Irlandce, a potem, kiedy odkrył, że młodszy brat ją śledzi i robi jej zdjęcia, zaczął mu grozić. Posunął się nawet do rękoczynów wobec biednego, bezradnego błękitnookiego chłopca, aż wreszcie ona musiała się wtrącić i unieszkodliwić go jak wściekłego psa, żeby się to więcej nie powtórzyło.

Kochana Bethan (jeśli mogę tak powiedzieć)!

Podajrzewam, że słyszałaś już najnowsze wieści. Doktor Peacock zmarł wczoraj w nocy w swoim domu. Wypadł z wózka i stoczył się ze schodów. Większość swojego majątku - ostatnio szacowanego na jakieś trzy miliony funtów - zapisał w spadku Tobie. Moje gratulacje. Pewnie staruszek czuł, że jest Ci coś winien z powodu całej tej sprawy z Emily White.

Mimo wszystko muszę przyznać, że jestem zaskoczona. Brendan nigdy mi nic nie mówi. Przez cały ten czas pomagał doktorowi i nawet nie raczył mnie o tym poinformować. A może Tobie coś wspominał? Ostatecznie jesteście dobrymi przyjaciółmi.

Wiem, że przez lata nasze rodziny dzieliło wiele spraw. Ale skoro teraz widzisz się z oboma moimi synami, może powinniśmy wreszcie zakopać topór wojenny. Cała ta sprawa okazała się ogromnym zaskoczeniem dla nas wszystkich. Zwłaszcza jeśli to, co słyszałam, jest prawdą. Ponoć policja podejrzewa, że nie był to nieszczęśliwy wypadek.

Mimo wszystko nie przejmowałabym się tym. Sama wiesz, że takie sprawy zwykle rozchodzą się po kościach.

*Szczerze oddana
Gloria*

Tak, oczywiście to Gloria napisała ten list. Nigdy nie wzdragała się przed spełnieniem obowiązku. Wiedziała,

że Nigel go otworzy i chwyci przynętę. A kiedy rzeczywiście zjawił się w domu tamtego dnia, domagając się rozmowy z błękitnookim chłopcem, to ona odparła jego atak, odprowadzając go z kwitkiem - czy też może raczej z osą w słoiku. Dlatego jedyny pozostały przy życiu syn ma wobec niej dług, którego nigdy nie zdoła spłacić. Teraz już nigdy jej nie opuści. Już nigdy nie będzie należał do nikogo innego. A jeśli *kiedykolwiek* spróbuje ucieczki...

Dodaj komentarz

błękitnookichłopiec: Jakież uwagi? Jest tu ktoś?

8.

Autorem tego bloga jest błękitnookichłopic, piszący na:

Niegrzecznicłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 04:47 w piątek, 22 lutego

Status: publiczny

Nastrój: przebiegły

Słucham: „Mama” My Chemical Response

Oczywiście powinna była to przewidzieć. Powinna wiedzieć, że jej syn tak właśnie skończy. Ale Gloria nie zna się na rozwoju dziecka i nie ma pojęcia o przyczynach wywołujących u niego określone reakcje. A wywoływanie kojarzy jej się tylko z tym, co błękitnookichłopic robi w ciemni, zupełnie sam. Gloria nie lubi zbyt wiele o tym myśleć. Tak jak i o tej starej paskudnej Błękitnej Księżce albo o grach, w które błękitnookichłopic lubi grać w sieci ze swoimi wirtualnymi przyjaciółmi. Zerknęła nawet na to raz czy drugi, z poczucia obowiązku, chociaż budziło to w niej lekki niesmak, tak jak kiedyś konieczność prania jego pościeli. Zrobiła to wyłącznie po to, żeby go chronić, bo przecież inni nie rozumieją, że błękitnookichłopic jest taki wrażliwy, że po prostu nie potrafiłby się obronić.

Ta myśl sprawia, że na moment oczy jej zachodzą mgłą. Ponieważ mimo swojego nieugiętego praktycyzmu Gloria potrafi być czasem dziwnie sentymentalna, tak że nawet w gniewie myśl o bezradności syna potrafi ją wzruszyć. To właśnie w takich momentach kocha go najmocniej, a jest chory, płacze albo zwija się z bólu, kiedy nie ma nikogo innego poza nią, kiedy wszyscy są przekonani o jego winie.

Oczywiście ona wie, że jej błękitnookichłopiec jest niewinny. No cóż, przynajmniej jeśli chodzi o morderstwo. To, czego może być winny - jakie zbrodnie umysłu ma na swoim sumieniu - to już sprawa między nim a jego matką, która poświęciła swoje życie, aby go chronić, nawet własnym kosztem. Ale to cały jej syn, siedzący w gnieździe, które dla niego zbudowała, niczym grube, bezskrzydłe pisklą kukułki z wiecznie otwartym dziobem.

Nie, nie był jej ulubieńcem. Ale zawsze miał największe szczęście z całej trójki jej chłopców i został obdarzony tak silną wolą przetrwania mimo swojego daru - wierne odbicie swojej mamy.

A matka powinna chronić syna, niezależnie od wszystkiego. Chociaż czasem należy go ukarać, ale to już kwestia do rozstrzygnięcia pomiędzy błękitnookimchłopcem a jego mamą. Nikt obcy nie ma prawa podnosić na niego ręki. Nikt - ani szkoła, ani wymiar sprawiedliwości - nie ma prawa się wtrącać. Czyż nie broniła go zawsze przed łobuzami, chuliganami i drapieżnikami?

Weźmy taką Tricię Goldblum, tę dziwkę, która uwiodła starszego syna Glorii - i przyczyniła się do śmierci najmłodszego pupilka. Cóż to była za przyjemność z nią się rozprawić. Zresztą sprawa okazała się całkiem prosta - na pożarach spowodowanych wadliwą elektrycznością zawsze można polegać.

A potem jeszcze ta hipisowska przyjaciółka pani White, która uważała się za lepszą od nich wszystkich. No i sama

Catherine White - tak łatwo było wyprowadzić ją z równowagi. Poza tym Jeff Jones z osiedla, mężczyzna, który wziął na wychowanie tę irlandzką przybłądę, a kilka lat później miał czelność podnieść w pubie rękę na syna Glorii Winter. Do tego Eleanor Vine, donosicielka, szpiegująca Breña we Dworze, i sam Graham Peacock, który oszukał ich wszystkich, chociaż jej synek tak go lubił.

Doktor Peacock sprawił jej najwięcej satysfakcji; leżał wyrzucony ze swojego wózka i pozostawiony na pewną śmierć w tej ogrodowej alejce niczym żółw wyciągnięty ze skorupy. Potem wystarczyło już tylko wejść na górę i wziąć tę figurkę z dynastii Tang, którą doktor wykluwał jej oczy dawno temu. Zabrała ją i ostrożnie ustawiła za szkłem, razem z resztą swojej porcelanowej kolekcji. To nie była kradzież, powtarza sobie teraz. Ostatecznie ten stary był jej coś winien za wszystkie kłopoty, jakie sprawił jej synowi.

Ale chociaż tyle zrobiła dla błękitnookiego chłopca, czy doczekała się wdzięczności? Zamiast wspierać matkę, miał czelność przenieść swoje uczucia na tę irlandzką pannicę z miasteczka, a co gorsza, próbował jej wmówić, że to ona jest jego obrończynią.

Będzie musiał za to zapłacić. Ale wszystko w swoim czasie, teraz Gloria ma inne sprawy na głowie.

Z góry dobiega ją wołanie syna, któremu towarzyszy walenie w drzwi.

- Mamusiu! Proszę cię, otwórz!

- Nie mazgaj się - odpowiada Gloria. - Niedługo wrócę, wtedy sobie porozmawiamy.

- Mamusiu, proszę!

- Nie zmuszaj mnie, żebym tam do ciebie przyszła...

Odgłosy dolatujące z góry natychmiast się urywają.

- Tak już lepiej - mówi Gloria. - Mamy sporo rzeczy do omówienia. Na przykład sprawę twojej pracy w szpitalu.

Albo twoje kłamstwa. I to, co tam kombinujesz z tą dziewczyną. Z tą Irlandką, która chodzi cała wytatuowana.

Za drzwiami sypialni błękitnookichłopiec aż sztywnieje. Czuje, jak każdy włoszek staje mu dęba. Wie, o co toczy się gra i wbrew samemu sobie zaczyna się bać. To oczywiste. Dlaczego miałoby być inaczej? Tkwi uwięziony w tej pułapce i co gorsza, pragnie być schwytany, potrzebuje tego uczucia bezradności. A matka czai się po drugiej stronie drzwi niczym gotowy do ataku pająk, więc jeśli coś w jego planie pójdzie nie tak, jeśli zapomniał uwzględnić najdrobniejszą ze zmian...

Jeśli. Jeśli.

Złowróźbne słowo, zabarwione szarozielonym zapachem drzew i kurzu, który zbiera się pod łóżkiem. Pod łóżkiem jest bezpiecznie, bezpiecznie w tym mroku pozbawionym woni. Błękitnookichłopiec słucha, jak matka wkłada buty, przez chwilę brzęczy kluczami i wreszcie zamyka za sobą drzwi. Potem jeszcze tylko chrzęst jej kroków na śniegu i odgłos otwierania drzwiczek samochodu.

Wzięła samochód, tak jak przewidział. Ponieważ błagał ją, żeby tego nie robiła, zrobiła dokładnie to, co zaplanował. Błękitnookichłopiec przymyka oczy. Mamusia przekręca klucz w stacyjce i silnik budzi się do życia. Cóż by to była za ironia losu, gdyby teraz przytrafił się wypadek. Nikt nie mógłby go za to winić. I wreszcie byłby wolny!

Dodaj komentarz

błękitnookichłopiec: Nadal pusto? Dobra, w porządku. W takim razie w fazie czwartej jestem zdany wyłącznie na siebie...

9.

Autorem tego bloga jest blekitnookichłopiec, piszący na:

Niegrzecznychłopcyrzadza

Wpis zamieszczony o: 04:56 w piątek, 22 lutego

Status: publiczny

Nastrój: ostrożny

Słucham: „Sugar Baby Love” The Rubettes

Pewnie domyśliliście się już, że to nie jest zwykłe opowiadanie. Moje wcześniejsze teksty zawsze stanowiły relację z tego, co się wydarzyło - chociaż sami musicie zdecydować, czy wszystko rozegrało się dokładnie tak, jak to opisałem. Ale ta mała opowiadka stanowi raczej dzieło w procesie stawania się. Jeśli wolicie, nadal trwający projekt. „Przełom w zakresie idei”, jak powiedziałyby Clair. I jak każda pojęciowa praca nie do końca wolny od ryzyka. Właściwie to jestem niemal pewny, że wszystko skończy się łzami.

Pięć minut na dotarcie do Zebry. Kolejnych pięć na załatwienie sprawy. A potem - „Ojej, już go nie ma!” - pora na wybuchowy finał.

Mam nadzieję, że zajmą się moimi orchideami. To jedyna rzecz w tym domu, której będzie mi brakować. Reszta może

sobie zgnić i szczeznąć, jeśli o mnie chodzi, poza porcelanowymi pieskami oczywiście, co do których mam już ściśle sprecyzowane plany.

Ale najpierw muszę się wydostać z tego pokoju. Drzwi są z solidnego drewna. W filmie pewnie zdołałbym je bez trudu wyłamać, w prawdziwym życiu potrzeba jednak rozsądniejszego podejścia. Przyborek ze śrubokrętem, pilnikiem i scyzorykiem o krótkim ostrzu powinien pomóc mi uporać się z zawiasami, a wtedy droga wolna.

Po raz ostatni spoglądam na moje orchidee. *Phalaenopsis* - znana też jako ćmówka - wymaga przesadzenia. Wiem dokładnie, jak się czuje; ja też żyłem przez wszystkie te lata w ciemnej, pozbawionej powietrza, toksycznej przestrzeni. Najwyższa pora odkryć nowe horyzonty. Pora opuścić swój kokon i wzbić się w powietrze...

Ale kiedy tak zmagam się z drzwiami, nagle uświadamiam sobie, że jakoś mi niewyraźnie. W brzuchu czuję jakby trzepotanie tysięcy motyli, nawet mam mdłości. Mój iPod leży spakowany w torbie, więc włączam radio. Z maleńkich głośników dobiega przypominająca gumę balonową melodia „Sugar Baby Love” The Rubettes.

Kiedy byłem małym chłopcem, brałem to „baby” za „B.B.” i sądziłem, że wszystkie te piosenki są specjalnie dla mnie, że nawet ludzie w radiu skądś wiedzą, jaki ze mnie wyjątkowy chłopiec. Dzisiaj muzyka brzmi złowieszczo, niepokojący falset wybijający się ponad grubą warstwę coraz niższych dźwięków do mistycznego wtóru „doop-shoowaddy” i „bop-shoowaddy”. Ma słodko-kwaśny posmak, niczym kwaskowe dropsy, którymi w dzieciństwie wypychało się policzek, żeby poczuć, jak cierpną kubki smakowe, a jeśli nie było się wystarczająco ostrożnym i przesunęło czubkiem języka po twardej otoczce cukierka, zahaczając o ostre krawędzie bąbli powietrza ukrytych w jego wnętrzu, usta wypełniały

człowiekowi słodycz i krew, i to był właśnie smak dzieciństwa...

- Nyaaa-haaaa-haaaa-oooooooooooooooooh.

Dzisiaj ten wznoszący się, przeciągły zaśpiew ma w sobie coś złowróżbnego, coś, co szarpie człowiekowi trzewia, jak żwir rozrywający jedwab sakiewki. Słowo „cukier” wcale nie jest słodkie, ma różowy, gazowy zapach, niczym środek znieczulający u dentysty, oszałamiający i natrętny, wdzierający się do mojej głowy tak, że niemal je tam widzę - dokładnie w tym momencie, tu i tam - a The Rubettes grają w mikroskopijnej kuchence Zebry z głośnością przyprowadzającą o migrenę. Wokół unosi się ten zapach, ten mdląco słodki, gazowy zapach, tłumiący nawet aromat świeżo parzonej kawy. Ale mama niczego nie zauważa, pięćdziesiąt lat palenia marlboro zrobiło swoje, tak że teraz tylko woń l'Heure Bleue jest w stanie pobudzić jej zmysł węchu. Dlatego właśnie matka bez wahania otwiera drzwi kuchni.

Oczywiście nie mam całkowitej pewności. Mogłem się pomylić co do stacji radiowej, mogłem się pomylić co do czasu - może matka nadal stoi na parkingu, a może jest już po wszystkim - a jednak tak właśnie jest dobrze.

Sugar baby love Sugar baby love I didn 't mean to make you blue...

„Maleńka, nie chciałem cię zasmucić...”. Może jednak Feather miała trochę racji co do duchów, zjaw i astralnych projekcji, bo tak się właśnie teraz czuję, lżejszy od powietrza, obserwuję całą scenę z miejsca gdzieś pod sufitem, podczas gdy The Rubettes śpiewają „aaaah-ooop shoowaddy-waddy, doop-showaddy-waddy”. Widzę czubek głowy mamusi, przedziałek w jej przerzedzonych włosach, paczkę marlboro

w rękę, zapalniczkę przytkniętą do czubka papierosa. A potem rozgrzane powietrze rozchodzi się falą niczym balon rozciągnięty do granic możliwości.

- Halo? Jest tu kto? - woła jeszcze mama, po czym zapala swojego ostatniego papierosa...

Nie ma czasu zrozumieć. Zresztą wcale tego nie planowałem. Gloria Green nie jest osą, którą można uwięzić w słoiku, a potem w dowolnym momencie zlikwidować. Nie jest też krabem pozostawionym na śmierć w palącym słońcu. Umiera natychmiast, gorący podmuch zmiatają niczym ómę - pufff! - posyła w niebyt, tak że nie pozostaje nic, nawet palec, po którym błękitnookichłopiec mógłby ją zidentyfikować. Nie ma choćby pyłku kurzu na tyle dużego, żeby zagrzechotał w porcelanowym piesku.

Ze swojego pokoju niemal słyszę głuchy odgłos wybuchu, zupełnie jak trzask kawałka marmuru z Blackpool, same ostre krawędzie i ból zębów, i chociaż nie mogę mieć pewności, nagle ogarnia mnie fala zdumienia i nieopisanej ulgi, że w końcu mi się udało. Uwolniłem się od niej. Wreszcie pozbyłem się matki.

Nie mów, że jesteś zaskoczona, Albertyno. Czy nie wspomniałem ci, że potrafisz czekać? Czyżbyś naprawdę wierzyła, po tak długim czasie, że to mógł być wypadek? A ty, mamusi, naprawdę sądziłaś, że nie dostrzegałem, jak uważnie mnie obserwujesz, że nie przyglądałem ci się od pierwszej chwili, gdy zalogowałaś się na Niegrzecznychłopcyrządzą?

Pojawiła się na scenie parę miesięcy temu, w odpowiedzi na jeden z moich publicznych postów. Mamusia nie zna się na obsłudze komputera, ale wchodziła do Internetu za pośrednictwem łącza w swojej komórce. Nie trzeba było długo czekać, żeby ktoś skierował ją na portal Niegrzecznychłopcyrządzą. Osobiście stawiam na Maureen Pike, za po-

średnictwem Clair, a może nawet Eleanor. W każdym razie spodziewałem się tego, tak jak się spodziewałem, że czeka mnie za to sroga kara, ale mama nigdy nawet nie wspomniała wprost o moich poczynaniach w sieci. Potrafi być czasem dziwnie pruderyjna, więc o niektórych rzeczach po prostu nie mówi. „Wszystkie te twoje świństwa, którymi zajmujesz się tam na górze”, to chyba najbardziej bezpośrednia wzmianka na temat pornosów, zdjęć czy fotografii, które ukazują się na moim portalu.

Muszę przyznać, że świetnie się bawiłem podczas tej rozgrywki. Igrając z ogniem, wystawiając się na ryzyko, podjudzając ją, żeby się odsłoniła. Czasami posuwałem się odrobinię za daleko i nieraz się sparzyłem. Ale musiałem poznać granice, przekonać się, do czego zdołałem popchnąć je obie, żeby wyliczyć dokładną dawkę nacisku, jaki mogę wywrzeć na mechanizm, zanim całość zacznie szwankować. Artysta musi znać materiał, w którym pracuje. Reszta była już prosta.

Nie czuj się winna, moja Albertyno. Nie mogłaś wiedzieć. Poza tym w ostatecznym rozrachunku to ona postanowiła rozprawić się z tobą, tak jak z całą resztą. Możesz to uznać za obronę konieczną, jeśli chcesz. A może za akt odkupienia. W każdym razie już po wszystkim. Jesteś wolna. Do zobaczenia, dziękuję. Jeśli znajdziesz się kiedyś na Hawajach, zadzwoń. I bardzo cię proszę, dbaj o moją orchideę.

Dodaj komentarz

10.

Autorem tego bloga jest blekitnookichlopiec.

Wpis zamieszczony o: 05:17 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój: chory

Słucham: „Snakes” Voltaire'a

Nareszcie. Zawiasy ustępują, mogę wyjść. Sięgam po torbę. Ale ból brzucha staje się coraz silniejszy, zupełnie jakby kolec jeżyny rozrywał mi wnętrzności. Idę do łazienki, żeby obmyć twarz, wypijam szklankę wody.

Boże, ale boli. Co się dzieje? Cały spływam potem. Spoglądam w lustro. Wyglądam jak trup. Wokół oczu pojawiły się głębokie cienie, usta mam wykrzywione w próbie opanowania mdłości. Co jest, do diabła? Podczas śniadania czułem się tak dobrze.

Śniadanie! Powinienem się być domyślić. Zbyt późno przypominam sobie wyraz twarzy mamusi, tę minę tak bliską szczęściu. Koniecznie chciała mi dzisiaj zrobić śniadanie. Przygotowała wszystkie moje ulubione dania. Stała nade mną, kiedy jadłem. A napój witaminowy smakował jakoś inaczej - powiedziała, że zmieniła recepturę.

Na miłość boską, przecież to oczywiste. Jak mogłem nie zauważyć, co się święci? Matka uciekła się znowu do swoich starych sztuczek - jak mogłem być tak nieostrożny?

A teraz mam wrażenie, że odłamki szkła kaleczą mi wnętrze. Próbuję wstać, ale ból jest zbyt silny, aż zgina mnie w pół. Sprawdzam moją listę przyjaciół. Ktoś na pewno nie śpi. Ktoś, kto może mi pomóc.

Wiadomość przesłana za pośrednictwem portalu powinna sprowadzić pomoc. Mamusia zabrała moją komórkę. Wystukuję swoje SOS i czekam. Czy ktoś jest online?

Kapitanmorderca króliczków czuje się super.

Ta, jasne. Popieprzony dupek. Za bardzo boi się wyjść z domu, żeby nie natknąć się na chłopaków z osiedla. W przełocie dostrzegam jeszcze, że kobaltowydzieciak został usunięty z listy przyjaciół Kapitana. No dobra, przyznaję, że jestem trochę zaskoczony.

ClairDeLune czuje się odrzucona. No cóż, to możliwe. Anioł miał dosyć i napisał do niej osobiście. Jego ton, chłodny i oficjalny, nie pozostawia Clair żadnych złudzeń. Odrzucenie boli w każdym wieku, ale dla niej boleśniesz jest upokorzenie.

Hawajskibłękit zniknął z jej list. Podobnie jak błękitnokichłopiec.

A co u Chryssie? Znowu źle się czuje. Tym razem niemal jej współczuję. A kiedy zerkam na jej listę przyjaciół, widzę z coraz mniejszym zdziwieniem, że lazuruwodzięci zostało usunięte. Natychmiast sprawdzam, jak się przedstawia sprawa z błękitnookimchłopcem. Tutaj też mnie nie ma.

Trzy auty? To nie może być przypadek. Szybko przeglądam resztę mojej listy przyjaciół, sprawdzając konta i awatary. BombaNumer20. Purepwnage9. Toksyczny69. To wszyscy moi przyjaciele. Zupełnie jakby pozostali zmó-

wili się, żeby porzucić mnie jak rozbitka na Niegrzecz-
nichłopcyrządzą.

Oczywiście nie ma od Albertyny żadnej wiadomości. Jej konto pocztowe jest oznaczone jako „nieaktywne”, jej blog został skasowany. Nadal mogę przeglądać stare posty - w sieci tak naprawdę nic nie ginie, a każde słowo jest przechowywane w pamięci buforowej i szyfrowanych plikach, duchy w maszynie. Ale sama Albertyna zniknęła. Po raz pierwszy od dwudziestu lat - może nawet po raz pierwszy w życiu - błękitnookichłopic jest zupełnie sam.

Sam. Gorzkie, brązowe słowo, niczym opadłe liście uwięzione w wietrznej pułapce. Smakuje jak fusy z kawy i ziemia, a cuchnie popiołem z papierosów. Nagle zaczynam się bać. Nie tyle dlatego, że zostałem sam, ile raczej z braku tych wszystkich głosików, które powtarzały mi, że jestem prawdziwy, że mnie widzą.

Rozumiecie, że to fikcja, prawda? Wiecie, że nikogo nie zabiłem? Owszem, niektóre z moich historyjek były odrobinę w złym guście, może nawet niesmaczne, ale przecież nie uwierzyliście chyba, że zrobiłem którąkolwiek z tych rzeczy.

Jak to jest z tobą, Chryssie?

A ty, Clair?

Ale już serio - to wszystko nieprawda. Czy ktoś tu słyszał o licencji poetyckiej? Jeśli moje historie zabrzmiały realistycznie, jeśli niemal was przekonałem - to chyba największy komplement, dowód, że błękitnookichłopic wymiata.

Prawda, chłopaki? Toksyczny? Kapitanie?

Znowu próbuję zejść na dół. Wezwę taksówkę. Muszę się stąd wydostać. Uciec. Przed południem powinienem wsiąść do samolotu. Ale czuję się tak, jakby ktoś przeciął mnie na pół, ledwie trzymam się na nogach. Wracam do łazienki, wymiotuję tak długo, aż w jelitach nie pozostaje już właściwie nic.

Chociaż z doświadczenia wiem, że na niewiele się to zda. Czegokolwiek użyła moja matka, nadal krąży to w moim organizmie, w mojej krwi, wyłączając kolejne narządy. Czasami trwa to kilka dni, czasami wiele tygodni, w zależności od dawki. Co mi podała? Nie mam pojęcia. Muszę wezwać tak-sówkę. Jeżeli zacznę się czołgać, jakoś zdołam dotrzeć do telefonu. Aparat stoi w salonie, tam gdzie porcelanowe pieski. Ale sama myśl, że miałbym tam leżeć pod ich spojrzeniem całkiem bezradny, to więcej niż moje napięte nerwy są w stanie znieść. W brzuchu kłębią mi się zmię, których nic już nie powstrzyma.

Cholera, ale mnie mdli. W głowie mi się kręci, cały pokój gwałtownie wiruje. Za oczami otwierają mi się czarne kwiaty. Może jeśli będę po prostu tu leżał, bez ruchu, to przejdzie. Może z czasem odzyskam siły, przynajmniej na tyle, żeby dotrzeć na lotnisko.

Pi! Moja skrzynka odbiorcza, gorzko-słodki elektroniczny dźwięk. Któreś z moich przyjaciół przysłało mi wiadomość. Wiedziałem, że tak mnie nie zostawią. Wiedziałem, że w końcu zmienią zdanie.

Czołgam się z powrotem do komputera i naciskam na klawiaturze ikonkę „nowa wiadomość”.

„Pojawił się nowy komentarz do twojego posta!”

Przełączam się na mój ostatni wpis. Jedna linijka komentarza. Żadnego awatara, tylko domyślny obrazek, wpisana w kwadrat niebieska sylwetka.

Dodaj komentarz

JennyTricks: NIEŻLE JAK NA AMATORA, CHOCIAŻ
MAŁO REALISTYCZNIE.

Wpis zakończony jest ikonką, małą mrugającą buźką.

To niemożliwe. Niemożliwe! Wzdłuż kręgosłupa spływa mi strużka potu. W brzuchu mam pełno tłuczonego szkła. To musi być jakiś żart, prawda? Tylko głupi żart. Od samego początku, kiedy zalogowała się po raz pierwszy, przekonana, że jest taka sprytna.

Och, proszę was. Jak mógłbym jej nie zauważyć, z takim idiotycznym nickiem.

JennyTricks.

Genitrix, po łacinie „matka”.

Ta nazwa ma czasem kolor dziewiczego błękitu, a czasem zieleni przypominającej odcieniem sukno targowego stoiska, pachnie l'Heure Bleue i papierosami marlboro, liśćmi kapusty i słoną wodą.

Dodaj komentarz blekitnookichlopiec: Mamusia?

Nie, nie. Oczywiście, że to niemożliwe. Na miłość boską, przecież słyszałem wybuch. Ona już tu nie wróci, ani dzisiaj, ani kiedykolwiek. A nawet jeśli jakimś cudem wyszła z tego cała, czemu miałaby wybierać takie medium, zamiast po prostu przyjechać do domu i rozprawić się ze mną bezpośrednio?

Nie, ktoś próbuje namieszać mi w głowie. Stawiam na Albertynę. Całkiem nieźle, moja droga. Ale ja bawię się w te gierki zbyt długo, żeby dać się wyprowadzić z równowagi amatorce.

Pi! „Pojawił się nowy komentarz do twojego posta!”

Zastanawiam się, czy nie skasować tej wiadomości bez czytania. Ale z drugiej strony...

Dodaj komentarz

JennyTricks: blekitnookichlopiec, I JAK SIĘ CZUJESZ?

blekitnookichlopiec: Dzięki, Jenny, nigdy nie czułem się lepiej.

JennyThcks: NIGDY NIE UMIAŁEŚ KŁAMAĆ, NAWET ŻEBY RATOWAĆ ŻYCIE.

No cóż, tu bym polemizował, JennyTricks. Szczerze mówiąc, przetrwałem tak długo, robiąc dokładnie to, o czym wspomniałaś. Niczym księżniczka Szeherazada konsekwentnie ratowałem życie kłamstwem, chociaż jednak odrobinę dłużej niż tylko przez tysiąc i jedną noc. A więc, Jenny, kimkolwiek jesteś...

Dodaj komentarz

blekitnookichlopiec: Powiedz, czyja cię znam?

JennyTricks: NIE TAK DOBRZE JAK JA CIEBIE.

Szczerze mówiąc, wątpię. Ale teraz czuję się zaintrygowany, mimo bólu, który przychodzi i odchodzi falami, jak morze pod molo w Blackpool. Ból osacza mnie ze wszystkich stron, więzi jak mysz schwytaną w butelkę. W każdym razie jestem unieruchomiony, więc zamiast myśleć o swojej sytuacji - a ta, spójrzmy prawdzie w oczy, nie wygląda zbyt różowo - wolę zostać tutaj, chwycić podsuniętą linę, nawiązać rozmowę, która jest lepsza od ciszy.

Dodaj komentarz

blekitnookichlopiec: A więc wydaje ci się, że mnie znasz? JennyTricks: O TAK. ZNAM CIĘ, blekitnookichlopiec: To ty, Albertyno?

Odpowiada kolejną uśmiechniętą buźką. Żółte piksele przypominają szczerzące zęby goblina. Każde uderzenie w klawisze sprawia mi ból, lecz milczenie jest jeszcze gorsze.

Dodaj komentarz

blekitnookichlopiec: Albertyno? To ty? JennyTricks: NIE, TA DZIWIKA ZNIKNĘŁA NA DOBRE.

Teraz jestem już pewny, że to Bethan. Jaki cudem zdobyła hasło mamy? Skąd się loguje? To dobrze, że nie ma pojęcia o mojej chorobie. Może nawet nie wie, że tu jestem. Zapewne przypuszcza, że jestem już na lotnisku i loguję się do sieci z hali odlotów.

Dodaj komentarz

blekitnookichlopiec: Cóż, było fajnie, ale muszę już lecieć. JennyTricks: NIGDZIE NIE POJEDZIESZ, blekitnookichlopiec: Ależ tak. Lecę na południe. JennyTricks: NIE W TYM ŻYCIU, TY MAŁY GNOJKU. MAMY SPORO RZECZY DO WYJAŚNIENIA.

Ty suko, wcale się ciebie nie boję. Właściwie to czuję się nawet lepiej. Za chwilę wstanę, wezmę swoją torbę, wezwę taksówkę i każe się zawieźć na lotnisko. Kto wie, może nawet znajdę czas, żeby przed wyjściem rozprawić się z tymi cholernymi pieskami. Ale na razie zostanę jeszcze tutaj, zgięty wpół jak człowiek guma, trzymając ból w ryzach słowami, zanim ten otworzy swoją paszczę, żeby mnie połknąć.

Dodaj komentarz

JennyTricks: SIEDŹ NA TYŁKU. JUŻ WRACAM DO DOMU. WRACAM, ŻEBY SIĘ TOBĄ ZAJĄĆ.

Oczywiście blefuje. Nie ma o niczym pojęcia. Ale gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, pewnie zacząłbym się trochę bać. Tak świetnie naśladuje sposób mówienia mamusi, że czuję, jak włoski na karku zaczynają mi się unosić, a koszula lepi się do pleców od potu. Ale to i tak zwykły blef, po prostu wykorzystwała to, co wie na mój temat. Wie, że to moja słaba strona i tyle. Strzela w ciemno. Wygrałem, a ona już nic nie może na to poradzić.

Dodaj komentarz

JennyTricks: MYŚLISZ, ŻE JESTEŚ TAKI SPRYTNY, CO? NIE TRZEBA BYŁO PRÓBOWAĆ MNIE OSZUKIWAĆ. A JEŚLI ZOBACZE, ŻE TKNAŁEŚ CHOĆBY PALCEM KTORĄS Z MOICH FIGUREK, SKRĘCĘ CI TEN CHOLERNY KARK, JASNE?

W porządku, gra skończona, JennyTricks. Moja cierpliwość się wyczerpała. Jest tyle miejsc do odwiedzenia, ludzi do poznania, zbrodni do popełnienia i tak dalej. Człowiek z moimi talentami będzie miał na Hawajach mnóstwo okazji. Mnóstwo miejsc do zbadania. Może nawet do ciebie stamtąd napiszę. Na razie, Jenny, kimkolwiek jesteś...

11.

Autorem tego bloga jest błękitnookichio-
piec.

Wpis zamieszczony o: 05:32 w piątek, 22 lutego

Status: prywatny

Nastrój: przestraszony

Słucham: „The Winner takes It All” Abby

W porządku, koniec żartów, myśli sobie błękitnookichio-
piec. To przestało być śmieszne. Ona wie za dużo, to zaczyna
go już trochę drażnić. Błękitnookichio-
piec wstaje, chociaż ból
jest straszliwy. Pokój znowu wykonuje gwałtowny obrót.
Nasz bohater musi przytrzymać się biurka, żeby nie upaść.

Pi! Znowu e-mail. Tym razem błękitnookichio-
piec go ignoruje, zarzuca tylko torbę na ramię, nadal wsparty o biur-
ko.

Pi! Kolejna wiadomość. Ktoś właśnie zamieścił wpis na
Niegrzecznychłopcy rządzą!

Ale on jest już w połowie drogi do schodów, cały czas przy-
trzymując się poręczy. Niegrzecznychłopcy rządzą to wyspa, z
której rozpaczliwie próbuje teraz uciec. Każdy krok przycho-
dzi mu z wielkim trudem, ale i tak stąd wyjdzie, nawet

gdyby miało go to zabić. Błękitnookichiopec nie będzie się czołgał. Zdąży na ten cholerny samolot!

Koncentruje się tak mocno, że ledwie zwraca uwagę na warkot nadjeżdżającego samochodu, a kiedy auto zatrzymuje się na podjeździe przed ich domem, reakcja zajmuje mu kilka sekund.

Policja, tak szybko?, dziwi się w duchu.

Słysząc trzaśnięcie drzwi. Do uszu błękitnookiego chłopca dobiega chrzęst butów na śniegu, potem chrobot klucza obracanego w zamku. Drzwi wejściowe otwierają się cicho. Nasz bohater słyszy szelest butów na wycieracze, potem dwa stuknięcia i wreszcie odgłos bosych stóp stąpających po parkiecie w holu.

Znaleźli klucze, to wszystko, myśli sobie. Weszli do środka. Dwójka policjantów. Oczyma duszy już ich widzi, mężczyzna i kobieta (zawsze przychodzi kobieta). Mężczyzna będzie bezpośredni i rzeczowy, kobieta okaże się życzliwsza, bardziej wrażliwa. Tylko dlaczego zdjęli buty? I dlaczego, u licha, nie zadzwonili do drzwi?

- Hej! - woła z trudem. - Jestem na górze!

Żadnej odpowiedzi. Zamiast tego w górę unosi się smuga papierosowego dymu. A potem rozlega się cichy, śliski odgłos, jak szelest pełzającego węża - albo kabla przesuwającego się po wyfroterowanej podłodze.

Teraz już ogarnia go panika. Upada ciężko na poręcz. Próbuje się podnieść, ale nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Przeklinając, zaczyna się czołgać z powrotem do swojego pokoju. Tyle że nie znajdzie tu już schronienia, sam przecież zdjął drzwi z zawiasów. Ale zawsze zostaje mu jeszcze komputer, jego ratunek, ucieczka, azyl.

Loguje się z powrotem na Niegrzecznychłopcy rządzą. Czekają na niego dwie wiadomości.

Czyta je, chociaż pokój cały czas wiruje wokół niego. Z oczu płyną mu łzy, głowa mu pęka, czuje w brzuchu ostrza żyłek szarpiące mu wnętrzności.

Od strony schodów dolatuje nieubłagany odgłos kroków.

- Kto tam? - Z trudem wydobywa z siebie głos. - Mamusiu, proszę? To ty?

Żadnej odpowiedzi, tylko te kroki na schodach, nieubłaganie zdążające na górę. Błękitnookichłopiec zaczyna stukać drżącymi palcami w klawisze. Kroki dotarły już do podestu. Teraz dołącza do nich śliski szelest na wykładzinie. Błękitnookichłopiec zaczyna pisać jeszcze szybciej. Nie może, nie ma odwagi przestać. Bo jeśli to zrobi, będzie musiał się odwrócić i na nią spojrzeć...

Ale to oczywiście tylko fikcja. Błękitnookichłopiec nie wierzy w duchy. Przez cały czas wie, że to Albertyna. Ostatecznie jednak nie potrafiła go zostawić, zatrzymała się, żeby przeczytać wiadomości, a potem zawróciła, bo on potrzebuje jej pomocy. A ten nierzeczywisty dym marlboro to tylko wytwór jego wyobraźni, tak samo jak zapach l'Heure Bleue, zbyt mocny, żeby mógł być prawdziwy. Nie, to tylko Albertyna przysłała go ratować.

- Wiedziałem, że mnie nie zostawisz, Beth - rzuca z wdzięcznością, chociaż głos już niemal odmawia mu posłuszeństwa.

Albertyna nie odpowiada.

- Nieźle mnie wystraszyłaś. Myślałem, że to matka. - Próbuje się roześmiać, jednak dźwięk wydobywający się z jego gardła przypomina raczej skrzek. A ten śliski odgłos jest coraz bliżej.

- Chyba teraz jesteśmy kwita. Przyznaję, zasłużyłem sobie na to.

Nadal żadnej reakcji. Kroki za jego plecami zatrzymują się. Błękitnookichłopiec czuje teraz jej zapach, róża pośród kłębow dymu.

- Przyniosłam ci lekarstwo - słyszy.
- Mamusia? - szepce. - Mamusiu? To ty?
-

PODZIĘKOWANIA

Są takie książki, które pisze się łatwo. Inne trochę trudniej. Są też takie, które przypominają kostkę Rubika - nie od razu widać rozwiązanie. Ta konkretna kostka Rubika nie została nigdy ułożona bez pomocy mojej redaktorki Marianne Velmans i mojego agenta Petera Robinsona, którzy zachęcali mnie do wytrwałości. Serdeczne słowa podziękowania otrzymują także moja asystentka Anne Riley, specjalistka od promocji Louise Page-Lund, pan Fry za użyczenie Patcha, adiustatorka Lucy Pinney, Claire Ward i Jeff Cottenden za okładkę, a także Francesca Liversidge, Manpreet Grewal, Sam Copeland, Kate Tolley, Jane Villiers, Michael Carlisle, Mark Richards, Voltaire, Jennifer i Penny Luithlen. Dziękuję także niedocenianym bohaterom: korektorom, specjalistom ds. sprzedaży, agentom wydawnictwa i księgarzom, których tak często pomija się przy wręczaniu laurów. Na specjalne podziękowania zasłużyli też moi przyjaciele z sieci, a szczególnie: gl-12, ashlibrooke, spicedogs, mr_henry_gale, marzella, jade_melody, henry_holland, divka, benobsessed. I oczywiście pan spod Siódemki, którego głos dźwięczał mi w głowie od początku.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

BŁĘKIT 9

CZĘŚĆ DRUGA

CZERŃ 93

CZĘŚĆ TRZECIA

BIEL 213

CZĘŚĆ CZWARTA

DYM 319

CZĘŚĆ PIĄTA

LUSTRA 389

CZĘŚĆ SZÓSTA

ZIELEŃ 481